



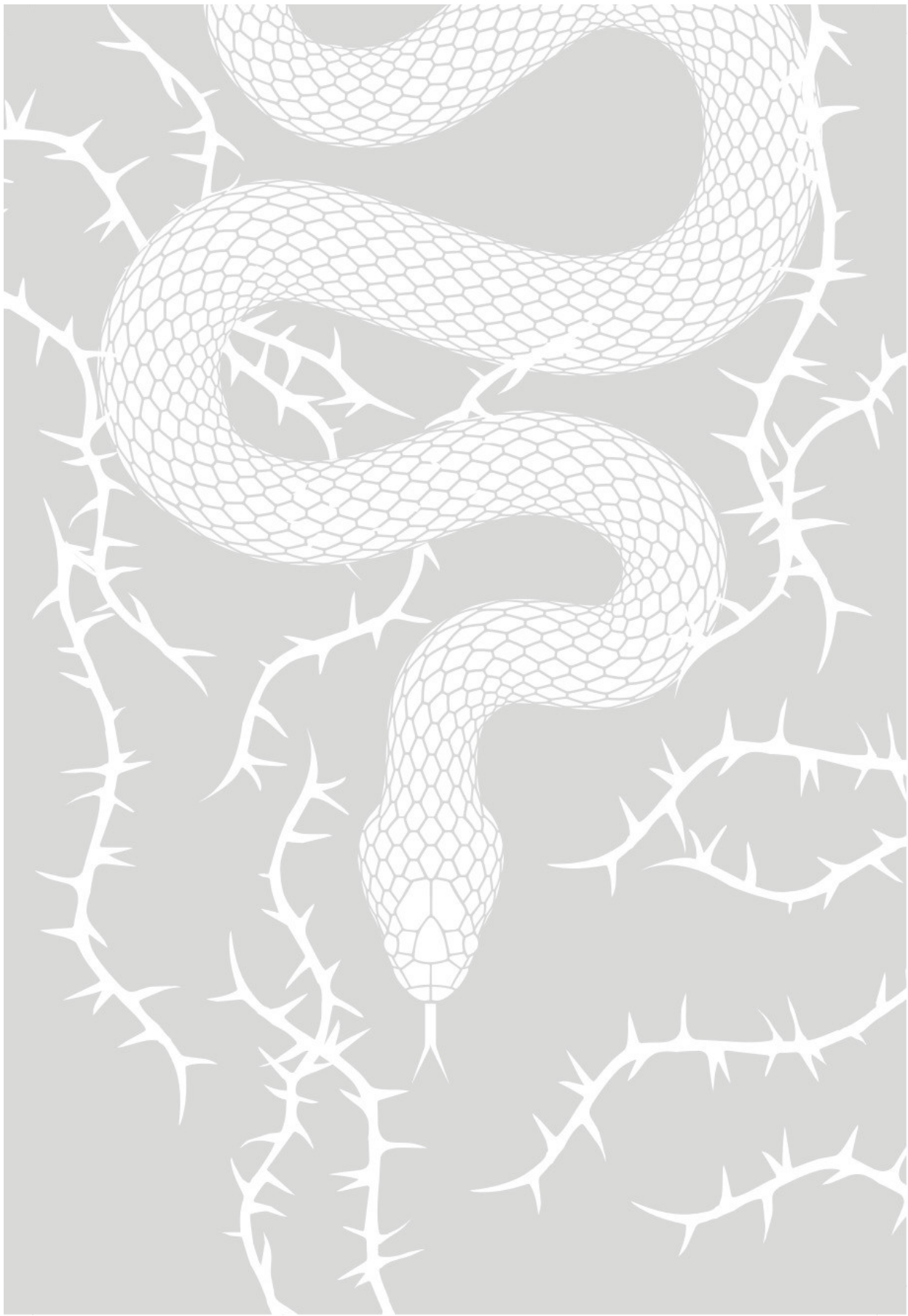
NAJWIĘKSZA MOC TKWI NIE W MAGII, LECZ W SERCU

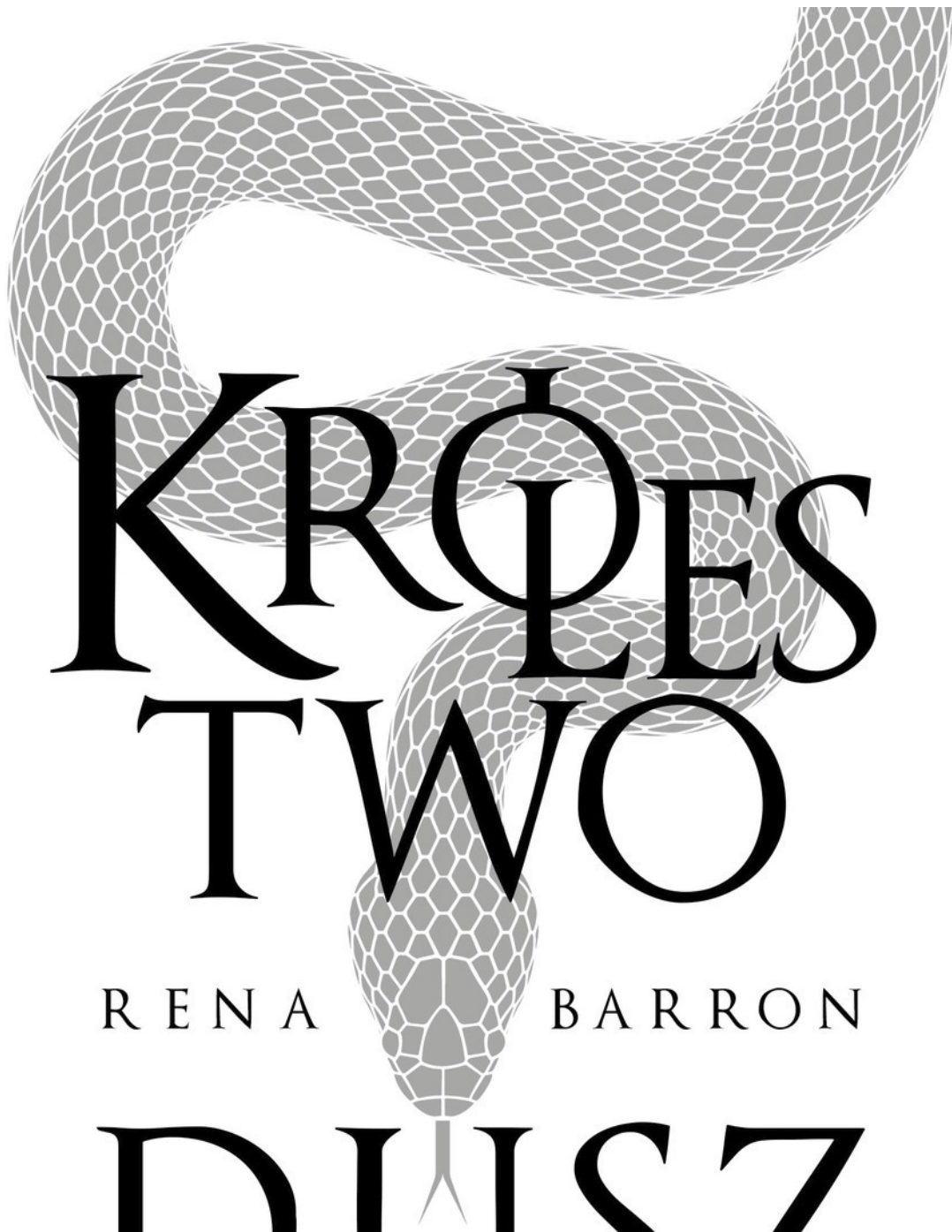
KROKIES TWO

RENA

BARRON

DU SZ





KROKIES TWO

R E N A B A R R O N

DUSZ

Przełożyła Natalia Mętrak-Ruda



Tytuł oryginału: *Kingdom of Souls*

Redakcja: Dorota Matejczyk

Korekta: Aneta Szeliga

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Skład i łamanie: Robert Majcher

Copyright © 2019 by Rena Barron

Copyright for the Polish edition © 2020 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ISBN 978-83-7686-914-8

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2020

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Mierosławskiego 11A

01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2020

Spis treści

CZĘŚĆ I

PROLOG

JEDEN

DWA

TRZY

RE'MEC, ORISZA SŁOŃCA, KRÓLEWSKI BLIŹNIAK

CZTERY

PIĘĆ

SZEŚĆ

SIEDEM

OSIEM

DZIEWIĘĆ

DZIESIĘĆ

JEDENAŚCIE

DWANAŚCIE

KORÉ, ORISZA KSIĘŻYCA KRÓLEWSKA BLIŹNIACZKA

CZĘŚĆ II

TRZYNAŚCIE

CZTERNAŚCIE

PIĘTNAŚCIE

SZESNAŚCIE

SIEDEMNAŚCIE

OSIEMNAŚCIE

FRAM, ORISZE ŻYCIA I ŚMIERCI

DZIEWIĘTNAŚCIE

DWADZIEŚCIA

DWADZIEŚCIA JEDEN
FRAM, ORISZE ŻYCIA I ŚMIERCI
DWADZIEŚCIA DWA
DWADZIEŚCIA TRZY

CZEŚĆ III

DWADZIEŚCIA CZTERY
DWADZIEŚCIA PIĘĆ
DWADZIEŚCIA SZEŚĆ
DWADZIEŚCIA SIEDEM
EFIYA
DWADZIEŚCIA OSIEM
DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ
TRZYDZIEŚCI
EFIYA
TRZYDZIEŚCI JEDEN
TRZYDZIEŚCI DWA

CZEŚĆ IV

RE'MEC, ORISZA SŁOŃCA KRÓLEWSKI BLIŻNIAK
TRZYDZIEŚCI TRZY
TRZYDZIEŚCI CZTERY
TRZYDZIEŚCI PIĘĆ
TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ
RE'MEC, ORISZA SŁOŃCA KRÓL BLIŻNIAK
TRZYDZIEŚCI SIEDEM
TRZYDZIEŚCI OSIEM
TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ
CZTERDZIEŚCI

CZEŚĆ V

CZTERDZIEŚCI JEDEN
CZTERDZIEŚCI DWA
KRÓL DEMONÓW

PODZIĘKOWANIA


Dla wszystkich, którzy mają odwagę marzyć,
mają odwagę żyć w prawdzie,
mają odwagę sprzeciwić się okrucieństwu,
mają odwagę powiedzieć: jestem,
kim jestem, i to wystarczy,
ta książka jest dla was...

...i dla mojej rodziny.



CZEŚĆ I

Z popiołów wzniesie się w płomieniach.
Woda nie zgasi jej cierpienia.
Nie ma dla niej odkupienia.
Nie wypowiem jej imienia.
– Pieśń Nienazwanej



PROLOG

Nie ruszaj się, Mała Kapłanko.

Mój ojciec klęka przede mną ze sznurem zębów oplecionym wokół palców. Błyszczą niczym perły, a ja prostuję się w nadziei, że będzie ze mnie dumny. Odległe echo bębnow *djembe* zagłusza jego głos, ale nie gasi iskry w jego oczach, kiedy wieszka mi na szyi wisior z zębów. Dzisiaj stanę się prawdziwą córą plemienia Aatiri.

Magia wszystkich barw trzepocze w powietrzu łagodnie niczym skrzydła ptaka. Nie mogę ustać w miejscu, kiedy tańczy na jego ciemnej skórze niczym światełko. Przemyka po jego podbródku i szczęce, skacze mu na nos. Unoszę rękę, by chwycić złoty węgielek, ale ten wymyka mi się z dłoni. Chichoczemy z tatą oboje.

Pozostałe dziewczyny plotkują, kiedy ich matki poprawiają im kaftany i amulety z kości. Na każdą dziewczynę, którą magia dotyka, dwie omija, jakbyśmy były niewidzialne. Czuję w brzuchu ukłucie, patrząc, jak idzie do innych, podczas gdy do mnie nie przysłała ani razu.

Nieliczne dziewczęta, które mówią w języku tamarskim, pytają mnie, jak się żyje daleko, we Wszechpotężnym Królestwie. Mówią, że nie jestem prawdziwą Aatiri, bo moja matka nie należy do plemienia. W żołądku czuję ucisk, bo wiem, że w ich słowach jest ziarno prawdy.

Unoszę wysoko głowę, kiedy ojciec poprawia mi kołnierz. Jest jedynym mężczyzną w namiocie – o tym dziewczęta też szepczą. Nie obchodzi mnie to; cieszę się, że tu jest.

– Ojczy, czemu magia nie chce do mnie przyjść?

Pytanie zadaję zbyt głośno, w namiocie zapada cisza. Pozostałe dziewczęta i ich matki patrzą na mnie krzywo, jakbym powiedziała coś złego.

– Nie martw się, córko – odpowiada, podwijając rękawy mojego pomarańczowo-niebieskiego kaftana, takiego samego, jaki i on ma na sobie. – Przyjdzie, kiedy ma przyjść.

– Ale kiedy? – nalegam.

To niesprawiedliwe, że wiele młodszych ode mnie dzieci Aatiri już ma w sobie magię. W Tamarze w gronie moich przyjaciół jako jedyna w ogóle dostrzegam magię, ale tu napływa ona do innych dzieci, a one robią z nią rzeczy, których ja nie umiem.

– Może i nigdy, mała *ewaya*. – Najstarsza z dziewcząt mówi po tamarsku, chociaż z akcentem. Wpatruje się we mnie, a ja marszczę nos. Nie jestem dzieckiem, a ona się myli. Magia do mnie przyjdzie.

Matka dziewczyny kląska językiem i strofuje ją w języku Aatiri. Jej słowa ślizgają się po moich uszach, nie zdradzając znaczenia, jak wszystkie dziwne, piękne języki na targach w rodzinnych stronach.

– Nawet jeśli magia nie przyjdzie nigdy – mówi ojciec – i tak będziesz moją Małą Kapłanką.

Pokazuję dziewczynie język. Niech się nauczy być sympatyczniejszą.

Inna dziewczyna pyta, czemu nie ma tu mojej matki.

– Ma ważniejsze sprawy na głowie – odpowiadam, wspominając, jak ojciec błagał ją, żeby przyjechała.

– Czemu się smucisz? – pyta ojciec, czule szczypiąc mój policzek. – *Imebyé* to czas świętowania. Dzisiejszej nocy zaczniesz długą podróż ku dorosłości.

Bębny *djembe* milkną. Zagryzam wargi, a pozostałe dziewczęta zrywają się na nogi. Nadeszła pora, by stanąć przed całym plemieniem, tak by przywódczyni mogła nas pobłogosławić. Tym razem jednak moje nogi ani drgną, gdy pozostałe dziewczęta wybiegają z namiotu z matkami u boku.

– Chcę do domu, ojciec – szepczę, kiedy ostatnia z dziewczyn i jej matka opuszczają namiot.

Iskierka światła w jego oczach gaśnie.

– Niedługo wrócimy do domu, dobrze?

– Ale ja chcę wracać już – mówię nieco głośniej.

– Nie chcesz wziąć udziału w *imebyé*? – Marszczy czoło.

Kręcę głową tak gwałtownie, że moje amulety z kości grzechoczą.

Ojciec wstaje.

– A może po prostu razem obejrzymy ceremonię?

Przywódczyni wkracza do namiotu, a ja przywieram do boku ojca. Srebrny kaftan owija się jej wokół kostek, odcinając się od hebanowej skóry. Na czubku jej głowy widać przetykane srebrem warkocze.

– Czy mój syn i wnuczka planują wziąć udział w ceremonii, na którą jechali czternaście dni? – pyta głębokim, grzmiącym głosem.

Ojciec obejmuje mnie ramieniem.

– Nie w tym roku.

Przywódczyni kiwa głową z satysfakcją.

– Oshhe, czy mogę porozmawiać z moją wnuczką na osobności?

Ojciec patrzy na nią w sposób, którego nie rozumiem.

– Tylko jeśli Arrah nie ma nic przeciwko temu.

Wymieniamy spojrzenia. Przełykam ślinę.

– Dobrze.

Przed wyjściem z namiotu ojciec ściska moje ramię.

– Zajmę ci miejsce z przodu.

Przywódczyni uśmiecha się do mnie bezzębnym uśmiechem, siadając na podłodze ze skrzyżowanymi nogami.

– Usiądź tu ze mną.

Poły namiotu trzepoczą po wyjściu ojca. Nogi mnie świerzbią, żeby pójść za nim, ale widok siedzącej na podłodze wielkiej przywódczyni Aatiri przykuwa mnie do mojego miejsca. Siadam naprzeciwko niej, kiedy unosi dłoń w stronę sufitu. Ku jej dłoni fruną żółte, fioletowe i różowe iskry.

– Jak ty to robisz, że magia do ciebie przychodzi, wielka przywódczyni? – pytam.

Szeroko otwiera oczy.

– Przede wszystkim jestem twoją babcią i tak się do mnie zwracaj.

Zagryzam wargę.

– Jak, babciu?

– Czy tobie magia nie udziela odpowiedzi?

Kręcę głową.

– Niektórzy ludzie potrafią czerpać magię z materii świata. – Babcia patrzy na barwy tańczące wokół opuszków jej palców. – Inni przyzywają ją za pomocą zaklęć i rytuałów. Wielu w ogóle nie potrafi jej przywołać. To dar od Heki dla ludzi pięciu plemion, dar jego samego, ale dla każdego jest czymś innym.

Zbliża do mnie magię, a ja się przysuwam. Mam nadzieję, że tym razem do mnie przyjdzie, ale znika, gdy muska moją dłoń.

– Widzę ją. – Moje ramiona opadają. – Ale nie odpowiada na moje wezwanie.

– To rzadkie – mówi. – Nie niespotykane, lecz rzadkie.

Delikatne muśnięcia babcinej magii ocierają mi się o czoło. Czuję łaskotanie, więc wkładam dłonie między kolana, żeby powstrzymać się od drapania.

– Wygląda na to, że masz jeszcze rzadszy dar. – Marszczy brwi, jakby zaskoczyła ją łamigłówka. – Nigdy nie poznałam umysłu, którego nie umiałyby dotknąć.

Chce sprawić mi przyjemność, ale to bez znaczenia, skoro nie potrafię wzywać magii jak prawdziwi szamani – jak moi rodzice, jak ona.

Babcia sięga do kieszeni kaftana i wyciąga z niej garść kości.

– Należą do moich przodków. Używam ich, by przyciągać do siebie więcej magii. Więcej, niż zdołałabym schwytać opuszkami palców. Kiedy mocno skupiam się na tym, co chcę zobaczyć, one mi to pokazują. Spróbujesz?

Kości lądują na mojej dłoni. Są małe i błyszczą w świetle ustawionych na stołkach pod baldachimem gorejących słoików pełnych rozmaitych olejków.

– Zamknij oczy – mówi babcia. – Pozwól, by kości przemówiły do ciebie.

Moje ramię przeszywa chłód, a serce wali mi mocno w piersi. Na zewnątrz bębny *djembe* znów zaczynają wygrywać powolny, miarowy rytm, który odbiera mi dech. Na twarzy babci zapisana jest prawda, którą już znam. Kości nie mówią.

Szarlatanka.

Słowo odbija się echem w moich uszach. Moja matka nazywa tak ulicznych handlarzy, którzy sprzedają bezwartościowe amulety na szczęście, bo ich magia jest zbyt słaba. Czy sądzi, że ja też jestem szarlatanką?

Palce zaczynają mnie boleć, bo z całej siły zaciskam je na kościach.

– Puść – mówi babcia.

Kości wylatują mi z dłoni i upadają na ziemię między nami. Lądują w różnych miejscach, jedne blisko siebie, inne daleko. Oczy mnie pieką, kiedy się w nie wpatruję, starając się usłyszeć, co do mnie mówią mimo huku bębnow *djembe*.

– Czy widzisz coś lub słyszysz? – pyta babcia.

Mrugam i czuję łzy na policzkach.

– Nie.

Zbierając kości, babcia się uśmiecha.

– Nie u każdego magia objawia się tak wcześnie. Do niektórych przychodzi, kiedy są już prawie dorośli. Ale kiedy zjawia się późno, jest bardzo silna. Być może będziesz kiedyś potężną szamanką.

Drżą mi dłonie, przypominają mi się słowa dziewczyny z Aatiri: „może i nigdy”.

– Chodź, dziecko, zaczyna się ceremonia – mówi babcia, podnosząc się.

Wybiegam z namiotu, nie czekając na nią, a po twarzy płyną mi łzy. Nie chcę być potężną szamanką w przyszłości – chcę, żeby magia przyszła do mnie teraz. Owiewa mnie żar pustynnej nocy, a moje białe stopy uderzają o twardą glinę. Czarodziejskie iskry spadają z nieba na wyciągnięte ręce pozostałych dzieci, ale część magii ucieka. Przedzieram się przez tłum i podążam za zbłąkaną magią, zdeterminowana, by pochwycić ją dla siebie.

Przedziera się przez chaty z cegły mułowej niczym skrzydlaty wąż, zawsze dwa takty przed nami. Bębnienie za namiotami zmienia się w odległy szmer. Zatrzymuję się, kiedy magia znika. Jest tu ciemniej, chłodniej, a mój nos atakuje zapach eliksiru krwi. Ktoś odprawiał rytuał w ciemności. Powinam się odwrócić, uciec stąd. Wiatr ostrzega mnie wyciem, ale ja się zbliżam. Nagle palce wygięte jak korzenie drzew chwytają mnie za kostkę.

Szarpię nogą, a wyciągnięta po magię ręka opada. Przypominam sobie straszne historie o demonach, a moje serce bije głośniejsze niż bębny *djembe*. W czasie lekcji skryba ostrzegł mnie raz: nie daj się schwytać w mroku, bo demon tylko czeka, by ukraść ci duszę. Im młodsza dusza, tym słodsza uczta. Na samą myśl przechodzi mnie dreszcz, ale przypominam sobie, że to tylko historyjka mająca straszyć dzieci. Jestem za duża, żeby w nią wierzyć.

Dopiero kiedy dostrzegam zarys kobiecej sylwetki, znów mogę złapać oddech. Skórę kobiety oświetla magia, a ona zwija się i upada na piach. Wykrzywia twarz we wrzasku. Nie wiem, co o niej myśleć: wygląda i staro, i młodo, jednocześnie na żywą i martwą, a zwłaszcza na obolałą.

– Daj mi rękę – mówi bełkotliwym głosem.

– Zawołam mojego ojca – proponuję, pomagając jej wstać.

Jej brązowa skóra jest ziemista i spocona.

– Nie fatyguj się. – Wyciera brud z warg. – Muszę tylko chwilkę odpocząć.

– Co tu robisz? – pytam, klękając obok niej.

– Mogłabym zapytać o to samo, znam jednak odpowiedź. – Do jej pustych oczu wraca iskierka życia. – Dziecko nie bierze udziału w *imebyé* tylko z jednego powodu.

Odwracam wzrok – ona wie.

– Ja też nie mam w sobie magii – mówi, a jej słowa ociekają goryczą. – A mimo to odpowiada ona na moje wezwanie.

Przełykam ślinę, żeby powstrzymać dreszcze.

– Jak?

Uśmiecha się, pokazując rząd zgniłych zębów.

– Magia ma swoją cenę. Czy jesteś gotowa ją zapłacić?

JEDEN

Co roku pięć plemion Heki zbiera się z okazji święta Krwawego Księżyca, a ja powtarzam sobie, że to będzie mój rok. Rok, w którym wszystko zacznie się od nowa. Który wynagrodzi mi czekanie, tęsknotę, frustrację. Rok, w którym magia rozbłyśnie na mojej skórze, wręczając mi dar. Kiedy to się stanie, moje porażki odejdą w zapomnienie i będę miała własną magię.

Mam szesnaście lat, jestem prawie dorosła – zarówno według praw plemiennych, jak i królewskich. Czas mi się kończy. Żadna córka, żaden syn plemion nie odnaleźli w sobie daru w późniejszym wieku. Jeśli to nie wydarzy się w tym roku, nie wydarzy się nigdy.

Przełykam ślinę i wycieram spocone dłonie w trawę, kiedy bębny *djembe* zaczynają odgrywać swój powolny, stały rytm. Obozowisko plemion w dolinie liczy sobie jakieś trzydzieści tysięcy osób. Ustawiamy się w kręgi wokół świętego pierścienia obok Świątyni Heki, a ogień płonący w jego środku na przemian niknie i rozkwita do rytmu. Bębniarze maszerują dokoła krawędzi okręgu, ich kroki są doskonale zsynchronizowane. Pięć plemion wygląda, jakby nic ich nie łączyło, ale czcząc Hekę, boga swych ziem, poruszają się niczym jedno ciało.

Magia wypełnia powietrze tak gęste, że kłuje mnie w skórę. Tańczy na nocnym niebie ponad niekończącymi się rzędami namiotów o żywych kolorach. Tunika przykleja mi się do pleców pośród ściśniętych gorących ciał. Ostry zapach unoszący się w dolinie przypomina Wschodni Targ w najtłumniejsze dni. Moje nogi wybijają nerwowy rytm, podczas gdy wszyscy wokół klaszczą wraz z muzyką.

Jako goście babki Essnai, Sukar i ja siedzimy na poduchach na honorowym miejscu w świętym kręgu. To nie dlatego, że jesteśmy wyjątkowi, wręcz przeciwnie – jesteśmy zwyczajni, a do tego jesteśmy outsiderami. Niektórzy wpatrują się w nas, żebyśmy o tym nie zapomnieli. Chciałabym nie zwracać na te spojrzenia uwagi, ale budzą we mnie kolejne wątpliwości. Zaczynam się zastanawiać, czy jestem na swoim miejscu. Czy zasługuję na kolejną szansę po latach porażek.

– Rozumiem, że tak się gapisz, bo magia się zbliża. – Sukar marszczy nos. Tatuże na jego przedramionach i ogolonej głowie błyszczą, sam też musi więc wiedzieć, że magia już tu jest. – No chyba że za kimś tęsknisz...

Czuję, jak ciepło ogarnia moją szyję. Oboje wiemy, kogo ma na myśli. Próbuję sobie wyobrazić, że Rudjek siedzi tu na poduszce w swojej wykwintnej elarze. Wyróżniałby się bardziej ode mnie, ale byłby tym zachwycony. Na samą myśl uśmiecham się i nieco rozluźniam.

Sukar, Essnai i ja przyjechaliśmy na plemienne ziemie z Tamaru z karawaną, poprzez pasmo gór Barat na zachodnim skraju Wszechpotężnego Królestwa. Przyjechało około dwustu osób, ale znacznie więcej Tamarczyków nie podjęło tego wysiłku.

– Ciebie też powinniśmy byli zostawić w Królestwie – mówię Sukarowi, rzucając mu jadowite spojrzenie. – Niektórzy chcą z szacunkiem przyglądać się ceremonii, więc przestań mi przeszkadzać, proszę.

– Ktoś powinien ci poprzekadzać... – Puszczam do mnie oko.

– Wesprzyj mnie, Essnai – proszę. – Powiedz mu, żeby się skupił.

Dziewczyna siedzi ze skrzyżowanymi nogami po drugiej stronie Sukara, a jej twarz jest równie nieprzenikniona co zawsze. Poprzedniej nocy mój ojciec uwarzył eliksir krwi, by ufarbować jej włosy. Jaskrawa czerwień ładnie kontrastuje z jej hebanową skórą. Jak zwykle ściąga na siebie spojrzenia, choć wydaje się niczego nie zauważać. Pod nieobecność ukochanej Kiry wygląda raczej jak usychający z tęsknoty szczeniak.

Wzrusza ramionami, obserwując bębniarzy.

– I tak nie posłucha.

Wzdycham i odwracam się w stronę świętego kręgu. Księżyc przybrał odcień purpury, głębszy jeszcze niż godzinę wcześniej. W Tamarze uczą nas, że orisza księżyc Koré płacze tej nocy krwią za swoimi braćmi. Pięć tysięcy lat temu ona i jej brat Re'Mec, orisza słońca, poprowadzili armię, żeby zaspokoić pragnienie dusz Króla Demonów. Plemiona wierzą jednak, że Krwawy Księżyc symbolizuje ich związek z Heką. Tylko w tym okresie powraca, by przekazać swój dar przyszłym pokoleniom.

Nawet z daleka ciepło ognia pokrywa moje czoło kroplami potu. A może tylko udaję przed sobą samą, że to ogień, nie zdenerwowanie. Chciałabym być jak Essnai i Sukar. Nie martwię się, że nie mają w sobie magii, ale ich sytuacja jest inna: ich rodzice też nie są nią obdarzeni. Nie muszą spełniać oczekiwań dwóch znamienitych rodów.

Kiedy myślę o drugim powodzie, dla którego tu jestem – o egzaminach – czuję, jak żołądek mi się ściska. Bębny milkną gwałtownie, a w tej ciszy przed burzą moje mięśnie napinają się jeszcze bardziej. Muzycy stoją niemal tak nieruchomo jak pomniki w dzielnicy uczonych w Tamarze. Zapada cisza. Nadeszła wreszcie chwila, na którą czekaliśmy, ale trwa odrobinę zbyt długo. W tym czasie mój umysł wypełniają pytania: A co, jeśli się nie uda? A co, jeśli magia się pojawi, ale będzie słabsza od tej

moich rodziców? A co, jeśli moim przeznaczeniem jest bycie szarlatanką handlującą talizmanami?

I czy to byłoby aż tak straszne?

Przyciągam kolana do piersi, przypominając sobie skręcającą się z bólu kobietę w *imebyé*. „Magia ma swoją cenę. Czy jesteś gotowa zapłacić?”. Jej słowa rozbrzmiewają w moich uszach, to słowa szarlatanki, słowa osoby rozpaczliwie pragnącej magii. Odpycham je od siebie. Wciąż mam szansę – wciąż jeszcze mogę otrzymać od Heki dar.

Słyszę za plecami szmer i odwracam głowę, by spojrzeć na przedzierających się przez tłum szamanów. Odańczę taniec rozpoczynający trwające miesiąc święto. Krwawy Księżyc rzuca na nich upiorny, szkarłatny cień. W dolinie słychać tylko ich głosy. Milkną szepty, dzieci przestają się wygłupiać: tylko świst wiatru i szelest stóp na trawie. Tak bardzo chcę się znaleźć pośród nich, być im równa, dorosnąć do oczekiwań mojej rodziny. A jednak znowu mogę tylko patrzeć. Zawsze tylko patrzeć.

Podczas ceremonii siedmioro szamanów występuje na czoło każdego z pięciu plemion. Podlegająca przywódcom szóstka tworzy *edam* – radę plemienia. Chociaż wielu członków plemion ma w sobie dar Heki – jego magię – szamani się wyróżniają. Przywódcy obdarzyli ich tym tytułem, bo mają oni do magii szczególną zdolność. Nie więcej niż setka ludzi ze wszystkich plemion dostąpiła tego zaszczytu. To ich wszyscy inni szanują i to im najbardziej zazdroszczę.

Kiedy szamani się zbliżają, ich śpiew grzechocze mi w kościach. Jak by to było – panować nad magią z łatwością oddechu? Sięgać w powietrze, by zbierać ją na czubkach palców, albo wkroczyć w świat duchów? Nie tylko widzieć magię, ale nad nią panować, nadawać jej kształt, być magią?

Jako pierwsi nadchodzą szamani z plemienia Litho: cztery kobiety i trzech mężczyzn. Ich plemię mieszka w lasach, na południowym zachodzie od Świątyni Heki. Biały pył pokrywa ich ciała i kamizele z niewyprawionej skóry. Ich wymyślne korony z metalu, kości i kolorowych koralików dzwonią na wietrze. Ziemia przesuwa się pod ich stopami poruszającymi się łagodnie jak fale oceanu, popychając ich w stronę świętego kręgu, gdzie wolno wstąpić tylko *edam*.

Kiedy procesja się zbliża, bębniarze znów zaczynają grać, odsuwając się od kręgu i siadając na trawie. Powolny rytm przyspiesza, kiedy przywódca Litho wkracza do świętego kręgu.

Następne jest plemię Kes – najmniejsze z pięciu, którego ziemie graniczą z doliną od północnego zachodu. Ich przezroczysta skóra i niemal bezbarwne oczy przypominają mi ludzi z Północy. Ich kolorowe szaty jaskrawo kontrastują z alabastrową skórą. Z każdym ich krokiem błyskawice rozcinają niebo, a iskry tańczą

na ich skórze. Wydmuchują gryzący dym, który pachnie krwiowcem, imbirem i pieprzem eeru – oczyszczającą mieszanką, którą pomagam robić ojcu w jego sklepie.

Następne jest plemię z gór położonych na południe od świątyni. Szamani Zu skaczą ponad naszymi głowami, a powietrze podtrzymuje ich stopy. Ich ciała pokrywają tatuaże, a na głowach mają korony z poroży: wygiętych i haczykowatych, wielkich i małych. Niektóre zrobione są z gładkiego metalu, a ich ostre krawędzie mogłyby przeciąć palec. Jeden fałszywy krok, a poroże mogłoby spaść na zebranych, co nie byłoby przyjemne. Na wszelki wypadek wciskam palce pomiędzy kolana.

Sukar trąca mnie łokciem z krzywym uśmiechem na ustach. Jego rodzina pochodzi z plemienia Zu, ale chociaż ma na ciele co najmniej dwa tuziny tatuaży, *edam* jego plemienia mają ich znacznie więcej.

– Jak zwykle robią największe wrażenie ze wszystkich pięciu plemion – szepcze.

Klepię Sukara po ramieniu, żeby go uciszyć, a Essnai w tym samym momencie uderza go w tył głowy. Sukar krzywi się, ale nie protestuje. Nadchodzi kolej Aatiri – Essnai i ja na to właśnie czekałyśmy. Mimo krótko obciętych włosów jej wysokie kości policzkowe i szeroko rozstawione oczy nie pozostawiają wątpliwości: jest Aatiri. Zaprzyjaźniłyśmy się, kiedy znalazła mnie na pustyni z szarlatanką podczas *imebyé*.

Czuję ulgę, kiedy babka wyłania się z cienia, prowadząc plemię Aatiri. Nie spodziewałam się nikogo innego, ale to pierwsza osoba spośród *edam*, którą znam. Prostuję się, starając się wyglądać jak choćby cień wielkiej przywódczyni.

Aatiri nie idą ani nie skaczą, gdyż są niesieni przez czarodziejskie obłoki. Srebrne warkocze wiją się na czubku głowy babki niczym korona, a na szyi ma pół tuzina naszyjników z zębów. Aatiri są wysocy i szczupli, mają wyraziste kości policzkowe i kręcone włosy, zaplecione tak jak moje. Ich skóra jest piękna jak godzina *ösana*.

Mój ojciec wchodzi do kręgu jako ostatni, a ja czuję radość. Jest wysoki, dumny i pełen potężnej magii bardziej niż ktokolwiek z *edam* – nie licząc babki. Stoi na swojej chmurze z tradycyjnym kijem w jednej dłoni i wyrzeźbionym z kości nożem w drugiej.

Jest honorowym członkiem *edam* plemienia Aatiri, ponieważ nie mieszka ze swym plemieniem, ale i tak jest uznawany za najpotężniejszego. Nie jestem tak głupia, by wierzyć, że jeśli... kiedy... moja magia przybędzie, będę równie utalentowana co on. Ale jego widok napełnia mnie dumą.

Mulani przychodzą jako ostatni. Mieszkają najbliżej Świątyni Heki.

Kiedy tysiąc lat temu Heka zstąpił z gwiazd, objawił się właśnie kobiecie z plemienia Mulani. Teraz przywódczyni Mulani jest jego głosem. To stanowisko należałoby do mojej matki, gdyby nie odeszła. Kiedy miała zaledwie czternaście lat,

miała tak ogromną moc, że plemię wybrało ją na swoją kolejną przywódczynię i emisariuszkę Heki.

Nigdy nie potrafiłabym zmierzyć się z tą legendą, ale to nie znaczy, że tego nie pragnę.

W odróżnieniu od szamanów pozostałych plemion, którzy bywają i kobietami, i mężczyznami, Mulani mają tylko szamanki. Zasłaniam oczy, żeby ochronić je przed światłem, które zawsze błyska, kiedy wkraczają do świętego kręgu. Sukar przeklina pod nosem, bo jest zbyt zajęty nieuważaniem, by o tym pamiętać. Jęki, które słyszę wokół, podpowiadają, że nie tylko on. Kiedy ich aury stygną, Mulani zwracają się w stronę tłumu. Mają szerokie ramiona, krągłe ciała i skórę o różnych barwach, od ciemnego brązu po alabaster. Moje bursztynowe oczy i ciemna cera pochodzą od nich, podczas gdy szczupłą budowę odziedziczyłam po Aatiri.

– Mówię w imieniu Heki. – Słowa przywódczyni Mulani odbijają się echem w dolinie, uciszając wszystkich zebranych. – Mówię w imieniu matki i ojca magii. Mówię w imieniu tego, który poświęcił się, gdy orisze odebrali magię śmiertelnym. Mówię w imieniu tego, który nie ma początku ani końca.

Przywódczyni Mulani jest kuzynką mojej matki, a jej głos brzmi niemal równie pewnie: Arti jest małomówna, ale cieszy się we Wszechpotężnym Królestwie takim szacunkiem, jakim jej kuzynka obdarzana jest na plemiennych ziemiach. Powtarzam sobie, że nie przeszkadza mi jej nieobecność. W domu jest przecież podobnie. Większość czasu spędza we Wszechpotężnej Świątyni, gdzie ona i jasnowidze służą oriszom. Kiedy moja matka opuściła plemienne ziemie, przyjęła też bogów Królestwa.

Kiedy byłam młodsza, błagałam matkę, żeby spędzała ze mną więcej czasu, ale nawet wtedy wciąż była zajęta. Zajęta, niedostępna albo niezadowolona – zwłaszcza z powodu mojego braku magii. Zalewa mnie fala żalu. Jeśli mam być szczerą, jakaś część mnie wciąż żałuje, że relacje między nami nie ułożyły się inaczej.

– Przez tysiąc lat Heka przychodził do nas na początku każdego Krwawego Księżyca – mówi przywódczyni Mulani. – I tak będzie znowu. Tej nocy zebraliśmy się, by go czcić, prosząc o łaskę dla naszych ludzi. Podzielimy się z nim naszymi *ka*, żeby mógł wejść nam w dusze i ocenić, czy jesteśmy godni.

Bicie mojego serca przyspiesza w niecierpliwym oczekiwaniu. Co roku dzieci – od najmłodszych po szesnastolatki – po wizycie Heki osiągają swoją moc. W tym roku musi nadejść moja kolej – nim będę za stara, nim będzie za późno. Magia sprawi, że moi kuzyni przestaną patrzeć na mnie jak na odmieńca.

Magia sprawi, że matka wreszcie będzie ze mnie dumna.

Po przemowie przywódczyni Mulani rozpoczyna się taniec. Szamani poruszają się wokół ognia i cała trzydziestka pięćka śpiewa w swoich rodzimych językach. Ich pieśni

tworzą zawikłany wzór, jednocześnie piękny i przedziwny. Ceremonia będzie trwała wiele godzin; bębniarze dostosowują tempo do rytmu narzuconego przez *edam*.

Dalej od świętego kręgu, pomiędzy namiotami, rozbłyskują ogniska. Powietrze wypełnia zapach naparów i pieczonego mięsa. Ludzie przekazują sobie w tłumie drewniane misy, a kiedy jedna z nich dociera do mnie, jej woń aż parzy. Odsuwam ją od siebie, nim zdążę się powstrzymać.

– Kto jak kto, ale ty akurat powinnaś być przyzwyczajona do odrobiny krwawego lekarstwa – mówi Sukar z przebiegłym uśmiechem.

– Następnym razem się napiję – mówię, wciskając mu miskę do ręki.

Śmieje się, biorąc wielki łyk.

Ktoś wkłada mi w dłonie kolejną miskę, a ja omal jej nie upuszczam, gdy mój wzrok pada na babcię. Wystąpiła ze świętego kręgu i stoi teraz nade mną. Oddech grzęźnie mi w gardle. Nikt spośród *edam* nie opuścił nigdy kręgu podczas ceremonii.

– Pij, Mała Kapłanko.

Jej głos unosi się na tajemnym wietrze; rozbrzmiewa głośno i wyraźnie mimo hałasu tłumu, mimo przekleństw i złośliwych spojrzeń. Kiedy Oshhe tak się do mnie zwraca, to tylko pieśzcotliwe słowa, ale kiedy wypowiada je babka, mają w sobie ciężar. Patrzy na mnie z góry i przygląda się mojej twarzy z nadzieją i wahaniem.

Nie jestem kapłanką. Tylko ją rozczaruję.

Biorę łyk, bo nie mogę przecież odmówić. Najpierw po moim języku, a potem gardle rozlewa się ciepło. Smakuje ziołowo, metalicznie, zgniło. Zaciskam mięśnie brzucha, żeby nie zwymiotować. Babka kiwa głową, zabiera miskę i przekazuje ją Sukarowi, który przełyka ślinę.

– Dziękuję, Czcigodna Przywódczyni – mówi, kłaniając się. On też wydaje się zdziwiony jej obecnością. Pozostali *edam* wciąż tkwią w świętym kręgu.

– Ćwiczyłaś? – pyta mnie babka, obnażając zęby w uśmiechu.

To prawdziwa przyczyna moich nerwów. Co roku podczas święta Krwawego Księżyca babka sprawdza, czy mam w sobie magię, a ja za każdym razem ponoszę porażkę.

– Tak – dukam, kiedy lekarstwo zaczyna działać.

Nie precyzuję, że ze wszystkich tych ćwiczeń – samodzielnych i w towarzystwie Oshhego – absolutnie nic nie wynikło.

– Jutro porozmawiamy dłużej – mówi babcia.

Sukar pada twarzą w trawę, kiedy krwawe lekarstwo zaczyna działać. Essnai stopą przekręca go na bok. Moje ciało wypełnia ciepło, a język się rozwiązuje.

– Wciąż nie ma we mnie magii – mówię mimowolnie, zbyt ospała, by się zawstydzic.

Babcia już ma coś powiedzieć, ale przerywa. Kurczy mi się żołądek. Nie potrafię odczytać jej wyrazu twarzy i zastanawiam się, co przodkowie powiedzieli jej o mojej przeszłości. Przez wszystkie te lata nie zdradziła mi tego sekretu.

– Nasza największa moc nie tkwi w naszej magii, ale w naszych sercach, Mała Kapłanko.

Mówi zagadkami, jak wszyscy ludzie z plemion. Czasami nie przeszkadza mi, że zarówno ona, jak i Oshhe próbują złagodzić moje obawy związane z brakiem magii. Czasami doprowadza mnie to do szału. Nie wiedzą, jak to jest: czuć się nic niewartym, nie na miejscu. Nie dorastać do pięt matce, którą podziwia całe Królestwo.

Zanim zdążę wymyślić, co powiedzieć, krwawe lekarstwo wprowadza mnie w stan błogiego spokoju. Płomień w gardle stygnie, zmieniając się w duszące ciepło, a bicie własnego serca dudni mi w uszach. Za plecami babci pozostali *edam* poruszają się w niesamowitym tempie. Ich twarze rozmywają się, a ciała pozostawiają ślady mgły, które łączą ich ze sobą. Śpiewają coraz głośniej. Niewiele później większość ludzi leży w transie – Essnai, starszyzna, wszyscy członkowie pięciu plemion. Bębny djembe cichną, a pieśń szamanów odbija się echem w dolinie.

Babka chwyta mnie za rękę i wciąga w święty krąg.

– Pokaż się Hece.

To nie w porządku. To nie moje miejsce. Tylko *edam* i czcigodni szamani, jak mój ojciec, mogą przebywać w świętym kręgu. Nie ktoś taki jak ja – pozbawiona magii outsiderka.

Nie powinno mnie tu być, ale nie pamiętam, czy chodzi mi o święty krąg czy o plemienne ziemie. Za bardzo kręci mi się w głowie, żebym mogła myśleć rozsądnie, ale czuję wewnątrz ciepło, kiedy dołączam do tańca.

Magia wiruje w powietrzu. Jest fioletowa i różowa, żółta i czarna, i niebieska. Jest pełna kolorów, kiedy tak wije się i płacze. Ociera się o moją skórę, a ja nagle znajduję się w dwóch miejscach naraz, jakby rozluźniły się więzy między moim ciałem a moim *ka*. Nie. Jestem wszędzie. Czy to tak wygląda magia, czy to tak się ją czuje i włada nią? Proszę, Heko, pobłogosław mnie swoim darem.

Szamani wpadają w trans jeden po drugim i też padają na ziemię. Nie słychać nic prócz ognia trzaskającego w wielu miejscach obozowiska. Moja kuzynka, przywódczyni Mulani, mija mnie cicha jak światło gwiazd. Prócz mnie tylko ona wciąż nie śpi.

– Czeka! – wołam za nią. – Co się dzieje?

Nie odpowiada. Wspina się po schodach świątyni i znika w jej wnętrzu. Kiedy próbuję pójść za nią, coś ciężkiego ciągnie mnie za nogi.

Zerkam w dół i zapiera mi dech w piersiach – widzę swoje leżące ciało. Moje kostki grzęzną w moim własnym brzuchu. Biorę gwałtowny wdech, a ciało mnie naśladuje; moja pierś unosi się, oczy otwierają szeroko. Czy *ka* pozostałych też nie śpią? Nie widzę ich. Czy oni mnie widzą? Znow próbuję się poruszyć, ale coś mocno trzyma mnie przy ziemi.

Moje *ka* trzyma moje ciało w żelaznym uścisku – jak łańcuch wokół kostek. Zastanawiam się, w jaki sposób mogłabym się uwolnić i czy naprawdę tego chcę. Mój ojciec twierdzi, że oddzielenie się od swojego *ka* to trudna sprawa. Tylko najbardziej utalentowani szamani potrafią opuścić swoje ciało, a nawet oni robią to rzadko, obawiając się, że odejdą zbyt daleko i nie znajdą drogi powrotnej. Samo krwawe lekarstwo nie wystarczy. Kiedy babcia wciągnęła mnie do świętego kręgu, musiała odprawić jakieś czary, żebym stała się bardziej widoczna dla Heki. Tak właśnie musiało być.

Moje ciało wzywa mnie z powrotem. Najpierw łagodnie, potem coraz bardziej zdecydowanie. Poruszam szybko powiekami, walcząc o przytomność, kiedy jasne wstęgi światła rozpalają nocne niebo. Padam na kolana, czując, że coś ciągnie mnie coraz mocniej, a źródło światła coraz bardziej się zbliża. Jest jednocześnie ciepło i zimno, pięknie i przerażająco, spokojnie i gwałtownie. Gdzieś w głębi znamy się nawzajem. Jest matką i ojcem magii. To Heka.

Obdarzy mnie swoją łaską.

Nie mogę uwierzyć, że po tylu latach to wreszcie się dzieje. Moje ciało oddycha z ulgą.

Matka byłaby ze mnie dumna, gdybym miała w sobie choćby okruch magii. Zamykam oczy, chroniąc je przed mocnym światłem, i pozwalam, by jego moc dotykała mojej skóry, łagodnie jak muśnięcia pędzla. Smakuje słodko. Śmieję się, kiedy pulsuje wewnątrz mojego *ka*.

Potem światło znika, magia opuszcza moje ciało i pozostaje pusta.

DWA

Następnego ranka po ceremonii otwarcia, kiedy rozdajemy z Oshhem prezenty jego niezliczonym kuzynom, jestem w fatalnym nastroju. Ojciec przygląda mi się uważnie, ale ja nie wiem, dlaczego. Wciąż jestem tą samą, pozbawioną magii dziewczyną, którą byłam poprzedniej nocy. Nic się nie zmieniło. Chciałabym wierzyć, że jakaś część magii przeszła na mnie – że w tym roku będzie inaczej.

Ręce mi się trzęsą, ale nie chcę, żeby to zobaczył. W godzinie *ösana* czeka mnie próba. Nie mogę spojrzeć babci w oczy, nie po tym, jak wkroczyłam do świętego kręgu. Nie po tym, jak poczułam magię na opuszkach palców, płynącą w mojej krwi, a potem – jak mnie opuszcza. To wtedy zaczęło się drzenie – jakby odchodząc, magia zabrała ze sobą część mojego *ka*.

Unoszący się w powietrzu zapach cynamonu, goździków i mięty przypomina mi dom. Co roku ojciec zabiera mnie tutaj, żebyśmy spędzili czas z jego rodziną i żebym mogła lepiej poznać plemię mojej matki. Kiedy starsi Mulani na mnie patrzą, widzą Arti: odróżnia nas tylko głęboki brąz mojej skóry. Moja matka była niewiele starsza ode mnie, kiedy porzuciła swoje plemię dla Królestwa, nie oglądając się za siebie. Nie mogę ukrywać powodu, dla którego ja się tu znalazłam – tego, który napędza moje oczekiwanie.

Zostaniemy tu tylko na połowę trwającego miesiąc święta. Oshhe musi wrócić do swojego sklepu w Tamarze, a ja – do nauki pod okiem skrybów. Zwłaszcza po wczorajszej nocy jakaś część mnie pragnie wrócić do domu, gdzie nie jestem przegrana.

Przez większą część poranka nasi kuzyni Aatiri zarzucają Oshhego pytaniami o Królestwo. Pytają, czy Tamarczycy są tak dziwaczeni, jak głoszą plotki. Czy Wszechpotężny jest bękartem jak jego ojciec? Czy w Tamarze cuchnie zdechłymi rybami? Czy warto było porzucić swoje plemię i dać się skusić miastu?

Podsluchuję, jak ojciec rozmawia z dawnymi przyjaciółmi. Nie wszystko w języku Aatiri rozumiem, ale dość, by się nie pogubić. Narzekają na radę, która reprezentuje ich interesy w negocjacjach z Królestwem. Chcą dostawać więcej za drogie metale wydobywane z jaskiń na pustyni. Przyjaciele wielokrotnie prosili ojca, by pomógł im w rozmowach handlowych, ale on zawsze odmawia. Mówi, że to Arti jest w ich rodzinie polityczką. Ale nazwanie tak mojej matki to eufemizm.

Szaman pyta o zdrowie jasnowidza z plemienia Aatiri, który służy we Wszechpotężnej Świątyni. Jest bardzo stary i chce wrócić do domu. Plemię zbierze się za trzy dni, a babcia poprosi ochotnika o zastępstwo. Mówią, że tylko najstarsi mogą tam pojechać, bo nikt nie chce żyć w Królestwie. Oshhe śmieje się, ale w jego oczach jest smutek.

Kiedy ojciec rozdaje ostatnie prezenty, splatam palce, żeby utrzymać dłonie nieruchomo. Wciąż trzęsą się po wczorajszym rytuale, ale też dlatego, że moja ciotka Zee właśnie spytała mnie o Arti. Wzruszenie ramion jej nie zraża, mówię więc:

– Bardzo lubi być *Ka*-Kapłanką Królestwa.

Zee kiwa głową, śmieje się i mówi, że gdyby Arti była sprytniejsza, mogłaby poślubić Wszechpotężnego. Dotąd o tym nie słyszałam, ale specjalnie mnie to nie dziwi. Moja matka dobrze się urządziła w Tamarze. Nie miała nic, a dziś jest trzecią osobą w Królestwie, zaraz po wezryrze i samym Wszechpotężnym.

– Gdybyś była księżniczką – mówi Zee – nie potrzebowałabyś magii.

Słyszając tę zniewagę, zapominam, co mówiła o mojej matce.

Nie potrzebowałabyś magii.

Wszyscy wiedzą o moim drobnym problemie. Młodzi kuzyni przynajmniej udają, że go nie widzą, ale niektórzy spośród starszych mają niewyparzone języki. Zwłaszcza Zee.

– Gdybym była księżniczką, ciociu – mówię głosem wprost ociekającym słodyczą. – Nie mogłabym co roku się z tobą spotykać. Tak bardzo byłoby mi przykro.

– Á propos przykrości – mówi Zee, odganiając od siebie irytującą muchę. – Nie mam doprawdy pojęcia, czemu moja siostra gotowa była zdenerwować pozostałych *edam*, wciągając cię w święty krąg. – Zaciska wargi. – Co ci wczoraj powiedziała?

Babcia powiedziała zaskakująco niewiele, ale nie zamierzam o niczym mówić Zee, by nie miała okazji do plotek.

– Widzę, że wciąż lubisz pogaduszki – wcina się Oshhe, spoglądając chłodno na ciotkę. – Aż się dziwię, że język ci nie odpadł od tego całego gadania.

Kilka osób kłaska, a Zee przewraca oczami.

Późnym popołudniem ojciec zostaje wezwany jako mediator w sporze między dwoma przyjaciółmi z młodości. Ociąga się, nie chcąc mnie opuścić, ale mówię mu, że pójdę do namiotu przed wieczornymi egzaminami u babci. Jestem umówiona z Essnai i Sukarem, ale postanawiam wcześniej się przejść i ochłonać. Wciąż jestem wściekła na ciotkę. Na Hekę też.

W Tamarze prawie nikt nie jest obdarzony magią i to, że ja jej w sobie nie mam, nikogo nie obchodzi. Tu jednak magia unosi się jak puch na wietrze, drażniąc się ze

mną i mamiąc, wciąż poza zasięgiem. Większość ludzi z plemion jest obdarzona magią, choć zazwyczaj nie jest ona tak silna jak czary babci i pozostałych szamanów.

Kiedy kroczę pomiędzy jasnymi namiotami Aatiri, co krok pozdrawia mnie jakiś kuzyn czy dawny przyjaciel ojca. Pytają mnie o poprzedni wieczór, ale ja chcę być sama, opuszczam więc obozowisko, w nadziei na chwilę spokoju. Mijam białe namioty Mulani rozstawione najbliżej świątyni Heki. Świątynia wznosi się na północnym krańcu doliny, a jej złota kopuła błyszczy ponad białymi ścianami. Grupa Mulani udekorowała ją kwiatami i jasnymi tkaninami, napełniając magią kamienie. Mijam maszerujący po nich orszak kobiet niosących na głowach dzbany z wodą. Rysunek jest tak szczegółowy, że widać niemal chlupotanie wody.

Wślizguję się pomiędzy namioty Zu pokryte zwierzęcą skórą i zatrzymuję się, żeby popatrzeć na starców rzeźbiących drewniane maski. Kiedy docieram do labiryntu namiotów Litho, rozdzielonych udrapowanym na drutach płótnem, robi się późno. W dolinie trudno o intymność, ale w obozowisku jest cicho: słychać jedynie szeleszczącą na wietrze tkaninę. Większość plemienia zebrała się wokół ognisk, żeby przygotować się na drugą noc Krwawego Księżyca.

Ta włóczęga nie uspokaja mnie tak, jak błąkanie się po Wschodnim Targu. Tam zawsze jakiś sprzedawca zajmuje moje myśli, oferując mi niezwykły towar. Mogę też wsłuchiwać się w historie ludzi z sąsiednich krajów. Poznawać tak niezwykłe postaci jak Estherian, która sypie solą przez ramię, żeby odgonić duchy. Albo kobieta z Yöome, która szyje błyszczące buty, po które kolejka ustawia się od wczesnego ranka. Teraz żałuję jednak przede wszystkim tego, że nie leżę z Rudjkiem na trawie nad Rzeką Węża, daleko od wszystkich i wszystkiego.

Podczas gdy w obozowisku Aatiri panował porządek, namioty Litho są jednym wielkim chaosem. Gubię się i ląduję na polanie. Zapach krwi i potu podpowiada mi, że to prowizoryczna arena. Gdyby Rudjek przyjechał na plemienne ziemie, cały swój czas spędzałby właśnie tutaj.

Jestem w połowie drogi przez polanę, kiedy drogę zastępuje mi dwóch chłopców z plemienia Litho. Kiedy próbuję ich ominąć, znów mnie powstrzymują. Planują coś niedobrego. Widać to na ich pokrytych popiołem twarzach. Obaj są wyżsi ode mnie o głowę i mają na sobie kamizele ze zwierzęcej skóry farbowane na jaskrawą czerwień. Zwalniam i wpatrujemy się w siebie nawzajem. Nie odzywam się. To nie ja skradam się niczym głodna hiena. Niech oni się tłumaczą.

– Chcielibyśmy wiedzieć, czemu *ben'ik* taka jak ty wkroczyła do świętego kręgu – mówi chłopak z czarnym szalem *dorek* zawiązanym wokół głowy. Patrzy na mnie spode łba. – Nie ma w tobie nic szczególnego.

Przechodzi mnie dreszcz, kiedy słyszę, jak wypływa z siebie słowo „ben’ik”. Po Tamarze włączę się bez lęku przez wzgląd na reputację mojej matki. Nikt nie ważyłby się zdenerwować *Ka*-Kapłanki. Tu jest jednak inaczej. Powinnam być ostrożniejsza. Jestem outsiderką, a ludzie tacy jak ja – *ben’ik* – są nielubiani ze względu na nasz brak magii. A ja nic nie mogę poradzić na to, że babcia złamała dla mnie zasady.

Robi mi się gorąco. Powinnam była uważać. Z cienia wyłania się dwóch kolejnych chłopców.

– Nie popełnicie błędu, którego będziecie później żałować – mówię równie jadowitym głosem. – Moja babka jest przywódczynią i nie będzie zadowolona z kłopotów. – Natychmiast zdaję sobie sprawę z popełnionego błędu. W domu ludzie kurczą się na dźwięk imienia mojej matki, ale tutaj ta pusta groźba tylko pogarsza sytuację. Chłopcy z plemienia Litho patrzą na mnie tak, że serce zaczyna walić mi w piersi.

Jeden z nich macha ręką, a powietrze wokół nas porusza się, otaczając nas wszystkich błyszczącą bańką. Wszystko poza nią jakby znika. Podejrzewam, że nic, co się tu wydarzy, nie wydostanie się też na zewnątrz.

– Znamy twoją babcię i twoją *owahyat* matkę też – mówi chłopak z obrzydzeniem.

– Ciebie też znamy, Arrah – chichocze drugi chłopak. – Rzadko spotyka się *ben’ik* o rodowodzie tak bogatym w magię, grzechy matki często spadają jednak na córkę.

Mój wzrok pada na oparty o stojak kij, a po plecach spływa mi pot. W konfrontacji z nimi może okazać się niezdatny na nic, ale to zawsze coś. Miałabym większe szanse, gdybym była obdarzona choćby odrobiną magii. Gdybym miała jej choć tyle, żeby czuć się bezpiecznie. Zaciskam ręce w pięści, wspominając magię Heki, która musnęła mnie poprzedniego wieczora. Wyciągnęła *ka* z mojego ciała i pozostawiła mnie trzepoczącą na wietrze. Już prawie rozumiem, czemu niektórzy szarlatani ryzykują tak wiele, by zwabić do siebie magię.

Uważam, żeby nie stracić chłopaków z oczu.

– Jeśli jeszcze raz nazwiecie mnie *ben’ik*...

– Damy ci nauczkę – mówi chłopak z *dorek* na głowie. – *Ben’ik*.

Zrywam się do ucieczki, bo nie mam magii, a ich jest więcej, ale niemal od razu uderzam o niewidzialną powierzchnię i upadam. Nie pozwolą mi uciec.

Puls dudni mi w uszach. Zrywam się na nogi i rzucam po kij. Trzymając go w dłoniach, czuję się choć odrobinę bezpieczniej. Gdybym mogła wybrać swoją ulubioną broń – to byłby właśnie kij. „Každy szanujący się Aatiri wie, co robić z kijem” – powiedziałyby Oshhe.

Chłopcy z Litho wybuchają śmiechem.

Niech się śmieją.

Zmieniam postawę.

- Spróbujcie mnie dotknąć, a porachuję wam kości.
- *Ben'ik* umie się bić? – Trzeci z chłopaków wyłamuje palce. – Nie wierzę.
- Uwierzysz, kiedy wylądujesz twarzą w błocie, prosiaku – mówię.

Moje słowa są śmiałe i naprawdę wierzę w to, co mówię. Choć to oni są obdarzeni magią, nie poddam się bez walki.

- Błefuje – mówi ten, który stworzył bańkę.

Magia szeleści w powietrzu niczym letnia burza, a ja szykuję się do walki z kijem w dłoni. Otaczają mnie. Trzeci z chłopaków uderza pięścią o swoją drugą dłoń, a ziemia zaczyna drżeć. Robię kilka kroków w tył, zaporę mając za sobą.

- No, no, co my tu mamy? – dobiega nas czyjś głos.

Sukar wyłania się jakby znikąd. Oddycham z ulgą. Trzy tatuaże na jego czole błyszczą jak gwiazdy na nocnym niebie. Pociera dłonią swoją ogoloną głowę i wygląda na równie rozbawionego, co zawsze. Chłopcy z Litho zerkają na jego szczupłą sylwetkę i uśmiechają się pod nosem. Ich błąd.

Essnai staje za nim na polance. Jest posągowa i wytworna, wyższa od nas obojga o głowę. Połowę jej czoła, aż po powieki, pokrywa fioletowy pył. Czerwień pod jej oczami koloru nocy i złoto na nosie odcinają się od skóry koloru ochry. Jej wargi mieniają się dwoma odcieniami różu. Z powrotem ufarbowała włosy na czarno. Nawet chłopcy z Litho są zbyt onieśmieleni jej urodą, by dostrzec, jak swobodnym gestem trzyma kij.

Oddycham z ulgą. Moi przyjaciele potrafią zrobić wrażenie.

Essnai kląska językiem.

- Ciągłe gdzieś się włóczysz i szukasz kłopotów.

Po mojej szyi wznosi się fala gorąca, ale na jej oskarżenie odpowiadam wzruszeniem ramion.

- Ktoś chyba zapomniał zaprosić nas na to małe przyjęcie – mówi Sukar.

– Wasze ochronne tatuaże w niczym wam nie pomogą, Zu. – Chłopak z *dorek* na głowie spluwa na ziemię.

Sukar wyciąga parę sierpów z pochew przecinających jego pierś.

– Pozwoliły bez większego trudu pokonać wasze zabezpieczenia, ale na wszelki wypadek mam też to.

Na wygiętych ostrzach widnieją symbole wryte przez jego wuja, jasnowidza Zu we Wszechpotężnej Świątyni.

– Co za problem zlać jeszcze dwójkę *ben'ików*? – pyta trzeci chłopak, wzruszając ramionami.

Essnai nic więcej nie mówi, ustawia tylko swój kij w tej samej pozycji co ja.

– Powinniście odejść, zanim stanie wam się krzywda – ostrzegam świnie z Litho.

– Całkiem jesteś odważna jak na córkę *owahyat* – odpowiada chłopak.

Zanim jeszcze słowa wypłyną mu do końca z ust, rzucam w jego twarz kamieniem. Jak śmie nazywać moją matkę prostytutką! Nie zna jej, a jeśli komuś wolno oczerniać Arti, to mnie, nie jemu. Chłopak zmienia tor lotu kamienia podmuchem wiatru.

– No prawie, *ben'ik* – mówi.

Spluwam na ziemię.

A zatem potrafią panować nad żywiołami. Wstrętne, aroganckie świnie. Myślą, że skoro nie mamy w sobie magii, nie potrafimy się bronić.

– Będziemy się bić czy gadać? – pyta Sukar. – Ja tam wolę się bić.

Nawet magia nie jest bezbłędna. Wiem o tym dobrze, dzięki obserwacji pracy ojca w jego sklepie. Jediną drogą ucieczki jest chłopak trzymający bańkę. Nie poruszył się, odkąd użył magii, jakby musiał pozostawać niewzruszony, by jej nie zniszczyć. To moja szansa. Nie zastanawiając się dwa razy, rzucam się na niego. Ściskam drewno aż do bólu palców, celując w jego brzuch, ale ziemia przesuwają się i ląduję na niej twarzą. Wyciągnięte ramię czwartego z chłopców z Litho drży, gdy grudy ziemi pode mną wracają na miejsce.

Sakar i Essnai ruszają do akcji. Kijami uderzają w kamienie, które chłopcy z Litho wycelowali w nas za pomocą czarów, nie ruszając nawet palcem. Chwytam kamień i rzucam go przed siebie. Trafia chłopaka, który mnie przewrócił, prosto w pierś.

Znów stoję na nogach, wpatrując się w tego od bańki. Woła o pomoc, ale Sukar i Essnai rzucili już na ziemię jego towarzyszy. Bańka znika, zanim zdążę dosięgnąć chłopaka, który zaraz ucieka. Nie chce mi się nawet go gonić. Ma nauczkę. Kiedy bańka się rozpływa, na polanę znów docierają dźwięki nocnego świętowania. Pozostali chłopcy z Litho również co prędzej się zwijają.

Kiedy chwytam kij, ręce mi się trzęsą. Nie byli wcale tak potężni, ale gdyby nie pomoc Sukara i Essnai, sprawy mogłyby potoczyć się inaczej. Jak to możliwe, że Heka obdarzył magią takie śmieci, a mnie nie zauważył? Na pierwszy dźwięk bębnów *djembe*, strach wbija mi się w pierś niczym sztylet. Nadeszła pora zmierzyć się z tym, czego bałam się od rana.

Nadeszła pora próby u mojej babki – wielkiej przywódczyni Aatiri.

TRZY

Kopuła pawilonu mojej babci góruje nad mniejszymi, pękatymi namiotami w obozowisku Aatiri. Patchwork kolorowych tkanin powiewa na wietrze w dolinie. Nogi mnie boją, kiedy przedzieram się przez tłum ludzi przygotowujących się na drugą noc Krwawego Księżyca. Chciałabym móc się w nim zgubić i ukryć przed moim egzaminem. Nie chcę znów ponieść klęski.

Gdy wreszcie docieram do namiotu, biorę głęboki oddech. Moja kuzynka Nenii przypina poły materiału i zagląda do środka. Razem z Semmą zbierają kubki po herbacie i czyszczą długi, niski stół. Pokój oświetla magia zaklęta w szklanych koralach rozwieszonych wzdłuż ścian. Fascynuje mnie zawsze, na ile sposobów babcia potrafi zapanować nad magią.

Przyciskam palce do czoła i pochylam głowę.

– Niech wasz dzień będzie błogosławiony, kuzynki – mówię w języku Aatiri. Język mi się płące, ale dziewczęta nie śmieją się z mojego akcentu. Te kuzynki zawsze były dla mnie życzliwe, choć jestem outsiderką. A jednak trudno się nie zastanawiać, czy to nie ze względu na babcię. W Tamarze wiele osób traktuje mnie uprzejmie ponieważ, jestem córką swojej matki.

– Zaszczycasz nas, wnuczko naszej wielkiej przywódczyni – odpowiadają.

– Chodź do mnie, Mała Kapłanko – woła babcia z drugiego pokoju.

Jej głos jest stanowczy, ale brzmi życzliwie.

Nenii i Semma uśmiechają się do mnie zachęcająco, napełniając puchem poduszki.

Zanim zdążę wejść do prywatnych pokoi babci, Nenii szepcze:

– Przyjdź później do naszego namiotu, pomożemy ci zapleść włosy.

Rumienię się, ale cieszy mnie jej propozycja. Mnie samej zajęłoby to mnóstwo czasu. Odrzucam wątpliwości dotyczące moich kuzynek, nie wszyscy przejmują się faktem, że brak mi magii.

Odsłaniam zasłonę, która dzieli salon od prywatnych pokoi babci. Siedzi na macie pośrodku pokoju ze skrzyżowanymi nogami. Nie ma na sobie amuletów z kości, tylko żółty kaftan z kolorowymi koralikami na ramionach. Płonące oleje w kagankach rzucają migoczące światło w kątach, resztę pokoju pozostawiając w cieniu. Pomieszczenie pachnie goździkami, cynamonem i kardamonem, które dodaje do swojej ulubionej herbaty.

– Babciu. – Kłaniam się. – Niech twoja noc będzie błogosławiona, o godna przywódczyni plemienia Aatiri.

– Witaj, wnuczko – uśmiecha się babcia. – Siadaj.

Ściska dłonie leżące na kolanach, a kiedy kucam naprzeciwko niej, odwraca nadgarstki, wypuszczając kości. Łądują pomiędzy nami, w tym samym układzie, co wiele lat wcześniej, kiedy po raz pierwszy próbowała nauczyć mnie magii. Jak co roku. Jej szepty wypełniają pokój, kiedy próbuje poprzez kości porozumieć się z duchami przodków. Jednocześnie mówi kilka osób. Żołądek mi się ściska na dźwięk urywanych, gardłowych słów – ani w języku tamarskim, ani Aatiri. Nie przywodzą na myśl żadnego z języków Królestwa ani ziem plemiennych. Jedna ze świec w kącie gaśnie.

Babcia nigdy nie zdradziła mi, co oznacza ta wiadomość. Zawsze, gdy ją o to pytam, odpowiada: „Nie nadszedł jeszcze czas, bym o tym mówiła”.

A jednak pytanie parzy mi wargi. Co to znaczy? Niemal błagam o odpowiedź, ale gryzę się w język. To nie fair, że ukrywa to przede mną. Czemu to robi? Chyba że chodzi o coś bardzo złego. Może nigdy nie dojrzeję do magii? Nie potrafię nic wyczytać z jej obojętnej twarzy.

– Ludzie złoścą się, że weszłam do świętego kręgu – zaczynam, ale zaraz oddech więźnie mi w gardle. Musiała wiedzieć, że tak będzie. Babcia wpatruje się we mnie, unosząc brew w oczekiwaniu. Ma typową dla plemienia Aatiri kanciastą twarz, wyraziste kości policzkowe i dostoyny nos. Jak zawsze wydaje się nieco rozbawiona – jakby jako jedyna znała jakąś tajemnicę.

Wciąż czuję na skórze ducha magii Heki. Po raz pierwszy magia dotknęła właśnie mnie. Nie musnęła mnie po prostu po drodze do kogoś innego. Rozbłysła w mojej duszy niczym część ciała, o której dotąd nie wiedziałam. Chcę powiedzieć o tym babci, ale martwię się, co może oznaczać fakt, że ze mną nie została.

Babcia zaryzykowała, że zezłości pozostałych *edam* i wszystkich ludzi plemion – z jakiego powodu? Zagryzam wargę i opuszczam wzrok.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Ludzie powinni po prostu zająć się swoimi sprawami – mówi ostro babcia. Kiedy znów na nią spoglądam, uśmiecha się. – Pozwól, że ci wyjaśnię. – Macha dłonią ponad kośćmi, które same układają się w równą stertę. – Nasza magia objawia się na różne sposoby. Fakt, że widzisz magię, a twój umysł się jej opiera, to nie byle co. Długo się zastanawiałam, czy twoja zdolność nie jest po prostu uśpiona. Wprowadziłam cię do świętego kręgu, chcąc ją obudzić.

Robi mi się gorąco.

– Jest chyba tylko jeden sposób, by sprawdzić, czy się udało.

– Weź kości – mówi babcia. – Powiedz mi, co widzisz.

Tak zaczyna się moja lekcja.

Kości są wypolerowane, gładkie i śliskie. Nie szumią magicznie, nic do mnie nie mówią. Jest dokładnie tak samo jak na *imebyé* te wszystkie lata temu i tak samo, jak podczas wszystkich kolejnych Krwawych Księżyców. Ściskam kości z zamkniętymi oczami, wsłuchując się w bicie swojego serca, wzywając je, by zdradziły mi swoje sekrety. „Proszę, niech mi się uda”.

Kiedy nie jestem już w stanie dłużej czekać, rzucam je.

Kości układają się na ziemi w przypadkowy wzór, który nic dla mnie nie znaczy. Babcia przygląda im się, zatrzymując wzrok na każdej po kolei, i wzdycha cicho. Ona też nie odnajduje w nich sensu.

Czemu wciąż ponoszę klęskę? Co robię nie tak?

Babcia nie daje mi czasu na narzekania. Pstryka palcami. Do pokoju wchodzi Nenii, niosąc móźdierz, nóż i sterty ziół.

– Przygotuj dowolny krwawy eliksir – mówi babcia.

To potrafię. W sklepie u taty nauczyłam się przygotowywać tuziny eliksirów. Tyle tylko, że nie mając w sobie magii, potrafiłam swoim lekarstwem co najwyżej przyprawić kogoś o ból brzucha. Albo o kaca.

Trę zioła, dodając je powoli i po trochu, by uzyskać właściwą konsystencję. Lekarstwo wymaga, by czarną psiankę i tymianek utrzeć na pastę, a z tuzina ziół wycisnąć esencję. Zapamiętuję się w pracy, po raz pierwszy w czasie tego święta czuję się spokojna. Przygotowywanie eliksirów zawsze mnie relaksowało, choć stanowi wyzwanie. Soki plamią moje palce na zielono, a nim eliksir powstanie, zaczyna kręcić mnie w nosie od cierpkiego zapachu.

By dopełnić dzieła, muszę dodać swoją krew, chwilę się jednak waham. Nie chcę znów rozczarować babci ani siebie. Zaraz dowiemy się, czy warto było przeżyć poprzednią noc, czy moja magia po prostu spała. Nakłuwam opuszek palca, dodaję krew i wypowiadam szeptem zaklęcie.

Jest po wszystkim.

Jeśli pomyliłam się w obliczeniach choć odrobinę, cała praca na nic. Bez magii na pewno jest na nic. Dotąd aż tak bardzo się nie przykładałam, ale teraz mam nadzieję, że iskra magii wreszcie zapłonie. Ten rok musi być inny. Teraz albo nigdy.

Srebrne warkocze babci są dzisiaj rozpuszczone i sięgają jej niemal do pasa. Nawet bez ozdób wygląda na przywódczynię. Unosi brew.

– Chcesz ufarbować włosy na niebiesko?

– To w Tamarze bardzo modne – uśmiecham się. Jeśli się uda, pomaluję włosy Essnai na wszystkie kolory, o jakich marzy. Znajdę tysiąc najróżniejszych,

fantastycznych rzeczy do zrobienia. Magia na razie przyda mi się w sklepie ojca, a kiedyś sama otworzę swój.

– Rzeczywiście. – Babcia wskazuje na miskę, a uśmiech błąka się po jej twarzy. – Ty pierwsza.

Obie pijemy, ale nic się nie wydarza. Tylko smak jest paskudny. Kolejna porażka.

Przechodzimy do następnej lekcji.

Spędzamy cały poranek na sprawdzianach.

Nie udaje mi się czytać w myślach.

Nie udaje mi się panować nad wodą.

Nie udaje mi się wejrzeć w przyszłość.

Nie udaje mi się wezwać moich przodków.

Nie udaje mi się zagoić skaleczeń na moich palcach.

Nie udaje mi się odkryć, co dolega chorej kobiecie.

Pracujemy do późna, a w tym czasie inni przychodzą na testy. Głowa mi pęka, a żołądek się ściska, gdy nadchodzi pora *ösana*. Właśnie w tym czasie magia jest najpotężniejsza: między nocą a świtem. Przez cały ten czas babcia ani na chwilę nie traci cierpliwości i nie przestaje mi kibicować. Czemu moja matka też nie jest taka, czemu wciąż okazuje tylko niezadowolenie?

– Nie ma łatwiejszych sprawdzianów? – Znów jesteśmy same w pokoju medytacji.

Babcia rzuca kości.

– To właśnie były te łatwiejsze, Mała Kapłanko.

Krzywię się.

– Nie nazywaj mnie tak, to tylko pogarsza sprawę.

Marszczy brwi, ale nie podnosi wzroku. Całą uwagę skupia na kościach. Wskazuje na dwie skrzyżowane: to coś nowego. Nigdy dotąd tak się nie układały.

Święty krąg coś jednak zmienił.

Serce mocno wali mi w piersi. Rozdygotana, pochylam się naprzód. Czyżby wreszcie się udało?

Babci trzęsie się palec, kiedy mówi naraz dwoma głosami. Jeden to ciche syczenie dobiegające prosto z jej gardła, drugie zaś brzmi jak tłuczone szkło. Oba są tak przerażające, że przyprawiają mnie o dreszcze. Podnosi gwałtownie głowę.

– Kim jesteś?

Cała się kurczę, kiedy pada na mnie spojrzenie jej oczu, z których widać tylko białka.

– Co? – pytam, nie wiedząc, co innego powiedzieć. Widziałam ją już wcześniej w transie, ale nigdy nie wyglądało to w ten sposób. Coś wibruje w powietrzu. – Co się dzieje, babciu?

– Wyjdź! – wrzeszczy, patrząc na coś ponad moim ramieniem. Zrywam się na nogi i obracam. Poły namiotu łopoczą, a w zgaszonej lampce olejnej rozbłyska ogień. Cofam się o krok. Nikogo tu nie ma, a jednak w pomieszczeniu pojawia się nowa, nieznana magia. Magia, która nie pochodzi od babci, a już na pewno nie ode mnie. Magia, której nie widzę, a tylko czuję na skórze. – To nie miejsce dla ciebie, zielonooka żmijo!

Kiedy babcia wypowiada ostatnie słowa, z jej ust tryska ślina. Pokój wypełniają iskry magii – magii plemion. Rozbłyska na jej skórze. Całe ciało babki świeci. Kości unoszą się z ziemi i wirują w powietrzu, jakby schwytała je wichura.

Zaciskam pięści, czując, jak jej magia unosi się w namiocie. Muska moje ramiona niczym skrzydła ćmy. Chciałabym uciec, ale nie ruszam się. Nie skrzywdzi mnie.

Głowa babci opada w tył tak gwałtownie, że słyhać, jak coś strzela jej w kręgosłupie. Zachłystuję się powietrzem. Po chwili obie drżymy. Przechyliła się w jedną stronę, a po jej twarzy cieknie pot. Po raz pierwszy wydaje mi się stara i krucha. Klękam obok niej.

– To minie – mówi, prostując się, ale wciąż dysząc.

– Co... co to było? – dukam.

– Dziecko, czy widziałas we śnie zielonookiego węża? – pyta ostro.

– Co? – Szczękam zębami i obejmuję się ramionami. Przedziwna magia napełniła namiot chłodem. Pomieszczenie wydaje się zbyt małe, powietrze zbyt rzadkie. To było coś złego i na tyle silnego, by rzucić wyzwanie babci. – Nie rozumiem.

Kłaska językiem, po czym zerka na zasłony oddzielające nas od reszty namiotu. Są sztywne, jakby były z metalu, póki nie narysuje w powietrzu pętli, na nowo zmieniając je w tkaninę.

– Wejdź, Oshhe.

Ojciec wdziera się do środka z taką siłą, że omal nie zrywa zasłon. Patrzy na nas z paniką w oczach. Kiedy widzi, że wszystko w porządku, ciężko wzdycha. Kłaniając się, mówi:

– Czcigodna przywódczyni... – Jego głos łagodnieje. – Matko, co się stało?

– Trudno to opisać słowami – mówi babcia. – Synu, dołącz do nas, proszę.

Oshhe kuca obok mnie, ściągając brwi.

– Dobrze się czujesz?

Kiwam głową i opieram się o niego. Obejmuje mnie ramieniem. Jest ciepły, pachnie trawą i słońcem, uspokajam się w jego objęciach.

– Odpowiadając na twoje pytanie, babciu – mówię – nie, nie widziałam w snach ani zielonookiego, ani żadnego innego węża.

– Chyba powinnaś się wytłumaczyć, matko – mówi Oshhe spokojnym, zbyt spokojnym głosem. Mówi tak tylko wtedy, kiedy jest niezadowolony.

– Ktoś... coś tu było. – Babcia kręci głową, jakby chciała uwolnić się z pajęczyny. – Ktoś, kto tu nie pasuje. Wspomnienie przeszłości albo może zły omen...

Babka znów mówi zagadkami, ale jej głos lekko drży. Czymkolwiek lub kimkolwiek to było, zdenerwowało wielką przywódczynię Aatiri, a to mnie przeraża.

– Ona, zielonooki wąż, posiada nieznaną mi magię – ciągnie babcia. – Magię, która wydaje mi się bardzo potężna i bardzo stara.

– Nieznaną ci magię? – powtarza Oshhe, unosząc brew. – Czy to była... orisza?

– Orisza tutaj?! – wykrzykuję. – Na plemiennych ziemiach?

Obecność oriszy w tym miejscu wydaje mi się równie nieprawdopodobna, co wizyta Heki w Królestwie. Chociaż plemiona uznają istnienie oriszy, to Hekę czczą ponad wszystko. W Królestwie to orisze mają przewagę, ale zarówno obywatele, jak i ich bogowie pochodzą zewsząd.

– Nie, orisza nie – mówi niepewnie babcia. – Coś innego.

– Może to czyjeś odrodzenie? – mówi Oshhe. – Potężny szaman, który oszukał śmierć?

Babcia masuje sobie skronie.

– Nie jestem pewna. Muszę porozmawiać z przyjaciółką, która wie więcej. Odnalezienie jej zajmie mi trochę czasu, bo nie przychodzi ona na te ziemie.

Po moich plecach przebiega dreszcz. Babcia jest przywódczynią Aatiri. Nigdy nie zdarzyło się, by nie znała odpowiedzi na pytanie. Jest jedną z najpotężniejszych szamanek na plemiennych ziemiach. I na całym świecie.

– Nie powiedziałaś, kim jest zielonooka żmija, co ma wspólnego ze mną – mówię, nie mogąc się dłużej powstrzymać.

Babcia znów spogląda na mnie nabiegłymi krwią oczami.

– Tak naprawdę nie wiem, Arrah.

Czuję gorycz w ustach. Chłopcy z Litho pobiliby mnie, gdyby nie pomoc Essnai i Sukara. W ich magii nie było nic wyjątkowego, a i tak nie umiałabym sobie z nią poradzić sama. A teraz to? Znów wspominam święty krąg. Czemu Heka nie obdarzył mnie magią?

– Czy mam kłopoty?

– Nie zamierzam cię oszukiwać – mówi babcia. – Nie sądzę, by dobrze ci życzyła.

– A jednak nie wiesz, kim ona w ogóle jest. – Oshhe blednie.

Głos babci cichnie, jakby zdradzała nam sekret.

– Mogę się mylić. – Drżącą dłonią kładzie kości na kolanach. – Powinnam najpierw skonsultować sprawę z innymi *edam*...

– Babciu! Proszę... wiesz, kto to jest, prawda?

Nerwowo dotyka kości, wciąż uciekając wzrokiem.

– Matko – mówi Oshhe przez zaciśnięte zęby – powiedz, o czym myślisz.

– Zielonooka żmija – mówi zmęczonym głosem babka – znana jest jako symbol magii demonów.

W pokoju zapada cisza, a słowa babci zawisają pomiędzy nami niczym pętla. Demony należą do sfery mitu. Rodzice opowiadają o nich historie, żeby straszyc dzieci. Skrybowie uczą nas, że orisze uratowali przed nimi śmiertelników. W domu tych, którzy wysysają z życia radość, nazywamy pożeraczami dusz. To nieszkodliwa obelga – wedle legendy demony karmiły się ludzkimi *ka*. Wszystko, co o nich wiem, pochodzi właśnie z tych na wpół zapomnianych historii. Luki w ludowych opowieściach ludzie wypełniają swoją wyobraźnią. Skrybowie mówią, że orisze usunęli naszą pamięć o demonach, żeby nas chronić. Teraz babcia mówi mi, że demony są prawdziwe, a jeden z nich żyje tuż obok.

– To niemożliwe – szepcze ojciec, któremu słowa babci najwyraźniej odebrały całą siłę. – Musi istnieć jakieś inne wyjaśnienie. Magia demonów odeszła tysiące lat temu.

– Wiem – odpowiada babcia, zaciskając pięść wokół kości.

Pocieram głowę, czując nadchodzącą falę bólu. Wizja przeraziła także babcię. Próbuje mnie ochronić, ale ja chcę usłyszeć prawdę. Muszę wiedzieć, czy zielonooka żmija jest demonem... jak to możliwe i co to oznacza. Czy to dlatego moja magia pozostaje uspiona, a łaska Heki ledwie musnęła mnie w świętym kręgu? Wiem, że to chwytanie się brzytwy, ale i tak pytam:

– Czy ten demon ma coś wspólnego z faktem, że moja magia wciąż się nie objawia?

– To możliwe – odpowiada babcia bardzo zmęczonym głosem. – Na świecie istnieje wiele rzeczy, których nawet ja nie rozumiem. Jak już mówiłam, muszę skonsultować się z innymi *edam*. Może wspólnie uda nam się znaleźć odpowiedź.

Wyćwiczony spokój ojca ustępuje miejsca frustracji.

– Jak mam ochronić Arrah?

Babcia długo się zastanawia, aż wreszcie mówi:

– Nie wiem. Ale jakiś sposób znajdziemy.

Nie umyka mi brak pewności brzmiący w jej głosie. Denerwuje mnie, że muszą mnie chronić. Gdybym miała magię, mogłabym obronić się sama. Ponure myśli kołaczą mi się w głowie. Heka nie tylko niczym mnie nie obdarzył, jest znacznie gorzej. Kiedyś śmiałam się z historii o demonach, a teraz wiem już, że jeden z nich może kroczyć tuż za mną.

I że ma złe zamiary.

RE'MEC, ORISZA SŁOŃCA, KRÓLEWSKI BLIŹNIAK

Przypomnij mi, siostrze: czemu tolerujemy taki brak szacunku ze strony ludzi plemion? Zaslugują tylko na to, żeby podeptać ich jak mrówki. Myślę, że magia jest darem. Darem! Jak można być tak głupim? Magia to przekleństwo śmiertelników, którego użyją, by sami siebie zniszczyć. Czy ktoś mógłby wiedzieć to lepiej od nas? Już raz uratowaliśmy ich świat; nie mam ochoty robić tego po raz kolejny. Powinienem znów się zdrzemnąć. Dwadzieścia lat nie wystarczyło, jestem zmęczony.

Za nasze kłopoty odpowiedzialny jest Heka. Gdybyśmy w czasie Wojny nie stracili tylu naszych braci, moglibyśmy powstrzymać go przed obdarzeniem ich magią. A tak znaleźliśmy się w kłopotcie.

Nie jestem sentymentalny. To słowo mogłoby dziś spłonąć, a jutro już bym o nim nie pamiętał. Nic dla mnie nie znaczy. Chodzi o zasadę. Zrobiliśmy wszystko, wszystko, żeby ochronić ich przed tym łotrem Królem Demonów. I tak nam odpłacają za naszą ofiarę, za naszą dobroć?

Przykro mi, droga siostrze. Wiem, że Krwawy Księżyc to twoja pora. Że wtedy wspominasz zmarłych braci, jak ja wspominam ich podczas Rytuału Przejścia. Heka znów przeszkodził nam w żałobie, jak to ma w zwyczaju czynić od tysiąca lat. Sama jego obecność byłaby jak splunięcie na groby naszego rodzeństwa – gdybyśmy tylko mieli ciała do pochowania. Czy dziś wciąż chowa się ciała w ziemi? Nie pamiętam, jakie panują teraz zwyczaje.

Nie musisz przypominać mi o naszych porażkach, Koré. Wypełniają każdą moją myśl. Powinienem był wiedzieć, że tylko odwlekliśmy, co nieuniknione. Pięć tysięcy lat później miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale bestia wciąż miesza. Musimy działać, zanim będzie za późno.

Niestety, siostrze, jak zwykle masz rację. Nie mogę stać z boku, patrząc, jak świat się kończy. Nie uczyniłem tego wtedy i nie uczynię teraz. Za bardzo go kocham: to moja największa porażka.

CZTERY

Powrót do Tamaru z plemiennych ziem nigdy nie jest łatwy. Jestem wykończona i marudna po tylu nocach spędzonych w namiocie. Podróż trwała cały miesiąc. Osiem dni podróży z karawaną w jedną stronę i dwa tygodnie święta. Docieramy w środku nocy: tak bardzo się cieszę, że jestem w domu, że od razu kładę się do łóżka. Ledwie kilka godzin później budzę się zakopana w poduszkach i kołdrach pachnących kokosem i lawendą. Jeszcze wczoraj były świeże i chłodne, teraz są pogniecione i poplamione potem. Zasłony wokół łóżka blokują większość słonecznego światła, odrobina jednak wnika pomiędzy szczeliny, nie pozwalając mi z powrotem zasnąć.

To miał być mój rok – rok, kiedy wreszcie będę mogła powiedzieć, że i ja mam w sobie magię. Rok, w którym miałam wyjść z cienia mojej matki. Starczyłby mi ledwie jeden żarzący się węgielek. Powtarzam sobie po raz setny, że wciąż jest nadzieja, że nie wolno mi się poddawać. Nadzieja jednak słabnie, gdy raz po raz spotyka się z porażką.

Od pierwszej nocy Krwawego Księżyca śniłam tylko o magii. Piękne sny kończą się zawsze zdobyciem daru Heki. Występuję ze świętego kręgu pełna takiej mocy, że *edam* od razu mianują mnie szamanką. Unoszę się na chmurze jak Aatiri podczas ceremonii otwarcia. Opuszczam swoje ciało, żeby włóczyć się po świecie duchów i spotykam Hekę czekającego na mnie pod palmą. Wracam do Tamaru i mówię o wszystkim Rudjekowi, który choć raz nie wie, co odpowiedzieć. Kiedy się powoli przebudzam, ogarnia mnie spokój. Ta chwila nigdy jednak nie trwa długo.

W koszmarach wkraczam do świętego kręgu, a *edam* przerywają swój taniec. W dolinie zapada cisza, a oni odwracają się ode mnie po kolei. Albo chłopcy z Litho wyciągają mnie z kręgu, choć wrzeszczę i kopię. Albo szaman wymierza mi karę, zamieniając w *ndzumbi*, tak żebym resztę życia spędziła, wykonując ich polecenia.

Kręcę głową. Na jawie magia Heki mnie odrzuciła. To rzeczywistość. I z tym najtrudniej jest mi się pogodzić. Owszem, zostałam obdarowana, ale na co się zdadzą moje dary, skoro nie mogę użyć magii? Czy dary te ochronią mnie przed zielonooką żmiją, jeśli ta znów się pokaże? A co, jeśli następnym razem nie da się jej odesłać? Widziałam, jak zareagowała na nią babcia – to ona może być powodem, dla którego moja magia wciąż się nie objawiła.

Przykrywam się po szyję i zaciskam powieki. Terra kręci się po mojej sypialni, więc udaję, że wciąż jeszcze śpię. Zazwyczaj nuci sobie coś pod nosem, przygotowując mi kąpiel, tego poranka jednak milczy. Nasza matrona Ty i gospodyni Nezi mieszkają w naszym domu, odkąd pamiętam. Dwa lata temu Nezi wykupiła Terrę, kiedy jej ojca dopadli wierzyciele. Zagrozili, że obetną mu ręce, jeśli ona nie zgodzi się odpracować jego długu.

Zanim zdążę schować głowę w poduszce, odsłania zasłony i oślepia mnie słońce. W Tamarze słońce nazywamy również okiem Re'Meca, ale teraz przychodzą mi do głowy całkiem inne nazwy.

– Na dwudziestu bogów – mówię, zasłaniając oczy. – Czy nadeszła już pora ośmiu dzwonów?

Ktoś przęłyka ślinę. Siadam gwałtownie – to nie Terra. Otyła, niska kobieta z siwymi warkoczykami na głowie stoi u stóp mojego łóżka, trzymając się pod boki. Wydyma wargi w sposób, który nie pozostawia wątpliwości co do jej zamiarów.

– Ty! – Natychmiast wyskakuję z łóżka. – Wybacz. Myślałam, że to Terra.

Wpatruje się we mnie, mruga dwa razy, a ja prostuję się i wyglądam fałdy nocnej koszuli. Ty nigdy nie przychodzi do mnie sama. To nie jej zadanie. Ona gotuje, a Terra zajmuje się pozostałymi sprawami.

Kręci głową i tupie, wyraźnie mnie pospieszając.

Czuję, że się rumienię, pędząc do umywalni, gdzie czeka na mnie kąpiel. Nie spędzam tam dużo czasu. Wkładam czysty, bawełniany szlafrok, który pachnie domem. Biorę głęboki oddech, odpychając od siebie wspomnienie plemiennych ziem. Kiedy wracam do sypialni, wygląda nieskazitelnie. Białe prześcieradła są gładkie niczym papyrus, a poduchy ułożone w równym rzędzie. Kiedy zmierzam do toaletki w poszukiwaniu ulubionego balsamu, przez kapcie czuję chłód kamiennej posadzki.

Ty przegląda ubrania w szafie stojącej obok okna. Nie znajduje tego, czego szuka, otwiera więc szafę po drugiej stronie pokoju, przy drzwiach. Po drodze poprawia jedną z aksamitnych poduszek leżących na stojącej pośrodku pokoju sofie. Nie jest najweselszą osobą, jaką znam, ale dziś wydaje się bardziej ponura niż zwykle. To nie najgorszy z jej możliwych nastrojów, ale nie jest to też dobry dzień.

Kiedy grzebie w moich ubraniach, ja podchodzę do skrzyni obok łóżka. Moja kolekcja jest pokryta kurzem: mój pierwszy amulet z kości, ten, który ojciec podarował mi podczas *imebyé*. Szczęśliwy naszyjnik Kes z kryształowych koralików. Dwie gliniane lalki, które zrobiliśmy z Oshhe na cześć jego ulubionych ciotek, które dawno już umarły. Gdyby te rzeczy znalazły się we właściwych rękach, wzmocniłyby magię i nasze powiązanie z przodkami. W moich to jednak tylko świecidełka. Zgodnie

ze zwyczajem Aatiri nikt nie dotykał mojego kufra, więc wszystkie rzeczy wymagają czyszczenia. Sięgam po szmatkę, ale Ty za moimi plecami pokasłuje.

– Masz rację – wzdycham. – Zrobię to po lekcjach ze skrybami.

To znaczy po spotkaniu z Rudjkiem. Nim dotarliśmy do miasta, napisałam do niego list i poprosiłam Terrę, by mu go przekazała. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, spotkamy się po moich lekcjach w naszym sekretnym miejscu nad rzeką.

Kiedy zwracam się do Ty, podnosi trzepoczącą, zielononiebieską szatę. Sposób, w jaki słońce rozbłyska na koralikach i delikatnym jedwabiu, zapiera dech w piersiach. Essnai i jej matka podarowały mi ją na ostatnie urodziny. Ty zazwyczaj nie pomaga mi się ubierać, ale powinna wiedzieć, że jest zbyt elegancka na lekcję ze skrybami.

– To chyba nieodpowiedni strój – mówię, podchodząc do szafy. Sięgam pomiędzy sterty złożonych ubrań i wyciągam spomiędzy nich niebieską tunikę i pasujące do niej spodnie. Ty kręci głową i układa szatę na łóżku obok wysadzanego kamieniami pasa i zdobionych klejnotami pantofli.

Nim zdołam znów zaprotestować, do pokoju wkracza moja matka, za którą trzepocze złoty kaftan *Ka-Kapłanki*. Przestrzeń między nami wydaje mi się zbyt mała; krzywię się, jakby przyłapała mnie na czymś niewłaściwym. Poranne światło pada na jej miodowozłotą skórę, a bursztynowe oczy błyszczą jak rzadkie klejnoty. Kiedy ja i Oshhe wróciliśmy, była we Wszechpotężnej Świątyni. Jasnowidze czasem czuwają przez wiele dni, jej nieobecność w domu nie jest więc zaskoczeniem. Zawsze się wtedy cieszę. Łatwiej jest jej unikać.

Moja matka jest wzorem piękna. Jej hebanowe loki, zdobione bladymi kryształami, spływają na plecy. Jej miękka, krągła sylwetka i niski wzrost przypominają raczej plemię Mulani niż Aatiri. Ja znajduję się gdzieś pośrodku: jestem wyższa od matki, ale znacznie niższa od strzelistych kuzynów. Chociaż podobieństwo między nami jest niezaprzeczone, kiedy jestem obok niej, równie dobrze mogłabym być przysadzistym mułem.

Nigdy mnie tu nie odwiedza. Trudno mi odgadnąć, co tu robi – chyba że rozmawiała już z ojcem. Że już wie.

Arti rozgląda się badawczo po pokoju, wreszcie jej wzrok pada na Ty. Kobiety wymieniają spojrzenia. Jest między nimi porozumienie, którego świadkiem byłam wiele razy.

Ty nigdy się do mnie nie odezwała. Do nikogo innego zresztą też nie. Słyszałam, jak mamrocze sama do siebie w kuchni, ale milknie, kiedy ktokolwiek się zbliża. Nie wiem, dlaczego nie mówi. Moje dziecięce pytania pozostały bez odpowiedzi. Podobnie jak te o zielonooką żmiję, które zadałam babci.

– Możesz zostawić nas same, Ty – mówi Arti, pochylając z szacunkiem głowę.

Ty wychodzi, a Arti spogląda na mnie swoimi przenikliwymi, bursztynowymi oczami.

– Rozumiem, że u ciebie wszystko w porządku.

– Tak, matko – mówię, powstrzymując chęć odwrócenia się. – Dziękuję, że pytasz.

– Twój ojciec powiedział mi, co się wydarzyło podczas Święta Krwawego Księżyca. – Przenosi uwagę na ołtarz i marszczy nos. Nie wiem, czy nie podobają jej się moje plemienne błyskotki czy może kurz. – Pora pożegnać się z głupim marzeniem o magii. Dary Mulani objawiają się w bardzo młodym wieku. Jeśli nic nie wydarzyło się do dzisiaj, już nigdy się nie wydarzy.

Moja matka mówi rzeczowym tonem, który strasznie mnie wścieka. Równie dobrze mogłaby rozmawiać z przypadkowym przechodniem na ulicy. Jej słowa kłują mnie gdzieś w głębi piersi i odbierają oddech.

Gładzi dłonią szatę. Świetlista perła na jej pierścieniu *Ka*-Kapłanki błyszczy w słońcu. Kiedy jej dłoń przesuwa się po materiale, barwa perły zmienia się z onyksowej na ciemnoszarą, a potem turkusową.

– Szkoda, że pochodzisz z dwóch tak potężnych rodów, a nie masz w sobie cienia magii. Nie przydarzyło się to nikomu z Mulani w mojej rodzinie. Ale nic nie możemy na to poradzić.

– Wciąż jest jeszcze szansa. – W moich słowach są drżenie i desperacja.

– Dlaczego tak sądzisz? – pyta Arti głosem pozbawionym jakiejkolwiek emocji. – W tym roku przywódczyni Aatiri postawiła cię Hece na drodze, a on i tak nie zechciał dać ci magii. Był to śmiały, chwalebny gest, ale czy cokolwiek się zmieniło?

Na tę zniewagę robi mi się gorąco. Doskonale zna odpowiedź, ale chce, żebym ja wypowiedziała te słowa.

– Babcia miała wizję – mówię, starając się uspokoić. – Być może moją magię powstrzymuje demon.

Nie to dokładnie zobaczyła, ale to najbardziej wiarygodny powód mojego braku magii.

– Wolałabym, żeby babka przestała ci dawać fałszywą nadzieję – mówi Arti, ciężko wzdychając. – A cała ta rozmowa o demonach? – Śmieje się. – To opowieści dla starych bab, Arrah. Demony odeszły pięć tysięcy lat temu, a gdyby nawet wróciły, czego mogłyby chcieć od ciebie, dziewczyny pozbawionej magii?

Jej słowa są jak dobrze wymierzone uderzenie w twarz – kolejne przypomnienie, jak wielkim jestem dla niej rozczarowaniem. Co mogłabym odpowiedzieć? Jak się odegrać, skoro na wszystko ma odpowiedź? Wierzę babci, ale nie warto się kłócić. Z moją matką nie da się wygrać – nie da się przekonać jej do czegoś, w co sama nie chce uwierzyć.

– Córko, wiem, że magia jest dla ciebie ważna – mówi Arti łagodniej. – Ale nie pozwól, by obsesja nakazała ci zrobić coś głupiego, byle jej posmakować.

Zagryzam język, w żołądku czuję ogień. Teraz zerka na amulet z kości na ołtarzu. Czy moja matka sądzi, że upadłabym tak nisko, by oddać swoje lata za magię? Owszem, pragnę jej, ale nie jestem głupia. Ani tak zdesperowana. Wspominam noc *imebyé* i kobietę wijącą się po ziemi. To był jej wybór. Są takie chwile w życiu, które pozostawiają ślad. Błada skóra i zgniłe zęby kobiety, sposób, w jaki przysłała do niej magia, sposób, w jaki ją niszczyła – zapamiętałam każdy szczegół na lata.

Wtedy nie wiedziałam jeszcze, co zrobiła, ale mój ojciec wyjaśnił mi wszystko po powrocie do domu. Pewnego dnia w jego sklepie spytałam, czy szarlatani na targu są jak kobieta na pustyni – ci, którzy wyglądają, jakby jedną nogą przekroczyli próg śmierci. Powiedział, że niektóre pozbawione magii plemiona nauczyły się wymieniać na magię lata swojego życia. Kiedy się o tym dowiedziałam, poczułam podniecenie: ja też mogłam mieć magię. Oshhe ujął mnie za ramiona.

– Obiecuj mi, że nigdy, przenigdy nic podobnego nie zrobisz. – Jego głęboki głos odbijał się echem w sklepie. – Obiecuj mi, córko.

– Ale dlaczego, ojcze? – zapytałam, wydymając dolną wargę.

Ojciec westchnął, jego cierpliwość się kończyła.

– Kiedy wymieniasz swoje lata na magię, zabiera ci, co tylko chce. Zapłatą może być pięć lat albo całe życie. Nieważne, na ile skomplikowany jest rytuał, zaklęcie czy urok. Nie sposób się o tym dowiedzieć, nim nie będzie za późno. Nawet ja nie potrafię odwrócić szkody, którą wyrządza taka głupota.

Magia ma swoją cenę, jeśli chcesz zapłacić. Ja nie chcę zapłacić. Jeśli nie mogę dostać magii w darze, poradzę sobie bez niej. Wciąż mam swoją dumę, która coś znaczy. Unoszę głowę i spoglądam Arti w twarz.

– Czy jest jakiś powód, dla którego przysłaś do mnie tego pięknego poranka, matko? – pytam przez zaciśnięte zęby. – Muszę się przygotować do lekcji.

Arti unosi wzrok. Jej twarz jest nieprzenikniona. To niesamowite, że moi rodzice są razem: Oshhe jest pełen śmiechu i opowieści, podczas gdy moja matka ma ostry język i ceni skuteczność. Chciałabym wierzyć, że kiedyś, na długo przed tym, gdy stała się trzecią osobą w Królestwie, miała w sobie ciepło.

– Suran zamierza dziś na radzie uczynić swojego najmłodszego syna dziedzicem. – Arti składa ręce za plecami i zaczyna kroczyć po pokoju. – Nie ma zresztą wyboru, dwaj pozostali tylko przynoszą wstyd tak zwanemu dziedzictwu Omari.

Ściskam mocniej tunikę, jakby mogła ochronić mnie przed wrogością, którą słyszę w jej głosie. To żadna tajemnica, że moja matka i wezyr się nie znoszą.

– Doprawdy? – pytam, starając się sprawiać wrażenie znudzonej i niezainteresowanej tematem.

Wezyr to prawa ręka Wszechpotężnego. Rządzi Królestwem. Jako zwierzchniczka Wszechpotężnej Świątyni moja matka jest głosem oriszy. Podobno czasem jasnovidzów odwiedza sam Re'Mec, ale Arti nigdy o tym nie mówi. Jako że jasnovidze pochodzą z plemion, ona kontroluje też handel z plemiennymi ziemiami, natomiast stosunki z pozostałymi krajami, takimi jak Estheria, Yöom czy Północ, to domena wezyra.

– Ja też potrafię grać w grę Surana – mówi Arti. – Pójdiesz ze mną na radę.

– Ale dlaczego? – Przełykam gorzką ślinę. Nie mam żadnego powodu, by tam być, nie pasuję tam. Nigdy nie marzyłam o roli *Ka*-Kapłanki, a jednak jest mi przykro, że nawet nie mogłabym do niej kandydować, skoro nie zostałam obdarzona magią.

Wszechpotężny wybiera wezyra i *Ka*-Kapłankę. Tytuł wezyra przypada zawsze Omarim, bliskim kuzynom rodziny królewskiej. Jeśli zaś chodzi o *Ka*-Kapłana i *Ka*-Kapłankę, Wszechpotężny wybiera najpotężniejszego spośród jasnovidzów. Pewnym pocieszeniem jest fakt, że stanowisko mojej matki nie jest dziedziczne, bo wraz ze mną nastąpiłby żenujący koniec.

– Wygłosimy własne oświadczenie – mówi na odchodnym Arti. – Bądź gotowa na pół dzwonu do dziesiątej.

– Ale... – próbuję zaprotestować.

Matka zatrzymuje się w drzwiach, odwrócona do mnie plecami.

– Mówiłaś coś, Arrah?

Czym jest kolejna zniewaga w obliczu pełnej ich skrzyni?

– Nic, matko.

Raz w miesiącu przywódcy Królestwa spotykają się, by dyskutować o podatkach, cłach i nowych dekretach. Wszechpotężny i dwóch jego synów: księżę koronny Darnek i jego młodszy brat Tyrek. Wezyr i czterech jego mistrzów gildii, i moja matka z czwórką pozostałych jasnovidzów ze świątyni. Kiedy chodzę na radę z Essnai i Sukarem, dobrze się bawię, ale boję się pójść tam z moją matką.

Po wyjściu Arti wkładam na siebie tunikę, podziwiając jasne koraliki, którymi wyszywana jest od dekoltu aż po rąbek. Na biodrach jest obcisła, rozszerza się lekko tuż pod kolanami. Owijam się pasem i wkładam sandały. Choć wyglądam całkiem ładnie, wolę spodnie. Spodnie mają kieszenie.

Kiedy poprawiam tunikę przed lustrem, Terra wchodzi do pokoju z wysadzonym klejnotami pudełkiem pod pachą. Uśmiecha się, a jej piegi odcinają się od brązowej skóry. Złote włosy zaplotła w warkocze: wygląda jak królowa. Cieszę się, że w willi jest

ktoś jeszcze w moim wieku. Nigdy się z nią nie nudzę: kolekcjonuje plotki, jak inni ludzie kolekcjonują figurki.

– Ty musiała cię niezłe przestraszyć – mówi Terra swoim pogodnym, melodyjnym głosem.

– Mogłaś mnie ostrzec – mamroczę. – Nie była dziś rano w najlepszym humorze.

Terra pochyla się nade mną z nieco zbyt jasnym błyskiem w oczach, jakbym była spełniającą jej życzenia zabawką. Wmasowuje mi w głowę olejki, po czym wplata pomiędzy kosmyki moich włosów sznury pereł i układa z warkoczy koronę. Choć fryzura wygląda pięknie, jest też bardzo ciężka. Malowanie mojej twarzy na srebrno i złoto trwa całą wieczność. Kiedy Terra kończy pracę, uśmiecha się i wypycha mnie na zewnątrz. Nezi otworzyła już bramę, przed którą czeka lektyka. Ośmiu mężczyzn stoi ze wzrokiem wbitym w ziemię, a ich brązowa skóra błyszczy w słońcu.

Czerwona zasłona jest na wpół opuszczona. Matka czeka w środku. Przełykam ślinę i dołączam do niej. W środku jest chłodno, pachnie lakierem do drewna i słodkimi perfumami Arti. Siedzimy naprzeciwko siebie, ale ona mnie nie widzi. Pustym wzrokiem wpatruje się w kąt. Jest tak zamyślona, że nawet nie zauważa, kiedy Nezi nakazuje tragarzom ruszać.

– Idźcie! – woła nasza gospodyni – i uważajcie na nie. – W głosie Nezi brzmi subtelna groźba. Nie wykluczam, że gdyby zdarzył nam się wypadek, osobiście szukałaby zadośćuczynienia.

Mężczyźni podnoszą lektykę na trzy i ruszamy przed siebie. Nasza willa znajduje się na północnym skraju dystryktu, pomiędzy innymi pięknymi domostwami należącymi do rodzin przybyłych do Tamaru. Przez zasłony zerkam ukradkiem na miasto, przesiąkając jego jasnymi kolorami. Jedziemy tylnymi drózkami, żeby uniknąć tłumów na Zachodnim Targu. Większość ludzi pracuje dzisiaj jak zwykle. Tylko ci najbardziej wpływowi biorą udział w radzie. Mój ojciec nigdy na nią nie przychodzi, wymawiając się alergią na politykę.

Po dłuższej chwili milczenia Arti spokojnym, rzeczowym tonem mówi:

– Kiedy dojedziemy, rób, co ci każe. Nie odzywaj się, nie uśmiechaj ani nie siadaj, póki ja nie zajmę miejsca w pierwszym rzędzie. Rozumiemy się?

Zaskakuje mnie ogień kryjący się w jej słowach.

– Tak – mówię, zaplatając palce.

Na długo przed dotarciem do koloseum słyszymy krzyki. Posągi oriszy stoją w rzędzie, strzegąc najpotężniejszych rodzin w mieście. Tłum robi się gęsty jak rój pszczoł, kiedy uczeni, skrybowie i głowy rodów ciągną do koloseum. Budynek ma kształt gigantycznego ula, a w jego drzwiach zmieściliby się olbrzymi. Kiedy ludzie widzą naszą lektykę, przepuszczają nas, tak że tragarze nie zwalniają ani na chwilę.

Dziesiąty dzwon wybija, gdy jesteśmy tuż przed wjazdem do budynku, a to oznacza, że się spóźniłyśmy. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że moja matka coś planuje. W jej oczach dojrzewa intryga.

PIĘĆ

Dźwięk gongu odbija się echem na Zachodnim Targu, wyznaczając początek posiedzenia rady. Jeśli moja matka choćby odrobinę zezłościła się z powodu spóźnienia, dobrze to ukrywa. Na jej twarzy nie pojawia się nawet cień emocji.

Tłum na ulicach uspokaja się, a ciszę wypełniają słowa wezyra.

– Wasza obecność jest dla nas zaszczytem, o Wszechpotężny, książę koronny Darneku i drugi synu Tyreku! – Jego głos grzmi po całym Zachodnim Targu. – Niech wasza mądrość prowadzi nasze serca i umysły. Niech nasi władcy, orisze, spoglądają na Królestwo łaskawie, póki panuje nam wasza rodzina. – Wezyr przerywa na chwilę. – Jeśli zebrani pozwolą, chciałbym poprosić mojego syna Rudjeka Omariego, by dołączył do mnie w pierwszym rzędzie.

Ściska mi się żołądek. Mam nadzieję, że Rudjek nie jest równie zaskoczony, jak ja byłam rano. W ciszy, która znów zapadła wokół, wyobrażam sobie, jak przedziera się przez tłum i wchodzi po schodach, by dołączyć do ojca.

Kiedy zbliżamy się do koloseum, wstrzymuję oddech. Spodziewam się, że tragarze zatrzymają się przy olbrzymich drzwiach, ale oni przedzierają się prosto w środek zgromadzenia. W tłumie rozlega się okrzyk, zagłuszający kolejne słowa wezyra. Kiedy tragarze stawiają lektykę na ziemi, Arti zerka na mnie znacząco. „Rób, co ci każe”.

Wysiada z lektyki, unosząc wysoko głowę i triumfująco spoglądając na tłum swoimi bursztynowymi oczami. Teraz już wszystko rozumiem. Chciała się spóźnić, żeby przerwać wezyrowi, gdy ten ogłaszał Rudjeka swoim dziedzicem.

Widząc *Ka-Kapłankę*, wszyscy wokół cichną. Podążam za moją matką, starając się nie skulić na oczach setek ludzi. Wezyr stoi w pierwszym rzędzie na uniesionej platformie. Za pasem ma dwa błyszczące szotele. Jego miecze wyglądają, jakby mogły się znaleźć w muzeum, jakby nigdy nie brały udziału w bitwie.

Znajduję spojrzeniem Rudjeka, a kiedy jego ciemne oczy napotykają moje, czuję motyle w brzuchu. Powstrzymuję uśmiech. Staje obok ojca, a jego fioletowa elara kontrastuje z białą-złotą szatą wezyra. Rękojeści jego sierpów są wytarte i zniszczone. Ma szczupłą, kościstą twarz, która niedawno musiała zostać ogolona ostrą brzytwą. Pod jego prawym okiem widać cień sińca – to z pewnością ślad po walce na arenie. Powinnam się była domyślić, że pod moją nieobecność nie uniknie kłopotów.

Nie ma ciemnobrązowej skóry ojca, ale łączą ich bujne brwi i wyraźnie zarysowana szczęka. Jego karnacja jest jaśniejsza od ojcowskiej, ale ciemniejsza od bledszej, przezroczystej cery jego pochodzącej z Północy matki. Jego włosy to rozczochrane czarne loki. Wpatruję się w jego twarz, jakbyśmy nie widzieli się nie kilka tygodni, ale wiele lat.

Zarówno on, jak i jego ojciec mają wpięte w kołnierz klejnoty z kości strachopłocha, które są znakiem statusu ich rodziny. Sygnalizują, że górują oni nad wszystkimi mieszkańcami Królestwa prócz samej rodziny królewskiej. Podczas gdy klejnotem Omarich jest głowa lwa, baran rodziny królewskiej – Sukkarich – jest symbolem ich związku z oriszą słońca Re'Mekiem. Pośród publiczności są też inne klejnoty herbowe, które pokazują pozycję i rangę noszących je osób. Królewscy kuzyni obnoszą się z nimi z dumą.

– Nie chcę przerywać – mówi Arti słodkim głosem, który odbija się echem w koloseum. Tragarze za naszymi plecami podnoszą z ziemi lektykę z wypracowaną ostrożnością. – Mów dalej.

– *Ka-Kapłanko* – cedzi wezyr. – Cieszę się, że zaszczyliłaś nas swoją obecnością. Choć przypominam, że zgromadzenie rozpoczyna się wraz z dziesiątym porannym dzwonem.

Arti spogląda na wznoszący się ponad pierwszym, drugi rząd. Wszechpotężny i jego synowie spoczywają na aksamitnych tronach ze służącymi z każdej strony.

– Wybacz mi to spóźnienie, Wszechpotężny – mówi Arti, wbijając wzrok w ziemię. – Spóźniłam się z powodów, które staną się oczywiste podczas tego posiedzenia.

Wszechpotężny pochyła się na tronie i mierzy ją wzrokiem od stóp do głów. Wreszcie mówi:

– Zaczynajcie.

Kiedy uwaga wezyra zwrócona jest ku Wszechpotężnemu, Rudjek dostrzega swoją szansę. Zanim jego ojciec cokolwiek zauważy, jest już w połowie schodów. Wraca na swoje puste miejsce, a ja tylko odliczam czas, żeby zrobić to samo.

Tłum ściska się w zwróconych ku sobie ławach piętrzących się przy wygiętych ścianach rotundy. Niektórzy siedzą tak wysoko, że ich twarze skrywa cień. Znajduje się tu około dwóch tysięcy najbardziej wpływowych ludzi w Tamarze. Ludzi zainteresowanych wynikami politycznych decyzji.

Są wytworni jak błyszczący kamień, z którego zbudowany jest okrągły budynek. Oni również świecą, bo mozaika na suficie rzuca na nich kolorowe światło. Moja szata blednie w porównaniu z *kaba* wysadzanymi kamieniami i turbanami z koralikami, które ma na sobie część kobiet. Mężczyźni nie pozostają w tyle w eleganckich agbadach, elarach i najnowszych fasonach z zagranicy.

Platforma, na której zbiera się zgromadzenie, to dwurzędowy półksiężyc. Po prawej stronie pierwszego rzędu znajduje się stół o kształcie wielkiego sierpa i krzesła z wysokimi oparciami należące do wezyra i jego czterech mistrzów gildii. Po lewej Arti i jej jasnowidze siedzą w takim samym ustawieniu. Spiralne schody prowadzą na drugi poziom, stanowią jednak przede wszystkim ozdobę. Za zasłoną schowane są krążki linowe, które unoszą wszystkich możliwych do ich prywatnych łóż.

Kiedy Arti zajmuje wreszcie miejsce, ja szukam swojego. Sukar macha, żeby zwrócić moją uwagę. Oboje z Essnai siedzą naprzeciwko Rudjeka po drugiej stronie koloseum. Dwaj skrybowie w niebieskich szatach wyglądają na zirytowanych, kiedy wciskam się między przyjaciół, zmuszając ich, by się przesunęli.

– Wuj mówił, że *Ka*-Kapłanka coś planuje – szepcze Sukar z błyskiem podniecenia w oku. – Nie sądziłem, że chodzi o coś takiego. Przerwała wezyrowi w chwili chwały... dobre zagranie.

– Rozpocznijmy obrady – warczy wezyr do posłańca stojącego na brzegu pierwszego rzędu.

Mężczyzna robi krok naprzód, przełyka ślinę i rozwiązuje zwój, który sięga mu do kolan. Zaczyna odczytywać streszczenie porządku dziennego. Podatki, dziesięciny, plany budowy nowego publicznego gmachu i milion innych nudnych rzeczy, które brzmią dla mnie jak zwykły szum. Zaczynam sądzić, że podobnie jak mój ojciec, mam alergię na politykę.

– Czy musi się tak gapić? – szepcze Sukar. – Wygląda jak zagubiony szczeniak.

Nie pytam, o kogo chodzi. Dobrze to wiem. Zamiast słuchać, jak jego ojciec i moja matka się kłóca, Rudjek wachluje się listem ode mnie. Na jego froncie widnieje umiejętnie narysowany osiołek – Rudjek dobrze wie, dlaczego się tam znalazł. Uśmiecha się do mnie i zaczyna śmieiej wymachiwać ręką. Dopada mnie ochota, żeby pokazać mu język, ale się powstrzymuję.

Wysoko nad nami Wszechpotężny prowadzi cichą rozmowę z księciem koronnym Darnekiem. Jedynym członkiem rodziny królewskiej, który wydaje się zainteresowany tym, co się dzieje, jest drugi syn Tyrek. Jest w moim wieku, dwa lata młodszy od brata. Pochylony, wsłuchuje się w dyskusję. Wszechpotężnego wzywa się jednak do głosowania jedynie, kiedy jest pat, a dzisiaj to się nie zdarza.

Całe posiedzenie spędzam, odliczając czas do wolności. Po dwóch pełnych godzinach debatowania i głosowania wezyr zwraca się do zgromadzonych.

– Czy zebrani mają jakieś sprawy, które chcieliby przedstawić?

Podczas tych kilku zgromadzeń, w których brałam udział, nikt nigdy nie podniósł żadnej kwestii do przedyskutowania. Ludziom wystarczy zazwyczaj słuchanie

sprzeczek pomiędzy Gildią a Świątynią. Prostuję się, nie mogąc się doczekać, kiedy zamknie posiedzenie. Sądząc po znudzonych spojrzeniach wokół, nie jestem jedyna.

– Skoro nikt się nie zgłasza – mówi wezyr – tym samym zamykam...

– Chciałabym zgłosić problem, którego nie omówiliśmy – mówi Arti z ławy pomiędzy jasnowidzami.

Jej kaftan błyszczący drogim złotem, podczas gdy kaftany pozostałych jasnowidzów są bladożółte. Uderzający kontrast nie pozostawia wątpliwości, że to ona i tylko ona jest głosem Wszechpotężnej Świątyni. To samo dotyczy ojca Rudjeka w jego śnieżnobiałej elarze: w całym Królestwie tylko wezyr nosi białe jedwabie. Jego mistrzowie gildii noszą różne kolory. Mistrzynie broni, ciotka Rudjeka. Mistrz Skrybów, Mistrz Uczonych, Mistrz Robotników. Połowa z nich sprawia wrażenie kompletnie niezainteresowanych tym, co się dzieje.

– Ależ proszę, mów – mówi wezyr. – Mamy nadzieję, że nie zamierzasz zażądać kolejnej podwyżki dziesięciny dla świątyni. Miejże litość nad naszymi sakiewkami.

W koloseum rozlega się nerwowy śmiech. Ludzie zerkają na siebie z zaciekawieniem. Nawet mistrzowie gildii się uśmiechają.

Jasnowidze nie. Oni pozostają ponurzy.

– To bardzo ważna sprawa. – Arti wstaje z krzesła.

Jej twarz jest nawet poważniejsza niż pozostałych jasnowidzów. Mój puls przyspiesza. Zazwyczaj nic jej nie denerwuje. Jeśli się czymś martwi, musiało się wydarzyć coś naprawdę złego. Kiedy rusza na środek platformy, w sali zapada cisza. Wezyr prycha, ustępując jej miejsca. Wraca na swoje siedzenie, a na jego twarzy maluje się irytacja.

– Z przykrością muszę ogłosić, że kilkoro dzieci zaginęło podczas warty Miejskiej Straży. – Arti łamie się głos. – Niektóre z nich pochodziły z sierocińca, inne nie.

Na widowni rozlega się szmer. Zerkam na Sukara, który kręci głową, a potem na Essnai, która szeptem pyta:

– Wiedziałaś o tym?

– Nie – odpowiadam. Jestem równie zszokowana, co pozostali, i nie rozumiem, czemu moja matka czekała tak długo, żeby podzielić się tak ważną wiadomością. To powinien być pierwszy punkt programu.

– O niczym takim nie słyszałem – mówi wezyr, marszcząc mocno brwi.

– Kiedy modliłam się do oriszy podczas niedawnego czuwania – mówi Arti, zwracając się do publiczności – zobaczyłam coś bardzo niepokojącego. Kiedy łączę się z oriszami, moje *ka* wędruje po naszym wspaniałym mieście, a bogowie zdradzają mi przedziwne tajemnice.

Znów zerkam na łożę Wszechpotężnego. Drugi syn Tyrek pochyla się, by zwrócić na siebie uwagę ojca, ale Wszechpotężny go zbywa. Śmieje się z czegoś, co książę koronny Darnek powiedział mu do drugiego ucha.

– Po mieście grasuje złoczyńca, który nocami porywa dzieci – mówi cichym głosem Arti. – Nie potrafię zobaczyć tej osoby wyraźnie, bo coś chroni ją przed moim spojrzeniem.

Elara wezyra gniece się, kiedy odwraca się do swojej siostry bliźniaczki Mistrzynie Broni, która siedzi po jego prawej stronie.

– Czy w tych wieściach jest ziarno prawdy?

Generałka Solar i wezyr mają podobne ostre rysy i ciemne oczy. Ona przewodzi siłom wojskowym Królestwa: gwardzistom, strażnikom i *shotani*.

– Otrzymałam dziś rano raport. – Głos generałki Solar jest równie chłodny co głos jej brata. – Jestem przekonana, że dowódca Miejskiej Straży szybko odnajdzie i aresztuje winnego.

– Chciałabym mieć twoją pewność – mówi Arti – ale to nie zwyczajny porywacz, skoro potrafi skryć się przed naszą magią.

Jasnowidzka Zu o imieniu Barasa dodaje:

– Musi być w to zamieszana antymagia.

Wśród widowni rozlega się stłumiony okrzyk. Mój wzrok pada na elarę wezyra. Antymagia rodzi się z kości strachopłocha. Nie posiada jej nikt prócz Omarich i rodziny królewskiej. Nie można jej kupić. Nikt nie widział strachopłochów od wielu lat. Od dnia, kiedy zabiły one cały legion królewskiej armii.

Nietrudno domyślić się, co sugerują Arti i jasnowidze. Wszyscy znają historię przodka wezyra – i Rudjeka – który walczył ze strachopłochami w Dolinie Aloo. Zabił on jednego z nich i zrobił z jego kości biżuterię, żeby ochronić się przed magią. Tylko taka kość potrafi ukryć przed jasnowidzami tego, kto ją nosi.

Wszechpotężny pochyla się naprzód, a jego ogolona głowa błyszczy złotem.

– Czyżbyś oskarżała Omarich?

Zwracam uwagę, że nie wspomina o swojej rodzinie, o Sukkarach.

– To byłoby śmiałe oskarżenie – mówi Arti, ani go nie potwierdzając, ani mu nie przecząc. – Mówię tylko, że złoczyńca nosi kości strachopłocha. Tego dowiedziałam się ze swojej wizji. – Spogląda z ukosa na wezyra. – Nikt nie ważyłby się podać w wątpliwość dobrego imienia Omarich, ale czy nie zapomnieliśmy zbyt wcześnie o wypadku, który miał miejsce na targu?

Zapada cisza, a wszyscy zebrani w koloseum wstrzymują oddech. Mówi o Rytuale Przejścia. Re'Mec ustanowił rytuał, by ten przypominał nam o ofierze oriszy, złożonej, by ratować śmiertelników. Stu dwudziestu spośród nich zginęło podczas walki

z Królem Demonów i jego niepowstrzymanym pragnieniem dusz. Na ścianach świątyni widnieje instruktaż przeprowadzenia rytuału, nie sposób jednak przewidzieć, kiedy Re'Mec każe go przeprowadzić. Pomiędzy ostatnim z nich a poprzednim była dwudziestoletnia przerwa.

Jasnowidze wymyślili dla ochotników śmiertelnie niebezpieczne pułapki, by przetestować ich siłę umysłową i fizyczną. Ostatnim razem znaleźli się oni na wrogiej pustyni, nie mając przy sobie nic prócz ubrania. Chcąc się wyróżnić, starsi synowie wezyra Uran i Jemi zgłosili się razem. Rytuał złamał ich umysły, tak samo jak wielu innym przed nimi.

Ostatni rytuał miał miejsce pięć lat temu – jedyny, który odbył się za mojego życia. Wróciła mniej niż jedna trzecia spośród tych, którzy podjęli próbę. A jeszcze mniej wróciło bez szwanku.

Nie było mnie na targu tego dnia, kiedy Jemi zabił kupca. Świadkowie mówią, że wściekł się podczas głupiej kłótni. Targował się z Estheriańczykiem o cenę szala z cienkiego jedwabiu, który chciał kupić dla matki. Kłótnia zaszła zbyt daleko i poderżnął kupcowi gardło. Po tym, co się stało, wezyr wyznaczył Jemiemu i jego oddziałowi misję na dzikich ziemiach daleko od królestwa. Są tam do dzisiaj. Wezyr mianował swojego drugiego syna, Urana, na stanowisko ambasadora na Północy, ale Rudjek mówi, że spędza on większość czasu zamknięty w swoich pokojach. Nie chce widzieć nawet żony. Wpada w nagły gniew, a służący muszą go uspokajać.

Przeszywa mnie dreszcz, gdy zauważam, jak Rudjek blednie. Pragnę do niego pójść, ale wiem, że to tylko pogorszyłoby sprawę. Zaszliśmy aż tutaj, wciąż ukrywając naszą bliskość przed rodzicami.

– Gdzie są twoi synowie, wezyrze? – pyta promiennym głosem Arti. – Jestem pewna, że chcieliby oczyścić się z zarzutów.

Moja matka posłużyła się wiadomością o porwaniach, by uderzyć w wezyra i nie obchodzi jej, kogo jeszcze może skrzywdzić. Nigdy się tym nie przejmuje. Mimo to sprawa zaginionych dzieci wzbudza niepokój. Szepty rozlegające się w koloseum świadczą o tym, że nie ja jedna zastanawiam się, kto mógłby zrobić coś tak okrutnego. Znowu znajduję spojrzeniem Rudjeka, ale mój żołądek nagle się ściska, bo on nie chce spojrzeć na mnie.

SZEŚĆ

Według mojego ojca każdy ma w sobie szczyptę magii – tyle że nasza rodzina ma jej nieco więcej. Mówi tak jednak jedynie klientom swojego sklepu, żeby poczuli się wyjątkowo. Wie, że to nieprawda, ale ludzie muszą w coś wierzyć. Masa ludzi wydostających się z koloseum z pewnością nie ma w sobie magii, a wygląda na to, że nie ma też serca ani sumienia.

Mówią o zaginionych dzieciach jak o zwykłym skandalu, co straszliwie mnie denerwuje. W zgromadzeniu biorą udział tylko ludzie o odpowiedniej pozycji: nikt tu nie będzie się martwić dziećmi, bo wszyscy są w dzień i w nocy pilnowani przez strażników. Przepycham się przez tłum, po drodze gubiąc kilka koralików z mojej tuniki. Jest nas tak wiele, że ponury Zachodni Targ wreszcie nabiera życia. Żyje i aż buzuje od plotek.

– Lepiej, żeby uważała, inaczej skończy jak poprzedni *Ka-Kapłan* – mówi jeden mężczyzna do ucha drugiemu, na tyle głośno, że kilka osób wokół kiwa głowami. Inni stają po stronie mojej matki.

Ja rzucam mu tylko wściekłe spojrzenie. Nie pierwszy raz ktoś kieruje w stronę mojej matki tę konkretną groźbę, ale i tak mnie to rani. Nie podoba mi się, że Arti i wezyr wciąż się kłócą. Czasem robi się naprawdę nieprzyjemnie. Co nie zmienia faktu, że zrobiła dla Królestwa wiele dobrego. Kiedy wezyr żartował o kolejnym podniesieniu dziesięciny, nie wspomniał, czemu Świątynia domaga się pieniędzy. Moja matka i jasnowidze zapewniają wszystkie usługi publiczne w Królestwie. Darmową edukację dla tych, którzy nie mogą sobie pozwolić na prywatnych skrybów, posiłki i schronienie dla sierot. Wszystkie te programy stworzyła moja matka, kiedy została *Ka-Kapłanką*.

Poprzedni *Ka-Kapłan* Ren Eké żył, zanim ja się urodziłam, ale ludzie wciąż śpiewają na jego cześć pochwalne pieśni. Był kochany za swoją mądrość i spokój, dobrze też dogadywał się z wezyrem. Ludzie mawiają, że współpraca między Gildią a Świątynią lepiej się wtedy układała. Jako Eké z plemienia Litho zajmował godne czci stanowisko przywódcy swojej wielopokoleniowej rodziny. Jednak pewnego dnia jeden z rybaków znalazł okaleczone, nagie cało *Ka-Kapłana*, wiszące na haku w zatoce.

Choć więc nie zawsze zgadzam się z matką, martwię się o nią. Niełatwo jest zabić osobę publiczną, ale jeszcze trudniej byłoby zaatakować szamana. A jednak jego

śmierć pozostaje równie tajemnicza co tożsamość porywacza dzieci, który potrafi ukryć się przed magią.

Szamani, ci prawdziwi, potrafią nastawić złamaną kość jednym słowem albo powstrzymać sztorm za pomocą rytuału. Ci najpotężniejsi, jak babcia, umieją przewidywać przyszłość. Arti też to potrafi, chociaż nie nosi już miana szamanki, odkąd opuściła plemienne ziemie. Mój ojciec powstrzymuje starzenie się i wydłuża ludzkie życie. Zawsze sądziłam, że moja rodzina pozostanie bezpieczna dzięki swojej magii, teraz jednak nie jestem już taka pewna.

Moje plecy przeszywa dreszcz, kiedy skradam się pełnymi gnijącego jedzenia alejkami, chcąc uniknąć tłumu. Wróżąc z kości, babcia zobaczyła zielonookiego węża, którego uznała za demona. Teraz Arti zwróciła uwagę na porywacza dzieci. Jasnowidze wierzą, że stoi za tym antymagia. A co, jeśli to coś innego?

Demon i zaginione dzieci. To wydaje się bez sensu, ale wydarzenia zbiegają się w czasie, a okoliczności są zbyt dziwne. Czemu demon miałby znaleźć się w wizji na mój temat? Nie jestem nikim szczególnym. A jednak, choć wydaje się to niemożliwe, w namiocie babci nawet ja poczułam, że coś jest nie tak z magią, która tam się pojawiła. Nie przypominała delikatnego dotyku magii plemiennej. Była napastliwa, obca i wroga. To, co przydarzyło się dzieciom, jest jednak znacznie gorsze. Najważniejsze pytanie brzmi: dlaczego? Czemu ktokolwiek miałby porwać dzieci?

Cała w nerwach wyłamiam się z alejki i wkraczam w inny tłum na Wschodnim Targu. Nie mogę zapomnieć, że Rudjek nie chciał nawet na mnie spojrzeć po tym, jak moja matka właściwie oskarżyła jednego z jego braci o bycie porywaczem. Po dzisiejszym poranku trudno mi go winić. Jestem przerażona na samą myśl, że może nie przyjdź na spotkanie. Tęsknię za naszym wspólnym czasem. Tęsknię za nim.

Brnę przez tłum, mijając ludzi targujących się o wczorajszy chleb, przejrzałe owoce, suszone mięso i talizmany. Osły niosące na grzbietach worki zboża wzbijają w powietrze chmury czerwonego piachu. Targ wije się niczym Rzeka Węża po burzy, cuchnie spoconymi stopami i gnojem.

Kiedy tak przedzieram się przez tłum ludzi zajmujących się swoimi sprawami, patrzą na mnie surowe twarze. Łagodne twarze. Życzliwe twarze. Twarze we wszystkich kolorach. Twarze pomarszczone od nadmiaru słońca. Twarze wyglądające, jakby zostały wykute w kamieniu. Jowialne, okrągłe twarze. Ludzie przybywają do Tamaru zewsząd – przez morze, pustynię i góry. Miasto jest domem dla każdego, kto tego pragnie. Najlepiej widać to na Wschodnim Targu i dlatego tak lubię tu przychodzić.

Pociesza mnie, że wszyscy, którzy się tu schodzą, są – jak ja – nie do końca na miejscu. Zawsze mnie fascynuje, że można tu jednocześnie wyróżniać się i wtopić

w tłum. Niewidzialność stanowiła pewnie największą przewagę porywacza. Krew pulsuje mi w uszach, kiedy rozglądam się dokoła i widzę targ zupełnie nowymi oczami.

Bosi chłopcy w podartych spodniach i dziewczynki w brudnych koszulach przedzierają się przez tłum. Ich drobne ręce są szybkie, gdy tu kradną sakiewkę z monetami, tam bransoletkę. Kiedy kobieta przyłapuje dziewczynkę, która próbuje jej ukraść bransoletę z ramienia, inne dziecko rzuca w nią kamieniem. Zaskoczona pociera głowę, a dziewczynce udaje się uciec ze swoją nagrodą. Nie pochwalam tego, co robią sieroty na targu, ale też ich nie oceniam. Życie w mieście jest trudne dla tych, którzy nie pochodzą z zamożnej rodziny. Podczas gdy na plemiennych ziemiach liczy się tylko magia, tutaj rządzą pieniądze i wpływy.

Słońce pada na moje plecy, gdy przechodzę przez ulicę pełną sprzedawców jedzenia. Dym unoszący się ponad ich paleniskami wypełnia powietrze i gryzie mnie w oczy, ale pachnie przepięknie. Pieczone kasztany, pikantne gulasze, smażone w oleju z orzeszków plantany. Burczy mi w brzuchu, nic jeszcze dzisiaj nie jadłam. Nie mogę jednak zatrzymać się na posiłek, muszę dotrzeć nad Rzekę Węża na spotkanie z Rudjkiem – wciąż boję się, że go tam nie zastanę.

Wymknął się ze zgromadzenia, nim jego ojciec zamknął posiedzenie. Próbował ukryć swoją udrękę za maską obojętności, ale ja wiem, że to tylko gra. Moja matka okrutnie go zraniła. Już wcześniej był wściekły na ojca za to, jak potraktował jego braci po rytuale, i obwiniał się za to, że nie było go na targu, gdzie mógłby powstrzymać Jemiego.

Podrywam się, słysząc u boku cichy szelest: jeden z małych złodziei próbuje ukraść mi bransoletkę. Chwytam go za ramię – niezbyt mocno, ale jednak mocno na tyle, by nie mógł uciec. Chłopiec spogląda na mnie smutnymi oczami, wargi mu drżą. Mały oszust.

Nim zdąży uronić pierwszą łzę, ktoś uderza go w głowę.

– Znikaj, bo zawołam strażników.

– Ała – protestuje chłopak, łapiąc się za głowę. – I kto to mówi, Kofi!

Niedoszły złodziej musi być tu nowy – nigdy go dotąd nie widziałam. Wyciągam srebrną monetę z kieszeni ukrytej za pasem i podaję mu ją:

– Mogłeś najpierw poprosić.

– Następnym razem tak zrobię – uśmiecha się potulnie.

Kiedy chłopiec ucieka, jego miejsce zajmuje Kofi. Dwunastolatek jest niewiele starszy. Jego fartuch pokrywają rybie łuski, pachnie portem – to znaczy gnijącymi wnętrznościami. Na widok mojej szaty szeroko otwiera oczy.

– Czemu jesteś tak ubrana? – pyta.

Zaciskam wargi i patrzę na niego ze złością, choć ma oczywiście rację: moja tunika jest niepraktyczna i za bardzo rzuca się w oczy. Nosząc coś takiego na Wschodnim Targu, jestem łatwym łupem dla złodziei. Przynajmniej moja rodzina nie musi nosić klejnotów herbowych jak ta Rudjeka.

– Zadam ci lepsze pytanie: czemu masz za uchem srebrną monetę?

Uśmiecha się, sięga za ucho, ale nic nie znajduje.

– Za drugim uchem.

Tym razem jego ręka rusza się szybciej, jakby pieniądze miały zaraz zniknąć. Chowa srebrną monetę w swoim fartuszku, a jego brązową skórę ogrzewa uśmiech. Dałam mu już tyle monet, że nawet nie protestuje, mówiąc, że powinien je odpracować. Nasza rodzina ma więcej pieniędzy, niż nam potrzeba, a Oshhe zawsze powtarza, że każda zachomikowana moneta to jedno utracone błogosławieństwo.

Ojciec Kofiego jest jednym z wielu sprzedawców ryb na targu. Rok temu trafiłam na ich stoisko – Kofi stał na skrzynce i opowiadał przechodniom niestworzone historie.

– Chcąc uciec przed lodową rzeką – powiedział – ryby przypłynęły tu z dalekiej Północy.

Kiedy zakrzyknęłam, że to dość mało prawdopodobne, bez mrugnięcia okiem zmienił swoją historię.

– Masz rację! Te konkretne przypłynęły z Wielkiego Morza, szukając schronienia przed ogromnym wężem. Biedaczki nie wiedziały, że my też jadamy ryby!

Kilka dni później zobaczyłam go w towarzystwie kobiety, która, jak się później dowiedziałam, była nową żoną jego ojca. Chwyciła Kofiego za ramiona i wycedziła:

– Do niczego się nie nadajesz, chłopaku. Wszystko robisz źle!

Bez powodu uderzyła go w twarz, a ja poczułam się tak, jakby to mnie dosięgło uderzenie. Powstrzymałam ją, ale następnego dnia Kofi przyszedł na targ cały w siniakach.

Kiedy znów zobaczyłam tę kobietę, przedstawiłam się jako córka *Ka*-Kapłanki. Powiedziałam jej, że jeśli Kofiemu stanie się krzywda, wyciągniemy wobec niej poważne konsekwencje. Wtedy pierwszy raz wykorzystałam pozycję matki, żeby zyskać przewagę. Zadziałało, macocha Kofiego przestała go wtedy bić. Teraz go ignoruje. Dobrze wiem, jak to jest, dlatego od tamtej pory postanowiłam być dla niego jak przybrana siostra.

– Słyszałaś o gigantycznym morskim żółwiu, który przypłynął dziś z prądem? – pyta Kofi, ale moja uwaga skupiona jest na Rudjeku. Przedziera się przez tłum, wyraźnie kierując się w moją stronę. Jego obecność na targu przynosi natychmiastowy efekt. Dziewczęta uśmiechają się do niego, a niektóre próbują zwrócić na siebie jego

uwagę, zastępując mu drogę. Ludzie wpatrują się we wpięty w kołnierz rodowy klejnot z kości strachopłocha.

Zawsze, kiedy któraś z możnych rodzin zjawia się na Wschodnim Targu, robi się raban. On jednak uwielbia targ, podobnie jak ja. To drugie z naszych ulubionych miejsc spotkań, pierwszym jest to tajemne, nad rzeką.

Sprzedawcy walczą o jego uwagę, ale Rudjek nie odrywa ode mnie wzroku. Mija mężczyznę, sprzedającego maleńkie dzwonki lubiane przez wyznawców boga snów Omy. Uśmiecha się od ucha do ucha, a jego jasnobrązowa skóra jest zaczerwieniona. Wypuszczam powietrze z płuc i rozluźniam się.

– Ciekawie było dziś rano – mówi, przerywając Kofiemu. Widziany z bliska, fioletowy siniak na jego prawym policzku pasuje do eleganckiej, jedwabnej elary. Skryte za długimi, ciemnymi rzęsami obsydianowe oczy błyszczą w słońcu.

Zwracam się ku niemu.

– Wszystko w porządku?

Rudjek macha ręką na to pytanie, choć jego ciało sztywnieje.

– Przegapiłaś wczoraj znakomitą rozgrywkę. Zająłem drugie miejsce. – Zerka w prawą stronę, gdzie w czerwonym stroju gwardzistów stoi jego sługa i najlepszy przyjaciel Majka. Nie zauważyłam go do tej pory. – Tylko dlatego, że on oszukiwał.

– Mówiąc „oszukiwał”, masz chyba na myśli: „wytarł arenę twoją brudną gębą” – mówi Majka. Kładzie dwa palce na czole i kłania mi się lekko, zgodnie ze zwyczajem plemienia mojego ojca. Idealny syn dyplomaty z Tamaru – ma ciemnobrązową skórę, włosy gęste i czarne jak noc i głęboko osadzone, ciemne oczy. Odwzajemniam pozdrowienie z uśmiechem.

Stojąca po lewej stronie Rudjeka Kira przełyka ślinę. Ona też ubrana jest na czerwono, ma jeden długi, czarny warkocz i skórę bladą jak północna zima. W odróżnieniu od Majki i Rudjeka z podwójnymi szotelami u boków ona ma przytroczony cały tuzin sztyletów. Jeden ze sprzedawców próbuje jej wcisnąć łuk do rąk, a drugi macha nożami *tobachi*, żeby zwrócić na siebie jej uwagę.

Ważne rodziny rzadko pojawiają się na targach, bo mają służących, którzy mogą tam chodzić za nich. Innych nie stać jednak na służbę albo wolą jej nie mieć. My mamy Nezi, Ty i Terre, ale na szczęście nikogo, kto chodziłby za mną przez cały czas. Rudjek ma mniej szczęścia.

– Widzę, że podoba ci się twoja nowa posada, Kiro – mówię, kiedy odgania handlarzy.

– Nie nazwałabym pilnowania go posadą – krzywi się ona.

– Och, ranisz mnie! – Rudjek chwyta się za klatkę piersiową, udając, że się obraził.

Kręcę głową, wciąż nieprzyzwyczajona do faktu, że Majka i Kira występują w nowych rolach gwardzistów. Mają siedemnaście lat, są więc tylko o kilka miesięcy starsi od nas, ale to wystarczy, by mogli rozpocząć karierę. Matka Majki jest dowódczynią służącą ciotce Rudjeka, mistrzynią broni; jego ojciec jest ambasadorem Królestwa w Estherii. Ojciec Kiry jest Mistrzem Skrybów. Oboje dorastali, rywalizując na arenie z Rudjekiem dla zabawy. Kiedy dołączyli do gwardzistów, wniósł petycję, by zastąpili jego poprzednich strażników. Możliwość służenia rodzinie królewskiej i jej najbliższym kuzynom Omarim to wielki zaszczyt, a Kira i Majka jeszcze na niego nie zasłużyli. Ojciec Rudjeka jednak się zgodził, choćby tylko po to, żeby wzmocnić polityczny sojusz z obiema ich rodzinami.

– Hej, ja z nią teraz rozmawiam – wtrącił się Kofi, krzyżując ramiona. – Poczekaj na swoją kolej.

Rujdek śmieje się i gładzi Kofiego po głowie.

– Ciebie też miło widzieć.

Zerkam na Kofiego przepaszająco.

– Jutro do ciebie przyjdę, obiecuję.

Kofi pokazuje Rudjekowi język i zaraz znika w tłumie.

– A to kurdupel. – Rudjek udaje oburzenie. – Zastanawiam się, czy...

– Idziemy? – pytam.

Nie czekając na odpowiedź, ruszam w kierunku naszego miejsca nad rzeką, wybierając jedną z dróg, podczas gdy oni wyruszają drugą. Nasza kryjówka przestałaby być sekretem, gdyby podążały w jej stronę cztery osoby jednocześnie. Na przestrzeni lat Rudjek miał wielu ochroniarzy, których przekupywał, żeby nie zdradzili naszego sekretu. Kiedy monety nie wystarczały, stosował mniej lub bardziej subtelną perswazję. Kiedy chce, potrafi być uroczy. Oczywiście nigdy bym mu tego nie powiedziała.

Przedzieram się przez tłum, a moje plecy przeszywa lodowaty dreszcz. Chowańce skradają się przez targ niczym stado gotowych do skoku, wściekłych kotów. Ich ciała, nie dłuższe od mojego przedramienia, są bezkształtne i nieskończenie zmienne, jak bryza. Kiedy tak suną po ulicach, ich obecność wysysa ze mnie ciepło. Biorę głęboki oddech, a wtedy tuziny chowańców otaczają małą dziewczynkę. Pełzają po jej twarzy i chwytają się kończyn, a dziewczynka nic nie zauważa.

Kilka innych osób na targu je widzi. Ci, w których żyłach płynie plemienna krew. Ich twarze bledną, zaczynają szeptać między sobą. Większość wcale jednak chowańców nie dostrzega.

Jeden czy dwa chowańce uprzykrzają życie, ślizgając się po wszystkim, ale cała ich horda oznacza, że nadchodzi coś złego. Myśląc o zaginionych dzieciach, zdaję sobie

sprawę, że zło już tu jest.

Oszołomiona mijam domy z cegły mułowej na brzegu Rzeki Węża i kieruję się od doków w górę rzeki. Nie ma tu chowańców, ale zimno przeszywa mnie do kości. Plemiona wierzą, że chowańce to pozostałości po ludziach dawno temu zniszczonych przez demony, które pożądam ludzkich *ka*, spustoszyły całe królestwo, nim Królewskie Bliźnięta Koré i Re'Mec rozpoczęły wojnę, by je powstrzymać. Po tamtych czasach pozostały jedynie chowańce. Niespokojne duchy pozbawione dusz poszukują tego, czego już mieć nie mogą – życia.

Kiedy docieram do naszego ulubionego miejsca między wysokimi trzcunami, widzę Majkę i Kirę na brzegu – dość daleko, by nam nie przeszkadzać. Rudjek siedzi na rozłożonym na trawie żółtym kocu.

– Ojciec organizuje wielki turniej, żeby świętować zakończenie Krwawego Księżyca – mówi, ziewając. – Musisz przyjść. Od trzech lat jestem niepokonanym zwycięzcą w walce na miecze. Jestem najlepszy w całym Tamarze. No, może nie licząc gwardzistów.

– Nie sędzę, by to był dobry pomysł. Nie po tym, co wydarzyło się dziś rano – mówię przez ściśnięte gardło.

Jego oczy, ciemniejsze niż godzina *ösana*, otwierają się szeroko w zdziwieniu. Kiedy jest skupiony tylko na mnie, robi się intymniej i jakby cieplej.

– Co się stało, Arrah?

Głos mu się łamie, kiedy wypowiada moje imię, a jego przechwałki milkną. Jego zapach, zapach lilii i dymu, wydaje się dotykać mojej szyi swoim ciepłem. Powinnam powiedzieć coś, żeby odwrócić jego uwagę, albo udawać, że nie podoba mi się brzmienie mojego imienia na jego języku, ale tego nie robię. Nie od razu. Pozwalam, by unosiła się między nami ta dziwna, cudowna atmosfera. Jest moim najlepszym przyjacielem, choć często bywa nieznośny. Jednak ostatnio zaczęłam wyobrażać sobie coś innego – zaczęłam wyobrażać sobie coś więcej.

Przypomina o sobie dobrze znane poczucie winy. Odwracam wzrok. Nawet gdyby nasi rodzice nie byli wrogami, byłoby w tym coś niewłaściwego. Tak, chcę czegoś więcej, ale nie chcę też popsuć tego, co jest między nami teraz. W jednej chwili już prawie wyznaję mu miłość, w następnej – skrywam swoje uczucia pod wielkim głazem.

– Nic – mówię szybko, nim nasza rozmowa zejdzie na inny tor.

W mojej głowie kłębi się tak wiele różnych myśli. Chowańce, porywacz dzieci, zielonooka żmija. Pozornie nic tych zjawisk nie łączy, ale gdy myślę o nich wszystkich naraz, przypominam sobie grę w psy i szakale. Grę opartą na strategii, unikach

i myleniu tropów. Być może tworzę nieistniejące połączenia, ale nie wierzę w zbiegi okoliczności. Kręcę głową i uśmiecham się:

– Co to za wymyślny kocyk?

Gładzę tkaninę dłonią, czując pod palcami wyszukane hafty. Zna mnie na tyle dobrze, by nie protestować, kiedy zmieniam temat.

– Nie chciałem, żebyś zniszczyła sobie swoją wymyślną sukieneczkę na trawie – mówi, kiedy kładę się na ziemi obok niego. – Jest bardzo ładna.

– Dziękuję. – Spoglądam na płynące w dół rzeki łódzie. Jest tak szeroka, że woda zdaje się ciągnąć w nieskończoność.

Po chwili niezręcznej ciszy oboje próbujemy odezwać się w jednej chwili. Wybuchamy śmiechem, nieco rozluźniając atmosferę.

– Ty pierwszy – mówię.

– Jeśli chodzi o dzisiejszy poranek... – Głos więźnie mu w gardle. – Moi bracia nigdy nie zrobiliby nic tak okrutnego. Jemi i Uran nie są sobą od czasu Rytuału Przejścia, ale mój ojciec... mój ojciec ich pilnuje. Jeden z gwardzistów wysyła mu regularne raporty na temat szwadronu Jemiego, a Urana strażnicy nigdy nie spuszczaają z oczu. Absolutnie nigdy.

Sięgam ku rodzinnemu klejnotowi, który ma przypięty do kołnierza, ale powstrzymuję się.

– Mogę?

– Oczywiście. – Rudjek z zażenowaniem drapie się po głowie.

Przebiegam palcami po gładkiej kości strachopłocha wyrzeźbionej w kształt lwiej głowy. Jest chłodna nawet w tak ciepły dzień jak dziś. Gdybym miała w sobie magię, odepchnęłaby mnie. Nic się jednak nie dzieje. Jej ustępliwość przypomina, że powinnam słuchać matki. Może nadeszła już pora, by porzucić moje marzenie?

– Jak to jest, kiedy ktoś obdarzony magią znajduje się blisko ciebie? – Nigdy dotąd o to nie pytałam, bo chciałam unikać tematów związanych z magią. „Jak by to było, gdybym miała w sobie magię, a my bylibyśmy blisko... bliżej niż w tej chwili?”. Oto pytanie, które pali mnie w usta.

Rudjek wzrusza ramionami.

– Nie wiem... Kiedy magia jest skierowana do mnie, czuję wibracje; w przeciwnym razie nie czuję niczego.

Przenoszę palce z herbu na jego elarze na jego naszyjnik. Palcami muskam szyję Rudjeka i oboje zamieramy. Pochyliła się lekko nade mną i szepcze:

– Tęskniłem za tobą.

Kaszlnięcie Majki sprawia, że odskakujemy od siebie.

– Nie przerywam?

– Nie – odpowiadamy chórem.

– Absolutnie nie – mówię urażona.

– Oczywiście, że nie. – Rudjek marszczy brwi. – Czego chcesz?

Majka zerka przez ramię na Kirę, która dalej nas pilnuje.

– Przyszedłem ci przypomnieć, że twój ojciec oczekuje na ciebie na zebraniu rady, kiedy wybijie czternasty popołudniowy dzwon.

Rudjek krzywi się, patrząc na swoje nogi, zakurzone po przejściu przez targ.

– Daj nam chwilę.

Majka kiwa głową, uśmiechając się krzywo, i wraca do czekającej Kiry.

– Przepraszam, ale faktycznie muszę iść – wzdycha Rudjek. – Ojciec będzie w kiepskim nastroju po tym, co wydarzyło się rano.

– A więc to prawda – mówię i znów zasycha mi w gardle – ogłosi cię swoim dziedzicem?

Rudjek wzdryga się i odwraca wzrok.

– To... sam nie wiem, co o tym myśleć. Jestem najmłodszy. Nigdy nie sądziłem, że to na mnie spadnie odpowiedzialność. Oczekiwania mojego ojca wobec mnie... a właściwie oczekiwania wszystkich wobec mnie, całkiem się zmieniły.

Nie chcę nawet myśleć, co to oznacza dla naszej przyjaźni. Jeśli – a właściwie kiedy – będzie wezyrem, nie będzie mógł porzucić swoich obowiązków, żeby zobaczyć się ze mną nad rzeką.

– A co z gwardzistami? Zawsze chciałeś do nich dołączyć. – Spogląda z tęsknotą na swoje szotele, a ja od razu żałuję, że zadałam to pytanie. – Co ty zrobisz, kiedy nie będziesz mógł cały dzień wygłupiać się na arenie? – dodaję, chcąc go rozbawić.

– Dam sobie radę. Jestem dość cwany – szepcze.

Bawię się koralikami na mojej szacie.

– Nie możesz odmówić, prawda?

– Nie. – Podnosi kamień i wrzuca go do rzeki. – Moja matka wezwała swoją opiekunkę z dzieciństwa z Delene, żeby ta pomogła nauczyć mnie etykiety. – Zmusza się do śmiechu, ponurego jak nasze nastroje. – Co mówią Aatiri? „Charakter człowieka poznać można nie po jego stroju, ale czystości jego duszy”.

– Po czystości jego *ka* – poprawiam go.

– Przepraszam. – Rudjek się uśmiecha. – Gadam i gadam, a nawet nie spytałem cię, jak było na plemiennych ziemiach. Jak poszło?

– Nie najlepiej – wzdycham.

– Chcesz o tym porozmawiać? – Rudjek unosi brwi.

– Kiedy indziej. – Nie jestem jeszcze gotowa, żeby opowiedzieć mu o święcie Krwawego Księżyca i o wizji babci. Sama muszę to wszystko jeszcze przemyśleć; teraz

tylko bym go zmartwiła. A wystarczy, że ja się martwię.

– Jeszcze jedno. – Rudjek głaszcze się po karku. – Matka wysłała zaproszenie na moją ceremonię wtajemniczenia do sklepu twojego ojca. Myślałem, że jeśli twoja matka się o tym dowie, będzie po wszystkim. Ale... Przyjdiesz prawda?

Krzywię się, przypominając mu, co sędzę o jego ceremonii wtajemniczenia. Dlatego też narysowałam osła w liście do niego. Zanim zdążę odpowiedzieć, dodaje:

– Wiem, że to dość archaiczne, ale...

– Masz na myśli półnogie tancerki? – Krzyżuję ramiona. – To głupia tradycja.

– Bardzo cię proszę. – Trzepocze rękami, a ja nie mogę się nie roześmiać.

Nasi rodzice oczywiście wiedzą, że się znamy. Uczestnicząc w ceremoniach w okręgu, poznaje się wszystkich rówieśników. Niezliczoną ilość razy widziałam, jak Rudjek rywalizuje na arenie. Tym razem powinno być podobnie, a jednak się waham.

– Zastanowię się – mówię, chociaż wiem, co odpowie Arti.

Żegnam się, kiedy Majka i Kira odciągają go ode mnie. Znów patrząc na rzekę, myślę o chowańcach, kłębiących się na Wschodnim Targu. Widzi ich tylu ludzi, że skrybowie wystosowali oficjalne wyjaśnienia. Twierdzą, że to niegroźne, zbłąkane duchy, ale ja nigdy w to nie wierzyłam. Nawet nie mając w sobie prawdziwej magii, nie mogę zaprzeczyć znakom.

Gdzie pojawiają się chowańce, tam niedługo nadejdzie śmierć.

SIEDEM

Po kolejnej nieprzespanej nocy wstaję z łóżka przed świtem. W mojej głowie kłębi się tyle snów... w jednym prawdziwa zielonooka żmija wije się po Wschodnim Targu. Nie większa od rzecznego węża, z łatwością ślizga się pomiędzy tupiącymi stopami. W innym porywacz dzieci grasował po plemiennych ziemiach, ciągnąc za sobą związane sznurem dzieci. Potem zobaczyłam jeszcze Rudjeka na skraju lasu ciemnego jak noc, z okiem Re'Meca na plecach. W nocy związek między tymi trzema obrazami był jasny, ale teraz mój umysł zasnuwa senna mgła.

Jeśli się pospieszę, spotkam się jeszcze z ojcem, nim wyjdzie do swojego sklepu. Zarzucam na siebie turkusową tunikę i spodnie, które planowałam włożyć wczoraj, i biorę sandały do ręki, żeby nikogo nie obudzić. Terra będzie wściekła, jeśli odkryje, że wyszłam przed ósmym porannym dzwonem.

Kiedy przemierzam szeroki korytarz, słońce wygląda zza horyzontu. Nasza willa okala dziedziniec, na którym ojciec uprawia zioła na swoje eliksiry krwi. Bliźniacze pokoje moich rodziców znajdują się na przeciwnym końcu domu. Ty i Nezi mają swoje własne pokoje, a izba Terry znajduje się obok mojej.

Mozaikowe figurki tańczą na ścianie, obracając się, kręcąc i skacząc, żeby dotrzymać mi kroku. To magia Mulani, jedna z wielu tradycji plemienia mojej matki. Nasz dom urządzony jest właśnie w stylu Mulani: poczynając od tancerzy przez białe zasłony po jedwabne poduchy w salonie. Chociaż Arti nie odwiedza nigdy plemiennych ziem, najwyraźniej za czymś tęskni, skoro zachowała te drobne pamiątki. Zatrzymuję się, by popatrzeć na jednego z tancerzy, a wtedy on też nieruchomieje. Kiedy byłam małą, opierałam dłoń o ścianę, żeby poczuć szmer magii. Arti próbowała nauczyć mnie, jak wprawiać tancerzy w ruch, ale tego nie umiałam. Już wtedy wiedziała, co to oznacza. Wiele lat później wciąż nęka mnie nieprzenikniony wyraz twarzy mojej matki.

Oshhe kuca na dziedzińcu nad korzeniami krzewu *kenkiliba*. Gładzi ziemię palcami.

– Wcześniej wstałaś, Mała Kapłanko – mówi, odwrócony do mnie plecami. – Nie możesz spać?

Biorę głęboki oddech.

– Mam wiele spraw do przemyślenia.

– Pomóż mi zbierać zioła – mówi, podając mi nożyce. – Uspokoisz się.

Ojciec obcina liście krzewu, a ja zajmuję miejsce naprzeciw gąszcza splątanych winorośli *matay*. Przycinam małe, czerwone pączki, uważając, by nie pokłuć palców kolcami. Nie zmusza mnie do mówienia, w ciszy wypełnia mały worek liśćmi. Dziedziniec jest jego świątynią. Nezi opiekuje się otaczającymi willę ogrodami, ale lecznicze zioła to domena taty.

– Dostałem wczoraj w sklepie zaproszenie, którego oczekiwałaś. – Oshhe oddała się od krzewu *kenkiliba* i zaczyna zbierać nasiona drzewa melii. – Ja pozwalam ci pójść, ale musimy przekonać twoją matkę.

Chcę wziąć udział w ceremonii Rudjeka, ale ze wszystkich moich zmartwień to jest najmniej ważne.

– Okropne było to, co wczoraj zrobiła.

Ojciec krzywi się. Twierdzi, że nie chce mieć z polityką nic wspólnego, rzadko więc rozmawiamy na ten temat w domu. Dawno temu zrozumiałam, że to nie o polityce nie chce rozmawiać, ale o intrygach mojej matki.

– To było okrutne – mówię, nie mogąc się powstrzymać. – Zrobiła spektakl z zaginięcia dzieci, byle tylko zaatakować wezyra. Kim trzeba być, żeby zrobić coś takiego?

– Trzymaj język na wodzy, młoda damo – mówi Oshhe – zanim powiesz coś, czego pożałujesz.

Chwytam kolejną winorośl tak szybko, że kolec kłuje mnie w palec. Podnoszę kciuk do ust, ale szybko się rozmyślam. W małych dawkach *matay* powoduje senność, a w większych – halucynacje. Ojciec kiwa z uznaniem głową, kiedy dostrzega, że o tym pamiętam.

– Nie zgadzam się ze sposobem działania twojej matki – mówi Oshhe – ale jej wrogość wobec wezyra nie jest nieuzasadniona. To nie jest dobry człowiek, córko. Musisz to zrozumieć. Wiem, że ty i jego syn jesteście blisko. Kiedy wiele lat temu spytałaś, czy możesz się z nim pobawić na brzegu rzeki, wahałem się. Pozwoliłem na to tylko dlatego, że syna nie wolno oceniać po tym, kto jest jego ojcem. Dzieci są niewinne.

Rudjek zawsze chciał chronić naszą przyjaźń przed swoim ojcem. Sądziłam – ponieważ nasi rodzice tak się nie znoszą – że jego powody były takie same jak moje. Nie jestem jednak głupia. Plotki o wezyrze są jeszcze gorsze niż te o mojej matce. Ludzie mówią, że Królestwo nie ma wrogów, bo on każe zabić każdego, w kim widzi zagrożenie.

– Ojczy, nie przysłałam tu rozmawiać o ceremonii.

– Czasem trzeba zrobić rozgrzewkę przed trudną rozmową – uśmiecha się łagodnie.

Nie wiem, od czego zacząć i co powiedzieć. W mojej głowie kłębi się wszystko, co wydarzyło się od czasu Krwawego Księżyca. Trawią mnie rozczarowanie, strach i niedowierzanie, ale nie pozwalam im zwyciężyć. Jestem na to zbyt dumna. Zbyt uparta.

– Myślisz, że zielonooka żmija jest demonem? – odważam się wreszcie powiedzieć.
– Czy to możliwe, by jeden z nich przeżył wojnę z oriszami i ukrywał się tak długo? Czego demon mógłby chcieć ode mnie?

Moje ostatnie pytanie trafia w czuły punkt, ojciec się krzywi. Z przykrością muszę przyznać, że moja matka ma rację: nie ma najmniejszego powodu, dla którego demon miałby przejmować się mną. Wbijam paznokcie w dłonie. Szukam przyczyn i powiązań, ale nie umiem znaleźć sensu. Zanim ojciec zdąży odpowiedzieć, zadaję kolejne, bardziej rozpaczliwe pytanie:

– Wiesz, kiedy zaginęło pierwsze dziecko?

Oshhe unosi brew, czekając, aż powiem coś jeszcze. Kiedy się nie odzywam, bierze głęboki oddech.

– Trudno być rodzicem, który nie potrafi odpowiedzieć na pytanie dziecka... Wydaje mi się jednak, że między wizjami przywódczyni Aatiri i Arti jest jakiś związek. Nie wiem, czy to działanie antymagii czy magii demonicznej. Miejmy nadzieję, że to tylko antymagia. Jeśli demony wróciły, czekają nas kłopoty.

Ojciec milknie i przygląda się splątanym winoroślom na moich kolanach. Jego oczy błyszczą od powstrzymanych łez. Chce być silny dla mnie, tak jak ja chcę być silna dla niego.

– Odpowiem na drugie z twoich pytań: pierwsze dziecko zaginęło na początku Krwawego Księżyca. Słusznie szukasz powiązań – mówi przez zaciśnięte gardło. – Musisz bardzo uważać, Arrah. Wiem, że lubisz odwiedzać targi i chodzić nad rzekę, ale nastały niebezpieczne czasy.

Wciskam dłonie między kolana, starając się zwalczyć uczucie duszności. Bez wątplenia w oczach mego ojca kryje się strach. To widok tak niecodzienny, że rozrywa mi serce. Ojciec nie daje rady powiedzieć więcej, więc ja mówię za niego:

– Uważasz, że wizja babci oznacza, że ten porywacz dzieci... demon czy ktokolwiek to jest, przyjdzie właśnie po mnie, prawda?

Ojciec prostuje się i zaciska szczęki.

– Nie pozwolę na to.

– Nie musiałbyś mnie chronić, gdybym sama została obdarzona magią – mówię z goryczą. – Kiedy do mnie przyjdzie, ja... – przerywam, widząc jego zbolące spojrzenie.

– Arrah – głos ojca jest teraz łagodniejszy, uspokajający – to bez znaczenia, czy masz w sobie magię. Zawsze będziesz moją ulubioną córką i będę cię chronił niezależnie od wszystkiego.

W złości omal nie mówię, że jestem jego jedyną córką, ale powstrzymuję się: nie umiem sprawić mu bólu.

A więc to koniec.

Nawet mój ojciec nie wierzy już, że magia kiedykolwiek do mnie przyjdzie. To dla mnie zbyt wiele.

Każdego dnia, gdy wybija ósmy dzwon poranny, Wszechpotężna Świątynia otwiera się dla publiki. Większość ludzi samodzielnie wdrapuje się na skarpę, niektórzy zamawiają lektyki. Wszechpotężny Pałac błyszczy na zachodnim niebie wyżej jeszcze niż świątynia, górując nad miastem i krętą Rzeką Węża na wschodzie. Posiadłość wezyra znajduje się na klifie naprzeciwko świątyni na południowym skraju miasta. To właściwie pałac o beżowych ścianach, które błyszczą w porannym słońcu. W tej chwili nie jestem jednak w stanie myśleć o pięknych widokach Tamaru.

Kiedy przypominam sobie słowa ojca, napełnia mnie strach. Być może jego nie obchodzi, czy kiedyś poczuję magię, ale ja nie zamierzam siedzieć i czekać. Chcę dowiedzieć się więcej o demonach, a świątynia to najlepsze miejsce, by to zrobić.

Uczeni i skrybowie zamiatają swymi szatami drogę pomiędzy ulicznymi sprzedawcami – również w najlepszych strojach. Wszyscy przychodzą do świątyni, niezależnie od społecznego statusu i rodu pochodzenia. Poranne lekcje to także czas na zapłatę dziesięciny.

Służący w szatach koloru ziemi prowadzą ludzi przez bramę. Pięć kamiennych budynków wznoszących się wzdłuż krawędzi klifu otacza wejście w kształcie półksiężyca. Grupa uczonych kieruje się do ogrodu, żeby podyskutować w odosobnieniu. Podczas gdy większość ludzi zmierza do głównych budynków na lekcje, ja kieruję się do Holu Oriszy.

Kiedy przemierzam dziedziniec, w powietrzu wciąż wisi zapach krwi. To tu *shotani* ćwiczą w środku nocy. Elita morderców trenuje z jasnowidzami od dzieciństwa. Na przestrzeni pokoleń ich rodziny przeprowadzały się do Królestwa z plemiennych ziem. Dysponują magią – nie dość silną, by osiągnąć wysoki status na plemiennych ziemiach, ale znacznie mocniejszą niż ta ulicznych szarlatanów. Nasza wiedza na ich temat opiera się jednak głównie na domysłach, bo zawsze kryją się w cieniu.

Magia oblepia ściany świątyni. Jest silniejsza nawet niż pod świętym drzewem Gaer, gdzie pochowano ciało pierwszego *Ka-Kapłana*. Za dnia jest jak drobinki kurzu migoczące na skraju pola widzenia. To w nocy, zwłaszcza w godzinie *ösana*, budzi się do życia.

Sukar wraz z drugim sługą stoi przed Holem Oriszy na północno-wschodnim skraju klifu. Przywołuje mnie do siebie.

– Tylu ludzi wyznaje swoje grzechy. – Przewraca oczami, kiedy do nich docieram. – Składają dziesięcinę, żeby pozbyć się poczucia winy. To się nigdy nie zmienia.

Krople potu lśnią na ogolonej głowie Sukara, a jego tatuaże błyszczą. Dzieje się tak tylko wtedy, kiedy znajduje się w pobliżu kogoś obdarzonego. Zerkam na drugą służącą, która przywołuje do siebie ludzi. Echo jej magii tańczy na mojej skórze, szydzi ze mnie. Sukar prosi o przerwę w sprawowaniu obowiązków i razem wkraczamy do Holu Oriszy. Migoczące światło pochodni rzuca na komnatę złowrogie cienie. To idealne miejsce na rozmowę – i na podciągnięcie się z historii.

Hol jest domem dla pomników oriszy, które przeżyły wojnę z Królem Demonów. Wyrzeźbiły swoje własne wizerunki z gwieźdznego pyłu ciemniejszego niż najciemniejsza noc. Trudno patrzeć prosto na nie lub wpatrywać się w nie zbyt długo, bo krawędzie figur zaczynają się rozmywać.

Kiedy byłam młodsza, razem z Sukarem i Essnai robiliśmy sobie z tego zabawę. Kto utrzyma wzrok najdłużej? Raz udało mi się wygrać – jeśli można to tak nazwać. Wpatrywałam się tak długo, że ciemność wokół statui Essi – boga nieba – wlała mi się w oczy i oślepiła mnie na pół dzwonu. Sukar pobiegł po moją matkę, która zamiast przyjść, przysłała do nas jego wuja. Nie byłam pierwszym dzieckiem, które zaryzykowało i zapłaciło za to swoją cenę. Drugi raz nie powtórzę tego błędu.

W drodze do odosobnionego miejsca mijamy kilku wiernych medytujących u stóp ulubionych oriszy. Wchodząc coraz głębiej, ludzi widzimy coraz mniej, a w ciszy słychać jedynie tupot naszych stóp. Błyszczące napisy na ścianach odcinają się od ciemności. Nigdy nie miałam powodu, by podawać w wątpliwość święte teksty czy historię plemiennych ziem, której mnie uczono. Święte teksty mówią jednak, że orisze zniszczyli wszystkie demony. Jeśli pierwsi skrybowie się pomylili, czego jeszcze nie wiemy?

Orisza słońca Re'Mec ma na głowie skomplikowane przybranie ze strusich piór i pereł, a jego baranie rogi mają grubość ludzkiego ramienia. Jego oczy płoną żywym ogniem ponad ostrym dziobem. Jest nagi; ma szerokie ramiona, a rzeźba mięśni podkreśla jeszcze jego dominację. Na jego kolanach leży szklana kula. Szara mgła w jej środku reprezentuje dusze oriszy, którzy oddali swoje życie w ofierze, by powstrzymać Króla Demonów.

Siostra bliźniaczka Re'Meca, Koré, siedzi naprzeciwko niego na podium pod szklaną kopułą, która spowija ją w cieniu. Ma rzeźbioną twarz kobiety z plemienia Aatiri, ostre rysy i wyraziste policzki. Jej dłonie to szpony, a długie warkocze niczym strumienie płyną na jej piersi. Trzyma owinięte łańcuchem pudełko z brązu. U jej stóp klęczą

dwie kobiety w przezroczystych, białych turbanach, typowych dla wyznawców Króla Bliźniaka. Obie składają swojemu bóstwu w ofierze pudełeczko ozdób z wyrytymi pod pokrywką księżycami.

Na ścianie obok Koré opowiedziana jest historia upadku Króla Demonów. Włała swoją magię do pudełka, żeby uwięzić jego duszę, ale to nie wystarczało. Potrzeba było dwudziestu spośród ich najpotężniejszych generałów, żeby to pudełko zamknąć. Zgodzili się poświęcić w tym celu swoje *ka*. Inni orisze zginęli na wojnie, ale ta ofiara była konieczna, żeby ją zakończyć.

Obejmuję się ramionami. Nie jestem sobie w stanie nawet wyobrazić, co to oznacza. Jak można poświęcić tę część siebie, którą plemiona uznają za najczystsza i najświętsza. Mam teraz w głowie więcej pytań niż na początku. Jak to możliwe, że demony były równie potężne co orisze, skoro same nie są bogami? Dlaczego pożerały dusze? W jaki sposób to robiły? Znamy tylko urywki historii na ich temat, których uzupełnieniem jest wyobraźnia.

Sukar pokasłuje, pospieszając mnie. Po drodze patrzę jednak na każde z oriszy. Zostawiamy Koré i Re'Meca za sobą, mijamy Esse i Nanę, oriszę, która ukształtowała ziemię.

– Czy porywacz dzieci pojawił się w kolejnych wizjach? – szepczę, nie chcąc przeszkadzać wiernym leżącym u stóp boga morza Mourana. Naprzeciwko niego dwaj kolejni czczą Sisi, strażnika ognia. Zerkam na każdy z mijanych świętych napisów, ale nic nie rzuca mi się w oczy. W większości szczegółowo opisują one wojnę.

– Jeśli pytasz, czy słyszeliśmy o kolejnych wizjach od twojej matki, odpowiedź brzmi nie – mówi Sukar. – Kimkolwiek jest porywacz dzieci, potrafi odepchnąć mojego wuja i pozostałych. *Ka*-Kapłanka jako jedyna ma moc dość dużą, by go dostrzec. A nawet to na niewiele się zdało.

Krzywię się na te wieści. Milczymy, mijając posąg tkacza pór roku Yokulu. Jego wyznawcy rozsypali u stóp cokołu deszczowe stokrotki z okazji Su'omi – pory odrodzenia, kiedy kwiaty rozkwitają po chłodniejszych miesiącach Osesé. Przechodzimy obok patrona dzieci i niewinności Kivy. Obok oriszy snów Omy. Oriszy wdzięczności Kekiyé. Żniwiarza Ugeniou. Obok Fayoumy, matki bydła i drobiu. Fram, bilansujących życie i śmierć. Wszyscy orisze wydają się ogromni.

– A ty, przyjaciółko – mówi Sukar, nietypowo poważnym głosem – dowiedziałaś się czegoś nowego od czasu dziwnej wizji przywódczyni Aatiri?

Kręcę głową, przypominając sobie rozmowę z ojcem. To jeszcze nie pora, by o tym mówić. Wciąż wiemy tak mało...

– Jeszcze nie.

– Bądź cierpliwa jak lew skradający się przez noc. – Puszczą do mnie oko. – *Edam* znajdą odpowiedź.

Na krańcu korytarza napotykamy czternastą oriszę, której imię brzmi Nienazwana. Jej twarzy brak intrygujących rysów, trudno więc byłoby ją rozpoznać, gdyby nie kobry owinięte wokół każdego z jej ramion. Zatrzymuję się, żeby przyjrzeć się jej, a właściwie węzom, jakby gotowym do ataku na jej nadgarstki. Pozostałe figury są majestatyczne i onieśmielające; ta wydaje się po prostu niewłaściwa. Patrzę na nią nieco zbyt długo, a wtedy ciemność wlewa się do moich oczu, a bicie mojego serca przyspiesza. Pokój zdaje się przechylać, a mój umysł ogarnia panika. Zmuszam się, żeby się odwrócić.

Jestem w połowie lektury kolejnego tekstu, kiedy podchodzi do nas Tam, jeden ze sparingpartnerów Rudjeka. Ma złote loki, jasnoniebieskie oczy i brązową skórę mieszkańca Yöome, a jednocześnie rysy Tamarczyka. Jest szczupły i atletyczny. Dobrze wie, że jego szlachetny wygląd przyciąga spojrzenia. Niedawno został pierwszorocznym skrybą i od pewnego czasu uczy w świątyni.

Tam kląska językiem i uśmiecha się przebiegle.

– Czyżby córka *Ka*-Kapłanki znów opuszczała lekcje? – Spogląda na mnie, po czym zwraca się do Sukara. – A siostrzeniec jasnowidza Zu lekceważy swoje obowiązki. Czy mam wam przypomnieć, że z oriszami wiąże nas zależność lenna, a podobny brak szacunku jest źle widziany?

– Spadaj, Tam. – Sukar przewraca oczami. – Nie widzisz, że jesteśmy zajęci?

– Barasa cię szuka – Tam wzrusza ramionami. – Chodzi o jakieś zagubione zwoje.

– Na dwudziestu bogów – Sukar wzdycha głęboko – beze mnie wuj z niczym nie dałby sobie rady.

– Sługa świątyni klnie w swoim miejscu pracy? – Tam krzywi się, a jego uśmiech znika. – To dobrze nie wróży.

– Zamknij się, Tam – warczy Sukar, po czym żegna się, żeby odpowiedzieć na wezwanie wuja.

Kiedy Sukar znika, Tam, opiera się o tron, na którym siedzi orisza życia i śmierci. Fram to dwoistość i równowaga; przedstawia się ich z dwiema głowami, co symbolizuje ich płynną naturę.

– Nie chcieli brać udziału w wojnie z Królem Demonów. – Tam unosi wzrok na Fram. – Dla nich życie i śmierć to dwie strony tej samej monety, odmówili więc, kiedy Re'Mec i Koré poprosili ich o pomoc. Dwoistość to obosieczny miecz... w końcu jednak zmienili zdanie.

Krzyżuję ramiona.

– Nigdy nie sądziłabym, że zostaniesz skrybą, tak bardzo kochałeś arenę.

– Zastanawiałem się nad wstąpieniem do gwardzistów – znów się uśmiecha – ale moim prawdziwym powołaniem jest nauczanie.

Mówi to z takim sarkazmem, że wybucham śmiechem. Już mam go spisać na straty, ale myślę sobie, że może pomóc mi dowiedzieć się czegoś więcej o demonach.

– Powiedz mi o oriszach coś takiego, czego większość ludzi nie wie.

– Wszechświat rozpoczął się od wybuchu. – Gwiżdże, ściągając na siebie wściekłe spojrzenia wiernych. – Istnieje wiele różnych określeń, ale możesz go nazwać Największym Kataklizmem. Pomyśl o tym jako o głębokiej, ciemnej pustce, która bez początku ani końca tworzy i niszczy. Na przestrzeni eonów pierwsi orisze wyłonili się z jego brzucha i, jeśli można tak to ująć, odcięli pępownię. Każdy z nich posiada jakąś część Największego Kataklizmu. Jak sam Kataklizm, orisze kochają swoje dzieła. – Tam przenosi uwagę na Nienazwaną. – Niestety boska miłość jest jednocześnie piękna i przerażająca.

– Nigdy nie słyszałam takiej opowieści o początkach – mówię zaskoczona.

– Trochę ją podkręciłem – przyznaje. – Zostałem skrybą, żeby móc od czasu do czasu skłamać.

– Opowiedz mi o niej... O Nienazwanej. Powiedz mi prawdę.

– Nie, o niej nie rozmawiamy. – Tam kręci głową. – Nie mam nic do powiedzenia – ucina.

Mój wzrok znów pada na węże. „Ktoś... coś tu było” – mówiła babcia. – „Ktoś, kto tu nie pasuje. Wspomnienie przeszłości albo może zły omen...”.

– Zielonooka żmija – przełykam ślinę. – Czy to symbol demonów?

Tam wydaje się zaskoczony, patrzy na mnie, unosząc brew.

– To ciekawe pytanie.

– Dlaczego ciekawe? – Wyczuwam w jego głosie posępną nutę.

– Rzeczywiście, tak orisze nazywali demony – potwierdza Tam. – Choć bowiem przyjmowali wiele różnych postaci, wszyscy mieli zielone oczy, wyróżnik ich rasy.

Przerażenie, które czułam wcześniej, powraca ze zdwojoną siłą. Jeśli mój ojciec ma rację i między dwiema wizjami istnieje związek, mam już odpowiedź. Wiem, czego demon chce od dzieci... czego chce ode mnie.

To niemożliwe. Tak nie może być. Demony wyginęły w czasie wojny z oriszami... Czyżby jeden z nich przeżył? A może jest ich więcej? Wszak jeśli demony mają niezaspokojone pragnienie dusz, to właśnie *ka* dzieci są najczystsze i najświętsze.

OSIEM

Jeszcze długo po opuszczeniu świątyni próbuję złapać oddech. Idę na Wschodni Targ skrótem obok świętego drzewa Gaer. Stoi, samotne i nagie, w mieniącej się, ciemnej ziemi – jego czarne gałęzie są powyginane i obnażone. Magia jest tu tak gęsta, że niemal da się jej dotknąć. Nie zatrzymuję się, ale gałęzie drżą, kiedy je mijam. To najbardziej magiczne miejsce w Tamarze, jeśli nie liczyć Wszechpotężnej Świątyni. Jakże potężny musiał być pierwszy *Ka*-Kapłan Królestwa, skoro oszukał śmierć, zapuścił korzenie i zmienił się w drzewo!

Kiedy docieram na Wschodni Targ, setki chowańców przemykają przezeń niczym rój wściekłych pszczoł. Prześlizgują się w tłumie, chwytają ludzi i wnikają w każdą szczelinę. Dostrzegają je psy, choć większość ludzi ich nie widzi. Wyciągają z powietrza całe ciepło, więc choć jest południe, chłodny wiatr owiewa targ. Słońce ukryte jest za chmurami, co zdarza się rzadko w słonecznym Tamarze. Czy orisza słońca *Re'Mec* też czuje niepokój?

Pozornie wszystko wygląda normalnie. Ludzie kłócą się o ceny, a kupcy targują się, by przyciągnąć klientów. Starsze dzieci uderzają do rytmu w drewniane skrzynie, a ludzie wrzucają miedziaki do stojących przed nimi misek. Zła energia roznosi się jednak w tłumie, niczym ładunek na chwilę przed uderzeniem pioruna. Wybucho kilka kłótni, a miejscy strażnicy są gotowi do akcji. Nagle zaczynam rozumieć: wszystkie te amulety z oriszą *Kiva*, które widzę dzisiaj na targu – wszyscy wiedzą już o zaginionych dzieciach. Kiedy byłam mała, bałam się jego potężnej twarzy i krzywych oczu, ale *Kiva* chroni niewinnych. Ludzie wkładają amulety z jego wizerunkiem, kiedy w mieście roznosi się choroba albo kiedy zbiory są nędzne. To oznaka strachu.

Dostrzegam *Rudjeka*, kiedy uliczny szarlatan próbuje wepchnąć mu amulety. Sprzedawca ma na szyi tuzin naszyjników z kości, z ramion zwisają mu kolejne dwa tuziny. Patrzy na *Rudjeka* szeroko otwartymi, naznaczonymi kataraktą oczami. Ma zapadłe policzki, ziemistą, zmęczoną skórę, a jego ruchy są powolne, jakby był w letargu. Ludzie mogliby pomyśleć, że jest pijany, ale po jego twarzy widać, że oddał swoje lata w zamian za magię. Nie wszyscy szarlatani tak robią, ale ten najwyraźniej tak.

– Potrzebujesz ochrony – mówi głosem trzeszczącym jak skorupka jajka. – Mam dla ciebie naszyjnik. Prosto z ziem plemiennych. Pobłogosławiony przez wielkiego szamana.

Na dźwięk słów szarlatana zatrzymuję się w tłumie, nim zdążę dotrzeć do Rudjeka. Klienci rozstępują się; niektórzy wołają, żebym zeszła im z drogi, ale ja nie mogę się ruszyć. Zawsze myślałam, że szarlatani są słabi. Tak naprawdę niektórzy mają w sobie więcej magii ode mnie, choć nie muszą oddawać w zamian lat. Wypełniają tę część targu, sprzedając amulety, woreczki z ziołami i eliksiry mające spełnić wszystkie pragnienia.

Wiem, jak to jest, pragnąć magii tak bardzo, że to aż boli. Patrzeć, jak rodzice przywołują ją jednym pstryknięciem palców, ale samej nie móc jej nawet dotknąć.

Przełykam gorzką ślinę. Trudno mi pojąć, czemu ktokolwiek jest gotów poświęcić swoje lata, żeby robić błahe błyskotki. Jeśli masz to zrobić, zrób to z lepszego powodu. Zrób to dlatego, że nie masz wyboru.

Ocenianie szarlatanów jest nie fair, ale kiedy na nich patrzę, widzę własne odbicie. Widzę tęsknotę za przynależnością. Widzę pragnienie, by móc się obronić, kiedy demon ruszy za mną w pościg – bo teraz nie mam już wątpliwości, że tak się właśnie stanie. Wizja babci była ostrzeżeniem dla mnie.

Rudjek marszczy czoło.

– Nie potrzebuję świecidełek z kurzych kości.

Szarlatan szeroko rozkłada ramiona, grzechocząc.

– Świecidełek? To prawdziwe amulety.

– Z jakiego pochodzą plemienia? – Rudjek unosi brew, patrząc na maleńkie, związane ze sobą kości.

– Z plemienia Kes – odpowiada szarlatan. – Jak wszystkie najlepsze amulety.

– Hmm... – Rudjek pociera podbródek. – Jestem prawie pewien, że to plemię Aatiri zna się na amuletach z kości.

Mężczyzna krzywi się z taką przesadą, że mógłby występować na scenie.

– Kto ci naopowiadał takich kłamstw?

– To ode mnie usłyszał tę prawdę – mówię, występując naprzód.

Rudjek wita mnie zgodnie ze zwyczajem Aatiri, dotykając czoła i kłaniając się lekko. Jego policzki się rumienią i znów uśmiecha się szeroko, jak głupek. Ja też się czerwienię. Próbuję nie patrzeć w jego obsydianowe oczy, na jego usta, które wydają się miękkie jak jedwab, ani na szerokie ramiona. Popełniam błąd: pozwalam, by mój wzrok ześlizgnął się na gładką, brązową skórę widoczną w wycięciu jego elary. Dostrzegam łuk jego gardła i obojczyk i czuję ciepło w brzuchu. Moja strategia nie wypaliła.

– Jest specjalistką od wszystkiego, co plemienne. – Rudjek kiwa głową w moją stronę. Jego głęboki głos dudni mi w uszach.

– Czekasz na kogoś?

– Na ciebie, oczywiście – szepcze.

– A kim ty... – szarlatan przerywa w pół zdania, kiedy na mnie spogląda. Wygląda na kilka dekad starszego, a jego włosy posiwiały, odkąd widziałam go po raz ostatni, kilka miesięcy przed Krwawym Księżycem.

– Bądź błogosławiona, młoda kapłanko. – Kłania się, wbijając wzrok w ziemię. W moich rysach musiał dostrzec matkę. Wielu ludzi ją widzi. Bursztynowe oczy, wysokie kości policzkowe, zadarty dumnie nos. – Nie chciałem panienki obrazić. Czy w ramach zadośćuczynienia mógłbym przekazać srebrnika na świątynię?

Przestępuję z nogi na nogę, patrząc wszędzie, byle nie na twarz szarlatana. Ostentacyjnie grzebie w kieszeni, a jego dłoń trzęsie się tak mocno, że omal nie upuści monety. Niektórzy spośród zebranych spoglądają z zaciekawieniem. Czego się po mnie spodziewają? Nie jestem swoją matką i nigdy nie będę taka jak ona.

– Tylko nie przeklnij kolejnego nieszczęśnika – błaga mnie Rudjek. – Pamiętasz, co stało się z poprzednim, który cię zdenerwował?

Już chcę zaprotestować, ale choć krzywię się ze wstydu, szarlatan również wydaje się udręczony. Ludzie zawsze wierzą Rudjekowi, kiedy kłamię na temat moich domniemyanych czarów, choć nigdy nie wykazałam się choćby krztyną talentu.

Obcy ludzie nie zwracają na mnie uwagi, póki nie zdadzą sobie sprawy, kim jestem. Myślą sobie, że jestem tylko kolejną głuptaską, którą można okantować na kilka miedziaków, a może nawet na srebrnika. Kiedy odkrywają prawdę – kiedy dowiadują się, kim jestem – patrzą na mnie z mieszaniną strachu, podziwu i tęsknoty. I kapką zazdrości. Tak właśnie spogląda na mnie teraz szarlatan: jak ja patrzyłam na szamanów podczas święta Krwawego Księżyca. Przez chwilę udaję, że to prawda. Udaję, że mogę pokierować magią wedle kaprysu. A pierwsze, co każę jej zrobić, to zatkać Rudjekowi tę gadatliwą gębę szmatą.

Spoglądam na niego ze złością. Odciąga mnie, a wtedy wpierw moją dłoń, a zaraz potem całe ramię zalewa fala ciepła. Jego ręka jest znacznie większa od mojej, a skóra dłoni pokryta jest odciskami od walki na szotele na arenie jego ojca. Serce trzepocze mi w piersi jak ptasie skrzydła. Rudjek zerka w dół, na nasze splecione palce, i znów się rumieni, puszczając moją dłoń. Oboje ciągle ostatnio pąsowiejemy.

– Wolałabym, żeby ludzie nie zachowywali się tak, jakbym była nią – wzdycham z frustracją.

– Twoja matka budzi pewien wyjątkowy rodzaj strachu – mówi Rudjek. – Podobnie zresztą jak mój ojciec.

Przypomina mi się, co Tam powiedział o Fram, oriszach życia i śmierci. Widziano je jako dwie strony tego samego medalu. Tak można by opisać naszych rodziców. Oboje są na swój sposób bezlitośni. Nic w tym dziwnego, że tak się nienawidzą.

Rudjek dotyka mojego ramienia. Znow pulsuje między nami ciepło. Dotykaliśmy się już wiele razy, nic nie powinno się zmienić, a jednak iskra w jego oczach koloru nocy i moje pragnienie objęcia go są nie do przeoczenia.

– Wszystko w porządku?

Kilka osób zauważa, że jesteśmy razem, a ja pokrywam się rumieńcem. Trudno go nie zauważyć. Syn wezryra w pięknej, fioletowej elarze z platerowanymi złotem szotelami u boków. Na głowie ma burzę czarnych loków. Chce coś powiedzieć, ale zagryza wargę. Panuje niezręczna cisza, póki nie kiwnę głową.

Kiedy krocymy przez targ, opowiadam Rudjekowi wszystko, tak szybko, że tracę oddech. Mówię bardzo długo. Jest mi łatwiej, bo jednocześnie przedzieramy się przez tłum, a on jest blisko mnie. Wcześniej nie byłam gotowa mówić o wizji babci, ale czuję ulgę, kiedy wreszcie to z siebie wyrzucam. Przy Rudjeku mogę pozwolić sobie na słabość, mogę przestać się tak pilnować.

– Jak to w ogóle możliwe? – zastanawiam się na głos. – Demony? Po tak długim czasie?

Wpatruje się we mnie zaskoczony. Nie tego się spodziewał. Większość przyjaciół, których spytasz, czy wszystko w porządku, powie, że boli ich ząb albo że pokłócili się z partnerem. Ja przekazałam mu wieść, że demon przybył do Tamaru. Nawet moim zdaniem to brzmi ponuro.

– To, co sugerujesz... – Rudjek chwyta za rękojeści swoich szoteli i wykręca szyję, żeby zerknąć w alejki. Nawet Majka i Kira trzymają się dzisiaj bliżej nas niż zwykle. Są w pełnej gotowości, rozglądają się czujnie, a dłonie kładą na rękojeściach broni. – To niemożliwe, żeby demony wróciły... To by oznaczało... – nie jest w stanie dokończyć zdania.

– To czemu się tak boisz? – Krzyżuję ramiona na piersi.

Nim Rudjek zdąży odpowiedzieć, chowaniec przemyka między jego nogami i wślizguje się w zacieniony obszar za nim. Całe tuziny wdrapują się po zamkniętych drzwiach, po ścianach i stoiskach handlarzy. Niczym ptaki zasiadają na krokwiach apteki, kiedy dwaj strażnicy przepychają się przez tłum. Za nimi kroczą czterej rybacy niosący na noszach mężczyznę. W jego ramię wbity jest hak na wieloryby. Oboje patrzymy na niego z przerażeniem. Wszędzie jest mnóstwo krwi, która wypełnia powietrze. Przełykam ślinę, żeby pozbyć się kwaśnego smaku z ust. Mężczyźni wchodzą do apteki, chowańce wślizgują się za nimi. W porcie zdarza się wiele

wypadków, ale tak straszego nie widziałam od dawna. Przypominam sobie historię byłego *Ka-Kapłana*, którego ktoś nadział w zatoce na hak.

– Szkoda, że nie widzisz, ile tu jest chowańców. – Kręcę z niedowierzaniem głową.
– To zły znak.

– Chowańców? – Rudjek skubie swoją tunikę. – Masz na myśli zbłąkane duchy?

Krzywię się, nie chcąc słuchać kolejnego wykładu o tym, co twierdzą skrybowie. Skrybowie chcą, żebyśmy zapomnieli o duszach, które chodziły po ziemi na długo przed ludźmi. Niektóre z nich nie zstąpiły jednak w zaświaty. Są wciąż tutaj, ukrywają nam się pod nosem. Ich obecność jest kłująca jak igła. Nie mam czasu, żeby znów kłócić się o to z Rudjkiem. Kręci mi się w głowie, kiedy patrzę na ślad krwi ciągnący się za rybakiem.

– Nic mnie nie obchodzi, co mówią twoi skrybowie – warczę.

– Ludzie mówią o zbłąkanych duchach, o chowańcach, odkąd... – Rudjek rozgląda się dokoła i ścisza głos do szeptu – odkąd zaginęło pierwsze dziecko. Mój ojciec wciąż twierdzi, że to plemienne przesady, a ja... żałuję, że też ich nie widzę. – Za naszymi plecami robi się zamieszanie. Rudjek sięga ku swoim szotelom. Kiedy widzi, że to tylko wóz się przewrócił, znów spogląda na mnie z przerażeniem w oczach. – Wczoraj porwano kolejne dziecko. W sumie to już szóstka.

– Szóstka zaginionych?

Głos mi się łamie. Patrzę na małą dziewczynkę, która wślizguje się jednemu z klientów pod ramię i kradnie sakiewkę z pieniędzmi. Mężczyzna, niczego nie dostrzegając, przegląda towar na stoisku z nożami *tobachi*. Wzrokiem szukam na targu dzieci, których jest tyle co dorosłych. Serce wali mi w piersi. Gdybym miała w sobie magię, mogłabym coś zrobić. Cokolwiek. Czy mam tylko biernie przyglądać się, jak demon zabiera najbardziej bezbronnych pośród nas, a potem czekać na swoją kolej? W zeszłym roku wystarczyło, że wypowiedziałam imię Arti, żeby uchronić Kofiego przed szturchańcami jego macochy.

Kofi.

Gwałtownie zawracam, kierując się ku sprzedawcom ryb. Muszę się upewnić, że u mojego przyjaciela wszystko w porządku.

– *Shotani* przeczesują miasto – mówi Rudjek, dotrzymując mi kroku. – Teraz, kiedy zaginął jeden z uczniów, gildia zaczęła się przejmować.

Magia *shotani* dryfuje wśród tłumu nawet teraz. Jest ciężka i przytłaczająca; czuć ją, to jak tonąć w jamie ze smołą. W porównaniu z *shotani* miejscy strażnicy to zwykła niedogodność.

– Czy znaleźli... – Przełykam ślinę, niezdolna, by wypowiedzieć słowo „ciała”.

– Nie. – Rudjek przeczesuje palcami kręcone włosy. Nie bardzo wie, co zrobić z rękami, nie uspokaja się nawet, kładąc je, jak zazwyczaj, na rękojeści miecza. – Nie ma żadnych tropów. Coś jest nie tak. Przecież to *shotani*! Pobłogosławieni przez samych oriszy.

– Jeśli nawet Arti nie może dostrzec porywacza w swoich wizjach, *shotani* nie mają szans – odpowiadam.

Rudjek opiera ręce na biodrach.

– Naprawdę próbuje?

Wypowiada te słowa i blednie. To oskarżenie jest dla mnie jak cios w brzuch. Nie musi mówić więcej: wszystko jest zapisane na jego twarzy. Nasi rodzice się nienawidzą i każde z nich zrobiłoby niemal wszystko, żeby dopiec drugiemu.

– Nie wiem. – Pochyliam głowę. Nie powinnam mieć wątpliwości co do szlachetnych intencji mojej matki, a jednak...

– Przepraszam. – Rudjek odwraca wzrok. – Nie powinienem sugerować...

Zagryzam wargę.

– Czy twój ojciec by jej pomógł, gdyby sytuacja się odwróciła?

W oczach Rudjeka dostrzegam ból.

– Nie sądzę.

Powoli idziemy dalej, mijając grupy ludzi zatrzymujących się przed sklepami. W ich szeptach słychać nutę frustracji i strachu. Będzie znacznie gorzej, jeśli ktoś nie powstrzyma porywacza dzieci. Wybuchnie bunt.

Kiedy docieramy do sprzedawców ryb, oddycham z ulgą, a Rudjek uśmiecha się do mnie uspokajająco. Kofi stoi na swojej skrzyni pokryty łuskami. Cuchnie straszliwie, ale nic mu nie jest. Uśmiecha się do mnie szeroko i przewraca oczami na widok Rudjeka. Jak to Kofi.

– Jak idą interesy? – Zmuszam się do wesołości. – Ryby sprzedają się jak świeże bułeczki?

– Terra kupiła dzisiaj siedem alektysów. – Kofi spogląda na ojca, który targuje się z klientem o cenę krewetek. – Dałem jej ósmego za darmo, bo jesteście dobrymi klientami.

– Czy ten kurdupel z tobą flirtuje? – szepcze mi do ucha Rudjek.

Kofi krzyżuje ramiona i patrzy chmurnie na Rudjeka, który stoi dokładnie naprzeciwko niego.

– Zamierzasz coś kupić?

– Czy mam go wyzwać na pojedynek na arenie? – Rudjek zerka na mnie kątem oka.

– Mogę zasłonić oczy, żeby było sprawiedliwie.

Pora już iść.

Rzucam Kofiemu srebrnika, którego on chwyta w powietrzu.

– Trzymaj się blisko ojca i uważaj na siebie, dobrze?

– Dobrze. – Kofi znów wymienia spojrzenia z tatą. – Obiecuję.

– Do zobaczenia – mówię i odciągam Rudjeka.

– Załatwię mu strażnika – szepcze tak cicho, że tylko ja go słyszę. – Wiem, że to niewiele znaczy, ale przynajmniej będziemy wiedzieli, że jest bezpieczny. Żałuję, że nie mogę zapewnić ochrony wszystkim dzieciom. – Drapie się w szyję. – Jako przyszły wezyr choć raz powinienem zrobić coś przydatnego.

Uśmiecham się do niego promiennie. Kiedyś będzie lepszym wezyrem niż jego ojciec. Teraz, kiedy mam pewność, że Kofi będzie bezpieczny, trochę się uspokajam. Ale wtedy chowaniec muska mnie w ramię i nieruchomieję. Moje ciało przeszywa dreszcz. Mimo upału czuję ukłucia lodowatych igieł. Mija mnie cała horda chowańców. Oddech więźnie mi w gardle. Tuzin roi się wokół Kofiego, wijąc się wokół jego twarzy, ramion, nóg, niczym płaszcz utkany z koszmarów.

Ich przekaz jest oczywisty. Porywacz dzieci powróci.

Mój przyjaciel będzie następny.

DZIEWIĘĆ

Arti siedzi naprzeciwko mnie przy niskim stole w salonie, wpatrując się w ścianę i mieszając swoją zupę rybną. Nie odezwała się ani słowem. Choć trudno o niej powiedzieć, że lubi czece pogaduszki, dziś wydaje się wyjątkowo milcząca. Zmartwienie rysuje się na jej twarzy; wygląda na zmęczoną, a to sprawia, że i ja się martwię. Po raz pierwszy, odkąd pamiętam, dostrzegam pod jej oczami ciemne cienie, jakby nie spała od wielu dni. W takich chwilach przypominam sobie, że choć moja matka bywa chłodna, nie jest pozbawiona uczuć.

Po jej twarzy widać, że ciężko pracowała, odprawiając rytuały, próbując odkryć porywacza dzieci. Nie powinnam była wątpić w moją matkę. Oczywiście, że zamierza pomóc.

Dobre kilka chwil temu usiedliśmy do kolacji, a ja wciąż nerwowo ściskam dłonie między kolanami. Powtarzam sobie, że przecież Kofi ma teraz ochronę. Wszystko będzie dobrze. Jak nigdy wcześniej, jestem głęboko wdzięczna, że Rudjek jest synem wezyra. Starczyło jedno jego słowo, a strażnik znalazł się u boku Kofiego w przeciagu pół dzwonu. To gwardzista, jeden z żołnierzy z elitarnej Wszechpotężnej Armii. Nie mogę się doczekać, kiedy sama do niego pójde. Obiecałam, że będę go chronić.

Siedzący u szczytu stołu Oshhe kaszlnięciem wrywa mnie z zamyślenia.

– Rozumiem, że w świątyni nie dzieje się dobrze?

Arti mruga, jakby chciała oczyścić umysł z zasnuwającej go pajęczyny, a przez jej twarz przemyka słaby uśmiech. Sięga po dłoń Oshhego, ja zaś sięgam po jej dłoń. Moi rodzice spoglądają na siebie, a w ich spojrzeniu jest smutek, poczucie straty.

– Chciałabym, żeby było inaczej – mówi cicho.

– Ja też. – Ojciec uśmiecha się z rezygnacją.

Do salonu wbiega Ty, za nią Terra, a rodzice nieznacznie odsuwają się od siebie. Nasza gospodyni chwyta miskę Oshhego, a gorąca wciąż zupa wylewa jej się na ręce i fartuch. Nic nie zauważa, tylko odstawia misę na pustą tacę niesioną przez Terrę i rusza ku Arti. Spoglądamy na siebie z ojcem. Ogarnia mnie strach – oczy Ty są puste. Kiedy jest w takim stanie, równie dobrze mogłoby jej tu nie być. Wycofała się gdzieś w otchłań swojego umysłu, gdzie kryją się nawiedzające ją lęki.

– Ty, zjesz dzisiaj z nami? – Głęboki głos Oshhego jest pełen życzliwości. – Terra może się zająć naczyniami.

Zamożne rodziny niechętnie zapraszają służących do stołu. Bardzo długo o tym nie wiedziałam, bo Nezi i Ty często jedzą z nami. Rozmawiałam o tym z Rudjkiem po moich dwunastych urodzinach. Tak bardzo się ucieszył, że pobiegł zapytać matkę, czy ich służący też mogą zasiąść z nimi do posiłku. Najpierw ona ostro go skarciła, a zaraz potem ojciec wyśmiał.

Ty ani nie przyjmuje zaproszenia mojego ojca, ani go nie odrzuca. Drżącym rękami zamiata okruchy ze stołu. Terra odstawia tacę i idzie po Nezi. Zanim się tu pojawiła, to było moje zadanie – kiedy Ty miała jeden ze swoich epizodów, biegłam po Nezi, która jako jedyna potrafi ją uspokoić. Ten stan zawsze mija, ale trudno się na nią wtedy patrzy.

– Zupa była dzisiaj przepyszna – mówię, starając się ją obudzić. – Najlepsza, jaką zrobiłaś.

Chrząka, ale jej wargi się nie poruszają, a jej słowa pochłania cisza. Zastanawiam się, czy zmartwiła ją wieść o porwaniach. Kiedy kończy zbieranie naczyń ze stołu, jej skóra jest całkiem szara. Zamiera. Arti również sztywnieje. Ty wycofuje się do kąta i kręci głową z szeroko otwartymi oczami.

– Wystarczy, że poprosisz, Ty – mówi Arti przez ściśnięte gardło. – A sprawię, że ci przejdzie.

Zagryzam wargę i ściskam pięści między kolanami. Podobnie jak babcia, Arti jest w stanie manipulować ludzkim umysłem, ale jej moc ma swoje ograniczenia. Nie potrafi sprawić, by wspomnienia zniknęły na zawsze, umie je jedynie schować na jakiś czas. Ty jej nie odpowiada.

Kiedy Nezi wbiega do salonu razem z Terrą, oddycham z ulgą. Na jej twarzy maluje się grymas, gdy omiata nas wszystkich spojrzeniem. Ty jest najstarsza w naszym domu, Nezi zaś – druga w kolejności. Jej czarne warkocze przetykane są srebrem i odstają na wszystkie strony. Patrząc na jej pokryte bliznami dłonie, powyginane jak korzenie drzew. Kiedyś mówiła mi, że poparzyła je, skubiąc magię z nieba.

– Jestem. – Chrapliwy głos Nezi odbija się echem w pokoju. Nie podchodzi do Ty, to tylko pogorszyłoby sytuację. Wiem to z doświadczenia. Nezi drapie się po starych bliznach, zawsze tak robi, kiedy jest zmartwiona czy zdenerwowana. – Chcesz, żeby Arti ci pomogła?

Ty odwraca się gwałtownie, a jej oczy lądują na przyjaciółce. Jest między nimi porozumienie. Nie znam tego tajemnego języka, którym mówią inne kobiety w moim domu. Ty odpowiada mrugnięciem. Paznokcie wbija w kamienną ścianę, oddycha płytko i szybko. Już po chwili łaskocze mnie piórko magii mojej matki. Rozprzestrzenia się po pokoju. Ty zamyka oczy i wydaje z siebie długi jęk, po czym znów się uspokaja.

Kiedy Ty dochodzi do siebie, ojciec mówi do Terry, żeby zebrała naczynia. Kiedy Terra wraca, Ty znów ma na twarzy wymalowaną maskę surowej gospodyni. Razem podają nam kolejne danie: pieczoną rybę z pieprzem i miętowy ryż. Ty kłania się Arti, która odwzajemnia gest. Kiedy wraca do kuchni razem z Nezi i Terrą, na jej twarzy maluje się spokój. Ja też czuję ulgę.

Arti wygląda na wyczerpaną. Magia odbiera siłę wszystkim, nawet najpotężniejszym. Wzdycha. Jej cera jest ziemista, oczy jeszcze bardziej zaczerwienione. Ale dojdzie do siebie, w odróżnieniu od pożyczających magię szarlatanów, ona nie oddaje swoich lat. Magia chętnie odpowiada na jej wezwanie. Oshhe też wygląda na zmęczonego. Zawsze tak jest po całym dniu. Jesteśmy w połowie posiłku, a ja wciąż drzę po epizodzie z Ty, kiedy Oshhe ogłasza:

– Rano muszę wyjechać, żeby zapolować na białego wołu.

Nie muszę pytać, dlaczego. Pomagałam mu w sklepie tyle razy, że dobrze wiem, co chce zrobić z białym wołem.

– Nie potrzebuję ochronnego talizmanu, tylko własnej magii.

Arti zaciska szczękę, ale się nie odzywa.

Mój ojciec przełyka ślinę, a jego jabłko Adama podskakuje.

– Nie wiem, czy to demon, bo znamy tylko historie o nim. Próbowaliśmy odprawić rytuał, żeby wejrzeć w czas i przestrzeń, ale magia nie chce być mi posłuszna. Tego konkretnego daru nie posiadam.

Wbijam nóż w alektysa na moim talerzu.

Gdybym tylko odziedziczyła choćby cząstkę daru po Arti i babci, mogłabym pomóc. Mogłabym zrobić cokolwiek, żeby powstrzymać porywacza i chronić Kofiego.

– Zrobię ci najsilniejszy ochronny amulet, jaki widziały plemiona. – Oshhe zagłusza moje protesty. – Wróć za kilka dni. Muszę pojechać do Doliny Aloo, żeby odnaleźć bestię.

– Do Doliny Aloo? – wołam. – Przecież to blisko Mrocznego Lasu! Tam grasują strachopłochy.

Nikt ich nie widział na oczy, odkąd zaatakowały Wszechpotężną Armię w Dolinie Aloo wiele pokoleń temu. Nieczęsto gości tam ktoś z królestwa – nikt nie chce kusić losu. To tam rozpoczęły się dzieje rodziny Omari.

Znana baśń głosi, że daleki przodek Rudjeka, Oshin Omari, walczył z nimi jako ostatni. Oshin przeprowadził kampanii mającej wygnać je z powrotem do Mrocznego Lasu, kiedy groziły granicom królestwa. Jego armia stacjonowała w Dolinie Aloo pomiędzy południowym skrajem królestwa a Mrocznym Lasem. Sprytne i zwodnicze strachopłochy zabiły jednej nocy połowę jego ludzi.

Zmęczony kolejnymi klęskami, Oshin sam ruszył do lasu, nakazując swoim ludziom, by nie szli za nim. Szedł przez bagna, nie napotykając żadnych strachopłochów, póki nie dotarł na polanę. Tam został otoczony. Wyciągnął swoje szotele, gotowy na honorową śmierć, ale go nie zaatakowały. Jego odwaga zrobiła na nich tak duże wrażenie, że ich przywódca zaproponował walkę jeden na jednego, na śmierć i życie. Miecz przeciwko szponom, zębom i trzywarstwowej skórze. Strachopłoch był szybki i przebiegły, ale Re'Mec ceni odważnych. Oshin zwyciężył i strachopłochy ugięły się przed jego walecznością. W nagrodę obiecały, że zrezygnują z najazdu na królestwo, którego mieszkańcy dzięki waleczności Oshina zyskali ich szacunek. Ten zabrał ze sobą zabita ofiarę i niewiele później odkrył w jej kościach antymagię.

– Owszem, to blisko Mrocznego Lasu – powtarza Oshhe – ale nie w nim, córko. Od pokoleń w Dolinie Aloo panuje spokój. To tam mam największą szansę odnaleźć wołu. Powinniśmy się obawiać nie tylko porywacza dzieci, ale i ludzi, którzy pozwalają, by rządził nimi strach.

Moje błagalne spojrzenie napotyka oczy matki. Jeśli coś łączy moich rodziców, to upór. Nie chcę, żeby ojciec jechał, ale wiem, że nie ma sensu próbować go od tego odwozić. W tak niepewnych czasach powinniśmy trzymać się razem. Nikt nie jest bezpieczny.

– Razem z jasnowidzami znajdziecie demona, prawda? – pytam szeptem matkę.

Pierścień *Ka*-Kapłanki z brzękiem uderza o talerz. Dzisiejszego wieczora ma barwę szmaragdu.

– Czy to demon, czy nie – wzdycha – ja zrobiłam już wszystko, co w mojej mocy. Teraz Suran musi sam zabrać się do pracy. Ochrona Królestwa to jego zadanie.

– A jeśli mu się nie uda? – wołam. – Zaginie jeszcze więcej dzieci!

Matka spogląda na mnie smutnymi, nabiegłymi krwią oczami.

– Obawiam się, że tak właśnie będzie.

DZIESIĘĆ

Każdego ranka modłę się za zaginione dzieci przed ołtarzem przodków. Ojciec wyjechał trzy dni temu, a mnie uspokaja tylko rutyna. Wypowiadając słowa błogosławieństwa, ściskam amulet od *imebyé*. Gdybym podążała za tradycją Mulani, zrobiłabym lalkę ze zużytych szmat. Kes również żądają lalki, ale z gliny. Tradycja Litho domaga się ofiary, zazwyczaj z kurczęcia. Zu odprawiają tańce w świetle księżyca. Na wszelki wypadek dokładam amulet Kivy, oriszy dzieci. Nie mam zamiaru się przejmować, że mieszam dwie wiary. Plemiona czczą jednego boga: Hekę. Królestwo wierzy w orisze. Ja będę na zawsze wierna temu, kto odpowie dziś na moje modły.

Wiem jednak, że bez magii rytuał i tak jest bez znaczenia. Moje przeczucia co do daru Heki są niewiele warte. Po co w ogóle dostrzegać na nocnym niebie magię, skoro nie można jej dotknąć? Pewnie powinnam być wdzięczna, że mój umysł opiera się jej wpływowi, ale tak nie jest. To nie wystarczy, by cokolwiek zmienić. Nie wierzę, że moim przeznaczeniem jest siedzieć w domu i nie robić nic. Jeśli mój los jest w jakiś sposób związany z zielonooką żmiją – z demonem – prędzej czy później nasze drogi się przetną. Powinnam zacząć się przygotowywać, powinnam umieć się obronić.

Tęsknię za ojcem. Chcę, żeby był tu ze mną. Chcę, żeby obiecał mi, że wszystko będzie dobrze. Powstrzymałam łzy przez cały czas oczekiwania, aż wejdzie na statek płynący do Doliny Aloo.

– Nie martw się, Mała Kapłanko – powiedział, uśmiechając się szeroko. – Niedługo wrócę.

– Nie chcę, żebyś jechał – błagałam ze łzami w oczach. – A co, jeśli coś się stanie pod twoją nieobecność?

A co, jeśli demon po mnie przyjdzie?

– Zaufaj swojej matce. – Oshhe ścisnął moje ramię. – Wiem, że ma trudny charakter, ale bardzo cię kocha.

Odwrociłam się, czując w ustach gorzyc. „Trudny charakter”, co za eufemizm.

Ojciec delikatnie chwycił mnie za podbródek, tak że musiałam na niego spojrzeć.

– Nie jest wcale tak nieporuszona, jaką udaje. Ona też cierpi. Cierpi bardziej, niż mogłoby ci się wydawać.

Potrząsam głową, odganiając wspomnienia, Terra wbiega do mojego pokoju na poranną toaletę. Opowiada mi najnowsze zasłyszane na targu plotki, ale unika tematu zaginionych dzieci.

Zamiast udać się na lekcje ze skrybami, znowu idę sprawdzić, co u Kofiego i spotkać się z Rudjkiem na Wschodnim Targu. On też wagaruje. Chociaż narzeka, że Kofi jest tylko małym oszustem, bez wahania pomaga go strzec. Wiem, że mimo wszystkich złośliwości chłopiec też go lubi. Słyszałam kiedyś, jak broni mnie i Rudjeka przed grupką starszych dzieci. Miał łzy w oczach, kiedy powiedzieli mu, że przyjaźnimy się z nim tylko z litości.

Kiedy wykurzyłam dzieciaki, zapytał mnie, czy to prawda. Zrobiło mi się przykro, że nie jest pewien odpowiedzi, ale go rozumiałam. Powiedziałam mu prawdę: przyjaźnię się z nim, bo podobnie jak on dobrze wiem, jak to jest gdzieś nie pasować. A Rudjek się z nim przyjaźni, bo ceni jego odwagę i lubi słuchać jego opowieści. I to również była prawda.

Mimo panujących w Tamarze lęku i niepokoju na targu jest pełno ludzi. Dym wznoszący się ponad paleniskami wypełnia powietrze i gryzie w oczy. Mieszkańcy kłócą się o zaginione dzieci z ubraną na szaro Miejską Strażą. Ludzie mówią, że porywacz ukrywa się gdzieś w mieście. Nikt nie wie, gdzie dokładnie, więc o to też się kłócą. Przedzieram się przez tłum. Kiedy docieram na miejsce, w którym Kofi i jego ojciec rozstawiają zazwyczaj swoje stoisko, jest tu inna handlarka.

– Może chce panienka poznać przyszłość? – Drogę zastępuje mi drobna kobieta w brudnym ubraniu. Ma dziwne, blade oczy, a jej ciemną skórę okalają długie, rozpuszczone warkocze. – Przepowiem ci ją za trzy miedziaki.

Patrzę na nią przepraszająco i zwracam się do handlarki, której nie powinno tam być.

– Przepraszam. – Przepychem się na początek kolejki. Klienci warczą i przeklinają mnie pod nosem. – Gdzie jest sprzedawca ryb, który zazwyczaj tutaj stoi?

– Poczekaj na swoją kolej, panienczko. – Kobieta o złotych zębach kłaska językiem. – Mojego słynnego wielorybiego tłuszczu wystarczy dla wszystkich. Jest jeszcze wcześniej.

Powtarzam pytanie głośniej, a kobieta wzrusza ramionami.

– Nie znam żadnego handlarza ryb ani jego syna. Kto pierwszy ten lepszy – miejsce było wolne, więc stanęłam tutaj.

Kiedy oddalam się od jej stoiska, serce mocno wali mi w piersi. Kofi i jego ojciec jeszcze wczoraj sprzedawali tu świeże sumy i tilapie. To ich ulubione miejsce.

Szukam ich, zagryzając wargi. Przenoszę wzrok z jednej twarzy na drugą. To nie on. Nie on. Gdzie on jest? Przed moimi oczami przemyka niekończąca się ludzka fala.

Pytam pobliskich sprzedawców, czy widzieli ojca Kofiego, ale lekceważą moje pytania i namawiają mnie do zakupu swoich towarów. Mam ochotę powiedzieć jednej czy drugiej chciwej świni, gdzie może sobie wsadzić swoje błyskotki, ale wracam w tłum, żeby szukać dalej.

Byłoby mi łatwiej, gdybym miała do dyspozycji magię. Mogłabym użyć amuletu, żeby narysować drogę do Kofiego na zwoju, zamiast polegać na plotkach. Przełykam ślinę, ale nie potrafię stłumić rosnącej we mnie frustracji. Całe moje ciało się trzęsie.

– Arrah! – słyszę głos Rudjeka. Odwracam się do niego. – Poczekaj.

Majka i Kira przedzierają się przez tłum. Ubrani są w czerwone mundury gwardzistów, nikt więc nie waży się ich odepchnąć. Oddycham z ulgą. Cała ich trójka pomoże mi szukać.

– Nie mogę znaleźć stoiska Kofiego i jego ojca. – Zerkam Rudjekowi przez ramię, nie przestając szukać. – Widzieliście go?

Rudjek chwyta mnie za ramię z ponurym wyrazem twarzy. Nie podoba mi się to spojrzenie. Bardzo mi się nie podoba.

– Zniknął, Arrah. – Rudjek kręci głową. – Wczoraj wieczorem...

– Nie! – odsuwam się od niego. – Musi tu gdzieś być.

Między moimi nogami prześlizguje się chowaniec. Aż podskakuję. Cztery dni temu na targu chowańce otoczyły Kofiego. Było ich zbyt wiele, by dało się zliczyć. Obiecał, że będzie uważał. Obiecał mi.

Rudjek podchodzi do mnie blisko. Jego zapach lilii i drzewnego dymu jest teraz jednocześnie kojący i duszący.

– Przykro mi, Arrah. – Jego słowa są jak ostrze. – Gwardzista, który miał go pilnować, odstąpił tylko na chwilę, a kiedy wrócił, Kofi... zniknął.

– Jak to zniknął? – Kręci mi się w głowie i nie do końca rozumiem, co się do mnie mówi.

Dudni mi w uszach. Jeszcze nie jest za późno. Nie może być za późno.

– Odnajdę Kofiego – mówię. Podjęłam już decyzję.

Rudjek kładzie dłonie na rękonościach swoich szoteli, przestępując z nogi na nogę.

– Co masz na myśli, Arrah?

– Istnieje pewien sposób – mówię, nie patrząc mu w oczy.

– Nie podoba mi się to, co słyszę. – Marszczy czoło. – Jaki sposób?

Nie odpowiadam, więc Rudjek powstrzymuje się przed zadaniem kolejnego pytania. Podąża za mną do tej części targu, w której kręcą się szarlatani. Natrafiamy na dwudziestu kilku sprzedawców ochronnych amuletów – ze srebra, ze złota, z kości. Są tu amulety z wizerunkami Kivy, Re'Meca, Koré i innych oriszy. Ludzie stają po nie w kolejkach i przepychają się, żeby dostać ten wymarzony. Krzywię się, patrząc na te

zaciekle utarczki. Część szarlatanów to zwykli oszuści, którzy świadomie sprzedają fałszywe amulety.

Szybko zauważam tego, który proponował Rudjekowi zakup ochronnego amuletu.

– Daj mi chwilę.

– Tylko pod warunkiem, że powiesz mi, co się dzieje. – Rudjek zaciska wargi, mówi poważnie.

– Dobrze – zapewniam go, gdy dołączają do nas Kira i Majka.

Opuszczam go wtedy i przepycham się w kolejce do szarlatana.

– Możemy porozmawiać?! – wykrzykuję.

Pokazuje jakiejś kobiecie dwie saszetki z ziołami, jak twierdzi, pierwsza z nich odgania nieszczęście, druga zaś – przynosi szczęście. Kobieta nie umie zdecydować, która z nich jest lepsza.

Kiedy odzywam się poza kolejnością, mężczyzna unosi brew. Nie wyobraziłam sobie tego – jego twarz naprawdę jeszcze schudła, a włosy są nie tylko posiwiałe, ale i rzadsze. Jego katarakta też się pogłębiła.

– Córka *Ka*-Kapłanki. – Pochyla głowę. – Skoro ostatnio mi odmówiłaś, może tym razem przyjmiesz monetę na świątynię?

– Musimy porozmawiać o czymś innym. – Moje plecy oblewa pot. Przysięgłabym, że inni klienci zatrzymali się, żeby patrzeć, jak błagam o pomoc. – Przyszłam w prywatnej sprawie.

Mężczyzna uśmiecha się przebiegle. Wie, czego potrzebuję. Popełniam błąd, przychodząc tutaj, ale czy mam jakiś wybór? Nie mam powodu sądzić, że mi się uda. Zarówno moja babcia, jak i Arti są utalentowanymi jasnowidzkami, co więcej, demon pojawił się w wizji na mój temat. Muszę wykorzystać ten fakt, żeby odnaleźć Kofiego i pozostałe dzieci. A przynajmniej spróbować.

– Oczywiście – mamrocze fałszywie słodkim tonem. Po czym odzywa się na tyle głośno, by usłyszeli go pozostali. – Pozostaję na usługach Świątyni.

Przeprasza na chwilę klientów. Chowamy się w alejce, żeby porozmawiać na osobności. Kątem oka patrzę, jak Rudjek chodzi wte i wewte na końcu alejki, poza zasięgiem słuchu. Kira i Majka pozostają czujni. Dłonie trzymają na rękojeściach broni.

– Cóż mógłbym zrobić dla córki najwspanialszej jasnowidzki, jaką widziało Królestwo? – pyta z taką złośliwością w głosie, że żołądek mi się kurczy. – Ja miałbym w czymkolwiek pomóc tobie?

– Muszę... muszę... – zaczynam, ale nie jestem w stanie wydobyć z siebie ani słowa.

Znów się rozglądam, żeby mieć pewność, że nikt więcej mnie nie usłyszy. Moi rodzice tak bardzo by się mnie w tym momencie wstydzili. Ja wstydzę się sama za

siebie.

– Muszę poznać tajemnicę zamiany magii na lata.

Mężczyzna uśmiecha się szerzej, a ja zagryzam wargi. Robię to dla Kofiego.

– Zapłacę. – Grzebię w sakiewce. – Ile?

– Dla ciebie... – jego przebiegłe, zniszczone kataraktą oczy napotykają mój wzrok – za darmo.

Poprawia sobie torbę na ramieniu i podnosi klapę. W środku ma mnóstwo buteleczek, świecidełek, ziół, amuletów i papirusowych zwojów. Grzebie pomiędzy nimi, mrużąc oczy, aż wreszcie podaje mi zwój obwiązany czerwonym sznurkiem.

– Wystarczy, że przeprowadzisz rytuał raz, żeby stworzyć most, po którym magia do ciebie przyjdzie – wyjaśnia. – Potem każdy rytuał odbierze ci kolejne lata. Musisz być ostrożna.

Przełykam żółć, która zbiera mi się w gardle. Żołądek skręca mi się z niepokoju. Nie zastanawiałam się nad wszystkimi konsekwencjami poświęcania swoich lat. Ojciec nie mówił mi o tym, kiedy rozmawialiśmy o cenie magii. Czy jeśli zbuduję most, zrezygnuję z możliwości posiadania własnej magii? Każdy odprawiony przeze mnie później rytuał będzie czerpał z tej okrutnej transakcji.

Patrzę na zwój, a moje ręce drżą. Czy będę mogła z tym żyć, skoro nie sposób tego cofnąć? Czy pogodzę się z faktem, że zrezygnowałam z ostatniej szansy na odnalezienie własnej magii?

Chcę spytać, czy jest jakiś sposób, by spalić most – odłączyć go po jednym rytuale – ale gryzę się w język. To nieistotne. Złożyłam Kofiemu obietnicę i zamierzam jej dotrzymać. Jeśli most będzie istniał już zawsze, to moja sprawa, czy oprę się pokusie użycia go po raz kolejny.

– Zastanów się poważnie nad tą decyzją, dziecko – ostrzega mężczyzna, wrywając mnie z zamyślenia.

Dziękuję mu i chowam zwój do kieszeni. Kiedy odwracam się, gotowa, by odejść, mówi jeszcze wesoło:

– Następnym razem, kiedy zobaczysz na targu jednego z nas, postaraj się nie patrzeć na nas z góry.

Nigdy jeszcze aż tak bardzo nie pragnęłam zniknąć. Dotąd nie miałam wiele do czynienia z szarlatanami – nie z tymi, którzy ważą się nazywać szamanami. To prestiżowy tytuł, na który nie zasługują, tytuł, który – jak mi się wydawało – mnie należy się przez wzgląd na pochodzenie. A jednak ja też na niego nie zasłużyłam i już nie zasłużę. Wciąż nie jestem przekonana do zamiany lat na magię, ale czy wolno mi sądzić tych ludzi?

– Przepraszam. – Zagryzam wargę. – Więcej tego nie zrobię.

Nie odchodzę od niego, ale uciekam, zalewając się potem i z trudem łapiąc oddech. Rudjek zastępuje mi drogę, powstrzymując mój atak paniki. Marszczy czoło, na jego twarzy maluje się zmartwienie. Trudno mi sobie wyobrazić, jakie szaleństwo muszę mieć teraz w oczach. Czy widzi mój strach? Czy czuje, jak pulsuje mi w kościach?

– Mów – żąda głębokim, dudniącym głosem.

Macham ręką na jego niepokój.

– Przekazał mi specjalny rytuał.

– Rytuał? – Rudjek blednie, a żyły na jego twarzy stają się widoczne jak u jego matki. Jego dłonie wiotczeją na rękojeściach szoteli. – Na dwudziestu bogów, Arrah...

– szepcze. – Powiedz, że to nie to, co myślę. Słyszałem plotki o szarlatanach... o tym, co robią, żeby zyskać magię.

To dokładnie to, co myśli.

Wymienię swoje lata na magię, żeby odnaleźć Kofiego i powstrzymać porywacza dzieci.

JEDENAŚCIE

Kiedy idziemy do sklepu ojca na Zachodnim Targu, oko Re'Meca wyłania się zza chmur, łagodząc chłód powietrza. Jednak nawet łaska Re'Meca nie wygania chowańców, które zlatują się na targ jak muchy.

Mijamy domy na ulicy handlarzy, oddzielające od siebie dwa targi, a ubita gleba ustępuje miejsca błyszczącemu brukowi. Szare mury zastępują jaskrawe kolory. Skrybowie i uczeni załatwiają w pośpiechu swoje sprawy, otoczeni przez wynajętych strażników. Pozornie chaos Wschodniego Targu tu nie dotarł, ale czai się pod powierzchnią. Kira i Majka odsuwają się, żebyśmy mogli porozmawiać.

Rudjek staje mi na drodze.

– Nie odpowiedziałas mi na pytanie. Co to za rytuał, Arrah? Jak miałabyś odprawić go bez magii?

Chcę mu o wszystkim powiedzieć, ale wtedy będzie mnie przekonywał, żebym tego nie robiła.

– Nie możesz mi po prostu zaufać?

– Zabawne, że zadajesz takie pytanie – syczy, spoglądając na mnie. – Mógłbym je odwzajemnić.

Unoszę głowę i spoglądam mu w oczy koloru nocy.

– Mój ojciec podejrzewa, że istnieje związek między zielonooką zmiłą a porywaczem dzieci. Jako że jasnowidze się poddali, a wąż pojawił się w wizji dotyczącej właśnie mnie, mam nadzieję, że uda mi się to wykorzystać, żeby odnaleźć Kofiego. Rytuał od szarlatana powinien w tym pomóc. – Krzyżuję ramiona na piersi, czekając na jego protest. – Teraz już wszystko wiesz.

– Nie powinnaś robić czegoś tak niebezpiecznego – mówi Rudjek z powagą. – Jeśli jasnowidze sami nie mogą nic zrobić, powinni wezwać swoich panów. Całe miasto płaci świątyni dziesięcinę, chociaż tyle mogliby zrobić... orisze mogliby pomóc chociaż ten jeden raz.

Ludzie podsłuchują naszą rozmowę, nawet nie próbują tego ukrywać. Syczę na nich, a plotki rozbiegają się niczym szczury.

– Nie cenię oriszy – przerywa i kładzie ręce na biodrach. – Widziałas sama, co ten ich barbarzyński Rytuał Przejścia zrobił z moimi braćmi. – Głos mu się łamie, a każde słowo wypełnia ból na wspomnienie tego, co stało się z Jemim i Uranem. Jeden został

okryty hańbą i zesłany, drugi zaś był nieustannie pilnowany. – Ale jeśli porywacz jest silniejszy od jasnowidzów, orisze są naszą jedyną nadzieją.

Dotyka dłonią amuletu ze strachopłocha na swojej szyi, gładząc kość, jakby słuchał uspokajającej piosenki. Cierpi nie tylko z powodu braci, ale i ze względu na siebie samego. Jego ojciec oczekuje, że przejmie schedę, która nie była przeznaczona dla niego. Bardzo chciałabym móc powiedzieć coś, co by go pocieszyło. Sama aż zbyt dobrze znam ciężar rodzicielskich wymagań, ale chcę, żeby wiedział, że to ja zdecydowałam, co zamierzam zrobić.

– Nie mogę przyglądać się w milczeniu, jak ten potwór porywa dzieci – mówię cicho. – Nie mogłabym spojrzeć sobie w twarz, wiedząc, że byłam w stanie zrobić coś, by uratować Kofiego, a nawet nie spróbowałam.

– Masz rację. Nie możemy stać z boku i nie robić nic, ale... – Jego oczy są jak błyszczące, czarne jeziora o nieskończonej głębi, w których odbijają się nadzieja, rozpacz i coś jeszcze, coś cieplejszego. Płonący ogień. – Ty... ty, Majka i Kira jesteście moimi najlepszymi przyjaciółmi. Nie wiem, co bym zrobił, gdybym cię stracił.

– Będę ostrożna – próbuję go uspokoić.

– Czy mogę z tobą zostać? – Unosi brew.

– Masz alergię na sklep mojego ojca, pamiętasz? – Próbuję ukryć swoją rozpacz, nie wiedząc, jakie przykre niespodzianki czekają mnie, kiedy przeczytam tekst zapisany na zwoju. Chcę to zrobić sama, na wypadek, gdybym znów poniosła klęskę. – Nie, nie powinieneś przychodzić.

– Faktycznie, nie zaszkodziłoby, gdyby trochę częściej tam odkurzał – Rudjek przywołuje dłonią przyjaciół – ale jakoś przeżyję.

Ach, gdyby tylko Majka i Kira odciągnęli go znowu na jedno ze zwołanych przez jego ojca zebrań rady, mogłabym w spokoju sobie pójść.

– Nie wiem, co teraz planujesz – Kira unosi głowę, kiedy stają przy nas – ale zgaduję, że mi się to nie spodoba.

Majka krzyżuje ramiona na piersi z ponurą miną.

– O cokolwiek chcesz poprosić, odpowiedź brzmi: nie. Wezyr jest w złym nastroju, a ja nie mam zamiaru igrać z jego gniewem.

– To tylko taka mała prośba. – Rudjek robi gest dłonią.

– Nie – krzywi się Kira. – Wyjątkowo Majka ma rację.

– No proszę cię, przecież wszyscy się przyjaźnimy. – Rudjek uśmiecha się triumfująco. – Nie prosiłbym o pomoc, gdyby to nie było ważne.

– Arrah ufamy – Majka wskazuje mnie palcem, po czym mruży oczy, spoglądając na Rudjeka – tobie absolutnie nie.

Zbliża się południe, a górująca nad Zachodnim Targiem dzwonnica jakby ze mnie drwiła. Nie mam pojęcia, ile czasu zajmie rytuał. Kilka chwil? Kilka dni? Nie mam do dyspozycji kilku dni. Kofi też nie. Muszę mieć jednak wiarę, że on i pozostałe dzieci są teraz bezpieczni.

– Robicie mi przykrość. – Marszczy brwi. – Jestem jak najbardziej godzien zaufania.

– Godzien zaufania? – prychna Kira. – W zeszłym tygodniu wymknąłeś się nocą ze swojego pokoju.

– A w porcie zaczepili cię jacyś złodzieje – wtrąca się Majka.

– Przegrałeś w psy i szakale i nie miałeś z czego spłacić długu. – Kira tupie nogą.

– Zarobiłeś cios w twarz – dodaje Majka.

To by wyjaśniało siniaki Rudjeka, które próbował wytłumaczyć walką na arenie. Rzucam mu ostre jak brzytwa spojrzenie. Pochyla głowę.

– Czy nie grozili, że odetną ci klejnoty? – kończy Kira.

Rudjek sztywnieje i kładzie ręce na biodrach, wpatrując się w przyjaciół z szeroko otwartymi ustami.

– Też mi coś, Majka. To ty wymyśliłeś nocne wyjście. A ty, Kiro, uderzyłaś jako pierwsza.

Brązowe oczy Majki błyszczą niewinnie.

– Jesteśmy twoimi sługami. Nie na odwrót. Jeśli postanowisz udać się do portu i trochę pobawić, my możemy tylko pójść za tobą.

– Cała wasza trójka jest nieznośna – wtrącam się. Inaczej będą się kłócić przez długość dzwonu. Zazwyczaj bawią mnie ich sprzeczki, ale teraz bardzo chcę już ruszyć.

– Wracając do mojej prośby... – Rudjek przełyka ślinę. – Potrzebujemy chwili sam na sam.

Majka unosi brwi. Nie wiem, które z nas bardziej się rumieni, Rudjek czy ja.

– Nie wygłupiaj się. – Przewracam oczami. – To nic w tym stylu.

– A ja myślałem, że wy wreszcie... – wzdycha Majka.

– Przymknij się – mamrocze pod nosem Rudjek.

– Czy mam ci przypominać, że po południu masz lekcje? – mówi Kira, spoglądając na niego pogardliwie, po czym zwraca się do mnie. – Ty zresztą też.

Moi nauczyciele nigdy nie donoszą Arti, kiedy nie przychodzę. Boją się jej.

– Tak, wiem, matko Kiro. – Jako córka głównego skryby, mistrza gildii Ny, najwyraźniej nie może się powstrzymać. Chociaż trudno mi wyobrazić ją sobie w tunice skrybów ze wszystkimi tymi nożami u boku.

– Wepchnij im do rąk srebrną monetę. – Rudjek puszcza oko do Majki. – To nie będzie pierwszy raz.

Aż podskakuję, kiedy dzwony oznajmiają nadejście południa. Nie mam pojęcia, co będzie potrzebne, by odprawić rytuał ani co jeszcze będę musiała poświęcić, żeby dokonać tej wymiany. Wycieram pot z czoła, próbując pozbyć się wątpliwości.

– Będziemy w sklepie mojego ojca – mówię, zanim Kira i Majka zaczną się znowu kłócić. Nie chcę, żeby Rudjek szedł ze mną, ale to jedyny sposób, by zakończyć tę rozmowę. – Jeśli musicie, możecie wyciągnąć stamtąd Rudjeka.

Nie czekając na odpowiedź, wyruszamy do sklepu.

– Nadejdzie taki dzień, kiedy wszystko powiedzą twojemu ojcu – mówię, chcąc odwrócić jego uwagę.

Śmieje się, ale to śmiech wymuszony. On też martwi się o Kofiego i skrywa to pod cienką warstwą humoru. Daje mi cień nadziei, że wszystko znów wróci do normy.

– Byle po mojej ceremonii wtajemniczenia. – Wzrusza ramionami.

Dzwonek nad drzwiami zapowiada nasze wejście do pustego sklepu. W środku jest ciemno, a kiedy przekraczam próg, zapalają się lampy ogniowe na ścianach. W sklepie jest ciepło, towary na półkach ustawione są bardzo porządnie. Lekka woń goździków w powietrzu przypomina mi, jak w przerwach między lekcjami popijałam z tatą herbatę. W wolne dni pomagałam mu zazwyczaj przygotowywać krwawe lekarstwa. To wspomnienie nieco mnie uspokaja.

Zanim wyruszyliśmy na święto Krwawego Księżyca, ukryłam się za półką zwierzęcych trucheł i patrzyłam, jak przedłuża życie starej uczonej. Oshhe kucnął pośrodku pokoju, w którym kocioł stoi na ogniu pod pękiem ziół. Skóra jego ciemnej twarzy pomalowana była kajalem. Jego zęby były szkarłatne, szeroko otworzył oczy. Dym owijał się wokół ciała kobiety: najpierw wokół stóp, potem nóg. Powolnie i metodycznie unosił się w górę niczym skrzydlaty wąż.

Stała nieruchomo niczym martwa, a jej nieskazitelna elara była srebrzysta. Kiedy Oshhe kierował ku niej dym, z jego gardła wydobył się niski pomruk. Dym owinał się wokół jej talii, ale ona nie wydała żadnego dźwięku. Stali klienci zawsze milczeli. Podeszłam bliżej, żeby lepiej się przyjrzeć, zaglądając między krwiowiec a kornika. Podziwiając pracę ojca, układałam medykamenty na półkach. Opium, konopie, mirra, olibanum, koper, cassia, senna, tymianek, henna. Zbyt wiele, by dało się je zliczyć.

Kiedy dym owinał się wokół głowy kobiety, ogień pod kotłem zgasł. Pomarszczona skóra uczonej falowała jak powierzchnia wody w stawie, gdy wrzucić do niego kamyk. Rozciągnęła się i wygładziła na policzkach i czole. Jej siwe włosy nabrały koloru, stały się gęste i kasztanowe. Czary mojego ojca odjęły kobiecie połowę lat.

Rudjek macha dłonią przed nosem.

– Jak wy możecie znieść ten smród?

Woń tymianku, lawendy i goździków wypełnia powietrze. Pachnie tu ładniej niż w perfumerii. Gdybym miała lepszy dzień, wdychałabym ten zapach i spędziłabym z tatą spokojne popołudnie. Poza Wschodnim Targiem to moje ulubione miejsce, ale tu też nie znajduję pocieszenia.

– Przecież tu pachnie zupełnie normalnie – wypalam zirytowana.

Krzywi się i otwiera okno.

– Trzeba tu wpuścić świeże powietrze.

– Co ci tak przeszkadza w ziołach i kwiatkach? – pytam, krzyżując ramiona.

– Ziołach? – Oczy mu łzawią. – Ciekawie to określiłaś.

– Co masz na myśli? – pytam. – Powietrze zostało zaczarowane, żeby ładnie pachniało.

– No to chyba czary nie bardzo działają. – Rudjek marszczy brwi.

Sięgam ku półkom ze zwojami na tyłach sklepu.

– A jaki zapach ty czujesz?

– Cuchnie, jakby coś zjełczało. – Chowa nos za kołnierzem swojej elary. – Pali mnie w nos i w gardło.

Rudjek chyba naprawdę ma alergię na coś, co jest w sklepie.

– Ostrzegałam cię – mamroczę.

Zwój cięży mi w kieszeni. Nie mogę dłużej czekać, choć Rudjek wciąż tu jest. Biorę pognieciony papier w spocone palce i rozwiązuję sznurek. Odczytuję zapisany w języku tamarskim rytuał tak szybko, że głowa zaczyna mi pulsować. Jeśli naprawdę to zrobię, jeśli dokonam transakcji, łączność da się przerwać jedynie, jeśli magia przyjdzie do mnie sama, z własnej woli. Wdycham powietrze przez zęby, jednocześnie z ulgą i z rozpaczą. Wciąż jeszcze jest nadzieja. Jeśli moje własne dary okażą się silne, przerwą powiązanie. Arti powiedziała jednak, że Mulani nigdy tak długo nie czekają. Nawet mój ojciec nie wierzy, że to się w końcu stanie. Jest jeszcze tylko jeden sposób, żeby przerwać łączność: śmierć.

Zmuszam się do dalszej lektury. Ręce mi się trzęsą. Rytuał należy odprawić w miejscu, w którym jest pełno magii. Tu, w Tamarze, oznacza to albo Wszechpotężną Świątynię, albo święte drzewo Gaer. O świątyni mowy nie ma – muszę iść pod drzewo. Nie jestem lepsza od ludzi, których moja matka wyśmiewa. Gdyby poznała moje plany, patrzyłaby na mnie z góry, jak ja patrzę z góry na szarlatanów. Ten poznany na targu zwrócił mi na to uwagę. Czuję ukłucie wstydu, ale nie pozwolę sobie na zmianę decyzji. Robię to dla Kofiego i pozostałych dzieci. Moja duma ma tu najmniejsze znaczenie.

Kiedy podnoszę wzrok, Rudjek siedzi na podłodze, opierając się o ścianę. Jego elara zalewa się potem. Czeka, żebym mu powiedziała, co wyczytałam na zwoju, ale ja nie

umiem się do tego zmusić.

– Wszystko w porządku? – pytam za to. – Naprawdę kiepsko wyglądasz.

– Wszystko dobrze. – Gładzi swój rodzinny klejnot. – To minie.

Marszczę czoło, zastanawiając się, czy kość strachopłocha wchodzi w reakcję z magią obecną w sklepie, a jeśli tak, czy zareagowałyby także podczas rytuału? Nie mogę pozwolić, by pokrzyżowała mi plany.

– Chcesz herbaty? – pytam, a jego twarz blednie. – Co? – Marszczę czoło. – Herbata też ci cuchnie?

– Nie o to chodzi. – Kręci głową i zerka na swoje dłonie. – Teraz, kiedy dorastam, dowiaduję się coraz więcej o zwyczajach ludu mojej matki. Na Północy proponowanie herbaty może być... błędnie zinterpretowane.

– Ale jak? – wybucham śmiechem.

Rudjek przytula nogi do piersi i kładzie brodę na kolanach. Przypomina chudego, małego chłopca, którego poznałam wiele lat temu nad Rzeką Węża. Był wtedy okropny: rozczochrane, czarne włosy wpadały mu do oczu, a on wrzeszczał na dwóch dorosłych mężczyzn. Służący stali beczynn timer, kiedy on męczył się z wędką. Jeden śmiał się z jego głupoty, a drugi wyglądał, jakby chciał go strzelić w tył głowy.

Razem z Oshhem zbieraliśmy miętę nad brzegiem rzeki, starając się ignorować cały ten raban. Chłopak przez długi czas walczył z linką, a mnie zmęczyło jego narzekanie. Spytałam ojca, czy mogę mu pomóc. Zgodził się. Pobiełam do chłopaka, który był bliski łez. „Pokazują ci niewłaściwy sposób”.

Spojrzał na mnie oczami o barwie ciemniejszej niż noc, po czym uśmiechnął się krzywo do swoich towarzyszy. „Mówiłem! Nigdy nie chcecie mnie słuchać!”.

„Pokazać ci? Ojciec mnie nauczył” – spytałam.

W jego oczach błysnął ból. „Chętnie popatrzę”.

– W Delene, kraju mojej matki – głos Rudjeka wyrywa mnie z zamyślenia – kiedy dziewczyna proponuje chłopakowi herbatę, to oznacza coś więcej.

– Nie wbij sobie nic do głowy – mówię, rumieniąc się. – Dla ludzi z plemion herbata to herbata.

– Nic sobie do głowy nie wbiłem. Tutaj jest tak samo.

Nie odpowiadam i wracam do przeglądania zwojów. Znow zapada niezręczna cisza. W jakikolwiek inny dzień strasznie bym się z niego śmiała. Zapytałabym, czy chciałby, żeby propozycja herbaty oznaczała coś więcej. Przecież sama nie raz o tym myślałam.

– Chcę to zrobić sama – mówię wreszcie, zagryzając wargę. – Na pewno coś pomylę, jeśli będziesz się na mnie gapił.

– Dlaczego? – Ścisza głos i podchodzi do mnie bliżej. Wygląda źle. – Rozpraszam twoją uwagę? – dodaje niewinnym tonem.

– Owszem. – Mrużę oczy. – Wyglądasz, jakbyś miał zwymiotować.

– Arrah – moje imię w jego ustach brzmi słodko jak muzyka – nie wiem, co planujesz, ale jestem pewien, że to niebezpieczne. Nie pozwolę ci zrobić tego samej. Jeśli coś pójdzie nie tak...

– Nic złego się nie stanie – przerywam mu.

– Odkąd wróciłaś z plemiennych ziem, jest między nami inaczej. – Szuka wzrokiem czegoś na mojej twarzy, próbuje przebić się przez maskę półprawd. – Kiedyś mówiliśmy sobie o wszystkim.

– Prawie wszystko ci powiedziałam – mówię, nim zdołam się zastanowić.

– Prawie wszystko – powtarza, robiąc krok w moją stronę.

– Wiem, że chcesz pomóc – krzywię się – ale muszę to zrobić sama.

Wzdycha i odwraca ode mnie twarz.

– Wiesz, że jesteś uparciuchem?

Znów zapada cisza. Jest jej dość, by sklep wydał się dla nas zbyt ciasny. Wreszcie wygrywam, bo on źle się czuje i wychodzi, pozostawiając wiele niewypowiedzianych słów.

Po jego wyjściu nie tracę czasu. Godzina *ösana* nie czeka na nikogo.

DWANAŚCIE

Istnieje szereg zaklęć, inkantacji i amuletów, które mogłyby pomóc mi odnaleźć demona. Problem polega na tym, że aby zadziałały, musiałabym mieć jakąś cenną własność. Znajduję u Oshhego zwoje wszystkich pięciu plemion, a wśród nich rytuał Mulani, który nie wymaga osobistych przedmiotów. Obiecuje on odkryć kogoś ukrytego w mroku. Zastanawiam się, czy matka w świątyni używała podobnego rytuału, czy może żadnego. Ci najbardziej obdarzeni nie potrzebują czasem żadnych rytuałów, by skupić swoją magię.

Ręce mi się trzęsą, kiedy rozwiązuję zwój z rytuałem Mulani i kładę go na stole obok tego, który dostałam od szarlatana. Najpierw muszę odprawić rytuał, by otworzyć most między sobą a magią podczas godziny *ösana*. Wciąż mam czas, ale zaczynają mnie ogarniać wątpliwości. Rytuał zbliży mnie przecież do śmierci. Nie mam też żadnej pewności, że zadziała. Magia nigdy nie była moją mocną stroną, ale i tak zamierzam spróbować.

Nie tracę nadziei, że mój naturalny dar nadejdzie, zanim będzie za późno. Że jeśli przeprowadzę ten jeden rytuał, wciąż będę miała szansę zerwać połączenie. Ale jest też możliwe, że moim jedynym darem pozostanie zdolność dostrzegania magii i nieulegania jej wpływowi. Zagryzam wewnątrz policzka, pozwalając wątpliwościom przeplatać się z nadzieją. Wątpliwości dają mi siłę do walki, a nadzieja przypomina, że nie wolno się poddawać.

Nocą magiczne iskry migoczą w sklepie ojca pomiędzy regałami suszonych ziół, kości i amuletów niczym ćmy, które ciągnie do ognia. Cienie zbierają się po kątach i zmieniają w kształty, które przerażały mnie, gdy byłam dzieckiem, a niepokój budzą we mnie do tej pory. Magia nie ma celu, jest zagubiona, gdy nikt nią nie kieruje. Coś złowrogiego czai się w powietrzu, kiedy jestem tu bez ojca. Nigdy wcześniej nie wkradłam się do jego sklepu sama i mam poczucie, że jestem intruzem w jego prywatnej przestrzeni. Że nie powinno mnie tu być.

W małym pokoju na tyłach sklepu ojciec trzyma narzędzia potrzebne do warzenia eliksiru krwi. Na ścianach wiszą garnki, nożyce, płótna, noże, kamienie i igły służące do pobierania krwi. Na podłodze leży gleba przywieziona z ziem Aatiri. Ojciec mówi, że dzięki niej magia jest silniejsza.

Powinnam była powiedzieć w domu, że idę do Essnai, żeby jakoś wyjaśnić moją nieobecność, ale teraz jest już za późno. Jeśli Arti zechce mnie odnaleźć, zrobi to. Wchodzę do magazynu, zamykam oczy i podkurczam palce stóp w zetknięciu z chłodną ziemią. Biorę głęboki oddech, a moje ciało jest pełne oczekiwania i lęku. Oprócz potrzeby jest we mnie coś jeszcze, coś, czemu nie mogę zaprzeczyć. Moje intencje nie są czyste. Desperacko pragnę przywoływać magię i kontrolować ją jak moi rodzice. Czuć ją na opuszkach palców. Jeśli odprawię rytuał, a moje własne dary nigdy się nie objawią, to będzie mój jedyny kontakt z prawdziwą magią.

Łamię obietnicę złożoną ojcu. I przykro mi z tego powodu. Nie chcę go rozczarować ani znosić jego nieszczęśliwego spojrzenia, jak to w ogrodzie, kiedy powiedział, że moja magia może nigdy do mnie nie przyjść. Świadomie czy nie, Arti zawsze sprawiała, że czułam się gorsza. Całe życie patrzyłam na nią, zawsze pewną siebie, wolną od wątpliwości. Nawet dźwięk jej kroków jest zdecydowany. Zawsze chciałam być silna i pewna siebie jak ona – i mieć choćby ułamek jej daru. Mój ojciec nigdy nie przejmował się tym, czy jestem zdolna do czarów. Żałuję, że ja przejmuję się tak bardzo, ale to nie miejsce, żeby się nad tym zastanawiać. Nie mam na to czasu.

Kucam przed stertą drewna i rozpalam ogień, żeby przygotować eliksir krwi potrzebny do odprawienia rytuału Mulani. Kiedy zioła – gorzkie ziele, epimedium i senes – zaczynają wrzeć, mogę już tylko czekać. Wpatrując się w płomienie, próbuję pogodzić wizje Arti i babci. Tam potwierdził, że zielonooka żmija jest demonem. Demony potrzebują dusz, a *ka* dzieci są najczystsze. Nie mam już najmniejszych wątpliwości, że podążając za żmiją, dotrę do porywacza dzieci.

Kiedy zioła są już gotowe, mieszam je z pastą z imbiru i pieprzu eeru, i wlewam eliksir do fiołki. Jest gęsty jak melasa, a jego zapach jest tak ostry, że oczy zaczynają mi łzawić. Chcąc zakończyć rytuał, muszę dodać krew nasyconą magią – magią, którą posiadam, jeśli wymiana zadziała. Denerwuję się nawet bardziej niż przed sprawdzianami, jakie babcia urządziła mi w czasie święta Krwawego Księżyca. Co poczuję, kiedy magia odpowie na moje wezwanie? Kiedy stanie się częścią mnie? Jeśli wszystko dobrze pójdzie, dzisiaj się tego dowiem.

Nawet najprostsza sztuczka, jak pofarbowanie czyichś włosów na niebiesko, wymaga krwi. Przedłużający życie rytuał ojca wymaga jej znacznie więcej. To główne ograniczenie magii cielesnej – w krótkim czasie można oddać tylko pewną ilość krwi. Wymieszałam już w życiu niezliczone lekarstwa, sama i z ojcem. Żadne z nich nie zadziałało, ale sama ta czynność mnie uspokajała. Tym razem mój eliksir krwi musi się udać.

Pracuję godzinami, przez całe popołudnie do późnego wieczora. Pierwsze poranne dzwony dzwonią, kiedy kończę nawlekać kości. Naszyjnik jest ochronnym amuletem

na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. Choć jestem gotowa na poświęcenie, wolałabym wyjść z tego rytuału cała. Naiwnością byłoby myśleć, że prosty amulet może mnie ochronić, ale naszyjnik daje mi jakieś pocieszenie. A teraz każde jest na wagę złota. Pot spływa mi po czole, kiedy zabieram się do sprzątanego sklepie Oshhego. Być może nie zauważy brakujących przedmiotów, ale jeśli o nie spyta, nie będę ukrywać prawdy. Kiedy dowie się, co zrobiłam, zrozumie, że nie miałam wyboru.

Bruk przed sklepem jest skąpany w świetle księżycy. Wszyscy kupcy zamknęli na noc swoje stoiska i na Zachodnim Targu panuje cisza. Płonące lampy oświetlają mi drogę przez ciemne ulice. Omijam pijaków szukających *owahyat* i tych, którzy śpiewają, trzymając się pod ręce. Księżyc mnie prowadzi, kiedy wkraczam na spokojniejsze ulice. Serce podchodzi mi do gardła na każdy hałas.

Bezpieczniej byłoby wybrać bardziej uczęszczaną trasę przez Wschodni Targ, ale godzina się zbliża. Kiedy docieram do świętego drzewa Gaer na północnym skraju miasta, spływa ze mnie pot. Łyse drzewo jest czarne jak noc. Na jego gałęziach nie rośnie ani jeden liść, wokół korzeni nie ma ani kępki trawy.

Pierwszy *Ka*-Kapłan królestwa został pochowany właśnie tutaj. Mawiają, że jego magia była tak potężna, że jego *ka* zakorzeniło się i zamiast przenieść się w zaświaty, zmieniło się w drzewo. Nie licząc świątyni, to najświętsze miejsce w Tamarze, idealne, by wzmocnić siłę rytuału.

Siadam w chłodnych objęciach ziemi czarnej i opalizującej jak obsydianowe szkło. Kiedy zbliża się godzina *ösana*, magiczne iskry tańczą po zachmurzonym niebie. Czekam, aż skrzyżują się drogi dwóch bogów, czekam, aż świat się zbudzi, a magia wpłynie w moje żyły. Chwila trwa tak długo, że moje uszy wypełnia rozpaczliwe bicie własnego serca.

To nie będzie łatwe. Nie jestem idiotką, ale nierozsądną dziewczynką, która robi nierozsądną rzecz. Magia ma swoją cenę nawet dla tych, którzy sprawiają wrażenie, jakby była dla nich łatwa niczym ugniatanie fufu.

Najpierw transakcja.

Magia albo będzie mi posłuszna, albo mi odmówi. Odrzuciła mnie, kiedy byłam małą dziewczynką podczas *imebyé* i nie przychodziła przez te wszystkie lata, kiedy ćwiczyłam z babcią. Ale teraz mam jej coś do zaoferowania.

Nim zdążę się rozmyślić, uderzam dłonią w święte drzewo, a jego igły przecinają moją skórę, jakby były nożami *tobachi*. Ból jest ostry i nagły; powstrzymuję krzyk. Jeden z kolców przecina grzbiet mojej dłoni. Biorę głęboki oddech, czuję pulsowanie w uszach. Krew zbiera mi się wokół nadgarstka i spływa w dół, żeby nakarmić korzenie drzewa. Powtarzam sobie, że nie jest tak źle, ale to dopiero początek. Zanim będzie lepiej, będzie jeszcze znacznie gorzej. Rytuał mówił o tym jasno.

Szeptę formułę głoszącą, że zgadzam się oddać życie za posmak magii; czekam. Byłam cierpliwa przez tyle lat, mogę wytrzymać jeszcze chwilę. Tym razem jednak niecierpliwa jest magia. Z drzewa wyrastają łodygi czarnego bluszczu, niczym chwasty w ogrodzie. Wiją się i rzucają na mnie. Kiedy próbuję cofnąć rękę, wdzierają mi się pod skórę. Krzyczę, kiedy bluszcz wspina mi się po ramieniu, pozostawiając za sobą falę koszmarnego bólu. Z drzewa wyrasta kolejna gałąź, która strzela mi prosto w otwarte usta, ucinając krzyk. Nie mogę oddychać. W pierwszej chwili chcę wyciągnąć bluszcz, ale straciłam kontrolę nad ciałem. Nie mogę podnieść wolnego ramienia. Ogień pali mnie w gardło, dłużej nie wytrzymam. Ogarnia mnie panika. Chcę wszystko odwołać, ale jest już za późno.

„Dam radę”. Słowa drwią ze mnie, kiedy bluszcz wciska mi się w oczy i owija się wokół wnętrzości. Nie, nie dam rady. Umrę. To moja ostatnia myśl, gdy wszystko gaśnie i ogarnia mnie ciemność.

Potem znów nagle próbuję złapać oddech, z twarzą na wpół zakopaną w ziemi. Kiedy chcę usiąść, moja prawa ręka niemal odmawia mi posłuszeństwa. Jest oblepiona krwią, zieje z niej otwarta rana. Chwilę trwa, nim się uspokoję. Opieram się o fragment drzewa pozbawiony kolców. Boję się, że bluszcz wróci, ale jestem zbyt słaba, żeby się poruszyć, a tym bardziej wstać. Ocieram łzy, krwawe łzy. Czy się udało? Nie mam pojęcia. Na nocnym niebie jest mnóstwo magii, ale nie przychodzi ona do mnie.

Czuję ucisk w żołądku. Niemożliwe, bym znów poniosła klęskę. Nie po wszystkim, co przeszłam.

Amulet z kości grzechocze mi na szyi, przypominając o ostrzeżeniu ojca: „Kiedy wymieniasz swoje lata na magię, zabiera ci, co tylko chce. Zapłatą może być pięć lat albo całe życie. Nieważne, na ile skomplikowany jest rytuał, zaklęcie czy urok. Nie sposób się o tym dowiedzieć, nim nie będzie za późno”. Nie tracę czasu, dodaję krew do eliksiru i wypijam go, żeby odnaleźć porywacza dzieci. Jest tak ohydny, że chce mi się wymiotować. Mój puls przyspiesza. Powinnam poważnie potraktować słowa ojca i zatrzymać się, zanim będzie za późno, ale co wtedy? Nie mogę udawać, że wszystko jest w porządku. Kofi mnie potrzebuje. Powinnam była znaleźć lepszy sposób, by go chronić, kiedy zobaczyłam na targu chowańce.

– Ojczy i matko magii, Heko, pomóż mi. – Słowa mają rdzawy, gorzki smak. Czekam na znak, a na nagim drzewie ponad moją głową skrzeczy ptak. Szczęka boli mnie od zaciskania zębów. Uważnie dobieram słowa. – Pomóż mi uratować Kofiego.

Ziemia wiruje wokół moich stóp. Drobinki magii schwyte na wietrze migoczą mi przed oczami, a mgła wije się u moich stóp. Jest ciepło, kolana mi miękną, magia. Po moim czole spływa pot. Wycieram go. Bicie serca dudni mi w uszach. To naprawdę

działa. Nie do końca wierzyłam, że to możliwe, ale magia odpowiada na moje wezwanie. Jestem jednocześnie przerażona i podniecona – po tylu latach prób i porażek to się wreszcie dzieje.

Mgła owija się wokół moich ud i klatki piersiowej, otaczając mnie kokonem, który równie dobrze mógłby być twardy jak z kamienia. Kiedy wysysa ze mnie lata, zimno rozlewa się po moim ciele, a mój język pokrywa popiół. Całe lata oddane w kilka chwil. Ramiona poranione przez bluszcz pokrywają się pęcherzami, bolą mnie korzenie zębów. Zagryzam wewnątrz policzka, żeby znieść ból. Wydaje się, że magia woli mnie złamać, niż odpowiedzieć na moje wezwanie.

Piasek przemieszcza się pode mną, kiedy wślizguję się w przestrzeń znajdującą się tuż przed całkowitą nieświadomością. Ani tu, ani tam. W miejsce przed snami i koszmarami, gdzie ciemność przylepia się do mojej skóry jak krople potu. Oczekiwanie i tęsknota odbierają mi oddech, gdy umysł rozpada się na dwie części.

Ktoś lub coś zamyka się nade mną, wyszarpując mój rozdarty umysł z ciała. Próbuje się opierać, ale uchwyt nie jest cielesny, ale duchowy i zbyt silny. Tak jak podczas święta Krwawego Księżyca, kiedy moje *ka* omal nie oderwało się od ciała.

Słońca i księżyce przelatują po niebie tak szybko, że są jak srebrne i złote iskierki. Moje *ka* rozciąga się, pozostawiając za sobą pustą skorupę. Wpatrują się we mnie nieznanymi oczami, które potrafią wejrzeć we mnie z przyszłości, pokonują czas. Błyszczą jak zielona mgła, która spowija miasto po burzy. Oczy żmii z wizji mojej babci. Oczy demona. Gdybym wciąż była obecna w tym ciele, moje serce przestałoby bić.

– Nie pasujesz tu – szepcze mi do ucha demon.

To głos dziecka. Bardzo małego dziecka. Jego magia kłuje moją skórę. Grzechocze moimi kośćmi, jakby próbowała mnie rozerwać. Mam dość rozumu, by raczej bać się, niż zazdrościć. Moja świadomość rozciąga się we wszystkie strony, czuję, że zaraz się rozpadnie. Jeśli rozciągnie się jeszcze dalej, nie zostanie żadna część mnie, która mogłaby wrócić do domu. Magia dziecka uderza mnie tak mocno, że mój kręgosłup sztywnieje na piasku – przypominając, że moje ciało czeka.

– Nasz czas dopiero nadejdzie – mówi głosem pełnym złości. – Wracaj i znajdź, czego szukasz.

Szukam porywacza dzieci, ale skoro to nie demon, któż to może być? Czy Arti od początku miała rację? Czy chodzi o antymagię? Czyżby winny był ktoś z rodziny wezyra?

Moje *ka* odchodzi z powrotem w noc, ale nie wracam do swojego ciała. Na niebie świeci jeden księżyc, a ja powracam do teraźniejszości. Moje *ka* unosi się nad Tamarem, wyżej nawet niż trzech giganci, którzy strzegą miasta: Wszechpotężna

Świątynia na północy, Wszechpotężny Pałac na zachodzie i posiadłość wezyra na południu. Na wschodzie port na Rzece Węża wypełniają bezczynne łodzie, a ludzie zbierają się w dokach. Siłą woli opadam i ślizgam się przez ulice, wzdłuż willi uczonych. I dalej, przez domy kupców i chaty z mułowej cegły na brzegu rzeki. Moja trasa nie jest linearna: moje *ka* to tkanina marszcząca się na wietrze.

Nie tego się spodziewałam po swoim pierwszym rytuale. Kiedy odprawiają je szamani, wydają się łatwe, a są przecież jak przedzieranie się przez las poskręcanych gałęzi, które wciąż usiłują schwytać cię w swoje sidła. Jestem jak małe dziecko, które dopiero uczy się chodzić.

Mam świadomość mojego opartego o pień ciała. Z kory wyrastają nowe kolce, które wbijają mi się w plecy. Ból jest jak błyskawica. Magia kryje się we mnie, ale też mnie zabija. Moje *ka* unosi się ponad sierocińcem, jakby rozwieszona na sznurze do bielizny.

– Na dwudziestu bogów, Majko! – woła Rudjek. – Co ci się stało w twarz?

Kiedy zauważam ich stojących przed sierocińcem, moje *ka* przenika strach. Obaj ubrani są w czarne elary, a kaptury zasłaniają im twarze. Po raz drugi tej nocy moje serce omal nie staje. Co Rudjek robi tu o zakazanej godzinie? Nie chcę wierzyć w najgorsze, próbuję znaleźć jakieś wiarygodne wyjaśnienie.

– Kira się stała – jęczy Majka, pocierając czoło.

– Coś ty zrobił tym razem? – śmieje się Rudjek.

– Zalecałem się do jej siostry. – Majka wzrusza ramionami.

– Ciesz się, że nie złamała ci ręki! – Rudjek grozi mu palcem. – Przypominam ci, że ta dziewczyna ma zawsze przy sobie tuzin sztyletów. Kilkakrotnie pokonała cię na arenie.

– Ciebie też! – odpowiada Majka.

– Tylko raz. I miałem wtedy zasłonięte oczy.

– Kłamca – syczy Majka. – Wcale nie miałeś zasłoniętych oczu.

– Jedną rękę miałem zawiązaną za plecami – upiera się Rudjek.

– Jest zimno i chce mi się sikać. – Majka obejmuje się ramionami. – Nikogo tu nie ma. Cicho jak w trumnie.

– Przestań marudzić – mówi Rudjek, ale zaraz aż podskakuje. – Czujesz?

– Co? – Majka kręci głową jak przestraszony ptak. – Co się dzieje?

– Nie wiem. – Rudjek sięga dłonią ku rękojęściom swoich szoteli.

Echo bicia mojego serca podróżuje w dół ku mojemu *ka*.

Majka rozgląda się nerwowo wokół.

– Myślisz, że Arrah się myli, kiedy mówi o demonie? – pyta szeptem.

– Nie sądzę – odpowiada Rudjek. – Ufam jej.

– Ja też jej ufam – mamrocze pod nosem Majka – ale jeśli ma rację, to znaczy, że w tej chwili tylko my znajdujemy się na drodze demona do sierocińca. A to nie wróży najlepiej.

Mimo bólu, jaki sprawiają mi kolce wbite w plecy, robi mi się ciepło. Głupek. Oczywiście postanowił pomóc. Jest durny, sądząc, że uda mu się... nie żebym ja była lepsza. Widząc go, czuję ulgę.

Coś odciąga moje *ka* od sierocińca. Tym razem to nie zielonooka żmija. Podróżuję przez tęczę kolorowych baldachimów na Wschodnim Targu. Szarość oblepia miasto, tłumiąc jego jasne barwy. Nawet bębny, flety i harfy ulicznych muzyków brzmią, jakby dobiegały z bardzo daleka. Powietrze wypełniają zapachy warzonego piwa, dymu z fajek i przyprawionych mięs. Jednocześnie wokół mnie rozbrzmiewa niepohamowany śmiech i głośne rozmowy. Ciemne kąty i alejki targu pełne są handlarzy skór, kości słoniowej i tajemnic. Nocnych kupców, którzy potrafią odczytać ukryte w sercu pragnienia, jak szaman potrafi czytać z kości. Mimo strachu, który panuje nad miastem, ludzie nie chcą zmieniać planu dnia. Nie pozwalają umrzeć nadziei.

Moje odbicie spogląda na mnie z kałuży. Jestem niemal przezroczysta – niczym cień prawdziwej siebie. Ludzie przechodzą przez mój kształt, nie zatrzymując się. Moje ciało i *ka* rozszczepiają się, tworząc otwartą ranę. Czy tak powinnam się czuć, czy zbyt daleko dotarłam? Jednocześnie leżę na chłodnej ziemi przy drzewie i stoję na targu. Chaos zasnuwa mój umysł mgłą, a z rąk, niczym sekret na wietrze, wymyka mi się jakaś doniosła wiedza.

Moją uwagę przyciąga światło, które pojawia się pośród całej tej szarości. Jest bezkształtne jak ja, ale jest w nim jakaś solidność, której mnie brakuje. Klienci mnie nie wyczuwają, ale poruszają się wokół jasności, jakby omijali stojący na ich drodze pomnik oriszy. Podążam za nią przez targ, mijając mężczyzn wychylających kolejne kufle piwa i obstawiających walki kogutów. Ludzi plujących tabaką przez szpary w zębach i prowadzących rachunki. Dzieci bawiące się na ulicy.

Kira i Essnai przedzierają się przez tłum, przyglądając się każdej twarzy po kolei. Idą tak blisko siebie, że ich dłonie się dotykają, a aury łączą w jeden świetlisty błękit. Essnai trzyma swój kij, zaś Kira ma do uda przytwierdzone ostrze. Sądząc po języku ich ciał, obie *ama* nie tylko szukają porywacza dzieci, ale też chronią siebie nawzajem.

Czuję ulgę, widząc, że moi przyjaciele postanowili pomóc. Wiem, że to sprawa Rudjeka – zawsze umiał brać sprawy w swoje ręce. Targ tętni życiem, a przepływający tłum sprawia, że czuję się swobodnie. Mogłabym całą noc włóczyć się po ulicach i nigdy nie znaleźć końca. Jest tak samo jak za dnia, kiedy przychodzę tu na wiele godzin, by uspokoić swój umysł.

Kiedy cień przyjmuje kształt zakapturzonej sylwetki, która przedziera się przez tłum, nieruchomieję. Moje pole widzenia kurczy się i widzę tylko ją. Wszystko inne pogrąża się we mgle. Ma na sobie długą, zieloną sukienkę, która ciągnie się po błotnistej ziemi, a jej twarz przykrywa równie zielony szal. Jej ciało świeci łagodnym światłem, które na pierwszy rzut oka wydaje się piękne, ale jego krawędzie są ostre jak szkło. Jeśli podejść zbyt blisko, jej światło wniknie w moje *ka* i nic ze mnie nie zostanie. A jednak nie mogę trzymać się z dala. To z jej powodu tu jestem. To ona jest porywaczką dzieci, a bez wątplenia różni się od zielonookiej żmii. Mgła zasnuwająca mój umysł unosi się i znów znam swój cel. Wiem, po co tu jestem.

Jej ciężkie kroki wibrują w moim *ka* i przyciągają iskry magii z nieba. Kobieta wydaje się poruszać bez celu, rzucając się to tu, to tam. Szybko staje się jasne, że krąży wokół dzieci jak sęp nad padliną. Echo bicia mojego serca szarpie więź, która łączy moje *ka* z ciałem.

Szara mgła unosi się wzdłuż żwirowych alejek na targu. Spowalnia mnie, ale prę naprzód. Z każdym krokiem ból przenikający moje siedzące pod drzewem ciało jest coraz dotkliwszy. Czy to robota porywaczki dzieci? Czy wie, że ktoś jej szuka? Czy może moje *ka* znalazło się zbyt daleko od ciała? Zaciskam zęby tak mocno, że bolą mnie szczęki, ale nie spocznię, póki nie poznam prawdy.

W tej części targu ludzie tłoczą się, a każdy nosi ze sobą broń. Mają wszystko, od szoteli przez noże rzeźnicze po kije. Miejska Straż też jest w pełnym rynsztunku, podobnie jak duży kontyngent gwardzistów. Odwracają moją uwagę, aż dochodzi do mnie woń miodu i kokosa. Zaskakuje mnie, że kobieta pachnie znajomo.

Z całej siły próbuję poruszyć nogami, ale to na nic się zdaje. Moje *ka* porusza się, jakby brnęło przez trzęsawisko. Krew pokrywa mi język, kiedy uwięź między moim ciałem a *ka* napręża się tak bardzo, że omal nie pęknie. Nie ma sensu zastanawiać się, co by się stało, gdyby pękła. Nic dobrego. Próbuję zapamiętać kobietę ze szczegółami. Jest ode mnie niższa, ma szerokie biodra i drobne kości, jej złote oczy błyszczą. Kiedy wkracza w alejkę, serce omal nie wybucha mi w piersi.

Pozostając w cieniu, kobieta podąża za niewiele młodszą ode mnie dziewczynką. Mała co chwilę zerka przez ramię, jakby wyczuwała niebezpieczeństwo. Kiedy światło księżycy pada na owalny pierścień na lewej dłoni kobiety, przestaję oddychać. Moim ciałem wstrząsa dreszcz. Nie, to niemożliwe. To tylko sen. To nieprawda. „Obudź się, Arrah. Obudź się”. Alejka zaczyna wirować, a ja tracę wzrok. Znów jestem w dwóch miejscach: leżę w piasku i chodzę po targu, czekając, aż wydarzy się coś strasznego. Patrząc na porywaczkę dzieci. Patrząc na moją matkę.

Moje *ka* gwałtownie wraca do ciała. Leżę na ziemi pod łysym drzewem, z trudem łapiąc oddech, moje kości omal nie pękną. Księżyc uśmiecha się szelmowsko. To, co

widziałam, nie może być prawdą. To wszystko nie ma sensu. Po twarzy spływają mi gorące łzy. Pogrążam się w ciemności.

Nadeszła pora, by zapłacić cenę magii.

KORÉ, ORISZA KSIĘŻYCA KRÓLEWSKA BLIŹNIACZKA

A to ciekawy obrót wydarzeń. Muszę przyznać, że tego się nie spodziewałam.

Ciężko pracowałeś, stary przyjacielu, prawda? Uprawiałeś swoje nikczemne czary tuż pod moim nosem! Byliśmy razem długo i każdego dnia stawiałeś się coraz silniejszy. To nie powinno się wydarzyć, a jednak! Twoja dusza nie może na zawsze pozostać w moim pudełku.

Wojna była długa i krwawa, a czasem też dość zabawna. Ale nie mogłeś dać spokoju, prawda? Nasza siostra odeszła, a tobie wystarczyło przestać pożerać dusze, przeżyć resztę swojego nienaturalnego żywota i umrzeć. Czy to takie trudne? Ale oczywiście to ci nie wystarczało. Kiedy umarła, pokazałeś swoją prawdziwą twarz, którą dotąd ukrywałeś pod powierzchnią. Może to ona powstrzymywała śpiącą w tobie bestię.

Byliście zawsze zestrojeni w sposób, którego ja nie rozumiałam; wasze dusze splecione były w jedność. Gdyby nie wasza naiwność, byłoby to nawet urocze. Nie sądzę, by cokolwiek się zmieniło, gdyby nie umarła.

Swojej natury nie zmienisz. Z duszami czy bez, twoim przeznaczeniem było zmienić się w potwora. Nasza siostra tylko komplikowała sprawę. Kiedy teraz sobie o tym myślę, dochodzę do wniosku, że byliśmy głupcami, sądząc, że po jej śmierci po prostu rozpułniesz się w eterze.

Boli mnie, że dwudziestka naszego rodzeństwa poświęciła się, żeby powstrzymać cię swoimi ka. To miało być tylko tymczasowe rozwiązanie, ale czas to szczywana bestia. Pięć tysięcy lat to w życiu oriszy tylko chwila. A jednak każdy chciałby się oddalić po tak długim uwięzieniu.

Myślisz, że tylko ty snujesz plany?

Drogi przyjacielu, w każdej zbroi znajdzie się jakaś dziura.


Oddałam swoje życie śmiertelnikom i nie pozwolę ci go zniszczyć. Głupia to była obietnica, lecz są moim odbiciem – nędznym, ale jednak.

Dość już gadania, przyjacielu. Muszę naostrzyć noże.



CZEŚĆ II

Za nią bowiem śmierć podąża.
Serce w pustkę się pogrąża.
Jej miłość jest zagrożeniem,
Bólem, wielkim udręczeniem.
– Pieśń Nienazwanej



TRZYNAŚCIE

Kiedy byłam małą, ojciec opowiadał mi wiele historii. Zabawnych historii. Smutnych historii. Głupiutkich historii. Ale tylko jedną historię o miłości. Jej wspomnienie zostało przy mnie, a teraz powraca do mnie w snach.

Pewnego leniwego popołudnia pracujemy na dziedzińcu. Słońce parzy nas w plecy. Słodki zapach wiciokrzewu unosi się w powietrzu. To początek Su'omi – pory odrodzenia – a ja właśnie skończyłam osiem lat.

– Serce jest kapryśne, Mała Kapłanko – mówi mój ojciec, przystrzygając krzak. – Kiedy w grę wchodzi magia, potrafi być równie czarne co godzina *ösana*. Niewiele jest na świecie rzeczy potężniejszych niż ludzkie serce.

Leżę na trawie na brzuchu z nogami uniesionymi do góry.

– Kochasz Arti?

Po dłuższej chwili milczenia odpowiada:

– Miłość to uczucie, którego powinniśmy używać ostrożnie.

Znów zapada cisza.

– Twoja matka... twoja matka to Mulani.

Wypowiada to słowo tak, jakby nazwa jej plemienia wyjaśniała jej chłód. Spędzała więcej czasu we Wszechpotężnej Świątyni niż w domu i nigdy nikogo nie obdarzała dobrym słowem. Zwłaszcza mnie. Poznałam wiele osób z jej plemienia, ale nikt nie był taki jak ona. Inni Mulani wydawali mi się nieprzystępni, nawet gniewni. Ale bursztynowe oczy mojej matki były zawsze puste, jakby czegoś w niej brakowało. Im bardziej starałam się do niej zbliżyć, tym bardziej mnie odpychała, przestałam więc nawet próbować. Nie pamiętam, żeby się kiedykolwiek uśmiechała, żeby była wesoła.

– Kim jestem ja, ojczy? – pytam. – Córką plemienia Aatiri czy plemienia Mulani?

– Jesteś córką mojego serca – odpowiada Oshhe, trącając mój podbródek.

Śmieję się wtedy, zachwycona jego słowami.

– Chcesz posłuchać historii o miłości, Mała Kapłanko? – pyta Oshhe.

Kiwam głową z podnieceniem. Ojciec przerywa pracę i siada koło mnie na trawie. Światło słońca sprawia, że jego hebanowa skóra lśni, a brązowe oczy błyszczą jak drogie kamienie. Podciąga swoje długie nogi i z kieszeni wyciąga saszetkę.

– Nie ma historii bez słodyczy.

Wyciąga garść cukierków i podaje mi torebkę. Wdycham słodki zapach wanilii i gałki muszkatołowej i wkładam do buzi dwa mleczne cukierki.

– Dawno temu chłopak z plemienia Aatiri brał udział w święcie Krwawego Księżyca w świątyni Heki – powiedział Oshhe. – Zobaczył dziewczynę o najpiękniejszych na świecie złotych oczach.

– To opowieść o tobie i Arti? – pytam, machając szybciej nogami. – Tak jest, prawda?

– Nie, to tylko taka historyjka. – Oshhe kręci głową, ale jego mina go zdradza. – Chłopak Aatiri był bardzo nieśmiały, zaś dziewczyna o imieniu Zauna, niezwykle piękna. Noc po nocy plemiona zbierały się, by świętować Krwawy Księżyc, a chłopak planował poprosić dziewczynę do tańca. Za każdym razem jednak bardziej pewni siebie chłopcy odpychali go i pierwsi stawali u jej boku. Pewnego poranka, kiedy mył się w rzece, zobaczył, jak dziewczyna zbiera owoce z krzewów. Podziękował Hece za swoje szczęście i bez wahania podszedł do niej. Przestraszyła się nieco, ale nie uciekła. Chłopak nie umiał znaleźć właściwych słów. Chciał zrobić dobre wrażenie. Przypomniał sobie, że inni chłopcy nazywali ją za plecami Syreną z Doliny. Mówili, że jednym pocałunkiem potrafi wyssać całą magię, ale on nie wierzył w takie głupoty. „Nie wyglądasz mi na syrenę” – powiedział chłopiec. Nie były to może najlepsze pierwsze słowa, jakie mógł skierować do dziewczyny, ale zamiast go wygonić, roześmiała się. Zapytała, czy nie pomógłby jej zbierać owoców. Zaprzyjaźnili się i spędzili razem dużo czasu podczas święta Krwawego Księżyca. Dowiedzieli się wiele o swoich marzeniach i nadziejach. Dziewczyna chciała pewnego dnia opuścić plemienne ziemie i zwiedzić świat, a chłopak kochał swój dom z całego serca. Potem co roku nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy ją podczas obchodów, ale przez wiele lat nie zdradził się ze swoimi uczuciami. Kiedy chłopiec wreszcie zebrał się na odwagę, by powiedzieć dziewczynie, że ją kocha, było już za późno. Zakochała się w księciu, który mógł pomóc jej spełnić marzenia o wielkim świecie.

– To smutna historia miłosna. – Dąsam się. – Nie powinna zakochiwać się w innym chłopcu.

– To jeszcze nie koniec. – Oshhe kląska językiem. – Najlepszy przyjaciel księcia był bardzo potężnym młodym człowiekiem, który chciał się pokazać, a szczególnie polubił dziewczynę. Rozkazał złemu szamanowi, by ten odarł Zaunę z miłości do jego syna. Szaman na tym jednak nie poprzestał – zniszczył wszystko, co było w dziewczynie niewinne i dobre. Została ukarana za to, że podążała za marzeniami i wyobrażała sobie inne życie.

Przestaję machać nogami i zagryzam wargę, żeby powstrzymać się przed kolejnym wtrąceniem. To jakaś okropna historia.

– Chłopak nie spotkał swojej ukochanej podczas kolejnego święta Krwawego Księżyca. Zaczął szukać jej w mieście daleko od plemiennych ziem. I odnalazł ją, odmienioną i złamaną, wciąż jednak nosił w sobie wspomnienie tego, kim była kiedyś. Wierzył, że pewnego dnia i ona go pokocha, poprosił ją więc o rękę, a ona się zgodziła. Przez chwilę byli razem szczęśliwi. Mieli piękną córkę. Była ona bardzo podobna do matki, miała jej hardość i odwagę. Mężczyzna przysiągł, że będzie kochał i chronił swoją córkę, tak by nigdy nie musiała cierpieć jak jej matka. Tym samym znalazł miłość swojego życia. Widzisz, Mała Kapłanko, to nie jest historia miłości chłopaka i dziewczyny. To historia o miłości ojca do jego córki.

Tata zawsze mnie chronił. Dziś rozpaczliwie go potrzebuję.

Moje ciało jest połamane i obolałe. Czarne pnącza przepływają po mnie jak chłodna woda rozlana na oparzenie, kołyszając mnie do snu. Jestem otoczona murem w jakimś niedostępnym kącie własnego umysłu – w miejscu samotności, tajemnicy i oszustwa. Echo śmiechu i pieśni pcha mnie z powrotem do świata żywych, ale napotykam tam tylko ciemność.

Czuję teraz już tylko cień bólu. Minęły dni – sama nie wiem, ile. Czuję suchość w ustach, moje wargi są popękane. Pozbawia mnie tchu wspomnienie Arti podążającej za dziewczynką. Każdą moją myśl zalewa krwią, mieszając się z opowieścią o chłopcu z plemienia Aatiri i dziewczynie z plemienia Mulani.

Mimo to czarne pnącza znów mnie usypiają. Tym razem w środku nocy budzi mnie błyskawica. W moim pokoju jest ciemno. Wypełniają go chowańce. Migoczą na krawędzi mojego pola widzenia, pełzając po podłodze i ścianach niczym zachłanne szkodniki. Jednak to nie chowańce przyciągają mój wzrok. Moja matka stoi u stóp mojego łóżka, spowita w cieniu. Próbuję się podnieść, ale ona porusza się z gracją geparda; zaczynam krzyczeć, ale z moich ust wydobywa się tylko cichy jęk. Arti siada obok mnie, a jej magia mnie unieruchamia. Jej miękkie, ciemne loki obiecują życzliwość, ale są jak kołysanki, które zmieniają się w koszmary.

Jej bursztynowe oczy błyszczą w świetle księżyca. Oczy, które są zawsze tak puste. Mój brzuch wypełnia ból. Cierpię z powodu dziewczyny, której niewinność skradziono, tej, która rozkochała w sobie mojego ojca od pierwszego wejrzenia. Cierpię z powodu matki, której nigdy nie poznam, i z powodu pustej skorupy, która stoi teraz przede mną.

– Co ty narobiłaś, głupia dziewczyno? – syczy łamiącym się głosem.

– O czym mówisz? – Słowa drapią mnie w gardło i zaraz milknę. Przez chwilę daję się oszukać udręce wybrzmiewającej w jej głosie i czuję wstyd, ale nie, nic złego nie zrobiłam. Być może było to głupie, ale nie było złe. – Nie rozumiem... dlaczego? – pytam z trudem.

– Jesteś nie lepsza od szarlatana. Oddałaś lata swojego życia. – Patrzy na ołtarzyk obok mojego łóżka, na skrzynię plemiennych świecidełek, nie chcąc spojrzeć na mnie.
– Nie da się tego odwrócić.

Matka zawsze trzymała mnie na dystans, nigdy nie otaczała czułością. Nigdy nie opowiadała mi historii podczas leniwych popołudni w ogrodzie. Gdybym nie była do niej tak podobna, mogłabym uchodzić za sierotę, którą z litości przygarnęła z ulicy i zaraz pożałowała. Teraz jej nieprzelane łzy i ból rozbrzmiewający w każdym jej słowie sprawiają, że serce pęka mi na pół. Jakaś część mnie wciąż karmi się nadzieją, że mojej matce na mnie zależy. Że nie jest potworem, który porywa nocą dzieci.

– Gdzie jest Kofi? – pytam zachrypniętym głosem. Boję się odpowiedzi.

– Rytuał odebrał ci dziesięć lat życia – mówi Arti, ignorując moje pytania.

– Odpowiadaj! – wołam, nie mogąc ukryć rozpacz. – Gdzie są dzieci?

– Myślisz, że chciałam je porwać? – syczy ze złością Arti. – Zawarłam umowę, od której nie mogłam odstąpić, choćbym chciała. – Kiedy nasze spojrzenia znów się spotykają, w jej oczach nie ma już łez, a emocje są zakopane gdzieś głęboko. – Gdybym wiedziała, na czym polega interes, nie zgodziłabym się, ale teraz jest już za późno. Niedługo będzie po wszystkim.

Arti wyjmuję spod kaftana sztylet. Robi to tak szybko, że dostrzegam tylko błysk srebra w ciemności. Moje wargi drżą, ale z gardła wydobywa się ledwie cichy jęk. Kiedy próbuję się podnieść, jej magia mnie unieruchamia. Kładzie ostrze na moim policzku. Spodziewałabym się, że będzie chłodne, ale okazuje się ciepłe. Wibruje magią. W historii ojca zły szaman zniszczył dziewczynę Mulani. Teraz to ona jest złą szamanką.

Nie mogę udawać, że zniknie. Chce mnie skrzywdzić.

– Głupia, głupia dziewczyno. – Pochyliła się nade mną. Jest tak blisko, że robi mi się niedobrze od jej słodkiego, kokosowo-miodowego zapachu. – To nie była część umowy. Przez ciebie jesteśmy bardzo zdenerwowani. A ostrzegałam.

Nie ważę się odezwać, wstrzymuję oddech, aż boli mnie pierś.

– Nie pozwolę ci zrujnować naszych planów! – Arti wbija nóż w pościel. – Wszystko jest przygotowane. Nadchodzi czas. On przepowiedział dokładny dzień i godzinę.

Mówiąc, nie patrzy na mnie. Znów wpatruje się w ołtarzyk.

– Oshhe o wszystkim się dowie – szepcze. Jej twarz jest obojętną maską. – Nim też będę się musiała zająć.

Magia unosi się w pokoju, ale nie przychodzi do mnie, choć ze wszystkich sił próbuję narzucić jej swoją wolę.

Arti spogląda na mnie z litością.

– Tak będzie najlepiej.

Heko, pomóż mi, proszę.

W odpowiedzi słyszę tylko deszcz, który uderza o dach.

– Proszę, nie... – błagam.

– To nie potrwa długo, obiecuję. – Chwyta mnie za dekolt i rozrywa mi sukienkę.

Moja matka mnie zabije. Wbije mi nóż w serce i pozbędzie się mojego ciała przed powrotem ojca. Jakie wymyśli kłamstwo? Czy powie mu, że to był wypadek?

Walczę z siłą jej magii, która mnie unieruchamia. Jej sztylet jest rozpalony, a plamy na ostrzu lśnią w świetle księżyca. Zapach jej magii jest ostry, zwierzęcy, nie przypomina iskier tańczących w powietrzu. Jest inaczej, coś jest nie tak. Magia pełza po mojej skórze, szukając miejsc, przez które mogłaby wnikać w moje ciało. Odpycham ją coraz mocniej, serce bije mi zbyt szybko, słyszę swój puls w uszach. Wszystko na nic. Jej magia trzyma mnie w żelaznym uścisku. Chociaż mój umysł stawia jej opór, moje ciało nawet się nie poruszyło.

Chowańce zbliżają się do mnie, rozciągnięte w długie wici, ale nawet one trzymają się z dala od mojej matki. Kiedy jej nóż dotyka mojej klatki piersiowej, krzyczę. Ból wypełnia mi brzuch i kończyny. Głos mojej matki znów się łamie, gdy zaczyna śpiewać pieśń w języku, który przypomina mi śpiew ptaków. Jej udręka to dla mnie zbyt wiele. Zamykam oczy, a wtedy łzy płyną i po mojej twarzy. Nie mogę wierzyć jej słowom, a jej skrucha tylko pogarsza sprawę. Przez wszystkie te lata była tak zimna, tak odległa, a teraz udaje, że jej na mnie zależy?

Długimi, powolnymi ruchami Arti wycina symbol na mojej piersi. Po pierwszym cięciu ból staje się tępy. Nie wiem, dlaczego okazała mi łaskę. Używa noża jak artysta, który stara się coś pięknego wyrzeźbić. Kiedy dociera do końca, magia jej ostrza rozpała moje ciało. Pożera mnie od środka. Mój umysł wypełnia żal na myśl o straconych szansach. Nigdy nie powiedziałam Rudjekowi, że niczego tak nie pragnę jak jego jednego pocałunku. Nie spędziłam wystarczająco dużo czasu z Essnai i Sukarem ani z babcią. Ani z moim ojcem, o Heko.

– Spójrz na mnie, Arrah – rozkazuje Arti.

Moje powieki drżą i unoszą się – zmusza je do tego jej magia.

– Twoje ciało i twoje *ka* są moimi niewolnikami – mówi. – Nigdy nie powiesz ani nie zrobisz nic przeciwko mnie.

– Co ty zrobiłaś? – Czuję w piersi tępy ból.

– Upewniłam się, że nie zrujnujesz naszych planów – co rzadkie, Arti się uśmiecha – i wręczyłam ci pewien dar.

Zanim zdążę coś powiedzieć, matka odwraca się i znika w mroku. Chwilę później chowańce też wyslizgują się z pokoju. Kiedy moje nogi przestają się trząść, udaje mi się wstać z łóżka. Moja koszula jest przemoczona od potu, przytrzymuję się ołtarza,

żeby się nie przewrócić. Deszcz uderzający o sufit odbija się echem w moich uszach, a ja, potykając się, docieram do lustra. Muszę zobaczyć wyrządzone szkody.

Chłodne powietrze kłuje mnie w pierś, a światło księżycy pada na gładką, brązową skórę. To niemożliwe: żadnych ran. Żadnych śladów. Żadnych oparzeń. Ani jednej blizny. Patrzę w lustro i cień nadziei przebija się przez oszołomienie. Gdyby czerpać wiedzę tylko poprzez zmysł wzroku, mogłabym uznać, że dzisiejsza noc była ledwie złym snem, moje palce opowiadają jednak inną historię. Podobnie jak ciepło pulsujące mi pod skórą.

Muskam palcami okręgi wyryte w mojej piersi – okręgi, które moja matka uczyniła niewidzialnymi. W świecie magii okręgi łączą i wiążą, ale to jest co innego. Raz jeszcze, tym razem wolniej, przeciągam opuszką palca po bliznach, od grubszego splotu w górę, aż do czubka. Gdzie dotykam, tam zapala się światło, ukazując wyraźny wzór. Kiedy dociera do mnie, co widzę, oszołomienie zastępuje strach.

Wąż. Arti wyryła na mojej piersi węża. Zu to najzdolniejsi kopiści, mistrzowie magii pisanej, ale moja matka również ją studiowała. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że udało jej się osiągnąć techniki wszystkich pięciu plemion. A teraz uczyniła tę magię czymś nikczemnym. Wąż, którego wycięła na mojej skórze, musi mieć coś wspólnego z dzieckiem w mojej przyszłości – z demonem. Jestem tego pewna. Arti powiedziała, że zbliża się czas, tak jak przepowiedział „on”. A to znaczy, że jest jeszcze szansa, by ich zatrzymać.

Przebieram się w tunikę i spodnie, wkładam sandały, a po moich plecach spływa pot. Otwieram okiennice, wpuszczając do środka zapach świeżego deszczu. Kilka kropeł spada mi na twarz.

Mój umysł jest chaosem i niepewnością. Uciekam w noc. Deszcz jest chłodny, ale moja skóra wciąż wrze. Jeden z moich sandałów spada w błotną kałużę. Nie chce mi się szukać go w półmroku, bo wiem, że jeśli się pochylę, sen wciągnie mnie z powrotem w otchłań. Tak bardzo chciałabym zmyć także moje wspomnienia – napisać historię od nowa, wymazać grzechy mojej matki. Nawet magia nie potrafi jednak cofnąć jej zbrodni i ocalić mnie od bólu, jakim jest wiedza. Od pustki, od rozpacz. Jak we mgle, pozwałam się prowadzić instynktowi. Mijam ogród, depcząc irysy. Nasz dom za moimi plecami jest pogrążony w ciemności i nienaturalnej mgle. Mgła jest wszędzie wokół mnie, tak jak Arti. Wie o wszystkim, co się wydarza. Jeśli zechce mnie powstrzymać, robi to. Kiedy mijam pustą i ciemną stróżówkę Nezi, obejmuję się ramionami.

Potykam się o kamienie, zatracam się w mroku własnych myśli, prawie nic nie widzę przez deszcz i łzy. Z każdym kolejnym krokiem słyszę coraz głośniejsze wycie wiatru. Pijacy chwieją się na ulicach, niektórzy leżą w zaułkach. Mnie też brakuje

równowagi, upadam tyle razy, że moje kolana i dłonie są zdarte i zakrwawione. Czuję ucisk w żołądku. Rytuał odebrał mi lata, ale odebrał też coś jeszcze, coś więcej. Budzi się we mnie nowa determinacja i poczucie celu. Powstrzymam moją matkę.

Wciąż mam szansę. Arti powiedziała, że jakiś „on” przepowiedział, że nadchodzi właściwy dzień i godzina. Nie wiem, kim ten „on” jest, ale wiem, kim nie jest na pewno. Mój ojciec nigdy nie wziąłby udziału w czymś tak nikczemnym. Nie miałabym żadnych wątpliwości, nawet gdyby Arti nie denerwowała się, że Oshhe odkryje prawdę. Arti większość czasu spędza w świątyni – czy to znaczy, że mówiła o którymś spośród jasnowidzów? To wujek Sukar, Barasa, zasugerował na posiedzeniu rady, że porywaczka dzieci miała na sobie kość strachopłocha. Tyle że moja matka mogła mu to wmówić z taką samą łatwością, z jaką potrafi uspokoić Ty podczas jej „epizodów”. To byłby doskonały fortel, zwłaszcza biorąc pod uwagę jej nienawiść do wezyra.

Czego ona i jej wspólnik chcą od dzieci? Chcę wierzyć, że maluchy jeszcze żyją. Na pewno tak jest. Arti jest cierpliwa i sprytka – jeśli przepowiedziany dzień i godzina mają dopiero nadejść, musi się wstrzymać z działaniem. Odprawianie rytuału w czasie zaćmienia słońca czy nowiu księżyca wzmacnia magię. Czy chodzi o coś podobnego? Moje usta wypełnia żółć. Planuje rytuał, w którym udział wezmą dzieci... nie mogę tego pojąć. W najlepszym razie moja matka jest niezrównoważona, w najgorszym zaś – jest niebezpieczną bestią, która grasuje w ciemności.

Pałac Wszechpotężnego jest latarnią, która prowadzi mnie przez mrok. Świeci na nocnym niebie mimo strumieni deszczu. Biały gigant staje naprzeciw żywiołom z ognistymi pochodniami zamkniętymi w szkle. W jego murach żyje mężczyzna, którego kochała niegdyś moja matka – wtedy, kiedy była jeszcze do tego zdolna. Jestem wykończona, ale nie będę musiała wspinać się aż tak wysoko, by dotrzeć do celu mojej podróży.

Gdy docieram do dwukrotnie wyższego ode mnie muru z szarego kamienia, wciskam głowę między dwa żelazne pręty i wołam odźwiernego. Wiatr zagłusza mój głos, ale wyłania się osłonięty peleryną przed deszczem odźwierny. Rozpoznaje mnie.

– Na dwudziestu bogów, Arrah – mówi. – Co ty tu robisz w środku nocy?

Magia mojej matki kipi mi w żołądku.

– Muszę się zobaczyć z wezyrem.

– Z wezyrem? – Odźwierny marszczy czoło. – Po co miałabyś się z nim spotykać?

Mrużąc oczy w świetle błyskawicy, dostrzegam jego wąską twarz. Mój ojciec mówił, że wezyr nie jest dobrym człowiekiem. To prawda, ale nie jest też porywaczem dzieci ani nie wyrzył przekleństwa na piersi swojej córki. Odźwierny marszczy brwi, a z jego brody spływają krople deszczu. W przemoczonych ubraniach, bez jednego buta i z rozczochranymi warkoczami muszę wyglądać strasznie.

– Może najpierw zaprowadzę cię do służących. Nie możesz iść w środku nocy na spotkanie z wezyrem, wyglądając jak żebraczka. I tak będzie zły, że go budzisz.

Kiedy mijamy dziedziniec, w powietrzu unosi się zapach krwi i wymiotów, przykryty wonią olejków z lili i hibiskusa. Dociera z pobliskiej areny, na której trenują Rudjek i jego koledzy. Potykam się o kamień, a odźwierny chwytając mnie za ramię i podtrzymuje.

– *Ka*-Kapłanka obedrze cię ze skóry za wizytę u wezyra – mówi. – Wiesz, że się nie przyjaźnią.

– Obedrze ze skóry? – śmieję się chrapliwie. – Jak to ciekawie brzmi.

Mężczyzna patrzy na mnie spode łba, poruszając szczęką.

– Spodziewaliśmy się, że zaczniesz coś kombinować pod nieobecność twojego ojca.

Nie dziwi mnie, że wezyr ma moją rodzinę na oku. Arti kwestionuje jego decyzje przy każdej możliwej okazji. Protestuje przeciwko jego dekretem podczas publicznych dyskusji i buntuje przeciw niemu świątynnych lojalistów.

– Tylko twój ojciec potrafi utrzymać ją w ryzach – mamrocze odźwierny.

Ledwie słyszę jego słowa, bo magia mojej matki wysysa ze mnie resztkę energii. Najwyraźniej wie, co zamierzam zrobić i próbuje mnie powstrzymać. Walczę z opadającymi powiekami, ale moje nogi się poddają.

– Co się z tobą dzieje, dziewczyno? – pyta odźwierny, ale jego głos jest stłumiony i odległy.

Wokół kropel deszczu kolory blakną, a ja tracę wzrok, kiedy ktoś podnosi mnie z ziemi. Dostrzegam jeszcze tylko przemoczonego Rudjeka, po czym magia wciąga mnie z powrotem w ciemność.

CZTERNAŚCIE

Kiedy się budzę, jest jasno, a skóra cała mnie swędzi, jakby moje ciało pogryzła chmara komarów. Boli mnie głowa, a kiedy próbuję się podnieść, tak bardzo kręci mi się w głowie, że żółć napływa mi do gardła. Głosy na zmianę unoszą się i cichną, dobiegając zewsząd i znikąd. Coś zawiązanego wokół moich nadgarstków przytrzymuje moje ręce nieruchomo po bokach. Czy Arti wróciła, żeby skrzywdzić mnie jeszcze bardziej? Nie, ona nie potrzebowałaby więzów. Nie musiałaby nawet poruszyć palcem, żeby jej magia przykuła mnie do łóżka. Ktoś stoi blisko, a do moich nozdrzy dociera znajomy, uspokajający zapach olejku wrzosowego i dymu.

Mrugam, aż w końcu dostrzegam Rudjeka. Jego twarz jest blada, brwi – zmarszczone. Zagryza wargę i bawi się dłońmi, jakby nie wiedział, co ze sobą zrobić. Jest cały rozchełstany. Jego wygląd budzi we mnie czułość. Nie jest teraz synem potężnego wezyra, który ustępuje jedynie Wszechpotężnemu. Jest chłopcem, który strzegł sierocińca, bo uwierzył w moją wizję. Jest chłopcem, który przez całą noc czatował przed sierocińcem, bo chciał pomóc.

Pamiętam tego małego chłopca, jak nad Rzeką Węża złościł się na służących – ludzi, których szotele były większe od niego. Już wtedy miał autorytet. Czy mogło być zresztą inaczej, skoro wychowywał się w posiadłości wznoszącej się ponad miastem niczym antyczny bóg? W miejscu, w którym – przynajmniej na razie – mogę skryć się przed swoją matką.

Chłopiec stojący teraz przede mną nie jest już chudy i góruje nad swoim ojcem. Nie mogłabym już nazwać go tyczkowatym. Kiedy ostatnio tak sobie z niego żartowałam? Kiedyś jego służący byli umięśnieni jak posągi, ale gdzieś w międzyczasie i on całkiem się zmienił. Zauważają to dziewczyny na targu, które uśmiechają się i wachlują na jego widok, i zauważam to ja. Gdyby nie należał do rodu Omarich, śmieiej by go uwodziły, nawet w mojej obecności.

– Rudjek – mówię głosem wciąż zachrypniętym od krzyku.

„Szybko pójdzie” – powiedziała Arti. „Obiecuję”. Wszystko mi się przypomina. Łzy napływają mi do oczu. Poszło szybko i choć nie bezboleśnie, mogło być gorzej.

– Dobrze się czujesz, Arrah? – pyta Rudjek, podchodząc bliżej.

– Rudjek, na dwudziestu bogów! – Wezyr chwyta go za ramię. – Zejdz lekarzowi z drogi.

– Nie przeszkadzam mu przecież – warczy chłopak.

Przypominające gąsienice brwi wezyra łączą się, gdy spogląda wściekle na syna. To właśnie spojrzenie powstrzymało mnie przed podziwianiem Rudjeka na arenie. Gdzie bym nie stała, wezyr zawsze kierował na mnie swój niechętny wzrok. Gdyby tylko wiedział, ile razy spotykaliśmy się z Rudjkiem na Wschodnim Targu. Ile razy spotykaliśmy się w naszym ulubionym miejscu nad rzeką, żeby łowić ryby, leżeć na trawie i rozmawiać godzinami. Przychodzi mi do głowy, że jest wezyrem, a więc musi o tym wiedzieć. Rudjek jest jego dziedzicem. Jedynym z trzech jego synów, którzy mogą zająć kiedyś jego miejsce – wezyr musi wiedzieć o nim wszystko. W nocy rytuału pod postacią mojego *ka* widziałam chyba na targu więcej gwardzistów? Niektórzy byli tam, by czuwać nad Rudjkiem.

– Zejdź lekarzowi z drogi – ton wezyra jest lodowaty – albo stąd wyjdź.

– Rudjek, synku. – Teraz słyszę ciche mruczenie jego matki Serre. – Pozwól lekarzowi pracować.

Rudjek warczy i krzyżuje ramiona na piersi, ale nie protestuje i cofa się o krok.

Nigdy nie widziałam matki Rudjeka bez cieniutkiego welonu, który chroni jej skórę przed słońcem. Jest córką Północy – krainy śniegu, lodu i białej mgły gęstej jak owsianka. Północ nie jest królestwem, lecz zbiorem małych państweczek sprzymierzonych w jednej radzie – podobnie jak plemiona. Nie czczą orisy słońca Re'Meca, a on nie obdarza ich swoim światłem. Nie czczą zresztą żadnego boga. Skrybowie twierdzą, że to dlatego rzucono na nich przekleństwo skóry cienkiej jak papier i wrażliwej na słoneczne promienie. Żyły wystają jej spod skóry na skroniach i pod bladofioletowymi oczami. Nie jest typową piękną, a jednak na każdym zrobiłaby wrażenie.

Człowiek ubrany w proste, niebieskie płótno przystawia mi pod nos coś ziołowego i piekącego. Odsuwam twarz, a mój wzrok pada na wezyra. Jest środek nocy, a on ubrany jest w swoją biało-złotą elarę i przypięty do kołnierza emblemat w kształcie lwa. Ma też bransoletę i wisior z kości strachopłocha, jakby obawiał się, że mogę mu jakoś zagrozić. Czy myśli, że to moja matka mnie przysłała? Wie, że nie posiadam czarodziejskich mocy – a przynajmniej, że nie posiadałam ich przed odprawieniem rytuału.

Wciąż nie mam własnej magii, ale teraz mogę wezwać ją do siebie. Po tym, jak zakończyła się najgorsza część rytuału, poczułam magię, która napełniła mnie nadzieją. Pokazała, że świat składa się z tylu warstw, z tak wielu płacht materiału. Moja matka to zniszczyła, zniszczyła wszystko. Kiedy o niej myślę, napełnia mnie obrzydzenie i wstyd.

Magia Arti wciąż łaskocze mnie w pierś. Co uczyniła, łącząc moje ciało i *ka* ze swoimi? Kiedy byłam małą, Oshhe opowiadał historie o potężnych szamanach, którzy potrafią kontrolować żywych i niedawno zmarłych, zmuszając ich do spełniania swoich żądań.

Czy stanę się jedną z tych nieszczęsnych, wędrujących dusz – *ndzumbi*? Nie będę potworem takim jak ona. Będę walczyć z całych sił, nawet jeśli oznacza to odprawienie kolejnego rytuału i poświęcenie kolejnych lat życia.

Patrząc na emblemat z głową lwa, przypominam sobie, jak Rudjek mówił mi, że kość strachopłocha reaguje tylko, kiedy ktoś kieruje ku niemu magię. Co oznacza, że nie wyczuje klątwy, jaką matka rzuciła na mnie.

Znów próbuję się odezwać, ale moje gardło jest zbyt wysuszone i tylko kaszlę.

Rudjek rzuca się naprzód, ale matka chwyta go za ramię.

– Nie widzicie, że potrzebuje wody?

– Wystawiasz dziś moją cierpliwość na próbę, chłopcze – warczy wezyr. – Wyjdź stąd!

Krzywię się, słysząc jad w jego głosie i kiwam głową w stronę Rudjeka, żeby zapewnić go, że wszystko u mnie w porządku. Czuję się winna, że nie powiedziałam mu całej prawdy o rytuale. Jest moim najlepszym przyjacielem i nigdy nie ukrywałam przed nim nic tak ważnego. Powinnam była wierzyć, że będzie mnie wspierał, nawet nie zgadzając się z moją decyzją. Serre zerka to na mnie, to na niego, ale jej przezroczyta twarz niczego nie zdradza.

Rudjek poddaje się i wybiega z pokoju. Matka idzie za nim.

Szuranie nogami, szepty, aż wreszcie cisza.

Lekarz naciska dwoma palcami na mój nadgarstek.

– Puls jest miarowy.

– Uwolnijcie mi ręce – warczę.

– Skrępowałem twoje ręce, żebyś nie zadrapała się na śmierć – mówi lekarz.

Nie pamiętam, żebym się drapała, ale skóra swędzi mnie tak, jakbym tarzała się w posłaniu z trującego bluszczu.

– Co...

– Rób, jak chce dziewczyna – rozkazuje przez zaciśnięte zęby wezyr.

Lekarz robi, co mu każą, po czym wezyr pozwala mu odejść.

Po wyjściu mężczyzny wezyr nalewa mi wody ze stojącego przy łóżku dzbana. Biorę kilka łyków, zastanawiając się, od czego zacząć. Najpierw muszę mu powiedzieć o dzieciach. To ważniejsze od krzywdy, jaką wyrządziła mi Arti. Ale kiedy otwieram usta, głos grzęźnie mi w gardle. Nie jestem w stanie wypowiedzieć słowa. Magia Arti płonie mi w piersi. Moje ciało wypełnia ciepło.

Twarz wezyra jest doskonale obojętna, kiedy pyta mnie:

– Czy coś ci się stało w język?

– Nie... nie wiem. – Serce wali mi w piersi jak młot.

– Dlaczego przyszedłeś się ze mną zobaczyć? – jego słowa grzmiały mi w uszach. – Co się takiego stało, że przyszedłeś tu w ulewnym deszczu?

– Przyszedłam, żeby powiedzieć... – zdanie urywa się, jakby obcięte ostrzem noża *tobachi*. Zaciskam dłonie w pięści. Moja matka powiedziała, że nie będę w stanie powiedzieć o niej nic złego. Teraz rozumiem już, co miała na myśli. Jej magia kupiła moje milczenie. Nie napotkałam podobnego zaklęcia przez wszystkie te lata, kiedy przeglądałam zwoje w sklepie ojca.

– Moja matka... – Zaciskam zęby, choć pragnę krzyczeć na cały głos. Musi być jakiś sposób, by zawańczyć z klątwą, jakiś sposób, żeby ją zdjąć. Owszem, moja matka jest potężna, ale nie istnieje niezwyciężona magia.

Wezyr siada na fotelu obok mnie, a jego twarz nie wyraża żadnych emocji. Poprawia swoją elarę, tak by nawet na siedząco wyglądać godnie. Cisza rozciąga się między nami jak naprężony sznur. Mężczyzna splata palce.

– Nie lubię tracić czasu. – Z jego głosu wyparowuje wszelka sztuczna uprzejmość. – Ani słów.

– Ja też nie.

Magia zaciska mi gardło, nie pozwalając powiedzieć nic złego o Arti. Pięści mi się trzęsą, a łzy spływają po policzkach. Na pewno da się jakoś ominąć jej klątwę.

– Gdyby twoje wieści wzmocniły moją pozycję, mógłbym zaoferować ci ochronę. – Wezyr pochyla się nade mną, a jego ciemne oczy błyszczą głodem. – Nie bój się mówić, dziecko.

– Nie boję się – smakuję słowa na języku. – Tylko nie mogę.

Jego twarz wykrzywia się w wyrazie pogardy.

– Co tym razem zrobiła twoja matka?

Mój język sztywnieje, jakby zmienił się w kamień. Wezyr patrzy, jak otwieram i zamykam usta, jakby trzepocząc prześcieradłem na wietrze, aż wreszcie poddaję się i mówię tylko z frustracją:

– Nie mogę powiedzieć.

– Nie możesz powiedzieć? – Wezyr unosi brew. – Ciekawy dobór słów. Czyli chcesz, ale nie możesz.

– Tak... – Kiwam głową, a mój głos znów cichnie.

– Można by sądzić, że twoja matka wiedziała, że przyjdiesz prosto do Rudjeka, a tym samym – do mnie – mówi. – Pewnie chciała, żeby tak się właśnie stało.

Pojawiasz się w moim domu w panice i gorączce, utyłana błotem. Kogoś słabszego takie zdarzenie mogłoby zaniepokoić.

Głowa wezyra obraca się, gdy ktoś cicho puka do drzwi. Jeden z jego służących przyniósł wieści. Mężczyzna kłania się, nie odrywając wzroku od podłogi.

– *Ka*-Kapłanka posłała swoją służbę na poszukiwania chorej córki. Mamy przesłać jej wiadomość, panie?

– Nie – odpowiada wezyr. – Zróbcie to jutro po południu.

– Jak pan sobie życzy – mówi mężczyzna, po czym zamyka drzwi za sobą.

Dostrzegam w korytarzu Rudjeka, który zagląda do środka i uśmiecha się do mnie pytająco, nim służący zdąży zamknąć drzwi. Pokonana, opadam na poduszki. Wezyr powinien się zaniepokoić, ale ja w niego nie wierzę. Tylko ja jedna znam prawdę i tylko ja jedna mogę powstrzymać moją matkę.

Rudjek wkrada się do mojego pokoju godzinę po wyjściu wezyra.

– Przepraszam, że to tak długo trwało. – Uśmiecha się. – Musiałem przekupić mnóstwo ludzi.

– Nie wiem, czy mi się podoba, że przekupiłeś ludzi, żeby mnie zobaczyć – mówię, siadając na łóżku.

– Co się wydarzyło podczas rytuału? Co z porwaczem dzieci? – Rudjek odsłania okno, żeby wpuścić do środka światło księżyca, po czym opada na krzesło obok łóżka.

– Widziałaś coś?

Magia znowu pęcznieje i nie pozwala mi się odezwać. Wzdycham tylko i kręcę głową.

– Nie widziałam nic, o czym warto by było wspominać. – Kłamstwo smakuje gorzko.

– A więc rytuał się nie powiódł? – Oddech Rudjeka drży. – Martwiłem się, kiedy następnego dnia nie przysłałaś na targ. Pisałem do ciebie, ale nie odpowiedziałaś. Zajrzałem też do twojego domu. Essnai i Sukar również. Nezi powiedziała, że masz gorączkę, a twoja matka zabroniła komukolwiek cię odwiedzać – zagryza wargę. – Bałem się, że rytuał wyrządził ci krzywdę.

Choć jestem wykończona po walce z magią Arti, denerwuje mnie też, że sądzi, że znowu poniosłam porażkę.

– Powiedziałam, że nie widziałam nic, o czym warto by było wspominać.

Rudjek krzywi się, a jego głos brzmi oskarżycielsko.

– A więc zadziałał.

– Tak, można tak powiedzieć – mamroczę pod nosem.

– Myślisz, że nie wiem, co zrobiłaś? – Rudjek krzyżuje ramiona na piersi i odwraca się. – Podpytywałem... rozmawiałem z innymi szarlatanami, bo ten, który dał ci zwój, nie chciał ze mną gadać.

Zagryzam wewnątrz policzka, widząc na jego twarzy, że poczuł się zdradzony. Nie zamierzam się tłumaczyć z tego, co zrobiłam ani jemu, ani nikomu innemu. To był mój wybór.

– Oddałaś swoje lata w zamian za magię. – Słowa Rudjeka są pełne bólu. Kiedy wreszcie na mnie spogląda, dodaje: – Jak mogłaś zrobić coś tak bezmyślnego, Arrah? Co by było, gdybyś...

Nie chcę się z nim o to kłócić. Co było, to było, dyskusja nie ma sensu. Pytam za to:

– Słyszałaś o tym, co przydarzyło się mojej matce?

Twarz Rudjeka blednie, a żyły na jego czole pęcznieją.

– Wiedziałaś przez cały ten czas. – Mój głos pełen jest złości, której nie potrafię... której nie chcę pohamować. – Prawda?

Splata palce w ten sam sposób, co wcześniej wezyr, co tylko bardziej mnie irytuje.

– Ojciec powiedział mi kilka miesięcy temu. Podejrzewam, że także wtedy przygotowywał mnie do roli jego dziedzica, ale wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy. Nim Wszechpotężny Jerek zasiadł na tronie, byli z moim ojcem najlepszymi przyjaciółmi. Poznali Arti, kiedy przyjechała do Tamaru z radą handlową reprezentującą plemiona. Jerek natychmiast zakochał się w Arti – do tego stopnia, że mój ojciec podejrzewał, że go zaczarowała.

Myślę sobie, że zaczarowanie mężczyzny byłoby najmniejszą spośród zbrodni mojej matki, ale mu nie przerywam.

– Przez wiele miesięcy spędzali ze sobą każdą wolną chwilę – mówi Rudjek. – Jerek poprosił Arti o rękę podczas publicznej ceremonii, od której zaczęła się fala plotek. Ojciec powiedział Wszechpotężnemu o swoich podejrzeniach. Wszechpotężnemu nie spodobało się to oskarżenie. Wezwał swojego *Ka-Kapłana*, by ten przesłuchał Arti, a Ren Eké... robił jej wtedy straszne rzeczy.

Ludzie na targu zawsze ciepło wspominali *Ka-Kapłana Ren Eké*, mówili, że był życzliwym i odpowiedzialnym rozjemcą. Wszystko to bujdy.

Dopiero teraz rozumiałam przerażające znaczenie historii mojego ojca. Czuję grozę na myśl o wszystkich tych latach pełnych niezliczonych złośliwych uwag i afrontów z jej strony. O pełnych rozczarowania spojrzeniach, ale także o tych nieobecnych, o jej zmęczeniu. O chwilach zamyślenia. O minutach ciszy, które spędzała w salonie, popijając herbatę. O mojej nieustannej nadziei, że jeszcze będzie lepiej między nami. Nigdy nie było. I nigdy nie będzie.

Trudno pogodzić się z historią, którą opowiadał mi ojciec, a tym bardziej z tym, co dopowiedział teraz Rudjek – że to jego ojciec wydał rozkaz. Cóż tak straszego *Ka-Kapłan* zrobił Arti? Co sprawiło, że ze słodkiej, niewinnej dziewczyny, w której

zakochał się mój ojciec, zmieniła się w potwora? Jakakolwiek byłaby odpowiedź, nic nie usprawiedliwia jej czynów...

Podczas święta Krwawego Księżyca jedna z ciotek powiedziała, że gdyby Arti była sprytniejsza, mogłaby poślubić Wszechpotężnego. Wtedy się nad tym nie zastanawiałam. Wszyscy widzieli, jak spogląda na nią pożądliwie podczas posiedzenia rady. Z tym że podobnie patrzył na wiele innych obecnych tam kobiet. Tylko co ta cała historia o Wszechpotężnym, wezyrze i *Ka*-Kapłanie Ren Eké ma wspólnego z porywaniem dzieci? To bez sensu. Musi chodzić o coś jeszcze... o coś więcej.

Nie mam najmniejszych wątpliwości, że moja matka jest zdolna do zemsty, ale *Ka*-Kapłan nie żyje. Czyżby zabieranie dzieci miało pozwolić jej zemścić się na wezyrze i Wszechpotężnym? Nie mogła zaatakować ich bezpośrednio ze względu na antymagię i na ich strażników. Zniknięcia wywołały już oburzenie na mieście, a to tylko początek planów mojej matki.

– Nie mogę uwierzyć, że wiedziałeś o wszystkim i nic mi nie powiedziałeś. – Nie umiem spojrzeć mu w oczy. Nie chodzi jednak tylko o jego sekret. I ja mam swój. Nie powiedziałam mu nigdy, że szpiedzy mojej matki pracują w domu wezyra. Nie zniosę więcej sekretów, podstępów i kłamstw. Zaczynam w nich tonąć. Ale nawet gdybym chciała być wobec niego szczerą, teraz nie pozwoli mi na to cholerna klątwa.

– Tak mi przykro, Arrah – mówi cicho. – Myślałem, że...

– Co takiego myślałeś? – warczę, unosząc wzrok.

– Myślałem, że mnie znienawidzisz – wyznaje.

Gorąco wypełnia moją pierś i rozciąga się po wszystkich kończynach niczym pnące, ale jego słowa sprawiają, że nie chce mi się już kłócić. Rywalizacja między naszymi rodzicami zawsze stanowiła przeszkodę, po prostu staramy się o tym nie rozmawiać.

– Nie nienawidzę cię, ale jestem bardzo zła, że dopiero teraz mi o tym wszystkim mówisz.

Po nieco zbyt długiej ciszy, Rudjek wyrzuca z siebie dalszy ciąg historii:

– Twoja matka była niewinna. *Ka*-Kapłan sam to przyznał po tygodniach tortur. A jej przesłuchaniem mój ojciec naraził na ryzyko handel z plemionami. Mulani zagrozili, że zerwą stosunki z Królestwem. Chcąc zachować ten sojusz, Wszechpotężny ogłosił Arti uczennicą *Ka*-Kapłana.

Oddech więźnie mi w gardle, kradnie mi słowa. Nie mogę pojąć, czego się właśnie dowiedziałam. Szalona czy nie, Arti zgodziła się pracować dla człowieka, który ją torturował. Wbijam paznokcie w przedramiona i przyciągam kolana do piersi, by powstrzymać ich drżenie. Nienawidzę wezyra za to, co zrobił. Zniszczył moją matkę, która teraz jest jeszcze gorsza niż on.

– Ludzie na targu mówili mi, że jakiś rybak znalazł *Ka-Kapłana* wiszącego na haku w zatoce.

Rudjek głośno przełyka ślinę.

– Z tego, co słyszałem, *Ka-Kapłan Ren Eké* narobił sobie wielu wrogów, wykonując brudną robotę dla Królestwa.

Żaden z nich nie był tak niebezpieczny jak *Arti*.

PIĘTNAŚCIE

Po całym dniu spędzonym w rezydencji wezyra jeden z jego sług zabiera mnie do domu. Zbliża się zachód słońca, kiedy Nezi kuśtyka do bramy i wpuszcza mnie do środka. Kręci głową i bez słowa wraca do siebie. Gdzie oni wszyscy byli wczoraj w nocy? Ktoś musiał być w domu – Nezi, Ty czy Terra. Czyżby nie słyszały moich krzyków? Czy to jedna z nich zabrała mnie po rytuale spod świętego drzewa Gaer?

Wpatruję się w willę, zaciskając szczęki. Ściany z beżowej cegły, okiennice barwy ziemi, białe zasłony w oknach. Zwieńczone łukiem przejście prowadzące na wewnętrzny dziedziniec, gdzie mój ojciec uprawia lecznicze zioła. Wszystko to składa się na wrażenie spokoju, ale to tylko kłamstwa.

Okrażam dom, kierując się ku wejściu do kuchni i spotykam po drodze Terrę, która wróciła z ogrodu z koszem warzyw. Podbiega do mnie, a słońce świeci w jej delikatnych, złotych lokach.

– Przeczesałiśmy cały Tamar, żeby cię odnaleźć. – Marszczy czoło. – Gdzie ty byłaś?

– Czy matka jest w domu? – pytam, przerywając jej.

Terra przetyka ślinę i przyciąga kosz do piersi.

– Jest w fatalnym nastroju i wcale jej się nie dziwię.

Biorę głęboki oddech. Chciałabym wsiąść na prom i odpłynąć daleko stąd, ale nie jestem głupia. Klątwa nie pozwoliłaby mi odejść daleko. Matka by na to nie pozwoliła.

– Lepiej wejść do środka.

Odchodzę już, kiedy dobiega mnie szept Terry:

– Co ci się stało?

Spogląda na kwiaty, które rozwinęły się w czasie ulewy. Pokażne, jasne liście lilii wodnych i płatki róż mieniają się kroplami deszczu. Irysy, które podeptałam w pośpiechu wczoraj w nocy wydają się nietknięte. Zaciskam wargi, by ukryć swoje niedowierzanie. Arti dokładnie posprzątała bałagan.

– *Ka*-Kapłanka dała nam wczoraj wolne i kilka miedzianych monet, ale ja swoje zaoszczędziłam. Poszłam do piwnicy, żeby poczytać... lubię czytać, kiedy mam wolną chwilę. – Terra blednie. – Tam usłyszałam twoje krzyki, ale kiedy weszłam na górę, w twoim pokoju było pusto. Poszłam po twoją matkę, ale jej też nie znalazłam.

Chciałabym móc powiedzieć jej prawdę i nie być już sama z tą straszną tajemnicą. W odróżnieniu od Ty i Nezi, które są bliskie mojej matce, Terra zwierza się mnie.

Zawsze była dobrą przyjaciółką i nigdy nikomu nie powiedziała, że uciekam z lekcji ze skrybami. Ale nie próbuję nawet wyjaśniać, magia i tak mnie powstrzyma.

– Miałam zły sen.

– Tylko tyle? – Terra unosi brew. Nie wierzy mi, ale nie nalega.

Kiedy kiwam głową, obraca się na pięcie i kieruje się do kuchni. W nadziei, że uda mi się uniknąć spotkania z matką, ja też wchodzę tamtędy w moich za dużych, srebrnych klapkach, które dostałam od służącej w rezydencji Omarich. Po drodze do swojego pokoju nigdzie nie widzę Arti, towarzyszą mi tylko tancerze na ścianach. Terra naląła mi do wanny świeżej wody, ale ta pewnie stała tam od świtu i zdążyła już ostygnąć. Na moim łóżku leży szata koloru kości słoniowej.

Arti wiedziała, że wrócę. Nie musiała się o nic martwić, skoro rzuciła na mnie klątwę. Znów spoglądam w lustro, na niewidzialną bliznę, i zaciskam dłonie w pięści. Mam ochotę wyrzucić porcelanową misę przez okno, żeby roztrzaskała się na tysiąc kawałków. Tak jak Arti mnie roztrzaskała na tysiąc kawałków. Tak jak *Ka*-Kapłan roztrzaskał ją.

Kiedy oko Re'Meca sadowi się za Pałacem Wszechpotężnego, umywszy się, powoli wkładam ubranie. Znów macam dłońią niewidzialnego węża na mojej piersi. Tym razem nie zaczyna świecić, jednak choć moja skóra jest gładka, dokładnie pamiętam jego kształt. Nie mogę udawać, że wszystkie te złe rzeczy, które mi zrobiła, nigdy nie miały miejsca. Nie odpowiedziałam na moje pytania o Kofiego, a to martwi mnie jeszcze bardziej niż ten przeklęty wąż.

Boję się iść do salonu na wspólny posiłek z Arti, ale jej magia przywołuje mnie jak niewidzialna smycz. Kiedy tylko wchodzę do salonu, tracę oddech. Mój ojciec siedzi na poduszce u szczytu stołu. Pije z porcelanowej miseczki – z pewnością raczy się piwem, jak zawsze przed kolacją. On będzie wiedział, co robić. On potrafi powstrzymać Arti. Ona siedzi po jego prawej stronie, podjadając orzechy i pieczone figi. Jej magia przyciągnęła mnie tutaj, ale ona nawet na mnie nie zerka.

– Wróciłeś! – wołam.

Ojciec uśmiecha się do mnie, a jego twarz rozpromienia się niczym słońce o świcie. Najwyraźniej nie dowiedział się o moim tajemniczym, nocnym zniknięciu. Odstawia na bok miseczkę i wyciąga do mnie rękę na przywitanie. Omal na niego nie upadam, kiedy mocno mnie przytula.

– Tęskniłem za tobą, córko. – Całuje mnie w czubek głowy. – Mam ci tak dużo do powiedzenia.

Arti unosi kieliszek wina do ust ze sztuczną obojętnością, która nie skrywa urazy w jej oczach. Ani tego, jak wierci się na poduszce, jakby nie mogła usadzić się wygodnie. Zamiast spojrzeć mi w oczy, skupia uwagę na ścianie za moimi plecami.

Powinam się w nią wpatrywać, przeklinać w myślach, ale mimo wszystko jest mi jej szkoda. Wieści o *Ka*-Kapłanie wciąż są świeże, ta wiedza wciąż wrze we mnie i kipi jak czarna krew.

Jej bursztynowe oczy świecą zbyt jasno, a kruczoczarne włosy lśnią zbyt mocno, kontrastując z jasnobrązową skórą. Pod każdym względem jest przeciwieństwem Oshhego. Światło podkreśla krawędzie jego hebanowej twarzy, czyniąc szczękę bardziej wydatną, nos – bardziej wyrazistym, czoło – pełnym dumy. Ona nawet teraz cała jest miękką krągłością, a światło odbija się od jej skóry. Dostrzegam, jak ojciec tęsknie na nią zerka, uśmiechając się lekko. Po tylu latach on wciąż cieszy się na jej widok.

Chłopcy z plemion nazywali ją Syreną z Doliny.

A powinni byli nazywać ją Żmiją.

– Znalazłeś białego wołu, ojcze? – Zagryzam wargę. Nie powinam o to pytać w obecności Arti, ale jestem zdesperowana. Muszę jak najszybciej dowiedzieć się, czy jego kości są dość silne, by zdjąć jej kłatwę.

– Owszem, Mała Kapłanko. – Oshhe kiwa głową, kiedy moszczę się na poduszce po jego lewej stronie. – Wyśledziłem go u wejścia do Mrocznego Lasu.

Głos ojca wibruje w pokoju niczym piękna piosenka. Owija się wokół mnie. Ojciec z pewnością czuje, że coś jest nie tak. Musi wyczuwać co najmniej napięcie między mną a Arti, tak gęste, że dałoby się je kroić nożem.

Kiedy Oshhe bierze kolejny łyk piwa, żałuję, że nie mogę zebrać wszystkich tych strasznych rzeczy czających się w moim umyśle i zakopać ich gdzieś głęboko. Że nie mogę ogniem usunąć ze swojej piersi niewidzialnego, przeklętego węża. Dlaczego on nic nie wyczuwa? Błysk w jego oczach podpowiada mi, że zaraz rozpocznie opowieść. Wzdycham z rezygnacją – dawno żadnej nie wysłuchałam i pragnę poczuć się bezpiecznie.

Kiedy mój ojciec opowiada historie, znów jestem małą dziewczynką, wsłuchaną w każde jego słowo.

– Widziałeś je kiedyś? – pytam, czując, jak serce wali mi w piersi. Błysk w jego oczach sugeruje, że musiało się wydarzyć coś niezwykłego. – Widziałeś strachopłochy?

– Nie da się ich zobaczyć, Mała Kapłanko – mówi Oshhe, a jego oczy błyszczą z dumy. – Są równie nieuchwytnie, co niebezpieczne. Można jednak wyczuć ich obecność. Jest niczym ciężki płaszcz; jakby powietrze było zbyt gęste, jakby niebo miało spaść na głowę. To uczucie ciąży na *ka* i sprawia, że chce się uciec. Jak już mówiłem, dostrzegłem białego wołu na skraju Mrocznego Lasu – ciągnie mój ojciec. – Jako że nie był to zwykły wół, wiedział, dlaczego przybyłem i co zamierzam zrobić.

Biegł niczym wiatr podczas burzy, dziki, nieokiełznany i nieostrożny. Powiedziałem sobie, że nie odejdę bez jego kości. Ja też biegłem, szybko jak gazela, i schwytałem go, gdy wkraczał w leśną głębię. Kiedy uklęknąłem, by wypowiedzieć błogosławieństwo, poczułem je. Nawet w środku dnia w Mrocznym Lesie panuje noc – mówi. – Drzewa są tak wysokie i rozłożyste, że nie dopuszczają promieni słońca. Strachopłochy otoczyły mnie w tym półmroku. Byłem pewien, że moja śmierć się zbliża, ale pozostawały w cieniu. Nie wiem, ile ich było. Widząc, że nie atakują, użyłem magii, by uczynić wagę wołu bliską wadze dziecka. Wymagało to ogromnego wysiłku, gdyż obecność strachopłochów osłabiła mnie. Kości białego wołu pełne są ochronnej magii, ale antymagia strachopłochów odbiera jej siłę. To trucizna, na którą nie ma antidotum.

Oshhe przerywa, żeby dolać sobie piwa.

– Jak się domyślasz, nie miałem zamiaru zostać tam dłużej. Wyniosłem zwierzę z Mrocznego Lasu na plecach tak szybko, jak potrafiłem. Dopiero kiedy byłem już daleko, zatrzymałem się, by odpocząć.

– Dziękuję, biały wołu. I przepraszam. Obiecuję, że będę czcić twoje kości.

To modlitwa Aatirich, wyrażająca szacunek dla tego, co zostało odebrane. Mam nadzieję, że jego ofiara pozwoli zdjąć klątwę Arti.

– Kiedy zrobisz amulet, ojczy? – pytam. W moim głosie jest zbyt wiele entuzjazmu, biorąc pod uwagę obecność matki, ale nie zamierzam się tym przejmować.

– Traciecie czas na magię kości – prycha Arti. – Co za głupoty.

– Twój brak zrozumienia nie czyni tego głupotą – mówi Oshhe, kręcąc głową z pobłażaniem i niedowierzaniem. Sięga do kieszeni kaftana i uśmiecha się do mnie, wyciągając z niej amulet.

– To prezent dla ciebie, córko.

Podaje mi amulet. To jeden wygięty róg, wypolerowany i opróżniony, z otworami po obu stronach. Przewiązał przez nie srebrny łańcuch, tak, żeby można go było nosić na szyi. Jest inkrustowany złotem i błyszczy magią. Nie byle jaką magią, ale taką, która ochroni mnie przed zielonooką żmiją. Przed moją matką.

Ale kiedy próbuję po niego sięgnąć, mięśnie moich ramion napinają się. Nie mogę się ruszyć. Z rozpaczą spoglądam na ojca.

Oshhe już ma coś powiedzieć, kiedy Arti dzwoni po Ty, żeby podała nam posiłek. Musi wiedzieć, że ojciec niedługo domyśli się prawdy. Próbuje odwrócić jego uwagę. Ta strategia nie będzie działać wiecznie.

Terra wyłania się z kuchni z tacą w dłoniach. Klęka pomiędzy Arti a Oshhem, pokazując im jedzenie. Orzechowa zupa przyprawiona imbirem i czosnkiem, podana z dużymi kulami *fufu*. Jagnięcina w ziołowej panierce, przyozdobiona liśćmi mięty. Ser

wagashi i ciepły bochen świeżego chleba. Oshhe gestem nakazuje Terrze postawić talerz na stole, ale niemal nie dostrzega jedzenia.

Arti kiwa głową.

– Podziękuj Ty, Terro.

Kiedy już jesteśmy w salonie sami, moja matka podnosi dzban piwa i znów napełnia miskę Oshhego.

– Tak bardzo za tobą tęskniłyśmy – mówi cichym, uwodzającym głosem. – Prawda, Arrah?

Wpatruję się w stojącą przede mną pustą, porcelanową miskę koloru kości słoniowej. Powietrze w pokoju przemieszcza się jak bańka, którą chłopcy z Litho wyczarowali, kiedy zabłąkałam się na ich obozowisko. To tarcza, która nie pozwala, by ktokolwiek zobaczył czy usłyszał, co dzieje się w salonie. Zmuszam się, by spojrzeć na matkę. Wzrokiem błagam ją, by z tym wszystkim skończyła, by się przyznała, powiedziała nam, co zrobiła z dziećmi. Tracę nadzieję, że znajdziemy je żywe – nadzieję, że uda się jeszcze wszystko naprawić. Gdybym tylko mogła sięgnąć po amulet...

– Arti – mówi Oshhe, zerkając to na mnie, to na nią. – Co ty zrobiłaś?

– Mam dla ciebie złe wieści. – Arti podnosi serwetkę ze stołu i wyciera nią usta. – Przepraszam za to, co muszę teraz zrobić.

Moje ciało sztywnieje, kiedy napotykam wzrok ojca. W jego czarnych jak nocne niebo oczach kolory odbijają się z niezwykłą jasnością. Kiedy znajduje, czego szukał, na jego twarzy pojawia się ból, który sprawia, że coś we mnie pęka. Gdy otwiera usta, by się odezwać, jego wargi drżą, ale nie wydają z siebie żadnego dźwięku. Słowa uciekają na wietrze. Pokój wypełniają magiczne iskry, które spadają z sufitu, odpowiadając na nieme wezwanie mojego ojca.

Jego skóra błyszczy bielą, kiedy odsuwa się od stołu, w pośpiechu upuszczając na ziemię naszyjnik. Walczę z magią Arti, żeby go podnieść, ale cała walka rozgrywa się w moim umyśle. Pragnienie i rozpacz szaleją we mnie niczym burza, a jednak, choć się trzęsę, wciąż siedzę na poduszce. Nie mogę się poruszyć ani odezwać, nie mogę działać wbrew woli Arti. Jedynym, czego moja matka nie kontroluje, są moje myśli i uczucia. Do głowy przychodzą mi wszystkie przekleństwa świata – które i tak nie mają żadnego znaczenia.

Powstanie zajmuje Arti dłuższą chwilę, jej ruchy wydają się zmęczone. Magia zstępuje na oboje moich rodziców. Opływa ich ciała. Ojciec kiwa głową w moją stronę. Nie poruszam się, więc chowa mnie za sobą, jakbym wciąż była jego małą córeczką.

Ich magia wybucha feerią jasnych światła i barw. Dudni w pokoju niczym grom, zmieniając się w chmury mgły. Ojciec cofa się o kilka kroków, a z nosa Arti cieknie

krew.

Celuję swoim umysłem w siłę, która łączy mnie z matką. Zębami gryzę się we wnętrze policzka, a moje usta wypełnia krew. Wiję się jak robak, póki moje drżące dłonie nie dotkną kostnego amuletu leżącego na podłodze. Zaciskam dłoń na rogu, w nadziei, że coś poczuje – cokolwiek, co pozwoli mi wierzyć, że zdjął jej klątwę. Ale nie czuję nic, tylko chłód rzeczywistości. Kości białego wołu, najsilniejsze źródło ochrony przed magią, nie tylko nie zdjęły klątwy rzuconej przez moją matkę, one jej nawet nie musnęły.

Oshhe pada na kolana, a ja upuszczam amulet.

– Tato, nie! – wołam, pełznąc w jego stronę.

Jego twarz wiotczeje, a ramiona opadają bezwładnie. Próbuje się odezwać, ale tylko duka, jego słowa nie mają sensu, początku ani końca, jakby zostały odwrócone na lewą stronę. Łzy ciekną mi po twarzy. Wycieram je.

– Nie, nie, nie – szepczę, potrząsając nim. – Błagam cię, Heko.

Arti niemal straciła oddech, a jej włosy są rozczochrane. Sięga po misę, z której pił Oshhe. Całe jego ciało drży, a oczy wywracają się białkiem na wierzch. Choć wrzeszczę, by walczył z przekleństwem, nie odpowiada. Nie może odpowiedzieć.

– Co ty zrobiłaś? – Mam ochotę wydrapać jej okrutne oczy, zetrzeć przebiegły uśmiech z jej ust. Trzymam w ramionach nieruchomiejące ciało ojca, którego oczy opuszcza światło.

– Spróbowałaś sięgnąć po amulet, choć zabroniłam ci tego czarami – mówi Arti, mrużąc oczy. – Jak ci się udało stawić mi opór?

Ma rację. Przez chwilę udawało mi się opierać jej magii, ale mój opór nie zdał się na nic. Amulet nie zadziałał, a ja nie mogę zrobić nic, by pomóc ojcu.

Kiedy nie odpowiadam, wzrusza ramionami i wyciera z nosa krew.

– Zresztą nieważne.

Arti dmucha w misę, odkrywając ogniste litery na białej porcelanie. Płaczę, tuląc ojca w ramionach. Jego skóra jest gorąca, zbyt gorąca. Powinien był wyczuć klątwę, dotykając miski. Gdyby tak się stało, nie zajęłoby mu też tyle czasu odkrycie zaklęcia, które rzuciła na mnie. On widział jedynie słodką dziewczynę, którą kiedyś pokochał, a ja tak bardzo pragnęłam matczynej czułości, że nie dostrzegliśmy prawdy. Oboje byliśmy ślepi.

– Dlaczego? – raz po raz zadaję pytanie, które ma smak żółci.

Arti patrzy na mnie ponad miską swoimi bystrymi oczami.

– Potrzebuję twojej pomocy.

Mrugam, by powstrzymać łzy. Sposób, w jaki wypowiedziała te słowa sprawia, że przechodzą mnie dreszcze.

Arti znów spogląda na porcelanę, zaciskając wargi w wąską linię, nieustępliwa i zdeterminowana. W jej oczach jest tyle emocji, że przez chwilę wydaje się zagubiona. Trzyma porcelanową misę na czubkach swoich długich paznokci. Naczynie drży, kiedy kołysze nim wprzód i w tył, ani na chwilę nie odwracając od niego uwagi. Piwo wylewa się i spływa po jej ręce. Sponad krawędzi unosi się mgła, która owija się wokół jej nadgarstka. Myśli kłębią mi się w głowie. Nie mogę się skupić. Widziałam już święty tekst na misie wcześniej, w świątyni. W świecie magii jest on pieczęcią, wiąże i zamyka jak okrąg. Jeśli w naczyniu znajduje się coś z mojego ojca, a ona je upuści i potłucze, jego również zniszczy. Misa nagle nieruchomieje na opuszkach jej palców, a ja biorę głęboki oddech w nadziei, że Arti zmieni zdanie. Czy to możliwe, by nie była całkiem pozbawiona serca? Mruga, cała zeszywniała, i wypuszcza miskę. Rzucam się po nią, ale jestem zbyt powolna, nie potrafię dość szybko się pozbierać.

Misa uderza o stół i roztrzaskuje się na tysiąc kawałków. Każdy z odłamków błyszczy niczym słońce. Zasłaniam oczy, gdy magia zaczyna ocierać się o moje ręce. Kiedy światło gaśnie, przyciągam do siebie ojca, jakbym mogła ochronić go przed nadchodzącym pożarem.

Ojcze, znajdę sposób, by cię uwolnić. Przysięgam na Hekę.

SZESNAŚCIE

Siedzę na podłodze, kołysząc ojca w ramionach. Mięśnie na jego szyi wyraźnie się odznaczają, kiedy zaciska zęby. Walczy z klątwą, ale gdy noc dobiega końca, ta przejmuje go we władanie.

Arti nie rzeźbi mu symbolu węża na piersi. Ogniste litery przenoszą się z misy na jego skórę niczym stonogi i zastygają w tatuaże.

Poza twarzą, która pozostaje nietknięta, jego ciało pokrywa atrament, ciemniejszy nawet niż jego skóra. Wygląda teraz jak członek plemienia Zu, tatuaże go jednak nie chronią, lecz wiążą z Arti – silniej nawet, niż ja jestem z nią związana. Zapytała mnie, jak udało mi się stawić jej opór, ale czy naprawdę to zrobiłam?

Nie mogłam powiedzieć prawdy Rudjekowi ani wezyrowi.

Nie zdołałam ostrzec ojca.

Arti porządkuje salon za pomocą magii. Oślepiające światło zamiata gruzy. Naprawia złamany stół, czyści rozlane jedzenie, skleja odłamki szkła. Bańka wokół pokoju migocze, ale pozostaje nienaruszona. Arti siada przy stole jak gdyby nigdy nic, nie zerkając nawet na Oshhego. Jak mogła go tak potraktować? Człowieka, który odnalazł ją złamaną i spróbował pomóc, kiedy najbardziej go potrzebowała.

Ręce jej się trzęsą, kiedy nalewa sobie więcej wina i unosi kielich do ust. Mam ochotę wepchnąć jej go do gardła. Myśl ta zaskakuje mnie, moje ciało przeszywa dreszcz grozy. Nawet gdybym mogła to zrobić, nie mam pewności, że jej śmierć zdjęłaby klątwę. Moja matka jest potężna, ale nie jest głupia.

– To wszystko twoja wina, szarlatanko – mówi, opróżniwszy trzeci kielich wina. – Gdybyś się nie wtrącała w moje sprawy, ani tobie, ani twojemu ojcu nic by się nie stało.

Znów chwyta dzban z winem, wylewając część na obrus.

– Została mi do zrobienia jedna, jedyna rzecz – syczy. – Czy myślisz, że pozwoliłabym ci zrujnować lata starannego planowania? Uruchomiony został bieg zdarzeń, którego nie da się już zatrzymać.

Mówi zagadkami, gorzej niż starszyzna plemienna. Nie przerywam jej, żeby móc się zastanowić, jak ją powstrzymać. Pstryka palcami, Oshhe gwałtownie nabiera powietrza w płuca.

– Usiądź, mężu – mówi Arti, a jej melodyjny głos jest jak trucizna – i spędźmy razem miły wieczór, jak prawdziwa rodzina.

Oshhe zrywa się na nogi bez wahania, odganiając mnie niczym kłopotliwego komara. Łzy mnie duszą. To nie jest mój ojciec. Twarz Oshhego jest zwiotczała i poszarzała, a oczy błyszczą w podziwieniu dla Arti. Mój ojciec jest silny – to syn plemienia Aatiri, a jego matka jest nie tylko wybitną szamanką, ale i ich przywódczynią. Mój ojciec ma ciepły uśmiech i wielkie serce. Nie boi się sprzeciwić Arti, kiedy ta się myli. Człowiek, na którego patrzę, to ktoś całkiem inny w skórze mojego ojca.

– Chodź, Mała Kapłanko. – Wskazuje na leżącą obok niego poduszkę. – Opowiem ci historię.

Nikt inny nie wyczułby zmiany tembru jego głosu. A jednak nie ma w nim iskry. Ani obietnicy, że zawsze mnie ochroni. Brzmi teraz jak niezwykle utalentowany aktor, zdolny przekonać publiczność o swojej szczerości. Ale ja nie zamierzam grać w tę grę. Nie poruszam się, kiedy mnie wzywa.

– Nie wystarczy, że rzuciłaś na niego klątwę? – Patrzę na Arti z wściekłością, zaciskając pięści. – Musiałaś zrobić z niego swoją kukiełkę?

Arti zbywa moje słowa, jakby strzepywała pyłek z ubrania.

– Wiążąc jego *ka*, sprawiłam, że odpowiadać będzie tylko przede mną. Nie będzie musiał znać prawdy – mówi, jakby okazała mu litość. – Będzie znał tylko szczęście. To ci nie wystarcza?

– Czy mi to wystarcza? – syczę. – Mamy się grzać w ciepłe twojej litości, tak?

Te słowa zwracają jej uwagę. Pochyla się, a jej pierścień *Ka*-Kapłanki błyszczy to szafirem, to kamieniem księżycowym. Czy wcześniej należał do kapłana Ren Eké? To byłoby żałosne. Pierwszy *Ka*-Kapłan zapuścił korzenie i zmienił się w drzewo, by uciec śmierci, Ren Eké to samo zrobił z Arti. Czy zajął miejsce w jej umyśle, by móc dalej trwać?

– Siadaj, córko – rozkazuje moja matka.

Całe moje ciało drży, kiedy opieram się sile jej magii. Potem moje mięśnie napinają się i zmuszają do powstania. Zaciskam zęby, kiedy nogi ciągną mnie przez pokój i sadzają na poduszce.

– Przez cały ten czas – cedzi przez zęby – sądziliśmy, że nie masz w sobie żadnej magii.

Nie odzywam się. Gdybym została obdarzona magią, nie znalazłabym się w tej sytuacji. Choć i to nie jest prawdą – mój ojciec ma jej w sobie całe mnóstwo, a on też nie mógł powstrzymać Arti. Czy mam jakiegokolwiek szanse?

– Jestem pod wrażeniem – mówi Arti, a jej oczy błyszczą. – Sądziłam, że nie będziesz w stanie odeprzeć mojej magii ani odrobinę.

Jej słowa są jak policzek. Od ilu lat czekałam na najmniejszą pochwałę z ust matki? Wystarczyłoby mi wtedy kilka słów. A teraz to – jest pod wrażeniem, że potrafię jej napyskować, postawić się jej magii i przegrać. Jest pod wrażeniem, że musiałam czołgać się na kolanach po amulet, który i tak nie zadziałał. Zastanawiam się, czy gdybym znacznie wcześniej zademonstrowała jakiegokolwiek magiczne zdolności, ona i tak zmieniłaby się w potwora. Wiem, że to pytanie nie ma sensu, ale nie umiem uciszyć swoich myśli.

– W magii, która cię ze mną wiąże, musi być jakiś słaby punkt – zastanawia się. – Nie sądzę jednak, że mnie zdradzisz, córko. Możesz próbować do woli, a i tak poniesiesz klęskę. Niestety to jedyne, w czym jesteś naprawdę dobra.

„Lepiej nie mieć w sobie magii, niż robić z nią coś tak okrutnego” – myślę sobie, ale się nie odzywam. Kłótnia nie ma sensu. Potrzebuję od niej informacji o Kofim i pozostałych. Postanawiam spróbować inaczej.

– Wiem, co zrobił ci *Ka-Kapłan*... to było bardzo złe.

Spodziewam się, że Arti ukryje się za swoją obojętną maską, tak się jednak nie dzieje. Jej oczy są łakome i niebezpieczne. Zastanawiam się, czy dobrze zrobiłam.

– Zasłużył na to, co go spotkało – dodaję. Słucha mnie, pochylając głowę na bok. – Ale dzieci... Dlaczego je porwałaś? Są niewinne. To niemożliwe, by one cię skrzywdziły.

– Czy masz mnie za idiotkę, dziewczyno? – warczy Arti. – Wiem, że dzieci są niewinne.

Żalu w jej drżącym głosie nie da się pomylić z niczym innym.

– To właśnie dlatego je porwałam – mówi, opuszczając wzrok.

– Dlaczego? – wybucham. – Czy śmierć *Ka-Kapłana* ci nie wystarczy? Czemu ma służyć porwanie dzieci?

Oshhe odkraja sobie kawałek przyprawionej jagnięciny i ziołowego sera. Nie zwraca uwagi na naszą rozmowę i spokojnie je swój posiłek.

– Myślisz, że go zabiłam? – śmieje się Arti.

– A nie zabiłaś? – warczę przez zaciśnięte zęby.

Arti nalewa sobie kolejny kieliszek wina. Jej policzki są zarumienione.

– Nie – odpowiada jakby po namyśle – nie zabiłam go. To byłaby łaskawość.

– Jedz, Mała Kapłanko – mówi Oshhe z pełnymi ustami. – Źle wyglądasz.

Łzy płyną mi po twarzy. Brzmi niemal tak samo jak zawsze.

– Rób, co mówi ojciec – głos Arti zmienia się w syk. – Jedz.

Jej magia buzuje znów pod moją skórą, a mnie brakuje energii, by się jej oprzeć. Jem. Czuję w ustach smak popiołu.

– Ludzie nie wiedzą wielu rzeczy o byłym *Ka*-Kapłanie – mówi. – Rozpuszczając kłamstwa, Suran Omari zadbał o to, by reputacja Rena pozostała nietknięta. Robi mi to na złość, ale także po to, by nie brudzić sobie rąk. *Ka*-Kapłan zapadł na nieszczęśliwą chorobę ducha. – Nabiera na palec odrobinę koziego sera. – Ostatnie lata swojego życia spędził w łóżku.

Nie umyka mojej uwadze, że rezygnuje z dodania tytułu Eké, co wedle tradycji Litho należy uznać za brak szacunku. Zresztą ktoś równie okrutny co on nie zasługuje na szacunek nawet po śmierci.

– Szkoda. – Oshhe wzrusza ramionami. – Gdybym ja tu wtedy był, mógłbym go uzdrowić.

Arti patrzy na niego gniewnie, odsuwając od siebie kozi ser.

– Rzadko się zdarza, by Eké nie miał przy sobie rodziny, ale Ren nie miał krewnych w Tamarze, a nikt nie przyjechał do niego z ziem Litho. Zgodziłam się nim zaopiekować i przejąć jego obowiązki. – Jej słowa są pozbawione emocji, jakby zdawała relację z posiedzenia rady. – Szukałam dziewcząt, których umysły gwałcił. To były przede wszystkim uliczne dziwki, takie, które wysoko postawieni mężczyźni wykorzystują i porzucają. Większość z nich zniknęła albo była nie do uratowania. Ren nigdy ich nie tknął, to nie była jego słabość. Ale zrobił im coś znacznie gorszego. Zaglądał w ich umysły i zmieniał wspomnienia w taki sposób, żeby zaspokoić swoje perwersyjne żądze. – Jej wzrok pada na ścianę. – Potem zastępował je nowymi, zanieczyszczonymi wspomnieniami i te zostawały im w głowie jako jedyne. Zniszczył w ten sposób setki kobiet przede mną, a Suran po nim sprzątał, ponieważ Ren rozkazywał także i jemu. Zbierał informacje, żeby zyskać dla Królestwa przewagę nad nieprzyjaciółmi. A orisze... – syczy – wiedzieli o wszystkim, ale nie zrobili nic, żeby go powstrzymać.

Wpatruję się w matkę bez mrugnięcia okiem. Choć trudno mi się do tego przyznać, jest mi jej szkoda... szkoda mi dziewczyny, którą była, nim spotkała *Ka*-Kapłana Rena Eké. Dotąd nie rozumiałam w pełni, co jej zrobił. Historia opowiedziana przez ojca i to, co dodał do niej Rudjek, było znośne, bo nie uwzględniało szczegółów. Nawet najgorszy czyn da się zrozumieć, kiedy pominie się druzgocące fakty. A oto i one. I nie wiem, co gorsze: zbrodnie *Ka*-Kapłana czy obojętny ton mojej matki, kiedy o nich mówi.

– Niewiele zostawało z tych, którymi kończył się bawić... ale niektóre kobiety próbowały mu się przeciwstawić. Zatrudniłam dwie z nich, żeby zajęły się nim, kiedy... zachorował. To doprawdy niezwykle, że tak długo utrzymywały go przy życiu.

– Arti milknie, a przez jej twarz przemyka cień uśmiechu. – Jestem pewna, że Nezi lub Ty chętnie podzieliłyby się szczegółami. Obie towarzyszyły mu do końca.

Widelec wypada mi z drżących palców i ląduje na talerzu. Tracę oddech, myśląc o kulejącej Nezi z bliznami na ramionach, o Ty, która nigdy się nie odzywa. To wszystko robota tego drania *Ka-Kapłana*. Arti pomogła im zemścić się na okrutnym człowieku, ale okazała się nie lepsza od niego. Przekazał jej swoje zepsucie, które rozniosło się jak zaraza. Nie potrafię połączyć dwóch stron mojej matki, która jednocześnie porywa dzieci nocą i daje schronienie dwóm kobietom, które tak wiele wycierpiały.

Następnego poranka jestem wciąż oszołomiona, kiedy Terra przegląda moje ubrania. Głędzi coś pod nosem, ale ja nie słucham. Myślę tylko o moich rodzicach jedzących razem kolację, jakby nic się nie wydarzyło. Kiedy Arti skończyła, wyszła z salonu, a Oshhe podążył za nią jak posłuszny pies. Nie wiem, jak to się stało, że jestem zdolna odeprzeć jej magię, ale mam nad sobą więcej kontroli niż mój ojciec. Największe szanse uwolnić się od niej będę miała, jeśli pójdę do jego sklepu, gdzie znajdują się setki zwojów o magii plemiennej. Musi istnieć jakiś rytuał czy potężny amulet, który zdejmie klątwę mojej matki, nie istnieje wszak magia wszechpotężna. Czekam, aż Arti wyjdzie do świątyni, a Oshhe do sklepu, obsługiwać niczego nieświadomych klientów.

Nezi kłóci się z kimś przed bramą naszej willi. Jestem w połowie drogi przez ogród, kiedy Rudjek pokazuje zza niej swoją wykrzywioną niepokojem twarz. Kiedy nasze spojrzenia się spotykają, rozluźnia się.

– Czy chcę wiedzieć, co tu robisz? – jęczę, choć cieszę się na jego widok.

– Szukam cię, oczywiście. – Rudjek wciska głowę między szczeble kraty. Jego ciemne oczy obserwują mnie uważnie, a to, co dostrzega, sprawia, że blednie. – Nie chciała mnie wpuścić.

Nezi odrywa się od ściany swojej stróżówki i otwiera bramę. Patrzę na jej dłonie pokryte bliznami i pręgami czerwonymi od drapania. Kiedy byłam mała, ani przez chwilę nie wątpiłam w historię o tym, że poparzyła się, zrywając magię z nieba. W gardle mam gulę, w brzuchu – ciężki kamień. Skoro *Ka-Kapłan* nigdy nie tknął żadnej z kobiet, czyżby zrobiła to sobie sama?

Przez całe życie obserwowałam, jak moja rodzina walczy z bólem, i jestem pełna złości na człowieka, który go spowodował. Czy gdybym była na miejscu Ty, Nezi czy Arti, zrobiłabym to samo?

Odsuwam od siebie tę myśl.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że Rudjek tu jest? – pytam.

Nezi pociera wierzch dłoni, patrząc na niego z góry.

– Twoja matka nie chciałaby, żeby tu przychodził. Omari oznacza kłopoty.

Kiedy Rudjek otwiera buzię, żeby jej coś odpowiedzieć, chwytam go za ramię i odciągam od willi.

– Nie warto.

– Czy ona mnie właśnie obraziła? – Rudjek zerka na nią przez ramię. – Czuję się obrażony.

– Musimy wrócić do sklepu mojego ojca – mówię, puszczając jego ramię.

W zwojach mojego ojca musi znajdować się odpowiedź. Pamiętam ich ziarnistą strukturę pod opuszkami palców. Zaklęcia, rytuały i przekleństwa, od najprostszych po najbardziej skomplikowane, od niewinnych po złowrogie. Z ciekawości przeglądałam już wszystkie, ale teraz są moją jedyną i ostatnią nadzieją. Robię krok, a magia mojej matki rozkwita mi w piersi. Moje nogi się zatrzymują, a całe ciało odmawia posłuszeństwa.

– O nie – protestuje Rudjek. – Cokolwiek planujesz...

– To nie twoja sprawa – przerywam, zanim zdąży skończyć zdanie. Próbuję zrobić krok, ale klątwa ściska mnie jeszcze mocniej. – Na dwudziestu bogów! – wykrzykuję, sfrustrowana.

Magia nie pozwala mi działać przeciwko mojej matce, ale musi istnieć jakiś sposób, żeby ją obejść. Zmanipulowała umysł ojca i prawdopodobnie to samo chciała zrobić ze mną, ale jakaś część przekleństwa nie zadziałała. Wiele lat temu podczas *imebyé* babcia powiedziała, że największym darem, jaki posiadam, jest zdolność mojego umysłu do opierania się magii. Tylko co mi z tego, skoro nie mogę słowa powiedzieć przeciwko Arti? Klątwa zna moje zamiary.

– Nie musisz się tak wściekać – mamrocze Rudjek.

– Przestań marudzić – syczę.

Za każdym razem, kiedy moje myśli za bardzo zbliżają się do prawdy, magia wzbiera mi pod skórą. Co by się stało, gdybym nie skupiała się na przyczynie, dla której idziemy do sklepu ojca? Może mogłabym udawać, że mam całkiem inne intencje? Czy magia zrozumie mój podstęp? Jest tylko jeden sposób, by poznać odpowiedź na to pytanie.

– Idę do sklepu ojca pomóc mu posprzątać – ogłaszam, zwracając się bardziej do siebie niż do Rudjeka.

Pozwalam powrócić wspomnieniom, w których układałam rzeczy na półkach i myję fiołki. Dzień jak co dzień. Mój ojciec potrzebuje mojej pomocy w sprzątaniu i tyle. Rudjek wpatruje się we mnie ze zmarszczonym czołem, jakbym kompletnie zwariowała. Robię krok naprzód, moje nogi znów poruszają się bez trudu. Oddycham

z ulgą. Udało się. Nie pozwalam sobie zbyt długo myśleć o tym małym sukcesie, żeby nie robić sobie fałszywej nadziei. Kiedy udaje mi się zrobić kolejny krok, mówię:

– Idziesz czy nie?

– Nie lubię, kiedy nazywa się mnie marudą. – Rudjek znów na mnie spogląda. Tym razem patrzy na mnie dość długo, by zrobiło mi się niezręcznie. Chwyta mnie za ramię, palce przesuwa w stronę nadgarstka. Jego dotyk jest niczym promienie słońca na mojej skórze. – Sam widzę, że rytuał coś ci odebrał, Arrah. Ty z pewnością też to czujesz.

Nie ma sensu kłócić się czy zaprzeczać, że moja skóra zbladła. Moje ubrania też są luźniejsze, chociaż zmuszono mnie do zjedzenia kolacji. Czuję zresztą głód większy niż zazwyczaj, ale jedzenie nie wypełnia tej pustki, którą mam w środku.

– Tak, wiem – mówię szybko. – Ile jeszcze dzieci zaginęło?

Rudjek ściska mój nadgarstek, póki mu się nie wyrwę.

– Jeszcze jedna dziewczynka.

Kiedy jesteśmy o kilka kroków od willi, Kira i Majka dołączają do nas, jedno z przodu, drugie z tyłu. Zawiodłam dzieci, bo byłam zbyt naiwna, by dostrzec, kim naprawdę jest moja matka. Zawiodłam Kofiego – słodkiego, gadatliwego Kofiego, który zawsze do wszystkich się uśmiechał. Dręczy mnie poczucie winy. Jeśli poniosę dziś porażkę, znikną niezliczone dzieci. Nie mogę na to pozwolić.

Arti powiedziała, że musiała porwać dzieci, bo były niewinne, ale wciąż nie znam powodu, dla którego to zrobiła. Kimkolwiek jest jej współnik, zwróciła się przeciwko swojej rodzinie, żeby go chronić i doprowadzić do końca ich wspólny plan.

Postanawiamy z Rudjkiem ominąć Wschodni Targ. Za dużo tam krzyków, przekleństw i bójek. Dokoła fruwa tyle chowańców, że powietrze smakuje gorzko. W milczeniu pokonujemy drogę do sklepu ojca. Rudjek nie musi mi mówić, że *shotani* wciąż nie mają pojęcia, kto porywa dzieci. Teraz wiem już, że nigdy się tego nie dowiedzą. Arti i jej jasnowidze wytrenowali *shotani*. To wobec niej są lojalni.

– Mimo całego tego chaosu ojciec nie chce odłożyć mojej ceremonii wtajemniczenia – jęczy Rudjek. – Proszę, powiedz, że przyjdiesz... chcę tam zobaczyć kogoś życzliwego.

– Nie wiem – odpowiadam, słuchając go jednym uchem. Magia znów we mnie wzbiera, a ja powtarzam sobie, że idę tylko pomóc ojcu.

Rudjek pierwszy dostrzega dym za sklepem Oshhego. Serce zamiera mi w piersi. Biegnę aż do alejki za sklepem, a moje nogi odmawiają mi posłuszeństwa, kiedy zauważam ojca.

– Co ty robisz? – wołam. Kręci mi się w głowie, moje oczy zasnuwa mgła.

Oshhe wrzuca zwoje papieru do beczki, z której bucha ogień.

– Od rana pozbywam się tych staroci. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, ile tu się wala bezużytecznych zwojów.

Pędzę na oślep ku beczce, w której ojciec pali magiczne zwoje i próbuję uratować ostatni z nich. Rudjek chwyta mnie w pasie i odciąga. Kopię i się wyrywam, a on pyta raz po raz, co się stało. Jego głos się łamie, a ciało za moimi plecami jest tak gorące, że moja skóra też zaczyna płonąć.

Oshhe podchodzi do mnie i obaj zadają to samo pytanie: „Co się stało? Co się stało?”. Kiedy ojciec bierze mnie w ramiona, w jego oczach nie ma żalu. Arti mówiła, że nie zniszczyła jego osobowości, ale człowiek, który mnie obejmuje, jest pustą skorupą. Zdzieram głos od krzyku. Próbuję powstrzymać łzy, kiedy płomień otacza zwój. Gładki papirus czernieje i rozpada się na kawałki. Ogniki stopniowo znikają, aż pozostaje tylko proch.

Arti zmusiła ojca, by zniszczył naszą jedyną nadzieję.

SIEDEMNAŚCIE

Ciężki księżyc wisi na nocnym niebie, kiedy kręcimy się z ojcem pomiędzy ludźmi podczas ceremonii wtajemniczenia Rudjeka. Minęło wiele dni, odkąd Oshhe spalił swoje zwoje, a ja wciąż nie mogę się pozbyć z głowy gryzącego zapachu. Teraz śmieje się z mężami stanu na dziedzińcu wezyra i bawi ich swoimi historyjkami. Ciepły wiatr przynosi z ogrodu zapach jaśminu, lilii i róży. Słodka woń sprawia, że robi mi się niedobrze. Po raz trzeci w ciągu niecałej godziny służący proponuje mi szklanekę miodowego wina, a ja gestem każę mu odejść.

Arti nie ma. Martwi mnie to. Zanim rano wyszła do świątyni, powiedziała, że Oshhe i ja mamy przyjść. Jej magia zajęła się resztą. Oczywiście wiedziała o ceremonii, najprawdopodobniej od swoich szpiegów. Albo z wszystkich tych plotek rozprzestrzeniających się za sprawą ważnych rodzin, które przybyły na to wydarzenie. Nikt nie wspomina o jej nieobecności przez wzgląd na jej rywalizację z wezyrem, ale nie mam najmniejszych wątpliwości, że planuje coś złego. Martwię się też o Rudjeka. Nie dziwiłabym się, gdyby zaatakowała go, żeby uderzyć w jego ojca.

Wyciągam szyję, szukając innych jasnowidzów. Nie wiem, czy ich nieobecność raczej niepokoi mnie, czy uspokaja. Znów przychodzi mi do głowy, że jeden z nich może być jej współnikiem. Jest dla mnie jasne, że Arti nienawidzi oriszy, ale czy pozostali jasnowidze dzielą tę niechęć? Czyżby odwrócili się od swojej wiary, jak od Heki, kiedy porzucili życie na plemiennych ziemiach?

Oshhe jak zawsze jest doskonałym rozmówcą, znającym mnóstwo historii o magii plemion. Wiele przyjezdnych zamożnych rodzin to również klienci jego sklepu. Uczni, skrybowie, rzemieślnicy. Ludzie wystarczająco bogaci, by zapłacić za zdrowie i młodość. Ludzie, którzy umarliby dziesięć razy, gdyby nie jego dotyk. Ktoś, kto żył sto lat – przecież to niemało – mógł ich przeżyć dwa razy tyle, wciąż wyglądając na pięćdziesiąt. To jego dar.

Gdyby mój ojciec nie zakochał się w Arti, wciąż byłby na pustyni. Byłby uzdrowicielem plemienia Aatiri, gdzie nikt nie marnuje pieniędzy na zmianę koloru włosów i poprawianie różnych części ciała. Byłby szczęśliwy, byłby spełniony.

W jego miłosnej historii chłopcy mówili, że dziewczyna Mulani potrafi skraść magię jednym pocałunkiem.

Oshhe nie docenił Arti. Oboje jej nie doceniliśmy.

Więcej nie popełnię tego błędu.

– *Ka*-Kapłanka pozwoliła ci przyjść – *Essnai* szeleści mi przy uchu. – Nie spodziewałam się tego.

Zaskakuje mnie nagłe pojawienie się koleżanki. Jak na dziewczynę przewyższającą prawie wszystkich o głowę, porusza się z gracją niczym cień. Jej czerwona suknia migocze srebrem, które pasuje do srebrnego pyłu rozsypanego na jej hebanowej skórze. Jak zwykle wygląda promiennie.

– Byłam dla niej miła – mówię ponuro. Nie mogę powiedzieć o mojej matce nic złego, ale mogę przynajmniej kontrolować ton swojego głosu. Jest to jakieś pocieszenie, ale jak dotąd na niewiele się zdało.

– To zły czas na ceremonię. – *Essnai* wpatruje się w tłum z rękami na biodrach. – Miasto jest w żałobie po zaginionych dzieciach.

– *Wezyra* to nie obchodzi – szepczę. – To samolubna świnia.

Essnai zerka na mnie z aprobatą.

– To prawda.

Zanim bardziej się zezłoszczę, zmieniam temat.

– Dziwię się, że ty też przyszłaś.

– Uszyłam połowę obecnych tu sukni. – *Essnai* wzrusza ramionami. – Chciałam zobaczyć je w akcji.

Jest najrozważniejsza ze wszystkich moich przyjaciół. Niezależnie od kłopotów, jej pogodne zachowanie zawsze mnie uspokaja. Wiele lat temu podczas *imebyé* pomogła mi znaleźć drogę z powrotem do obozowiska *Aatiri*. Była pochodnią, która poprowadziła mnie przez mrok. Chciałabym, żeby teraz też pomogła mi znaleźć drogę, żeby powiedziała, że wszystko będzie dobrze.

– Cieszę się, że tu jesteś. – Uśmiecham się do niej lekko.

Spogląda na mnie z zaciekawieniem swoimi ciemnymi oczami.

– Nie widziałam cię ostatnio w sklepie.

– Wiem. – Skarży się, że jej nie odwiedzam, bo nie chodzi tylko o oglądanie cudownych ubrań w sklepie jej matki. Prawda jest taka, że od powrotu ze święta *Krwawego Księżyca* prawie w ogóle się nie widywałyśmy. *Essnai* nigdy nie wściubia nosa w nie swoje sprawy, więc zamiast wypytywać, czeka, aż ja jej wszystko wyjaśnię.

– Dużo się dzieje.

Patrzy mi w twarz przez dłuższą chwilę i mówi:

– Gdybyś mnie potrzebowała, jestem.

Kiedy otwierają się drzwi rezydencji, muzyka cichnie, a zebrani milkną. *Rudjek* przekracza próg z obojętnym wyrazem twarzy. Pod tą maską zaciska jednak szczęki, sztywnieje w ramionach. Przypomina mi lwy w klatkach, z którymi *Wszechpotężny*

paraduje po mieście na początku pory plonów. W innym czasie, w innych okolicznościach, gdybym była w lepszym humorze, żartowałabym sobie z niego. Ale ja nie chcę tu być. Chcę wiedzieć, co moja matka robi teraz w świątyni.

Wezyr stoi po prawej stronie Rudjeka w gładkiej, czarnej elarze – nie w tej białej, zdobionej złotem, w której chodzi zazwyczaj. Wszyscy mężczyźni i chłopcy podczas ceremonii wtajemniczenia ubierają się na czarno. Nawet mój ojciec jest w czarnym kaftanie. Matka Rudjeka, Serre, stoi po jego lewej stronie i prezentuje się jak najprawdziwsza północna księżniczka. Warstwy lawendowego jedwabiu ciągną się za nią niczym Wielkie Morze. Kruczoczarne włosy spływają falą na jej plecy, a na głowie ma perłową koronę. Puder dodał jej cienkiej skórze kolorytu, tak że żyły pod spodem są niemal niewidoczne.

Choć Serre wygląda pięknie, wszystkie oczy zwrócone są na Rudjeka. Mimo że mój umysł uwięziony jest gdzie indziej, ja też nie mogę oderwać od niego wzroku. Wstrzymuję oddech. Na krótką chwilę pozwalam sobie zapomnieć o wszystkim innym i tylko na niego patrzę. Bujne brwi okalają jego ciemne oczy, pełne wargi są mocno zaciśnięte. Jego rzeźbiona szczęka w świetle pochodni staje się jeszcze wyraźniejsza. Światło pada na jego białą elarę wyszywaną złotą nicią i rękawy inkrustowane rubinami. Klejnot z kości strachopłocha odcina się od ceremonialnego stroju niczym niepozorna nagroda. Tylko wezyr nosi elarę z białego i złotego jedwabiu: tym samym śmiało zapowiada przyszłość Rudjeka. Nie muszę się nawet zastanawiać, czy to dlatego stojący na schodach chłopak wydaje się czuć tak nieswojo.

Tłum rozstępuje się, by stworzyć przejście pośrodku dziedzińca. Przygląda mu się tak wiele zaciekawionych oczu, tak wiele nieśmiałych uśmiechów jarzy się w miękkim świetle płomieni. A jednak jego wzrok ląduje na mnie. Uśmiecha się lekko, kiedy jego rodzice biorą go za rękę.

– Przedstawiam wam Rudjeka z rodu Omari, ciało z mego ciała. – Głos wezyra z łatwością góruje nad tłumem.

– Nie jest już chłopcem, lecz mężczyzną – dodaje jego matka. – I od dzisiaj tak będzie się przedstawiał.

– Jako dziedzic Omarich – ogłasza jego ojciec – i przyszły wezyr Wszechpotężnego Królestwa.

– Niech całe królestwo się dowie – mówi Rudjek beznamiętnym głosem – że wyszedłem z cienia ojca i wybiłem się na samodzielność.

Tłum przyjmuje tę deklarację skinieniem głów, a flety i harfy dają sygnał do tańca. Trzy tancerki w przezroczystych szatach suną pomiędzy zebranymi, kołysząc biodrami. Jedna jest wysoka, ma nogi do samej ziemi i brązową skórę, która zwraca powszechną uwagę. Wokół jej długich warkoczy wiją się jasne wstążki, a usta mają

kolor ognia. Trzepocze swoimi długimi rzęsami z wzrokiem wbitym w Rudjeka, jakby byli jedynymi osobami na całym dziedzińcu. Jego szyja oblewa się ciepłym rumieńcem, który po chwili rozpała mu twarz. Robi krok w tył, kiedy kobieta zbliża się do niego, a ojciec popycha go naprzód. Niektórzy mężczyźni w tłumie gwizdzą. Inni się śmieją.

Głupia tradycja.

Zamiast dąsać się na kobiety ocierające się o Rudjeka niczym muchy w miodzie, odwracam się. Kira wyłania się z tłumu ze szklanką miodowego wina w dłoni.

– Czy mogę porwać moją *ama*? – Sięga po rękę Essnai i całuje ją. Essnai uśmiecha się, rozanielona. – Przez całą noc skacze z kwiatka na kwiatek – mówi. – Moją pierś wypełnia tęsknota. Pochylam głowę i gładzę się po czole, kiedy para znika w tłumie.

Słyszę zduszony okrzyk tłumu i z powrotem odwracam głowę. Tancerki wyginają swoje gibkie ciała do dźwięku fletów i harf. Niedobrze mi się robi na widok spojrzeń, jakie rzucają im zebrani – z dobrych ponoć rodzin. Być może okrutny *Ka*-Kapłan równie pożądliwie spoglądał kiedyś na Ty i Nezi, gotowy, by zrobić to, co najgorsze. Arti jest dowodem, że się przed tym nie zawahał.

Kiedy taniec dobiega końca, Rudjek klęka na jedno kolano, a kobiety, jedna po drugiej, całują go w czoło. Wstaje, a wtedy tłum zaczyna wiwatować, zebrani klepią go po plecach. Mistrz Gildii Ohakim – wysoki mężczyzna o wychudłej twarzy, który kieruje gildią robotników, mówi:

– Ja nie byłbym się w stanie opanować, gdyby te tancerki znalazły się na mojej ceremonii.

Ohakim wydawał się bardziej zainteresowany tańcem niż słowami Arti o zaginionych dzieciach podczas posiedzenia.

Majka podchodzi do mnie i szturcha mnie w ramię.

– Nie chciał tego, wiesz?

Jego lewy policzek wciąż jest ciemnofioletowy i spuchnięty.

– Taaak, widzę, że bardzo cierpi. – Rzucam Rudjekowi wściekłe spojrzenie.

Kilka osób otacza Rudjeka, a on raz po raz zerka na nas przez ramię. Za każdym razem, gdy próbuje napotkać mój wzrok, odwracam się. Spojrzeniem błaga, by ktoś go uratował, ale mojego współczucia nie dostanie. Jak przewidziałam, Majka zerka na krągłą tancerkę, która wiruje w tłumie. Nie on jeden zresztą.

– Oboje jesteście śmieszni – fuka Majka, z powrotem spoglądając na mnie. – Długo tak jeszcze będziecie?

– I kto to mówi. – Krzyżuję ramiona. – Czy Kira znów cię pobiła za flirt z jej siostrą? Majka wrusza ramionami i poprawia sobie elarę.

– To nie byłoby przyzwoite, prawda?

– Czy ty się nigdy nie męczysz? – Sukar wyłania się z tłumu i przewraca oczami.

– Och, czyż to nie mój ulubiony chłopiec Zu? – Majka przyciska prawą dłoń do serca.

Sukar odwzajemnia pozdrowienie plemienia Zu. Wokół jego palców wije się siatka tatuaży. Ma teraz też nowe, na policzkach – wypukłe blizny przypominają tygrysie pręgi. Krzywi się, kiedy spogląda na Majkę:

– Co ci się stało w twarz?

Majka poprawia sobie kołnierz elary.

– Jedna z wielu bójek na arenie.

Nim Sukar zdoła przyłapać Majkę na kłamstwie, chwytam go za ramię i odciągam.

– Nie masz dziś służby w świątyni? – pytam.

Arti wybiegła z domu w swoim kaftanie *Ka*-Kapłanki na długo przed tym, nim wyszliśmy z Oshhem na ceremonię Rudjeka. Teraz, kiedy widzę tu Sukara, zaczyna mnie boleć żołądek. Nie wiem, czemu uwierzyłam, że matka popędziła rano do świątyni po to tylko, żeby kontynuować swoje podchody. Coś planuje. Tej nocy.

Sukar marszczy czoło, a wraz z nim marszczą się tatuaże na jego twarzy.

– Nie, czemu pytasz?

– Wydawało mi się, że Arti mówiła... – Mam gułę w gardle, a mój głos milknie. Niech diabli wezmą tę kłótnię. – Wydawało mi się, że inni jasnowidze będą w świątyni z moją matką.

Sukar kiwa głową w stronę swojego wuja. Barasa i jasnowidz z plemienia Litho to poza Rudjkiem jedyni mężczyźni, którzy nie są ubrani na czarno. Nawet Sukar ma na sobie czarną tunikę i spodnie. Jego wuj ubrany jest w bladożółty kaftan, jaśniejszy od złotej szaty Arti. Dwaj pozostali jasnowidze przedzierają się przez tłum również w tradycyjnych kaftanach.

Wąż na mojej piersi piecze mnie, przyciągam dłoń do serca. Magia rozciąga się wzdłuż całego mojego ciała, rozpalając każdy nerw. Kończy mi się czas.

– Wszystko w porządku? – Sukar dotyka mojego ramienia.

Kręci mi się w głowie, opieram się o jego ramię.

– Muszę usiąść.

Sukar rozgląda się dokoła, ale ławki na dziedzińcu są pełne ludzi. Magia nie tylko sprawia mi ból, ale wzywa mnie do siebie. Wchodzimy do przylegających do dziedzińca ogrodów, gdzie jest nieco ciszej, i siadamy na ławce. Wstrząsa mną dreszcz.

– Czy to to, co mi się wydaje? – pyta Sukar, unosząc brwi.

Język nie pozwala mi powiedzieć nic, co wskazywałoby na Arti. Próbuję, ale nie jestem w stanie nawet wydukać słowa „magia”. Jego tatuaże nie błyszczą tak, jak

wtedy, kiedy na plemiennych ziemiach przebił się przez bańkę Litho – czyli jak wtedy, kiedy wyczuwa obecność magii. Wydaje się zdezorientowany, kiedy znów sięga ku mojemu ramieniu. Zatrzymuje się w pół gestu.

– Mogę? – pyta, a ja z wysiłkiem kiwam głową, choć magia ściska mnie coraz mocniej, nie dość, by mnie skrzywdzić, ale wystarczająco, by mnie uciszyć.

Sukar kładzie mi dłoń na ramieniu, magia wywołuje mrowienie.

– Też to czujesz?

Walczę o właściwe słowa.

– A co ty czujesz?

– Że może wcale nie jesteś *ben'ik* – uśmiecha się Sukar.

Kulę się na ławce, aż moja suknia sięga ziemi. Sukar puszcza moje ramię i robi to samo. Zna mnie. Powinien wyczuć różnicę pomiędzy moją własną magią, a tą, która mnie dotyka. Czuję się znacznie gorzej, wiedząc, że pomylił klątwę mojej matki z czymś dobrym. Układam głowę na jego ramieniu i oboje patrzymy na dziedziniec, ponad ogrodami. Tęsknię za czasem spędzonym beztrudnie z nim i Essnai.

Dwie spośród tancerek przechadzają się w tłumie, tej krągłej nie widzę. Majki oczywiście też nie ma. Kira i Essnai wymknęły się, by mieć chwilę tylko dla siebie. Rudjek stoi w kręgu uczonych i mężów stanu, ojciec kolejno go im przedstawia. Obok każdego z mężczyzn stoi urocza córka, ale nie mam siły na zazdrość, choć skłamałabym, mówiąc, że jej nie czuję.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu, ale magia kłuje mnie w skórę jak setki igieł. Nie mogę dłużej usiedzieć, więc zrywam się na nogi.

– Kiedy zamierzałaś zdradzić mi swój sekret? – żartuje sobie ze mnie Sukar.

– Jaki sekret? – słyszę głos Rudjeka za plecami.

Odwracam się i widzę, jak drapie się po głowie, zerkając to na Sukara, to na mnie. Wygląda, jakby nie wiedział, co zrobić z rękami, które zazwyczaj spoczywają na rękojęściach jego szoteli. Nie ma dziś ze sobą ozdobnych mieczy, ale wszystko inne jest ozdobne.

– Jestem zaskoczona, że udało ci się wyrwać z rąk wielbicielek. – Tłumię kasznięcie.

– Nie ja jeden mam wielbicieli – mówi Rudjek.

Jego oskarżenie sprawia, że się rumienię, ale zanim zdążę zaprotestować, uśmiecha się triumfująco do Sukara.

– Ja też chcę poznać ten sekret.

Rzeczywiście, ukrywam sekret, ale żaden z nich nie domyśla się, co to może być. Oddycham głośno, zirytowana całą tą rozmową.

– Nie ma żadnego sekretu – kłamię, wykończona.

Rudjek przełyka ślinę.

– Chcę porozmawiać z Arrah sam na sam.

Sukar, który chce go zirytować, ani myśli wstawać z ławki.

Rudjek gestem nakazuje mi pójść za sobą. Zagłębiamy się w ogród, oddalając od dziedzińca, i zatrzymujemy nad stawem, w którym pływają niebieskie, świecące w ciemności ryby.

– Myślałem, że nigdy się stamtąd nie wyrwę – mówi, pocierając szyję. – Ciesz się, że dziewczęta nie muszą przez to przechodzić.

– Och, to na pewno bardzo trudne. – Krzyżuję ramiona na piersi.

– Jesteś na mnie zła – mówi Rudjek ze strapioną miną. – Przepraszam, nie byłem w stanie wybić ojcu z głowy tancerek. Twierdzi, że to tradycja.

Robię krok w tył, a przecież pragnę tylko rzucić mu się w ramiona. Chcę, żeby stłumił wzbierające we mnie poczucie, że wydarzy się coś złego.

– To głupia tradycja – mój głos słabnie, kiedy magia znów łaskocze mnie w piersi.

– Wiem. – Rudjek podchodzi bliżej, a zapach bzu i dymu drażni mój nos.

– Wyglądałeś, jakby bardzo ci się to podobało – mówię, chociaż to oczywista nieprawda.

Robi kolejny krok naprzód, ale ja nie zamierzam się ugiąć.

– Jesteś zazdrosna?

Kręcę głową i składam usta w dzióbek, myśląc o wszystkim, tylko nie o chwili obecnej. Nie mogę poddać się magii mojej matki. Jeśli dalej będę się jej opierać, mogę przynajmniej spróbować odsunąć jej plany w czasie i poszukać sposobu na ominięcie klątwy.

– Niby czemu miałabym być zazdrosna?

– A gdybym powiedział ci, że ja poczułem zazdrość, kiedy zobaczyłem cię w towarzystwie Sukara?

Kolejny krok naprzód i moją pierś wypełnia ciepło – tym razem to nie klątwa, lecz coś całkiem innego. Coś, co sprawia mi przyjemność w morzu niepewności.

– Ale nie byłeś zazdrosny, kiedy rozmawiałam z Majką?

– Majce nie zaproponowałam herbaty. – Głos Rudjeka to teraz cichy szmer, który sprawia, że muszę skupić na nim całą swoją uwagę.

– Skąd ta pewność? – pytam.

– A mnie zaproponowałam herbatę? – pyta Rudjek z przebiegłym uśmiechem na swoich pięknych wargach. Czy zawsze takie były? Jak to możliwe, że myślę o nim w ten sposób w takiej chwili? Nie chcę wciąż skupiać się na mojej matce i wszystkich złych rzeczach, które zrobiła. Chcę zatopić się w głębinie jego ciemnych oczu i udawać, że wszystko jest w porządku.

– Tak – odpowiadam, a mój głos drży jak skrzydła motyla.

– Arrah – szepcze Rudjek. To muzyka dla mych uszu. Znajdujemy się teraz daleko od świętujących, daleko od wścibskich oczu. Nie lepsi od Majki i jego tancerki. – Powiniennem był powiedzieć ci o wszystkim dawno temu.

Robię krok naprzód i znajduję się przy nim.

– Ja też mogłam coś powiedzieć.

Rudjek gładzi dłonią mój policzek, a ja przysuwam się jeszcze bliżej, patrząc w jego oczy, w których odbija się mój ból. Złe przeczucie kładzie się na tej chwili cieniem. Wciąż jest między nami tyle niepewności, tyle niedopowiedzeń. Tyle sekretów, przegapionych szans i straconego czasu. Czy gdybyśmy byli odważniejsi, pozostawili spór naszych rodzin na boku i pozwolili naszym sercom podjąć decyzję, sprawy potoczyłyby się inaczej? Jestem wreszcie gotowa pożegnać to pytanie.

Dzisiejsza noc może być naszą jedyną szansą, pozwalam więc sobie zatopić się w jego urzekającym spojrzeniu. Schyla głowę, a ja przytulam do niej swoją. Nasze oddechy splatają się, gdy zbliżamy usta do pocałunku. Pocałunku, o którym marzyłam tysiące razy. Ciepłe iskry rozpalają moje ciało. Kiedy jego wargi są już o krok od moich, ktoś go odciąga.

– Oszalałeś, chłopcze? – pyta wezyr, ściskając ramię Rudjeka.

– Na dwudziestu bogów – klnie chłopak, wyrrywając się ojcu. – Śledzisz mnie?

W czarnej elarze wezyr wygląda jeszcze bardziej imponująco niż w białej, którą nosi zazwyczaj. Wyraz jego twarzy jest jeszcze groźniejszy.

– Zaprosiłem rodziny z całego królestwa, żeby cię dzisiaj poznały. A ty chowasz się w ogrodzie, spoufalając z dziewczyną! – Spogląda na mnie wściekle.

– Jeśli nie zauważyłeś, Arrah to... – Rudjek krzywi się na słowo „dziewczyna”.

– To córka mojej nieprzyjaciółki – warczy wezyr. – Jest zakazana.

Wściekle zaciskam dłonie w pięści. Nie jestem w stanie nawet spojrzeć na wezyra, wiedząc, co zrobił mojej matce i na jakie okrucieństwa pozwalał. Może i o Arti nie mogę mówić źle, ale mojej opinii o nim klątwa nie obejmuje.

– Jak śmiesz... – zaczynam, kiedy czyjaś dłoń dotyka i mojego ramienia. Dłoń mojego ojca.

– Pora na nas – mówi Oshhe z obojętną miną. – Wzywają nas.

Jego słowa odbijają się echem w mojej głowie, a magia płonie w piersi. Tym razem woła mnie głośniejsz – znacznie głośniejsz niż do tej pory. Wbijam pięty w ziemię, jakbym chciała zapuścić w ogrodzie korzenie. Zaciskam zęby aż do bólu szczęki, ale nic dobrego z tego nie wynika. Nie mogę oprzeć się wezwaniu matki, a nawet gdybym mogła, Oshhe wyciągnąłby mnie stąd za włosy. Patrzę bezradnie na Rudjeka, który wymienia z ojcem gniewne spojrzenia.

- Nie wolno ci się wtrącać w moje sprawy – mówi, spluwając na ziemię.
- Doprawdy? – odgryza się wezyr.

Jego uśmiech jest arogancki i przebiegły. Chciałabym nim potrząsnąć, ale to na nic. Nienawiść między naszymi rodzinami jest zbyt głęboka. Kiedy mnie widzi, zapewne przypomina sobie dziewczynę, którą oskarżył o z czarowanie jego najlepszego przyjaciela. Dziewczynę, której ukradł niewinność. Gdyby tylko wiedział, jakim potworem się stała – i że on sam był za to częściowo odpowiedzialny.

Niewidzialny łańcuch klątwy ciągnie mnie ku Arti. Walczę z nią przy każdym kolejnym kroku, ale moje nogi nie dają się powstrzymać. Magia męczy mnie, a wyczerpanie nie pozwala mi na opór.

- Arrah, poczekaj! – woła Rudjek, kiedy odwracam się do niego plecami.

Przez ułamek sekundy chcę się zbuntować, ale idę dalej.

Dzisiaj poznam plan Arti. Najgorsze jeszcze przed nami.

OSIEMNAŚCIE

Mozolnie wspinamy się z Oshhem po śliskim od rosy urwisku prowadzącym do Wszechpotężnej Świątyni. Bicie pierwszych porannych dzwonów wibruje mi w kościach. Przez całą noc byliśmy na ceremonii Rudjeka, a teraz zbliża się godzina *ösana* – to wtedy magia jest najpotężniejsza. Mój ojciec słowem się nie odezwał, odkąd wyszliśmy z rezydencji wezyra. Kiedy Arti nas wezwała, zgasła ta mała iskierka, która jeszcze się w nim tliła. Jest jak *ndzumbi* z opowieści, nie ma nad sobą kontroli. Żyje tylko dla niej.

– Musi być jakiś sposób, żeby zdjąć naszą klątwę. – Splatam palce z ojcem. Jego dłoń jest zimna. – Gdybyś był sobą, wiedziałbyś, co zrobić.

Wyobrażam sobie, że kiwa głową, ale jego twarz jest kompletnie pusta.

Niektórzy ludzie z plemion w Tamarze też muszą mieć coś w archiwach. Jasnovidze z pewnością przechowują zaklęcia, ale uzyskanie do nich dostępu wiązałoby się ze zbyt dużym ryzykiem. Szarlatan, który dał mi rytuał pozwalający wymienić lata na magię, krył w swoim worku inne plemienne teksty. Jeśli tylko uda mi się wypowiedzieć odpowiednie słowa, spytam go o to jutro. Magia owija się wokół mojego ciała, a ja mimowolnie posuwam się naprzód. Skręca mi się żołądek, wypełnia mnie strach. Im dalej idziemy, tym mocniej trzyma mnie matka.

Oshhe wspina się na zbocze z determinacją muła ciągniętego na sznurze, nie odrywając wzroku od świątyni. Nie wiem, w czym Arti potrzebuje naszej pomocy, ale to nic dobrego nie wróży. Ale jeśli jest w świątyni, przynajmniej nie wałęsa się po ulicach w poszukiwaniu kolejnych sierot. Dzieci są bezpieczne. Na razie.

Poranek, kiedy to Tam opowiedział mi historię o początkach, potwierdzając związek między zielonooką żmiją a demonami, zdaje się nieskończenie odległy. Wtedy szukałam odpowiedzi, ale dziś wszystko wydaje się mieć jeszcze mniej sensu. Kiedy docieramy do świątyni, brama jest otwarta i nikt nie strzeże wejścia. Dziwnie widzieć ją tak opustoszałą i cichą, bo w ciągu dnia jest zawsze pełna ludzi. Surowe, szare budynki przypominają mi opowieści o ludach Północy, które wznoszą mauzolea wycięte z lodu, by pochować w nich swoich zmarłych.

Światło pochodni oddala ciemność na dziedzińcu, pozostawiając resztę świątyni w cieniu. Nie ma tu *shotani* – gdyby byli, czułabym ich unoszącą się w powietrzu

magię. Wkraczamy w długi korytarz oświetlony kolejnymi pochodniami. Nasze kroki odbijają się echem o kamienną podłogę.

Z korytarza wkraczamy do Holu Oriszy. W ciemności, z której stworzeni są bogowie i ich trony, rozbłyskują gwiazdozbiory. Kiedy patrzysz prosto na pomniki, zdają się lite jak marmur. Kiedy jednak zerknąć na nie kątem oka, ich kształty wiją się i pulsują, wciąż niespokojne, wciąż czujne.

Nawet w ciągu dnia cienie spowijają pomnik Nienazwanej oriszy, ale jej toporna twarz jest w nocy jeszcze bardziej upiorna. Zmieniła się w coś wykrzywionego, brzydkiego, nieznośnego. Kiedy Essnai, Sukar i ja byliśmy mali i wciąż regularnie odbywaliśmy lekcje w świątyni, wymyślaliśmy o niej historie. Essnai mówiła, że Nienazwana włożyła ręce do jaskini węży i umarła od ukąszeń. Pytanie, czemu zrobiła coś takiego, rozpoczęło między nami dyskusję. Sukar twierdził, że Nienazwana zrobiła to w ramach wyzwania, a Essnai – że chciała sprawdzić granice swojej nieśmiertelności. Ja myślałam, że może szukała czegoś, co zgubiła. Patrząc teraz na nią i wiedząc więcej o demonach, mam inną teorię.

Nie ma jej imienia w historii o wojnie między oriszami a Królem Demonów. Nie wspomina się o niej w żadnej formie – dlatego skrybowie określili ją „Nienazwaną”. Czy to możliwe, by pozostali orisze usunęli jej imię, żeby ukarać ją za jakiś bardzo zły uczynek? Wydaje się swobodna, zrelaksowana, a węże są niczym jej domowe zwierzątka. Czyżby stanęła w czasie wojny po stronie demonów? Dlaczego?

Chcę się odwrócić, ale nie mogę się ruszyć. Magia zwinięta w mojej piersi przyciąga mnie bliżej, a ja tonę w studni jej oczu bez dna. Oczy te są jak brama do zakazanego miejsca i zapomnianego czasu. Mrugam, dziwne wrażenie znika, pozostawiając po sobie chłodne dreszcze.

– Nadchodzi czas – szepcze Arti ukryta w cieniu przed nami.

Biorę głęboki oddech, ale ten więźnie mi w gardle. Nie czekając na odpowiedź, moja matka rusza przed siebie na wprost oświetlonym korytarzem. Złoty kaftan łopocze jej między kostkami. Oshhe rusza za nią, ja również. Nie mamy wyboru – jej magia jest jak smycz na naszych szyjach.

Podążamy za Arti labiryntem wąskich korytarzy, po czym schodzimy po ciemnych kamiennych schodach. Krok za krokiem, powietrze robi się gęste od pyłu, a temperatura spada. Ściany świątyni zdobione są modlitwami do oriszy, ale nie ma tu mowy o Hece. Królestwo nie oddaje mu czci.

Na końcu schodów znajduje się komnata z niskim, kamiennym sufitem, pełna półek, a na nich pustych szklanych słoików. Arti z zamkniętymi oczami przyciska dłoń do tylnej ściany pomieszczenia. Szepcze w tym samym pradawnym, melodyjnym języku, który przypieczętował moją klątwę. Ściana jakby protestuje, ale rozstępuje się jak

gigant budzący się z drzemki. Według moich szacunków znaleźliśmy się albo gdzieś pod dziedzińcem, albo pod ogrodem.

– *Ka*-Kapłan sprowadzał tu dziewczęta, których umysły gwałcił. – Arti zatrzymuje się na progu między dwoma pokojami, jedną dłonią podpierając się o kamień. – Na koniec tu odebrały mu życie. To właściwe miejsce, nie sądzisz?

Nasza gospodyni Nezi, kulejąca i o poparzonych dłoniach. Ty, która nigdy się do nikogo nie odzywa. Dwie kobiety, które miewają czasem swoje humory, ale nie są okrutne. Ty, która piekła mi na urodziny ulubione słodycze, i Nezi, która nauczyła mnie grać w psy i szakale. Obie pomogły mnie wychować. Trudno mi uwierzyć, że ściągnęły starego *Ka*-Kapłana po tych schodach w dół i torturowały go na śmierć. Czy to możliwe, by kobiety, które znałam przez całe życie, były morderczyniami?

Arti wchodzi do ciemnej komnaty, Oshhe kroczy za nią. Chłód promieniuje ze ścian, jakby był żywą istotą. Chcę uciekać, sprawdzić, jak daleko pozwoli mi odbiec kłątwa, ale nie mogę zostawić za sobą ojca. Gdyby nie ja, nie znalazłby się w takiej sytuacji. Moja dłoń opada w kierunku brzucha, kiedy wkraczam do komnaty, a drzwi zamykają się za mną z ciężkim hukiem, który brzmi jak ostateczność. Miękkie światło rozjaśnia komnatę. Nie, nie komnatę – grobowiec.

Opieram się plecami o ścianę, palcami szukając podparcia w śliskim brudzie. Przerazenie wypycha powietrze z moich płuc, kręci mi się w głowie. Moje oczy płoną na widok dzieci. Zbliżam się do nich o krok, ale Arti unosi dłoń, żeby mnie powstrzymać. Próbuję walczyć z jej magią, szczękając zębami i zaciskając pięści. Krzyczę, ale mój głos zaraz cichnie.

Arti ustawiła dzieci w jednym rzędzie u podstawy ołtarza. Siedmioro z nich leży w barłogach, a nad każdym wisi w słoju szara mgła. Ich klatki piersiowe unoszą się i opadają, a pokój wypełnia ciche chrapanie. W komnacie jest lodowato, ale ułożyła je pod kocami. Dopiero po dłuższej chwili pojmuję, czym jest szara mgła: to ich *ka*. Arti odebrała im dusze i uwięziła je w słojach.

W pokoju cuchnie wilgocią i zgnilizną. Wbijam palce w kamienną ścianę. Arti nie powstrzymuje mnie. Moje paznokcie się łamią, a ciepła krew miesza się z brudem. Potrzebuję bólu, by nie paść na kolana. Potrzebuję go, żeby nie umrzeć. Potrzebuję go, by dał mi siłę.

Próbuję coś powiedzieć, ale mój głos brzmi tak, jakbym była dzieckiem, które wypowiada swoje pierwsze słowa. „Nie zaznasz spokoju ani w tym, ani w następnym życiu. Zrobię, co w mojej mocy”. Wykrzykuję tę obietnicę tylko w myślach, ale z przekonaniem. Znajdę jakiś sposób, by zniszczyć moją matkę.

Arti przez długi czas przygląda się dzieciom, szepcząc coś pod nosem. Po jej policzku spływa samotna łza, która jest jak policzek dla mnie, dla ich rodzin, ludzi,

k którzy je oplakują. W jej przekrwionych oczach dostrzegam smutek i boleść, ale wszystkie te emocje znikają, kiedy odwraca się do ołtarza. Iluzja żalu jest przecież tylko iluzją.

Ściany pokrywają zaklęcia zapisane krwią. Słowa mają dziwne krawędzie i zawijasy, ich kreska jest gruba i zamaszysta. Zwinięty wąż wiję się pośród liter jak wielki morski potwór. Na jego grubym brzuchu leżą dwie splecione sfery – symbol wiązania. Są tu też inne symbole – winorośl, oczy wszelkich rozmiarów i kształtów, zwierzęta o zębach dość ostrych, by przeciąć kamień. Nigdy ich wcześniej nie widziałam.

Oshhe czeka w kącie na jej kolejny rozkaz. Nawet stoi inaczej niż kiedyś – jego silne ramiona są teraz pochylone. Patrzę na jego ogoloną głowę i złote pierścienie w uszach, ale nie widzę mojego ojca. To *ka* decyduje o tym, kim człowiek jest. Co takiego zrobił, by na to zasłużyć? Zawsze był dla Arti tak dobry, i to mimo jej obojętności.

– Dlaczego tak nas nienawidzisz? – pytam.

Arti unosi głowę, jakby zastanawiała się nad moim pytaniem.

– Nienawidzę? Nie bądź głupia.

Nie wiem, co powiedzieć, widząc zaskoczenie na jej twarzy.

– Owszem, jestem tobą rozczarowana. – Wydyma z obrzydzeniem wargi. – Powinnaś być silniejsza.

– Rozczarowana? – Słowo smakuje goryczą, kiedy spoglądam na mojego przyjaciela.

Ulga, że go znalazłam, jest słabsza niż przerażenie tym, co zrobiła matka. Śpi bardzo głęboko, a jego usta rozciągają się w krzywym uśmiechu. Mój przyjaciel Kofi. Chłopiec, który robi wszystko, co tylko się da, byle zdenerwować Rudjeka, a mnie rozśmieszyć. Chłopiec, który zna tysiące historii o rybakach. Mam nadzieję, że śni o przygodzie na Wielkim Morzu – o czymkolwiek, byle nie o tym koszmarnym miejscu. Muszę przekonać Arti, żeby go wypuściła. W czerni jej serca musi się kryć jakieś dobro. Chcę uratować wszystkich, ale jeśli mogę uratować jednego... Przełykam żółć, która zbiera mi się w gardle. Czuję się z tym okropnie, ale wiem już, że jeśli będę miała szansę uratować tylko Kofiego, zrobię to.

– Jest spokojny – mówi Arti, również na niego zerkając. – Wszyscy są spokojni. Upewniłam się, że tak będzie.

– Jest moim przyjacielem – mówię.

– Wiem. – W jej oczach czai się ciemność. – Nim nadejdzie koniec, stracisz wielu z nich.

– Uwolnij go, proszę. – Napotykam jej chłodne spojrzenie.

– Nie pozwolę, byś mnie błagała! – warczy Arti, a jej magia wiązuje mi język. – Ten świat jest okrutnym miejscem, w którym sukces odnoszą ci najbrutalniejsi – syczy,

spoglądając na Oshhego. – Jako nasza córka powinnaś była odziedziczyć niezwykle magiczny talent, a ty... jesteś słaba. Musisz być silna, by przetrwać to, co nadchodzi.

Słowa mojej matki zraniły mnie nie raz tak głęboko, że ran tych – wiem to – nie da się wyleczyć. I nie da się z nią dyskutować – Arti nigdy nie zmienia zdania. Podchodzi do ołtarza i kładzie na nim sztylet. Nietrudno się domyślić, że zamierza zabić dzieci tym właśnie nożem. Kiedy wyobrażam sobie, że wbijam ostrze w jej brzuch, ciało odmawia mi posłuszeństwa, ale nie będę miała wyboru, jeśli ona się nie zatrzyma.

– Pytałaś mnie wcześniej – głos Arti jest słodki jak miodowe wino – dlaczego zabrałam właśnie dzieci.

Pracuje przy ołtarzu, jakby to była najzwyklejsza noc w świątyni. Teraz, kiedy znam już jej sekret, jestem gotowa uwierzyć, że dla niej to zwykła noc. Sądząc po tym, jak wygląda komnata i jak ona się po niej porusza, spędziła tu dużo czasu. Przez wszystkie te lata sądziliśmy z ojcem, że przebywa z innymi jasnowidzami, a tymczasem ona była w tym porzuconym przez bogów miejscu.

Kładzie słomianą lalkę obok noża i miski suszonych ziół i oleju – wszystkich tych rzeczy używa się w tradycyjnych rytuałach Mulani.

– Czy wciąż chcesz znać odpowiedź?

Próbuję się odezwać, ale klątwa unieruchamia mój język. Zerka na mnie, kiedy nie odpowiadam i rozluźnia magiczny uścisk. Próbuję pojąć zaklęcia na ścianach, przyglądam się wielkiemu wężowi. Wycieram pot z czoła tak mocno, że mój gest pozostawia na twarzy poczucie gorąca. Nie mogę jednak zetrzeć prawdy: plan mojej matki staje się jasny. Splecione okręgi to symbol wiązania. Nie różnią się zbyt od symboli na świecidełkach, które sprzedają na targu szarlatani. Potężne symbole plemienia Zu połączone z magią mojej matki i jej żelazną siłą woli. Wąż – ten sam, który widnieje na mojej piersi. Dość zgadywanek.

– Chcesz wezwać demona – mówię, choć trudno mi uwierzyć we własne słowa. – Chcesz wezwać ją, zielonooką żmiję z wizji babci. Ale dlaczego?

– Kiedy *Ka*-Kapłan Ren wdarł się do mojego umysłu, zobaczył całe moje życie. – Arti używa pióra maczanego we krwi, żeby rysować na lalce symbole. – Oprócz najintymniejszych wspomnień. Z początku uważał, że to ciekawe wyzwanie, potem jednak ogarnęła go frustracja, że nie może dotrzeć do tej części mojego umysłu. – Znowu spogląda na mnie nieobecny wzrokiem. – Tylko te wspomnienia są na pewno prawdziwe. Wszystkie pozostałe chwile sprzed spotkania z Renem, cuchną jego obrzydliwą perwersją. Wiesz, czego by się dowiedział, gdyby zdołał skraść też tamte wspomnienia? – Naznacza krwią czoło lalki. Kiedy nie odpowiadam, kontynuuje: – Dowiedziałby się, że moje pierwsze wspomnienie to szept Króla Demonów w moim uchu. Że kiedy byłam dzieckiem, pokazał mi, co orisze mu zrobiły i dlaczego. Nie

znajdziesz tej historii w ścianach tej świątyni – mówi słabym głosem Arti, spoglądając na sufit. – Tak czy inaczej, byłam zbyt młoda, by zrozumieć. Kiedy porzuciłam plemienne ziemie na rzecz Królestwa, porzuciłam także i jego. Chciałam wszystkiego doświadczyć... zobaczyć cały świat. Nie tylko poprzez magię, ale też pozostałe zmysły. Po oskarżeniu Surana, Ren sprowadził mnie do komnaty takiej jak ta. – Oczy Arti pustoszeją, jej słowa ledwo da się usłyszeć. – To wtedy zrozumiałam ostrzeżenie Króla Demonów dotyczące oriszy. Kiedy *Ka*-Kapłan kradł moje wspomnienia, pojawił się Re'Mec, który domagał się kolejnego Rytuału Przejścia. Błagałam o pomoc boga słońca. Oferowałam mu swoją wieczną służbę. Ale nie, on nawet na mnie nie spojrział. Czy myślisz, że nie czuję obecności Heki przy każdym Krwawym Księżycu, że nie słyszę jego wołania? Wolę nie odpowiadać. Kiedy potrzebowałam pomocy, nie odpowiedzieli mi ani Heka, ani orisze. Odpowiedział Król Demonów. Pozostając w więzieniu, wypełnił część mojego umysłu sobą. Tylko dlatego udało mi się przetrwać to, co zrobił mi Ren. Dlaczego zabrałam dzieci? – pyta Arti, spoglądając na nie. – Zabrałam je z konieczności... by oddać mojemu mistrzowi to, co zabrali mu orisze i by wymierzyć im karę – odwraca twarz w kierunku Oshhego. – Chodź, mężu. Już czas.

Wpatruję się w moją matkę tak długo, aż bolą mnie oczy. Jej słowa rozbijają się o mój umysł, niszcząc wszelką nadzieję na to, że mogłabym jakoś do niej dotrzeć. Na to jest już za późno. Za późno na przemawianie jej do rozsądku, za późno na błaganie. Przez wszystkie te lata moja matka związana była z Królem Demonów. Mogę się tylko domyślać, że to dzięki jej niezwykłym zdolnościom... mówi do niego. Służy mu. On mieszka w jej umyśle.

Wspólnik mojej matki to największe zagrożenie dla ludzkości. Czy to możliwe, by myliła się co do *Ka*-Kapłana Ren Eké? Czy to Król Demonów umieścił tę fantastyczną historię w jej umyśle? Co daje jej taką pewność? Byłoby mi łatwiej, gdyby moja matka miała urojenia, ale nie, nie ma żadnych urojeń... Jej wyobrażenie dobra i zła jest równie pokręcone, co jej wspomnienia.

Ojciec wspina się na ołtarz i kładzie płasko na plecach. Łzy pojawiają się w kącikach jego oczu. Czyżby walczył z jej klątwą? Wypełnia mnie nadzieja. Jeśli się uwolni, skończy z Arti... ale tego nie robi. Nie rusza się. Płacze dalej, kiedy Arti unosi nad nim misę, która bucha żywym ogniem. Jego *ka* jest schowane głęboko, ale on wciąż się jeszcze nie poddał.

– Ofiaruję niewinnych Pożeraczowi Dusz, Oprawcy Oriszy – recytuje Arti. – Królu Demonów, zgodnie z naszą umową, przyjmij te ofiary.

Moja matka zdradziła orisze i Hekę, swoje plemię i Królestwo. Dusze dzieci są czyste, a to czyni je potężnymi. Oto do czego potrzebne jej były ich *ka* – żeby

nakarmić nimi najgorszego ze wszystkich demonów. Ale jak to zrobi, skoro Król Demonów wciąż uwięziony jest w pudełku Koré?

Kiedy ogień w misie gaśnie, Arti unosi podbródek Oshhego i wlewa mu do gardła gęste, czarne resztki.

– Czekam na twoją łaskę – mówi. – Ześlij do mnie posłańca.

Silny wiatr zawiewa mi warkocze na twarz. Powietrze wypełnia smród trzykrotnie bardziej obrzydliwy od zapachu śmierci. Osuwam się na ziemię i obejmuję kolana ramionami. Mam wrażenie, że przyglądają mi się czyjeś wścibskie oczy. Gorący oddech niewidzialnego demona dotyka moich ust. Odbijam się od kamiennej ściany, aż zaczynam ranić sobie ciało.

Plecy Oshhego wyginają się w łuk, jakby miał złamać się na dwie części. RzUCA się i szarpie jak w ataku padaczki. W jego ustach pieni się coś podobnego do smoły, a jego twarz wykrzywia się w bólu. Krzyczy, a z jego ust wydobywają się dwa głosy. Jeden to głos mojego ojca, drugi zaś jest pierwotny i ponury, jakby dobiegał z głębi mrocznej studni. Po kilku chwilach z trudem siada, ciężko dysząc. Jego kręgosłup jest tak wygięty, że głowa zwisa mu pomiędzy ramionami.

– Dusze... – Jego głos rozpada się na dwa, a oba drażnią moje uszy. – Daj mi je.

– Sam je sobie weź, Shezmu – prycha Arti. – Nie podlegam ci.

Shezmu unosi głowę, głowę mojego ojca.

– Plemienna wiedźma... a to ciekawe.

Oczy demona błyszczą chorobliwą zielenią. Demon z mojej wizji... jego oczy były takie same.

Pot spływa po czole Shezmu, który zwraca się ku dzieciom i ich *ka*. Sięga ku nim ramieniem, a pokrywki słoików odpadają. Krzyczę, kiedy ich *ka* unoszą się na wietrze i fruną prosto do paszczy demona, otwartej szerzej, niż wydawałoby się to możliwe.

Jak zielona żmija, Shezmu zjada dziecięce dusze. Chciałabym odwrócić wzrok, ale nie jestem w stanie. Nie umiem przestać się gapić, a łzy spływają mi po policzkach. Kofi wciąż krzywo się uśmiecha, a jego *ka* unosi się nad słojem. „On nic nie czuje. Jest spokojny.” Myśl trafia mnie prosto w serce. Jego *ka* podąża do Shezmu, a uśmiech Kofiego blednie. Zmarszczki na jego czole wygładzają się, aż wszystkie mięśnie twarzy całkiem nieruchomieją. Uderzam pięściami w kamień, żałując, że nie biję demona. Pierś Kofiego unosi się, opada i... zatrzymuje.

Nie mogę oddychać. Pokój się przechyla. Odszedł. Mój przybrany braciszek odszedł. Nie mogłam go uratować.

Krople potu błyszczą na czole Arti, jej twarz jest blada. Przez łzy widzę ją jak za mgłą.

– Zrobisz coś dla mnie w podziękowaniu za ten mały dar.

Kręgosłup Shezmu trzeszczy, kiedy się prostuje.

– Jeśli nie znalazłaś sposobu, by dać mi ciało na stałe, nie jesteś mi do niczego potrzebna – marszczy brwi, po czym z oburzeniem dodaje – nie jestem dość silny, by wypędzić duszę z tego tu.

Wypuszczam powietrze, które wypełniało mi płuca aż do bólu: z moim ojcem wszystko będzie dobrze. Jeszcze do mnie wróci.

Arti kląska językiem.

– Mogę uwolnić Króla Demonów.

– Powiedz nam jak – rozkazuje Shezmu, którego głos jest jednocześnie piskliwym wrzaskiem i głębokim tenorem mojego ojca.

– Gdyby to było takie proste, nie byłbyś mi do niczego potrzebny. – Arti krzywi się, patrząc na niego spode łba. – Potrzebujemy magii potężniejszej niż nasza. Potrzebujemy połączenia magii Heki i demonów. Ja mogę ściągnąć dług w imieniu plemion, które dzielą się z Heką swoimi duszami w zamian za dar magii. Jestem prawdziwą przywódczynią Mulani. Heka odpowie na moje wezwanie.

Moją głowę przeszywa ostry ból. Co roku podczas święta Krwawego Księżyca przywódczyni Mulani wzywa Hekę z nieba na plemienne ziemie. Nikt inny, nawet pozostali *edam*, nie mogą do niego wołać. Tysiąc lat temu bowiem Heka obdarował w ten sposób kobietę z plemienia Mulani – i tak stali się oni jego emisariuszami. Czemu miałby odpowiedzieć Arti teraz, skoro już wcześniej na próżno błagała go o pomoc? Przez długi czas nie było jej na plemiennych ziemiach, ale być może mimo to pozostała prawdziwą przywódczynią Mulani?

Heka nie może odpowiedzieć jej teraz – jej, która zdradziła jego imię i swoje plemię; jej, służce Króla Demonów. Z drugiej strony Heka nie jest oriszą i nie ma powodu, by nienawidzić demonów. Przybył do naszego świata i obdarzył nas magią cztery tysiące lat po wojnie. Nie pomoże jej, jeśli pozna jej zamiary i konsekwencje uwolnienia *ka* Króla Demonów. Nie rozumiem, dlaczego chce to zrobić: jest jasnowidzką we Wszechpotężnej Świątyni – świątyni oriszy – i wydawałoby się, że zna historię lepiej niż ktokolwiek inny. Wie, jakie zniszczenie czeka świat z rąk Króla Demonów. Ale jeśli był on jej powiernikiem przez wszystkie te lata, najwyraźniej w to nie wierzy.

– Słucham cię, plemienna wiedźmo. – Shezmu mruży oczy. – Co proponujesz?

– Zamieszkuje ciało mojego męża, obdarzysz mnie córką.

Przykrywam usta, żeby powstrzymać kolejny krzyk, a puls dudni mi w uszach. To niemożliwe, by Arti prosiła o coś tak okrutnego, o coś niemożliwego. Nie udałoby jej się przywołać demona, gdyby cała rasa została zamordowana przez orisze. Ale też teraz jest już oczywiste, że święte teksty w Holu Oriszy są błędne.

– Wiesz, że nie mogę tego zrobić – Shezmu mamrocze przez zaciśnięte zęby. – W tym stanie żadne z nas nie jest dość silne.

– Uda ci się, dzięki pełnej łasce magii Heki. – Arti podchodzi do niego o krok.

Na twarzy Shezmu pojawia się chłodny, pozbawiony emocji uśmiech.

Wezwanie demona nadwyrężyło moc magii Arti i teraz sznur, który mnie z nią wiąże, jest poluzowany. Wolność kusi mnie jak miraż na pustyni.

– Nie rób tego. Ona znajdzie sposób, żeby i ciebie zniszczyć – syczę, pokonując niechętny język.

– Jest interesująca – mówi Shezmu. – Ma swoje tajemnice. Jej duszy też pragnę.

– Nie ma mowy! – woła Arti, a jej magia objawia się w kształcie błyskawic.

– Ależ jesteś drażliwa, plemienna wiedźmo – śmieje się Shezmu.

Jego słowa nie mają sensu, ale myślę o własnych darach, które uznałam za nieistotne. Mój umysł opiera się wpływowi magii – tym razem czuję z tego powodu wielką ulgę.

Nie wiem, dlaczego matce zależy na mojej duszy, skoro jestem dla niej tak wielkim rozczarowaniem, że zapragnęła drugiej córki. Powstrzymuję łzy, wypełnia mnie wstyd.

– Słyszałam, że nie dotrzymujesz słowa, o ile nie jesteś związany. – Arti zwraca się do demona.

Zielone oczy Shezmu błyszczą z rozbawienia.

– A więc rozmawiałaś z moim panem.

Arti pstryka palcami, a kolejna magiczna fala dotyka mojej skóry.

– Zatem przywiązuję cię do Arrah. Jeśli mnie oszukasz, zostaniesz na zawsze uwięziony w jej cieniu.

– Stawiam warunki – odpowiada Shezmu. – Jeśli poniesiesz porażkę, pochłonę zarówno twoje, jak i jej *ka*.

– Zgadzam się – odpowiada Arti bez wahania. – Nie ma mowy o porażce.

Demon znowu się uśmiecha, wiedząc, że tak czy inaczej zwyciężył. Ale Arti uśmiecha się również. Nie ma najmniejszego zamiaru dotrzymać obietnicy, jeśli jej się nie uda. Z pewnością ma plan awaryjny. Teraz jednak nie zamierzam myśleć o swoim *ka*... Jeśli to miałyby powstrzymać moją matkę, oddałabym je demonowi.

Arti podnosi ramiona do góry i przemawia straszliwym głosem, który wprawia moje ciało w drżenie.

– Wzywam syna tego, który dał początek gwiazdom. Tego, który narodził się, nim zaistniała jego matka. Tego, który należał do naszego wszechświata, nim powstał orisze. Wzywam cię, Heko. Przybądź, byś mógł spłacić dług zaciągnięty u ludzi z plemion, którzy oddają swoje dusze, byś ukazał swoją magię. Wzywam cię na

podstawie paktu, który zawarłeś. Przekaż mi swój splendor. Jestem prawowitą przywódczynią Mulani, musisz mnie wysłuchać.

Cały pokój zaczyna się trząść, aż sufit pęka i odkleja się jak skóra odzierana z kości. Na ziemię padają grudy wilgotnej ziemi, w pokoju zaczyna wiać ciepły wiatr. Oko Koré wypełnia niebo miękkim blaskiem – księżyc powrócił do swej zwykłej natury. Gwiazdy drżą, łączą się w jedność i zstępuje na nas oślepiające, białe światło.

Obecność Heki wysysa całą przestrzeń z grobowca.

Siedzę nieruchomo, w obawie, że jego *ka* strzaska mi wszystkie kości. Heka czyta mi w myślach. Zna mnie, a ja znam jego. Pragnę tej bliskości, pocieszenia. Jego magia szemrze mi w żyłach, a niewidzialne wici pozwalają mi posmakować świata po raz drugi. Gdy jest blisko, gdzieś w głębi budzi się krztyna mojej własnej, ukrytej magii, jak podczas święta Krwawego Księżyca. Mój umysł wznosi się ponad ciało, ponad ten grobowiec, ponad ten świat. Ponad czas i przestrzeń. Magia jest magią możliwości, poszukiwania, poznania tego, co niepoznane. Stanowię jedność z wszechświatem. To coś całkiem odmiennego od klątwy mojej matki, która gotowa jest zaatakować, gdy się ją sprowokuje. Wiem jednak, że to uczucie nie będzie trwało wiecznie. Heka już raz odmówił mi swego daru – uznał, że nań nie zasługuję. Ale jeśli nawet tak właśnie jest, mam nadzieję, że wysłucha mojego błagania. Nie może pomóc mojej matce.

Proszę cię, Heko. Powstrzymaj ją, zanim będzie za późno.

Unosi się ponad naszymi głowami. Jego fizyczny kształt to nieustannie zmienne świetlne wstęgi. Moje ciało pulsuje jak bęben, a moje *ka* przemawia do Heki. Mówi o cierpieniu, o wytrwałości. Mówi o nadziei. O odrodzeniu.

Powstrzymaj ją, proszę.

– Jako prawowita kapłanka twojej świątyni, chronię twoje sekrety. Tylko ja mogę zażądać, by twój dług został spłacony w całości. – Głos Arti jest pełen pokory. – W zamian za tysiąc lat dzielenia się naszymi duszami obiecałeś nam chwałę swojej magii. Ja, Arti z plemienia Mulani, wzywam cię, byś dopełnił ustaleń paktu zawiązanego przez twoją magię. Nadszedł czas, by spełnić obietnicę.

Musi powiedzieć nie. Nie może zrobić nic z tego, o co ona go prosi. Jeśli wejrzy we mnie, wejrzy też w nią, a wtedy zrozumie, że jej serce jest zgniłe i pełne okrucieństwa.

Heka odpowiada obrazami: mężczyzna z głową byka, po którego piersi spływa krew, ręce skute są łańcuchami, a stopy płoną. *To, o co prosisz, jest wbrew naturalnemu porządkowi. Konsekwencje byłyby niewyobrażalne.*

Niewzruszona, Arti unosi głos:

– Pragnę mieć dziecko, które będzie jednocześnie człowiekiem i demonem, i które posiadać będzie pełną chwałę twojej magii. Tego żądam, a tobie nie wolno odmówić.

Na myśl przychodzi mi obraz kobiety klęczącej przed ołtarzem. Jej dłonie zostały odcięte. *Ten uczynek pozwoli mi spłacić dług i nie wrócę więcej, kiedy mnie zawołasz. Na zawsze utracę plemiona. Nie odbiorę im tego, co oddałem, ale po dzisiejszej nocy, nie dam już nic więcej. Dług został spłacony.*

Nie mam już nawet cienia nadziei. Nie powstrzyma jej, przeciwnie – zamierza jej pomóc.

– No, idź już sobie! – mówi Shezmu.

To niemożliwe. Jeśli Heka nie wróci na plemienne ziemie podczas święta Krwawego Księżyca, nie da magii przyszłym pokoleniom. Co to oznacza dla plemion? Czy magia, którą już mają, będzie się replikować, czy może będzie więcej *ben'ik* takich jak ja? Czy magia śmiertelników stanie się reliktem przeszłości? Jak Arti może być tak samolubna, by żądać czegoś podobnego? I to po to, by uwolnić Króla Demonów, który za nic ma ludzkie życie. To przeczytałam w świętym tekście... ale tam też napisano, że wszystkie demony zginęły.

– Niech i tak będzie – Arti mówi pozbawionym emocji głosem, bez żalu, że Heka nigdy już nie wróci na plemienne ziemie. Mógłby odmówić, ale tego nie robi. Spełnia kaprysy mojej matki jak posłuszny pies. Jest nie lepszy od Re'Meca z jego Rytuałem Przejścia.

Fragment Heki, wstęga białego światła, bez słowa odrywa się od niego i sfruwa do Arti. Zamykam oczy, niezdolna patrzeć na tę profanację. Heka pokazuje mi płatki lilii padające w letni dzień. Leżę na trawie nad Rzeką Węża. Obok mnie leży Rudjek i oboje wpatrujemy się w błyszczące, niebieskie niebo.

– Bądź dzielna, Arrah – mówi Heka głosem Rudjeka.

– Mogłeś jej odmówić! – wołam. – Ty jeden możesz ją powstrzymać.

– To nie moje zadanie – mówi, mrużąc miękko. – Mój czas już minął. Teraz bądź dzielna.

Jego głos ma siłę rozkazu.

– Nie wiem, jak być dzielną.

– Musisz. Jeśli poniesiesz klęskę – szepcze – nie przeżyje nikt.

Scena się zmienia: widzę teraz górę połamanych ciał, złożonych na stercie tak wysokiej, że sięgają aż do krawędzi nieba. Krew pada na Królestwo niczym deszcz. Kałuże zmieniają się w jeziora, a jeziora w rwące rzeki.

Zielonooka żmija – moja siostra – przyniesie nam wszystkim śmierć.

FRAM, ORISZE ŻYCIA I ŚMIERCI

Kocham moją siostrę. Wszyscy ją kochamy. Naszej miłości do niej nie wolno podawać w wątpliwość.

Nie żałuję, że ją zabiliśmy, a jednak powinniśmy byli zostawić ją w spokoju.

Ale jesteśmy oriszą życia i śmierci.

Dajemy życie.

I odbieramy.

A czasem oddajemy.

Teraz znalazł ją ten łotr.

Pozostali nie znają naszej tajemnicy. Nie mogą wiedzieć, co zrobiliśmy.

Decyzja o zabiciu naszej siostry nie była łatwa. Lamentowaliśmy nad nią przez dziesięciolecia i wszyscy zgodziliśmy się, że musi umrzeć. Zasugerowali to Re'Mec i Koré. Chcieli zemsty, ale była to też konieczność, mniejsze zło.

Kiedy odebraliśmy mu naszą siostrę, Król Demonów wybuchł straszliwym gniewem. Kochał ją. Być może aż za bardzo. To dzięki niej jest nieśmiertelny. Przekazała mu nasz dar, który jednak nie był przeznaczony dla ludzi takich jak on. Nieśmiertelność go zmieniła.

Pamiętam chłopca, jakim był wcześniej. Kiedy nasza siostra znalazła go umierającego nad zamarznętym jeziorem. Był taki wychudzony, porzucony przez swoje plemię. Wyleczyła go i zakochała się.

Miłość jest niebezpieczna, zwłaszcza dla takich jak my.

Nasza miłość jest bezgraniczna, nieskończona, nieokiełznana.

Jej miłość do niego jest powodem naszych obecnych kłopotów.

Ale to dygresja.

Zacznijmy od początku.

Zabiliśmy naszą siostrę.

Sięgnęliśmy w jej klatkę piersiową i wyciągnęliśmy duszę z jej ciała.

Kiedy Koré, Re'Mec i pozostali walczyli z Królem Demonów, znaleźliśmy moją siostrę siedzącą na tronie. Kiedy wyczuła naszą obecność, uśmiechnęła się i pochyliła naprzód. Wiedziała, po co przyszliśmy, i pogodziła się ze śmiercią. Kiedy trzymaliśmy w dłoniach jej piękne ka, nie mogliśmy się zmusić, by je zniszczyć. Była zawsze życzliwą duszą, choć zbłądziła.

Niezdolni do podjęcia decyzji, staliśmy naprzeciw jej pustej skorupy. Niezdecydowanie nie leży w naszej naturze, kiedy więc nam się przydarza, przyglądamy się uważnie swojemu nastrojowi. Zamiast niszczyć ka naszej siostry, włożyliśmy je do kieszeni i powiedzieliśmy pozostałym, że ją zabiliśmy. Od czasu do czasu sięgaliśmy do kieszeni i wyczuwaliśmy esencję jej duszy. Cała jest pożarem, deszczem i lawą.

Jak mogliśmy pozwolić jej umrzeć, skoro tak ją kochamy?

Pewnego dnia, kiedy kroczyliśmy pośród ludzi, postanowiliśmy uwolnić jej ka i zwrócić je światu. Nowe, pozbawione ciężaru przeszłości. Pewnego dnia odpokutuje za cierpienie, jakie spowodował jej dar dla Króla Demonów. Nie pamiętamy już, ile razy widzieliśmy, jak się odradza. Za każdym razem robi postępy.

Teraz jednak Król Demonów wszystko zniszczył. Nasza siostra śpi od bardzo dawna. Kiedy się wreszcie obudzi, jej gniew będzie oznaczał nasz koniec.

DZIEWIĘTNAŚCIE

Arti zrzuca winę za upadek Wszechpotężnej Świątyni na ludzi, którzy zezłościли orisze. Wraz z pozostałymi jasnowidzami żąda większych dziesięcin, by odbudować najświętszą świątynię Królestwa w pełnej krasie. Minał miesiąc, a plotki rozprzestrzeniły się po Wschodnim Targu niczym pożar. Ludzie mówią, że runięcie świątyni to bardzo zły omen. Ludzie mówią, że orisza Kiva jest wściekły na Królestwo z powodu zaginięcia dzieci. Niektórzy twierdzą, że widzieli ich bezsenne *ka* błakające się nocą w alejkach. Rolnicy twierdzą, że wędrujące dusze doprowadziły ich bydlę do szaleństwa. Rybacy obwiniają je za mikre połowy.

Są jeszcze tacy, którzy wciąż trwają w nadziei, że dzieci da się odnaleźć żywe, ja jednak znam prawdę. *Shotani* pozbyli się ciał po rytuale Arti. Wyczyścili ściany z krwi i usunęli dowody z komnaty pod ogrodami.

Sen kpi sobie ze mnie, staje się równie nieuchwytny co biały wół. Śnię o dzieciach... o Kofim... leżących na dnie grobowca. Usta Shezmu rozciągają się szeroko i zjadają ich *ka*. To usta mojego ojca. Czasem ma naostrzone zęby. Czasem krew plami jego wargi i spływa na brodę. Czasem uśmiecha się do mnie i ma życzliwe oczy ojca, a zaraz potem jego dwa głosy wybuchają straszliwym krzykiem.

Za dnia włóczę się po targu i gubię w tłumie, by choć przez chwilę udawać, że jestem kimś innym. By w hałasie ukryć swój ból. Nie wiem, jak powstrzymać matkę, i cała kipię z wściekłości. Gdzie się podziali orisze? Jak mogli na to pozwolić? A Heka... Nie wierzę, by zgodził się jej pomóc, a potem zostawił mi ten ciężar. Teraz jestem sama i nie mam pojęcia, co robić. Nie udało mi się porozmawiać o zakłęciach z żadnym z szarlatanów. Zawsze, kiedy jakiegoś widzę, klątwa matki odbiera mi głos.

Po ceremonii wtajemniczenia wezyr uwięził Rudjeka w ich posiadłości. Po wszystkim, co się stało, nie miałam nawet czasu zastanowić się nad naszym niedoszłym pocałunkiem, a nie widzieliśmy się od tamtej pory. Majka lub Kira codziennie przekazują mi na targu wieści od niego.

– Rudjek mówi, żebyś się nie martwiła. On poradzi sobie z ojcem. – Majka tłumie śmiech. Nikt nie „radzi sobie” z Wezyrem Królestwa. Co najwyżej można być mu posłusznym. – Mówi również, że byłaś najpiękniejszą dziewczyną na jego ceremonii. – Majka pociąga za kołnierz, a na jego brązowej skórze wykwita lekki rumieniec. – I że

w tych trudnych czasach to twój uśmiech trzyma go przy życiu. Jest szalenie melodramatyczny, czyż nie? – dodaje z krzywym uśmiechem.

Majka ma rację. To najbardziej melodramatyczny chłopiec, jakiego znam. Rudjek mógł wysłać list zamiast zmuszać kolegów do przekazywania wiadomości. Każda kolejna rozmowa jest dość niezręczna dla obu stron.

Dzisiejsza wiadomość brzmi: „Widziałem doniesienia dotyczące nastrojów panujących na targach. Miejscy strażnicy spodziewają się rychłego buntu. Nie powinnaś tam chodzić, póki sytuacja się nie uspokoi”.

Na co odpowiedziałam: „To nie targ jest problemem. Wiesz o tym równie dobrze co ja”.

Tyle pozwoliła mi powiedzieć klątwa.

Po kolacji Arti każe Terze przynieść herbatę z kory palmy i mocne wino. Przypieram Terrę do muru w kuchni i proszę, by mnie ze sobą zabrała. Muszę wyjść z domu. Nie zniosę już ani chwili słuchania opowieści Oshhego, którego głos jest tak obojętny, jakby czytał listę zakupów. Co gorsza, Ty, Nezi i Terra wydają się nie mieć pojęcia, co wydarzyło się w świątyni i co stało się ojcu. Zachowują się tak samo jak zawsze, a to doprowadza mnie do furii. Arti przyjaźni się z Ty i Nezi i trudno mi uwierzyć, by o niczym nie wiedziały. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie popierają jej postępów.

Za każdym razem, gdy patrzę na ojca, widzę w jego oczach wstrętny, zielonkawy błysk Shezmu. Demon opuścił jednak jego ciało tej samej nocy, gdy się w nie wkradł, a odejście było równie straszne co przybycie. Oshhe przez wiele dni był przykuty do łóżka, a Arti, ku mojemu zdziwieniu, siedziała u jego boku. Karmiła go, kiedy był zbyt słaby, by utrzymać łyżkę w dłoni. Nie potrafię pogodzić ze sobą dwóch walczących stron jej natury i, jakkolwiek bym się starała, widzę tylko ciemność.

Docieramy z Terrą na targ, ludzie zbierają się, szepcząc o zdradzie i zemście. Gdybym tylko mogła powiedzieć im o Arti, zamiast stać z językiem uwięzionym w pułapce. Miejscy strażnicy przechadzają się po ulicach w swoich szarych mundurach, rozprasząc tłum. Ledwie znikną, ludzie znów zbierają się w grupki.

– Wszystko w porządku? – pyta nieśmiało Terra. – Zachowujesz się ostatnio jakoś inaczej.

Ból mojej tajemnicy zżera mnie od środka. Mam ochotę paść na kolana, wrywać sobie włosy z głowy, ale powstrzymuję tylko łzy, marząc o wolności.

– Chyba nic nie jest w porządku.

– Coś okropnego, prawda? – Terra rozgląda się wokół. – Ludzie mówią, że te dzieci nie żyją.

Serce podchodzi mi do gardła, odwracam wzrok. Grzechy Arti są moimi grzechami. Być świadkiem rytuału oznacza stać się jego częścią.

– Mam nadzieję, że... – Klątwa nie pozwala mi mówić dalej. „Mam nadzieję, że Arti za to zapłaci”. – Mam nadzieję, że miasto pozna niedługo odpowiedź. – Słowa smakują kwaśno.

Kiedy szukamy otwartej jeszcze o tak późnej porze apteki, atmosfera na targu jest ponura. Chowańce nie pełzają za ludźmi, karmiąc się ich smutkiem i nienawiścią, nie kryją się też w cieniu, co byłoby dobrą wiadomością, gdyby nie było tak niecodzienne. Skoro nie ma ich tutaj, kłopoty szykują się gdzie indziej. Zostawiliśmy Arti wymiotującą do wiadra w willi, więc tym razem to chyba nie ona za nimi stoi. Ale nawet podczas jej choroby *shotani* mogą coś knuć.

– Twoja matka prosiła o herbatę z kory palmy. Czy ona jest... – Terra przełyka ślinę – w ciąży?

Kiedy nie odpowiadam, Terra dodaje:

– Ta herbata pomaga na mdłości.

– Tak, wiem – odpowiadam.

– Na pewno się ucieszysz z braciszka lub siostrzyczki. – Terra się uśmiecha. – Ja mam pięcioro rodzeństwa. Trzy siostry i dwóch braci.

Tylko że jej rodzeństwo to nie zielonookie węże obdarzone magią demona i Heki. Magią tak potężną, że wepchnęła się do mojej wizji i wymykała spojrzeniu babci.

Babcia.

Jak mogłam nie pomyśleć o tym wcześniej? Pewnie bym na to wpadła, gdyby tylko moje myśli tak nie pędziły od tamtej nocy w świątyni. A gdybym zdołała przesłać list do plemienia Aatiri? Czy klątwa mi na to pozwoli? Jeśli napiszę coś, co nie ma nic wspólnego z Arti, ale i tak skłonię babcię, by natychmiast przyjechała do Królestwa... czy to może być rozwiązanie? Ona nie dałaby się nabrać na sztuczki Arti, potrafiłaby zakończyć ten koszmar. Jeśli dzisiejszy plan się nie powiedzie, jutro z samego rana spróbuję.

– Wpadłam dziś rano na jedną ze służących wezyra. – Kiedy przedzieramy się przez zatłoczoną część targu, Terra gładzi dłonią rolkę jasnego jedwabiu. – Słyszała, co wydarzyło się w ogrodach w noc ceremonii wtajemniczenia dziedzica Omarich.

– Terro. – Czuję zbliżającą się falę gorąca. – Nie będę z tobą plotkować.

– Cóż... – wzrusza ramionami, a jej twarz się rumieni. – Jeśli będziesz kiedyś chciała porozmawiać...

– Nie będę chciała.

Wymykam się, kiedy Terra wchodzi do jedynej otwartej apteki. W środku jest sporo ludzi, co powinno mi dać dość czasu. Nie przyszedłam tu po lekarstwo dla Arti.

Przysłałam po coś innego. Nie pozwalam, by mój umysł skupiał się na celu, bo wtedy jej magia mnie powstrzyma. Owszem, potrzebuję trucizny, ale nieważne, po co. Póki magia tego nie wie, nie wyrządzi szkody. Jeszcze nie.

Idę na skróty, mijając ulicznych grajków, by dotrzeć do bardziej obskurnej, cichszej części Wschodniego Targu. Pozornie ulice są opustoszałe, ale w cieniu czają się grupki ludzi. Chcę pójść w stronę sprzedawców trucizn, ale droga mnie od nich oddala. Nie mogę się do nich zbliżyć, choć staram się ukryć swoje intencje.

– Wyglądasz, jakbyś coś kombinowała – mówi opierająca się o ścianę sklepu kobieta. Jest niska i chuda i ma na sobie brudną halkę. Jej oczy są tak jasne, że błyszczą w ciemności. To ta sama kobieta, która chciała mi wróżyć tego dnia, kiedy zniknął Kofi, zanim jeszcze zabrała go moja matka. U jej stóp, na zniszczonym metalowym pudle, stoi miska, a w niej leży kilka monet. Na jej powierzchni widnieje ognisty napis. W wijących się, zakończonych ostrymi krawędziami słowach jest coś znajomego.

Powinna iść dalej. Nie mam zbyt wiele czasu, ale powietrze wokół kobiety jest tak naładowane magią, że czuję mrowienie w rękach. Jej warkocze wiją się wokół twarzy, jakby żyły własnym życiem. Gdzieś na skraju mojej świadomości pojawia się ostrzeżenie. Odwracam się, ale głos kobiety zatrzymuje mnie.

– Co taka dziewczynka jak ty robi tu o tej porze?

Światło księżyca otacza jej ciemną skórę opalizującym blaskiem.

– Kim jesteś? – Stoję w bezruchu, nie mogę przestać się na nią gapić. Niewidoczna magia falami opływa jej ciało. To nie magia tańcząca na nocnym niebie. Jest bezgraniczna, nieokiełznana, niewidzialna nawet dla mnie.

Pozdrawia mnie ukłonem jak członkowie plemienia Kes, ale nie ma ich świetlistej cery.

– Zatroksaną przyjaciółką, która wie, że czegoś szukasz.

– Skąd... skąd o tym wiesz? – dukam.

– Wiem wiele różnych rzeczy. – Wzrusza ramionami i krzywo się uśmiecha.

Jeden z jej warkoczy rzuca się na mnie jak jadowity wąż. Robię krok w tył, chwiejąc się na nogach. Znów zerkam na pudełko, które jest niemal identyczne jak to, które widziałam w świątyni na kolanach Koré. Ogniste litery świecą w świetle księżyca, a ja zaczynam wszystko rozumieć.

Re'Mec i Koré to najpotężniejsi spośród oriszy, bóstwa słońca i księżyca. Koré wykuła pudełko własnymi rękami, a Re'Mec wyrył na jego bokach *ka* ich braci i sióstr. Ich własne dusze stały się łańcuchami, które więżą *ka* Króla Demonów. Koré stoi teraz przede mną, a powietrze rozstępuje się wokół niej. Jej magia nie jest ani delikatnym

muśnięciem Heki, ani wścibskimi oczami demonów. Jej magia jest jak klif, którego krawędzi można się chwycić pośród szalejącej burzy.

Szczypią mnie oczy, kiedy znów spoglądam na pudełko. Tracę oddech. W środku jest on. Król Demonów. Pudełko drży, to nie moja wyobraźnia, szemrze magią, bo chce, żebym je otworzyła. Wycieram dłonie o nogawki spodni i przełykam kwaśną ślinę. To on jest powodem, dla którego moja matka zabrała dzieci. Powodem, dla którego mój przyjaciel nie żyje. Jestem tak wściekła, że kręci mi się w głowie i nie myślę jasno.

– Jesteś Koré, jedną z Królewskich Bliźniąt – słyszę swój drżący głos, nie do końca wierząc, że to mówię.

Powinnam się bać, ale tak nie jest. Widziałam zbyt wiele strasznych rzeczy, a jeśli jest tu orisza, z pewnością chce coś zrobić w sprawie mojej matki. To jedyny możliwy powód jej przybycia.

– Wiem, co sobie myślisz. – Kiwa na mnie palcem.

– Mogłabyś ją powstrzymać – mówię. – Masz taką moc.

Koré przewraca bosą stopą miseczkę z monetami, które z brzękiem spadają na ziemię. Stawia stopę na pudełku, żeby przestało drzeć. Oddycham z ulgą, kiedy przestaje się ruszać.

– Nie mogę... mam już ręce pełne roboty.

– Nie rozumiem – mówię z niedowierzaniem. – Wiesz, co ona planuje... Wiesz, co już zrobiła.

– Potwór się przeciąga – mówi Koré poważniejszym tonem. – Nie mogę pozwolić, by się obudził.

– Wykorzystujesz całą swą magię, żeby więzić Króla Demonów, ale myślałam...

– Nie całą – jej włosy wciąż się wiją, a usta rozciągają w uśmiechu.

– Czy Arti może go przywołać? – Przełykam ślinę. – Czy to w ogóle możliwe?

– On nigdy nie odszedł, Arrah – odpowiada Koré głosem pełnym nienawiści.

Nie powinno mnie dziwić, że zna moje imię, jest przecież oriszą. Ale co jeszcze o mnie wie? Od jak dawna wiedzą o Arti? Od jak dawna nic nie robią?

– Gdybym potrafiła zabić go razem z moim bratem – syczy Koré – nie znaleźlibyśmy się w obecnej sytuacji.

Wąz kurczy mi się pod skórą. Krzyżuję ramiona, żeby nie zacząć się trząść i odsuwam się od Koré. Zabije mnie, jeśli tylko będzie mogła. Udusi mnie gołymi rękami.

Nie – to tylko demoniczna magia w moim ciele tak na nią reaguje.

– Masz na ciele nieszczęsne znamię. – Koré kiwa głową, jakby widziała ranę pod moim kaftanem. – Ciekawe, że właśnie je wybrała *Ka*-Kapłanka. – Pokazuje język i marszczy nos. – Odpowiadając na twoje pytanie: żadne z nas nie może podejść tak

blisko, by zabić twoją matkę. Chroni ją demoniczna magia, która rozciąga się na wszystko wokół. Rzuciła nawet paskudne zaklęcie na pozostałych jasnowidzów, żeby nic nie podejrzewali. Wielu chętnie jej służy i nosi ochronne znaki.

– Ale skoro jej magia jest tak potężna – mówię, opierając się o beczkę, by odzyskać oddech – jak to możliwe, że jesteś w stanie ze mną teraz rozmawiać?

– Klątwa, którą rzuciła na ciebie, ma bardzo konkretne zasady – mówi Koré głosem pełnym irytacji. – Jeśli ktokolwiek inny spróbuje ją zdradzić, magia zatrzyma jego serce. Ciebie natomiast związała ze sobą zaklęciem, które nigdy cię nie zrani... Wręcz przeciwnie, powstało, by cię chronić. Dobrze nas zna: zabilibyśmy cię, gdyby to pozwoliło nam dotrzeć do niej.

Wycieram z czoła krople potu. Moja matka powiedziała, że jej klątwa jest darem, i teraz sobie uświadamiam, co miała na myśli. Choć wciąż nie rozumiem, dlaczego. Wszystko, co robi moja matka, jest sprzecznością, a ja nie wiem, co mam o tym myśleć. Czy da się ją jakoś przekonać, by przestała szukać sposobu na uwolnienie Króla Demonów? Uratował jej życie, a już wcześniej czaił się gdzieś w kącie jej umysłu. Pamiętam nieskończenie wiele chwil, kiedy jej spojrzenie stawało się nieobecne. Czy to wtedy do niej mówił?

– Po co tu jesteś, skoro nic nie możesz zrobić? – pryham, zniecierpliwiona. Wiem, że krzycząc na oriszę, zachowuję się głupio, ale niewiele mam do stracenia.

Koré trzepocze swoimi długimi rzęsami, przyglądając mi się badawczo.

– Pomagam, głupia dziewucho. Nie czujesz, że magia *Ka*-Kapłanki słabnie w tej właśnie chwili? – Jej oczy przebiegle błyszczą. – Obserwowałam cię i jeśli zamierzasz zrobić to, co mi się wydaje, nadeszła właściwa pora.

Zmiana, którą i ja wyczuwam, wprawia mnie w dezorientację.

Skupiam się na truciznie, a klątwa mnie nie hamuje. Wyobrażam sobie, jak wlewam ją Arti do wina i wciąż nic się nie dzieje. Znów napotykam spojrzenie Koré, a serce mocno wali mi w piersi.

– Zabiję ją.

Koré podnosi zmatowiałe pudełko, na którym litery świecą coraz jaśniej, po czym odwraca się, gotowa, by odejść.

– Tak naprawdę może już być za późno, ale pomyślałam, że chociaż spróbuję pomóc.

– Poczekaj, musisz pomóc mojemu ojcu! – Ruszam za nią, ale znika w ciemnym zaułku. Biegnę, lecz rozpływa się w powietrzu.

Sfrustrowana wybiegam z alejki i wpadam prosto na Terrę, która trzyma w dłoniach mały pakunek z korą palmy.

– Kto to był?

Wiem już na pewno, że nie mogę ufać *shotani*, ale Koré powiedziała, że inni z wyboru służą mojej matce. Czy może to dotyczyć Terry, Nezi i Ty? Nawet jeśli Terra nie jest z moją matką w zмовie, na nią też mogła rzucić klątwę. A jeśli tak, służąca może próbować mnie powstrzymać. Nie zamierzam ryzykować.

– Wezmę do domu wino i herbatę. – Ściskam dzban tak mocno, że bolą mnie palce.

– Musisz przekazać Rudjekowi wiadomość ode mnie.

– Synowi wezyra? O tej porze? – Terra protestuje na tyle głośno, że zwraca na siebie uwagę. – To niezbyt dobry pomysł po tym, co wydarzyło się na jego ceremonii. Poczekaj trochę, a jego ojciec...

– Musisz mu powiedzieć, że... – zagryzam wargę. – Powiedz mu, że za nim tęsknię.

– Arrah... – marszczy brwi.

– Proszę, Terro – błagam. – Co ci szkodzi spróbować?

Pracuje w końcu dla naszego domu i dla mnie – musi ustąpić. Ogarnia mnie wstyd, że wysłałam ją na bezsensowną wyprawę. Droga do rezydencji wezyra i z powrotem zajmie jej co najmniej godzinę – to dość czasu, by znaleźć truciznę.

Włócę się przez ciemną część targu, odganiając pijaków i natrętnych handlarzy. Znalezienie trucizny jest równie proste co zakup chleba. Jeden z kupców twierdzi, że jego mikstura jest dość silna, by zabić dziesięć krów. Chcąc udowodnić jej działanie, polewa odrobiną przezroczystego płynu skórę jabłka i karmi nią szczura w klatce. Ledwie gryzoń jej próbuje, pada trupem.

Krzywię się, patrząc na jego nieruchome ciało. Sprzedawca spogląda na mnie ze zdziwieniem.

Mężczyzna nie zadaje zbędnych pytań i sprzedaje mi dawkę wielkości kciuka. W domu sama zaparzę herbatę i wlewam wino do kielicha. Robię to dla Kofiego i dla pozostałych dzieci, dla mojego ojca i dla wszystkich tych ludzi, których skrzywdziła moja matka. Nie mam wyboru. Muszę powstrzymać Arti, nim zdoła uwolnić *ka* Króla Demonów. Być może będę musiała w tym celu poświęcić życie swoje i ojca, ale wiem, że by to zrozumiał. Zrobiliby to samo.

Skupiam się na wszystkim prócz powodu, dla którego robię to, co robię, żeby nie kusić klątwy. Na razie mam jeszcze kontrolę nad swoimi czynami. Nie myślę o konsekwencjach ani o ciemności wzbierającej mi w sercu. Wspominam najmiłsze chwile spędzone z matką. Było to popołudnie w porze Su'omi – w czasie odnowy, odrodzenia. Miałam nie więcej niż siedem czy osiem lat. Płakałam, bo Nezi i Ty zmusiły mnie do włożenia sukienki z falbankami na ceremonię we Wszechpotężnym Pałacu. Narobiłam takiego hałasu, że matka przyszła sprawdzić, co się dzieje. Zanim zdążyła spytać, zatopiłam twarz w jej złotym kaftanie i rozpłakałam się jeszcze bardziej. Przytuliła mnie mocno do siebie, a ja wdychałam jej słodki zapach miodu

i oleju kokosowego. Ta chwila nie trwała długo, ale została ze mną przez te wszystkie lata.

Przygotowując tacę z herbatą i winem i zanosząc ją do salonu, raz po raz odtwarzam w myślach to wspomnienie. Arti siedzi tam sama, oparta o poduszki. Jej twarz jest blada, a obok niej stoi wiadro. Ostro zapach unoszący się w pokoju sprawia, że skręca mi się żołądek.

Jej magia owiewa mnie jak pióra muskające skórę. Dłonie mi się trzęsą, gdy kucam przy niej z tacą. Jej magia ściska mnie jakby mocniej.

– Proszę, herbata i wino – mówię.

– Co tak długo? – pyta Arti, podnosząc się z trudem. – Gdzie jest Terra?

– Jeszcze nie wróciła – odpowiadam półprawdą.

Dłoń Arti drży, kiedy sięga po herbatę.

Przewraca kubek. Pot spływa jej po czole. Z jednej strony nie mogę znieść jej widoku w takim stanie, z drugiej – cieszę się, że ona również cierpi.

Spieszę się, by podnieść kubek, nie patrząc jej w oczy.

– Zrobię ci więcej – mówię.

– Nie musisz – odpowiada, biorąc wino w pewniejsze dłonie. – Tyle wystarczy.

Wstrzymuję oddech, kiedy wypija truciznę. Już ma coś powiedzieć, przypomnieć mi, jaka jestem niezdarna i jakim jestem dla niej rozczarowaniem, ale zamiast tego cicho mówi:

– Dziękuję.

Nogi uginają się pode mną, kiedy odnoszę tacę na niski stół i udaję, że porządkuję naczynia, żeby zyskać na czasie. Nie mogę wyjść, póki nie upewnię się, czy trucizna działa. Zagryzam wewnątrz policzka, kiedy wychyla kielich.

Kaszel nie ustaje nawet kiedy jej usta zalewa krew. Cofam się o krok, nie rozumiejąc tak do końca, co zrobiłam, nie wierząc, że to może być koniec koszmaru. Tyle że pętla wokół mojej piersi zaciska się, zamiast rozluźniać. Odbiera mi wolność.

Arti pochyla się naprzód i chwyta za brzuch. Zaciskam zęby, kiedy jej nabiegłe krwią oczy napotykają moje. Czy wie? Jeśli tak, niech mnie zniszczy. Arti wymiotuje. Zatrute wino i jej wieczorny posiłek rozbryzgują się między moimi stopami.

Wyciera usta wierzchem dłoni.

– Zatrzymałaś moje wino?

Jej głos wbija się we mnie niczym ostrze *tobachi*. Długimi, powolnymi cięciami.

Moja matka wyczuje kłamstwo na kilometr. Może to dlatego, że sama potrafi tak świetnie kłamać. Starczyłoby jej jedno spojrzenie na Terrę, by zacząć coś podejrzewać. Wyczytałaby coś w jej oczach, w zmianie postawy, dostrzegłaby kroplę potu na jej brwi. Jej magia oplotłaby umysł Terry – nauczyła się tej sztuczki od swojego oprawcy.

Mój umysł jednak należy do mnie. To jedyna rzecz, której nie może mi odebrać nawet jej magia, nawet magia demonów.

– Oczywiście, że nie – odpowiadam łagodnym głosem. Zbyt spokojnym. Zbyt jednostajnym. Wycofuję się o krok – Kupiliśmy z Terrą wino od sprzedawcy ze Wschodniego Targu, którego wcześniej nie widziałam, ale zaoferował najlepszą cenę.

Jeśli Arti wie, że ją okłamuję, nie zdradza się z tym. Próbowалаm ją zabić. Próbowалаm zabić własną matkę. Mój brzuch zamieszkują ćmy, ale nie żałuję. Powtarzam sobie, że szkoda mi tylko, że się nie udało.

– Masz wielu... wielu wrogów – próbuję wymyślić wymówkę. – Może jeden z nich rozpoznał we mnie twoją córkę i postanowił zaatakować.

– To byłoby całkiem prawdopodobne, gdyby moi prawdziwi wrogowie nie próbowali tego już wcześniej i nie ponieśli klęski. – Arti uśmiecha się do mnie, a jej twarz znów nabiera kolorów. – Krew, która płynie w moich żyłach, jest znacznie groźniejsza od jakiegokolwiek trucizny.

Odwraca się, jakby ze mną skończyła, kiedy jednak zamierzam odejść, powstrzymuje mnie jej melodyjny głos.

– Jesteś do mnie bardziej podobna, niż ci się wydaje.

Na krótką chwilę nieruchomieję. Już chcę wysyczeć jakąś odpowiedź, ale się powstrzymuję. Chce zaleźć mi za skórę, ale nie dam jej tej satysfakcji. Tym razem przegrałam, ale się nie poddam. Będę próbować, póki nie umrę. Czuję jej wzrok na plecach, gdy mówię:

– Jestem przecież twoją córką.

DWADZIEŚCIA

Chowańce znów unoszą się nad Wschodnim Targiem jak muchy skuszone śmiercią. Zapach zgniłego mięsa i zepsutej ryby przykrywa znajome wonie oleju z orzechów ziemnych, przypraw i smażonych plantanów. Chociaż jasne barwy targu się nie zmieniły, przez szczeliny wdziera się szarość. Przykrywa wszystko cieniem i mgłą.

Jest dopiero południe, ale już teraz smutek i złość wzbierają wśród tłumu. Ludzie popychają się i szturchają nawzajem. Klienci krzyczą na sprzedawców, wyklinając wysokie ceny, zamiast targować się i negocjować. Handlarze odpowiadają złością i wybuchają kłótnie. Miejscy strażnicy w swoich ponurych, szarych tunikach oblepiają targ podobnie jak chowańce. Atakują ludzi bez żadnego powodu. Całe miasto sprawia wrażenie, jakby klątwa mojej matki niszczyła wszystko, czego się dotknęła.

Nie mogłam wczoraj spać – po tym, jak nie udało mi się otruć matki. Miała rację, kiedy powiedziała, że potrafię tylko ponosić kolejne porażki. Dowiodłam tego. Moją próbę morderstwa uznała za zabawną i po prostu wyprosiła mnie z salonu. Swoją arogancją jakby sypała sól na otwartą ranę. Chociaż udawała, że jej to nie obeszło, przez cały dzień czułam silną obecność klątwy. Powstrzymała mnie, kiedy rano próbowałam napisać do babci.

Przedzieram się przez tłum i wzbiera we mnie złość. Szarpię się za kołnierz, czując, że po plecach spływa mi pot. Nie jest goręcej niż zazwyczaj w Tamarze – co oznacza, że jest piekielnie gorąco. Targ jest tak pełny ludzi, że trudno się oddycha, a tym bardziej porusza. Co trzecia osoba albo zbiera się do bójki, albo właśnie skończyła się bić. Mój wzrok wędruje od twarzy do twarzy w poszukiwaniu Majki albo Kiry, którzy mogliby mi przekazać wiadomość od Rudjeka.

„To twój uśmiech utrzymuje mnie przy życiu w tych trudnych czasach”. Jakie to melodramatyczne. Majka rumienił się ze wstydu, przekazując tę wiadomość, ale nie zamierzałam go żałować. Choć Majka i Kira narzekają na jego zachowanie, byli równie bezczelni co on. A jednak to wiadomości od niego pocieszają mnie, kiedy nocami leżę bezsennie w łóżku, przeżywając na nowo straszne chwile w świątyni.

Kiedy nie myślę o tym, pielęgnuję inny lęk – lęk, który obudził we mnie niedoszły pocałunek z Rudjkiem. Jakaś część mnie martwi się, że jego matka będzie chciała, żeby związał się z północną księżniczką, taką jak ona. Wszystkie te piękne dziewczyny nie pojawiły się na jego ceremonii wtajemniczenia przypadkiem. Ich rodziny

przyprowadziły je tam, by poznały przyszłego wezyra. Za każdym razem, kiedy ojciec przedstawiał go gościom, przy okazji przedstawiał go córkom danego rodu. Dziewczętom o niezwykłym wdzięku, które swoimi słodkimi słowami potrafiły zaklinać węże.

A jednak w ogrodzie byliśmy tylko my dwoje. Jego zapach, zapach dymu i fiołków, drażnił moje zmysły, gdy jego wargi znalazły się tuż obok moich. Obudził się we mnie żar, a moje myśli niewiele już miały wspólnego ze spotkaniami na targu czy wspólnym łowieniem ryb. Skąd się wzięło to, co było między nami? Od jak dawna czaiło się pod powierzchnią?

Nie powinnam o nim myśleć, nie po tym wszystkim, co się stało. Czuję się, jakbym zdradzała pamięć Kofiego i pozostałych dzieci, pozwalając sobie na choćby chwilę radości. Czemu miałabym być szczęśliwa, kiedy ich rodzice cierpią w żałobie? To nie fair. Ale nasza przyjaźń to jedyne, czego nie zabrała mi matka. Tylko dzięki niej jeszcze się nie załamalam. W obliczu rozpaczyny nadzieja mnie onieśmiela, ale trzymam się jej, gasnącej i małej. To głupota sądzić, że ktoś taki jak ja może powstrzymać moją matkę, skoro nie udało się to nawet oriszom, ale nie zamierzam się poddać. Tyle razy poniosłam klęskę, szukając magii, że wiem, jak ukrywać ból i iść dalej naprzód.

– Ja też za tobą tęskniłem.

Zatrzymuję się gwałtownie, serce wali mi w piersi, a moje ciało wypełnia ciepło. Tembr głosu Rudjeka jest głęboki, niski i filuterny, podkreślony jeszcze tęsknotą tańczącą w moim wnętrzu. Nie ma w sobie cienia tej arogancji i brawury, która rozbrzmiewa w nim, kiedy mówi o walkach, które toczy z przyjaciółmi na arenie. Odwracam się i widzę jego twarz pośród kołyszącego się tłumu, a oddech zamiera mi w piersi. Dziwię się, że go widzę. Spodziewałabym się raczej kolejnej wiadomości przekazanej przez Majkę czy Kirę. Jego ciemne oczy iskrzą się, kiedy na mnie patrzy. Uśmiecha się głupawo, jak zaczarowany.

Zaczarowany przeze mnie.

Tak jak ja jestem zaczarowana przez niego.

Rudjek, mój najlepszy przyjaciel.

Rudjek, ktoś więcej.

Zatrzymujemy się pośrodku zatłoczonego targu. Ludzie mijają nas niczym rwąca rzeka. W tłumie roznosi się hałas, ale ledwie go słyszę, kiedy robię krok ku niemu. On robi to samo. Jesteśmy bardzo blisko siebie, jak wtedy w ogrodzie, a w moim brzuchu fruwią niecierpliwe motyle.

– Ojciec cię wypuścił? – pytam chrapliwym głosem.

Rudjek drapie się po głowie.

– Zrozumiał wreszcie, że popełnia błąd – mówi Rudjek.

– Nie sądzę, by tak było. – Zerkam na stojących nieopodal Majkę i Kirę.

Oczy Rudjeka wędrują po moim ciele, aż zaczynają płonąć mi policzki. Po chwili odwraca wzrok.

– Przykro mi, że musiałaś na to wtedy patrzeć. Mój ojciec jest samolubnym durniem.

Śmieję się nie dlatego, że to prawda, ani dlatego, że to szczególnie zabawne. Śmieję się, bo w konkursie na najgorszego rodzica moja matka wygrałaby w przedbiegach.

– Mogłoby być znacznie gorzej.

– Mama stanęła po mojej stronie i przekonaliśmy go – mówi, kiedy dwóch klientów mija nas, przeklinając pod nosem.

– Wezyra? – Znów wybucham śmiechem. – Trudno mi to sobie wyobrazić.

– Przypomnieliśmy mu, że jestem jego jedynym dziedzicem.

Przekrzywiam głowę i mrużę oczy.

– A więc to była groźba.

– Skoro ja jestem mu tak niemiły – Rudjek wzrusza ramionami – zawsze może wybrać na swojego następcę Jemiego lub Urana.

– Nigdy nie chciałam skłócić cię z ojcem – mówię, biorąc głęboki oddech.

Rudjek pochyla się nade mną. Pocałuje mnie. Chcę, żeby to zrobił, ale on bierze w dłoń jeden z moich kosmyków i przeciąga po nim palcami.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, od jak dawna chciałem to zrobić.

Znów się śmieję, a kark aż mi płonie.

– Kiedy byliśmy mali, wciąż ciągałeś mnie za włosy.

– Może się stąd urwiemy? – mówi Rudjek. – Pójdziemy nad rzekę?

Unoszę brwi i kłaskam językiem.

– Oczywiście razem z Majką i Kirą. – Puszcza do mnie oko. – Obiecuję, że będę grzeczny.

Nie chcę, żeby był grzeczny. Chcę pocałunku, który przerwał jego ojciec. Pocałunku, który pozwoli mi zapomnieć o tym, co złe, pomoże ukoić ból. Moja przyszłość maluje się w czarnych barwach, ale póki Królestwo wciąż jest w jednym kawałku, przynajmniej tyle mogę mieć.

Stłumione dźwięki powracają.

A przecież wcale nie ucichły, prawda?

Kiedy przez tłum przedziera się trupa wynajętych żałobników, rozdzielamy się. Rudjek odsuwa się na jedną stronę, ja na drugą. Kobiety rwą swoje podarte już ubrania, a po ich policzkach spływa kajal. Modlą się do oriszy dzieci Kivy, by ocalił dusze umarłych. Kiedy chowańce wkradają się między żałobników, karmiąc się ich emocjami, moje ciało przeszywa dreszcz.

One wiedzą.

– Znaleźli dzieci! – woła ktoś.

Strażnicy przedzierają się przez targ.

– U stóp klifów niedaleko świątyni – krzyczy ktoś inny.

Kiedy żałobnicy odchodzą, zastanawiam się, czy to Koré albo inni orisze postarali się, by ktoś znalazł dzieci. Nie mógł to być przypadek, bo *shotani* z pewnością dobrze ukryli ciała.

– Świątynia płonie! – dobiega mnie kolejny krzyk.

To prawda.

Czarny dym unosi się ponad klifami nad miastem, przykrywając świątynię.

Chwytam Rudjeka za ramię i popycham w stronę przeciwną niż ta, w którą zmierza tłum. Ludzie pchają się w kierunku świątyni, ale inna droga szybciej zaprowadzi nas na dno przepaści. Kiedy udaje nam się wydostać z tłumu i docieramy do świętego drzewa Gaer, jesteśmy oboje spoceni i zdyszani. Gdzieś w zamieszaniu zgubiliśmy Majkę i Kirę. Rudjek patrzy na mnie szeroko otwartymi ustami; ponure wieści zakończyły nasz flirt na dobre. Żadne z nas nie jest w stanie się odezwać. Myślami wracam do rytuału Arti i demona zjadającego dusze dzieci. Do mojego ojca zjadającego dusze dzieci.

– Próbowaliśmy, Arrah – mówi Rudjek.

Nie wie, jak bardzo się myli, nie ma pojęcia o głębi mojego zaangażowania. Co by sobie o mnie pomyślał, gdyby o wszystkim wiedział? Patrzyłam, jak życie dzieci zostaje im odebrane, tak by moja matka mogła urodzić potwora. Kiedy patrzy na moją twarz, pełną poczucia winy, Rudjeka przeszywa dreszcz. „Połącz kropki! Dzieci znaleziono nieopodal świątyni”. Moje myśli krzyczą, choć usta nie są w stanie wypowiedzieć słowa.

– To nie twoja wina – zapewnia mnie. – Tak wiele poświęciłaś podczas rytuału.

Kłęb dymu unoszący się ponad świątynią powiększył się dwukrotnie. Dobrze. Niech to straszne miejsce spłonie, a moja matka razem z nim. Niech ogień ją zniszczy, jak ona zniszczyła mnie.

– Nie chodzi o mnie, Rudjeku. – Krzywię się. – Nic nie rozumiesz.

Walczę z magią Arti, z demoniczną magią, która zaciska szpony wokół mojego ciała i mojego *ka*. Ostry ból przeszywa moje żebra i sięga aż do brzucha. Koré powiedziała, że magia mnie nie zabije. Będę się jej opierać, póki nie osłabnie albo nie rozerwie mnie na kawałki. Moje nogi poddają się jako pierwsze. Rudjek rzuca się naprzód, a kiedy bierze mnie w ramiona, magia się uspokaja. Zalewa mnie fala ulgi, a klątwa rozprzestrzenia się po moim ciele, jakby chciała sprawdzić, czy mnie zraniła. Sięga ku mojemu umysłowi, łaskocząc mnie po karku. Tam się zatrzymuje.

– Arrah... – Rudjek zerka na swój herb z kości strachopłocha.

– Też to poczułeś? – pytam z nadzieją.

Tym razem było inaczej niż z Sukarem podczas ceremonii wtajemniczenia. Wtedy miałam wrażenie, że atakują mnie mrówki ogniowe. To, co dzieje się teraz, jest jak wzbierający ogień w zimną noc, jak fale uderzające o skalisty brzeg.

– To było... przyjemne – mówi Rudjek, wciąż jeszcze ze mną spleciony. Jego policzki płoną.

Drzewo Gaer trąca mnie w plecy. Tym razem nie czuję kolców, ale ciepłe dłonie Rudjeka na moich przedramionach i jego ciało tak blisko, że jego pierś omal nie dotknie mojej. Zauważa, jak blisko siebie jesteśmy i próbuje się odsunąć, ale ja go nie puszczam. Chcę, by znalazł powiązanie między dziećmi a świątynią, ale on opacznie czyta moje intencje.

– Arrah – wypowiada chrapliwie moje imię.

Oto i ona.

Moja zguba.

Rudjek znów wpatruje się we mnie w ten jedyny sposób, ja jednak patrzę na pięciu mężczyzn, którzy stoją za nim. Nie rozpoznaję ich: to nie strażnicy, nie mają też na sobie eleganckich elar. Rudjek kiwa porozumiewawczo głową i obraca się do nich, dłonie kładąc na rękodościach swoich szoteli. Ich twarze są surowe, porane głębokimi zmarszczkami. Ich tuniki są brudne i znoszone. Ale to nie ich wygląd mnie niepokoi, lecz czające się w ich oczach kłopoty.

– Orisze odpowiedzieli na nasze modlitwy – mówi jeden z mężczyzn. Jego głos jest cichy i pełen złości, jak kamień uderzający o kamień. – Zesłali nam syna wezyra i córkę *Ka-Kapłanki*. Jeśli was ukarzymy, wybaczą miastu Tamar tragedię, która zdarzyła się w Królestwie.

Tą tragedią jest moja matka.

Rudjek wyciąga swoje szotele, nim jeszcze mężczyzna skończy mówić. Nie będzie negocjacji. Przekonywania ich, by zmienili zdanie. Ludzie chcą odpowiedzi, a tacy mężczyźni jak ci tutaj komunikują się za pomocą swoich mieczy. Wezyr nie bez powodu nie pozwala Rudjekowi opuszczać posiadłości bez eskorty. Majka i Kira nie są sługami, którzy podają kapcie czy spinają mu płaszcz na ramionach. Nie są jedynie jego przyjaciółmi. Przez większość życia trenowali na arenie, nim zdali trudne egzaminy na gwardzistów.

Rodzina Omarich ma swoich wrogów. Od wielu pokoleń tytuł wezyra należy do nich, co wielu się nie podoba – na przykład mojej matce. A i ona przez lata narobiła sobie wrogów. Rodziny dzieci, które porwała dla Shezmu.

Mężczyźni wyciągają miecze, których zakrzywione ostrza przywodzą na myśl półksiężycy. Choć każdy z nich ma po jednym mieczu, a Rudjek dwa, są one równie ostre. To nie chłopcy z Litho, którzy podczas święta Krwawego Księżyca potrafili tylko gadać. Ci mężczyźni atakują bez ostrzeżenia, a Rudjek rzuca się naprzód, by uderzyć stalą o stal. Zaciskam zęby i szukam wzrokiem czegokolwiek, czego mogłabym użyć jako broni. Wystarczyłby mi zwykły kij, ale jest tu tylko drzewo i piasek, który ucieka mi spod stóp.

Rudjek krzyżuje swoje miecze z dwoma mężczyznami i obraca się, żeby powstrzymać trzeciego, celującego prosto we mnie. Jego ostrza błyszczą, kiedy on i jego broń stają się jednością. Skrada się i skacze niczym ogromny gepard. Mężczyźni celują swoimi szotelami w jego gardło, serce i brzuch, próbując go zabić, ale on opiera się im z łatwością i wdziękiem. Często się chwali, że, jeśli nie liczyć gwardzistów, najlepiej włada mieczem. To może być prawda, choć nigdy mu tego nie przyznam.

Obracając się na pięcie, Rudjek przecina ramię jednego z mężczyzn, drugiego zaś rani w bok. Napina kark, to atakując, to wycofując się. Chce, żeby ustąpili, ale oni wciąż walczą. Kolejne cięcie. Tym razem w przedramię.

Kiedy z ran mężczyzny wypływa krew, żółć wzbiera mi w gardle. Myślami wracam do świątyni. Do dzieci. Magia buzuje mi w piersi. Chwytam ziemię w pięści i rzucam nią w najbliższych mi mężczyzn. Przynajmniej ich spowolnię.

Upuszczają swoje szotele i chwytają się za twarze.

Wstrętne łotry.

Należy im się za atak na nas. Niech ziemia wypali im oczy.

Podnoszę dwie kolejne garści piasku i zamieram. Pozostali trzej mężczyźni cofają się, nie odrywając wzroku od przyjaciół. Opieram się o nagie drzewo, paznokcie wbijam w jego korę. Chciałam ich tylko powstrzymać.

Ich krzyki dudnią mi w uszach, kiedy piasek zżera ich ciało, a krew spływa im po policzkach. Upadają na kolana, ich skóra pokrywa się pęcherzami i pęka. Nie mogę oddychać, kiedy demoniczna magia owija moje serce niczym ochronny kokon. To sprawka mojej matki. To jej przeklęty dar.

DWADZIEŚCIA JEDEN

Wciąż cała się trzęsę, kiedy docieramy na dno urwiska, które prowadzi do Wszechpotężnej Świątyni. Czarny dym unosi się teraz ponad klifami i trudno orzec, jak duża część świątyni spłonęła. Kiedy przedzieramy się przez tłum, mam przed oczami twarze mężczyzn, których skóra stopiła się jak masło w upale. Raz po raz wycieram dłonie w swój kaftan, jakby to mogło zmyć moją winę.

Nie jestem taka jak ona – mówię bezgłośnie, kiedy Rudjek ciągnie mnie za sobą. Ludzie napierają na blokujących drogę strażników. Wołają, że Re'Mec zesłał wielki pożar, by zniszczyć świątynię, że to kara za świętokradztwo. Mówią, że wszyscy jasnowidze nie żyją. Mam nadzieję, że to prawda – a przynajmniej, że nie żyje moja matka. Gdyby tak było, splunęłabym na ciało Arti, by ukarać ją za całe zło, które wyrządziła i które mnie kazała wyrządzić. Nawet to nie będzie jednak dla mnie rozgrzeszeniem za wzięcie udziału w rytuale, ani za to, co zrobiłam dziś pod drzewem Gaer. Orisze i mnie powinni ukarać.

Jesteśmy z Rudjkiem tak blisko siebie, że czuję na twarzy jego oddech i smak jego strachu. W tłumie kryją się *shotani*, przebrani za zwykłych ludzi lub udający strażników. Echo ich magii tańczy po mojej skórze. Myślałam kiedyś, że to magia, która jest poza moim zasięgiem, że drwi sobie ze mnie. To się zmieniło. Teraz miałam przedsmak tego, do czego zdolna jest klątwa.

Strażnik zastępuje mi drogę. Mężczyzna jest dwa razy wyższy ode mnie i patrzy na mnie z góry orzechowymi oczami. Jego wzrok jest tak ostry, że mógłby przeciąć kamień. Patrzę na jego towarzyszy, którzy wnoszą po stromym zboczu wiadra z wodą. Zasłonili sobie twarze mokrymi szmatami, żeby się chronić przed dymem.

– Muszę się dostać do świątyni – wołam, a żołądek ściska mi się z bólu.

– Nikomu nie wolno przejść – mówi. – To rozkaz wezyra.

– Ale... – Próbuję go ominąć.

– Nie słyszałaś mnie, dziewczyno? – warczy mężczyzna, zaciskając uścisk na swoim szotelu.

– Odsuń się – rozkazuje Rudjek nie znoszącym sprzeciwu tonem. Rozchełstany po walce, wyraz twarzy ma równie niewzruszony co jego ojciec. – Nie każ mi się powtarzać.

Strażnik patrzy na Rudjeka ze złością, ale po chwili dostrzega jego klejnot herbowy w kształcie głowy lwa. Wyraz jego twarzy jest zacięty, przeklina pod nosem, ale się odsuwa. Ogarniająca mnie panika nieco słabnie, ale nie znika.

Kiedy udaje nam się przejść, Rudjek dotyka mojego ramienia. Zatrzymujemy się. Jego dłoń jest lodowata. Nogi mi drżą pod ciężarem jego spojrzenia. Nie chcę mówić o straszliwej rzeczy, którą zrobiłam, ale nie mogę też unikać tego tematu. Mężczyzna z brodą splecioną w warkocz i pokrytą pęcherzami twarzą przepycha się w kierunku strażnika, który nas przepuścił.

– To była magia, Arrah – mówi Rudjek. – Myślałem, że...

– Nie mogę tego wyjaśnić... – Klątwa kontroluje każde moje słowo.

– Od jak dawna wiesz?

– Od niedawna – mówię. Niech klątwa będzie przeklęta za to, co zrobiła tym mężczyznom i za to, że mnie więzi. Koré powiedziała, że demoniczna magia mnie ochroni, ale nie spodziewałam się niczego podobnego do zdarzenia spod świętego drzewa Gaer. To jakiś chory, wstrętny żart.

Przez całe życie pragnęłam magii, jaką mieli moja matka i ojciec. Chciałam, żeby moja babcia, wielka przywódczyni Aatiri, była ze mnie dumna. Przez całe lata męczyłam się nad eliksirami w sklepie Oshhego. Przez całe lata odbywałam sprawdziany podczas święta Krwawego Księżyca. Wciąż miałam nadzieję, że pewnego dnia sięgnę ku niebu i schwytam magiczną iskrę. Kolejnym porażkom towarzyszyła frustracja. Potem oddałam swoje lata, by zobaczyć porywaczkę ciał – moją własną matkę. Nie chcę tego... tego daru. Gdybym mogła, wydarłabym go sobie z piersi.

– Pozwól mi przejść! – krzyczy brodaty mężczyzna. – Tam jest mój syn.

Czuję ukłucie bólu na myśl o ojcu Kofiego. Rodziny zasługują, by się dowiedzieć, co się stało z ich dziećmi, nawet jeśli będą przez to cierpieć.

– Jak już mówiłem...

Nim strażnik zdoła skończyć zdanie, brodaty mężczyzna uderza go pięścią w twarz.

Starczy jeden człowiek, który nie potrafi powstrzymać gniewu i walka rozpoczyna się na dobre. Latają pięści, błyska srebro. Tłum napada na strażników. Niektórzy strażnicy zamiast podawać wiadra z wodą, próbują przywracać porządek, ale nikt nie stara się nam przeszkodzić, kiedy ruszamy na klif.

W połowie drogi zatrzymujemy się, by nabrać oddechu. Oczy Rudjeka nabiegły krwią, a jego twarz pokrywa warstwa brudu. Dym gryzie mnie w oczy, na języku czuję sadzę. Powstrzymując atak kaszlu, Rudjek podaje mi rękę. Patrzymy na siebie w milczeniu. Nasze palce są nierozzerwalnie splecione. Ta więź zawiązała się lata temu nad Rzeką Węża. Nie potrzebujemy słów. Ten mały gest to deklaracja: wyraża wszystko, czego sobie nie powiedzieliśmy.

Gdy docieramy na szczyt i mijamy bramę świątyni, bije drugi popołudniowy dzwon. Pierś boli mnie od oddychania dymem. Panuje chaos, ludzie biegają po dziedzińcu i ogrodach. Jedni wykrzykują rozkazy, drudzy wydają się zagubieni. Z pięciu budynków połączonych kiedyś ingresem w kształcie półksiężyca, ostały się trzy. Ogień został już opanowany, a ponad zbezczeszczonym Holem Oriszy unoszą się ostatnie smugi dymu. Z budynku obok – tego, w którym odbywały się moje lekcje – zostały tylko popiół i zwęglony kamień.

Uwolnione ze swojego cienistego domu, pomniki oriszy pozostają nietknięte. Choć wyglądały na gigantyczne już wtedy, kiedy znajdowały się w korytarzu, z niczym nie da się porównać ich ogromu teraz, kiedy znalazły się pod gołym niebem. Nawet Nienazwana wygląda nieziemsko. Światło słońca owija się wokół ich wiecznej ciemności, co daje efekt surrealistyczny, zapierający dech w piersiach. W miejscu, gdzie znajduje się każdy z pomników, w samym środku dnia utrzymuje się skrawek wiecznej nocy. Za nimi skaliste klify odcinają się od horyzontu.

Na dziedzińcu, nieopodal tej części ogrodu, która zawaliła się podczas okrutnego rytuału Arti, leżą na ziemi trzy ciała. Ich twarze są zakryte, ale jedno ubrane jest w brudną od sadzy szatę jasnowidza. Nieruchomieję, tężeją mi mięśnie. To nie moja matka. To by było zbyt proste. Zwykły pożar by jej nie zabił.

Z jednego ze spalonych budynków wyłania się wezyr z pięcioma gwardzistami u boku. Są w pełni uzbrojeni, odziani w czerwone tuniki pod srebrnymi napierśnikami. Biedacy muszą się strasznie pocić. Na każdym z bioder noszą po dwa szotele w skórzanych pochwach. Wezyr unosi dłoń, żeby ich zatrzymać. Mimo wszystkich zniszczeń dokoła jego biała elara jest nieskazitelnie czysta.

Podchodzi do nas z dłońmi na rękojeściach błyszczących mieczy. Spogląda na mnie tak, jakbym była ledwie komarem, którego należy zgnieść. Potem przygląda się brudnej elarze Rudjeka. Plamom błota i krwi. Niechęć w jego spojrzeniu zmienia się w obrzydzenie.

– Widzę, że niczego się nie nauczyłeś – warczy wezyr.

Rudjek w odpowiedzi piorunuje go wzrokiem.

Mnie chwyta kolka.

– Czy moja matka...

– Czy nie żyje? – pyta ostrym tonem wezyr. – Niestety żyje.

Trudno mi na niego patrzeć, nie wspominając, że oskarżył Arti o zaczarowanie Wszechpotężnego. Czy sądzi też, że ja zaczarowałam jego syna? To jego oskarżenie skierowało ją na złą drogę. Nie usprawiedliwiam jej postępków, ale i on nie jest niewinny.

– Musisz być taki chamski? – Rudjek marszczy czoło. – Co się stało?

– To chyba oczywiste – odpowiada. – Ktoś podpalił świątynię.

– Dzieci... – magia ściska mnie od środka. – Czy to prawda? – Zastanawiam się, co pozwoli mi powiedzieć kłątwa. – Czy wieści o dzieciach to prawda?

– Tak – szczeka zębami wezyr.

Ostrożnie dobieram słowa.

– Dwie tragedie spadły na świątynię i... – Pozwalam, by zdanie urwało się znacząco. Sam musi zrozumieć prawdę.

– Myślisz, że zabił je ktoś ze świątyni? – pyta Rudjek.

„Tak”. Obaj zauważają, że nie jestem w stanie wydusić z siebie słowa.

„Zastanów się chwilę, Rudjeku”. Błagam go wzrokiem, błagam z głębi serca. „To Arti”.

Wezyr mruży oczy.

– Nie lubię cię, dziewczyno. – Patrzy na mnie wściekle. – Dość mam twoich zagadek.

– Ja ciebie też nie lubię – odpowiadam – ale próbuję pomóc.

– Uważaj na to, co mówisz, albo utnę ci język. – Spokojny ton wezyra zwiastuje burzę. To nie pusta groźba.

Magia demonów napina się pod moją skórą jak naprężony sznur, który omal nie pęknie. Robię krok naprzód, tak że niemal dotykamy się stopami. To błąd. Powinnam się zatrzymać, nim sytuacja jeszcze się pogorszy, ale nienawidzę jego szyderczego, wyzywającego uśmiechu. Jak śmie mi grozić, kiedy to przez niego *Ka*-Kapłan zniszczył moją matkę? Powinien zapłacić za swoje zbrodnie. Zmuszę go do tego.

Magia uderza we mnie z nową siłą, jej ostre kły ostrzegawczo kłują mnie w szyję. Spoglądam na wisior z kości strachopłocha odcinający się od elary wezyra. Jego uśmiech staje się ponury. Wstrętna, brudna świnia. Byłby nikim, gdyby nie te kości.

Rudjek staje pomiędzy nami na szeroko rozstawionych nogach i sięga ku rękojęściom swoich szoteli, by oprzeć na nich dłonie. Obaj patrzą na siebie niczym lustrzane odbicia, silni i nieustępliwi.

– Zostaw ją w spokoju. – Rudjek zaciska dłonie na rękojęściach tak mocno, że bieleją mu kłykie. – Dość już szkód narobiłeś.

– Nie mam czasu na głupoty. – Wezyr odchodzi kilka kroków dalej i wzywa do siebie gwardzistów. – Muszę się zająć Królestwem.

Inni żołnierze wyprowadzają z tej części świątyni, która nie spłonęła, jasnowidzów. Ich twarze i podarte szaty pokryte są sadzą. Staje się oczywiste, czemu wezyr nie chce tu świadków. Jasnowidze wyglądają w tym stanie gorzej od szarlatanów, sprzedających amulety na ulicy. Jako następni wyłaniają się służący, a ja wzdycham z ulgą – jest

wśród nich Sukar. Pomaga koledze, który został poważnie poparzony i nie dostrzega, że stoimy po drugiej stronie dziedzińca.

Kolejna grupa gwardzistów wyprowadza Arti jako ostatnią. Ku mojemu rozczarowaniu jest nietknięta przez ogień. Jej rosnącego brzucha nie widać jeszcze pod złotym kaftanem. Nawet pośrodku całego tego zniszczenia i chaosu moja matka jest opanowana i promienna, spokojniejsza nawet od wezyra. Gwardziści ustępują jej miejsca, nie ważąc się dotknąć *Ka-Kapłanki*, która mogłaby ich przekląć. Prowadzą ją do wezyra, u którego boków stoją dwaj strażnicy. Byłoby ich więcej, gdyby znał prawdziwą moc mojej matki, wiedział, do jakich zniszczeń jest zdolna.

– Dekretem Wszechpotężnego niniejszym usuwam cię ze stanowiska *Ka-Kapłanki* Królestwa – głos wezyra jest pełen satysfakcji, choć jego twarz pozostaje nieprzenikniona. – Skalenie świątyni i śmierć niewinnych wydarzyły się pod twoim nosem. Ty jesteś za nie odpowiedzialna i tym samym zostajesz wygnana z Królestwa.

Oddech więźnie mi w gardle. Wygnanie. Zasługuje na coś znacznie gorszego, ale to może być szansa. Jeśli znajdzie się daleko, moc klątwy osłabnie, a ja znów będę mogła spróbować wysłać wiadomość do babci. Nim jednak pozwolę sobie na nadzieję, ogarnia mnie przerażenie.

Arti odwzajemnia arogancki uśmiech wezyra.

– Swoją karę przyjmuję z pokorą, wezryrze – odpowiada, jakby powiedział coś, co nie ma dla niej znaczenia.

– Gdyby to ode mnie zależało – warczy on – kazałbym cię ściąć, ale Jerek jest głupcem.

Arti marszczy nos, słysząc imię Wszechpotężnego.

– Dziękuję za waszą łaskę – mówi Arti z trucizną w głosie.

– Jeśli jeszcze kiedyś zjawisz się w Królestwie – wezyr pochyla się nad nią z groźbą w oczach – każę cię ściąć bez chwili wahania.

Twarcz Arti pozostaje obojętna, nie opuszcza też głowy w poddańczym geście. W powietrzu unosi się magia, a włoski na moim karku stają dęba. Twarcz wezyra szarzeje. Mężczyzna robi pół kroku w tył. Gdyby nie miał na szyi amuletu z kości strachopłocha, który blokuje jej magię, mogłaby go zabić jednym pstryknięciem palców.

Wzrok wezyra pada najpierw na mnie, potem znów na Arti.

– Wyrzucam z Królestwa ciebie i całą twoją rodzinę.

– Nie – szepcze Rudjek, a całe jego ciało tężeje.

Po czole spływa mi strużka potu, a puls dudni w uszach. On... on nie może tego zrobić. Co ja pocznę? Tamar to mój dom. Moi przyjaciele są tutaj. Całe moje życie jest tutaj.

Demoniczna magia ryczy we mnie. Zaciskam dłonie w pięści. Chce zaatakować wezyra, ale muszę ją powstrzymać. To przecież tylko pogorszyłoby sprawę. Kilka chwil temu omal nie popełniłam tego błędu. Teraz muszę być mądrzejsza. Wezyr nie ma znaczenia w porównaniu z Królem Demonów. Być może Arti sądziła podobnie.

Rudjek rzuca się na ojca z twarzą płonąca gniewem. Dwóch gwardzistów chwytają go od tyłu. Jednego z nich uderza łokciem w brzuch, drugiemu się wywija. Kolejni dwaj go rozbijają, a kiedy walczą, by się uwolnić, kolejni przybywają, żeby go powstrzymać.

– Ojczy, nie rób tego! – woła Rudjek – Arrah jest niewinna!

– Chodź, córko – wzywa mnie Arti. – Słowo wezyra jest prawem... – Przerzywa, a nieczuły, bezlitosny ton jej głosu sprawia, że rozpadam się na kawałki. – Przynajmniej na razie.

Jeśli nawet wezyr słyszy jej zniewagę, nie odpowiada, tylko przygląda się dalej, jak Rudjek walczy z jego gwardzistami. Przyszpili go do ziemi, a ja pragnę tylko do niego podejść. Chcę mu pomóc, ale magia słucha się Arti. Łzy spływają mi po twarzy, kiedy staję obok niej. A więc to wszystko? To ostatni raz, kiedy widzę Rudjeka, moich przyjaciół, mój dom? Moje ciało i umysł ogarnia upiorne odrętwienie. Patrzę na scenę z niedowierzaniem. Cały ten dzień był koszmarem, od którego nie ma ucieczki.

– Zostawcie mnie, do cholery! – woła Rudjek. – Puśćcie mnie!

Kopie, krzyczy, wali pięściami. Potrzeba dwudziestu gwardzistów, by go utrzymać, a po walce wszyscy są pobici i zakrwawieni.

– To dla twojego dobra – mówi wezyr do syna. – Niedługo sam to zrozumiesz.

Arti kładzie mi dłoń na ramieniu. Dostrzegam podstęp w jej zimnym spojrzeniu i zaczynam rozumieć, co zrobiła. Orisze nie zaatakowali świątyni, ani też ludzie nie podpalili jej w akcie zemsty. To Arti podłożyła ogień. Nie mogła urodzić tak blisko świątyni, bo inni jasnowidze wyczuliby demoniczną magię dziecka i obudziliby się z jej klątwy. Uwolniła się spod baczego spojrzenia Królestwa. Jest wolna, by siać zamęt i zniszczyć każdego, kto stanie jej na drodze. Wolna, by urodzić dziecko, które rzuci świat na kolana.

– Znajdę cię! – woła Rudjek. – Obiecuję.

Jego słowa odbijają się echem, a ja chwytam się tego głosu, zastanawiając się, czy widzimy się dziś po raz ostatni. Jeśli Arti zechce zniknąć, nikt nas nie znajdzie. Ale chwytam się też nadziei: tylko ja mogę powstrzymać matkę, nim będzie za późno.

FRAM, ORISZE ŻYCIA I ŚMIERCI

Nie powinieneś był interweniować bez porozumienia z nami!

Nie mówimy, że potrzebujesz naszego pozwolenia, Re'Mecu. Miło by było, gdyby wasza dwójka wzięła i nas pod uwagę. Ale ty nie zastanawiasz się nad konsekwencjami. Jak wtedy, kiedy prowadziłeś wojnę przeciwko Królowi Demonów. Jesteś z natury samolubny.

Oszczędź nam swoich bluźnierstw, nic nas nie obchodzi. Przejdźmy do rzeczy.

Zakpiłeś sobie z tych dzieci, wrzucając je do rzeki, i teraz w Królestwie zapanował chaos.

Czy to nie ludzie, którym obiecaliśmy życie na ich własnych zasadach? Czy to nie ludzie, dla których przelewaliśmy krew?

Nigdy nie potrafiłeś dać im spokoju. Planowałeś intrygę za intrygą, a z nudów nawet wojnę. Teraz też ci się nudzi? Czy ten absurdalny Rytuał Przejścia już ci nie wystarczy?

Koré, jeśli pozwolisz wężom znów nas ukąsić, przysięgam, że sami cię zaatakujemy.

Uważacie, że jesteśmy zbyt łagodni, ale przypominam wam, że jako jedyni zabiliśmy jednego z nas. I jesteśmy gotowi to zrobić ponownie.

Źle rozumiecie nasze zamiary. Nie sprzeciwiamy się działaniu, ale Król Demonów wciąż jest w więzieniu, a dziecko się jeszcze nie narodziło. Nie wiemy, czy będzie miała siłę go wypuścić. Wieszcz nie potrafi wejrzeć w przyszłość.

Wiemy, że dziewczyna będzie potężna, ale nie możemy działać, nie znając faktów.

Czego od nas oczekujesz, Koré? Tak niewielu nas zostało.

Przez cały ten czas nie znaleźliśmy sposobu, by uwolnić naszych braci, którzy cierpią do dzisiaj. Ci, którzy uwięzili Króla Demonów, i ci, którzy uszczelnili bramę między tym światem a opuszczoną krainą, którą pozostawiliśmy za sobą. Równie dobrze mogliby nie żyć. Nie zasłużyli na to.

Największy Kataklyzm wie wszystko najlepiej. Zrodził ten świat i wiele światów przed nim. Powinniśmy powrócić do jego łona, by zasięgnąć rady, i odrodzić się, kiedy ten świat sam się zniszczy.

Nie musisz mówić rzeczy oczywistych, Re'Mec. Wiemy, że Największy Kataklyzm nie stworzył Króla Demonów. Zrobiła to nasza siostra.

Nie, nie wypowiem jej imienia. Już jej nie ma. Zostawmy to.

Czy wciąż musimy się kłócić? Kiedyś byłeś inny.

Tak, jestem starym, sentymentalnym głupcem. Tęsknię za czasem, gdy życie było prostsze.

Nie chcę już walczyć. Pozostali nadchodzą. Esi, Nana, Mouran, Sisi, Yookulu, Kiva, Oma, Kekiyé, Ugeniou i Fayouma, w tej właśnie kolejności. Jesteśmy ostatnimi oriszami. Po nas następnych nie będzie.

DWADZIEŚCIA DWA

Rudjek mnie odnajdzie. Mówił poważnie. Moje palce są zimne jak lód, a ciałem wstrząsają dreszcze. Przyjdzie po mnie. Przełykam ślinę, ściska mi się żołądek. Przyjdzie, a Arti zabije go bez wahania. Tak bardzo nienawidzi wezyra, że to będzie dla niej czysta przyjemność.

Z Wszepochotężnej Świątyni wyprowadzają nas dwa tuziny gwardzistów. Tłum stojący u stóp urwiska milknie i rozstępuje się, żeby pozwolić nam przejść. Brzęczy jak rój wściekłych pszczół. Z początku nikt się nie odzywa, potem jakaś kobieta spluwa na ziemię. Dołączają do niej inni.

Niektórych znam z targu. Jelan piecze najlepsze ciastka w mieście. Klienci Ralii ustawiają się w kolejce od świtu, by przymierzać jej ekstrawaganckie buty. Chima, koleżanka mojego ojca, raz w tygodniu wpada do niego na herbatę. Nie wiedzą, że Arti porwała dzieci, ale to nieważne. Potrzebują kogoś, kogo będą mogli obwinić. Obnażają zęby, jakbyśmy byli brudem pod ich stopami... jakbyśmy byli od nich gorsze. Kiedy wylewa się na nas ich ból, nienawiść i złość, moim ciałem wstrząsa dreszcz.

Próbuję ich ignorować, ale wwierca się we mnie wściekłość ich spojrzeń. Ich wrogość jest tak dusząca, że trudno mi oddychać. Ktoś rzuca w naszą stronę kurczaka bez głowy, na mój policzek tryska krew. Krzywię się i wycieram twarz, jakby krew mogła wypalić mi skórę. Ludzie wybuchają śmiechem, a demoniczna magia we mnie jest gotowa do ataku. Zaciskam pięści, żeby ją uspokoić. Nie mogę uwolnić klątwy, choć to byłoby łatwe. Błaga, bym ją wyzwoliła. Czuję, jak rozciąga się, rozprzestrzenia, sięga do wszystkich moich kończyn. Robi tak, kiedy się boję, ale nigdy, gdy chcę wystąpić przeciwko Arti. To doprawdy przeklęty dar.

– Nic nie rób. – Melodyjny głos Arti odbiera mi oddech, ale jej magia nie jest mi posłuszna. Moja tunika jest przemoczona od potu, za to moja matka nie opuszcza nawet uniesionej dumnie głowy. Jej pewny krok tylko bardziej rozwściecza zebrany tłum.

Jakiś skryba odwodzi do tyłu rękę, żeby rzucić kamieniem, ale zanim go puści, jego palce łamią się jak gałązki. Krzyczy i pada na kolana, trzymając się za dłoń.

– To ona mu to zrobiła – szepczą niektórzy. – Przeklęła go.

– Wstrętne *owahyat!* – woła jednocześnie kilka osób.

Moje ciało się trzęsie, zaciskam zęby, żeby utrzymać magię na wodzy. Nie chcę skrzywdzić tych ludzi, ale nie pozwolę im też skrzywdzić siebie.

Pierwszy niedoszły napastnik ośmiela kolejnych. Drogę zastępują nam trzy osoby – dwie kobiety z nożami *tobachi* i mężczyzna z szotelem w dłoni.

Magia Arti muska ludzi w tłumie delikatnie niczym pędzel z piór. Raz po raz padają na kolana. Zaczyna się od trójki napastników, którzy muszą usunąć się nam z drogi. Mijamy opuszczone głowy i trzęsące się dłonie. Tamar kłania się mojej matce.

Gwardziści prowadzą nas do portu, gdzie czekają kolejne dwa tuziny ludzi. Jest tu mój ojciec razem z Nezi, Ty i Terrą, i kilkoma skrzyniami naszych rzeczy. Wezyr zorganizował nasze wygnanie szybko i precyzyjnie. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że planował je od dawna.

Nad zatokę opada zielona mgła, a muskając powierzchnię wody, łodzie jęczą jak wielkie morskie potwory. Nim do nich wsiądziemy, Majka prześlizguje się między gwardzistami.

– Kiedy dotrzesz na miejsce, prześlij wiadomość do rezydencji mojego ojca – mówi.
– Przekażę ją Rudjekowi, a on cię znajdzie.

Nie odpowiadam. Patrzę na niego, zszokowana, nim jeden z gwardzistów nie każe mi iść dalej. Opuszczam swój dom. Opuszczam przyjaciół, Rudjeka, wszystko co znane. Matka nie pozostawiła mi niczego. Kiedy wsiadam na statek, jestem jak w transie. Arti szeptem rozmawia z kapitanem o kierunku naszej podróży, ale nawet ich nie podsłuchuję. To bez znaczenia. Gdziekolwiek byśmy trafiły, to nie będzie Tamar. To nie będzie dom.

Dzień przemija jak we mgle. Kapitan odmawia podróży nocą, obawiając się piaszczystych mierzei, które potrafią uwięzić statek w swoim uścisku jak pajęczyna owada. Cumujemy w niewielkim portowym mieście, w którym Rzeka Węza rozdziela się na dwie odnogi. Jedna płynie dalej wzdłuż Królestwa ku sąsiedniej ziemi Estheria. Druga skręca ku Wielkiemu Morzu na Północy i krajom znajdującym się pomiędzy.

Oshhe opowiadał mi historie o zmarłych włączających się pośród nocy z odwróconymi do tyłu twarzami. O zmarłych, którzy kradli życie niemowlętom ssącym piersi matek. Ale to nie ich się boję. Boję się dziecka w łonie Arti. Woda kołysze statek w przód i w tył, a w duszącym upale czai się fatum. Mocniej ściskam balustradę, żeby zachować równowagę. Raz na jakiś czas słyszę głośny plusk i niskie warknięcie, a ponad wodę unosi się głowa hipopotama. Inne zwierzęta boją się portowych świateł i zacumowanych łodzi.

Mogłabym wskoczyć do wody.

Zaryzykować spotkanie z hipopotamami i krokodylami.

Płynąć, aż dostanę skurczy w ramionach i nogach.

Dryfować aż na morze.

Moje plecy sztywnieją, kiedy klątwa się budzi. Arti wspina się spod pokładu, za nią idzie Oshhe. Większość załogi wysiadła kilka godzin wcześniej, zwabiona obietnicą rozrywki dostępnej za kilka miedziaków.

Obecność Arti dotyka moich zmysłów, zanim ona sama do mnie dotrze. Powstrzymuję się, żeby nie zdrzeć.

– Już dawno powinnam była zabronić ci spędzać czas z synem Surana. – Opiera się o balustradę obok mnie, zapach jej słodkich perfum przykrywa unoszący się na wietrze smród rzeki. – Ale bawiło mnie, że tak się złości, widząc, że sympatią jego syna jest moja córka.

Przełykam łzy, spoglądając w atramentowoczarny brzuch zatoki, nie odpowiadając, by nie dać jej satysfakcji. Próbowaliśmy być z Rudjkiem dyskretni, chociaż czasem na targu bywaliśmy nieostrożni. Inaczej się nie dało, biorąc pod uwagę tłumy, w których można się było zgubić. Zawsze myślałam, że Arti albo nie zauważyła naszej przyjaźni, albo nic jej ona nie obchodzi. Nigdy o niej nie wspominała – jakaż byłam naiwna, tak myśląc. Oczywiście, że ją zauważyła i obserwowała nas przez cały czas. Chciałabym wypchnąć ją za burtę, żeby pożarły ją krokodyle. Łaskoczą mnie opuszki palców, omal nie unoszę dłoni. Omal. Wciskam paznokcie w drewno, próbując opanować frustrację.

– Zdradzę ci sekret, którego nie zna nikt oprócz jasnowidzów – mówi Arti, patrząc przed siebie nieobecny wzrokiem. – Kiedy rodzili się kolejni synowie wezyra, jego żona przynosiła ich do świątyni. Ludzie z Północy nie czczą oriszy, ale ona chciała poznać przyszłość synów. Powiedziałam jej, że Rytuał Przejścia złamie dwóch pierwszych. Nieważne, że Re'Mec nie zażądał rytuału w świątyni od dwudziestu lat... od czasu *Ka-Kapłana Rena*.

Przez cały ten czas Rudjek obwiniał orisze za to, co stało się z Jemim i Uranem, ale to Arti wszystko uknuła. Wiedziała, że synowie wezyra zgłoszą się na ochotników, choćby po to, by udowodnić jej, że się myli. Jak mogliby tego nie zrobić, chcąc sprostać dziedzictwu Omarich? Arti z zemsty wrobiła Jemiego i Urana.

– Czy orisze kiedykolwiek się do ciebie odezwali? – syczę, a moje słowa są jak lawa.

– Nigdy. – Arti uśmiecha się do mnie.

Mój ojciec stoi bezradnie na dziobie statku. Jego spojrzenie jest puste. Matka czeka, aż zadam jej pytanie, które parzy mnie w usta. Nie chcę słyszeć odpowiedzi, ale muszę poznać prawdę.

– Co zobaczyłaś w przyszłości Rudjeka?

Kiedy wreszcie zwraca się do mnie, jej bursztynowe oczy są zimne – jak popiół tłący się w gasnącym ognisku.

– Umrze w Ciemnym Lesie.

Ciemny Las. Miejsce, w którym przodek Rudjeka, Oshin Omari, pokonał strachopłochy i zabrał ich kości. Miejsce, w którym mój ojciec zapolował na białego wołu. Nie mogę oddychać, w głowie mi się kręci od lekkiego kołysania statku. To nie może być prawda. A jednak ledwie jestem w stanie wydusić z siebie słowa:

– Dlaczego miałby tam być?

Arti marszczy brwi i mocno zaciska wargi.

– Bo nie jest tym, kim mu się wydaje, że jest.

– Co to znaczy? – pytam, wstrząśnięta jej słowami.

– To cię nie dotyczy. – Wydycha powietrze i odwraca się. – Pójdzie do Ciemnego Lasu i tam umrze. To tyle. Jego przyszłość jest wryta w kamieniu.

– Nie wierzę ci. – Na skraju mojego umysłu majaczy na wpół zapomniany sen o Rudjeku stojącym na krawędzi lasu nieskończonej nocy. „To tylko sen”. Nic nie znaczy. Kłamie, bo nienawidzi wezyra i chce, żebym myślała, że mój przyjaciel nie spełni swojej obietnicy i nie będzie mnie szukał. – Zachowaj swoje kłamstwa dla innych.

Arti nie pozwala sobie na okazanie zaskoczenia.

– To będzie druzgoczące dla Surana – ciągnie, pełnym pogardy tonem. – Żałuję tylko, że nie będę mogła z bliska przyglądać się, jak dziedzictwo wezyra upada.

– *Ka*-Kapłan powinien był cię zabić, kiedy miał taką możliwość. – Moje słowa są pełne jadu. Naprawdę tak myślę.

Arti wybucha śmiechem. Szczerym śmiechem, jakiego nie słyszałam od dawna. Zaraz jednak jej twarz się krzywi. Pochyla się naprzód, łapiąc się za brzuch. Uwięź jej klątwy nieco się rozluźnia. Wcześniej Koré sprzeciwiła się magii Arti na tyle mocno, by pozwolić mi działać. Czy teraz osłabia ją dziecko, czy choroba, która towarzyszy ciąży? Gdyby się pogłębiała, być może miałabym szansę spróbować znowu. Chwytam się tej nadziei. Po tylu porażkach mam tylko ją.

Nie pozwalam sobie na to, by sprawdzać granice swojej wolności, stojąc naprzeciw niej, żeby nie znalazła sposobu, by ponownie zacisnąć pętlę. Mój ojciec się wzdraga, sztywno wyprostowany. Czyżby on też czuł, że klątwa słabnie? Jego ramiona podnoszą się i opadają, a we mnie wzbiera nadzieja. „Walcz, ojcze, walcz. Jesteś od niej silniejszy”.

– Poproś Ty o więcej herbaty. – Arti krzywi się, a z jej czoła spływają krople potu. – Tym razem postaraj się jej nie zatruć.

Nie mogę na nią patrzeć. Po winie, po herbacie, po tym, co powiedziałam o *Ka*-Kapłanie. Po tym wszystkim, co zrobiła.

W oczach mojego ojca toczy się wojna, ale pozostaje uwięziony w jej pułapce, a we mnie nadzieja słabnie. Koré powiedziała, że klątwa nigdy mnie nie skrzywdzi, ale

wszyscy pozostali zginęliby, gdyby próbowali z nią walczyć. Gdyby mój ojciec przez chwilę myślał jasno, zdawałby sobie z tego sprawę.

Odchodzę bez słowa. Niech się zastanawia. Ty i Terra są w kambuzie pod pokładem, gdzie zajmują się czyszczeniem ryb i małży. Nezi pewnie jak zwykle chowa się gdzieś sama.

Ty wyciera ręce o fartuch i odkasłuje. Obie z Nezi są lojalne wobec mojej matki, ale czy wiedzą o wszystkim, co zrobiła? Czy mogłabym je przekonać, żeby z nią porozmawiały? Nie wiem, komu mogę ufać – zwłaszcza we własnym domu. Tęsknię za przyjaciółmi. Tęsknię za czasami, kiedy martwiłam się tylko o swój dar. Teraz, kiedy znalazłam się pod pokładem, uwięź Arti jeszcze się rozluźnia. Czuję się tak, jakbym pierwszy raz od wielu dni zdjęła z siebie ciężki płaszcz. To właśnie teraz mogę napisać do babci. Spróbuję to zrobić wieczorem.

– Witaj, Ty. – Moje policzki płoną.

Nasza gospodyni kręci głową. Oczywiście słyszała okropną rzecz, którą powiedziałam o *Ka-Kapłanie*. Terra nie odrywa wzroku od swoich dłoni, zanurzonych głęboko w rybich flakach. Kiedy Ty każe mi czekać na odpowiedź chwilę zbyt długo, unosi brwi, żeby zapytać: „czego chcesz?”

– Arti chce herbatę z kory palmy – odpowiadam.

Ty drapie się w brodę i znów kręci głową, co oznacza: „nie mamy jej”.

– Poszukam na brzegu. – Terra wstaje. – To nie powinno być trudne.

– Pójdę z tobą – proponuję, marząc o zejściu ze statku. – Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

– Następnym razem – mamrocze cicho Terra, wciąż nie patrząc mi w oczy. – Porządna dziewczyna nie powinna włóczyć się po nocy, to niebezpieczne.

Chcę zaprotestować, ale Ty odsuwa na bok miskę z rybimi flakami i wstaje, żeby dać jasno do zrozumienia, że to ona będzie towarzyszyć Terze. Chowa nóż do fartucha, a moje serce wyrywa się z piersi. Ze wszystkich sił staram się opanować. Teraz, kiedy znam już prawdę, nie potrafię patrzeć na Ty i Nezi tak samo jak dotąd. Wyczuwając mój lęk, Ty przewraca oczami i wzdycha. Moje zachowanie i wcześniejsze słowa o *Ka-Kapłanie* czynią mnie w kuchni niemile widzianą.

– Przepraszam – mówię i w pośpiechu wybiegam z kambuzu.

Potykam się, wpadam na cuchnące pleśnią ściany. Nie muszę wychodzić z Terrą. Napiszę list sama i wymknę się na brzeg, kiedy klątwa osłabnie. Nie potrafię zebrać myśli na kołyszącym się statku, po tym, co usłyszałam o Rudjeku. Jego głos raz po raz roztrząskuje się w moim umyśle niczym szkło. „Znajdę cię! Przysięgam”. Ale nawet jeśli Arti kłamie, jak miałby mnie odnaleźć, skoro płyniemy w jakieś nieznanne miejsce, daleko poza granice Królestwa?

Wciśnięte w grodzie pochodnie nie wystarczą, by odsunąć cienie. Po drodze do mojej kajuty wpadam na kogoś z załogi. Mężczyzna przechodzi tak blisko, że jego oddech łaskocze mnie w ucho. Patrzy na mnie pożądliwie, jego chciwe oczy pełzają po moim ciele. Magia demonów mruczy jak żmija ukryta pod skórą, błagając, bym ją uwolniła. Mężczyzna podchodzi bliżej. Ja cofam się o krok. Wiem, do czego magia jest zdolna. Muszę jej tylko chcieć, rozkazywać jej, kierować nią. To właśnie zrozumiałam pod świętym drzewem. Tam pozwoliłam jej sobą rządzić, teraz ja rządę nią... i dobrze mi z tym.

Magia skacze wokół mężczyzny, którego szczęka wiotczeje. Odwraca się ode mnie na sztywnych nogach i przechodzi przez właz prowadzący na inny pokład. Pójdzie prosto do kajuty i zaraz zaśnie. Gdy wreszcie znika, wzdycham ciężko i wycieram z czoła pot.

Kiedy docieram do kajuty, nie tracę czasu. Pokój ma wielkość szafy w moim domu – domu, którego nigdy więcej nie zobaczę. Jest tu piętrowe łóżko z cuchnącym kocem i nierównym materacem, a obok niego biurko. Grzebię w jego szufladzie, szukając papirusu i rysika. Kiedy udaje mi się je znaleźć, wycieram dłonie o spodnie. W moim umyśle czai się wciąż wspomnienie wcześniejszej porażki, ale nie myślę o niej, tylko pozwalam słowom płynąć. Rysik dotyka papieru, a nagła wolność wypełnia mnie nadzieją.

Zastanawiam się, jak babcia zareaguje na mój list, skoro zmuszona jestem krążyć wokół tematu. Dobrze mnie zna. Domyśli się, że coś jest nie tak. Potrafi pokonywać wielkie dystanse w świecie duchów, zdoła więc nas odnaleźć i sprawdzić sama.

– Co ty robisz? – pyta ktoś. Podskakuję ze strachu.

Pozwalam papirusowi zwinąć się w rulon, by ukryć wiadomość. Obracam się i widzę Nezi, plecami opartą o drzwi. Krzyżuje ramiona i chwytą się za łokcie. Nie słyszałam, jak puka ani jak wchodzi do pokoju.

– Nezi? – Odkasuję, a mgła, która spowijała mój umysł, unosi się. Brak mi tchu i złość się, że mi przeszkadza. – Zapisywałam swoje myśli. – Odkładam irytację na bok i uważnie dobieram słowa, żeby nie nabrała podejrzeń co do moich planów. – To trudne czasy.

– Czy nienawidzisz swojej matki tak bardzo, że musiałaś powiedzieć o niej tak okropne rzeczy? – pyta Nezi. W jej pytaniu nie ma złośliwości, tylko ciekawość i zaskoczenie. Kiedy nie odpowiadam, dodaje: – Rozmawiałam z Ty i Terrą.

Kłątwa rozluźniła swój uścisk i po raz pierwszy od spotkania z Koré na targu mam szansę powiedzieć coś szczerze.

– A czy ona tak bardzo nienawidzi wezyra, że jest gotowa robić tak okropne rzeczy? – odpowiadam. – Czy może spełnia tylko wolę kogoś innego?

Nezi nawet nie mruga. Próbuję nie myśleć o Królu Demonów, a tym bardziej nie wypowiadać jego imienia. Nawet teraz jego magia wwierca się we mnie głęboko, wnikając w moje kończyny i moszcząc się jak stara przyjaciółka. Jest tak niebezpieczna, że zniszczyła dwóch mężczyzn za pomocą samej tylko ziemi. Nie mogę się jej poddać i zmienić się w swoją matkę.

– Naprawdę nic nie rozumiesz – mówi Nezi. – Król Demonów nie jest naszym wrogiem.

– Słucham? – syczę, nieprzesadnie zdziwiona, że ona już o wszystkim wie. Oczywiście, że wie. Przyjaźni się z Arti i Ty na tyle blisko, że nie ma w tym nic dziwnego. – Zjada dusze. Omal nie zniszczył całego świata, a ty próbujesz mnie przekonać, że nie jest naszym wrogiem? Jak możesz nie widzieć zniszczenia, które przyniesie uwolnienie jego *ka*? Wszyscy wiemy, co mówią święte teksty!

– Święte teksty to tylko historyjki, Arrah – wzdycha Nezi. – Powinnaś już chyba rozumieć, że nie wszystko jest takie, jakie się wydaje. Orisze też nie są tym, za kogo uchodzą. Miałam kiedyś córkę, która chciała lepszego życia niż to, które mogłam jej zapewnić, zgłosiła się więc na ochotniczkę, by wziąć udział w Rytuale Przejścia. Jak wiele innych, dzięki twoim oriszom, nigdy nie wróciła do domu. A Ty... – Nezi przerywa w pół zdania, a jej oczy są pełne bólu.

Demoniczna magia łaskocze mnie w szyję. Zaciskam dłonie w pięści. „Idź stąd”.

– Chcemy, żeby orisze zapłacili za swoje zbrodnie – mówi Nezi rzeczowym tonem. – I za zbrodnie, które pod ich nosem wyrządzono bezbronnym.

„Chcemy”. A ja myślałam, że namówię Nezi i Ty, by mi pomogły.

– Nie twierdzą, że orisze są dobrzy i łaskawi. – Zaciskam zęby w złości. – Ale to, co zrobiła moja matka, żeby pomóc Królowi Demonów, jest niewłaściwe. Nie przekonasz mnie, że jest inaczej.

– Zmienisz zdanie. – Nezi odwraca się w stronę drzwi. – To tylko kwestia czasu.

To rzekłszy, wychodzi z pokoju równie bezszelestnie, jak przysłała. Podbiegam do drzwi, ale tym razem zamykam je trzęsącymi się rękami. Chyba nie sądzi, że poprę to, co robi matka, że stanę z boku i pozwolę jej działać. Na dwudziestu bogów. Czy wszyscy pasażerowie tego statku oszaleli?

Pędzę z powrotem do biurka, żeby skończyć list, póki klątwa wciąż jest słaba. Kiedy rozwijam papirus, kręci mi się w głowie, a serce mocno wali w piersi. To nie może być prawda. Patrzę ponuro na to, co zrobiłam. Na papierze narysowane są okręgi, mnóstwo okręgów. Pierścienie, które łączą, pierścienie, które wiążą. Skóra boli mnie w miejscu tatuażu węża, kiedy magia demonów mocniej zaciska się wokół mojego serca.

DWADZIEŚCIA TRZY

Po trzech dniach dryfowania po rzece opuszczamy statek i udajemy się do Kefu, na terytorium wolnego handlu, które graniczy z północnym skrajem Estherii. Magia muska moje ramiona jak aksamitne skrzydła ćmy, ale jej nie widzę, chociaż wydaje się gęsta jak na plemiennych ziemiach, gdzie nawet jeśli w ciągu dnia trudniej ją dostrzec, zazwyczaj wygląda jak puszek unoszący się na wietrze. Tu jest niemal niewidzialna. Oko Re'Meca skrywa się za chmurą, która pogrąża port w ruchomym cieniu. Jest południe, ale wisi jakby zbyt nisko.

Arti zatrudnia tragarzy, by nieśli lektykę dość dużą dla mnie i Oshhego, ale ja nie chcę z nimi jechać. Ojciec protestuje, aż Arti mówi mu, żeby dał mi spokój. Idę pieszo razem ze służbą, prowadząc niosące nasze rzeczy osły.

Wszystko w Kefu pokryte jest pyłem, od ludzi po niskie budynki. Kiedy kroczymy w kierunku miasta, patrzą na nas puste oczy osadzone w wychudłych twarzach. Mieszkańcom Kefu brakuje tej iskry, która charakteryzuje ludzi w Tamarze, zwłaszcza na Wschodnim Targu. Kupcy sprzedają towary bez zapału, a klienci sprawiają wrażenie uciemnionych. Nikt nie zachwala swojego stoiska. Nikt nie uprawia hazardu w alejkach. Nie słychać fletów ani bębnów *djembe*. A przede wszystkim nie słychać pieśni ani śmiechu. Z tym miejscem jest coś nie tak.

Odganiam muchy, a po czole spływa mi pot. Wlokę się daleko za karawaną, aż znika w chmurze pyłu na skraju miasta. Mam dość bycia w cieniu matki, dobrze jest mieć dla siebie trochę przestrzeni po podróży na ciasnym statku. Ciągnę za sobą osła, powłóczę nogami tak samo jak on.

– Masz trochę chleba? – pyta dziewczynka, która spieszy się, by dotrzeć nam kroku.

Mruga do mnie swoimi smutnymi, fiołkowymi oczami, a jej skóra jest tak ziemista, że trudno sobie wyobrazić, by kiedykolwiek musnęło ją słońce. Ale też nie ma widocznych żył jak mieszkańcy Północy, niezależnie od ich karnacji.

– Pomożesz mi, proszę?

Magia Kefu wiruje wokół dziewczyny, tworząc pęcherz powietrza, który nas rozdziela. Jej własna magia sprawia wrażenie, jakby znalazła się na skraju sztormu. Ta mała dziewczynka nie jest tym, kim się wydaje.

– To znowu ty?

– Nie cieszysz się? – Koré szczebiocze swoim wysokim głosem, który dziwnie brzmi w ustach dziecka. W jej obecności znów słabnie władanie klątwy nad moim językiem.

– Jeśli nie znasz sposobu, by zabić moją matkę – odpowiadam – to się nie cieszę.

– Zawsze jesteś taka zgryźliwa? – Mała dziewczynka Koré wydyma wargi.

Obwąchuje siodło osła, aż udaje jej się znaleźć soloną rybę i chleb z poprzedniego dnia. Naprawdę zachowuje się jak dziecko. Gdyby nie dotknęła mnie jej magia, niczego bym się nie domyśliła. Bez pytania otwiera sakwę.

– Jak smakuje jedzenie w dzisiejszych czasach?

Widok Koré udającej przedwcześnie dojrzałe dziecko przypomina mi Kofiego. Wypełnia mnie wstyd. Nie potrafiłam go ochronić, a teraz nie mogę przestać się zastanawiać, czy jeszcze by żył, gdyby mnie nie poznał. Serce mi się ściska. Mała dziewczynka Koré uśmiecha się na widok zawartości sakwy.

– Choć bardzo chciałabym spróbować tych przysmaków, przysłam tu w konkretnym celu, niejednym zresztą. Musisz o czymś wiedzieć.

Brzuch zaczyna mnie boleć ze strachu. Nie będą to dobre wiadomości.

– Z pewnością zauważyłaś, że Kefu nie jest takie, jakie się wydaje. – Poprawia sobie na ramieniu pas starej, skórzanej torby. – Miasto jest jak przestrzeń zawieszona w czasie, którą ludzie z plemion nazywają pustką. My... moi bracia i ja... w jednej chwili pokonujemy w niej dalekie dystanse. Ale to miejsce to szczególny rodzaj pustki. Tu demony sprzymierzyły się po wojnie.

– Sprzymierzyły się? – Obejmuję się ramionami. – Chcesz powiedzieć, że one nie umarły? Żaden z nich? Ale... – Biorę gwałtowny oddech, przypominając sobie otwarte usta Shezmu, jego przerażający krzyk i słowa Nezi o świętych tekstach w świątyni. „To tylko historyjki”. – Wy... – ledwie jestem w stanie wydobyć z siebie głos – ... okłamaliście wszystkich.

– Tak, nieco naciągnęliśmy fakty. – Koré wzrusza ramionami. – Kiedy zniszczyliśmy rasę demonów, znalazły sposób, żeby powstrzymać swoje dusze przed wstąpieniem. Po śmierci wszyscy musimy powrócić do Największego Katakliizmu. To on stworzył orisze, a my stworzyliśmy wszystko inne. Ale demony znalazły sposób, by wszystkich oszukać.

Patrzę na nią z przerażeniem, kiedy przypominam sobie udzielane mi przez skrybów lekcje na temat oriszy... na jej temat.

– Gdzie jeszcze naciągnęliście fakty?

Koré wpatruje się we mnie zmrużonymi oczyma.

– Chodzi o to, że nie mogliśmy zmusić demonów, by odeszły, więc musieliśmy uwięzić ich dusze, żeby nie pozwolić im przyjąć nowych ciał. To miejsce jest więzieniem i, jak to w pustce, czas jest tu kapryśny. Mija, jak chce, i nie można mu

ufać. Czasem godziny ciągną się w nieskończoność, a czasem w jednej chwili mijają lata. – Zerka na grupkę klientów, którzy zatrzymali się, żeby się nam przyjrzeć. Szepczą coś do siebie. – Ludzie, którzy żyją w fizycznej przestrzeni Kefu, nie mają pojęcia, że demony utrzymują się przy życiu, kradnąc im kawałki dusz. Była to dość niewinna wymiana... póki nie pojawiła się twoja matka.

– Niewinna? – syczę. – Nie widzisz, że ci ludzie są nieszczęśliwi?

– To nie moja sprawa! – Koré obnaża zęby. – Inny orisza sprawuje pieczę nad tym miejscem.

– Sprawuje pieczę, nic nie robiąc – mówię.

– Coś o tym wiesz – odgryza się.

Powstrzymuję się przed złościwością.

– Robię, co mogę.

– A teraz drugi powód, dla którego tu jestem. – Koré grzebie w torbie.

Wyjmuje drewniane pudełko i wkłada je sobie pod pachę. W niczym nie przypomina ono tego z ukrytym *ka* Króla Demonów, którego – co zauważam dopiero teraz – przy sobie nie ma. Przeszuję z nogi na nogę. Demoniczna magia porusza się w mojej piersi, przypominając mi, że choć drzemie, nie zasnęła głęboko.

– Czy jego dusza... – Moje gardło jest wysuszone.

– Na razie jest dobrze ukryta przed twoją matką. – Koré marszczy brwi. – Sama ją schowałam. – Otwiera pudełko, ukazując kości i zwoje. – Nie mogę nic zrobić z *Ka-Kapłanką*, ale znowu przyniosłam prezenty. Chcesz się pozbyć tej paskudnej klątwy?

Zrobiłabym wszystko, byle zdjąć klątwę ze mnie i z ojca.

– Tak.

– Cena będzie wysoka – ostrzega Koré. – Magia demonów niechętnie cię opuści.

Znam ryzyko – pierwszy rytuał przykuł mnie do łóżka i odebrał lata.

Znam cenę do zapłacenia.

Moje lata w zamian za wolność.

Bez wahania biorę pudełko. Kiedy dotykam zaskakująco ludzkich dłoni Koré, moje palce drżą. Odwraca się, ale wcześniej dostrzegam w jej oczach głęboki smutek.

– Czy możesz coś dla mnie zrobić? – Przełykam ślinę. Nie boję się kolejnego rytuału, ale boję się kolejnej porażki. – Czy możesz poinformować moją babcię, przywódczynię plemienia Aatiri, co się wydarzyło? Powiedz jej, że potrzebuję pomocy.

– Ona już wszystko wie, Arrah – mówi Koré, znów napotykając mój wzrok. – Wezwała mnie po tym, jak pierwszy raz zobaczyła zielonooką żmiję podczas święta Krwawego Księżyca.

Kiedy babcia wspomniała przyjaciółkę z dawnych czasów, nie pomyślałabym, że może chodzić o oriszę. Orisze nie są bogami plemiennych ziem, ale tak czy inaczej

bogami pozostają. Po raz kolejny zaczyna mi się kręcić w głowie.

– *Edam* ci pomogą, ale ich czas dopiero nadejdzie – dodaje Koré zagadkowo. – Musisz zrobić wszystko, co w twojej mocy, żeby powstrzymać swoją matkę, póki nie będą gotowi.

– Nie rozumiem – szepczę, ale Koré zniknęła już w tłumie.

Babcia potrafi wejrzeć w czas i przestrzeń, ale czy to znaczy, że wie, w którym momencie zaatakować? Myślę o wszystkich tych sytuacjach, kiedy czytała z kości i ukrywała przede mną ich znaczenie. Zawsze odpowiadała na moje pytania słowami: „Nie nadszedł jeszcze właściwy czas na odpowiedź”.

Czy babcia wiedziała, co się wydarzy, ale mimo to pozwoliła mi błędzić? Nawet jeśli tak było, a nie mogła powstrzymać Arti, po co miałyby mi o tym mówić? Część mojej frustracji wyparowuje. Nie rozumiem przyczyn, ale ufam babci i czuję ulgę, wiedząc, że ona i *edam* mają plan.

Kiedy na przedmieściach dołączam do ogona karawany, nie wygląda na to, by ktoś zauważył moją nieobecność. W męczącym upale i dusznym powietrzu moje ciało pokrywa się potem. Nasza karawana wzbija w powietrze tyle pyłu, że nawet mój szal mnie przed nim nie chroni. Przez wiele godzin naszej wędrówki słychać tylko żalony ryk osłów.

Daleko na zachodzie karmazynowe góry opierają się o horyzont. Gęsta mgła zbiera się ponad Kefu za naszymi plecami. Tworzy niemal idealną kulę, która ukrywa miasto. W niczym nie przypomina zielonej mgły, która opada na Tamar po deszczu. Owija się wokół Kefu jak wąż wokół ofiary. Coś mi mówi, że zawsze tak jest, w dzień i w nocy, niezależnie od pogody. Czy to manifestacja sprzymierzonych demonów? Niewiele o nich wiemy – zgodnie z tym, czego chcieli orisze – i teraz rozumiem już, dlaczego. Orisze nie zniszczyli rasy demonów, uwięzili jedynie ich *ka*. A niektórzy z nich, jak Shezmu, pozostają wolni w świecie duchów i wciąż stanowią zagrożenie.

Tragarze zatrzymują się, by chwilę odpocząć, a Oshhe wysiada, żeby rozprostować nogi. Arti wygląda przez bok lektyki i szepcze mu coś do ucha. Jej wargi muskają jego ucho, a ja krzywię się w duchu. Kiedyś robiło mi się ciepło na sercu, kiedy widziałam rzadkie chwile czułości między nimi. Kiedyś marzyłam, by matka poświęciła mi chwilę uwagi, i zrobiłabym wszystko, żeby wkraść się w jej łaski. Teraz samo spojrzenie na nią sprawia, że robi mi się niedobrze. Ktoś powinien wyciągnąć ją z lektyki i zatopić w błocie. Kiedy tylko dotrzemy do naszego nowego domu, znajdę sposób, by odprawić rytuał i zerwać ten nieszczęsny węzeł między nami.

Chcę wierzyć, że duma ojca pozwoli mu choć trochę sprzeciwić się Arti. Czasem jego oczy drgają. Jego ręce też. Czasem stoi tak nieruchomo, że dotykam jego ramienia, by upewnić się, że wszystko z nim w porządku. Czasem chodzi wte i wewte.

Kiedy Arti znów chowa się w lektyce, ojciec mówi tragarzom, że jesteśmy gotowi na dalszą drogę. Podchodzi do Nezi i bierze od niej torbę. Potem, zamiast wsiąść do lektyki, dołącza do niej. Nezi trąca go łokciem wesoło. Pozornie wszystko wydaje się całkiem normalne.

Nie słysząc dzwonów, które sygnalizowałyby mijanie czasu, a oko Re'Meca nie rusza się ze swojego miejsca na niebie. Szliśmy przez co najmniej trzy czy cztery godziny, a tempo karawany zwalniało z każdym krokiem. Za Kefu rozciąga się niekończąca się pustynia. Wszędzie widać tylko piasek, a upał sprawia, że nie sposób odgadnąć, jak blisko zachodnich gór się znajdujemy.

Krocząca obok swojego osła Terra zwalnia, aż udaje mi się ją dogonić. Jesteśmy na tyle daleko za resztą, że możemy spokojnie porozmawiać.

– To miejsce wydaje mi się przeklęte. – Dotyka dłonią wisiora z Kivą na swojej szyi.

Ma rację. Magia na plemiennych ziemiach muska niczym piórko, tutaj jest ciężka. Osadza się w kościach. Zatrzymuję się, gdy do głowy przychodzi mi pewna myśl. Czy Arti znalazła sposób, by wykorzystać magię orisy, która wiąże demony?

Terra osłania oczy, spoglądając w niebo.

– Moja rodzina przemierzała pustynie i dzikie lądy, przepływała morza. Nigdy nie widziałam, by słońce się nie ruszało.

– To nie jest słońce. – Wreszcie rozumiem ostrzeżenie Koré. – Czas nie mija tu tak, jak powinien.

Kiedy znów się odwracamy, jakby na potwierdzenie moich słów, niebo z niebieskiego zmienia się najpierw w fioletowe, a po chwili w czarne. A wszystko to w kilka sekund. Czas w Kefu porusza się w swoim własnym tempie. Po długich godzinach podróży miasto wydaje się bardzo bliskie. Odnoszę wrażenie, że to mój umysł daje się oszukać, ale w powietrzu wciąż unosi się zapach wody i ryb.

– Proszę, powiedz mi, że ty też to widzisz. – Terra stoi nieruchomo i sztywno. – Powiedz mi, że nie oszalałam.

Z przodu, tam gdzie zmierza karawana, słońce wciąż jest wysoko na niebie, a nikt poza nami nie dostrzegł zmiany.

Kładę jej dłoń na ramieniu. Nie mam nic uspokajającego do powiedzenia.

– Widzę – odpowiadam.

– Niech bogowie nam pomogą – błaga zrozpaczona Terra.

Kiedy byłam małą, przed snem modliliśmy się z ojcem. „Heko, chroń mnie. Ukryj mnie. Opiekuj się mną”. Mawiał, że Heka sprzyja tym, którzy się do niego modlą. Teraz, kiedy widziałam już Hekę, słyszałam w moim umyśle jego słowa, patrzyłam, jak odwraca się do plemion plecami, wiem już, że to nieprawda. Przychodzą mi do głowy tylko wyuczone modlitwy bez znaczenia.

Koré nie dała do zrozumienia, by pozostali orisze robili cokolwiek, żeby pomóc. Orisza słońca Re'Mec ze swoimi piórami strusia, rogami barana, ognistymi oczyma. Essi, bóg nieba. Nana, twórca świata. Mouran, ryk morza. Sisi, oddech ognia. Yookulu, cień wdzięczności. Ugeniou, żniwiarz. Fayouma, matka. Fram, przeciwwaga.

Wyobrażam ich sobie wyglądających jak ich pomniki, ale nie, to musi być tylko jedna z ich wielu manifestacji. Koré objawiła mi się w dwóch postaciach, z których żadna nie wyglądała jak jej statua. Mam nadzieję, że robią coś, by pomóc *edam*, bo z każdą mijającą chwilą wątpię w siebie coraz bardziej.

Kiedy docieramy do otoczonej piaskiem willi, która ma stać się naszym nowym domem, moje stopy pokryte są pęcherzami. Twarz Terry jest szkarłatna od słońca. Pozostali nie czują się lepiej. Tu też jest magia, a kiedy tylko mijamy granitowy mur, czas się przestawia i jest wczesny wieczór. Terra wydaje zduszony okrzyk, a Nezi szepcze coś do Ty. Zaciskam wargi. Nie zareaguję. Nie dam matce tej satysfakcji.

Za murami, pośrodku stawu, pomiędzy kwiatami lili i lotosu, pływają kaczki. Palmy i drzewa *nehet* lśnią w świetle księżyca, zdrowsze niż jakiegokolwiek drzewa na pustyni. Ogród wypełniają połacie lili, stokrotek i róż. Ciszę przełamuje śpiew ptaków.

Kiedy Arti wysiada z lektyki, nieruchomiejemy, nie wierząc własnym oczom. Terra ściska sznur swojego osła tak mocno, że bieleją jej kłykcie. Nezi i Ty odwracają wzrok. Ja chwytam się za brzuch, a z moich ust dobywa się skomlenie. Jeśli dotąd tego nie rozumiały, teraz musiały zrozumieć. Nie ma odwrotu. Nie ma powrotu do normalności, a właściwie tego, co nam wydawało się normalne. Mój ojciec nie reaguje na zmianę, która zaszła w Arti, a tragarze wydają się niczego nie zauważać – albo może ich to nie obchodzi.


Polecenie, które przekazała mi Koré, brzmi jak szyderstwo. „Musisz zrobić wszystko, co w twojej mocy, żeby powstrzymać swoją matkę”. Jej słowa rozbrzmiewają w mojej głowie jak przerywana melodia, w gardle zbiera mi się żółć. W innych okolicznościach ironia tej sytuacji by mnie rozbawiła, ale teraz, patrząc na brzuch mojej matki, trudno mi nawet odetchnąć. Jest trzy razy większy niż wtedy, gdy opuszczaliśmy Tamar. Rośnie tak szybko.

Dziecko niedługo się urodzi.



CZĘŚĆ III

Ma smak ognistej burzy i popiołu,
Zarania świtu i zmierzchu pospołu.
Ona jest bestią, co walczy w ciemności,
i zbawicielką strzegącą jasności.
Śpi w kłębowisku żmij, wśród ognia.
W burzy zapłonie jak pochodnia.
– Pieśń Nienazwanej



DWADZIEŚCIA CZTERY

Osły tupią kopytami i odsuwają się od mojej matki. Omiata nas wzrokiem, a z jej czoła spływa pot. Robi krok naprzód i nagle się chwieje. Serce szarpie mi się w piersi, gdy klątwa znowu rozluźnia swój uścisk. Mój ojciec, Ty i Nezi spieszą pomóc Arti.

Terra patrzy na mnie szeroko otwartymi oczyma, ściskając uzdę w dłoni. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale ja kręcę głową. Teraz już rozumiem, że nie miała pojęcia, co dzieje się w naszym domu, tak samo jak ja.

– Muszę odpocząć – jęczy Arti, wciąż zgięta w pół. – Dziecko się porusza.

Oshhe i Ty idą z nią przez dziedziniec i ogród w stronę zwieńczonego łukiem wejścia do dwupiętrowej willi. Nezi zostaje z tyłu, żeby nadzorować tragarzy rozładujących osły. Chowam pudełko ze zwojami do worka i wieszam go sobie na ramieniu. Nikt nie może ich zobaczyć.

Tragarze przez kilka godzin wnoszą nasze rzeczy do willi. Wcześniej dzień trwał zdecydowanie za długo, teraz noc nie chce się skończyć. Niebo pokrywa nieprzerwana ciemność, a wszystkie światła w willi budzą się same z siebie. To prosta magia, ale tutaj i jej nie ufam. Zostaję z Terrą w kuchni, żeby chociaż tej nocy żadna z nas nie była sama.

– Jak...? – Pozwala, by jej pytanie zawisło w powietrzu między nami.

Uwięź klątwy jest poluzowana na tyle, że mogłabym zdradzić prawdę o Arti, ale nie chcę głębiej wciągać Terry w problemy naszej rodziny. Wciąż pozostaje możliwość, że i ona znajduje się pod wpływem mojej matki, nawet jeśli o tym nie wie.

Dwaj tragarze przechodzą przez kuchnię, niosąc dużą skrzynię.

– Ty cię lubi. – Zagryzam policzek. – Powiedz jej, żeby przekonała moją matkę, by zwolniła cię ze służby. Powiedz, że tęsknisz za rodziną. Powiedz, co tylko będzie trzeba.

Terra trzyma się za brzuch.

– O tym samym myślałam odkąd zostaliśmy wygnani...

Przerywam jej.

– Jeśli Arti cię nie zwolni, pracuj po cichu, bądź niewidzialna. Kiedy tylko będziesz miała taką okazję, uciekaj i nie oglądaj się za siebie.

Łzy płyną jej po policzkach, pokrytych pyłem po wędrówce przez pustynię, a mnie serce się ściska.

– Boję się, Arrah.

Chwytam ją za ramię, przypominając sobie wszystkie te poranki, kiedy krzątała się po moim pokoju. Jak siadała na moim łóżku, żeby podzielić się najnowszymi plotkami albo wieściami od rodziny. Nie zasłużyła, by utknąć w tym okropnym miejscu.

– Ja też się boję – przyznaję, kiedy do kuchni wchodzi Ty.

Obie z Terrą aż podskakujemy, a Ty unosi brwi, by zapytać, co się stało. Odpowiedź powinna być oczywista.

– Idę odpocząć. – Mam nadzieję, że Terra zrozumie moje spojrzenie. „Bądź niewidzialna”. – Też powinnaś odpocząć. Mamy mnóstwo czasu, żeby się rozpakować.

A może nie mamy go wcale. W tym miejscu czas jest tak kapryśny, że to wydaje się nie mieć znaczenia.

Mój pokój – niestety – znajduje się na końcu korytarza na drugim piętrze, obok sypialni rodziców. Nogi mi się trzęsą, kiedy wdrapuję się po schodach, a stopy pieką od całodziennego wędrówki. Kiedy wkraczam do pokoju, stojące na stole lampki oliwne budzą się do życia. Czuję na sobie chciwe spojrzenie demona, jak na chwilę przed tym, nim Shezmu wszedł w mojego ojca. Teraz jest jeszcze bardziej intensywnie. Trudno oddychać, wiedząc, że demony są tuż obok, choć poza granicą mojego postrzegania. Próbuję zignorować rosnącą we mnie panikę, ale to niemożliwe.

W naszej starej willi wokół mojego łóżka wisiała ciężka zasłona – jeden z wielu elementów w stylu plemienia Mulani – ale tu nic nie ma. Nie ma tancerzy skaczących do rytmu nieznanymi pieśni na ścianach w korytarzu. Nie ma salonu z niskim stołem i kolorowymi poduchami do siedzenia. Nie ma dziedzińca pełnego ziół, które mój ojciec zanosił do sklepu. Nie będzie tajemnych spotkań z Rudjkiem nad Rzeką Węża. Nie będzie odwiedzin u Essnai w sklepie z sukniami jej matki ani u żartującego sobie ze mnie Sukara. Nie będzie dowcipnych kłótni między Majką a Kirą. Ta willa jest duża i zimna, pełna sztywnych krzeseł, kamiennych kolumn i sklepień. W niczym nie przypomina domu.

Myję się, po czym wślizguję do łóżka z pudełkiem pełnym zwojów i kości. Niechętnie otwieram je właśnie tutaj, ale nie mam wyboru – nie sądzę, bym znalazła tu bardziej odosobnione miejsce. Ręce mi się trzęsą, kiedy wydaję dwa zwoje i rozkładam kości na łóżku. Rytuały zapisane są w języku Aatiri. Chwilę trwa, nim na nowo wtopię się w rytm języka. Na pierwszym zwoju znajdują się instrukcje przecinania wiązań i zdejmowania kłąt. Drugi wzywa do pomocy przodków.

Kiedy po raz drugi, uważnie odczytuję pierwszy zwój, magia demonów spływa na mnie jak wiosenny chłód. Nie mogę się jej poddać jak na statku. Nie pozwolę, by odwiodła mnie od zadania, które mam przed sobą. Tak łatwo byłoby ją przyjąć, pozwolić, by stopiła się z moją duszą. Tego właśnie chce. Nie satysfakcjonuje jej

klątwa Arti. Chce mnie w całości. Zamykam oczy, spadając nieco głębiej. Trudno oprzeć się pokusie. Magia jest jak część mnie, której braku do dzisiaj nie odczuwałam. Chciałabym zawierzyć obietnicy, że zawsze będzie mnie chronić. Ale nie, nie wolno mi wpaść w tę pułapkę.

Magia jest tu potężniejsza niż w Kefu. Podwaja wysiłki, ciągnie mnie mocniej. Kiedy walczę, by się nie poddać, echo bicia mojego serca dudni mi w uszach. Próbuje powstrzymać mnie przed... zrobieniem czegoś. Sposób, w jaki ociera się o moje usta, przypomina mi o niedoszłym pocałunku z Rudjkiem w ogrodzie.

Na dwudziestu bogów. Tak bardzo chciałabym, żeby tu był. Przynajmniej powiedziałby coś głupkowatego, żebym przestała się martwić. Zażartowałby sobie albo przypomniał o swoich wyczynach na arenie. Tęsknię za nim tak bardzo, że to aż boli. Tęsknię za jego ciemnymi oczami i iskrą, która pojawia się w nich, kiedy na mnie patrzy. Za kępkami cienkich włosów na jego skórze i za słodką wonią dymu i fiołków. Nabieram powietrza i niemalże czuję jego zapach, jak tamtej nocy, kiedy prawie się pocałowaliśmy.

Niepostrzeżenie magia milknie, a ja budzę się ze wspomnień. Mgła się rozwiewa. A więc to takie proste? Jeśli tylko dość mocno się na czymś skupię, przejmę kontrolę nad demoniczną magią? Wciąż myśląc o Rudjeku, wracam do lektury zwoju, zdeterminowana, by nauczyć się na pamięć rytuału, który zdejmie ze mnie klątwę.

Powinnam do niego napisać, ale nie jestem w stanie się do tego zmusić po tym, co powiedziała Arti o jego przyszłej śmierci w Ciemnym Lesie. Co będzie, jeśli demoniczna magia napisze inne słowa niż te, które ja sobie zaplanuję? Mogłaby nakłonić Rudjeka, żeby się tam udał. Nie mogę ryzykować.

Do późnej nocy studiuje tekst umieszczony na zwoju. Choć napisany jest w języku Aatiri, elementy rytuału przywodzą na myśl inne plemiona. Jeśli brać poprzedni rytuał za wskazówkę, potrzeba mi będzie kilku dni odpoczynku, ale to warte swojej ceny. Zakęcie obiecuje uwolnić moje ciało od demonicznej magii i zniweczyć każdą próbę ponownego ataku.

Jutro znów poświęcę swoje lata i uwolnię się od matczynej klątwy.

Jutro będę bliżej śmierci.

Rytuał wymaga użycia włosów Arti i miłowanego przez nią przedmiotu. Następnego ranka, kiedy ona bierze kąpiel, a ojciec jest na dole, wkradam się do jej pokoju. Spodziewam się, że będę musiała szukać włosów na podłodze, a tymczasem dostrzegam jej szczotkę. Albo stała się nieuważna, albo zbyt pewna siebie. Szamani palą swoje włosy, tak by nikt nie mógł ich użyć, żeby skierować przeciwko nim czary. Na dnie kufra pełnego świecidełek znajduję pierścień, który kiedyś był jej symbolem

jako *Ka*-Kapłanki Królestwa. Owinęła go w najcenniejszy, szkarłatny jedwab, więc musi wciąż coś dla niej znaczyć.

Odkąd znaleźliśmy się w Kefu, klątwa coraz mniej mnie ogranicza. Im bardziej zaawansowana jest ciąża *Arti*, tym więcej mam wolności, ale jestem przekonana, że to długo nie potrwa. Pakuję jej przedmioty do jutowego worka razem z innymi rzeczami potrzebnymi do odprawienia pierwszego rytuału. Konieczne do odprawienia drugiego kości przodków zakopuję w ogrodzie. Zanim uda mi się wymknąć na pustynię, *Terra* przyłapuje mnie nieopodal pustej stróżówki.

– Uciekasz? – *Terra* spogląda na mój worek szeroko otwartymi z zaskoczenia oczami. Jasne, myślałam o tym, ale *Koré* powierzyła mi proste zadanie: mam przeszkadzać matce, póki *edam* nie zaczną działać. Przynajmniej tyle mogę zrobić, skoro nie umiem jej powstrzymać.

– Nie. – Zerkam na wille przez ramię. – Mam... coś do zrobienia. Niedługo wrócę. *Terra* ugniata palcami swoje uda.

– Co mam powiedzieć, jeśli ktoś o ciebie spyta?

– Prawdę. – Mocno przyciskam do siebie torbę. – Widziałaś, jak wychodzę. I tyle.

– Uważaj na siebie. – Dotyka dłonią swojego wisiora z *Kivą*. – I wróć, proszę.

– Wrócę. – Uśmiecham się.

Ledwie willa znajdzie się poza zasięgiem mojego wzroku, na niebie pojawia się jastrząb. Jego duże, czarne skrzydła rzucają cień na piasek. Zamieram. Kiedy jego uwagę przyciąga coś na południu, oddecham z ulgą.

Idę tak długo, aż ciężar worka staje się zbyt wielki, więc sadowię się pośrodku pustyni. Oko *Re'Meca* jest tak jasne, że niemal całkiem mnie oślepia. Układam okrąg ze zwierzęcych kości i siadam w jego środku ze skrzyżowanymi nogami. Wyciągam słomianą lalkę, którą zrobiłam wczoraj po odczytaniu zwoju. Jest powykrzywiana i pęknięta w środku, tak jak ja. Biorę kurze pióro i własną krew zapisuję na lalce imiona moje i mojej matki. Niekończąca się noc była doskonałą okazją, by zebrać wszystkie potrzebne do rytuału przedmioty.

Kiedy krew wysycha, owijam lalkę płótnem i odkładam na bok. Pewnymi ruchami ucieram zioła w moździerz, przypominając sobie leniwe dni spędzane w sklepie ojca. Jego opowieści, mleczne cukierki, których jedliśmy tak dużo, że bolały nas brzuchy.

Z daleka dobiegają mnie krzyki jastrzębia, droga słońca po niebie zostawia za sobą szlak gorących oparów. Wycieram czoło, ranka na dłoni kłuje, kiedy dostaje się do niej pot. Na szczęście ten eliksir krwi nie musi czekać. Wypijam porcję, pali mnie w gardło. Smakuje imbirem, miętą, kastoreum i siarką. Wrze w moim brzuchu.

Zanurzam palce w tym, co zostało i rozcieram płyn na leżących przede mną kościach. Kolejny łyk i kolejne krople na kościach po lewej stronie. Słońce parzy mnie

w plecy, aż na skórze pojawiają się pęcherze. Krew pulsuje mi w żyłach. Powtarzam sekwencję jeszcze dwukrotnie: raz dotykam kości za sobą, raz tych po prawej. Mgła zasnuwa mi oczy.

Puls dudni mi w uszach, a krzyki jastrzębia słyszeć coraz bliżej. Kładę lalkę w pustej misce, a resztki lekarstwa oblepiają jej jasnobrazową halkę. Biorę drżący oddech i oblewam ją olejem palmowym. Zapala się, a jasnozielony płomień wzbija się wysoko do góry, kiedy dorzucam pierścień i włosy mojej matki.

– Szarlatanko – szydzi burkliwy głos – nie mieszaj się w rzeczy, których nie rozumiesz.

Zaskoczona, rozglądam się dokoła, ale nikogo tu nie ma. Początkowo podejrzewam, że głos dobiega z mojego wnętrza, ale jednak unosi się on na pustynnym wietrze. Musi to być jeden z uwięzionych w Kefu demonów, wciąż dość silnych, by się porozumiewać. To w ten sposób Król Demonów zdołał dotrzeć do mojej matki.

Ignoruję głos i skupiam się na misce, pozwalając, by kołysały mnie płomienie. W uszach rozbrzmiewa mi brzęczenie, jakby otoczyły mnie pszczoły.

Moje ciało oblewa pot, a w gardle wibruje coraz głośniejszy szmer.

– Co za paskudna klątwa – mówi drugi głos. Ten brzmi piskliwie i staro.

– Cuchnie jak śmierć.

– Idźcie stąd, demony – warczę.

Stary głos szydzi:

– Rozetniemy ją i sprawdzimy, czy w środku też ma słomę.

Chcę, żebym poniosła porażkę. Czuję ich złe intencje. Gdyby mogły mnie powstrzymać, już by to zrobiły. Nie będę tracić na nie czasu.

– Oddaję życie, by zdjąć klątwę i uwolnić swoje *ka* – recytuję.

– Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? – pyta stary głos. – To kiepski interes.

– Mam dla ciebie lepszą propozycję. – Burkliwy głos brzmi teraz groźnie. – Lepszą niż poświęcanie swoich lat.

Nie powinnam zwracać na nie uwagi, ale jeśli naprawdę istnieje lepszy sposób...

– Słucham.

– To bardzo stare miejsce – odpowiada głos. – Potrzebuje świeżej krwi.

– Ludzie nie chcą się już poświęcać tak jak kiedyś – dodaje ten drugi. – Ale twoją śliczną twarzą mogłabyś ich przekonać.

Spluwam z obrzydzeniem.

– Mam namawiać ludzi, żeby wymieniali swoje lata na błyskotki?

Nigdy nie mogłabym wziąć udziału w czymś tak niegodnym. Wyrzuciłam już dość zła.

– Oddaję życie, by zdjąć klątwę i...

– Zastanów się, dziewczyno – warczy burkliwy głos. – Nie bądź głupia.

– Głupio to my robimy, próbując negocjować z Aatiri – syczy stary. – Oni się lubią poświęcać.

– ...uwolnić moje *ka* – ostatnie słowo dobywa się z moich ust.

Niebo krwawi fioletowym atramentem, a chmury rozstępują się, ukazując ciągnący się w moim kierunku czarny tunel. Serce wali mi w piersi. Boli.

– Zrobiłaś to, szarlatanko – drwi stary głos. – Jest już za późno, by zmienić zdanie.

Stoję nieruchomo, unosząc głowę ku niebu. Krzyk więźnie mi w gardle. Czuję się tak, jakby ktoś po kolei wyrывał mi wszystkie zęby. Chcę wszystko odwołać, ale język mnie nie słucha. Tunel pochłonie moje ciało i duszę. Nic ze mnie nie zostanie.

– Nie załamuj się, Mała Kapłanko. – Koré pojawia się przede mną pod postacią lśniącej mgły z łukiem i strzałą.

Łzy napływają mi do oczu: tak nazywa mnie ojciec. Brakowało mi tych słów. Brakuje mi jego uśmiechu i żartów, wspólnego picia herbaty. Brakuje mi cichych chwil spędzonych w jego sklepie na sortowaniu i suszeniu ziół. Gdybym nie była tak zajęta pożądaniem magii, bardziej doceniłabym te czasy. Oddałabym dziś całą magię świata, byle wróciły.

Ptaka spada gwałtownie czarnym tunelem; jego ostre szpony wycelowane są prosto we mnie.

Koré wypuszcza strzałę, która trafia w jastrzębia.

– Czeka mnie dzisiaj pyszny gulasz.

– Orisza nie ma tu wstępu! – woła z oburzeniem starczy głos.

– Sprowadzi cię na manowce – ostrzega ten burkliwy.

– Czemu musicie być zawsze tak małoduszne, demony? – Koré spluwa na ziemię. – Nie widzicie, że dziewczyna jest zajęta? Nie przeszkadzajcie jej.

Czarny tunel się zbliża, jest głęboki, zimny, nieskończony. Jego otwór jest jak jama pełna smoły. Kiedy wreszcie dotyka mojego czoła, wpycha we mnie ogień i lód. Słyszę ostatnie słowo Koré: „oddychaj”, po czym pozwalam mu się pożreć. Oddycham, ale moja klatka piersiowa się nie unosi ani nie opada. Jestem jednocześnie pełna i pusta. Moje *ka* ciąży jak dziesięć kamieni i błyszczy białym srebrem, które mogłoby rywalizować z blaskiem Heki. Podczas gdy jego światło jest czyste jak drogie kryształy, moje jest iskrzące i mętne.

Moje oczy wydają się ciężkie. Mój język. Szyja i plecy. Bestia wysysa ze mnie życie, jak dziecko ssie mleko matki. Mój umysł jest jamą bez dna. Mija jednocześnie mnóstwo czasu i nie mija nawet sekunda. Kiedy znów otwieram oczy, moja twarz jest na wpół zakopana w piachu, nie ma śladu Koré ani jastrzębia. Albo może nigdy ich tu nie było.

Już niemal tracę świadomość, kiedy stary głos mówi kpiąco:

– Próbowaliśmy cię ostrzec.

W pustynnym upale materializują się miraże demonów, a ich wielkie skrzydła to cienie. Leżę w piasku tak długo, że niebo pochmurnieje i krążą po nim jastrzębie. Wpadają na siebie jak oszalałe, a ich pióra lecą na ziemię. Głosy mówią mi, co sama już wiem.

– Dziecko nadchodzi – chełpi się stary.

Demon o burkliwym głosie wybucha śmiechem. Dźwięk jest tak złowrogi i paskudny, że krew tężeje mi w żyłach.

– Ona każe ci zapłacić, szarlatanko.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Rudjek niesie mnie z pustyni w swoich ramionach. Wtulam się w jego ciepło, wiedząc, że jestem bezpieczna. Wygląda jeszcze piękniej, kiedy słońce tak podkreśla kontury jego twarzy. Jego czarujące, ciemne oczy, wyraźnie zarysowana szczęka, duży, dumny nos. Nawet brwi przypominające gąsienice. Próbuję się roześmiać, ale wydaję z siebie tylko jęknięcie. Bolą mnie wszystkie kości.

Wrócił po mnie, tak jak obiecał.

Rudjek gładzi mnie po policzku, a muśnięcie jego dłoni na mojej rozgrzanej twarzy jest łagodne jak dotknięcie chłodnego kamienia.

– Arrah... – słyszę swoje imię wypowiedziane jego głębokim głosem i wstrząsa mną dreszcz. – Wszystko będzie dobrze.

Mówi to z powagą i tęsknotą, które napełniają mnie żalem. Jak długo ukrywałam swoje pragnienia? Tyle straconego czasu i tak niewiele przed nami, kiedy moje życie się kończy.

Sadowię się w ciemnym kącie i długo śpię. Nic mi się nie śni. Są tylko cisza i zimno, których częścią się staję. Uspokajają mnie jak opowieści mojego ojca i słodkie, mleczne cukierki. Nigdy nie jestem tu głodna. Nie marudzę. Nie jestem martwa, ale żywa też nie. Coś mnie chroni. Znam to miejsce, jakbym była tu już wcześniej. Nie. Jakbym zawsze tu była. To moje miejsce.

Siedzimy z Rudjkiem w naszej sekretnej kryjówce nad Rzeką Węża. Ma na sobie prostą szarą tunikę i spodnie. Jest wyższy, niż go zapamiętałam, i szerszy w ramionach. Ile czasu straciłam w Kefu?

Nie, wciąż tam jestem. To tylko sen – nic nie jest prawdziwe. Rudjek nie uratował mnie po rytuale, bo nigdy do niego nie napisałam. Rudjek ze snu zarzuca wędkę, podczas gdy Majka i Kira śpią nieopodal pod drzewem.

– To twój sen – śmieje się Rudjek. – Możesz ich obudzić, jeśli chcesz.

– Wolę tego nie robić – mamrocę, kiedy Majka wydaje z siebie okropne chrapnięcie. – Gderają jak kwoki.

– Są jak kwoki. – Kręci głową. – Tylko jeszcze o tym nie wiedzą.

– Dlaczego tu jesteśmy? – pytam.

Rzeka Węża jest dzika i szeroka, a my znajdujemy się po nawietrznej od doków. Na tyle daleko, że nie słyszemy hałasu z portu i nie wzywają nas obowiązki. Nasza

kryjówka znajduje się obok zakrzywienia rzeki tak wąskiego, że nie zmieściłby się tu nawet statek z trzciny.

– Chowam się przed moimi skrybami. – Pochyla głowę, udając, że jeden z nich jest gdzieś obok. – I tak jestem dla nich za inteligentny.

– Za inteligentny? – prychnął. – Kto tak powiedział?

Zaczyna mówić zadowolonym z siebie tonem, unosząc brew i sprawiając, że cała się roztapiam.

– Każdy skryba, któremu dałem kiedykolwiek srebrną monetę, żeby pozwolił mi nie iść na lekcje. Pewnego dnia będę wezyrem niezależnie od tego, ile będę się uczył, i będę w tym lepszy niż ten dupek, mój ojciec.

– Jeśli wezyr usłyszy, jak tak mówisz, obedrze cię ze skóry. – Tłumię chichot. – Chociaż nie zamierzam się kłócić, bez wątplenia będziesz od niego lepszy.

– Teraz ty musisz mi odpowiedzieć na pytanie. – Rudjek mruga do mnie. – Dlaczego jesteś tutaj?

Wzruszam ramionami. Znad rzeki dobiega nas ciepły wiatr, który wzbija w powietrze miętowy zapach trawy. Pyta o prawdę, nie o coś, co by pasowało do tego snu.

– Umieram.

– Naprawdę? – marszczy czoło.

– Sama już nie wiem. Tak mi się wydawało.

Patrzy na mnie z rozchylonymi ustami. W jego wzroku jest głód, pożądanie, desperacja.

– Wydajesz mi się całkiem żywa.

Ciepło płynące w moich żyłach nie pozostawia wątpliwości. Tak, żyję.

Kolory zmieniają się wokół mnie. Rzeka staje się bardziej niebieska. Zieleń trawy okazuje się głębsza. Żółć mojej sukni – jaśniejsza. Szarość tuniki Rudjeka – ostra jak granit.

Pocieram palcami o pierś, szukając węża. Moja skóra jest gładka i nietknięta. Blizna zniknęła. Rytuał zadziałał.

– Jesteś wolna, Arrah. – Rudjek uśmiecha się do mnie. – Możesz uciec.

Przełykam ślinę, a w mój umysł wkrada się strach.

– Nie zostawię ojca.

Oshhe siedzi na trawie pod drzewem, gdzie chwilę wcześniej byli Majka i Kira. Ma na kolanach stertę mlecznych cukierków.

– Będziesz wiedziała, kiedy nadejdzie właściwy czas.

Czuję ulgę na widok ojca. W jego słowach jest obietnica powrotu do leniwych popołudni w ogrodach. Pewnego dnia znów będzie normalnie. On będzie dalej

prowadził swój sklep, a ja mu w tym pomogę.

Nie mogę dłużej ukrywać się we śnie. Muszę odnaleźć drogę z ciemności. Sen jęczy i prycha, wpychając mnie w kolejną iluzję, próbując mnie uwięzić. Znajduję się na pustyni, podążając za szlakiem martwych jastrzębi. Ich połamane skrzydła i kości płyną jak rzeka aż do bramy willi.

Magia pokrywa mnie oleistą mazią, która przykleja mi się do ciała. Przez całe życie tęskniłam do niej, a teraz, kiedy jej spróbowałam, marzę tylko, żeby się jej pozbyć. Świadomość tej ironii ściska mi żołądek. Babcia powiedziała mi kiedyś, że nasza największa moc kryje się nie w naszej magii, ale w naszych sercach. Sądziłam, że kłamie, chcąc mnie pocieszyć, ale nie – ona zrozumiała, jak ważne jest znać swoją siłę. Z magią czy bez niej – moja moc tkwi w moim umyśle, w moich decyzjach, a nawet w błędach, które popełniam.

Ledwie robię dwa kroki w ogrodzie, a ten pogrąża się w ciemności. Zmuszam się, by iść dalej. Za bramą wciąż jest środek dnia. To miejsce jest czymś innym: manifestacją kryjówki, w której orisze uwięzili demony. Mój niczego nieświadomy umysł został wciśnięty w szczelinę między życiem a śmiercią. Kroczę ciężko do przodu, a każdy krok wymaga wysiłku. Nie widzę willi, tylko niekończącą się ciemność, która krwawi mi w oczy. Jakiś ciężar naciska na moją skórę, nie pozwalając wrócić do domu. Ciemność chce uwięzić tu moje *ka* – zagubione jak liść na wietrze.

Ciemność też się zmienia. Przekształca się w nieskończony tłum ludzi kłębiących się wokół mnie niczym węże. Mężczyźni, kobiety i dzieci pokryte białym popiołem, jak członkowie plemienia Litho. Wrzeszczą ze złością, a dźwięk ich krzyków skrzypi mi w uszach. Zakrywam je, ale to nic nie daje, te krzyki są w mojej głowie. Jestem w tym miejscu, a miejsce to jest we mnie.

Willi to moje ciało – brązowy kamień, asymetryczny kształt, wejście zwieńczone łukiem. To wszystko kawałki mnie samej.

Zaciskając zęby, brnę pomiędzy ciałami, a tuziny rąk sięgają ku mnie, rozsmarowując wszędzie biały popiół. Pospieszne bicie mojego serca odbija się echem w ciemności, ale ja jestem skupiona. W tym miejscu nie mam nic oprócz umysłu.

Przepycham się i przesuwam.

Chwytają mnie za ramiona i ręce.

– Nie odchódź – szepczą.

Rozpycham się łokciami i pochylam.

Zastępują mi drogę.

– Zostań z nami – błagają.

Kobieta z warkoczami splecionymi wokół głowy na wzór korony woła do mnie z drzwi willi. To nie babcia, jest znacznie wyższa i nie tak drobna. Arti jest niższa

i pełniejsza, jak kobiety z plemienia Mulani. Nie są to też Terra, Essnai ani Kira. Ta kobieta jest moją przewodniczką. Wiąże mnie z żywymi. Jest moją drogą powrotną do ciała.

Nie pozwolę, żeby to był mój koniec.

Kiedy wyłaniam się z tłumu, po czole spływa mi pot. Dopiero kiedy stajemy blisko siebie, cień wokół kobiety rozstępuje się, a wtedy wreszcie widzę – ona jest mną. Ja jestem nią.

Choć jest młoda, wygląda na zmęczoną, jej cera jest blada. Ale uśmiecha się. Zmęczonym, ciepłym uśmiechem. Odpycham od siebie ostatnie z trzymających mnie dłoni i sięgam ku niej. Kiedy się dotykamy, bierze gwałtowny wdech.

Stoję teraz na jej miejscu, w ciemności przyglądając się ludziom, z ich zapadniętymi policzkami i zgarbionymi ramionami. Patrzą na mnie smutnymi oczyma, które noszą w sobie piętno demonów. Rozkładają szeroko ramiona, żeby zaprosić mnie z powrotem do siebie, a ich wspólne błaganie jest jak śpiew chóru unoszący się na wietrze. Koré powiedziała mi, że demony zabierają duszę po kawałku, ale te tutaj są inne od tych zdeprawowanych, które kusiły mnie na pustyni. Niemal mi ich szkoda, póki nie przypomnę sobie, dlaczego orisze je tu uwięzili.

– Nie dostaniecie mojej duszy – mówię do demonów. – Tyle mogę wam przysiąc.

Kiedy się budzę i uciekam z tego miejsca pełnego marzeń i koszmarów, przy moim łóżku siedzi Arti. Na rękach trzyma dziecko. Kiedy się poruszam, aż podskakuje. Dziecko wygląda na jakieś sześć miesięcy. Rytuał nie powinien był odebrać mi przytomności na tak długi czas, ale trudno powiedzieć, ile czasu minęło, kiedy nie ma on znaczenia.

Arti jest wymizerowana, ma ciemne cienie pod oczami. Wzdycha i rozluźnia się – nie sposób nie zauważyć, że czuje ulgę, widząc mnie żywą.

– Nie doceniłam cię, córko – mówi, zaciskając wargi. – Więcej nie popełnię tego błędu.

Mam zbyt sucho w ustach, żeby odpowiedzieć, mój język jest zbyt zmęczony, żeby się poruszyć i nie mogę oderwać wzroku od dziecka. Dziewczynka ma miodową cerę naszej matki i czarne loki. Jej zielone oczy błyszczą, pełne niepowstrzymanego apetytu, który również przypomina ten matki. Gaworzy. Naprawdę gaworzy jak normalne dziecko. Gdybym nie była świadkiem czynów, które doprowadziły do jej narodzin, pomyślałabym, że jest zwyczajnym niemowlęciem. Utuliłabym ją w ramionach, szczęśliwa, że mam młodszą siostrę.

Efiya, Efiya, Efiya... – Niewidzialne demony wyśpiewują jej imię.

Jestem teraz słaba. Muszę na nowo nabrać sił.

Ale kiedy je odzyskam, zabiję siostrę.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

Tęskne łkanie Efiyi dobiega do mojego pokoju, kiedy Arti chodzi w tę i z powrotem po korytarzu, próbując ją uspokoić. Mała zachowywała się tak przez cały dzień i ani spacerowanie, ani przytulanie nie jest w stanie jej ukoić. Nie wiem, co z nią nie tak, ale cieszę się, że matka jest zajęta. Nawet demony w ścianach milkną w obliczu tej rozpacz. Z tego, co widzę, Arti reaguje na każdą zachciankę Efiyi. Na razie musiała wycofać się z planu uwolnienia *ka* Króla Demonów, a ja zamierzam sprawić, by tak pozostało.

Głowa pulsuje mi bólem. Chciałabym uciec do ogrodu, żeby chwilę pomyśleć. Chociaż już kilka dni temu obudziłam się po rytuale, jestem wciąż zbyt słaba, żeby wstać z łóżka. Znow wysilam się, by poruszyć nogami, a moje plecy przeszywa dreszcz. Opadam na poduszki. Słońce za oknem zasłaniają nabrzmiałe od deszczu chmury. W Tamarze niebo wygląda tak podczas Osesé – kiedy zimne wiatry owiewają miasto, a Rzeka Węża wylewa. Opuściliśmy Królestwo w połowie Ooruni, co znaczy, że opuściłam całą porę roku między nimi. Koré ostrzegła mnie przed Kefu, ale nic nie mogłoby mnie na to przygotować.

Nie po raz pierwszy rozmyślam o babci i pozostałych *edam*. Nie wiem, czy dla reszty świata minął rok, czy może dzień, ale zastanawiam się, dlaczego tu jeszcze nie przybyli. Koré nie spodziewa się chyba, że uda mi się powstrzymać Arti na długo, nie przy szybkości, z jaką Efiya rośnie. Nie musiałam zresztą odwracać uwagi matki, która jest tak zajęta... moją siostrą.

O zmierzchu Ty wkrada się do mojego pokoju z tacą w dłoniach, a ja bardzo się staram nie skrzywić. Mam nadzieję, że to nie letni bulion ani ciepła woda. Patrzą za nią na korytarz, gdzie Arti tuli Efiyę do piersi, gładząc jej kręcone włoski. Ogarnia mnie tęsknota. Zagryzam wargę. Ty się uśmiecha. Od dnia rytuału jest w dobrym nastroju. Małe dziecko poprawia jej humor.

– Cześć, Ty. – Odwzajemniam uśmiech.

Cieszę się, że dobrze się czuje, mimo wszystkiego, co się stało. Opieram się o wezgłowie, nim zdążę usłyszeć jej niechętny syk. Przynajmniej tyle mogę zrobić sama. Najgorszych było kilka pierwszych dni po rytuale, kiedy Ty i Terra musiały mnie podtrzymywać i karmić, bo sama nie byłam w stanie nawet się ruszyć. Żadna z nich nie narzekała. Za to też jestem im wdzięczna. Kiedy Ty stawia tacę na stole obok

łóżka, dobiega mnie piękny zapach. Orzeszki ziemne, pieczone pomidory i imbir. To zapach domu, zapach Wschodniego Targu, zapach Rudjeka. Czuję kolejne ukłucie tęsknoty, ból ściskający mi serce. Będzie się złościł, że nie napisałam, ale kiedy tylko uda mi się opuścić to wstrętne miejsce, wszystko mu wytłumaczę.

Burczy mi w brzuchu, a Ty uśmiecha się szeroko. Przyniosła dwie miski zupy i kule chleba z ziarnami do podziału. Przez chwilę jemy w milczeniu. Płacze Efiyi uspokajają nastrój. Zupa to najpyszniejsza rzecz, jaką jadłam od wielu dni.

– Dlaczego ona ciągle płacze? – pytam Ty, która na dźwięk mojego głosu unosi głowę nad miskę.

Ty wskazuje swoje usta, a kiedy nie rozumiem, dotyka jednego z zębów.

– Ząbkuje? – Krzywię się.

Choć dowody mam pod nosem, nigdy nie sądziłam, że Efiya przechodzić będzie przez normalne fazy dzieciństwa. Koré powiedziała, że czas w Kefu ma swoje kaprysy, ale Arti i Efiya muszą nim jakoś manipulować.

Ty kiwa głową, wyjmuje rysik i kartkę z kieszonki fartucha i zapisuje wiadomość:

– Przypomina mi ciebie. Byłaś kapryśnym niemowlęciem.

– Nie porównuj mnie do tego czegoś! – Z brzękiem upuszczam łyżeczkę do porcelanowej miseczki. – Nie jest do mnie podobna. To właściwie nie jest nawet człowiek.

Ty kręci głową i wkłada karteczkę do kieszeni. Resztę kolacji jemy w milczeniu, a po jej wyjściu recytuję w myślach tekst dwóch rytuałów. Kiedy po przebudzeniu zajrzałam pod łóżko, nie było pod nim pudełka ze zwojami. Powinnam je była schować, ale to nieważne. Zachowałam się na tyle rozsądnie, żeby przed pójściem na pustynię zakopać chociaż kości przodków. Wciąż muszę zdjąć klątwę z ojca. Jeśli to mi się uda, on pomoże mi spowolnić Arti do czasu, gdy dołączą do nas *edam*.

Kiedy zasypiam, na obrzeżach mojego umysłu czają się słowa rytuałów, a w tle słyszę płacz Efiyi. O zmierzchu budzi mnie czyjaś obecność. Ktoś opiera się o moje plecy i wtula głowę we włosy. Dotyk jest tak miły, że omal nie zasypiam znowu.

Kiedy się odwracam, jęcząc z powodu obolałych mięśni, oddech więźnie mi w gardle. Dziewczynka patrzy na mnie ciekawskimi, bladozielonymi oczami. Jej kręcone włosy sterczą na wszystkie strony. Efiya. Znów urosła – teraz ma już sześć czy siedem lat.

– Widziałam cię już. – Najpierw klęka, a po chwili wstaje. Skacze wokół łóżka, coraz wyżej i wyżej, ściskając małe dłonie w pięstki. – Byłaś gdzieś, gdzie nie powinno cię być.

Mówi o wizji, w której pojawiła się dawno temu – kiedy pierwszy raz sprzedałam swoje lata. Magia, która dziś ją otacza, jest jeszcze silniejsza niż wtedy.

– Ty... – Słowo drapie mnie w obolałe gardło.

Efiya mruga i schyla się, by dotknąć mojej szyi.

– Teraz lepiej?

Ból mija, pozostawiając w moich ustach smak krwi.

– Ile czasu minęło?

– Czasu? – Kładzie dłonie na biodrach. – Czas nie ma znaczenia, głuptasku.

– Jak to możliwe, że ty dorastasz – pytam – a ja nie?

– Bo chcę – odpowiada Efiya. – Matka nie pozwala tobie i pozostałym ulegać kaprysom czasu.

– Więc naprawdę masz sześć lat? – pytam z wahaniem.

– Siedem! – Uśmiecha się szeroko. – Odkąd cię obudziłam, dla ciebie minęła tylko chwila, ale dla mnie już cały rok.

Nie jestem w stanie tego pojąć, ale to prawda. Jest trochę wyższa, jej policzki są odrobinę szczuplejsze. Zmiana zaszła w mgnieniu oka.

Próbuję usiąść, ale ciało ze mną nie współpracuje. Zawsze tak jest na początku. Chwilę trwa, nim moje sztywne mięśnie ustąpią.

– Nic o tobie nie wiem. – Wskazuje na moje czoło. – Nie czytam ci w myślach jak pozostałym. Znam ich słowa wypowiedziane i przemilczane, ale ty... ty jesteś inna. Dlaczego?

– Idź spytać Arti – syczę – i zostaw mnie w spokoju.

– Matka o niczym nie wie – mówi Efiya. – Widzę jej umysł dokładnie.

– A więc jakie to ma znaczenie?

– Jeszcze nie wiem. – Marszczy czoło. – Chcesz się pobawić w ogrodzie?

– Czy wyglądam, jakbym mogła się teraz bawić? – Patrzę na nią wściekle.

Jeszcze tego samego wieczora była niemowlęciem w ramionach Arti, a teraz jest już kilkuletnią dziewczynką. Dziewczynką, która – jak każde dziecko – ma tysiące pytań. Jej oczy są jasne jak świetliki. Uśmiech tak... tak czysty, że mój umysł nie chce połączyć jej ze straszliwym rytuałem w świątyni. Z jej powstaniem. To jeszcze dziecko, ale jak długo nim będzie?

Jeśli dalej będzie rosnać w takim tempie, nic nie będę mogła zrobić, żeby ją powstrzymać. Na razie nikogo jeszcze nie skrzywdziła. Chciałabym wierzyć, że wizja Heki okaże się nieprawdą, że jest jakaś inna możliwość. Ale nie jestem głupia.

– Naprawię cię! – Skacze po łóżku, podeksytowana. – Wiem, jak to zrobić.

Każdy jej skok oznacza falę bólu, kiedy jej magia wrzyna się w mój kręgosłup.

– Przestań – skomlę. – Proszę!

Drzwi pokoju otwierają się i do środka wbiega Arti. Chwyta Efiyę od tyłu. Dziewczynka protestuje, kopiąc i wrzeszcząc.

– Pomagałam jej! – mówi. – Pozwól mi jej pomóc!

– Przestań! – Ton głosu Arti jest ostry, a Efiya natychmiast przestaje się złościć.

Arti stawia ją na ziemi.

– Mówiłam ci, żebyś nie stosowała wobec niej magii. Dlaczego mi się sprzeciwiasz?

– Trzeba ją naprawić. – Efiya ze złością owija sobie wokół palca sznurek od spodni.

– Chciałam tylko pomóc.

Magia Arti szeleści w pokoju. Patrzy tak groźnie, że Efiya nieruchomieje.

– Nigdy więcej mi się nie sprzeciwiaj. Zrozumiałaś?

– Tak, matko – odpowiada. Jej dolna warga się trzęsie.

– Dobra dziewczynka. – Arti klepie ją po ramieniu, a Efiya w odpowiedzi uśmiecha się nieśmiało. – Przed nami mnóstwo pracy.

– Zabierz ją z mojego pokoju! – udaje mi się wychrypieć. Łzy ukrywają moją złość.

Znów poniosłam klęskę. Nic mi się nie udaje. Nie mogę znieść ich widoku.

Arti unosi brew i przygląda mi się odrobinę zbyt długo. Sprawia wrażenie, jakby chciała coś powiedzieć, ale kładzie tylko dłoń na plecach Efiyi i wyprowadza ją z pokoju.

Jestem tak wściekła, że całe moje ciało się trzęsie. Nie mogę siedzieć beczynn timer. Nie mogę trwać w nadziei, że *edam* mnie uratują, że powstrzymają moją matkę i Efiyę. Zaciskam zęby i ściągam nogi z łóżka. Czuję tępy ból w kręgosłupie, ale po raz pierwszy, odkąd zdjęłam klątwę matki, jest on do zniesienia. Robię krok naprzód, potykam się i opieram o ścianę. Próbuję jeszcze raz i jeszcze raz, i znowu, aż po czole spływa mi pot. Próbuję dalej, a w Kefu w ledwie kilka chwil dzień zmienia się w noc i noc z powrotem w dzień. Chód znów staje się dla mnie czymś naturalnym. Muszę przyznać, że magia Efiyi mi pomogła, chociaż nie mam pojęcia, czemu w ogóle spróbowała.

Patrzę na swoją wymizerowaną twarz w lustrze. Mam cienie pod oczami i zmarszczki, których tam wcześniej nie było. Skóra jest ziemista, a u nasady nosa wciąż widnieje strup po oparzeniu słonecznym. Moje ramiona są całe w siniakach, a sądząc po bólu, nie brakuje ich też na reszcie ciała. Wyglądam jak jeden z szarlatanów na targu. Jestem szarlatanką. Ile będzie kosztował kolejny rytuał, który pozwoli uwolnić ojca? Ile czasu minie, nim nie zostanie mi nic, czym mogłabym zapłacić?

Otwieram drzwi pokoju i wychodzę na korytarz. Demony na ścianach zdają się wstrzymywać oddech. Cieszę się, że nie próbują mówić do mnie, jak te dwa na pustyni. Zmuszam się, żeby nie myśleć o demonicznej magii. O tym, że bez niej czuję się tak, jakby ktoś ukradł moje narządy, jakbym trwała tylko w fantazji, we wspomnieniu, we śnie. Mimo to czuję ulgę, że rytuał się powiódł. Mam znów pełną

kontrolę nad wszystkim, co robię, a klątwa nie wije się już w mojej piersi, nie narzuca mi swojej woli.

Z pokoju naprzeciwko dobiegają podobne, melodyjne głosy Arti i Efiyi. Podchodzę bliżej, żeby ich posłuchać. Spodziewam się, że usłyszę, jak Arti mówi Efiyi, że jest z niej dumna; że wreszcie ma taką córkę, o jakiej marzyła. Że jest piękna i utalentowana. Ich rozmowa okazuje się jednak mniej niewinna.

– Jest w bardzo ciemnym miejscu. – Dziecięcy głos Efiyi drży. – Bardzo, bardzo ciemnym.

– Opisz wszystko, co widzisz – nalega Arti. – Co jeszcze znajduje się wokół pudełka?

Po dłuższej chwili Efiya mówi:

– Ja... widzę tylko ciemność.

– Nie dość się starasz – syczy Arti, której desperacja jest niemal namacalna.

– Ależ staram się, matko – jęczy Efiya. – Znowu boli mnie głowa.

– Jeszcze raz – rozkazuje Arti, nie słuchając narzekań Efiyi. – Zamknij oczy i poszukaj jego *ka*. Pozwól, by twój umysł sięgnął poza ciało, poza willę, poza ten świat. Szukaj w każdej szczelinie, w każdej przestrzeni, podążaj za liniami, które łączą wszystko w naszym wszechświecie. Znajdź miejsce, w którym ukryła je orisza.

– Widzę zbyt wiele linii, zbyt wiele możliwości, zbyt wiele przyszłości – Efiya brzmi, jakby miała się zaraz rozplakać, a mnie robi się jej żal. Wiem, jak to jest rozczarować naszą matkę. – Nie mogę podążyć za nimi wszystkimi... Są niezliczone... czy mogę już skończyć? Jestem zmęczona.

Jest córką, której moja matka zawsze pragnęła, ale Arti wcale nie traktuje jej lepiej. Jest wszystkim, czym ja nigdy nie mogłam być. Powinnam się cieszyć, że nią matka też jest rozczarowana. A jednak wcale się nie cieszę.

Arti gwałtownie nabiera powietrza w płuca.

– Teraz odpoczniemy, ale musisz ćwiczyć.

– Czy mogę wrócić do Arrah? – pyta mała dziewczynka.

Jej pytanie mnie zaskakuje. Arti najwyraźniej też się dziwi, bo mija dłuższa chwila, nim się odezwie.

– Jeśli chcesz zobaczyć się z siostrą, musisz bardziej się postarać i znaleźć *ka* Króla Demonów.

– Dobrze, matko – odpowiada Efiya głosem słodkim jak mleczne cukierki. – Obiecuję, że to zrobię.

Efiya po części jest demonem, ale po części jest też człowiekiem. Skoro się mną zainteresowała, być może uda mi się to wykorzystać. To przecież tylko ciekawskie dziecko. Jest dla mnie jasne, że Arti potrzebuje jej, by uwolnić Króla Demonów, ale ja

też potrafię grać w jej grę. Celem gry w psy i szakale jest przechytrzenie przeciwnika. Teraz mam swoją własną strategię. Zauważyłam, że moja siostra jest zdolna do empatii, choć matka zrobiła wiele, by uczynić z niej swoją kukiełkę. Dzieci są niewinne, a ja zamierzam sprawić, by Efiya taka pozostała.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

Kiedy Arti wraca do swojego pokoju po lekcjach z Efią, dźwięk jej kroków odbija się echem za moimi drzwiami. Nie tracąc czasu, skradam się korytarzem. Z pokoju Efiy dobiegają mnie stłumione szepty. Jej głos jest zbyt cichy, wkradam się więc do jej pokoju, jak ona wkradła się do mojego.

Efiya stoi na łóżku twarzą do ściany. W pokoju nie ma świec ani lampek oliwnych, a jednak pomieszczenie wypełnia opalizujące światło. Mebli jest niewiele – oprócz łóżka tylko toaletka z dużym lustrem i fotel. Wszędzie leżą rozsypane zabawki – lalki, piłki i klocki.

Kiedy wchodzę głębiej, podłoga skrzypi mi pod stopami. Efiya mnie nie zauważa: szepcze coś do ściany za łóżkiem. Z początku wydaje mi się, że po prostu się bawi, ale potem moje oczy przyzwyczajają się do słabego światła. Ze ściany wystają setki twarzy o pustych oczodołach i ustach pełnych smoły, wykrzywionych w niemym krzyku. Wici wiją się wokół łóżka i suną w moją stronę. Robię krok w tył, omal się nie przewracając.

– Nie, nie możecie jej dostać! – woła do ściany Efiya. – To moja siostra.

Nie jestem w stanie się odezwać, boję się, że ugną się pode mną nogi. Stoję nieruchomo, trzymając się za brzuch. Ciemność jest echem wszystkich *ka* demonów, które zostały uwięzione w Kefu – niezdolne, by wznieść się do góry, niezdolne, by znaleźć odpoczynek, zrosnięte w więzieniu stworzonym przez orisze.

Efiya odwraca się do mnie i uśmiecha porozumiewawczo.

– Arrah. – Moje imię w jej ustach jest jak słodka, groźna kołysanka. – Przyszłaś się ze mną pobawić!

To błąd. Jest już za późno. Potykam się o własne nogi, próbując się wycofać. Efiya marszczy brwi i znów zwraca się ku ścianie.

– Odejdźcie! Moja siostra się was boi.

„Moja siostra”. Jej słowa są pełne dumy i przypomina mi się Kofi. Tak bardzo za nim tęsknię. Kiedy byłam młodsza, pragnęłam mieć siostrę. Kogoś, z kim mogłabym dzielić się tajemnicami. Kogoś, kto rozumiałby, jak trudno jest dorastać bez magii w rodzinie, która jest jej pełna. Efiya nigdy nie zastąpi mi Kofiego. Nigdy nie będzie tą siostrą, o której marzyłam, ale mam tylko ją.

Dość, że Efiya raz wypowiedziała rozkaz swoim piskliwym, dziecięcym głosem, a demony wnikają z powrotem w ścianę. Można by uwierzyć, że nigdy ich tutaj nie

było. Jej kontrola nad demonami jest absolutna, nie przypomina dobijania targu między Arti a Shezmu. Nie wolno mi o tym zapomnieć.

– Ja... przyszłam spytać, czy zechcesz pobawić się jutro w ogrodzie – dukam przez zaciśnięte gardło. – Ze mną.

– Możemy się pobawić w chowanego! – woła Efiya. – Terra mnie nauczyła.

– Ciii, bo obudzisz Arti. – Przykładam palec do ust.

– Z nią się nie da bawić – szepcze Efiya, zakrywając buzię dłonią.

Być może to, co chcę powiedzieć, jest głupie, ale Efiya wciąż jest tylko dzieckiem. Mam nadzieję, że matka nie zatrąła jeszcze jej umysłu. Odkąd zdjęłam klątwę Arti, w mojej piersi nie wije się już magia czyhająca na moją wolność. Po raz pierwszy od nie wiem jak dawna mogę mówić, co mi się podoba.

– Nie możesz pomóc Arti uwolnić *ka* Króla Demonów.

– Chciałabym się tylko bawić, ale jej się to nie podoba – jęczy Efiya.

– Jesteś dzieckiem – mówię, a serce mocno wali mi w piersi. – Powinnaś się bawić cały czas.

Efiya wydyma wargi.

– Ale... Król Demonów potrzebuje pomocy. Tak jak ty.

Krzywię się, zastanawiając, co powiedziała jej Arti.

– Jeśli pomożesz Królowi Demonów, nie będziemy mogły się bawić.

– Ale powiedziałaś, że dzieci powinny się bawić! – Krzyżuje ramiona na piersi.

– To prawda. – Zmuszam się, żeby podejść do niej bliżej. – Ale jeśli uwolnisz Króla Demonów, nikt nie będzie się bawił już nigdy.

Łzy napływają jej do oczu i zaczyna łkać. Staram się jej nie współczuć, ale to niemożliwe. Nagle staje się tylko małą, niewinną i łatwowierną dziewczynką. Ale jednocześnie jest córką Shezmu – zrodzoną dzięki śmierci innych. W końcu mała dziewczynka wygrywa. Rozkładam ramiona szeroko, a ona wstaje z łóżka i obejmuje mnie w pasie. Kiedy pyta, czy może spać ze mną w pokoju, zgadzam się. Przytula się do mnie. Czuję się tak, jakbyśmy spały w jednym łóżku przez całe życie. Zasypiam, trzymając ją w ramionach.

Poranek zbliża się powoli, ale kiedy wreszcie przybywa, budzę się podekscytowana perspektywą zabawy w ogrodzie. Nie wypoczęłam tak dobrze od czasu babcinej wizji, która rozpoczęła wszystkie moje problemy. Efiyi nie ma obok. Przychodzi mi do głowy, że pewnie jest w swoim pokoju, ale nie znajduję jej tam. Jako że mogę się już poruszać bez trudu, schodzę piętro niżej i zaglądam do salonu, w którym Arti, Oshhe i Ty jedzą śniadanie, siedząc na krzesłach z wysokimi oparciami. Nezi kręci się przy stróżówce, a Terra jest w ogrodzie. Stoi zwrócona twarzą do cieniodajnego drzewa i liczy do dziesięciu.

– Gdzie jest Efiya? – pytam. Kiedy spała w moich ramionach, wmówiłam sobie, że jeśli nie spuszczę jej z oka, nie wpadnie w kłopoty.

Terra wzdycha z ulgą, kiedy widzi, że to tylko ja.

– Chowa się w ogrodzie.

Wyciera dłonie o zieloną sukienkę, a Efiya wyskakuje zza drzewa. Zagryzam wargi, żeby nie przekląć. Moja siostra znowu urosła. Teraz wygląda na dziesięciolatkę, ma chude nogi i jeszcze bardziej rozczochrane włosy.

– Wymyśliłam nową zabawę. – Efiya biegnie na bosaka po trawie. – Wymyśliłam nową zabawę.

Zanim zdążę spytać, co to za zabawa, Terra klepie mnie po ramieniu i wskazuje bramę, która oddziela willę od pustyni. Przez kraty z kutego żelaza zaglądamy do środka dwa tuziny omiecionych piaskiem twarzy. Nezi wyłania się ze swojej stróżówki i próbuje je wygonić. Po chwili zaczynają jednak chóralnie wyśpiewywać imię mojej siostry, a Nezi się uśmiecha.

– Efiyo... – Oddech więźnie mi w gardle.

To moja wina. Moje głupie, pobożne życzenia sprawiły, że moja siostra odnalazła te dzieci. Nie była nimi zainteresowana, póki nie podpowiedziałam jej, że mogłaby się z nimi bawić. Wcześniej była skupiona tylko na mnie. Fascynowało ją moje połamane ciało i nieprzenikniony umysł, ale teraz znudziła się mną jak innymi zabawkami. Teraz zmieniła dzieci z Kefu w *ndzumbi*.

– Efiyo – mówię raz jeszcze, tym razem głośniej. – Po co tu przyszły te dzieci?

– Pobawić się z nami, głuptasko! – Promienieje i podskakuje radośnie.

Terra stoi absolutnie nieruchomo. Blednie i wygląda, jakby miała zaraz zemdleć.

– Nie potrzebujemy ich. – Macham lekceważąco ręką, starając się, by mój głos pozostał niewzruszony. – Pozwól im wrócić do domu.

– Ale przecież już tu są! – Efiya pędzi na dziedziniec, żeby się z nimi przywitać.

Parszywy, rudy kocur, który przyszedł tu razem z dziećmi, ociera się o jej kostki. Moja siostra chichocze i pochyla się, żeby go pogłaskać. Kot próbuje się jej wyrwać, ale podnosi go z ziemi i wraca do ogrodu. Dzieci idą za nią. Efiya ma zbyt dużą władzę, zbyt wiele magii. Nie ma za to nikogo, kto powiedziałby jej, jak odróżnić dobro od zła. Nie mogła wiedzieć, że robi coś złego. Zagryzam wargę – mam nadzieję, że mnie uda się ją czegoś nauczyć.

Dzieci bawią się przez cały dzień. Kiedy mówię Efiyi, że by dobrze się czuć, powinny coś zjeść, napić się i odpocząć, marszczy brwi i pada na trawę pod drzewem. Pozostałe dzieci też siadają. Jeśli mnie jest w słońcu okrutnie gorąco, i one muszą być wykończone, ale nie narzekają. Patrzą na Efiyę jak na boginię i spijają każde słowo z jej ust.

Terra biegnie do kuchni po jedzenie i picie, a ja sadowię się na trawie. Muszę przekonać moją siostrę, żeby po posiłku pozwoliła dzieciom pójść do domu. Nie jestem jednak w stanie włączyć się w rozmowę, bo Efiya zadaje im nieskończoną ilość pytań. Nawet jeśli potrafi czytać w myślach, jest zachwycona wysłuchiowaniem ich historii. Po niedługim czasie Terra i Ty wracają z tacami pełnymi pokrojonych warzyw, pasty migdałowej i chleba, z dzbanami wody. Ty wstrzymuje oddech, widząc puste spojrzenia dzieci. W odróżnieniu od Nezi nie śmieje się z perwersyjnej zabawy mojej siostry. Teraz pierwszy raz zauważa prawdę. Ostrzegałam ją, ale nie chciała mnie słuchać.

Kiedy Ty wraca do willi, Terra siada obok mnie. Gęste liście drzewa *nehet* rzucają na nas jakże potrzebny cień, a nad naszymi głowami wiszą kiście fig. Moją dłoń muska ogon kocura, który skrada się pomiędzy dziećmi. Większość poranka przespał pod drzewem, a teraz goni za ptakiem dziobiącym rośliny nad stawem.

Efiya zmusza nas do zabawy, w której odgrywa Wszechpotężną Królestwa. Jej magia na mojej skórze klei się bardziej niż pot.

– Chłopcze – cedzi Efiya – co zrobisz, żeby mnie rozbawić?

Nie podoba mi się błysk w jej oku i nagła zmiana nastroju. Jest w pełni skupiona na chłopcu klęczącym u jej stóp. W siadzie klęcznym trzyma dłonie na udach i patrzy na nią z szacunkiem. Arti jest najpotężniejszą szamanką, a nawet ona musi odprawiać rytuały, żeby czynić sobie ludzi poddanymi. Efiyi nic takiego nie trzeba. Sama jest magią.

– Wszystko, o Wszechpotężna – mówi chłopiec. – Co sprawiłoby ci największą przyjemność?

– Wszechpotężna – słowo smakuje gorzko jak eliksir krwi – chyba powinnaś powiedzieć nam, kto znajdzie się na twoim dworze. Kto będzie twoim wezyrem? *Ka*-Kapłanką? Kim będą jasnowidze? A uczeni?

Wciąż gadam, żeby zwrócić jej uwagę, ale ona tylko uśmiecha się do mnie znacząco. Ścisła mi się żołądek.

Jej oczy nie mają już w sobie cienia dziecięcej niewinności. Niewinności dziewczynki, która wkradła się nocą do mojego łóżka. Błyszczą głodem – głodem demonów. Kiedy wydaje chłopcu kolejny rozkaz, patrzy prosto na mnie.

– Odetnij sobie kciuk.

Chłopiec bez wahania podnosi nóż z jednej z tac.

– Nie! – Wyrwam mu ostrze. – To nie jest zabawka dla dzieci, Efiyo.

– Dlaczego? – Wydyma wargi. – Będę się bawić, czym będę chciała.

– Pozwól nam się bawić – śpiewają chórem dzieci. – Pozwól nam się bawić!

Gdybym tylko mogła przemówić jej do rozsądku. Nie wolno mi się poddać.

– Inni ludzie nie są tacy jak ty – mówię głosem pełnym fałszywego spokoju. – Nasze ciała są delikatne, a to, co ciebie nawet nie zrani, nas może bardzo skrzywdzić, a nawet zabić. Rozumiesz, czym jest śmierć? Ludzie odchodzą i nigdy już nie wracają. Nie chciałybyś skrzywdzić swoich przyjaciół, prawda?

– Nie tak działa śmierć, głuptasko. – Efiya wyrywa po kolei kępki trawy i pozwala, by przeleciały jej przez palce. – Mam ci pokazać?

Mój brzuch pulsuje nagłym bólem.

– Nie rób tego, Efiyo.

– Dlaczego? – pyta. – Nie chcesz się ze mną bawić?

– Dobra królowa nie krzywdzi swojego dworu – chrypię.

– Dobra? – Zastanawia się nad tym słowem, smakuje je. – Dooobra.

W tym momencie zdaję sobie sprawę, że moja siostra naprawdę nie odróżnia dobra od zła. To nienawiść i okrucieństwo sprowadziły ją na ten świat.

Ból w moim brzuchu kłuje mnie jak nóż *tobachi*. Zginam się wpół.

– Efiyo, proszę...

– Nie! – Uderza pięścią o ziemię. – Już dość się nasłuchałam, teraz chcę się bawić.

Jej magia po raz drugi przeszywa całe moje ciało bólem. Zwijam się na trawie, niezdolna, by się poruszyć. Nie jest to klątwa Arti, którą mogłam choć próbować poddać kontroli. O nie, to coś całkiem innego. Coś, co przeminie jedynie wtedy, kiedy tak zadecyduje Efiya. Chłopiec wyrywa mi nóż z dłoni, a pozostałe dzieci przyglądają mi się pustymi oczyma. Terra zakrywa dłonią usta i zaczyna łkać.

Błagam, krzyczę i płaczę, ale moja siostra nie zaszczyca mnie już ani jednym spojrzeniem. Chłopiec kuca, rozczapierza palce na ziemi i robi to, co kazała mu zrobić Efiya. Uśmiecha się przez płynące po policzkach łzy. W najgorszym momencie chowam głowę w trawie. Mogła uśmierzyć jego ból, ale nie – chce, żeby cierpiał.

Na balkonie na drugim piętrze dostrzegam Arti spoglądającą w dół na ogród. Nie widzę stąd wyrazu jej twarzy, ale mocno ściska balustradę. Kiedy Efiya prosi kolejne dziecko o dar, Arti zmienia się w białą mgłę. Przyjmuje ten sam kształt, co wtedy, kiedy porywała dzieci na targu w Tamarze. Wiercę się, desperacko próbując stanąć na nogi. Muszę zrobić coś, cokolwiek, byle powstrzymać Efiyę, ale ból czyni mnie bezużyteczną. Mgła – Arti – zstępuje z balkonu do ogrodu niczym wściekła burzowa chmura.

Arti wraca do swojej cielesnej postaci i staje naprzeciwko Efiyi z rękami na biodrach. W jej oczach są wściekłość i ogień.

– Straciłam cierpliwość. – Obnaża zęby. – Nie mamy czasu na te głupie zabawy. Przed nami mnóstwo pracy.

Chłopiec drżącymi dłońmi podnosi odcięty palec.

– Czy to sprawiło ci przyjemność, Wszechpotężna?

– Chcę się bawić! – woła Efiya, ignorując go. – Arrah mówi, że dzieci powinny się bawić.

– Napraw jego dłoń – rozkazuje Arti z groźbą w głosie. – Zrób to natychmiast.

Efiya krzyżuje ramiona na piersi.

– Nie możesz mnie zmusić.

Oto jest.

Magia Arti omiata mnie łagodnie jak trzepot skrzydeł, łagodząc ból. Wszystkie moje mięśnie się rozluźniają. Obracam się na bok, ciężko dysząc, a pot sprawia, że szczypie mnie skaleczenie na wardze. Nie ważę się poruszyć, kiedy matka i córka patrzą na siebie spojrzeniem ostrym jak sztylety. Kiedy Arti już ma sięgnąć ku chłopakowi, wydaje z siebie jęk i chwyta się dłonią za brzuch. Ręka czernieje i robi się twarda jak zwęglone drewno.

– Powiedziałaś, nie! – krzyczy Efiya, a ptaki uciekają z pobliskiego drzewa.

Pozwoliła Arti złagodzić mój ból, chociaż i wtedy mogła ją powstrzymać. Zależy jej na mnie – a mnie, bez względu na wszystko, zależy na niej. Wciąż nie potrafię pozbyć się nadziei, że istnieje choćby najmniejsza szansa na to, że Efiya pomoże mi wszystko to odkręcić.

– Jesteś wielkim rozczarowaniem. – Arti wygina palce, tak że popiół spada na ziemię, a dłoń znów przybiera normalny kolor. Oczy Efiyi wypełniają się łzami, a ja, wbrew wszelkiej logice, żałuję jej. Gdybym tylko nie spała tak długo po odprawieniu rytuału, mogłabym jej pomóc. Nauczyć ją różnicy między dobrem a złem. – Marnujesz magię na błahe sztuczki.

Dzieci buczą i warczą na Arti, obnażając zęby, ale ona nie zwraca na to uwagi.

– Twoja siostra oddała swoje lata za magię, żeby dostać to, czego chciała. Choć nie cierpię jej głupoty, doceniam determinację. Ty, Efiyo, nie masz ani jednego, ani drugiego. Nie potrafisz się skupić. Masz wszystko, czego jej brakuje, ale tobie za to brakuje rozsądku.

– Przestań – cedzę przez zęby. – Przestań nią manipulować, żeby robiła to, czego chcesz. To przez ciebie jest taka, jaka jest.

– To twoja wina! – Arti odwraca się do mnie i wskazuje mnie palcem. – Zatrzymała ją, a teraz jest słaba, tak jak ty.

Powtarzam sobie, że matka nie jest w stanie bardziej mnie zranić, a jednak zawsze znajduje sposób, by głębiej wbić nóż. Nie boli mnie kolejne oskarżenie o słabość, ale o wywieranie wpływu na Efiyę, co nigdy mi się nie udało. Nie zwiodłam siostry z morderczego szlaku, co najwyżej udało mi się na chwilę odwrócić jej uwagę. Moje wysiłki okazały się próżne – a w głębi serca wiedziałam od początku, że tak będzie.

– A co z twoimi pozostałymi przyjaciółmi, Efiyo? – pyta Arti. – Czy im też dasz się kiedyś pobawić?

Serce szarpie mi się w piersi, kiedy przypominam sobie demony na ścianie za łóżkiem Efiyi. Moja siostra uśmiecha się szeroko, kiedy podchodzi do niej parszywy kot. Sięga dłonią ku niebu, a materiał, z którego utkany jest świat, przerywa się jak papier. Wyłania się z niego szara mgiełka, która ląduje w jej dłoni. To *ka*.

Kot nie zdąży nawet wyczuć niebezpieczeństwa, kiedy demoniczna dusza wnika mu do gardła. Nie mogę słuchać, jak się dławi, ale widok wijącego się na ziemi zwierzęcia jest jeszcze gorszy. Kiedy znów otwiera oczy, nie są już żółte, ale zielone. Rozciąga łapy i jednym machnięciem pazurów chwyta odcięty kciuk chłopca. Trzymając go w zębach, wskakuje na kolana Efiyi i zwija się w kłębek, mrucząc cicho.

– Ma na imię Merka. – Efiya całuje łeppek kota. – Marzył o ludzkim ciele, ale musi na nie zapracować.

Arti krzyżuje ramiona na piersi i się uśmiecha.

– Tak lepiej.

Dzieci wiwatują. Kiedy Merka obgryza zakrwawiony kciuk, tracę wszelką nadzieję na choćby cień dobra w sercu mojej siostry.

EFIYA

Znudziłam się zabawą matki w dom, a moje zwierzątka przestały mnie bawić. Kiedy będę miała ochotę, dam mojemu ulubieńcowi Merce nową siedzibę – ciało mężczyzny z Kefu. Rybaka o dłoniach pokrytych odciskami i szorstkiej skórze. Merka jest niezadowolony. Mamrocze i się skarży, kiedy wydaje mu się, że nie słucham. Ale ja zawsze słucham.

Słyszę każdy dźwięk w willi. Arrah płaczącą na łóżku. Arti szepczącą w gorączce do swojego mistrza. Oshhego krzyczącego w myślach, przeklinającego Hekę i orisze. Mysie pazurki na kamiennych posadzkach. Chciwe myśli wszystkich demonów, które błagają mnie, bym je wyzwoliła. Obiecują, że będą mi służyć. I tak nie czuję satysfakcji. Jestem stworzona do rzeczy wyższych niż te głupie gierki.

Podziwiam w lustrze swoje szczupłe ramiona, krągłości mojej talii i bioder. Moje szalone, kręcone włosy są nawet ładniejsze niż włosy matki. Skóra jest miękka jak poranna rosa, a oczy to iskrzące się entuzjazmem klejnoty. Barwa mojej cery to najświetlitszy ze złotych brązów, a wzrostem dorównuję już Arrah. Choć nie mam wieku, decyduję się wyglądać na jej wiek. Tak, by patrząc na mnie, przypominała sobie, że jestem tą doskonałą córką, którą ona nigdy nie będzie.

Nie cierpię, jak zaciska wargi i unosi w górę podbródek, kiedy się do mnie zwraca. Tej bezczelności, którą mi okazuje, wiedząc, że nie mogę zajrzeć do jej umysłu. Lustro roztrzaskuje się w drobny mak, który myślą zawieszam w powietrzu. To dla mnie łatwa sztuczka, a tymczasem nie potrafię wejrzeć w umysł żalostnej dziewczyny. Ani odnaleźć ka Króla Demonów.

Matka mówi, że muszę nauczyć się lepiej kierować swoją złość – że jeśli tego nie zrobię, nasi wrogowie wykorzystają ją przeciwko mnie. Kiedy mówi o „naszych wrogach”, tak naprawdę ma na myśli swoich – Wszepochotężnego i wezyra. Jej nienawiść do Surana Omani jest niczym niezmqcona i smakuje słodko. Jej uczucia do Jereka Sukkary są za to osobliwe i zmienne. Widzę jej przeszłość. Ich romans, skradziony przez Ka-Kapłana. Gorycz, która przerodziła się w gorejącą nienawiść. Widzę ten moment, w którym zbezczescili ołtarz w świątyni. Jej ciągłą nienawiść do własnej słabości i rozkosz, jaką czuje, kiedy on dotyka jej nagiego ciała. Iskrę, która wciąż między nimi płonie. To, że teraz nie pragnie już jego samego, pragnie za to wszystkiego, co on posiada. Pragnie, by Król Demonów przekazał jej Królestwo, ale to mogę zrobić sama.

Gdy pstrykam palcami, by naprawić lustro, postanawiam zniszczyć Jereka. Uwolnię matkę od tego ciężaru, który nazywa miłością. To tak osobliwa rzecz – miłość. Widzę w umyśle Oshhego, że wciąż ją kocha, chociaż uczucie to pogrzebane jest pod wieloma warstwami nienawiści. Ich emocje są tak zmienne i podatne na wpływy, że nie jestem pewna, czy chciałabym ich doświadczyć. Uśmiecham się do lustra i wkradam w przestrzeń poza czasem – w korytarz, którego orisze używają, by pokonywać w jednej chwili ogromne dystanse.

W pustce nie ma powietrza, ale ja nie muszę oddychać. Są tu tylko niezliczone nici, które wszystko ze sobą łączą w jeden misterny dywan. Jestem jednocześnie w moim ciemnym pokoju w willi i na skraju przepaści, nad którą najmłodszy syn Wszechpotężnego, Tyrek, siedzi, przyglądając się morzu. Robię krok naprzód, a mój sandał dotyka skalistej ziemi.

Wiatr dmie mi w plecy, grożąc, że zrzuci mnie w przepaść. Upadek i połamanie wszystkich kości – to byłoby interesujące doświadczenie. Pewnego dnia spróbuję, dziś mam jednak pracę do wykonania. Mogłabym sama zabić Jereka – zerwać jego ochronne świecidełka i wcisnąć mu je do gardła – ale nie byłoby w tym uroku... ani finezji. Zmuszę jego własnego syna, żeby go zabił.

Pewnego dnia zabiję też moją siostrę, a to mnie smuci.

DWADZIEŚCIA OSIEM

Efiya zniknęła. Ze względu na to, jak mija w Kefu czas, trudno powiedzieć dokładnie, od jak dawna jej nie ma. Może kilka dni, a może znacznie dłużej. Nawet będąc nieobecna, zostawia za sobą kawałek siebie. Nie jest to nic widzialnego, ale wyczuwam dreszcz, który przechodzi mi po plecach w samym środku dnia, bryzę tak słodką, że zaczyna mnie boleć brzuch.

Chodzę w tę i z powrotem po ogrodach, żeby uspokoić nerwy, ale to nie pomaga. Wciąż spodziewam się zobaczyć jej twarzyczkę wyglądającą zza drzewa. Chciałabym, żeby było inaczej. Nie mogę jednak zapominać, że zmieniła dzieci w *ndzumbi* i wypuściła demona z jego więzienia. Parszywego rudego kota też nigdzie nie ma. Szukałyśmy go z Terrą wszędzie. Mijam Nezi przekopującą ziemię w ogródku warzywnym. Choć jest cała brudna, widzę na jej dłoniach czerwone ślady. Idę dalej. Nie byłam w stanie spojrzeć jej w oczy, odkąd dzieci pierwszy raz pojawiły się w willi. Ty również jej unika. Nasza gospodyni stoi w drzwiach kuchni, wpatrując się w ścianę otaczającą ogród. Wyżyma w dłoniach brudną szmatę. Terra stoi obok studni, piorąc ubrania w beczce, szorując je tak mocno, że musi zdzierać sobie skórę z palców. Nie odzywa się. Wszystkie milczymy. Czekamy.

Przynajmniej Efiya uwolniła dzieci. Pewnego dnia, kiedy biegali razem po ogrodzie, stanęła w miejscu i powiedziała, że nie chce się więcej bawić. Na jej rozkaz wszystkie obudziły się z transu. Młodsze zaczęły płakać. Zabrałyśmy je z Terrą do domów, do ich rodziców, zaczarowanych przez Efiyę tak, by nie wiedzieli, że ich dzieci zaginęły.

Dzieci z ulicy wsadziłam na barkę płynącą do Tamaru razem z listem zaadresowanym do sierocińca. Znów powstrzymałam się przed napisaniem do Rudjeka. Tym razem było trudniej. Nie wiem, od jak dawna jesteśmy w Kefu. Czasem mam wrażenie, że minęły lata, a czasem – że ledwie kilka dzwonów. Czasem niebo wygląda identycznie przez wiele dni. Oko Re'Meca ustawia się pod takim kątem, jakby miała z niego cieknąć lawa. Niepokoję się na myśl o tym, że w reszcie świata mogło minąć wiele lat. Rudjek może już być całkiem dorosły. Tak samo jak Essnai i Sukar, Majka i Kira. Czy o mnie zapomnieli? Znienawidzili za to, że do nich nie napisałam? Tak czy inaczej, teraz, kiedy widziałam już zdolności Efiyi, wiem, że nie mogłabym poprosić przyjaciół, żeby tu do mnie przyjechali. Nie mogłabym żyć, wiedząc, co może się wydarzyć.

Są jeszcze *edam*. Co się stało z nimi i ich planem? Coś musiało pójść nie tak – inaczej babcia już by tu była. Oshhe siedzi ze skrzyżowanymi nogami i zamkniętymi oczami na panoramicznym balkonie na drugim piętrze. Chociaż bez żalu poświęciłabym więcej lat, by zdjąć klątwę z ojca, ryzyko jest zbyt duże. Jeśli znów zapadnę w głęboki sen, Efiya może w tym czasie uwolnić Króla Demonów, a ja nie będę mogła zareagować. Połykam łzy, które wzbierają we mnie niczym fale, próbując się wyzwolić. Heka pokazał mi górę połamanych ciał tak wysoką, że sięgała skraju nieba. Krew padała na Królestwo. Kałuże zmieniły się w jeziora, a jeziora w wezbrane rzeki. Nie mogę na to pozwolić.

– Przepraszam, ojcze. – Kładę dłoń na sercu. – Znów łamię swoją obietnicę.

Arti chodzi w tę i z powrotem po balkonie. W nocy przemierza wte i wewte korytarz, czekając na powrót Efiyi. Jest bardziej niż zwykle zdenerwowana – najwyraźniej Efiya odeszła, jej również nic nie mówiąc. A jeśli tak, jaka to perwersja zwróciła uwagę mojej siostry? Teraz, kiedy widziałam już, jak zmienia dzieci w *ndzumbi*, trudno mi sobie wyobrazić, do czego może być zdolna. Boję się, że zrobi coś znacznie gorszego.

Przestaję kręcić się w kółko i siadam, opierając się o drzewo *nehet* – sama, jeśli nie liczyć towarzystwa kaczek. Czekam na dobrą chwilę, żeby wykopać ukryte tu przed rytuałem kości przodków. Nie wiadomo, ile lat odbierze mi kolejny rytuał, nie mam też gwarancji, że zadziała, ale warto spróbować. Przodkowie łączą żywych z tymi, którzy wstąpili. Wzywamy ich, prosząc o pomoc i przewodnictwo. Kiedyś Oshhe często wzywał ich w sennych wizjach, a babcia czytała ich kości, żeby przewidzieć przyszłość. Ja użyję ich w inny sposób – by zaprosić moich przodków, żeby dołączyli do mnie. Teraz czekam na Efiyę. Mój plan zależy od jej obecności.

Odkąd jej nie ma, demony w ścianach nocami szepczą mi do ucha, nazywając mnie *ndzumbi*, bo tyle swoich lat oddałam magii. Mówią, że nie mam dość życia, by poświęcić je na następny rytuał. Mówią, że w zasadzie jestem już martwa, ale ja ich nie słucham. Nie chcę umierać, ale jeśli w ten sposób będę mogła powstrzymać Arti i Efiyę – zrobię to.

Staram się wierzyć, że dowiem się, jeśli uwolni Króla Demonów, bo czułam już jego magię. Była we mnie jednocześnie uspokajającą siłą i pulsującym ogniem – chroniła mnie, niemal mnie uwiodła. Jego magia dała mi jedną rzecz, której zawsze pragnęłam – nie byłam już spragnioną własnej magii córką-szarlatanką, zrodzoną z dwójki potężnych szamanów. Arti w pewnym chorym sensie wręczyła mi dar – magię, która odpowiadała mi niepytana i za którą nie musiałam oddawać swoich lat. Teraz, kiedy już jej nie ma, tęsknię za nią.

Obecność Efiyi jest jak igielki na mojej skórze. Nagle pojawia się tuż przede mną. Zrywam się na nogi, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Moja siostra... ona... Mój

rozum próbuje pojąć, kim jest dziewczyna stojąca naprzeciw mnie. Nie jest już dzieckiem. Jest bardzo podobna do naszej matki, ale jeszcze piękniejsza. Przypomina pomniki oriszy w świątyni, na które nie daje się patrzeć zbyt długo. Jeśli Nienazwana orisza była nieciekawa, Efiya stanowi jej przeciwieństwo. Jest teraz w moim wieku.

Znów upadam bez tchu na trawę.

– Wróciłaś.

– Tęskniłaś za mną? – Słowa Efiyi są melodyjne jak najpiękniejsza piosenka, a jej głos jest całkiem dorosły.

Obejmuję kolana ramionami, ale nie odpowiadam. Uśmiecha się, widząc moje zaciśnięte pięści. Wie, że boję się jej kaprysów. Ledwie przed chwilą po raz pierwszy zrobiła mi paskudną niespodziankę.

– Wszystko dobrze, Arrah? – pyta, siadając naprzeciw mnie. – Wyglądasz na chorą.

Jej magia skrobie mój umysł jak kocie pazury kamień. Nie okazuje frustracji, kiedy dociera do bariery, której nie potrafi przekroczyć. Pozwalam sobie na uśmiezek. Mój umysł wciąż należy tylko do mnie. Nawet jeśli to nic w porównaniu z demoniczną magią siostry, zawsze będę miała nad nią tę przewagę. Coś tylko mojego.

– Całkiem dobrze – mamroczę.

– Jesteś tajemnicą. – Efiya bierze jeden z moich warkoczy i przeciąga wzdłuż niego palcami. – Pewnego dnia wejrzę w twój umysł i poznam wszystkie sekrety.

– Czemu tak bardzo ci przeszkadza, że nie potrafisz czytać mi w myślach? – pytam.

– Widzę wszystkie możliwe wersje przyszłości. – Efiya owija sobie moje włosy wokół palca. – Bez trudu podróżuję w czasie, ale kiedy skupiam się na tobie, przyszłość jest pustką. Nie widzę konsekwencji moich działań przeciwko tobie ani twoich własnych. Czemu tak jest, droga siostrze?

Może i ma mnóstwo magii, ale brakuje jej rozsądku. Odpowiedź jest przecież oczywista, czyż nie? Przełykam ślinę, ale nie przynosi to ulgi wysuszonemu gardłu. Od pierwszego rytuału nie jestem już sobą, a drugi odebrał mi jeszcze więcej. Szłam polaną pomiędzy życiem a śmiercią. Demony pochwyciły moją duszę i omal nie wplotły mnie w makatę Kefu. Choć odzyskałam większość siły, jakiejś części mnie brakuje.

W jej przyszłości jestem już martwa. Oto odpowiedź. Oddałam tyle lat, że nic w tym dziwnego.

– Przyprawiasz mnie o ból głowy pytaniami, na które nie umiem odpowiedzieć.

Efiya ciągnie mnie za warkocz tak mocno, że moja skóra krzyczy. Sięgam w górę i chwytam za jeden z jej loków. Wydaje się zachwycona tą wymianą i wybucha śmiechem. W tym momencie nie zachowuje się jak szesnastolatka, na którą wygląda – wciąż zaskakują ją najdziwniejsze rzeczy, bo nigdy wcześniej ich nie doświadczyła.

Zabieram rękę i znów mocno wciskam pięści w uda. Nie mogę zapomnieć, kim ona jest, czym jest, co zrobiła. O tym, jak wyczarowała *ka* demona z powietrza.

– Gdzie byłaś?

– Polowałam – szepcze, jakby powierzała mi swój najświętszy sekret. – Zabiłam dziś oriszę.

Kręci mi się w głowie od tysiąca straszliwych myśli.

– Co zrobiłaś? – mówię, a serce wali mi w piersi.

– Nie chciał mi powiedzieć, gdzie Koré ukryła *ka* Króla Demonów. – Marszczy brwi.

Kręcę głową, a całe moje ciało drży.

– Efiyo, musisz przestać. Czy naprawdę nie rozumiesz, co się stanie, jeśli uwolnisz Króla Demonów? Cały świat zacznie krwawić.

– Tak. – Pochyla się ku mnie i patrzy swoimi jasnymi oczami. – Widziałam też zaświaty. Pięknie tam, siostrzo.

Wycieram łzy, kiedy do ogrodu wchodzi chudy mężczyzna w średnim wieku o ospowatej, opalonej skórze. Jest z nim Nezi. Już nie kuleje, kroczy z nowo odkrytą pewnością siebie. Z początku nie wiem, co się dzieje, zgaduję, że to Efiya ją uzdrowiła. Ale zaraz dostrzegam, że jej oczy, podobnie jak i oczy mężczyzny, są zielone i błyszczą nienaturalnym światłem. Mężczyzna przeczesuje palcami swoje tłuste włosy i mruga do mnie. Jest pokryty świerzbem tak samo jak rudy kot – ale ja nie mogę oderwać wzroku od Nezi. Odkąd ją znam, nigdy nie była w stanie się wyprostować, a w tym zimnym spojrzeniu nic z niej nie pozostało.

– Nezi? – dukam.

Istota udająca naszą gospodynię się uśmiecha.

– Odkąd *Ka*-Kapłan Ren Eké ją skrzywdził, chciała tylko umrzeć – mówi Efiya. – Matka powinna to była zrobić dawno temu, ale jest zbyt sentymentalna.

Jestem tak zszokowana, że nie umiem nic powiedzieć. Tak bardzo żal mi Nezi – tej prawdziwej. Czy kilka chwil temu w ogródku warzywnym widziałam ją, czy może to był już demon? Nie wiedziałam, że tak jej źle, nawet tego nie podejrzewałam. Wybuchy Ty mnie niepokoiły, ale Nezi nigdy.

– Podoba ci się moja nowa postać, Arrah? – zastanawia się rudowłosa Merka. – Jest dość zwykła, ale lepsze to niż kot, prawda?

– Zapraszam cię na rozmowę, Efiyo – surowym głosem woła z balkonu Arti.

– Już idę, matko! – odpowiada Efiya, nie zerkając nawet w jej stronę.

– Postąpiłam zgodnie z twoją radą, siostrzo.

Wstaje. Patrzą na hordę demonów za jej plecami – jest ich zbyt wiele, by je zliczyć – która przekracza bramę naszej posiadłości. Nie mogę dłużej zaprzeczać prawdzie. Moja siostra uwolniła setki demonów, które zrobiły sobie ucztę z *ka* niczego

niespodziewających się ludzi. Zabiła oriszę, nie zastanawiając się dwa razy. Przez cały ten czas martwiłam się Królem Demonów, ale ostrzeżenie Heki jej również dotyczyło.

– Buduję sobie dwór. Nie martw się, Ty i Oshhego zostawię matce, a Terrę tobie. Wy też zasługujecie na swoje zabawki.

Unosi brew, jakby czekała na podziękowania.

– Podobają ci się moi poddani? – Efiya promienieje. – Tobie też zrobię jednego, jeśli zechcesz.

Nie odzywam się, ściskając w pięści kosmyki jej włosów, kiedy ona znów rozplywa się w powietrzu.

Kości przodków.

Gorzka kora iboga.

Mięta i imbir.

Olej palmowy.

Włosy.

Kości przodków.

Gorzka kora iboga.

Mięta i imbir.

Olej palmowy.

Włosy.

Dziś w nocy zamierzam zabić moją siostrę.

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

Kiedy nad willą zapada wieczór, Efiya wkracza w pustkę i znika. Kamień spada mi z serca. Żadna jej część nie została tu, by obserwować. Kiedy jej nie ma, w willi jest więcej miejsca, powietrze jest czystsze. Jej magia i magia Arti są jak tysiące wibrujących nade mną skrzydełek.

Opieram się o dom gospodyni ze skrzyżowanymi ramionami, kiedy Merka prowadzi do Kefu pozostałe demony. Jest ich co najmniej dwieście. Moja siostra nie obudziła ich aż tyłu, żeby się zabawić, ale stworzyła sobie armię. Chce, by Królestwo padło przed nią na kolana. Jeśli jej nie powstrzymam, wszyscy – Rudjek, Sukar, Essnai, Majka, Kira – znajdują się w niebezpieczeństwie.

Gdy demony znikają, podchodzę do drzewa *nehet* nad stawem. Idę spokojnie, na wypadek, gdyby obserwowała mnie Arti. Czekam na zmierzch, żeby zacząć szukać kości. Pod górną, ciepłą warstwą moje palce napotykać tylko chłodną ziemię. Nie ma ich tu.

Po moim czole i karku spływa pot. Czyżbym zakopała kości pod innym drzewem? A może Arti je znalazła? Moje myśli spowija biała mgła. Gdzie one są? Grób był płytki. Poszukiwania nie powinny trwać tak długo.

Słyszysz za sobą kasznięcie Oshhego.

– Nie chcesz już słuchać moich historii, Mała Kapłanko.

Obracam się na pięcie, a serce wali mi w piersi. Mój ojciec jest wysoki i nieruchomy jak jeden z kamiennych posągów w Tamarze. Zawsze był szczupły, ale teraz jest zbyt chudy, jego policzki są zapadnięte, ramiona kościste, a rysy twarzy wyostrome. Ogarnia mnie wstyd i odwracam wzrok. Nie porzuciłam nadziei, że uda się go uratować, ale najważniejsze jest teraz powstrzymanie Efiyi.

– Od dawna żadnej mi nie opowiedziałeś – przypominam. – Tęsknię za nimi.

Nie dodaję, że tuż po klątwie, kiedy opowiadał jeszcze swoje historie, brzmiały one zupełnie inaczej, bo nie było w nich serca. Ojciec marszczy brwi, zwracając się ku dołkom w ziemi.

– Co robisz?

Przez zaciśnięte zęby biorę głęboki oddech.

– Kopię dołki.

Oshhe patrzy na mnie skupionymi wreszcie oczami. Obudziła się magia, którą ma w sobie. Jeśli pomyśli, że występuję przeciwko Arti, spróbuje mnie powstrzymać, ale matka nie jest teraz największym z moich zmartwień. Powiedziała, że nigdy więcej mnie nie zlekceważy, ale w jej chłodnych słowach pobrzmiwała duma, a nawet szacunek. Oczywiście zyskałam jej uznanie dopiero, gdy znalazłam się na krawędzi życia i śmierci.

– Rano posadzę stokrotki deszczowe – zagryzam wargę – będzie jak w domu.

Kiedy wspominam o domu, twarz ojca promienieje. W jego oczach pojawia się tęsknota, która łamie mi serce.

– Jeśli będę je podlewać, powinny się tu przyjąć. – Gładzę palcami ziemię, przypominając sobie inny ogród i inny czas. – Choć powietrze jest takie suche.

– Chyba tak... – Ojciec gładzi się po brodzie.

– Miejsce pod drzewem *nehet* wydaje się właściwe. – Zagryzam wnętrze policzka.

Jakaś jego część musi wiedzieć, że coś – że wszystko – jest nie tak, ale nie potrafię czytać w jego myślach. Odkąd jesteśmy w Kefu, coraz mniej sobie przypomina. Rzadko nawiązuje rozmowę, nie wspominając nawet o snuciu opowieści. Arti jest zbyt zajęta spiskowaniem z Efią, żeby cokolwiek zauważyć.

– Lepiej by im było nad stawem, gdzie jest więcej słońca. Powinnaś o tym wiedzieć, Mała Kapłanko.

– Masz rację – przyznaję, ciężko wzdychając. – Jutro wykopię nowe dołki. Teraz jestem już zmęczona.

– Rano pójde na targ i kupię mleczne cukierki. – Jego głos jest pełen entuzjazmu. – Popracujemy razem w ogrodzie, jak kiedyś. Tęsknię za czasem spędzonym z tobą. Tak szybko dorastasz.

Uśmiecham się, ale serce ściska mi się w piersi. Tak bardzo chciałabym wrócić do tamtych czasów.

– A co sądzisz o twojej drugiej córce? Czyż ona nie dorosła jeszcze szybciej?

Oshhe nigdy nie rozmawia z Efią. Nie zdołał jej nawet poznać przez to, jak w Kefu mija czas. Nie ma z nim takiej relacji jak ja. Wierzę, że gdyby był sobą, pomógłby mi przeciągnąć ją na naszą stronę.

– Owszem. – Oshhe się uśmiecha. – Obie dorosłyście szybko. Moje dwie Małe Kapłanki.

– Ona nie jest Małą Kapłanką. – Zaciskam zęby. – Jest przeklętym demonem.

– Czy chcesz teraz posłuchać historii? – pyta Oshhe, jakby mnie nie usłyszał.

– Nie teraz, ojcie. – Krzywię się. – Porozmawiamy jutro podczas sadzenia kwiatów.

– Dobrze. – Oshhe klaszcze raz w dłonie. – Opowiem ci historię o jednym z moich przodków.

Uśmiecha się, ale nie zatrzymuje na dłużej. Rozkopuję ziemię pod trzema różnymi drzewami *nehet*, nim odnajdę kości. Pot spływa mi po plecach, a opuszki palców są zdarte od kopania. Światło księżyca błyszczący w ziemi, a moje myśli zwracają się ku Koré. Nie widziałam jej od dnia, kiedy zdjęłam klątwę Arti.

Teraz, kiedy mam już kości, parzę połowę kory iboga w herbacie z mięty i imbiru, a drugi kawałek chowam pod język. Z początku smakuje orzechowo, ale zaraz robi się kwaśny. Kiedy napar jest gotowy, moje usta tracą czucie, a język staje się napuchnięty i bezużyteczny. Czując zbliżającą się obecność Efiyi, wracam do pokoju, żeby przejść do ostatniej fazy rytuału.

Siadam przed lustrem w swoim pokoju, owijając włosy Efiyi wokół kości. Każdy nerw w moim ciele wyrywa się naprzód, ale rytuały wymagają czasu – nawet w miejscu, w którym czas nie ma znaczenia. Muszę być cierpliwa. Magia przodków wymaga szacunku, jak starszyzna. Kości są tak małe, że muszę powtarzać czynność kilka razy. Wreszcie nacieram je olejem palmowym i przywiązuję kawałkiem szmatki do mojej lewej dłoni. Wypijam napar z mięty i imbiru. Czekam.

Jestem Arrah.

Usłyszcie mój głos, o wielcy przodkowie.

Usłyszcie moje błaganie.

Odpowiedzcie na moje potrzeby.

Pobłogosławcie mnie swoją obecnością.

Wypowiadane z moim tamarskim akcentem słowa w języku Aatiri brzmią chropawo – powtarzałam je dotąd tylko w myślach. Teraz zaczyna się oczekiwanie. Bicie mojego serca, wdechy i wydechy odmierzają czas. Tyle czasu, że rodzą się we mnie wątpliwości. Demony na ścianach szepczą, że nie mam dość lat do oddania, by odbyć kolejny rytuał. Im dłużej czekam na nadejście magii, tym bardziej obawiam się, że mają rację. Znowu powtarzam te same słowa, tym razem wolniej, skupiając się na każdej sylabie. Tym razem magia skrzy się w ścianach i na suficie. Wstrzymuję oddech, kiedy unosi się w powietrzu, wciąż niepewna, czy odpowiedzieć na moje wezwanie. Zamiast rozpaść moją skórę, otacza mnie kołem.

Moje mięśnie rozdziera ogień. Mocno zaciskam zęby, żeby nie zemdleć, i zaraz ból znika – szybciej niż poprzednio. Bolać mnie dziąsła, a kiedy przeciągam językiem po wnętrzu ust, wypada mi jeden z tylnych zębów. Sięgam ku niemu drżącą dłonią, chcąc włożyć go z powrotem na miejsce – w swojej głupocie wierzę, że to możliwe. Po chwili rezygnuję i spoglądam na ząb – jest czarny i zgniły. Ojciec powiedział, że magia zabiera, co tylko chce. Może zabrać kilka lat, a może odebrać wszystkie. Tym razem okazała mi łaskę i nie uczyniła ze mnie kaleki. Ząb to niska cena.

Ponad kośćmi unosi się mgła, która zasłania mi widok – ale tylko w lustrze. Sypialnia pozostaje niezmienną. Oczy bołą mnie od zbyt długiego wpatrywania się w jeden punkt. Mrugam. Za moim odbiciem pojawiają się trzy kobiety. Serce mocno wali mi w piersi. Chociaż miałam nadzieję, że rytuał się powiedzie, i tak jestem zaskoczona.

Kiedy się odwracam, nikogo tam nie ma. Trzy wielkie przodkinie Aatiri są ze mną tylko duchem. Ich oczy są białe, a twarze pozbawione wyrazu. Padam na kolana i kładę dłonie na udach w geście szacunku.

Nie wolno mi odezwać się pierwszej, więc znów czekam. Mrugają, a ich oczy z białych zmieniają się w całkiem czarne. Pierwsza odzywa się ta pośrodku, która przypomina mi babcię. Jej głos jest chrapliwy i władczy.

– Kim jesteś, żeby nas wzywać?

Żeby magia zadziałała, muszę przekonać je o swojej wartości i nauczyć się ich imion.

– Jestem Arrah – odpowiadam – córka Oshhego, który jest synem Mnekki, wielkiej przywódczyni Aatiri.

– Mnekka była moją ulubioną wnuczką. – Kobieta się uśmiecha.

– Ja jestem jej ulubienicą. – A przynajmniej mam taką nadzieję.

Kobieta kiwa głową.

– Jestem Nyarri.

Znów czekam.

Dwie pozostałe kobiety najwyraźniej chcą, żebym poczekała dłużej. Kusi mnie, żeby się odezwać, ale powstrzymuję język.

Zaciśnięte na kolanach dłonie zaczynają drżeć. Proszę. Proszę. Proszę. Muszą mi zdradzić swoje imiona i pomóc zabić Efiyę. Nie dam rady zrobić tego sama.

– Proszę – szepczę.

– Błaganie na nic się nie zda – syczy kobieta po prawej stronie Nyarri.

– Nie jesteś prawdziwą Aatiri, dziewczyno. W twoich żyłach płynie krew Mulani.

– Nie mówisz dobrze w naszym języku – dodaje chłodno kobieta po lewej stronie Nyarri. – Jak śmiesz nas wzywać, nie znając naszych zwyczajów?

Zaciskam pięści tak mocno, że paznokcie wbijają mi się w ciało.

– Owszem, w moich żyłach płynie krew Mulani. Ale od was też pochodzę. Czyżbym nie była warta waszej pomocy przez swoją inność? Dlatego, że nie wychowałam się w plemienu Aatiri i nie znam języka? Oceniajcie moją wartość po tym, kim jestem, nie po tym, kim nie jestem. Jestem ciałem z waszego ciała. Odpowiedzcie na moje wezwanie, o przodkinie, i wysłuchajcie mojej prośby. Potrzebuję waszej pomocy.

– Mówisz jak prawdziwa Aatiri. – Przodkini po lewej stronie kiwa z uznaniem głową. – Jestem Ouula.

Przodkini po prawej macha ręką i uśmiecha się drwiąco. Zachowuje się, jakbym pozostałe dwie przekonała tanią sztuczką. Jej włosy nie są zaplecione w popularne wśród Aatiri warkocze. Jej loki opadają luźno we wszystkie strony – jak moje, kiedy ich nie zaplotę. Chociaż przypominam matkę, mam głęboko osadzone oczy tej przodkini.

Jako że już się odezwała, pytam:

– Czy zaprzeczysz, że jestem twoją potomkinią?

Krzyżuje ramiona. Jest równie uparta jak ja.

– Jeśli zaprzeczysz, że jestem z twojej krwi – nalegam – poproszę cię o przebaczenie.

Twarz kobiety łagodnieje, chociaż wciąż patrzy na mnie nieco krzywo.

– Jestem Arra. – Wzdycha i przewraca oczami. – Jak rozumiem, jesteś moją imienniczką.

Oddycham z drzeniem. Skoro to już mamy za sobą, mogę przekazać przodkiniom swoją prośbę. Nie wchodzę w szczegóły, ale to, co im mówię, straszliwie je wścieka. Kłóćą się ze sobą, jak często Mulani są tak krótkowzroczni. Nie chcę im przerywać, ale naprawdę mi się spieszy.

– Zaprowadź nas do zielonego węża – mówi Nyarri – a my zajmiemy się resztą.

To musi się udać. To moja jedyna szansa, skoro nie pomagają mi *edam* ani Koré.

– Jestem gotowa. – Z trudem wstaję, a nogi mi się trzęsą przygniecione ciężarem tego, co muszę zrobić.

Arra kląska językiem.

– Chodźmy, dziewczyno. Nie jesteś dość silna, by długo nas tu trzymać.

Kiedy odchodzę od lustra, idą za mną, milczące i niewidzialne. Docieramy do salonu, gdzie Efiya jest z Merką i demonem, który przejął ciało i imię Nezi. Moja siostra siedzi na piedestale, na tronie wysadzonym klejnotami i złotem. To dokładna replika tronu z Wszechpotężnego Pałacu, który widziałam tylko kilka razy. To oznacza, że Efiya musiała odwiedzić Królestwo. Mój puls jest tak szybki, że czuję wibrowanie w uszach. Natychmiast zaczynam myśleć o przyjaciołach. Potykając się, podchodzę do siostry.

Merka jak zwykle na coś się skarży, ale Efiya już go nie słucha. Podnosi się z krzesła, z każdym krokiem w moją stronę uśmiecha się coraz szerzej. Wie. Oczywiście, że wie.

– Przyrowadź nas bliżej – szepcze Ouula.

Kiedy staję tuż przed nią, patrzy na mnie pełnym podniecenia wzrokiem. Moja siostra pragnie tego wyzwania i się go spodziewała. Nie udało mi się jej oszukać. Jest

zbyt sprytna, zbyt inteligentna, by wpaść w zastawioną przeze mnie pułapkę. Nikt nie odważyłby się wystąpić przeciw dziewczynie, która potrafi zrywać z nieba dusze demonów, jak zrywa się jabłka z drzewa. Dziewczynie, która potrafi zmienić dzieci w *ndzumbi*. Moja siostra to główna bohaterka wszystkich strasznych historii o złych szamanach, które opowiadał mi ojciec – tyle że ona jest znacznie gorsza. Ale ja nie jestem już dzieckiem i choć cała się trzęsę, czując na sobie jej spojrzenie, nie zamierzam ustąpić.

Efiya zerka mi przez ramię i uśmiecha się coraz szerzej.

– Zaskakujesz mnie, siostro.

Merka i Nezi zostają na postumencie. Wydają się urażeni, że Efiya nie zwraca już na nich uwagi. Nie widzą przodkiń i po prostu dalej prowadzą rozmowę.

– A więc? – Efiya zniecierpliwiona unosi brew.

Próbowałam sobie wyobrazić, jaka byłaby moja siostra, gdyby nie urodziła się w tak strasznych okolicznościach. Czy byłaby urocza i radosna? Śmiała i nieustępliwa? Jaka by była, gdyby nie rządziła nią Arti i magia demonów? Byłaby niemowlęciem, które tuliłabym w ramionach, a potem małą dziewczynką, biegającą za mną po targu. Chciałaby pójść na ryby ze mną i Rudjkiem, a chociaż bym na to narzekała, do głowy by mi nie przyszło zostawić jej samej. Na myśl o tej wersji Efiyi, napełnia mnie tęsknota. Tęsknota za czymś, co nigdy się nie wydarzy. Nigdy nie będziemy prawdziwymi siostrami. Możemy być dla siebie jedynie wrogami. A wszystko to wina naszej matki.

– Teraz, dziewczyno – syczy mi do ucha Nyarri – wypuść nas.

Kiedy przodkinie wyłaniają się z cienia, Merka i Nezi podskakują z przestraszeniem, ale Efiya nie. Siła *ka* przodkiń jest tak wielka, że odrzuca mnie w tył. Uderzam o ścianę, ale zaraz znowu wstaję. Kręci mi się w głowie, a moja pierś płonie. Zbliżają się do Efiyi jak szalejąca burza, a ja czuję w sercu ukłucie. Jakaś część mnie pragnie, by wyrwały z jej duszy demoniczną magię, ale zostawiły w spokoju dziewczynę. Dziewczynę, która mogłaby być kimś znacznie więcej. Wichura szaleje po pokoju jak dzika bestia, a na gardle, ramionach i piersi Efiyi pojawiają się cięcia. Rany goją się jednak niemal od razu, co wyrwa mnie z bezsensownego stuporu. Moja siostra jest tą osobą, którą miała być i to się nigdy nie zmieni.

Kolejna przodkini uwalnia swoją magię, a Efiya staje w płomieniach. Ogień jest jaskrawobiały, a skóra mojej siostry pęka i pokrywa się pęcherzami, po czym odpada jak popiół. Kiedy ogień ją pochłania, nie wydaje z siebie najmniejszego dźwięku. Staje się płomieniem w kształcie dziewczyny, cała z ognia. Kiedy na nowo przyjmuje ludzki kształt, zaczyna wysychać, marszcząc się jak skóra za długo leżąca na słońcu. To też nie działa. Cokolwiek przodkinie wymyślą, tylko na chwilę spowalniają Efiyę.

Biorę nóż ukryty w moim rękawie i rzucam się na siostrę. W ostatniej chwili staje przede mną Merka, a mój nóż zatapia się w jego sercu. Kiedy wyciągam ostrze z ciała, krew oblewa moją drżącą rękę. Chwiejnie cofa się o krok, a Efiya chwyta go za ramię. Rana zasklepia się na moich oczach. Merka się prostuje, a Nezi staje po drugiej stronie Efyi.

Jest już za późno. Nie mogę dłużej zatrzymywać *ka* przodkiń. Odrywają się ode mnie z trzaskiem, który odbiera mi oddech. Efiya się uśmiecha, a moje plecy przeszywa ból. Padam na kolana. Chwyta nóż, który wypuszczam z dłoni.

– Daj mi jakiś powód, żebym cię nie zabiła, droga siostrze. – Przyciska ostrze do mojego gardła. Jej oczy znów błyszczą podnieceniem. To dla niej zabawa, jak wtedy, kiedy kazała chłopcu odciąć sobie palec. – Jeśli ten powód mi się spodoba, oszczędzę cię. A jeśli nie... – Wzrusza ramionami.

Zbieram się, by splunąć jej w twarz, kiedy u mojego boku pojawia się Arti. Jej magia owija się wokół mnie. Wyraz twarzy matki jest równie obojętny co zawsze. Może każe Efyi to zrobić: wreszcie ze mną skończyć. Nie wiem, dlaczego pozwoliła mi żyć tak długo, skoro ma już córkę, której zawsze pragnęła. Arti jednak krzyżuje ramiona na piersi, patrząc surowo.

– Dam ci jedyny powód, który ma znaczenie.

Merka i Nezi patrzą na nią ze wściekłością, ale Efiya przechyla tylko głowę na bok, dając jej do zrozumienia, że słucha.

– Nie możesz przewidzieć konsekwencji jej śmierci – wzdycha Arti gardłowo i z frustracją. – Możliwe, że nic się nie wydarzy, ale możliwe też, że zniszczy wszystko. Czy jesteś gotowa podjąć to ryzyko?

Efiya znów na mnie spogląda, nieco mocniej wciskając w moje ciało nóż. Na krótką chwilę jej spojrzenie traci ostrość. Czyżby znów próbowała wejrzeć w przyszłość? Czy mnie widzi? Mruga i opuszcza nóż.

Arti mruży oczy, a jej głos jest pełen tej samej goryczy, którą tak dobrze znam z jej dawnych drwin.

– Skończ te głupie gierki i skup się na zadaniu.

– Sprzeciwiłabyś mi się dla niej? – pyta Efiya ze zmarszczoną gniewnie twarzą.

– Sama mi to powiedz, Efiyo. – Arti karcąco mruży oczy. – Przecież umiesz czytać mi w myślach.

Efiya wydyma wargi jak rozpieszczone dziecko i wraca na swój tron. Merka i Nezi kroczą za nią. Ból znika, a ja oddycham z ulgą. Nie wyobrażam sobie tego – dłoń Arti drży, kiedy chwyta mnie za ramię i każe wracać do pokoju. W jej zimnych oczach dostrzegam mgnienie ulgi, a jej magia otacza mnie jak tarcza.

Moja matka uratowała mi życie.

TRZYDZIEŚCI

Przez całą noc myślałam o babci. Tęsknię za czasem spędzonym razem podczas święta Krwawego Księżyca, kiedy moim jedynym zmartwieniem był brak magii. Jakże błahym się to dziś wydaje! Zrobiłam wszystko, co możliwe, by zyskać na czasie, aż *edam* będą mogli zacząć działać. Kiedy to się nie udało, próbowałam przeciągnąć Efiyę na swoją stronę, a trzy dni temu – zabić. Sama nic więcej zrobić nie mogę. Potrzebuję pomocy. Babcia nigdy by mnie nie opuściła, ale przyjmuję z rezygnacją, że *edam* albo nie mogą, albo nie chcą przyjść. Dlatego ja muszę pójść do nich.

Dziś w nocy planuję ucieczkę. Nie jestem pewna, czy *edam* zdołają zawalczyć z Efiyą, która potrafi zabić oriszę i zebrać armię demonów, ale nie mogę mieć dziś wątpliwości. Inna możliwość nie istnieje. Potrzebuję żelaznej siły mojej babci. A jeśli poza Kefu minęły całe dziesięciolecia i *edam* zastąpiło nowe pokolenie, do niego się zwrócę.

Leżę w łóżku ubrana w tunikę i spodnie, a pod prześcieradłem czeka spakowana sakwa. Jestem napięta i nieruchoma. Od wielu godzin czekam, aż Efiya stąd odejdzie, a kiedy to się wreszcie dzieje, dla pewności czekam jeszcze chwilę. Nie mogę przestać myśleć o tronie Wszechpotężnego w salonie i o tym, co on oznacza. Efiya była w Tamarze. I nie tylko – była we Wszechpotężnym Pałacu. Powtarzam sobie, że u moich przyjaciół wszystko w porządku. Nie ma powodu, by ich atakować. Ale słyszę też głos Arti, okrutny wyrok, który wydała, kiedy wezwała do Świątyni Shezmu, tamtej strasznej nocy, kiedy powstała Efiya.

Nim nadejdzie koniec, stracisz wielu przyjaciół.

Serce mi się ściska, a żadna ilość głębokich oddechów mnie nie uspokaja.

Kiedy myślę o matce, zasycha mi w ustach. Uratowała mnie przed Efiyą, chociaż nie dała po sobie poznać, by cokolwiek to dla niej znaczyło. Ścisnęła mnie tylko później za ramię drżącą, chłodną ręką. W tamtej chwili ofiarowała mi mgliste pocieszenie. Czyżby choć trochę żałowała tego, co zrobiła? Nie wiem i nie mam czasu się nad tym zastanawiać. Nie mogę też pozwolić, by dowiedziała się o moim planie.

Już prawie wstaję, kiedy ostry ból przeszywa moje czoło. Opadam na poduszkę. Szepty wkluwają się w mój umysł jak igły. Chociaż powietrze jest gorące jak piec w moim pokoju, moje plecy przeszywa deszcz. Obejmuję się ramionami, żeby odeprzeć zimno i panikę. Szepty brzmią inaczej niż demony w ścianach, które tylko ze

mnie drwią. To coś nowego – bzyczą jak rój wściekłych pszczoł, które straciły królową. Zakrywam uszy i zaciskam zęby, ale dźwięk wibruje mi w czaszce. Moje ciało wypełnia strach. Co moja siostra zrobiła tym razem?

Szepty szybko cichną, to nie czas, by zastanawiać się nad ich znaczeniem. Muszę wyjść przed powrotem Efiyi. Nie pozwalając, by sparaliżował mnie strach, wsuwam stopy w buty i chwytam swój bagaż. Moje stopy uderzają w podłogę, gdy wychodzę z sypialni w pośpiechu, a ciemność wysysa dźwięk kroków. Nie powinno to być w ogóle możliwe, ale czuję ulgę, schodząc po schodach na pierwsze piętro. Chowańce migoczą w świetle księżycyca w otwartych oknach, ale mnie nie zauważają.

Nie chcę zostawiać ojca na łasce Arti i mojej siostry. Zrobił wszystko, czego matka od niego chciała, ale ona wciąż nie ma w sobie na tyle przyzwoitości, by go uwolnić. A on jej nie zostawi. Na myśl o tym, co muszę zrobić, ściska mi się żołądek. Nie mam wyboru. Czuję się jak najgorsza córka na świecie, ale jeśli uda mi się dotrzeć do babci, ona i pozostali *edam* go uwolnią. Muszę w to wierzyć. Alternatywa byłaby nie do zniesienia.

Wkradam się do pokoju Terry i Ty, która wprowadziła się tam, kiedy demon porwał Nezi.

– Obudź się. – Mój głos wibruje cicho.

Ty budzi się i zapala stojącą przy łóżku lampkę oliwną. Światło sprawia, że robi się zbyt jasno. Zdaję sobie sprawę, że w pokoju nie ma okna, nie dociera tu więc światło księżycyca. Nie powinnam była wcale ich widzieć.

– Musimy iść – naciskam. – Musimy uciec pod nieobecność Efiyi.

Jeśli mamy się wymknąć, musimy to zrobić teraz, zanim ona wróci, a Arti domyśli się, co się dzieje. Terra wpatruje się we mnie, zamiast się poruszyć. Ty krzyżuje ramiona na piersi.

– Dokąd? – pyta Terra. – Znajdzie nas.

– Znam pewne miejsce. – To nieprawda, ale nie mam czasu przekonywać ich, żeby do mnie dołączyły.

Ty kręci głową. Mimo wszystkiego, co Arti zrobiła, wciąż jest lojalna wobec mojej matki.

Terra wiąże swój koc w supeł.

– Nie powinno cię tu być, Arrah.

– Opuzczam to miejsce – mówię z uporem. – Możecie zaryzykować i poszukać wolności albo pozostać niewolnicami kaprysów Efiyi. Jak myślicie, jak długo potrwa, nim wasze ciała też odda demonom?

Ty przyciska dłoń do serca w geście miłości i opada z powrotem na poduszkę. Jej oczy są szkliste, jakby wolność była smakołykiem z dzieciństwa, z którego już wyrosła.

Ona ze mną nie pójdzie. Odwzajemniam jej gest, przełykając łzy. Terra zagryza wargę, wstaje z łóżka i zaczyna się ubierać. Ty chrząka, jakby chciała powiedzieć, że Terra jest głuptaską, ale na tę głuptaskę czeka jej rodzina. Ojciec, którego dług spłaciła już trzy razy, i matka opiekująca się jej rodzeństwem.

W milczeniu wykradamy się z willi i wkraczamy w otaczającą ją ciemność. Jest nieskończona i ciężka, oblepia naszą skórę jak melasa. Jest w niej nerwowość, która szarpie mój umysł pazurami. Tym razem jednak mrok mnie nie dusi. Nie wiem, jak to możliwe, ale widzę w niej wyraźną ścieżkę, coś w rodzaju rozdroża. Wskazuję wyblakłe białe linie, ale Terra ich nie widzi. Demony są bezkształtną masą, ale ich umysły szepczą do mnie. Zaciskam zęby, starając się je zignorować.

Ona cię odnajdzie.

Ona cię połknie.

Jesteś już martwa.

Nie uciekniesz, mała szarlatanko.

Głosy mówią o cierpieniu, o pożądaniu, o okrutnym głodzie. Inne głosy – te z mojego pokoju, te w mojej głowie – mówiły wszystkie jednocześnie i nie mogłam ich zrozumieć. Terra dotyka mojego ramienia. Nie widzę jej w nieustępliwej ciemności, ale w opuszkach jej palców pulsuje niepokój. To bez sensu, że dostrzegam te białe linie. Że widzę kształt dusz demonów i ślady ich skrzydeł. Fakt, że w ogóle mają skrzydła, to jeden z wielu szczegółów, które orisze zachowali dla siebie.

– Wszystko w porządku? – pyta Terra.

Nic nie jest w porządku, ale tak czy inaczej, opuszczę dzisiaj Kefu. Za bramą jastrzębie oblegają pustynię, piszcząc jak oszalałe. Cokolwiek tak zdenerwowało demony, z ptakami zrobiło to samo. Dostrzegam plecy Arti i mój żołądek się kurczy. Stoi na naszej drodze, a jej koszula nocna trzepocze na wietrze. Terra sztywnieje i chowa się za moimi plecami. Powinnam była wiedzieć, że matka spróbuje nas powstrzymać – nic jej nie umyka.

Prostuję się nieco, biorę Terrę za rękę i kroczę ciężko do przodu. Nie będę dłużej kulić się przed matką. Niech robi to, co najgorsze. Jeśli będzie trzeba, zwrócę się do tej części jej osoby, która uratowała mi życie.

– Ona wszystko niszczy – mówi Arti głosem tak potulnym, że mnie zaskakuje. – Na co się zdało całe moje planowanie...?

Matka obraca się, a ja aż nieruchomieję na widok jej wychudłej, zmęczonej twarzy i czerwonych oczu. Przerywa, jakby spodziewała się ode mnie pocieszenia.

Nie pozwolę sobie na litość wobec Arti. Znała konsekwencje – za bardzo pragnęła uwolnić Króla Demonów, by się nimi przejąć.

– Heka cię ostrzegał – mówię, cała się trzęsąc ze złości – ale go nie słuchałaś. Teraz nad nią nie panujesz. – Choć chcę jej to wypomnieć, moja satysfakcja smakuje gorzko. Arti unosi podbródek, zaciska wargi.

– Mogę to naprawić.

– Możesz?! – wołam. – Możesz przywrócić do życia Kofiego i pozostałe dzieci? Możesz naprawić wszystkie szkody, których narobiłyście z Efią?

Trzepot skrzydeł magii Arti muska moje przedramiona, ona zaś mruży oczy.

– Co ty tu robisz?

Zaskakuje mnie, że dopiero teraz mnie o to pyta, ale najwyraźniej tak jak ja wyczuwa, że Efiya znów zrobiła coś okrutnego.

Krzyżuję ramiona na piersi.

– Nie ma tu dla mnie miejsca.

– Odchodzisz stąd? – pyta mnie Arti z nieprzeniknioną miną.

– Tak – odpowiadam. – Nie próbuj mnie zatrzymać.

– Może tak będzie lepiej. – Matka znów się ode mnie odwraca. – Efiya jest nieobliczalna.

Patrzę na nią z wściekłością, zszokowana, że ma do powiedzenia tylko tyle. Chcę splunąć na ziemię, ale ona nie jest tego warta. Niech cierpi tutaj, z Efią. Na taki zasłużyła los.

Wśród niedopowiedzeń nie ma miejsca na pożegnanie między matką a mną. Idziemy z Terrą w stronę Kefu, a ostatnie słowa i obojętne spojrzenie Arti są jak drwina. Może tak będzie lepiej.

Idziemy przez długi, zbyt długi czas, a Kefu wciąż jest odległym przebłyskiem. Nocne jastrzębie zaczynają krążyć nad nami, krzycząc coraz głośniejsze z każdym naszym krokiem. Terra wciąż je przeklina, ale ja nie tracę energii. Martwi mnie raczej klucie magii demonów. Nie wiem, gdzie się podziała moja siostra, ale zostawiła na straży część swojej armii. Odkąd wyruszyliśmy na pustynię, nie widziałam żadnych demonów pod ludzką postacią oprócz Merki i Nezi. Nie spodziewałam się, że ukryte w cieniu, będą nas śledzić.

Ściskam pas na ramieniu tak mocno, że boli mnie dłoń. Powinnam była obmyślić prawdziwy plan, ale jestem tu, gdzie jestem i nie zamierzam się cofać. Dlaczego nie atakują? Niezależnie od przyczyny, nie boję się ich tak bardzo jak kiedyś. Coś się zmieniło, coś nowego obudziło się we mnie. Wypełnia moją skórę ciepłem.

– Co zrobimy, kiedy Efiya nas znajdzie? – pyta Terra.

– Jeszcze nie wiem. – To najszczerza możliwa odpowiedź.

Kiedy wreszcie docieramy do Kefu, wciąż jest noc. W portowym mieście panuje cisza, a ulice pogrążone są w półmroku. W powietrzu czuć napięcie. Czy mieszkańcy

też czują niepokój demonów? Przenoszę wzrok z jednej twarzy na drugą, szukając nienaturalnie zielonych oczu. Serce wali mi w piersi. Tu też obecna jest magia demonów, która unosi się na wietrze. Ruszamy w kierunku portu – to jedyna droga ucieczki z tego nieszczęsnego miasta. Mężczyźni wyciągają skrzynie zapasów ze statków, używając sznurów i kół pasowych. Rybacy, tragarze, najróżniejsi kupcy zajmują się swoimi sprawami, jakby pogrążeni w transie. Drogę zastępuje nam trzech rybaków. Nie, nie rybaków – demonów. Ich magia wspina się po moich ramionach, wywołując dreszcze.

– Nie. – Terra kręci głową. – Nie wrócę tam! – W panice skręca w alejkę.

– Terro, nie! – Biegnę za nią.

W połowie alejki doganiam ją i zdaję sobie sprawę, że jesteśmy w pułapce. Po twarzy Terry płyną łzy, kiedy z każdej strony osacza nas po pięć demonów. Szukam czegoś, czegokolwiek, czym mogłabym się bronić, ale są tu tylko beczki pełne śmieci, które cuchną rybimi odpadami. Nie pierwszy raz tęsknię za swoją demoniczną magią, ale czy zadziałałaby ona w starciu z nimi? Chwytam Terrę za rękę i zbliżamy się do siebie. A więc to koniec. Trudno mi uwierzyć, że po wszystkim, co się wydarzyło, tak właśnie będzie wyglądał.

Powietrze wokół nas porusza się, a z pustki wyłania się Koré. Wzdycham, uwalniając więziony długo oddech. Bałam się, że ona i *edam* już się poddali. Ma na sobie czarne spodnie, białą bluzkę i kamizelkę. Jej długie warkocze spięte są w koński ogon – ten jeden raz nie zwijają się wokół jej głowy. Uśmiecha się do mnie szeroko. Wciąż pamiętam chłodny wzrok mojej matki, dobrze jest więc zobaczyć kogoś miłego.

– O, zabrałaś ze sobą koleżankę.

Terra u mojego boku drży i opiera się o ścianę.

– Wszystko w porządku. – Podnoszę dłonie, żeby ją uspokoić. – Koré przyszła nam pomóc.

Terra marszczy czoło, ale nie protestuje.

– Gdzie byłaś? – pytam Koré. – I gdzie są *edam*?

– Będą tu niedługo. – Patrzy na mnie smutnymi oczyma.

Całe moje ciało ogarnia ulga. Babcia i pozostali szamani nadchodzą. Wreszcie zakończą okrutne panowanie mojej siostry.

– Wstrętne bestie. – Koré s pluwa na ziemię i demonstracyjnie wyciera usta. Demony przeniosły całą swoją uwagę na nią. Ich zielone oczy świecą jaśniej, ich zęby są obnażone. Jej włosy zaczynają wić się wokół twarzy, kiedy przekręca głowę na jeden, potem na drugi bok. – To będzie świetna zabawa.

To ona jest powodem, dla którego nie zaatakowały na pustyni. Chciały wpięć się do niej, żeby ukraść *ka* swojego pana, co oznacza, że Efiya jeszcze go nie

znalazła.

Koré kłania się demonom.

– Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

Syczą na nią, a ich głosy są jak śpiew chorych ptaków.

– Daj nam pudełko!

– Jakie pudełko? – wzrusza ramionami, udając, że o niczym nie wie.

– Nie baw się z nami, fałszywa bogini.

– Fałszywa bogini? – Krzywi się. – Ranicie mnie.

– Przyjdzie po ciebie – ostrzega ją inny demon.

Koré unosi z zainteresowaniem brew.

– A wy zginiecie, zanim to się stanie.

– Co oni mówią? – szepcze Terra, pochylając się ku mnie.

– Co... – Marszczę czoło, zdając sobie sprawę, że zarówno Koré, jak i demony mówią w języku, którego nie powinnam rozumieć. W języku, którego Arti użyła podczas tego straszego rytuału. Najpierw szept, potem ostry ból, który poczułam w pokoju, a teraz to. – Ustawiają się... – mamroczę, zamyślona.

Demony wyciągają swoje miecze, ale nie podchodzą bliżej. Najwyraźniej czekają na moją siostrę. W dłoniach Koré pojawiają się dwa widmowe sztylety. Ich rękojeści błyszczą, a ostrza się żarzą. Demon skrada się ku niej. Kiedy podchodzi zbyt blisko, jeden z jej warkoczy trafia go w gardło i rozrywa go błyskawica. Jego *ka* opuszcza ciało i znika w mroku nocy.

Dziewięć pozostałych demonów rzuca się na Koré. Jej sztylety wzbijają się w powietrze i trafiają dwóch przeciwników prosto w serce. Chwytam jedno z ostrzy i staję przed Terrą. Sztylet ciąży mi w dłoniach. To nie to samo, co zgrabny kij, ale będzie musiał wystarczyć.

Koré biega i skacze po budynkach, jej ciało ustawia się równoległe do ziemi. Demony też rozpoczynają szarżę, celując w jej drobną postać szponami, zębami i mieczami. Kuca w powietrzu, a sztylety znów lądują w jej dłoniach. Atakuje ponownie. Celuje doskonale. Zaczynam wierzyć, że przetrwamy tę noc. Że wciąż może nam się udać powstrzymać moją siostrę przed zniszczeniem świata.

Kolejny atak ostrego bólu trafia mnie w głowę i rzuca na kolana. Miecz ląduje na ziemi z głośnym hukiem. Magia wiruje wokół mnie w obłoku świetlistego pyłu, osiada na mojej skórze, po czym we mnie znika. Magia muska mnie jak piórko, jak skrzydła motyla, i wypełnia tęsknotą. To magia plemiennych ziem, magia Heki. Gdy otwieram oczy, wszystko wydaje mi się ostrzejsze, wyraźniejsze, jakby rozstała się mgła. Kołyszę się, gdy świat wokół się przechyla.

Głos w mojej głowie szepcze: pospiesz się. To głos babci.

– Gdzie jesteś? – Połykam łzy. Kiedy babcia nie odpowiada, zwracam się do Koré: – gdzie są *edam*?

Koré staje w alejce cała we krwi, a u jej stóp leży dziesięć pokaleczonych ciał.

– To, co z nich zostało, jest już z tobą, Arrah. – Jej głos jest łagodnym gruchaniem, ale słowa nie mają sensu. Krew zamarza mi w żyłach.

– Co masz na myśli?

Chwytam się za brzuch, wspominając ostatni raz, kiedy widziałam babcię podczas święta Krwawego Księżyca. Niekończące się, kolorowe namioty i magiczne iskry tańczące w powietrzu. Rytm bębnów *djembe* i śpiew szamanów. Sięgające pasa srebrne loki babci siedzącej ze skrzyżowanymi nogami naprzeciwko mnie. Szpary pomiędzy jej wyszczerzonymi w uśmiechu zębami.

Powiedziała, że kości nie kłamią. A jednak jej nie ostrzegły. Koré klepie mnie po ramieniu. Jej dotyk sprawia, że bicie mojego serca zwalnia, a żołądek się zaciska. Jej magia nakazuje mi spokój, a im bardziej z nią walczę, tym głębiej mnie w siebie wciąga.

– Poczekaj na moje przyście we Wszechpotężnej Świątyni – mówi Koré. – Wciąż mamy szansę powstrzymać twoją siostrę.

Kiwam głową, ale to tylko odruch.

– Czy moja babcia nie żyje? – pytam, choć znam już odpowiedź.

Koré zerka na coś za naszymi plecami.

– Zabierz je, Mouran.

Wysoki człowiek – nie, to nie człowiek, to orisza – wyłania się z cienia. Jego oczy są jak z lodu i wyraźnie odznaczają się na tle jego czarnej twarzy i wełnistych włosów. Orisza morza Mouran z krwi i kości jest tutaj. Kolczasty ogon zwija się u jego stóp. Obnaża ostre zęby, od których odbija się światło księżyca.

– Idźcie! – woła Koré, a Mouran otacza swoją magią mnie i Terrę. Odciąga nas, ale ja nie chcę iść. Muszę wiedzieć, co stało się z moją babcią. Zaciskam zęby, a plemienna magia rozbrzmiewa we mnie. Zakorzenia mnie w pustej przestrzeni między alejką a morzem, jednak mój umysł, moja świadomość pozostaje przy Koré.

Powietrze znów się zmienia, kiedy moja siostra wyłania się z pustki i staje naprzeciw Koré. Efiya ma na sobie długą, białą halkę, a jej czarne włosy spięte są w koronę z warkoczy – ja też spinam tak czasem swoje. Widzę jej prawdziwy kształt. Jej oczy to blade szmaragdy – brakuje im intensywności najprawdziwszych demonów. Wstęgi światła Heki przeplatają się przez jej *ka*.

– Masz coś, czego pragnę. – Uśmiech Efiyi jest ostry jak odłamek szkła. – A ja nie mam czasu na twoje gierki.

Jej głos jest słodką piosenką, która rozdziera mnie na pół. Nie pozostało w niej nic z dziewczynki.

– Chyba się jeszcze nie znamy. – Koré się kłania. – Witaj, jestem oriszą księżycy. Jestem wieczna.

Efiya wybucha śmiechem, a Koré opada na kolana. Całe jej ciało się trzęsie, przytłoczone magią mojej siostry. Jej warkocze nieruchomieją.

– Jestem teraz twoją boginią, oriszko. Daj mi to, czego pragnę.

Magia mojej siostry byczy w powietrzu, kiedy Mouran szepcze:

– Pora odejść.

Jego magia wciąga mój umysł coraz głębiej w pustkę. Zapach słonej wody wypełnia mój nos, a ciało znajduje się teraz na pokładzie ogromnego, czarnego statku. Powoli moja świadomość oddala się od alejki, ale wciąż patrzę na rozgrywającą się tu scenę.

– Muszę cię ostrzec – Koré odkasłuje krwią – że nigdy nie radziłam sobie dobrze z porażką.

– Ach tak? – Efiya pochyla się i chwyta podbródek Królewskiej Bliźniaczki. – Ja to naprawię.

Kark Koré łamie się z trzaskiem.

EFIYA

Zakrzywiam czas, żeby przeżyć wspomnienie na nowo. Muszę wiedzieć, w którym momencie się pomyliłam, żeby nigdy więcej nie powtórzyć tego samego błędu. Stoję na krawędzi doliny z widokiem na Świątynię Heki. Edam tracą czas, odprawiając rytuały dla boga, który ich opuścił. Głupcy.

Sto czternaście dojrzałych ka mruczy w harmonii z bębnami djembe w dolinie. To szamani. Najpotężniejsi spośród plemion. Ich magia wibruje na mojej skórze. Kiedy połknę ich ka, ta magia będzie należeć do mnie. Wyczuwając moją obecność, szamani przerywają swój taniec i spoglądają na mnie. Bębny milkną i nie pozostaje nic prócz pomruku magii i szeptu wiatru w trawie. Czekali na mnie.

Robię kolejny krok w pustce i ląduję naprzeciwko przywódców. Moja babcia, przywódczyni plemienia Aatiri, robi krok naprzód. Srebrne warkocze opadają jej na plecy, a amulet z kości grzechocze na szyi. Artefakt głupca. Pozostali przywódcy również występują naprzód. Ta piątka to najsilniejsi z edam, potężniejsi od reszty szamanów. Ich magia szeleści mi w uszach.

Babcia coś ukrywa, jak oni wszyscy. Używają swojej magii, żeby ukryć wspólny sekret... Sekret, który będzie należał do mnie, kiedy połknę ich ka. Nie potrafią skryć niepokoju, strachu, świadomości, że nadszedł koniec ich życia. Mam dość ich emocji. Demony zstępują w dolinę, by rozpocząć rzeź. Szamani walczą za pomocą magii i mieczy, ale nie mogą się równać z demonami. Za każdym razem, kiedy jeden z nich umiera, wchłaniam jego ka. Staję się coraz silniejsza, a moje ciało pulsuje i drży.

Babcia pada na kolana razem z pozostałymi przywódcami. Chwytają się za gardła, ale ona się śmieje. Poszukuję sekretu w jej umyśle. Widzę sto, tysiąc, milion obrazów. Nieskończone przebłyski z jej przeszłości: narodzin, dzieciństwa, małżeństwa, narodzin jej dzieci. Próbuje odwrócić moją uwagę od prawdy. Naciskam mocniej, aż jej nos zaczyna krwawić. Widzę ich teraz razem – przywódców zawiązujących pakt. Odprawiają rytuał, żeby związać się ze sobą.

Chwytam starą Aatiri za brodę i unoszę jej twarz. Brakuje mi tchu, całe moje ciało się trzęsie. Potrzebuję ich ka. Pragnę ich. Muszę je mieć. Wciskam życie z powrotem w jej ciało. Naprawiam jej strzaskane gardło. Dostanę swoją odpowiedź.

Chwila słabości i wbija sobie sztylet w serce. Nóż wyje, a jej ka wyslizguje mi się z rąk. Pozostawia po sobie lodowaty chłód. Mimo wszystkich połkniętych ka, jestem pusta.

Pozwoliłam im się oszukać. Muszę się dowiedzieć, gdzie podziały się wszystkie ka. Muszę odebrać, co do mnie należy. Odgrywam tę chwilę raz po raz, aż wreszcie widzę jedną twarz. Twarz, którą znam równie dobrze, co swoją.

Przywódcy związali swoje ka z Arrah.

Poruszam się naprzód przez czas, mijając chwilę, kiedy zabiłam w alejce oriszę Koré. Była dla mnie jedynie niedogodnością. Usunęła wspomnienie ukrycia ka Króla Demonów: to błyskotliwa sztuczka, ale uczyniła ją dla mnie kompletnie nieprzydatną. Wychodzę na dziedziniec willi i w ciemność pełną demonów, które wciąż czekają, aż je uwolnię.

Robię ledwie jeden czy dwa kroki, kiedy przez podwójne drzwi willi wpada matka. Wbiega na dziedziniec, a gniew wprost spływa z niej falami. Nie mam nastroju na spotkanie z nią. Potrzebuję czasu, żeby przyjrzeć się wszystkim możliwościom.

Waham się, widząc łzy, spływające jej po policzkach. Jak dotąd, widziałam, jak płacze, tylko w jej wspomnieniach. Teraz płacze przeze mnie. Nie potrzebowałam ka szamanów, ale i tak chciałam je mieć.

Tysiąc razy już to widziałam, a jednak mam ochotę wrócić w pustkę i zniknąć. Nie mogę znieść widoku rozczarowania i obrzydzenia w jej oczach. W tym momencie mnie nienawidzi, gardzi mną, żałuje, że się w ogóle urodziłam. To nie pierwszy i nie ostatni raz. Nigdy nie potrafiłam jej zadowolić. Zawsze przypomina mi, że skoro nie potrafię znaleźć ani uwolnić Króla Demonów, jestem niedojdą. Tylko on ją interesuję, ale zrobię to, kiedy sama będę chciała.

Mogła przyjąć tę wieść na wiele sposobów – od ciszy po wściekłość. W niektórych wersjach przyszłości łkała na ziemi. W innych – wiadomość przygnębiała ją na tyle, że stawała się niezdolna do jakichkolwiek emocji. W najgorszych scenariuszach atakowała mnie, a wtedy musiałam ją zabić. Nie chcę zabić matki. Teraz, kiedy Arrah mnie zdradziła, mam tylko ją.

Nie przewidziałam tego rezultatu, bo siostra nie pozwala mi wejrzeć w swój umysł. Czasem mnie to wścieka, ale nie teraz. Chce bawić się w chowanego, jak kiedyś w ogrodzie. Ona będzie się chować. A ja ją znajdę.

TRZYDZIEŚCI JEDEN

Szloch gromadzi się w moim brzuchu, domagając się, by go uwolnić, ale nic nie wydaje mi się już rzeczywiste. Uspokajająca magia Koré opuszcza mnie, kiedy alejka w Kefu znika, a mnie pozostaje tylko odrętwiała pustka. Babcia nie żyje. Babcia i pozostali szamani. Ich również zabiła Efiya. Nie istnieje na świecie magia, która mogłaby przywrócić ich do życia. Przywódcy musieli być zdesperowani, wiążąc swoje *ka* z moim. Byli najpotężniejszymi szamanami na plemiennych ziemiach, a i tak nie potrafili pokonać mojej siostry.

Byłam głupia, wierząc, że uda mi się ją powstrzymać. Mnie, szarlatance? Heka kazał mi być dzielną, ale co to dobrego przyniosło? Jak zapowiedziała, Efiya zniszczy wszystko na swojej drodze. Niedługo po mnie przyjdzie.

Ka babci i przywódców są teraz ze mną, podobnie jak ich magia, szemrząca mi pod skórą. Jedno ze wspomnień babci wydostaje się na powierzchnię mojego umysłu. Trzyma w ramionach niemowlę i uśmiecha się do niego z dumą. To niemowlę to ja. Ojciec nigdy mi nie powiedział, że kiedy się urodziłam, przyjechała z ziem Aatiri aż do Tamaru.

Tęsknię za tobą, babciu.

Odpowiada mi kolejnym wspomnieniem. Tym razem to czas *imebyé*. Siedzi naprzeciwko mnie i daje mi swoje kości. Tylko ja jedna dostąpiłam tego zaszczytu, nikt inny nie miał ich w rękach, odkąd ona sama dostała je od swojej babci. W jej wspomnieniach kryje się przekaz, że zawsze będzie obok mnie, że chce się ze mną pożegnać. Daje mi to pocieszenie.

Statek Mourana jest ogromny, wykuty z ciemnego drewna, powiewają nad nim wstęgi czarnego jedwabiu. Orisza stoi u steru z opuszczonymi rękami. Nigdzie nie widać załogi. Jego oczy zasnuwa mgła, a niewidzialna magia migocze w powietrzu. Statek wyrusza z portu i zostawia za sobą rzekę tak szybko, że rozwiane warkocze opadają mi na twarz. Z początku kręci mi się w głowie, ale podróż przebiega gładko. Podnoszę dłoń, patrząc na błyszczące palce. Oto jak to jest mieć w sobie magię. Wiedzieć, że jeśli zapragniesz jej więcej, przybędzie do ciebie bez wahania. To zupełnie coś innego niż demoniczna magia, która mamiała mnie fałszywym spokojem.

Teraz rozumiem, dlaczego święte teksty mówią, że orisze nie chcieli, by magia trafiła w ręce śmiertelnych. Magia nie jest dobra ani zła – to ludzie czynią ją

niebezpieczną. Używamy jej po to tylko, żeby się nawzajem niszczyć. Moja matka stała się pionkiem w grze. A to wszystko po co... żeby zemścić się na wezyrze? Pomogła tylko Królowi Demonów. Jeśli nawet raz uratował jej życie, zrobił to dla własnej korzyści.

Dzięki magii Mourana statek pokonuje Rzekę Węża w kilka chwil. Mgła w oczach oriszy rozstępuje się, kiedy docieramy do portu w Tamarze. Terra obejmuje się w pasie i patrzy ku odległemu Wschodniemu Targowi. Nie wróci do miasta. Mouran zabierze ją do rodziny.

Opiera o mnie swoje ramię, a ja odwzajemniam gest.

– Uważaj, Arrah.

Uśmiecham się słabo. Smutno mi, że musimy się rozstać, ale też cieszę się, że wreszcie będzie mogła pojechać do domu.

– Ty też.

Pożegnawszy się z nią, jak we mgle przemierzam zatłoczony port i mijam domy z mułowej cegły. Kiedy wbiegam na targ, patrzę na mnie ponure, nieznane twarze. Szukam znaków mijającego czasu. Wszyscy i wszystko wygląda na zapuszczone. Nie znam sprzedawców ani klientów przyglądających się towarom. Chłodne, nocne powietrze przyprawia mnie o dreszcze.

Wschodni Targ nigdy nie milknie i nigdy się nie zamyka. Jego klienci nigdy nie śpią. Po zmierzchu ludzie wciąż robią interesy. W tych wczesnych godzinach między nocą a porankiem nie ma jednak przechwałek ani śmiechu. Nikt nie obstawia walk kogutów ani nie gra w psy i szakale. Nikt nie piecze kasztanów na palenisku ani nie smaży bananów w oleju z orzechów, żeby przykryć zapach postępującego rozkładu.

Cała się trzęsę na myśl o tym, że to moja matka jest tego rozkładu przyczyną. Wszystko to rozpoczęło się w niej samej i rozprzestrzeniło jak zaraza. Śmierć unosi się tu w powietrzu. Mimo nowej magii, którą mam w sobie, czuję gorzki smak. Czy przybyłam tu na próżno? Nikt nie zdoła powstrzymać mojej siostry. Jest zbyt silna.

Posiadłość wezyra odcina się od nocnego nieba ponad przepaścią na południowym skraju miasta. Pamiętam ostatni raz, kiedy patrzyłam na Rudjeka walczącego na arenie ojca. Jego szerokie ramiona błyszczały od potu. Emanował pewnością siebie, chociaż rywalizował z dwa razy większym przeciwnikiem. Tęsknię za nim tak bardzo, że boli mnie serce. Trudno mi sobie wyobrazić, że może być starszy – że może być dorosłym mężczyzną. Nie mogę stracić nadziei, że wciąż mamy szansę... że mój przyjaciel na mnie czeka.

Denerwuję się na myśl o spotkaniu z nim po tak długim czasie. Wydaje mi się, że minęły lata, choć tak naprawdę równie dobrze mogą być to tygodnie czy dekady. Może sam jest teraz wezyrem? Mógł się też ożenić, założyć rodzinę. Mój żołądek zwija się

w węzeł. Ta myśl wcale mi się nie podoba. Nie licząc ojca, tylko on mi pozostał. Muszę znów zatracić się w jego obsydianowych oczach, jeśli one pozwolą mi choć na chwilę o wszystkim zapomnieć.

Kiedy docieram do rezydencji wezyra, światło słońca rozprzestrzenia się po niebie, rozprasząc resztki nocy. Kiedy nie rozpoznaję ani strażników, ani portiera, moje plecy przeszywa dreszcz. Jestem brudna i wycieńczona, ale zmuszam się, by stać prosto. Nie mogę myśleć o najgorszym – jeszcze nie teraz. Istnieje wiele powodów, dla których wezyr mógł wymienić służbę. Może odkrył we własnym domu szpiegów Arti?

– Dzień dobry. – Przełykam ślinę. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale...

– To nie dom opieki. – Jeden ze strażników marszczy czoło. – Idź żebrać gdzie indziej.

Choć wyglądam na żebraczkę, złoścuję się, że mnie za nią wziął. Poprzedni portier mnie znał. Nie byłby wobec mnie niegrzeczny. Nie jestem w nastroju na te głupoty.

– Jestem przyjaciółką Rudjeka. Przepraszam, że przychodzę tak wcześnie, ale mam ważną sprawę.

Strażnicy zerkają na siebie w sposób, który wcale mi się nie podoba.

Portier podchodzi bliżej i chwyta za bramę.

– Gdybyś była jego przyjaciółką, wiedziałabyś, że wiele miesięcy temu wyjechał na Północ, żeby spotkać się ze swoją narzeczoną.

– Narzeczoną? – Głos więźnie mi w gardle.

Jego słowa wwiercają się w moje uszy. Wzerają w ciało. Wałają mnie w brzuch.

Narzeczoną.

Jak długo mnie nie było? Byłam głupia, wierząc, że Rudjek na mnie poczeka, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że nawet do niego nie napisałam. Gdyby wiedział, gdyby dostał ten przeklęty list, przybyłby do Kefu. Przyjechałby do mnie, tak jak obiecał. Przełykam ślinę i wzruszam ramionami, udając obojętność, ale kręci mi się w głowie. Muszę usiąść. Cała energia, która pchała mnie naprzód przez noc, ustępuje miejsca zmęczeniu.

– Och, smutno ci? – Portier spluwa na ziemię. – Czy sądziłaś, że ktoś o tak niskiej pozycji miałby szansę u syna wezyra?

Mój najlepszy przyjaciel odszedł – Rudjek wyjechał, by być z inną dziewczyną. Strażnicy wybuchają śmiechem, a mnie wypełnia wściekłość. Mam ochotę złamać każdemu z nich kark. Teraz, kiedy mam w sobie prawdziwą magię, nie musiałabym nawet kiwnąć palcem, żeby zmyć ten głupi uśmiech z ich twarzy. Pokusa jest tak silna, że pulsuje we wszystkich porach mojej skóry. Muszę wyglądać na rozwścieczoną, bo sztywniej i kładą dłonie na rękojęściach szoteli. Robię krok w tył, omal nie tracąc

równowagi. Mimo ich drwin, jestem zaskoczona swoją własną reakcją. Rozerwali moje serce na pół, a ja chcę ich zniszczyć. Ale nie jestem jak ona. Nie jestem swoją matką.

Raz jeszcze zerkam na dziedziniec za bramą, wspominając ostatni dzień, który spędziliśmy razem. Z chłodną skutecznością walczył z mężczyznami, którzy zaatakowali nas nieopodal świętego drzewa. Potem próbował odeprzeć tuzin najlepiej wyszkolonych gwardzistów, żeby dotrzeć do mnie. Teraz podróżuje na skraj świata, do krainy lodu i śniegu. Do innej dziewczyny.

Pamiętam czasy, kiedy siedzieliśmy w naszym tajemnym miejscu nad Rzeką Węża z wędkami w dłoniach. Uśmiechał się szeroko, zerknął na mnie, kiedy sądził, że nie zwracam na niego uwagi. Ja też rzucałam mu ukradkowe spojrzenia, wdychając jego słodki zapach. Jak mam stanąć naprzeciw wezyra, żeby powiedzieć mu o mojej siostrze? Czy spojrzę mu w oczy, nie wybuchając płaczem? I tak by mi nie uwierzył. Do diabła z nim. Jest takim samym okrutnikiem jak moja matka.

Włóczę się po ulicach Tamaru niczym w transie, jestem otepiała. Kieruję się do rezydencji Kelu – rodzinnego domu Majki. Jeśli ktoś naprawdę zna Rudjeka, to właśnie on. Chcę, żeby mi powiedział, że Rudjek mnie szukał. Że nie poddał się od razu, że próbował mnie znaleźć. Tak jak obiecał.

Majka stoi na dziedzińcu ze skrzyżowanymi ramionami. Serce mocno wali mi w piersi. Kira siedzi na ławie niedaleko, a Essnai kuli się u jej boku. Rozmawiają ze sobą szeptem. Sukar chodzi w tę i z powrotem, klnąc pod nosem. Wyglądają ponuro jak klienci na targu, ale się nie zestarzelili. A to oznacza, że Rudjek... że na mnie nie czekał.

Majka zauważa mnie jako pierwszy.

– Arrah?

Essnai zrywa się na nogi. Oboje z Sukarem pędzą przez dziedziniec i otwierają bramę. Kira idzie tuż za nimi.

Moja cicha, zamyślona, piękna przyjaciółka Essnai uśmiecha się przez łzy.

– To naprawdę ty?

Kiwam głową, zbyt wzruszona, żeby się odezwać.

Sukar drapie się po ogolonej głowie.

– Dobrze wyglądasz jak na ducha.

Przyciskam dłoń do serca w pozdrowieniu plemienia Zu, powstrzymując łzy.

– Wiesz, co się stało? – pyta Sukar, biorąc głęboki oddech.

– Czy oni... – zadanie pytania przychodzi mi z trudem – czy naprawdę wszyscy odeszli?

– Wszyscy w Tamarze, którzy mieli w sobie choćby kroplę magii, zginęli – odpowiada za niego Essnai.

Cała nasza trójka staje w kółku, chwytając się za ramiona. Tatuaze Sukara pulsują w łagodnym świetle. Stoimy tak przez długi czas. Majka i Kira nie przerywają milczenia. Kiedy wybija ósmy dzwon, Essnai recytuje rytuał pogrzebowy plemienia Aatiri, a Sukar wyśpiewuje pożegnanie plemienia Zu. Wycofuję się jako pierwsza, myśląc o ostatnich słowach, jakie wypowiedziała do mnie Koré.

– Musimy iść do świątyni – mówię. – Wyjaśnię wam wszystko po drodze.

Essnai zerka to na Sukara, to na mnie.

– Masz teraz własną magię?

Krzywię się, tęskniąc za plemionami, tęskniąc za Rudjekiem.

– To długa historia. Później wam wszystko opowiem.

– A więc jesteś ostatnia. – Sukar wpatruje się we mnie zszokowany.

– Ostatnia? – Serce wali mi mocno w piersi.

Ochronne tatuaze Sukara błyszczą w porannym słońcu. Świecą jak wtedy, kiedy znajdował się na plemiennych ziemiach, w pobliżu magii.

– Jesteś ostatnią szamanką.

Pocieram bolącą głowę. To jakieś szaleństwo. Zarówno we wspomnieniach babci, jak i moich, widzę ją, jak czyta z kości. Podczas każdego ze świąt Krwawego Księżyca – prócz ostatniego – lądowały one w tej samej pozycji. Teraz rozumiem już ponurą prawdę – w swojej wizji zobaczyła mnie, stojącą samotnie w dolinie przed Świątynią Heki. Nie wiedziała, co to dokładnie oznacza, ale miała świadomość nadchodzącej tragedii.

– Rozmawiałaś z Rudjekiem? – pyta Majka, zagłuszając hałas w mojej głowie. Dopiero teraz zauważam, że ani on, ani Kira nie są ubrani w czerwone stroje gwardzistów.

– Wygląda na to, że wezyr dostał, czego chciał. – Wzruszam ramionami, udając, że nic mnie to nie obchodzi. – Słyszałam, że został przyrzeczony jakiejś dziewczynie z północy.

– Na dwudziestu bogów – przeklina Majka – wciąż rozgłaszają te kłamstwa?

– Kłamstwa? – pytam, marszcząc czoło.

– Rudjek wyruszył w drogę, żeby cię odnaleźć. – Majka kołysze się na piętach. – Nie pozwolił nam sobie towarzyszyć.

– Co? – szepczę. – Kiedy to było?

– Zaraz po twoim odejściu – dodaje Kira, przerywając milczenie. – Trzy miesiące temu.

– Nie widziałem, dokąd skierował się wasz statek. – Na twarzy Majki maluje się groza. – We mgle było ich zbyt wiele. Tam jednak powiedział Rudjekowi, że podsłuchał *Ka-Kapłankę* w świątyni: mówiła, że wyruszacie do Doliny Aloo. – Majka

buja się i odwraca wzrok. – Rudjek pojechał was szukać... i od tamtej pory ślad po nim zaginął. Wezyr wysłał za nim *shotani* i gwardzistów, ale jak dotąd nikomu nie udało się go znaleźć.

Jego słowa dudnią mi w uszach. Rudjek musi przejść przez Dolinę Aloo, żeby dostać się do Czarnego Lasu. „Umrze w Czarnym Lesie” – ostrzegła mnie Arti w drodze do Kefu. Nie wierzyłam jej wtedy. Rudjek nie miał żadnego powodu, żeby tam się znaleźć... a jednak go miał. Szukał mnie. Ten podły szczur Tam go okłamał. Opieram się o bramę, czując, że nogi odmawiają mi posłuszeństwa. To niemożliwe. To wszystko niemożliwe. To jakiś koszmar. Moja matka, Efiya, Rudjek, plemiona. Tyle zniszczenia.

A więc nie żyje. Tak jak mówiła.

Teraz Essnai i Sukar patrzą na mnie, jakbym była jakąś zbawicielką, gdy tymczasem jestem i zawsze będę tylko szarlatanką.

TRZYDZIEŚCI DWA

W środku dnia rany Tamaru są wyraźnie widoczne pod niebem posiniaczonym fioletowymi i szarymi chmurami. Ulice są pełne śmieci, a pomniki oriszy leżą, roztrzaskane w drobny mak, na nieskazitelnie czystym zazwyczaj Zachodnim Targu. Essnai, Sukar i ja mijamy kolejne rzędy zabitych deskami sklepów. Na ulicach jest więcej porzucanych przez wiatr śmieci niż ludzi. Ogromne drzwi do koloseum, w którym przez lata Arti kłóciła się z wezyrem, są okratowane.

Zatrzymuję się przed sklepem ojca. Wygląda podobnie, poza kilkoma zadrapaniami na pokrywającej drzwi żółtej farbie. Dzięki ochronnemu zaklęciu, które Oshhe rzucił wiele lat temu, nikt nie może wejść do sklepu pod naszą nieobecność. Chciałabym wśliznąć się do środka, skulić się na poduszkach i popłakać sobie do snu. Mogłabym udawać, że ostatnich kilka miesięcy to tylko sen. Obudziłyby mnie zapach miętowej herbaty i mlecznych cukierków, i kolejna opowieść taty.

– Musimy iść dalej – pospiesza mnie Sukar. – Na Zachodnim Targu nie jest bezpiecznie.

Włódzieje wyważyli drzwi niektórych sklepów i rozkradli towary. Chociaż z dwóch targów ten zawsze lubiałam mniej, trudno mi uwierzyć w to, jak wygląda teraz.

Omijam porzucony na ulicy, połamany wóz.

– Gdzie jest Miejska Straż?

Sukar uważnie przygląda się wszystkim, których mijamy, tak jak oni przyglądają się nam.

– Większość uciekła po kolejnych śmierciach.

– Zmarło więcej dzieci?

– Dzieci, dorośli – odpowiada, cały spięty. – Ludzie w różnym wieku i o różnej pozycji.

– Całe rodziny. – Essnai się trzęsie.

Zagryzam wewnątrz policzka tak mocno, że aż cieknie mi krew. Tamar stał się miastem pełnym śmierci i rozpaczy. Moja siostra niedługo rozpocznie jego oblężenie z całą swoją armią, ale jeszcze nie teraz. Nie, to nie byłaby frajda. Najpierw chce się z nimi zabawić. To kolejna z jej gier.

Słabe szepty szamanów przesączają się do mojego umysłu. Kiedy mówią wszyscy razem, trudno ich zrozumieć, ale wyczuwam, że nakazują mi się pospieszyć.

– Heka przeklął Tamar – mówi Sukar, którego cała wesołość znikła. – Ukarł miasto za to, co nowy Wszechpotężny zrobił mojemu wujowi i pozostałym jasnowidzom.

Patrzy na zachód, w stronę królewskiego pałacu, który jest jak świetlista pochodnia ponad rozkładającym się miastem. W oczach mojego przyjaciela jest ciemność, której tam wcześniej nie było. Jest w nich chłód.

– Nowy Wszechpotężny?

– Tyrek. – Essnai ściska swój kij tak mocno, aż drży jej ręka.

Spluwa na kamienie i wyrzuca szereg przekleństw w języku Aatiri. Sukar też ma przy sobie sierpy. Jako strażnik świątyni nigdy nie nosił ich na wierzchu. Dopiero teraz zauważam, że oboje mają broń.

Tyrek był księciem, ale nie księciem koronnym. Po raz ostatni widziałam go w łoży w koloseum, gdzie siedział z ojcem i bratem. Z zainteresowaniem przyglądał się politycznym rozgrywkom między wezyrem a Arti. Nie było jego przeznaczeniem zostać królem, teraz jednak los się odmienił. To musi być kolejna z intryg Arti, skoro Efiya wciąż nie znalazła *ka* Króla Demonów. Ale co jest jej celem? Nie mogę zignorować narastającego we mnie strachu.

– Został nowym dziedzicem, kiedy księżę koronny Darnek zginął w wypadku – wyjaśnia Sukar.

Wyjaśniają, że poniósł śmierć na polowaniu. Tyrek twierdził, że ich strażnicy zignorowali wołanie brata o pomoc. Słyszac tę historię, Wszechpotężny nakazał stracić strażników. Nie minęła nawet pełnia, a służący znalazł Wszechpotężnego zamordowanego w łaźni. Tyrek oskarżył swoją matkę i jasnowidzów o spisek mający na celu odebranie mu korony... Uwięził matkę i nakazał stracić jasnowidzów... Teraz Królestwem rządzi szesnastolatek.

Sukar ukrywa ból za srogą maską, ale w jego łagodnych, brązowych oczach kryje się cierpienie. Jego wuj nie żyje. Barasa zawsze był mi życzliwy, a on i Sukar byli ze sobą blisko związani.

– Jego *ka* spoczywa w pokoju, przyjacielu – recytuję plemienne błogosławieństwo, wiedząc, że nie ma takich słów, które by go pocieszyły. – Niech połączy się z matką i ojcem, niech zjednoczy się z królestwem dusz.

Sukar kiwa głową i odwraca wzrok.

– Dni tego wstrętnego niedorostka Tyreka są policzone – wścieka się Essnai, jakby była od niego dużo starsza. – Sprowadził sobie do pałacu gwardzistów, żeby go ochraniali, a pozostałych wysłał na jakąś tajemną misję. Plotka głosi, że *shotani* infiltrują dla niego wrogie kraje. Twierdzi, że chce zjednoczyć świat w imię jednego boga.

– Jednej bogini, nazywa ją Efiya. – Sukar spluwa na ziemię, wypowiadając imię mojej siostry. – Nikt dotąd o niej nie słyszał. Niektórzy wierzą, że to Nienazwana orisza wróciła po należną sławę i chwałę.

A więc na przestrzeni trzech miesięcy moja siostra zebrała armię demonów, zniszczyła plemiona i zrujnowała Tamar? Sądziłam, że za każdym razem, kiedy znika w pustce, wyrusza na poszukiwanie *ka* Króla Demonów. Robiła to, jednocześnie zabijając orisze i pogrążając Tamar w chaosie. Kiedy Efiya dopełni dzieła, świata nic nie pozostanie.

Słabo mi się robi, kiedy przypominam sobie węże owinięte wokół ramion Nienazwanej. Myśl, że moja siostra jest nią, uznałabym za niedorzeczną, gdyby moc Efiyi była mi obca. Teraz, kiedy znam już prawdę o demonach, zdaję sobie sprawę, że anonimowość Nienazwanej nie jest przypadkiem.

Kiedy jednak widzę cierpienie moich przyjaciół, rozpacz przywraca mnie do tu i teraz. Chcą odpowiedzi, które znam tylko ja. Teraz moja kolej, by powiedzieć prawdę. A jednak trudno mi wydobyć z siebie słowa. Nie mogę znieść myśli, że będą tak bardzo zszokowani, kiedy dowiedzą się, kim naprawdę jest Efiya – że jest moją siostrą. Demonem, nie oriszą. Pozwoliłoby mi to zrzucić z siebie ciężar, gdyby nie straszne wieści o plemionach i Królestwie.

Essnai i Sukar zatrzymują się, oniemiaли. Mija nas para uczonych w tunikach. Odwracam wzrok, nie znosząc ich intensywnych spojrzeń. Moje ciało wypełnia wstyd.

– To twoja siostra? – syczy Essnai z obrzydzeniem.

Pochylam głowę. Kark mi płonie.

– A to ci zwrot akcji! – Sukar wybucha śmiechem.

W innych okolicznościach obie z Essnai oburzyłybyśmy się na jego głupi żart, teraz jednak się cieszę, że poczucie humoru mojego przyjaciela powróciło. Kiedy kroczymy dalej w kierunku świątyni, zadają mi nieskończenie wiele pytań, a ja odpowiadam na te, na które potrafię. Mijamy zacienioną alejkę, a włoski na moim karku stają dęba. Magia nagrzewa mi się w żyłach. Tatuaze Sukara niczym puzzle tworzą coraz to nowe konfiguracje. Większość jego czoła przykrywa koło zębate, na jego policzkach umiejscawiają się bardziej złożone symbole Zu.

Dostrzega, jak mu się przyglądam, i wzrusza ramionami.

– To przedśmiertny prezent mojego wuja.

Przenosimy naszą uwagę na wejście do alejki, ale ja wiem już, co tam zobaczę. Magia demonów skaziła powietrze. Sukar wyciąga swoje sierpy, Essnai przygotowuje kij. Tym razem nie będziemy walczyć z chłopakami z plemion, którzy ledwie nauczyli się obchodzić z magią, będziemy walczyć z demonami. Magia przywódców dodaje mi

pewności siebie, ale nie jestem głupia, by na niej polegać i dać się jej uwieść. A jednak skłamałabym, twierdząc, że się z niej nie cieszę.

Kiedy wkraczamy w alejkę, aż mną wstrząsa. To stara uczona, która przyszła do sklepu mojego ojca, by przedłużyć sobie życie. Kuca nad opartym o ścianę mężczyzną i szeroko rozwiera jego wargi. Swoje usta rozdziawia szeroko – jak ojciec tamtej nocy, kiedy Shezmu połknął *ka* dzieci. Nie mogę się poruszyć. Nie mogę oddychać. Wysysa *ka* mężczyzny z jego drgającego ciała. Jego dusza jest szarą mgłą, która sączy się z ust. Essnai przeklina cicho, a Sukar kląska językiem. Demonka kołysze głową i się uśmiecha.

– Co za szczęśliwy dzień – mówi głosem śliskim jak lód.

Wyciera wargi, wstając z ziemi, jej ruchy są powolne i rozważne. W oczach demonki nie ma już nic z uczoney, tylko chciwość i niezaspokojony głód. Mając w sobie *ka* potężnych szamanów, dysponuję magią, o jakiej nigdy nie śniłam. Magią, która pozwala mi spojrzeć w przyszłość, rozniecać pożary, podróżować po świecie duchów, manipulować *ka*, uzdrawiać. Darów jest tak wiele, że kręci mi się w głowie, kiedy poszukuję takiego, który pokonałby demonkę. Zanim zdążę zdecydować, ktoś wbija zakrzywione ostrze w sam środek jej piersi. Wyłania się z cienia za demonką, jeszcze głębiej wbijając nóż w jej serce. Demonka wpatruje się w nas ze zwiotczoną paszczą. Ostrze lśni od jej krwi.

– Na mieczu moim znów krew demona – śpiewa Tam – a w moim sercu nuda nieskończona.

Tam wrywa ostrze z pleców demonki, która pada na ziemię. Nie zastanawiając się ani chwili, podbiegam do niego i mocno popycham.

– Powiedziałaś Rudjekowi, że pojechałam do Doliny Aloo! – wołam. – Okłamałeś go, gnoju!

Tam mruży oczy, jakby mnie nie rozpoznawał. Szturcham językiem szparę w miejscu, gdzie powinien być ząb.

– Byłem w świątyni w dniu pożaru. – Marszczy czoło. – Kiedy stało się jasne, że wezyr wygna twoją matkę, usłyszałem, jak *Ka*-Kapłanka mówi, że wyjeżdża właśnie do Doliny Aloo.

Powstrzymuję łzy. Nie wiem, czy to prawda, ale od matki się tego nie dowiem. Musiała się spodziewać, że jej słowa dotrą do uszu Rudjeka.

– Albo ona kłamała – spluwam – albo ty kłamiesz w tej chwili.

– Przykro mi. – Tam wyciera krew ze swojego miecza, ale nie brzmi, jakby mu było przykro.

– Niechętnie to przyznaję, ale on nam pomógł. – Sukar marszczy nos. – Ostrzegł nas, że demony krążą po mieście i zabijają ludzi, zanim ktokolwiek miał o tym

pojęcie.

– A skąd ty to wiedziałaś? – pytam. Mam ogromną ochotę spalić Tama za pomocą mojej nowej magii.

Tam przechyla głowę.

– Tamtego dnia w świątyni, kiedy pytałaś o zielonooką żmiję, sama o tym mówiłaś. Powiedziałem ci wtedy, że orisze nazywają w ten sposób demony.

Magia wije się wokół martwej uczonej leżącej u naszych stóp – wzbija kłęby dymu ponad jej ciało. Widok ojcowskiej magii napełnia mnie smutkiem. Chwiejnie robię krok w tył. Kobieta po śmierci staje się stara i pomarszczona, a magia opuszcza ją i wznosi się wysoko do nieba.

– Skoro tak łatwo zabić demona, czemu orisze nie potrafili ich powstrzymać?

– Są teraz osłabieni. – Tam chowa swój szotel do pochwy. – Możesz zapytać ponownie, kiedy któryś z nich połknie sto czy tysiąc *ka*.

– Co ty tu robisz, Tam? – pyta ostro Essnai.

– To samo co wy. – Uśmiecha się. – Natknąłem się na tę małą ucztę i postanowiłem ją przerwać.

Wybiegam z alejki: nie zniosę Tama ani chwili dłużej. Rudjek się z nim przyjaźnił, ale jego nie obchodzi nawet, że wysłał go do Doliny Aloo na pewną śmierć. Jest zbyt samolubny, zadowolony, że może zgrywać bohatera, grzać się w blasku chwały.

– Co jej się stało? – słyszę jeszcze, jak pyta Sukara. – Strasznie się zrobiła drażliwa, co?

– Najchętniej połamałabym mu nogi – dołącza do mnie Essnai.

– Powinnam mu zrobić coś znacznie gorszego – mówię, wciąż wściekła.

Sukar potyka się obok mnie, kiedy mijamy grób pierwszego *Ka*-Kapłana. Pień i postrzępione drzazgi – tyle zostało ze świętego drzewa Gaer, gdzie pierwszy raz przeczułam przyszłość. Gdzie zobaczyłam żmijowate oczy Efiyi. Gdzie pierwszy raz zabiłam.

Droga do świątyni jest zarośnięta chwastami i zaśmiecona ofiarami dla oriszy. Zwiędłe kwiaty i wydziobane przez ptaki owoce, gliniane figurki wyrzeźbione na podobieństwo oriszy. Re'Mec z rogami, Koré o kręconych włosach, Kiva i jej zezowate oczy. Dwugłowy Fram. Jak mogą czekać bezczynnie? Zawiedli Tamar i Królestwo, tak samo jak Heka zawiódł plemiona. Jaki sens mają bogowie, którzy odwracają się do nas plecami, kiedy najbardziej ich potrzebujemy? Choć jestem niesprawiedliwa, Koré pomogła mi zdjąć klątwę Arti i poświęciła się, by mnie uratować – by uratować szarlatanę.

W połowie drogi do świątyni zatrzymuję się, by zaczerpnąć oddechu. Weszliśmy dość wysoko, by widzieć całe miasto. Tamar tonie w śmieciach. Całe dzielnice leżą

w gruzach. Inne zostały naznaczone ogniem. Essnai i Sukar mówią, że nowy Wszechpotężny wymordował wszystkich obywateli lojalnych wobec świątyni. Gdybym zobaczyła to w swojej wizji, uznałabym, że to tylko sen.

Wciąż patrząc na miasto, mówię:

– Muszę wam coś powiedzieć.

Znów wstydzę się na nich spojrzeć. Szepczą coś, czekając, aż zbiore się na odwagę.

– Kiedy szamani umarli, przywódcy związali ze mną swoje *ka...* mam ich teraz w sobie.

– Na dwudziestu bogów, Arrah! – woła Essnai – to wyjaśnia, skąd się wzięła twoja magia.

– Cóż, na dwudziestu jeden bogów, jeśli liczyć Efiyę – zastanawia się Sukar.

– Nie teraz, Sukar – ostrzega go Essnai.

Mimowolnie leciutko się uśmiecham. Tak bardzo za nimi tęskniłam. W Kefu wiele razy zastanawiałam się, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczę przyjaciół.

Docieramy do Wszechpotężnej Świątyni, gdzie wszystko się zaczęło. Gdzie Arti dokonała zbezczeszczenia. Teraz nie ma tu żywej duszy. Nie ma *shotani* kryjących się w ciemnościach.

– Wezyr miał tu swoich strażników, póki Wszechpotężny nie zwolnił go z obowiązków – mówi Sukar.

Zaciskam zęby, słysząc ten tytuł i czuję pewną satysfakcję, wiedząc, że jego również ukarano.

– Coś tu jest. – Powiew magii jest tak delikatny, że omal go nie przegapiam.

– Byliśmy tu kilkanaście razy. – Sukar kręci głową. – Niewiele zostało. Jasnovidze zniszczyli swoje dokumenty, zanim Tyrek ich aresztował.

Świątynia wygląda prawie tak samo jak przed pożarem. Wejście w kształcie półksiężyca znów łączy pięć budynków. Orisze wrócili do swojego zacienionego domu pod nowym Holem Oriszy. Wciąż nieskończone części kontrastują jednak wyraźnie ze starym kamieniem.

Kiedy ostatnio widziałam Rudjeka, byliśmy właśnie tutaj. Patrzyłam, jak walczy z gwardzistami – stałam tylko z boku i nie zrobiłam nic, kiedy wezyr skazywał moją rodzinę na wygnanie. Owszem, Arti na to zasługiwała. Zasługiwała nawet na coś jeszcze gorszego. Ale mnie wezyr wygnał z czystej złośliwości. Zrobił to, żeby rozdzielić mnie i Rudjeka.

– Zawołaj go. – Głos Sukara budzi mnie z zamyślenia.

– Co?

– Masz w sobie *ka* pięciu przywódców. – Sukar wskazuje moją pierś. – A każdy z nich posiadał wielką moc. Dzięki niej powinnaś mieć wgląd w czas i przestrzeń, tak

by móc odnaleźć Rudjeka – ścisza głos – a co najmniej zobaczyć, co się z nim stało.

– Niech najpierw odpocznie. – Essnai bierze mnie za ramię i prowadzi przez dziedziniec.

Sukar wlecze się z tyłu, a ja nie próbuję się nawet klócić, bo rzeczywiście jestem wykończona. Początkowo wydaje mi się, że Essnai gdzieś mnie posadzi, ale ona prowadzi mnie do pokoju Sukara w barakach dla służby.

– Śpij – mówi łagodnie, po czym oboje z Sukarem wychodzą.

Opieram się o drzwi i z drzeniem wydycham powietrze. Na ścianach wiszą tu wykonane przez plemię Zu jaskrawe maski ludzi i zwierząt, a czasem kombinacje jednych i drugich. Jego pokój jest prosty – są tu tylko łóżko, biurko, misa i kredens. Pachnie atramentem i słodkimi perfumami.

Gdzie jesteś, Rudjeku? Potrzebuję cię. Tęsknię za tobą.

Wyczuwając moje pragnienie, magia wydostaje się na powierzchnię. Mogłabym ją uspokoić, ale tego nie robię. Nie chcę spać. Chcę, żeby mój najlepszy przyjaciel do mnie wrócił, a teraz mam w sobie magię, która odpowie na wezwanie i robi, co jej każę. Rozkazuję, by zabrała mnie do Rudjeka, a wtedy iskry zapalają się na mojej skórze, a uszy wypełnia szum wody, chlupoczącej wokół dziobu statku. Słońca i księżycy podróżują w moim umyśle do tyłu, a moje *ka* opuszcza ciało jak niepotrzebną łupinę. Tym razem nie czuję bólu. Poruszam się tak szybko, że nie rozróżniam obrazów migających mi przed oczami. Jakaś siła odpycha mnie jednak do tyłu, nie chce, bym dotarła do celu.

Nie pozwolę, by mnie zatrzymała. Popycham mocniej. Przebijam się przez niewidzialną barierę, a moje *ka* ląduje na polanie w samym sercu Ciemnego Lasu. Rudjek stoi naprzeciwko koszarnej istoty o skórze przypominającej korę drzewa, rogatym nosie i długich szponach. Wygiętych, ostrych jak brzytwa szponach. Szponach całych we krwi. Nie, nie, nie. Moje myśli pędzą jak na kołowrotku i ze wszystkich sił próbuję zejść bliżej, ale antymagia strachopłocha trzyma mnie na wodzy. Antymagia i struktura czasu. Ta chwila wydarzyła się w przeszłości.

Szotele Rudjeka wypadają mu z dłoni i z głuchym hukiem uderzają o ziemię, gdy on pada na kolana.

Moje *ka* krzyczy, a drzewa w lesie się trzęsą, moje ciało w pokoju wrzeszczy, a maski Sukara roztrzaskują się na pół. Na bogów, Rudjeku, nie!

Mrugam, a on leży w kałuży krwi. Strachopłoch kuca nad nim, a jego puste oczy przyglądają mu się, jakby był jakimś ciekawym przedmiotem. Z jednej ze szpon zwisa mu rodzinny klejnot Rudjeka.

– Tu leży Rudjek Omari – kaszle krwią – ten, który położył kres dziedzictwu swego rodu.

Mój głupi, głupi Rudjek. Któż inny zażartowałby na granicy między życiem a śmiercią?

Nieruchomieje.


Rzucam się na strachopłocha, ale mimo całej mocy, jaką posiadam, nie potrafię dosięgnąć przeszłości. Oddziela mnie od niej zasłona. Popycham moje *ka* tak mocno, że uwięź zaczyna odrywać się od ciała i przedostawać przez zasłonę – przez zasłonę czasu. Nic mnie nie obchodzi, co może się stać, kiedy ona pęknie. Na zawsze zagubię się w świecie duchów albo po prostu umrę, ale najpierw wypruję strachopłochowi flaki.

Jestem już prawie wolna, kiedy na polanie staje tuzin potworów. Patrzą w górę, na mnie, unosząc się ponad linią drzew, a ich antymagia wysyła mnie z powrotem w terażniejszość. Ląduję w swoim ciele z taką mocą, że uderzam plecami o drzwi. Czuję ogień w piersi, kiedy kładę się na zimnej podłodze, szlochając z tęsknoty za przyjacielem.



CZĘŚĆ IV

Bo początkiem jest zmierzch jej historii,
Pełnej bólu, zemsty, glorii.
Nie czeka jej odpoczynek,
Odpowie za każdy uczynek.
– Pieśń Nienazwanej



RE'MEC, ORISZA SŁOŃCA KRÓLEWSKI BLIŹNIAK

Chcę opowiedzieć ci historię o mężczyźnie z Tamaru, który wszedł do lasu i umarł.

Nie, to nie jest historia o tobie. Owszem, umierasz i, tak, jesteś w Ciemnym Lesie, ale to opowieść o kimś innym. Zawsze jesteś tak niezdolny, Rudjeku?

Gdzie byłem ja? Ten człowiek żył w czasach, kiedy jeden król uważał się za pana wszystkich ziem. Wysyłał swoją armię w miejsca, które do niego nie należały, i zabierał rzeczy, których zabierać nie powinien. Kiedy zakończył wojnę z ludem Północy, zwrócił się ku plemionom. Te jednak były sprytne. Zaoferowały mu magię, a on przyjął je do swojej rady.

Król miał nieskończone bogactwa, ale wciąż pragnął więcej. Usłyszał o żyznych ziemiach za doliną graniczącą z jego królestwem od południa. Szamani ostrzegali go, że krainy strzeże orisza. Ale głupiec oczywiście nie posłuchał. Głupcy nigdy nie słuchają.

Kim jestem? Jestem Re'Mec. Strachopłochy to moi podopieczni.

Zauważyłeś! Tak, nazywam się też Tam. To skrót od Tamar, które jest kolejnym z moich imion.

Strachopłochy brzydko cię zraniły, ale miały dobry powód.

Zobaczysz.

Wróćmy do naszej historii.

Król nakazał swojemu kuzynowi Oshinowi Omari, by przejął krainę siłą. Oshin i jego armia dotarli do doliny o świcie. Jego ludzie poszli odpocząć przed bitwą – połowa pełniła straż, gdy druga połowa spała. Kiedy druga zmiana obudziła się, by zmienić swoich towarzyszy, znalazła ich głowy nabite na pal. Nikt nic nie usłyszał. Ani jednego szeptu.

Pijany i niewyspany Oshin postanowił samotnie wyruszyć do lasu. To nie powinno cię zdziwić, wiesz już przecież, że był głupcem.

Tak, zdaję sobie sprawę, że to twój przodek. Jak myślisz, po co w ogóle opowiadam ci tę historię? Wiem, kim jesteś, Rudjeku Omari. Znam cię lepiej, niż ty znasz sam siebie.

Oto wersja historii, którą uznałeś za prawdziwą. Choć gdybyś się chwilę zastanowił, wiedziałbyś, że to niemożliwe.

Oshin Omari wkroczył do Ciemnego Lasu sam i spotkał tam niczego nieświadome strachopłochy. Uważał się za honorowego wojownika, ogłosił im więc swoją obecność. Strachopłochy chciały porwać jego ciało w strzepy swoimi zębiskami i szponami, ich

nestorka była jednak pod tak dużym wrażeniem jego odwagi, że rzuciła mu wyzwanie na śmierć i życie.

Wedle legendy Oshin Omari pokonał nestorkę swoimi szotelami. Widząc, że zwykły człowiek pokonał najsilniejszą z nich, strachopłochy mu się poddały. Przysięgły, że nie zaatakują Królestwa, jeśli tylko armia będzie się trzymać z daleka od Ciemnego Lasu. Oshin się zgodził.

Dalsza część historii jest wątpliwa. Niektórzy twierdzą, że ją wymyślił, żeby przypodobać się kuzynowi.

Kiedy Oshin opuścił las, wziął ze sobą na pamiątkę ciało nestorki. Z jej kości zrobił amulety dla swojej rodziny, które przekazywano z pokolenia na pokolenie. Kości chronią przed wpływem magii.

Większość z tej historii nie jest prawdziwa. Ale ta część o kościach – owszem.

Strachopłochy są antymagiczne. Takimi je stworzyłem.

Chcesz poznać prawdę, Rudjeku? Prawdę, nie legendę?

Przysięgam, że prawda jest znacznie ciekawsza od kłamstwa.

TRZYDZIEŚCI TRZY

Nie przestając łkać, mówię Essnai i Sukarowi, co zobaczyłam w swojej wizji. Pokój cały się trzęsie, a kiedy magia reaguje na moje cierpienie, ze ścian spadają kolejne maski. Essnai zmusza mnie do wypicia na uspokojenie naparu z czerwonokrzewu przyprawionego wężownikiem. Jest skuteczny, ale mój ojciec dodałby liść matay, by sen przyszedł szybciej. Myśląc o nim, czuję się jeszcze gorzej. Przez cały dzień i pół nocy na przemian budzę się i zasypiam. Śnię o Rudjeku leżącym na kocu nad Rzeką Węża. O tym, jak z głupawym uśmiechem dotykał swoich szoteli. O sobie, szukającej go w panice na Wschodnim Targu. O nim, leżącym nieruchomo na polanie w wiecznie ciemnym lesie, w powiększającej się kałuży krwi.

– Puść mnie – głęboki głos Rudjeka odbija się echem w moim śnie.

– Arrah – szepcze inny głos. Owija się wokół mnie jak ciepłe powietrze w piękny dzień.

Wspomnienia przywódców też płaczą mi się w głowie. Opowiadają swoje historie.

Przywódca plemienia Litho, człowiek pełen wad, ze słabością do zabijania.

Przywódczyni plemienia Mulani, kuzynka Arti, która wiernie służyła swoim ludziom.

Przywódca plemienia Zu, najwybitniejszy kopista swego plemienia, miłośnik mężczyzn i wina.

Przywódca plemienia Kes, który spędził większość życia w podróży po świecie duchów.

Przywódczyni plemienia Aatiri – babcia – która kochała głęboko i rządziła żelazną ręką.

Są częścią mnie. Ich wspomnienia, ich myśli i nadzieje. Ich sekrety, prawdy i kłamstwa płaczą mi się po głowie, aż zaczynają dudnić mi w uszach głośno jak poranne dzwony. Zrywam się, a ich głosy roją się gdzieś na skraju mojego umysłu. Kręci mi się w głowie od herbaty, ale nie ukoła ona bólu – nic nie jest w stanie tego zrobić. Rudjek odszedł, pozostawiając w moim sercu dziurę pulsującą jak bolący ząb. Jakaś część mnie gotowa byłaby zostać w tym pokoju, nie przejmując się, że reszta świata się pali, ale wiem, że nie mogę tego zrobić. Nie mogłabym spojrzeć na siebie w lustrze. Dzięki magii przywódców mam wreszcie możliwość zrobienia czegoś

przydatnego. Musi istnieć jakiś powód, dla którego Koré wysłała mnie do świątyni. I musi mieć coś wspólnego z cichym brzękiem magii na dziedzińcu.

Wstaję z łóżka Sukara i podchodzę do miski, żeby opryskać twarz wodą, ale ta okazuje się pusta. Unikam spojrzenia w lustro, bo boję się, co mogłabym w nim zobaczyć. Sukar i Essnai zapalili pochodnie w korytarzu. Mijam go i zaglądam do koszar. Ulubieni słudzy, tacy jak Sukar, mieli własne pokoje, ale większość mieszkała razem. Nie widzę przyjaciół. Próbuję sięgnąć ku nim umysłem, ale jestem zbyt zmęczona i magia gaśnie.

Sukar wystawia głowę z kuchni na końcu korytarza.

– O, podejrzewałem, że to ty.

Opiera się o drzwi. Jego tatuaże wróciły na pierwotne miejsce. Uniesione szpony tygrysa widnieją na jego policzkach, a paski rozciągają się po czole.

– Zrobiło się późno, nie chcieliśmy cię budzić. – Odsuwa się od ściany. – Wszystko dobrze?

Wzruszam ramionami – to lepsze od kłamstwa. Czuję zapach spalenizny.

– Co to za paskudny smród?

– Gulasz z ptaka! – woła Essnai. – Specjalny przepis mojej matki.

– Smakuje jeszcze gorzej niż cuchnie – szepcze Sukar.

– Słyszę cię! – woła Essnai.

– Nadeszła już pora, Arrah – słyszę głos babci. – Idź.

O nic jej nie pytam. Moje nogi poruszają się, zanim pojmę, co właściwie robię.

– Hej, dokąd idziesz? – Sukar mnie dogania. – Nie jest aż tak paskudny!

Nie zatrzymuję się, nim nie dojdę na środek dziedzińca i nie poczuję nocnego wiatru na ciele. Wszystko wokół spowija cień, który rozjaśnia tylko światło księżyca.

– Ktoś nadchodzi.

Essnai również do nas dołącza. Oboje patrzą na bramę. Ponad moją skórę unosi się magiczna fala, która szuka i sięga. Czegoś się chwyta. Sukar aż podskakuje u mojego boku i wyciąga z pochew swoje sierpy. Jego tatuaże płoną światłem tak jasnym, że muszę zakryć oczy. Jęczę, gdy poryw wiatru uderza we mnie tak mocno, że omal się nie przewracam. Wszyscy tracimy równowagę. Nie mam czasu zastanowić się, co się stało. Światło tatuaży Sukara gaśnie, a magia osiada we mnie.

Ktoś leży na ziemi ledwie dziesięć kroków od nas w swojej podartej, poplamionej krwią elarze. Nie, nie „ktoś”. Biegnę, potykając się.

Szepty osiągają gorączkowy ton, który zagłusza moje krzyki. Padam u boku Rudjeka. Łzy zasnuwają moje oczy mgłą i mnie dławią. Jest tu tak dużo krwi. Za dużo krwi i błota, jakby ktoś wykopał go z grobu. Moja magia sięga ku jego *ka*, które jednak odbija się i rozplywa w powietrzu. Popycham ku niemu ozdrowieńcze myśli, ale ta

magia też gaśnie. Przywódca Litho we mnie zna śmierć z bliska i wielu zawrócił znad krawędzi. Nieważne jednak, jak mocno ją popycham – magia odbija się od złamanego ciała Rudjeka.

Na bogów, nie. Jak to możliwe, że dotarł tu po makabrycznej scenie w Mrocznym Lesie po to tylko, by pozostać martwym, nie do odratowania? Musi istnieć jakiś sposób. Nie może być jeszcze zbyt późno.

– Arrah – Essnai kuca obok mnie – on już wstąpił.

– Nie, nie, nie – szepczę. – Wszystko będzie dobrze.

Sukar i Essnai odciągają mnie, a ja nie mam w sobie siły, by z nimi walczyć. On nie żyje, a przeklęte strachopłochy przysłały tu jego ciało, żeby ze mnie zadrwić. Nie ma innej odpowiedzi.

Cisza przedłuża ten moment i moją rozpacz, ale nagle Rudjek się porusza.

– Na dwudziestu bogów. – Kaszle. – Czy znowu śnię?

Sięgam ku niemu.

– A ja? – pytam przez łzy. – Czy jesteś prawdziwy?

Rudjek przekręca się na bok, a jego obsydianowe oczy są zmęczone i oszołomione.

– Niełatwo cię odnaleźć, dziewczyno.

Słowa wibrują w jego piersi, wyciętej z kamienia i cieplejszej od tysiąca słońc. Przez podartą elarę dostrzegam jego gładką, brązową skórę. Palcami muskam zniszczone ubranie, by upewnić się, że nie jest tylko złudzeniem, że istnieje naprawdę. Przeszywa mnie dreszcz i zalewa fala ciepła. Zawsze tak jest, kiedy się dotykamy. Na jego brzuchu nie ma rany, którą widziałam w swojej wizji, w której strachopłoch omal nie przeciął go na pół. Tyle krwi, a żadnej podpowiedzi, skąd się wzięła. Ale mnie to nie obchodzi. Rudjek żyje i jest tutaj ze mną. Sukar za naszymi plecami kaszle znacząco, a ja cofam dłonie.

– Skąd się tu wzięłeś? – pytam, kiedy siada. – Skąd wiedziałeś, żeby przyjść tutaj?

– Re'Mec mnie tu przysłał – odpowiada Rudjek, kiedy z Sukarem pomagamy mu wstać.

Sukar krzyżuje ramiona na piersi.

– Co ty masz wspólnego z oriszą?

– To długa historia – mówi Rudjek, przyglądając się opustoszałej świątyni. Dotrzymał słowa. Szukał mnie.

Trzykrotnie oglądam go całego w poszukiwaniu ran, a on przypatruje mi się, jakbym była duchem. Jego wzrok jest pełen tęsknoty, bólu i żalu. Poza paskudnym zapachem, nic mu nie jest. Zupełnie nic. A przede wszystkim – żyje.

– Widziałam, jak... jak umierasz w Mrocznym Lesie. – Powraca obraz Rudjeka leżącego na polanie.

- Umarłem w Mrocznym Lesie.
- To kolejna długa historia? – wzdycha Essnai.
- Nawet dłuższa. – Oddycha chrapliwie.

Kiedy Rudjek przygląda się mojej twarzy, fala gorąca zalewa mi kark. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że widzi, tak samo jak Tam, co odebrały mi rytuały. Jego oczy całe są błaganiem o odpowiedź na niezadane pytanie.

- Re'Mec wszystko mi powiedział.

Nic więcej nie mówi. Nie musi. Cisza jest ogłuszająca.

– Dobrze. Wreszcie wszyscy są na miejscu – dobiega nas głos szeleszczący jak pergamin.

Odwracamy się.

- Wu... wuj? – duka Sukar.

Barasa stoi na dziedzińcu w podartym, brudnym żółtym kaftanie.

- Któż inny uwięziłby swoje *ka* w tym paskudnym miejscu?

- Tylko głupiec. – Sukar śmieje się przez łzy.

Jasnowidz wygląda na postać z krwi i kości, ale na naszych oczach zmienia się w mgłę w kształcie mężczyzny. Jak Arti w mojej wizji, nim zyskała kształt. To jego magia szumiała na wietrze, kiedy dotarliśmy do świątyni. Magia martwego człowieka.

– Głupiec, który musi przekazać wiadomość. – Barasa gestem nakazuje nam pójść ze sobą. – Wiatr zdradza tajemnice.

Sukar i Essnai idą za nim bez słowa. Rudjek unosi brew, a ja wzruszam ramionami. Jesteśmy tak blisko siebie, że nasze palce dotykają się, gdy podążamy za Barasą. Szybko znajdujemy się wpierw w przedsionku, a zaraz potem w Holu Oriszy. Wspominając wcześniejsze słowa Sukara, próbuję wyobrazić sobie Efię w miejsce Nienazwanej. Czy to możliwe, by to była właśnie moja siostra? Magia we mnie sięga ku statui, szukając odpowiedzi, ale Barasa mnie dekoncentruje.

– Mamy mało czasu – wyjaśnia. – Muszę przekazać wiadomość, która wiąże moje *ka* z tym miejscem, nim magia zawiedzie. – Jego głos się łamie. Marszczy czoło. – Jestem świadom tego, co się stało... tragedii, która spotkała nasz lud.

Wbijam wzrok w ziemię, by ukryć się przed bólem w jego oczach – bólem, który jest jak jątrząca się, gnijąca rana.

– Czy Efiya wie, że tutaj jestem? – moje pytanie odbija się w holu echem. Wszyscy wstrzymujemy oddech.

Barasa kiwa głową ze zbolalym wyrazem twarzy.

- Tak, ale jest teraz zbyt zajęta zabijaniem oriszy, żeby się tym przejmować.

Zaciskam zęby, przypominając sobie Koré upadającą u jej stóp.

- Ilu?

– Oprócz Króla Bliźniaka... zginęli zniwiarz Ugeniou i matka zwierząt i ptaków Fayouma – mówi Barasa.

Opieram się o jeden z pomników, nie zwracając nawet uwagi, który to.

– Zostało ich jedenaście, jeśli liczyć Nienazwaną. – Barasa pstryka palcami, a pochodnie na ścianach budzą się do życia. – Na razie świątynia jest bezpieczna. – Posuwa się naprzód, na wprost idąc, a na wprost unosząc w powietrzu. Jego bladożółta elara szeleści. – Jest strzeżona przed magią demonów.

– Dlaczego dopiero teraz się pojawiaasz? – Sukar spogląda na wuja ze złością. – Byłem tu niezliczoną ilość razy, ale nigdy mi się nie pokazałeś. Jestem twoim siostrzeńcem. Na Hekę, odprawiłem nawet twój rytuał pogrzebowy.

– Zawsze musisz być taki drobiazgowy? Uspokój się, chłopcze. – Barasa poklepuje Sukara po ramieniu. – Nie sądzisz, że gdybym tylko mógł, to bym ci się pokazał? Orisze rzucili zaklęcie wiążące moje *ka* ze świątynią i nie pozwalali mi się pokazać, póki ta dwójka się tu nie zjawi. – Jasnowidz wskazuje koślawym palcem mnie, a potem Rudjeka.

Wymieniamy z Rudjkiem spojrzenia, nic nie rozumiejąc.

Moje ramiona przeszywa dreszcz.

– My? Dlaczego?

– Musicie zabić żmiję. – Barasa splata palce. Kiedy wreszcie napotyka moje spojrzenie, jest w nim skrucha. – Zanim znajdzie *ka* Króla Demonów.

– Już próbowałam – obejmuję się ramionami – nie udało mi się.

Rudjek kładzie dłonie na rękojęściach swoich szoteli.

– Ja to zrobię.

Ach ten Rudjek, arogancki jak zawsze. Powstrzymuję uśmiech.

– Gdyby każdy mógł to zrobić, chłopaku – Barasa unosi ramiona – nie musielibyśmy prowadzić tej rozmowy. Orisze planują odwrócić uwagę Efiyi, tak by Arrah mogła wziąć sztylet Króla Demonów. Mieczem może posługiwać się tylko ktoś obdarzony magią. Ty masz jej pomóc.

– Co w tym nożu takiego szczególnego? – Essnai opiera się o pomnik Re'Meca, krzyżując ramiona. Statua jest tak wielka, że jej głowa sięga kolana.

– Król Demonów użył sztyletu, by uwięzić dusze swoich wrogów – mówi Barasa. – Orisze użyli podobnej magii, by uwięzić jego *ka*.

Koré od początku wiedziała o mojej kłątwie i o tym, jak ją wykorzystać, by coś na tym zyskać. Rudjek staje bliżej mnie, jakby chciał się mną zaopiekować. On jeszcze nie wie. To dobra chwila, żeby mu powiedzieć. Mówię krótko. Nie mogę zdradzić tego, co najgorsze. Tego, do czego nie chcę się przyznać sama przed sobą – że magia Króla Demonów ukryta jest głęboko we mnie. Owinęła mi się wokół serca i dotknęła mojego

ka. Wydała mi się znajoma w sposób, którego nie potrafię wytłumaczyć. Mówię mu też o Efiyi – o dzieciach, które zmieniła w *ndzumbi*.

Kiedy jasnowidz otwiera usta, Rudjek podnosi rękę, żeby go uciszyć.

– Na dwudziestu bogów, nie chce mi się wierzyć, że tracimy czas, wysłuchując tego wszystkiego – mówi piskliwie. – To orisze i jasnowidze wymyślili Rytuał Przejścia. Ile rodzin zniszczyli swoimi gierkami? To tylko kolejna z nich. Nie obchodzi ich, co się z nami stanie.

Essnai i Sukar odwracają wzrok od jego twarzy, na której maluje się rozpacz spowodowana losem braci. Ból w jego ciemnych oczach jest jak pierwsze krople nadchodzącej ulewy. Żaden mieszkaniec Tamaru nie może powiedzieć, by rytuał jakoś go nie dotknął.

– Czyżby Re’Mec nie przysłał cię tu z powrotem? – pyta Barasa. – Pomógł ci.

– Pomógł mi, ale najpierw pozwolił mnie zabić – odpowiada Rudjek.

Zaskakują mnie chłód i rezygnacja w jego głosie. Przy najbliższej okazji będziemy musieli poważnie porozmawiać o całym tym umieraniu i wracaniu.

Myślę o dłoniach mojej matki ściskających sztylet, który wyrył w mojej piersi węża.

– Zrobię to – mówię, a Rudjek milknie. – Nie będę patrzeć z boku, jak Efiya niszczy resztę świata. Zbyt długo nic nie robiłam. Dość tego.

Otwiera usta, żeby zaprotestować, ale uciszam go spojrzeniem.

– Wyjątkowo zgadzam się z Rudjkiem – mówi Sukar. – Jeśli Efiya potrafi zabijać orisze, jaką my mamy szansę, żeby z nią wygrać? Zabiła też szamanów. Nawet magia wszystkich przywódców nie pozwoli jej pokonać.

– Ona ma szansę. – Barasa znów spogląda na mnie. – Tylko ona.

– Tylko mnie dotknęła demoniczna magia – mamroczę sama do siebie.

– Myślałem, że Król Demonów połknął wszystkie *ka* – odzywa się Rudjek, wciąż wściekły.

– Połknął te, które chciał – niecierpliwi się Barasa – ale każde z nich stało się jego częścią. Pozostałe uwięził w sztylcie.

– Orisze wykorzystali jego własną sztuczkę, żeby go uwięzić – szepczę, myśląc o pudełku Koré.

– Czemu Efiya miałaby nie zabić Arrah, zanim jeszcze znajdzie się ona dość blisko, by użyć sztyletu? – pyta Rudjek.

– Przeżyję wystarczająco długo, by to zrobić. – Krzyżuję ramiona. Raz już prawie dosięgnęłam Efiyi, ale powstrzymał mnie Merka. Znowu mi się uda. Essnai odsuwa się od pomnika Re’Meca i prostuje się.

– Nie podoba mi się to.

– Wreszcie ktoś jeszcze poszedł po rozum do głowy! – Rudjek znów piszczy. – To fatalny plan! Nie uwzględnia faktu, że Efiya ma całą armię demonów. Nie możemy po prostu do niej podejść i wbić jej ostrza w serce.

W chwili, w której zdecydowałam się to zrobić, „ja” zmieniło się w „my”. Rudjek nie pozwoli mi pójść samej.

– Mam nadzieję, że masz na myśli nas wszystkich, kiedy mówisz: „my”. – Sukar robi krok naprzód.

– Ja zgłaszam się na ochotnika. – Rudjek wzrusza ramionami.

– Ja również – dodaje Essnai.

Jeśli Essnai pomoże, Kira stanie u jej boku. Majka też zechce pomóc – jeśli nie mnie, to choćby po to, żeby pomęczyć Rudjeka. Przeraza mnie jednak myśl o tym, że przyjaciele znajdą się w pobliżu mojej siostry. Wiem, do czego jest zdolna. Wzdycham z ciężkim sercem.

– Gdzie jest sztylet?

– Leży ukryty w skarbcu pod Świątynią Heki – odpowiada jasnowidz.

– Dlaczego orisze nie pomyśleli o tym wcześniej, kiedy Efiya nie była jeszcze tak silna? – pyta Rudjek.

– Najpierw Arrah musiała zdjąć klątwę *Ka*-Kapłanki – wyjaśnia ostro Barasa – potem musieli umrzeć przywódcy... – Znów spogląda na mnie. – Wszystko to przewidziała twoja babcia.

Rudjek obok mnie nieruchomieje, a ja nie wiem, co powiedzieć. Babcia wiedziała. Przypomina mi się wizja, którą miała podczas święta Krwawego Księżyca. We wszystkich poprzednich widziała, jak stoję sama naprzeciw Świątyni Heki. W tej ostatniej zobaczyła stojące za mną cienie piętki przywódców, a każdy z nich dotykał dłonią mojego ramienia. Ogarnia mnie przerażenie na myśl o tym, jak straszna musiała być dla niej ta świadomość.

Sukar wpatruje się w wuja zmrużonymi oczyma.

– Czego nam nie mówisz?

Fantomowe ciało Barasy drga, kiedy znów zwraca się ku mnie.

– Jeśli go użyjesz, sztylet zabije i ciebie.

TRZYDZIEŚCI CZTERY

Gdyby jasnowidz nie był już martwy, Rudjek wbiłby mu szotele prosto w serce. Po plecach przechodzą mnie dreszcze, kiedy ich uniesione głosy dudnią mi w uszach. Bicie mojego serca jest tak głośne, że skronie zaczynają pulsować bólem. Nie chcę umierać, ale prawda jest taka, że stoję już jedną nogą w grobie. Nawet magia przywódców nie odda mi lat, które poświęciłam. Demony na pustyni nazwały mnie chodzącą *ndzumbi*. Jestem żywym trupem, ale moja śmierć to niewysoka cena za powstrzymanie mojej siostry.

– Dość – mówię, by zakończyć ich kłótnię. Pocieram czoło, a moje oczy zasnuwa mgła. – To mój wybór i podejmam już decyzję.

Na twarz Rudjeka pada cień, ale nie jest w stanie ukryć jego łez. Jego dłonie opadają z rękojęści szoteli i zwisają bezwładnie po bokach ciała. Nie kłóci się ze mną, wie, że to nie ma sensu. Milczy, więc pytam:

– Dlaczego sztylet mnie zabije?

– Orisza, która wykuła ostrze, tak to wymyśliła – syczy z obrzydzeniem jasnowidz z plemienia Zu. – Jedynie Królowi Demonów dała zdolność łapania dusz w pułapkę i magia odpowiada tylko na jego dotyk.

Znam Barasę niemal całe życie, a nigdy nie widziałam w nim takiego mroku, takiej nienawiści jak teraz, kiedy patrzy na pomnik Nienazwanej. Orisze odebrali jej imię. Wykreślili ją z historii. Patrząc na przykład Koré – raz nadąsanego dziecka, raz niebezpiecznej morderczyni – widać, że orisze są zmienne. To Nienazwana musiała wykuć ten sztylet. W czasie wojny stanęła po stronie Króla Demonów – zdradziła dla niego swoje rodzeństwo.

– Wszyscy inni umarliby przy pierwszym dotknięciu noża, ale ty możesz go szukać – mówi mi jasnowidz. – Wciąż żyje w tobie resztką magii Króla Demonów. Sztylet jest dość potężny, by zabijać zarówno śmiertelnych, jak i nieśmiertelnych... To wystarczy, byś mogła dokonać czynu, ale nie wystarczy, by ciebie utrzymać przy życiu.

Sylwetka Barasy zaczyna blaknąć.

– Jeśli masz więcej pytań, teraz jest dobra pora.

Nie mam żadnych pytań.

Postanawiamy zostać w świątyni, póki nie będziemy gotowi, by wyruszyć w ośmiodniową podróż ku plemiennym ziemiom. Barasa spędza swoje ostatnie chwile

sam na sam z siostrzeńcem, a potem magia wiążąca jego *ka* blednie. Później Sukar i Essnai wyruszają zrobić zapasy na podróż i przyprowadzić Kirę i Majkę. Oboje z Rudjkiem myjemy się w barakach, po czym grzebiemy w łózkach w poszukiwaniu ubrań na zmianę. Oboje wkładamy czarne tuniki i wąskie spodnie noszone przez obsługę świątyni. Ubrania pachną stęchlizną, tak samo jak korytarze.

Wujek Sukara przeszukał kwatery mojej matki, ale nie znalazł tam nic ciekawego. Przeszukał także katakumby pod świątynią. Powiedział nam, że są tam trzy poziomy – dwa odkrył dopiero po śmierci. Większość komnat pozostała nienaruszona, ale było jasne, że niektóre służyły jej do odprawiania rytuałów. Postanawiam sama je przeszukać i wykorzystać magię, żeby sprawdzić, czy znajdę jakieś wskazówki dotyczące jej dalszych kroków.

Kiedy mijamy z Rudjkiem ciemny przedpokój prowadzący do pokojów mojej matki, jestem niespokojna. Zacznę tam, a potem spróbuję w katakumbach, zależnie od tego, jak mi pójdzie. Choć boję się, że kiedy znajdę się pod poziomem świątyni, powrócą do mnie wspomnienia tamtej strasznej nocy z Arti i Shezmu.

Kiedy idziemy przez jej pokoje, korci mnie, by spytać Rudjeka o Mroczny Las. Tak miło jednak przebywać razem w milczeniu, powstrzymuję się więc. W porównaniu do kamiennych korytarzy na zewnątrz, komnata Arti jest pełna bogactw, jakich nigdy nie widziałam w domu. Przypomina mi scenę z rekwizytami – jakby występowała przed zgromadzeniem wspanialszym niż samo życie. Powietrze pachnie miodem i kokosem, tak jak pachniała ona. W moim żołądku kłębią się sprzeczne emocje – to jednocześnie zapach domu i złych wspomnień.

Wokół łóżka tak wielkiego, że zmieściłby się w nim gigant, zwisają cieniutkie, koronkowe zasłony. W salonie pełno jest platerowanych złotem drobiazgów i najróżniejszych świecidełek. Jasnowidze spędzali czuwania w odosobnieniu w świątyni. Zawsze niecierpliwie czekałam na te chwile, bo Arti pracowała wtedy przez wiele dni. Nikt nie odgadł, że planowała wtedy zniszczenie świata. Pozostało tu już jednak tylko słabe echo jej magii, a kiedy wychodzimy, oddycham z ulgą.

Pochodnia w korytarzu trzyma cienie na wodzy. Zamykam oczy. Mój umysł podsuwa mi obraz *shotani* w każdym ciemnym zakamarku. Gdzie posłał ich nowy Wszechpotężny razem z pozostałymi gwardzistami?

Essnai powiedziała, że nikt nie jest tego pewien, ale pora z pewnością nie jest przypadkowa. Jeśli nie obchodzi go, że demony buszują po jego Królestwie i zabijają jego ludzi, czy obchodzi go cokolwiek? Dotykam dłonią wilgotnej ściany, wyczuwając wyryte w kamieniu pismo jasnowidzów o ostrych krawędziach. Wiruje mi w głowie. Szepty przywódcy Zu – mistrza skrybów – dominują nad pozostałymi. Odkąd

dołączyły do mnie *ka* szamanów, moja percepcja się zmieniła. Czuję głębszy związek ze światem – pojmuję, że jest znacznie więcej rzeczy, których nie potrafię zrozumieć.

Przyglądam się freskowi na przeciwległej ścianie, przedstawia historię Największego Katakliizmu – stworzenia oriszy. Wulkan wypływa burzowe chmury. Według jasnowidzów, Największy Katakliizm był na początku. Jeszcze przed oriszami stworzył porządek i chaos. Z porządku wyłonił się czas, a z chaosu – życie i śmierć. Szepty w mojej głowie są tak gorączkowe, że czuję się, jakbym sama wpadała w Największy Katakliizm. Tam opowiedział mi barwniejszą wersję historii stworzenia. Im więcej dowiaduję się o oriszach, tym jego opowieść wydaje mi się prawdziwsza.

Przemierzałam te korytarze niezliczoną ilość razy, teraz jednak widzę je także oczami przywódców. Wyczuwam przeszłych jasnowidzów odprawiających rytuały. Muśnięcie bardzo starej magii. Delikatne linie łączące wszystko we wszechświecie. Myśli przywódców rozpychają się pomiędzy moimi. W głowie mi się kręci, kiedy próbuję je rozdzielić, żeby zachować własne wspomnienia.

– Wszystko w porządku? – Rudjek dotyka mojej dłoni.

Mrugam, a jego twarz staje się wyraźna.

– Okazuje się, że przywódcy są trudni we współżyciu. Lubią się przekrzykiwać. – Świadoma bliskości z Rudjkiem, czuję, jak fala ciepła unosi się w górę mojej szyi. Przęłykam ślinę. – Przez cały ten czas byłeś z Re'Mekiem?

– W pewnym sensie. Kiedy uciekłem z moich pokoi, w drodze na Wschodni Targ, wpadłem na Tama. – Rudjek uśmiecha się drwiąco, wypowiadając jego imię. – Mówiąc „wpadłem na niego”, mam na myśli to, że stanął mi a drodze. – Rudjek przerywa i bierze głęboki oddech. – Arrah... Jak dobrze znasz Tama?

– Wiem, że to samolubny drań. – Marszczę nos. – Nie przejął się wcale, że wysłał cię w niewłaściwe miejsce.

– No właśnie. – Rudjek unosi brew, zaskoczony. – Ja znam go całe życie. Dorastaliśmy, konkurując na arenie ojca, i przez lata braliśmy prywatne lekcje. Kiedy powiedział, że słyszał, jak *Ka*-Kapłanka każe strażnikowi przygotować się do drogi do Doliny Aloo, uwierzyłem mu bez zastanowienia.

Na dwudziestu bogów. Wiedziałam, że trzeba było spalić Tama na wiór. To on dostarczył Rudjeka strachopłochom.

– Nie wiem, czy pracuje dla mojej matki, czy może...

– Tam nie jest tym, kim nam się wydawało – mówi cicho Rudjek.

Tam i jego tamarskie rysy kontrastujące z brązową cerą Yöome, włosy barwy słońca, błękitne oczy. Nie widywałam go na żadnym z targów, nim został skrybą. Nie zastanawiałam się nad tym – wiele zamożnych rodzin nie zaglądało do serca miasta. Wysyłali na targ swoich służących. Tam opowiadał historię stworzenia oriszy z taką

tęsknotą, że można by uwierzyć, że był jej naocznym świadkiem. A to, co powiedział w alejce, kiedy zastanawiałam się, czemu tak łatwo zabić demona. „Możesz zapytać ponownie, kiedy któryś z nich połknie sto czy tysiąc *ka*”. Dociera do mnie prawda.

– Tam to Re’Mec.

Rudjek kiwa głową. Od początku miał rację co do oriszy. Lubią swoje gierki. Prawda uderza we mnie jak bicz – jesteśmy dla nich jak szmaciane lalki. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam Koré w alejce, wydawała się człowiekiem. Zdradziły ją magia, poskręcane włosy i pudełko, ale to tylko dlatego, że pozwoliła mi je zobaczyć. Nigdy nie wyczułam magii w obecności Tama, ale zawsze był kameleonem. Przez cały czas, kiedy Koré mi pomagała, on musiał być z Rudjkiem. Co więcej, to znaczy, że Re’Mec obserwował Rudjeka od dzieciństwa.

Po wielu latach lekcji ze skrybami wciąż nie potrafię w pełni zrozumieć, że orisze mieszkają między nami. Dla nich jesteśmy jak pionki w grze w psy i szakale. Arti i Efiya to pionki Króla Demonów, a Rudjek i ja to ich konkurenci w rękach oriszy. Ufałam Koré, nawet kiedy okazało się, że orisze okłamali nas w sprawie demonów. Teraz rozumiem, że od początku znała plan przywódców i świadomie o niczym mi nie mówiła. Okrutnie mnie to frustruje, że gdyby nie oni, już byłabym martwa.

Rudjek znów przygląda się mojej twarzy.

– Wyglądasz, jakbyś właśnie zobaczyła koniec świata.

– Nic nowego – wzdycham i macham ręką – widziałam go wiele miesięcy temu.

Stoimy tak blisko siebie, że jego ciepło uderza we mnie falami. Nie mogę oderwać oczu od jego długich, ciemnych rzęs. Ogromny hol wydaje mi się mniejszy i bardziej intymny. Nasze rodziny są daleko, przyjaciół akurat nie ma i nikt nie może nam przerwać. Nikt nas teraz nie rozdzieli.

– Kilka dni po tym, kiedy wkroczyłem do Doliny Aloo, znalazłem opuszczone obozowisko – ciągnie Rudjek. – Nie potrafię tego wyjaśnić, ale... to obozowisko pachniało tobą. – Pochyla głowę, by ukryć rumieniec. – Tak jak ty pachniesz w tej chwili. Słodko i upojnie. Jak coś zakazanego...

– Rudjek! – Moje policzki też już płoną. – Mówimy o Dolinie Aloo, pamiętasz?

– Przepraszam. – Przeczesuje palcami swoją czarną zmierzwioną czuprynę. – Dekoncentrujesz mnie.

– Myślisz, że ty mnie nie? – odpowiadam.

Rudjek uśmiecha się, a ja kłaskam językiem.

– O czym to ja mówiłem?

– O opuszczonym obozowisku.

– Ktoś je splądrował. – Kołysze się na piętach i głośno przełyka ślinę. – Pomyślałem o Mrocznym Lesie i o strachopłochach. O historiach, które opowiadano nam

w dzieciństwie...

Mój ojciec mawiał, że nie można zobaczyć strachopłocha, ale wyczuwa się jego obecność. Postanowiły nie pokazywać się Oshhemu, kiedy polował na białego wołu, ale Rudjek nie miał tyle szczęścia. Jego rodzinny klejnot zniknął, zabrał go strachopłoch, którego widziałam w swojej wizji.

– Coś mi się wydaje, że te istoty znaczą więcej, niż sugerowały nam historie.

– Nie wydaje mi się, by jakiegokolwiek słowa oddawały to, czym one są. – Jego głos się trzęsie.

W tym prostym stwierdzeniu, jest tyle bólu, że unoszę rękę, by pogłodzić go po policzku. Zwraca twarz ku mojej dłoni tak, że jego wargi muskają jej wnętrze, i bierze głęboki oddech. Jego skóra jest rozpalona.

– Potrafią robić rzeczy, o jakich nawet mi się nie śniło... – Patrzy na mnie z tak rozpaczliwą tęsknotą, że serce mi się kraje. – Nie wiem, czy mogę ufać własnym wspomnieniom.

– Rudjek – szepczę – co ci się stało?

– Walczyłem ze strachopłochem, który omal nie rozerwał mnie na pół – mówi, a każde jego słowo jest pełne zmęczenia. – Umarłem – dodaje.

Zapada między nami cisza, a on unosi czarną tunikę i pokazuje mi swój gładki, nienaznaczony brzuch.

– Szpony strachopłocha trafiły mnie tutaj. – Przesuwa palcem od lewej do prawej strony; ja powtarzam tę drogę swoją dłonią. Moje ciało ogarnia ciepło, a jego skóra pod moimi palcami pokrywa się gęsią skórką. Niewidzialna rana kończy się nad jego kością biodrową. Moja dłoń zostaje tam chwilę zbyt długo. Wyczuwam pulsujące mu w żyłach wyczekiwanie, takie samo jak moje.

– Ale... Re'Mec sprowadził cię tu z powrotem? – pytam, zabierając rękę i unosząc ku niemu wzrok.

– Nie – mówi Rudjek, rumieniąc się. – Sam się uzdrowiłem.

Rozdziawiam usta, gotowa, by zadawać kolejne pytania, kiedy na przedramionach czuję znajome mrowienie. On też musiał je wyczuć, bo obraca się, chwytając za szotele. Oboje wpatrujemy się w ciemność.

– Och, cóż za miłe spotkanie – mruczy znajomy głos, który sprawia, że krew zamarza mi w żyłach. – Musiałem się trochę napracować, żeby pozbyć się strażników oriszy. – W krąg światła wkracza Merka.

Wciąż jest w ciele rybaka – chudy, z ospowatą twarzą i rudymi włosami, które odziedziczył po kocie. Teraz porusza się jednak z dziwnym nowym wdziękiem. – Twoja siostra bardzo się o ciebie martwi, Arrah. Sama by tu przyszła, ale jest dość... zajęta.

Szepty przywódców znów rozlegają się w moim umyśle, tak głośne, że wydaje mi się, że głowa mi pęknie.

Odsuwamy się z Rudjkiem, ale w ciemności za naszymi plecami coś się porusza.

– To mój szczęśliwy wieczór – warczy Rudjek. – Zabiję swojego pierwszego demona.

Mój brzuch wypełnia strach. Rudjek nie wie, z czym się mierzy. Jeśli to, co Tam powiedział w alejce, jest prawdą, jego szotele na nic się zdadzą. Demony im więcej dusz pochłaniają, tym stają się silniejsze. A cztery kolejne wyłaniają się właśnie z mroku za plecami Merki.

Skoro tutaj są, to znaczy, że Efiya i jej armia muszą być blisko.

– Zabicie kogoś z twojego rodu będzie dla mnie przyjemnością. – Merka uśmiecha się szeroko, a pozostałe demony nacierają. Kiedy Rudjek unosi swoje szotele, ktoś chwyta mnie od tyłu. Kopię, krzyczę. okładam go pięściami, ale coś wali mnie w głowę tak mocno, że nogi się pode mną uginają i tracę wzrok. Rudjek próbuje mnie dosięgnąć, ale otacza go teraz cała horda demonów. Więcej niż dałoby się zliczyć. – Tęskniłaś za mną? – Merka szepcze mi do ucha głosem lepkiem jak miodowe wino.

Zaciąga mnie do pokoju i zatrzaskuje za nami ciężkie drzwi, po czym popycha mnie naprzód. Omal się nie przewracam. Jest silniejszy i szybszy niż wcześniej, siła wprost błyszczący mu w oczach.

Znajdujemy się w małym pokoiku bez okien i innego wyjścia niż drzwi za jego plecami. Wzdłuż ścian na podłodze ustawiono zapalone kaganki. W rogu stoją jedno krzesło i stół. Cofam się w stronę stołu, ale Merka zbliża się do mnie.

– Pomyślałem, że przyda nam się chwila intymności. – Uśmiecha się.

– Gdzie jest moja siostra? – pytam, chcąc odwrócić jego uwagę.

– Walczy ze swoimi wrogami. – Merka wzrusza ramionami. – Przysłała mnie tu, żebym się tobą zajął.

Nietrudno odgadnąć, czego chce – i czego chce Efiya. Nigdy nie umiała wejrzeć w mój umysł. Przysłała Merkę, by zebrał dla niej informacje – czy wie, że są ze mną *ka* przywódców? Jego oczy zmieniają kolor z jodeitowego na morski, szmaragdowy i znów jodeitowy. Serce wali mi w piersi, a jego hipnotyczne spojrzenie uspokaja. Tonę w ciepłych ruchomych pisakach. Wciągają mnie głęboko, a im jestem głębiej, tym bardziej grzeję się w morzu spokoju. Cały mój niepokój znika; Efiya nie ma już znaczenia, nie ma znaczenia Rudjek ani mój ojciec. Ważne są tylko oczy Merki, w których tonę coraz głębiej, aż do jego duszy.

– Wiesz, czemu twoja siostra postanowiła stworzyć mnie jako pierwszego? – pyta Merka.

Siedzę teraz w fotelu, a on klęka przede mną. Poruszam wargami, żeby się odezwać, ale jestem zbyt zmęczona i kręcę tylko głową.

– Sprowadziła mnie z twojego powodu – mówi z rozbawieniem w głosie. – Uznała, że moje talenty mogą się przydać. Jestem nieco podobny do starego *Ka*-Kapłana, ale w odróżnieniu od niego... potrafię uczynić to wszystko znacznie przyjemniejszym.

Mrugam i znajduję się sama na pustej płaszczyźnie w umyśle Merki. Świeci wokół mnie miękkie światło, ale jego perwersyjny mrok zajmuje każdy centymetr mojego ciała. W tej istocie nie ma nic dobrego – tylko słodkie iluzje. Widzę jego prawdziwą twarz. Jest wyższy niż powinien być nieforemny, ma dwie głowy, krwawe usta i żadnych oczu.

– Pokaż mi swój umysł, Arrah. – Dźwięk mojego imienia budzi mnie z transu i zaraz wracam do pogrążonego w półmroku pokoju, na fotel. – Zdradź mi swoje tajemnice.

– Najpierw ty zdradź mi swoje – skrzeczę, choć ledwie oddycham. – Czy jesteś tylko wiernym psem mojej siostry?

Merka wymierza mi policzek. Moja szczęka pęka, a gdybym już nie siedziała, ból, który następuje potem, rzuciłby mnie na kolana. Krew w moich ustach smakuje mokrą ziemią, ale oczyszcza całą mgłę. Magia ukryta w moim wnętrzu nastawia mi szczękę, a ból jest już tylko wspomnieniem. Odzyskuję przytomność umysłu.

– Podziwiam hardość twojego ducha. – Zaciska zęby. – Z przyjemnością go złamię.

Przez dziurę pod drzwiami dostrzegam ciemne cienie łopoczące po pokoju. W przedsionku toczy się bitwa. Jeśli wciąż walczą, to znaczy, że Rudjek żyje. Że wciąż jest nadzieja.

Merka chwyta mnie pod brodą, zmuszając, bym znów na niego spojrzała. Tym razem jednak jestem gotowa – przywódczyni Mulani mówi mi, co mam zrobić. Jej magia sięga najdalszych kątów jego umysłu. Jest istotą pełną pokus, poza tym nie ma w nim nic. Kiedy z łatwością łamię jego wolę jak pęk zeschniętych ziół, rośnie we mnie moc. Otwiera szeroko oczy, najpierw z zaskoczenia, a później ze strachu.

Powtarzając rozkaz przywódczyni Mulani, mówię:

– Puść mnie.

Merka kiwa głową, a jego ramiona opadają bezwładnie. Przyciskam błyszczące białą dłoń do jego policzków. Jadeitowe oczy stają się niemal przezroczyste. Na twarzy pojawiają się pęknięcia. Próbuje się odezwać, ale przytrzymuję go. Jego skóra zaczyna łuszczyć się jak spalony papier. Jego ciało czernieje i odpada od kości. Po raz ostatni napotykam jego spojrzenie. Klnie jeszcze, nim całe jego ciało ulega przemianie. Moja furia nie zna granic, a gdy dzieło dobiega końca, nic z niego nie zostaje.

TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

Wciąż dysząc wściekłością, wpatruję się w swoje dłonie. Myślę o tym, co zrobiły Merce. O tym, co zrobiłam z własnej, nieprzymuszonej woli. Zabiłam go. Nie mogę winić magii demonów, jak wtedy, kiedy zabiła ona tamtych mężczyzn pod świętym drzewem. Teraz rozumiem, że płonący we mnie ogień jest tylko mój. Kontroluję go. Magia odpowiada mi i spełnia moje życzenia, jakkolwiek byłyby przerażające. Przez całe swoje życie marzyłam o magii. Teraz, kiedy jest moja, zastanawiam się, czy to właśnie dlatego Heka za każdym razem odmawiał mi swoich darów podczas święta Krwawego Księżyca. Wiedział, do czego jestem zdolna.

Magia we mnie stygnie, a moja wściekłość ustępuje, kiedy Rudjek wpada do pokoju, wyrywając drzwi z zawiasów. Jest cały we krwi i wydaje z siebie długie gwizdnięcie. Oddycham z ulgą – nic mu nie jest.

– Na dwudziestu bogów, ty to zrobiłaś? – Patrzy na stertę popiołu, jedyne, co zostało z Merki. – Widzę, że nie tylko ja skrywam tajemnicę. – Jego słowa pełne są podziwu i niedowierzania.

Kolejna godzina mija jak za mgłą. Nie możemy czekać na naszych przyjaciół. Nie ma czasu, poza tym nie są przy mnie bezpieczni. Efiya naśle na nas więcej demonów albo sama przybędzie. Nie ufam oriszom ani temu, co zaplanowali, ale coś muszę zrobić.

Próbuję przekonać Rudjeka, żeby on też został, ale robię to bez przekonania, a on nie chce nawet słuchać moich protestów. Opuściłam go już raz, kiedy moja rodzina została wygnana z Królestwa, i nic dobrego z tego nie wynikło. Barasa powiedział, że razem może nam się udać powstrzymać moją siostrę i Rudjek jasno informuje mnie, że idzie ze mną. Czuję ulgę, wiedząc, że kiedy nadejdzie koniec, będzie przy mnie.

Opuuszczamy świątynię i schodzimy do serca Tamaru. Na zachodnim skraju miasta widzimy w oddali zarys gór Barat. Na szczęście nikt mnie nie poznaje, kiedy kupujemy zapasy na drogę, konie i kij, którym będę walczyć. Ludzie są zbyt zajęci walką o codzienny byt. Kiedy widzę w ich oczach błysk buntu w obliczu tak straszliwych zniszczeń, napełnia mnie nadzieja. Nie mogę uratować siebie, ale być może uda mi się uratować ich.

Rudjek mówi niewiele, ale przygląda mi się bacznie i myśli, że tego nie zauważam. Robię to samo. Czasem wydaje się pogrążyć we własnych myślach, jego oczy patrzą gdzieś w przestrzeń, a wyraz twarzy staje się nieprzenikniony. Widziałam już

wcześniej, jak jego twarz zmienia się w maskę, ale nigdy dotąd nie budował tak nieprzeniknionej fortecy. Ja też się zmieniałam – wracam czasem myślami do Kefu i puls mi przyspiesza. Wpadam w panikę na dźwięk patyka łamanego pod końskimi kopytami. Widzę czasem smutną, milczącą twarz ojca, błagającą mnie, bym go uwolniła.

Podróżujemy przez większość dnia, męcząc konie bardziej, niż powinniśmy. Oboje od dzieciństwa dla zabawy uczyliśmy się jeździectwa – było to popularne zajęcie w naszej sferze, choć w granicach miasta rzadko można było zobaczyć, by ktoś to robił. Kiedy słońce zaczyna blaknąć, nogi i plecy bolą mnie po całym dniu w siodle. Żadne z nas nie jest wybitnym jeźdźcem, ale Rudjek radzi sobie nieco lepiej.

Po krótkim odpoczynku o zmierzchu, wjeżdżamy znów na żwirową drogę wśród pól uprawnych na zachodniej flance Królestwa. Rudjek wciąż zagryza dolną wargę, jakby zbierał się na odwagę, żeby mnie o coś zapytać. Czuję znajome ciepło, a mój umysł szaleje na widok jego zębów szczypiących miękką skórę. Słyszę tylko tęskne rzenie koni i uderzenia ich kopyt o ziemię. Po kilku godzinach w drodze nasze milczenie staje się nie do zniesienia.

– Zazwyczaj nie trzymasz języka za zębami – mówię, żeby oderwać się od swoich myśli.

– W jaki sposób zabiłaś tamtego demona? – Jego pytanie jest szybkie jak trzask bicia.

– Jeden z przywódców podpowiedział mi, co mam robić – odpowiadam po chwili. – Nie do końca rozumiem, jak to działa, ale ich magia odpowiada na moje wezwanie. – Wzruszam ramionami. – Nawet kiedy ja sama tak do końca nie wiem, czego chcę, ona wie. Przynajmniej zazwyczaj.

– Ale nie odbiera ci za to lat? – pyta, przyglądając mi się uważnie. – Tak jak wcześniej?

Odwracam głowę. Nie mogę znieść jego spojrzenia. Nie wiem jeszcze, że w Kefu oddałam więcej swoich lat. – Nie... nie odbiera. – Zmuszam się do uśmiechu. – Nie, to dzięki oriszom. A konkretnie dzięki Hece.

Przez resztę dnia atmosfera jest niezręczna, pełna wybuchów nerwowego śmiechu, wyczekiwania i tęsknoty. Znajdujemy nocleg nieopodal potoku, gdzie napełniamy na nowo nasze bukłaki na wodę. W dolinie panuje cisza, jeśli nie liczyć pohukiwania sowy i od czasu do czasu szumu drzew poruszających się na wietrze. Owce biegają wolno po pobliskich zielonych wzgórzach, a powietrze wypełnia woń ich odchodów.

Na kolację skubujemy twarde jak kamień chleb i ser, ale oboje jesteśmy zbyt zdenerwowani, by jeść. Rudjek uśmiecha się do mnie w sposób, który sprawia, że cała sztywnieję. Czy nadają zbyt duże znaczenie szelmowskiemu błyskowi w jego oczach?

Temu, że nie wie, co zrobić z rękami? Umył się w strumieniu mydłem pachnącym jak błękitne niebo. O, Heko, ratuj. Nie mam kontroli nad tym, jak moje ciało reaguje na jego widok, kiedy tak na mnie patrzy. Siedzimy dość blisko siebie, by nasze ramiona się stykały, a żadne z nas nie waży się wrócić do namiotu.

– Ja mogę tam spać. – Rudjek drapie się w tył głowy. – Jest mnóstwo miejsca.

– Nie musisz – odpowiadam – obiecuję, że cię nie pogryzę.

– Nie byłbym taki pewien – śmieje się Rudjek.

Nie myślę się, odczytując jego spojrzenie, i on się nie myli. Nie spodziewałam się czegoś takiego. Jeśli dobrze czytam sygnały, pocałujemy się wreszcie, nim nadejdzie ranek. Potrzebuję powietrza. Wstaję. Rudjek też zrywa się na nogi.

Zerka to na mnie, to na ognisko, a jego policzki płoną.

– Kiedy byłem w Mrocznym Lesie, Re'Mec powiedział mi wiele rzeczy. Nie wiem, czy we wszystko wierzę. Muszę ci jednak coś powiedzieć, a nie potrafię.

– Powiesz mi, kiedy wrócę. – Zerkam w kierunku strumienia, po czym staram się kuszając uśmiechnąć.

Zerka w górę na chmury ukrywające niebo nad doliną.

– Ale wróć szybko... Mogę się poczuć samotny.

Nie planowałam tego, ale potrzebuję chwili, żeby się zastanowić. Idąc w stronę strumienia dróżką pomiędzy drzewami, zastanawiam się, jak ta noc potoczy się dalej. Na co jestem gotowa? Oblewam sobie szyję chłodną wodą, ale to nie pomaga ugasić trawiącego mnie ognia. Póki jeszcze myślę rozsądnie, połykam sproszkowany korzeń świecznicy wymieszany z ziołami. Nie spodziewam się, by sprawy zaszły aż tak daleko, ale w razie czego będę przygotowana. Mikstura nie pozwoli mi zejść w ciążę.

Coś kłuje mnie w kark. Uderzam się tam dłonią. Zostaje na niej strużka krwi i zgnieciony komar. Czy kiedy Efiya wypuści Króla Demonów, ludzie będą łupem łatwym jak komary? Głosy szamanów znów zaczynają szeptać, a mnie kręci się w głowie. Mówią o swoich nadziejach, marzeniach i lękach, jakby dzięki tym zwierzeniom mogły wrócić do życia.

Nie zostało mi wiele czasu. Ile lat zajęło magii zdjęcie klątwy mojej matki? Zbyt wiele. Jak powiedzieć swojemu najlepszemu przyjacielowi, że niedługo się umrze? Czuję grozę na myśl o tym, jak zrozpaczony będzie Rudjek, kiedy sztylet dopełni dzieła. Ta noc będzie jedną z naszych ostatnich.

Kiedy się myję, księżyc i gwiazdy znikają. Węzeł zaciska mi się na żołądku. Orisza księżycy Koré zginęła przeze mnie. Poświęciła się dla szarlatanki, bo uwierzyła, że uda mi się pokonać Efiyę. Mam nadzieję, że miała rację.

W całkowitej ciemności potykam się po drodze do obozowiska. Wałęsałam się zbyt długo i teraz nie widzę już płomieni. Czyżbym poszła w niewłaściwą stronę?

Przeszywa mnie dreszcz – pomiędzy drzew wyfruwają chowańce, które zastępują mi drogę jak stado wściekłych psów. Serce wali mi w piersi z całej siły. Ich obecność oznacza kłopoty.

Efiya.

Rzucam się biegiem przed siebie, nie zważając na krzaki kłujące mnie w stopy i kostki. Obozowiska nigdzie nie widać. Gdziekolwiek skręcam, droga prowadzi mnie z powrotem nad strumień. Zalewa mnie pot. Kładę dłonie na kolanach i ciężko dyszę. Pali mnie w piersi.

Uwięziła mnie w labiryncie.

Schwyciła go.

Nie powinnam była pozwolić Rudjekowi pójść ze sobą, niezależnie od tego, co mówili orisze. Efiya jest straszniejsza od naszej matki. To dziewczyna o niemal nieograniczonej mocy, która nie zna nawet różnicy pomiędzy dobrem a złem.

– Rudjek! – mój głos odbija się echem pośród nocy.

Odpowiada mi wszechobecna, nieprzenikniona cisza.

Moje oczy zalewają się łzami, a ramiona mrowią, jakby obsiadła mnie armia pajaków. Wyobrażam sobie najgorsze. Torturuje go. Jeśli będzie w odpowiednim nastroju, uczyni jego śmierć powolną i bolesną. Powinnam była odesłać go w chwili, w której pojawił się w świątyni.

Proszę, Heko, nie.

Nie mogę stracić i Rudjeka – nie teraz, kiedy dopiero co go odzyskałam. Głupio modlić się do boga, który odwrócił się plecami od swoich ludzi – boga, który pozwolił Efiyi mordować plemiona niczym bydło – ale i tak się modłę.

– Znajdę wyjście z tego labiryntu! – wołam w ciemności przez zaciśnięte zęby. – I znajdę Rudjeka!

Ogłuszająca cisza w moich uszach dudni jak gorzki śmiech. Przywódcy pomogli mi wcześniej, ale teraz, kiedy potrzebuję ich najbardziej, milczą. Musi istnieć jakiś inny sposób. Przeczesuję pamięć w poszukiwaniu rytuału, który mógłby pomóc. Efiya nie ma wpływu na mój umysł, więc labirynt jest tylko sztuczką. Muszę po prostu zobaczyć właściwą ścieżkę, jak wtedy, kiedy uciekałam z willi w Kefu. Podnoszę kilka kamieni leżących na krawędzi wody i rzucam nimi w drzewa. Niektóre docierają daleko, ale inne znikają w powietrzu i zaraz lądują mi pod nogami. Mogłabym rzucać nimi przez całą noc w poszukiwaniu drogi, ale wtedy Rudjek może już...

Wreszcie docierają do mnie szepty szamanów. Jeden z nich wyróżnia się spośród innych – to głos męczyzny łagodny niczym rzeka. Skupiam się tylko na jego słowach. Dostrzegam go w myślach. Jest wysoki, ma na wpół przezroczystą, brązową skórę. To przywódca Kes. Nie dopuszczam, by mój strach uciszył jego głos. Zanurzam się w nim,

pozwalam, by przeze mnie przepływał, a on zajmuje w moim umyśle każdy kąt, aż słyszę już tylko jego.

Nie jestem sama.

„Pokażę ci drogę”.

– Pokaż – szepczę w ciemności.

Przywódca Kes pojawia się na skraju lasu. Pojawia się i znika we mgle. Stoi tak tylko w oczekiwaniu. Jego oczy są białe, nakrapiane szarością. Policzki drgają, jakby chciał przemówić, ale nie mógł. Może wykorzystał całą energię, by objawić się w tej kruchej postaci? Patrzy na mnie, a potem daleko za drzewa, nakazując mi się pospieszyć. Brnie pomiędzy drzewami, obracając się i zakręcając, kręcąc się w kółko. Nie słyszę już szumu strumienia, choć wydaje się być na wyciągnięcie ręki.

Słyszę natomiast śmiech. Śmiech Rudjeka. Oddycham z ulgą – skoro się śmieje, to znaczy, że nic mu się nie stało. Ale dlaczego się śmieje? Szaman w moim umyśle obraca się w nicość, a ja padam do przodu, jakby ktoś przerzucił mnie przez niewidzialne drzwi.

Znów jestem nad strumieniem. Nie, nie, nie, nie. Zaciskam dłonie w pięści. Księżyc powrócił, gwiazdy również, a skoro tak, to znaczy, że wydostałam się z labiryntu. Pędzę ku drzewom i tym razem w oddali widzę ognisko. Kiedy staję bliżej, zwalniam. Uginają się przede mną kolana.

Rudjek siedzi zwrócony do mnie nagimi plecami, twarzą do ognia. Zmienia pozycję i... ktoś leży przy nim, wśród futer. Jej słodki śmiech dobiega mnie z pościeli jak śpiew ptaka. Podchodzę bliżej, tak blisko, że zatrzymuję się po przeciwnej stronie ogniska i wdycham jej mdlącą woń wymieszaną z jego zapachem lilii i dymu. Kiedy jego palce przeczesują góry i doliny jej ciała, błyski jej miodowej skóry i pogniecionej, czarnej tuniki migoczą mi w oczach. Obejmuje ją, jakby była dla niego całym światem.

Moja obecność albo może łaskotanie wiatru każe mu spojrzeć za siebie. Kiedy nasze spojrzenia się spotykają, wytrzeszcza oczy i wyskakuje niezdarnie spomiędzy futer. Gwałtownie kręci głową, przenosząc wzrok z leżącej dziewczyny na mnie i z powrotem. Na jego twarzy maluje się szok. Kiedy się podnosi, ja robię krok w tył. Nie mogę oddychać. Trudno mi pojąć, co widzę. Kogo widzę.

Chwytam się za brzuch.

Efiya się uśmiecha.

– Arrah? – Rudjek gapi się najpierw na Efiyę, a później na mnie.

Zachowuje się, jakby nie potrafił nas od siebie odróżnić. Wyglądamy jak siostry, ale ona jest wyższa, bardziej kocia, piękniejsza. Nawet w nocy trudno nas pomylić. Ona ma oczy zielone, moje mają barwę zachodzącego słońca. Czyżbyśmy w jego umyśle były takie same?

– Nie rozumiem...

– Nie rozumiesz? – Wzbiera we mnie wściekłość. – Kładziesz się do łóżka z moją siostrą i masz czelność mówić, że nie rozumiesz?

Otwiera szeroko usta, jego skóra jest teraz niemal tak świetlista jak skóra jego matki. Odsuwa się od Efiyi.

– Z twoją siostrą?

– Nie cieszysz się – mówi zmysłowym głosem Efiya, znów kładąc się i spoglądając w niebo – że uratowałam twoją cnotę przed tą żalosną kreaturą?

Rudjek kręci głową. Całe jego ciało się trzęsie. Czy naprawdę myślał, że to ja? Z drugiej strony Efiya potrafi zabić bogów, zmiana wyglądu to dla niej zwykła zabawa. Nie pytam, dlaczego to zrobiła. Chce mnie ukarać, chce, żebym cierpiała, chce zniszczyć każdą najmniejszą radość, która mi jeszcze pozostała. Myślałam, że będzie torturować Rudjeka, żeby mnie ukarać, ale nie przyszło mi do głowy, że zrobi coś podobnego. Że użyje jego, żeby torturować mnie.

– Arrah... ja... nie wiedziałem – duka Rudjek. – Myślałem...

Efiya wstaje.

– Nie musisz mi dziękować.

Nie jestem pewna, czy mówi do mnie, czy do niego. Rudjek rzuca się na nią, ale magia Efiyi przyczepia się do mnie i porywa wraz z wiatrem i deszczem.

Świat znika – dolina, Rudjek, namiot, ognisko, wszystko znika. W uszach dudnią mi grzmoty, a błyskawice uderzają tak blisko, że przypalają włoski na moim ramieniu. Deszcz nieprzerwanie atakuje moje ciało, a wokół naszych stóp gromadzą się chmury. Stoimy na szczycie góry, przemarzam aż do kości.

– Rozczarowujesz mnie, siostró. – Głos Efiyi jest świszczącym wiatrem. – Myślałam, że jesteś za mądra, żeby uciekać z chłopakiem, ale widzę, że nie różnisz się od innych. Wszyscy jesteście tacy emocjonalni. Chociaż muszę przyznać, że był przepyszny. Smak jego skóry jest zaiste inspirujący i jest tyle rzeczy, które potrafi zrobić ze swoim...

– Zamknij się! – warczę jak gotowe do skoku zwierzę zapędzone w koziego róg. Szepty są ciche, ale ich magia zbiera się w opuszkach moich palców, czai w moich żyłach. Czekali na zemstę. Chcę im ją ofiarować. Ja też jej pragnę. – Jesteś niczym, Efiyo. Jesteś mniej niż niczym.

Pochyla głowę na bok, chwilę się zastanawia, a jej uśmiech zmienia się w grymas niezadowolenia.

– Żyjesz tylko po to, by uwolnić pana naszej matki – mówię. – Nawet nie wiesz, jakie to żalosne.

Mruga oczami w deszczu. Jej włosy są śliskie i splątane. Widzę w niej wciąż tę dziewczynkę, którą była ledwie kilka miesięcy temu. W jej błyszczących oczach są dziecięce ciekawość i zachwyt. To ta sama mała dziewczynka, która w jednej chwili mnie uzdrowiła, a w następnej okaleczyła swoją magią.

– Magia przywódców dodała ci śmiałości – lekceważy moje zniewagi.

Nic nie mówię, a wiatr przybliżył nas o krok do siebie.

Wybuchł śmiechem.

– Powinnaś była wiedzieć, że połączą się z tobą. Że użyją cię, żeby się przede mną schować, skoro nie mogą zwrócić w twój umysł. To było z ich strony całkiem sprytne, ale i tak się nie udało. Dostanę, co do mnie należy.

Skurcz ścisnęła mi żołądek, a w głowie pojawia mi się twarz babci. Kiedy siedziałyśmy ze skrzyżowanymi nogami w jej namiocie, białe warkoczki opadały jej na ramiona. Już wtedy знаła prawdę o Efiyi – o zielonookiej żmii, o demonie. Nie mogła jednak zrobić nic, by ją powstrzymać. Nikt z nas nie mógł. Moja siostra jest zbyt silna.

Buzująca we mnie teraz magia jest ostatnim aktem oporu babci. Tak jak pozostali przywódcy, wiedziała, że moja siostra po nich przyjdzie. Babcia to przewidziała. Nie muszę pytać, co stało się z *ka* pozostałych szamanów. Efiya musiała je połknąć, by stać się potężniejszą.

– Jesteś jak choroba – mówię, wzywając wiatr.

Wpadam na Efię i zaczynamy spadać, spadać, spadać. Ziemia pędzi nam na spotkanie. Jesteśmy kłębkami splątanych nóg i ramion, obie kopiemy i krzyczymy. Kiedy Efiya próbuje wkroczyć w pustkę – w przestrzeń poza czasem – chwytam ją za nadgarstek, a mój dotyk jest jak wijące się żmije, które wbijają w nią zęby. Skowycze, wytrącona z równowagi jak nigdy, ale nie potrafię jej utrzymać. Wymyka mi się z rąk i znika.

Kiedy uderzam o ziemię, mój świat rozbija się na tysiąc kawałków.

TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

Podnoszę się z popękanej ziemi. Nie mogę cofnąć tego, co się stało. Nie mogę patrzeć na Rudjeka, kiedy wracam do namiotu i przebieram się w suche ubrania. Chociaż siadam blisko ognia, zimne dreszcze nie chcą mnie opuścić. Dwa razy wchodzi do strumienia, żeby się umyć, ale słodki zapach Efiyi nie chce go opuścić, jakby naznaczyła swoje terytorium niczym pies. Dalsza część nocy ciągnie się nieznośnie, a ja tracę poczucie czasu w oczekiwaniu na świt.

– Przepraszam, Arrah – mówi po raz setny. – Nie wiedziałem.

– Już to mówiłeś – warczę, wpatrując się w ogień.

– Mogłabyś przynajmniej ze mną porozmawiać? – Jego głęboki głos łamie się na co drugim słowie.

– Dasz mi chwilę spokoju? – syczę, rozdrażniona. – Mam wiele spraw do przemyślenia.

To prawda. Muszę zapomnieć o wszystkim, co wydarzyło się między nim a Efiyą i skupić się na fakcie, że zraniłam dzisiaj siostrę. Na chwilę przed tym, jak wpadła w pustkę, moja magia szarpnęła ją, tak że musiała uciec. Próbowałam zabić siostrę w taki sam sposób, w jaki spaliłam Merkę, ale jej moc znacznie osłabiła moje działanie. On był tylko demonem. Efiya jest jednocześnie demonem i Heką, co czyni ją znacznie silniejszą. Ta noc dała mi jednak nadzieję. Skoro mogę ją skrzywdzić, używając magii przywódców, sztylet Króla Demonów pozwoli mi z nią skończyć.

Chociaż próbuję skupić się na czekającym mnie zadaniu, moje serce płonie z zazdrości.

Wyobrażam sobie Efiyę w ramionach Rudjeka.

Moja siostra ma wszystko – magię, miłość matki, a teraz też Rudjeka. Przez całe życie pragnęłam magii, modliłam się o nią do Heki. Ona urodziła się z wielką jej obfitością, podczas gdy ja musiałam oddać swoje lata za nędzne skrawki. Ja próbowałam zasłużyć na miłość matki, podczas gdy Efiya cały czas się buntuje, a matka nadal w nią nie zwątpiła. Teraz, kiedy znam już historię Arti, zdaję sobie sprawę, że nie mogłam nic zrobić, żeby ją zmienić. Kocha mnie na swój własny, umęczony sposób. Jednak nawet w normalnych okolicznościach ta miłość by mi nie wystarczała. A teraz jeszcze Rudjek. Na dwudziestu bogów.

Chodzi w tę i z powrotem. Nie mogę znieść sposobu, w jaki na mnie patrzy, jego twarzy pełnej bólu i żalu. Łatwo mi obwiniać Efię, ale on sam powinien był odgadnąć, że to nie ja. Spędziliśmy razem tyle czasu! Tyle leniwych popołudni minęło nam na plotkowaniu o bzdurach. Jakaś, choćby najmniejsza, cecha Efiyi powinna wzbudzić jego wątpliwość. Jak mógł się okazać takim głupcem?

Nadstawiam uszu, kiedy powietrze porusza się, a kępki trawy szeleszczą na polu. Rudjek nieruchomieje i sięga po swoje szotele. Zbliżają się do nas czyjeś ciche kroki – ich dźwięk jest tak subtelny, że ledwie go słyszę. Zrywam się na nogi z kijem w dłoni. Czuję pod skórą mrowienie magii. Ja też jestem gotowa.

Rudjek gasi ogień i oboje kucamy w wysokiej trawie. Coś się porusza w lesie po wschodniej stronie. Moje serce uderza z mocą o żebra. Nie widzieliśmy dotąd śladów armii mojej siostry, ale niedługo się zjawi. Na wietrze unosi się magia.

– Nie wierzę, że nikt w tym cholernym mieście nie miał paru koni do pożyczenia – mówi piskliwy, kapryszący głos. To Majka, a ja nigdy nie cieszyłam się bardziej z jego narzekania. Oddycham z ulgą i rozluźniam się.

Essnai wkracza na polanę, a światło księżyca odbija się od żółtej farby, którą pokryta jest jej twarz, od czoła. Sukar idzie tuż za nią, a jego tatuaże delikatnie błyszczą. Na końcu jest jeszcze Kira. Nie wiem, jak tu dotarli, ale cieszę się, że widzę przyjaciół.

– Zacznijmy od tego, że nie powinniśmy byli wykańczać naszych kłaczy – burczy Kira.

– Zaproponowali nam osły. – Sukar wzrusza ramionami. – Odmówiłeś im, Majka.

– Widziałeś te osły? – Majka macha ręką. – Wyglądały, jakby miały zaraz zdechnąć.

– Jesteście głośni jak stado hien – mówię, zrywając się na nogi.

Kira ściska dwa sztylety, gotowa do ataku. Zaraz jednak dostrzega nas i uspokaja się.

Essnai kłaska językiem.

– A więc znów chodźcie własnymi drogami.

– Na dwudziestu bogów! – Majka uśmiecha się na widok Rudjeka. – A więc to prawda. Ty żyjesz! Jak się czujesz?

Rudjek gładzi się po karku.

– Bywało lepiej.

– Tak słyszałem. – Majka chwyta przyjaciela za ramię. – A tak w ogóle to z powodu twojego wyczynu twoja ciotka wyrzuciła nas z gwardii. Chętnie skopałbym ci za to tyłek.

– Nie ty jeden. – Rudjek puszcza do niego oko.

Sukar wita mnie, unosząc dłoń do brwi i kłaniając się lekko. Odwzajemniam jego gest.

– Myślałaś, że wymkniecie się bez nas? – pyta. – Dobrze wiesz, że nigdy nie przepuszczam okazji do porządnej walki.

– Nie chciałam was w to wciągać. – Wzruszam ramionami.

Essnai marszczy brwi, przyglądając mi się od góry do dołu.

– Widzieliśmy rzeź w świątyni.

– Martwiliśmy się o ciebie – mówi żartobliwie Sukar.

We troje przyciskamy do siebie nasze czoła, ten jeden raz jeszcze chwytając się za ramiona. Na krótką chwilę pozwalam sobie zapomnieć o Kefu, o Efiyi i o matce. Moi przyjaciele cieszą się, że nic mi nie jest, ale da się też wyczuć ich lęk. Wiedzą, co wydarzy się niedługo. Że mamy mało czasu. Będę za nimi tęsknić.

– Nie mogę uwierzyć, że tak zwany wielki orisza Re'Mec to Tam. – Majka się krzywi.

– Wiesz, wiele razy walczyłem z nim na arenie. Fatalnie radzi sobie z szotelami, a z nożami niewiele lepiej.

Rudjek rozgląda się dokoła, byle nie napotkać niczyjego wzroku. Ścisza rękojeści swoich szoteli tak mocno, że krew odpływa mu z palców.

– Chciał, żebyśmy tak myśleli.

Kira podchodzi do krateru w ziemi, gdzie wylądowałam po upadku z nieba. Dotyka ostrza z wymyślnie rzeźbioną rękojeścią z kości. Różni się od jej dotychczasowych sztyletów.

– O, to ciekawe.

– Widzę, że masz nowe sztylety. – Zmieniam temat, żeby nie musieć tłumaczyć, co to za dziura.

– Tam... to znaczy Re'Mec dał nam nowe zabawki do walki z demonami. – Sukar unosi dwa sierpy, ostrza błyszczą w świetle księżyca. Nawet w ciemności dostrzegam zapisane na nich litery. – Co nie zmienia faktu, że to kłamliwy szczur.

Czy to w ten sposób Rudjek zabił wszystkie te demony we Wszechpotężnej Świątyni? Czy Re'Mec naładował magią także jego szotele? Kusi mnie, żeby go zapytać, ale wściekłość i żal unieruchamiają mi język.

Nagle tuziny cieni zaczynają migać w świetle księżyca, a Rudjek sięga po swoje szotele. Kira rzuca nóż w ciemność. Trafia w cień, który znika razem z bronią. Kira tłumi okrzyk i wpatruje się w nóż, który wrócił do pochwy na jej biodrze. Spogląda na mnie oczami szeroko otwartymi ze zdziwienia.

– Witaj, magio oriszy.

Nie ma czasu na dowcipną odpowiedź, bo naszą drogę zastępuje nieduża armia, której nie da się z nikim pomylić. Ich magia napełnia nocne powietrze. W swoich

prostych, czarnych mundurach poruszają się jak spokojny wiatr.

– *Shotani* – szepczę.

Jeśli moja siostra ma nowego Wszechpotężnego pod kontrolą, to znaczy, że ma też do dyspozycji jedną z armii Królestwa. Któż lepiej nadaje się do walki z nami niż elitarny oddział wyszkolonych w świątyni żołnierzy? Potrafiliby zabić człowieka w tłumie tak, że nikt by tego nawet nie zauważył.

– Stańcie w okręgu – warczy Rudjek, bez wahania wchodząc w rolę przywódcy. To idealna rola dla chłopaka wychowywanego na kolejnego wezyra Królestwa. Mówiąc szczerze, całkiem mu pasuje. – Największą siłą *shotani* jest ich podstępność. Dobrze sobie radzą, zabijając z bliska, ale nie na otwartym terenie.

Rudjek mówi, jakby już z nimi kiedyś walczył. Nie po raz pierwszy zastanawiam się, czego doświadczył, odkąd wyruszył do Doliny Aloo i dostrzegam w nim zmianę. Chwytam kij i wypełniam jego rozkazy. On staje po mojej lewej, Sukar – po prawej.

– Broń, którą dał wam Re'Mec, unieważni magię *shotani* – mówi. – Spróbuj ją przerwać koło. Nie pozwólcie im na to.

– Jesteś pewien, że broń to potrafi? – pytam. – Arti i Efiya mogły to przewidzieć.

W oczach Rudjeka znów pojawia się iskra. Serce wypełnia mi tęsknota i znajome ciepło. Jego spojrzenie przypomina mi o naszym niedoszłym pocałunku w ogrodzie, kiedy jego zapach budził moje zmysły. Mimo nadchodzącej bitwy i całej tej niepewności między nami nie mogę zaprzeczyć, że wciąż go pragnę.

– Znów się do mnie odzywasz – zauważa cichym, chrapliwym głosem. – Chociaż tyle.

Patrzy na mnie dość długo, bym musiała odwrócić wzrok.

– Później będziecie tęsknić na siebie patrzeć – jęczy Majka. – Teraz jesteśmy zajęci.

Shotani zstępują w dolinę równie cicho co chowańce. Co najmniej pięćdziesięciu wyszkolonych morderców staje naprzeciw naszej szóstki.

– Na dwudziestu bogów, cofam to, co powiedziałem. – Majka przewraca oczami. – Możecie na siebie patrzeć, ile tylko chcecie, bo i tak jesteśmy straceni.

Sukar rozgrzewa nadgarstki, w dłoniach ścisną broń.

– Nie poddam się bez walki.

Połowa *shotani* naciera na nas, druga połowa się cofa. Ci pierwsi pędzą przez pole jak gazy. Kira rzuca swoje sztylety, a kiedy nieprzyjaciele padają, jej broń powraca do niej w łunie złotego światła.

Mimo naszych wysiłków bez trudu udaje im się nas rozdzielić. Essnai i Sukar walczą plecami do siebie z pięcioma *shotani*, którzy poruszają się jak śliszki węże. Majka i Rudjek też stoją do siebie tyłem i właśnie ich atakuje większość przeciwników, którzy tańczą wokół nas jak podmuchy wiatru, wymierzając uderzenia i cięcia.

Rudjek oddala się od Majki, żeby przepędzać tych wojowników, którzy napadają na mnie, ale nie jest w stanie powstrzymać wszystkich. Ja uderzam w nich swoim kijem, celując w słabe punkty, jak nauczył mnie ojciec. Kiedy ich odpycham, Essnai łupi oczy, wybija zęby i łamie kości. Jej kij jest jak błysk, który porusza się zgodnie z rytmem ciała. Kira biega po polu w tę i z powrotem, pojawia się i znika w cieniu. Jej ostrza przecinają powietrze, czasem uderzając o siebie.

Rudjek zanurza ostrze w brzuchu jednego z *shotani*, innego rani w pierś. Robi unik, ale nie dość szybko: ostrze trzeciego wojownika uderza go w ramię. Puls dudni mi w uszach, kiedy przeciwnik wycofuje broń, a Rudjek krzyczy z bólu.

Tyle bólu.

Tyle krwi.

Tyle śmierci.

Cierpki smak żelaza pokrywa mój język, kiedy kijem powstrzymuję ostrze kolejnego *shotani*. Ramiona mi się trzęsą, gdy próbuję odeprzeć jego brutalną siłę. Magia buzuje mi pod skórą, ale ja jej nie potrzebuję. Pochyliłam się w prawo i zamiatam kijem po łuku, żeby podciąć wojownika. Kiedy uderza o ziemię, walę go w skroń. Żaden z *shotani* nie próbował mnie zabić – najwyraźniej Efiya chce sama to zrobić, żeby odebrać mi *ka* przywódców.

Kiedy Rudjek powstrzymuje atak dwóch *shotani*, trzeci podkrada się od tyłu. Rudjek obraca się w prawo i uskakuje. Nie dość szybko. Wojownik przecina mu ramię mieczem. Ostrze iskrzy się magią, która wędruje po jego szyi i plecach, nim rozplynie się w powietrzu. Rudjek wrzeszczy z bólu, a jego prawy szotel upada na ziemię. Jak wcześniej, we Wszechpotężnej Świątyni, magia odbija się od niego, chociaż nie ma nawet na szyi wisiora z kości strachopłocha. Nim zdążę się zastanowić, jak to możliwe, że odpycha magię, on obraca pozostałym szotelem i ścina głowę przeciwnikowi. Widząc to, dwaj pozostali *shotani* rzucają się do ataku.

Ruszam w ich stronę i wbijam kij w brzuch jednego z wojowników, który biegnie... nie – frunie do tyłu. To działanie magii. Kucam i obracam się, żeby drugiego trafić w kolana. Łamię mu się kości, a jego wrzaski mnie ogłuszają. Kiedy leży na ziemi, wymierzam śmiertelny cios.

– Dziękuję. – Rudjek krzywi się, sięgając po miecz.

Nieruchomieję i rozdziawiam szeroko usta, widząc, jak jego ramię samo się nastawia. Gdzie chwilę wcześniej była jątrząca się rana, teraz są krew, błoto i doskonale gładka skóra.

Brzęk metalu dudni mi w uszach.

Rudjek wzrusza ramionami.

– Nie opowiedziałem ci wszystkiego o Mrocznym Lesie.

– Nigdy nie mówisz wszystkiego. – Kręcę głową, a on puszcza do mnie oko.

Między stojącymi w rzędzie *shotani* rozbłyśka białe światło. Wojownicy się rozpraszają. Krzyżują miecze z nowo przybyłymi, którzy władają nimi równie dobrze, jeśli nie lepiej. Przybysze zabijają kolejnych *shotani*, jakby ci byli początkującymi rekrutami Miejskiej Straży. Trafiam kijem w kolejne głowy, brzuchy i narządy wewnętrzne. Ramiona mnie bołą, a po moim czole spływa pot. Jestem wykończona. Wszyscy jesteśmy wykończeni.

Kiedy nasi ubrani na biało wybawcy przedostają się przez mur *shotani*, pędzą przez pole, żeby nam pomóc. Jest ich tylko pięcioro – jestem pod wrażeniem, ilu wrogów udało im się zabić tak szybko.

Ale za każdym razem, kiedy jednego zabijamy, dołączają następni. Majka porusza głównie prawą stroną ciała, a po twarzy Sukara spływa krew. Walczę coraz intensywniej, dziko, nie przejmując się, w jaki sposób zabiję kolejnego nieprzyjaciela, byle to zrobić. Płonie we mnie ogień, który budzi głosy.

Szepczą o grzmotach i błyskawicach.

Szepczą o burzach ogniowych.

Szepczą o morderstwie.

Zaciskam zęby, żeby powstrzymać gniew. Wszystkie pory mojej skóry płoną i czuję się tak, jakby cała moja istota miała wybuchnąć żywym ogniem. Kijem mogę powstrzymać kilku *shotani*, ale magią potrafię powstrzymać ich wszystkich. Jestem tak zmęczona, że poddaję się pragnieniu uwolnienia całej furii. Włoski jeżą mi się na ramionach, a pierwsza błyskawica trafia w jednego z *shotani*, który staje w płomieniach. Po niej kolejna i kolejna, i kolejna. Nie przestaję rozniecać pożarów, póki ostatni z wojowników nie umrze.

RE'MEC, ORISZA SŁOŃCA KRÓL BLIŻNIAK

Jesteś gotowy na prawdziwą historię Oshina Omari i strachopłochów?

A swoją drogą, całkiem dobrze wyglądasz. Rana goi się zgodnie z planem.

Kiedy Oshin wszedł do Mrocznego Lasu, strachopłochy na niego czekały. Nestorka była łaskawa: uczyniła jego śmierć szybką i bezbolesną. Potem rozkazała swojemu jedyjnemu synowi, by przybrał postać Oshina i wrócił do Tamaru, by wyrzucić wpływ na króla. Jej syn wziął ze sobą ciało zmarłego ze starości strachopłocha, by dowieść zwycięstwa Oshina. Rzeczywiście użył kości strachopłocha, by stworzyć chroniące przed magią świecidełka, chociaż sam tej ochrony nie potrzebował, jako że są to istoty antymagiczne i odporne na działanie czarów.

Widzę, że trudno ci to przyjąć.

Wyjaśnijmy to sobie raz na zawsze. Jesteś po części strachopłochem, Rudjeku. Obdarowałem te istoty po wielokroć. Odkryjesz te dary, jeśli będziesz żył dość długo.

Dlaczego? Docieramy do sedna sprawy.

Zbliża się wojna, Rudjeku. Wiele wysiłku potrzeba, by nie pozwolić jej zniszczyć tego świata. Sami nie mamy rady. Musisz przekonać ludzi i strachopłochy do zawarcia sojuszu.

Jesteśmy osłabieni po naszej wojnie z Daho. Ty znasz go jako Króla Demonów.

Muszę przyznać, że to sprytny drań.

Choć więzimy go od tysięcy lat, znalazł sposób, by zaatakować. Wykorzystał do tego Ka-Kapłankę. Ona też nie jest głupia. Gdybym zainterweniował, kiedy dawny Ka-Kapłan zniszczył jej umysł, nie mielibyśmy takich kłopotów. Niestety nie mogę zmienić przeszłości.

Nie zawsze był taki okropny. No wiesz, Daho.

Moja siostra znalazła go porzuconego przez jego lud, umierającego nad zamrzniętym jeziorem.

Oboje byli wtedy dziećmi, a my niespecjalnie się zainteresowaliśmy, gdy go uleczyła.

Kiedy dorósł, zaczęła rozumieć śmierć, to wcale nie takie łatwe dla nieśmiertelnych. Orisze życia i śmierci Fram rozumieją je najlepiej z nas. To leży w ich naturze.

Nasza siostra nie chciała stracić Daho, nauczyła go więc połykać ka, by przedłużyć sobie życie. Pierwsze ka, które pochłonął, należało do mężczyzny, który zabił swojego ojca i zajął jego miejsce na tronie. Wielce niefortunny błąd.

Nie wiedzieli, że połknięcie czyjegoś ka zmienia twoją naturę. Ka, które połknął Daho, należało do bardzo ambitnego demona, który nie cofnąłby się przed niczym, by zyskać władzę. To wtedy narodziło się jego nienasycone pragnienie dusz.

Spędziliśmy zbyt dużo czasu, debatując, co zrobić z Daho. To był kolejny błąd. Stał się nieśmiertelny i zebrał armię podobnych oriszom nieśmiertelnych. Ich żądza dusz niszczyła całe plemiona.

Postanowiliśmy zaatakować jego serce – naszą siostrę.

Nie była to łatwa decyzja, ale wiedzieliśmy, że jej strata go osłabi.

Fram ją zabili. A przynajmniej tak nam się wydawało.

Fram są z natury łagodni. Powinniśmy się domyślić, że nie wolno im ufać.

Nie będę cię dłużej nudzić problemami naszej rodziny.

Ale sam rozumiesz, Rudjeku, dla ciebie stawka w tej grze jest równie osobista.

TRZYDZIEŚCI SIEDEM

Shotani leżą martwi u naszych stóp. Zabiłam ich. Wystrzeliłam w nich błyskawicę, która spaliła ich ciała. Cała się trzęsę, więc Rudjek chwyta mnie za ramiona, żeby mnie uspokoić, ale on też cały drży. Na tunice, gdzie w jego ciało wbiło się ostrze *shotani*, widać dużą plamę krwi. Twarz Rudjeka jest poszarzała i zmęczona.

Magia ma swoją cenę.

Nawet jeśli nie oddaję już swoich lat, oddaję część duszy. Zabiłam tych ludzi, tak jak zabiłam Merkę. Tak jak zabiłam tych mężczyzn pod świętym drzewem Gaer. Owszem, oni próbowali zabić mnie wcześniej, ale to nie oczyszcza mojego sumienia. Ilu jeszcze ludzi zabiję, nim odnajdę swój koniec?

– Nic nam się nie stało. – Rudjek pociera moje ramiona dłońmi, ale nawet jego ciepło nie powstrzymuje drżenia. – Dzięki tobie.

Dzięki mnie – szarlatance zmienionej w szamankę, dzierżącej magię, która do mnie nie należy.

Chciałabym paść mu w ramiona i zatopić twarz w jego piersi, ale jednocześnie chciałabym go też odepchnąć. Zrobiłabym wszystko, byle zapomnieć go leżącego pomiędzy futrami z moją siostrą. Rudjek czyta mi w myślach i opuszcza rękę. On też cierpi.

Odwracam się do niego plecami i widzę stojących w oddali nowo przybyłych, przyglądających się nam czujnie. Nie, nie nam – mnie. Żaden z nich ani razu się nie odezwał. A co bardziej jeszcze szokujące, na ich szatach nie ma ani jednej kropli krwi.

– Przybyli z Mrocznego Lasu – wskazuje ich Rudjek – są tu, żeby nam pomóc.

We wszystkich opowieściach strachopłochy mają skórę przypominającą korę drzewa, szpony i hakowate nosy. A to są po prostu... ludzie. Wpatrują się w nas z taką samą ciekawością, z jaką my patrzymy na nich. Nie wyglądają jak w mojej wizji śmierci Rudjeka. Teraz jednak, kiedy nieco się uspokoiłam, wyczuwam ich antymagię. Jak w wizji, rozdziela nas niewidzialna tarcza, a moja magia wydaje się uśpiona.

– Strachopłochy? – Unoszę brew.

Rudjek uśmiecha się z zażenowaniem.

– Zmieniły wygląd, żeby was nie wystraszyć.

– A kto tu się boi? – Majka spogląda na Sukara. – Ty się boisz?

Sukar wyciera krew z kurczącej się rany na policzku.

– Mnie tam znowu się nudzi.

Rudjek uśmiecha się do strachopłochów szeroko, a one aż promienieją.

– Cieszę się, że was widzę.

Wyglądają, jakby były w naszym wieku – mają nie więcej niż siedemnaście czy osiemnaście lat. Trzech chłopaków i dwie dziewczyny.

Widząc, że wciąż stoimy oniemiały, Rudjek odchrząkuje.

– To moi... hm... strażnicy.

– Coraz lepiej. – Majka kładzie rękę na biodrze. – Przyszły Wezyr Królestwa ma strachopłochy za ochroniarzy. Zaraz nam powiesz, że jesteś też oriszą.

– Po co ci strażnicy? – pytam.

– Później ci wyjaśnię – mówi Rudjek, wyraźnie chcąc zmienić temat.

Przedstawia strachopłochy. Łatwiej mi skupić się na nich, niż myśleć o dzisiejszej nocy. Ich ludzkie postaci są niemal doskonałe, różnią się od nas jedynie w ledwie uchwytnych szczegółach. Ich przywódca Fadyi wygląda najlepiej z całej piątki. Ma szeroko rozstawione oczy, duży nos i drobne zmarszczki, które nadają strukturę jego rzeźbionej szczęce. Jego włosy są krótko obcięte po bokach, a na czubku głowy wije się gęsta, czarna czupryna. Postać Jahli jest niemal równie rzeczywista. Dodała sobie garść piegów na nosie. Ræeke jest z nich najniższa, ma orzechowe oczy, nieco zbyt duże w stosunku do jej twarzy. Ezaric i Tzaric to bliźniaki o długich lokach i niemożliwie gładkiej skórze.

– Przyszlibyśmy wcześniej, gdyby armia Efiyi nie zaatakowała lasu. – Fadyi mówi z akcentem w języku tamarczyków.

– Czy nic się nikomu nie stało? – denerwuje się Rudjek.

– Odparliśmy ich atak – oczy strachopłocha są pełne bólu – ale wielu zginęło.

Krzywię się. Moja siostra uznaje antymagię strachopłochów za zagrożenie.

Orisze, plemiona, a teraz strachopłochy. Eliminuje każdego, kto może się jej przeciwstawić.

– Przyszliśmy tu po zapachu. – Jahla podchodzi do Rudjeka. Spod jej kaptura wystaje srebrny warkocz. Wącha powietrze, a mój kark zalewa fala ciepła. Krzywi się na mój widok. – A to niefortunny obrót wypadków.

Rudjek blednie i wbija wzrok w ziemię. Najwyraźniej wyczuła na nim zapach Efiyi.

– Niech ktoś mi to lepiej wytłumaczy – mówi piskliwie Majka. – Rudjekowi prawie rękę odcięli, a nic mu nie jest. Twarz Sukara też wydobrzała... Co tu się w ogóle dzieje?

– Mnie chronią tatuaże – przypomina mu Sukar. – Potrafią wyleczyć drobne rany.

Kiedy Kira opatruje ranę na udzie swojej *ama*, Essnai mamrocze:

– Powinna się była urodzić w plemieniu Zu.

– Ale to nie wyjaśnia, co z tobą, Rudjeku. – Krzyżuję ramiona na piersi w oczekiwaniu na wyjaśnienie.

Wszyscy wpatrują się w niego.

– To chyba dobry moment, żebym dokończył swoją historię.

Krew na martwych *shotani* ścina się jak zsiadłe mleko. Ich potężna magia zgasła, jakby po ich śmierci wchłonęła ją ziemia. Rój much fruwa ponad ich ciałami, a sępy kręcą się dokoła, czekając, aż rozstąpimy się, by mogły się zająć posiłkiem.

– Opowiesz nam po drodze – mówię, obejmując się ramionami. – Lepiej ruszajmy.

– Ty też musisz nam parę rzeczy wyjaśnić. – Majka wskazuje mnie palcem.

Wędrujemy przez resztę nocy i cały kolejny dzień. Trzymam się na dystans od Rudjeka, który zdradza nam prawdę o swoim przodku Oshinie Omarim. Okazuje się, że był to strachopłoch udający człowieka. To wiele wyjaśnia – czemu Arti nigdy nie była w stanie zaatakować wezyra, czemu Rudjek zawsze źle się czuł w sklepie mojego ojca. Magia napadała na jego zmysły, a ciało ją odrzucało. A jednak Efiya i tak była dość potężna, by go oszukać. By go dotknąć. Moje ramiona przeszywa dreszcz, kiedy przypominam ich sobie razem, szybko wracam więc myślami do strachopłochów.

W Mrocznym Lesie strażnicy nauczyli Rudjeka niektórych swoich umiejętności, choć niewiele prócz uzdrawiania mu wychodziło. Jak podejrzewałam, widząc dopracowane szczegóły jego ludzkiej postaci, Fadyi jest mistrzem przemiany. Jahla to tropicielka – myśliwa, która potrafi znaleźć wszystko. Ræeke potrafi naginać przestrzeń i manipulować swoim otoczeniem, podobnie jak szamani. Ezaric to zdolny uzdrowiciel, a Tzaric jest wśród nich najlepszym wojownikiem. Wszystkie strachopłochy mają te zdolności, ale jedne w większym stopniu niż inne. Jestem bardzo ciekawa, co jeszcze potrafi zrobić Rudjek, ale o nic nie pytam. Musiałabym się przecież do niego odezwać.

A mam tyle pytań. Dlaczego nie ma żadnych ich cech fizycznych? Czy oprócz alergii na magię dostrzegają u siebie wcześniej jakieś znaki? W jego historii kryje się jeszcze wiele niejasności, ale się powstrzymuję. Moje pytania mogą na razie poczekać – a może i na zawsze, biorąc pod uwagę, że kiedy zabiję moją siostrę, sama też umrę. Na tę myśl robi mi się niedobrze. To nie fair – całe moje życie jest jak jakiś żart. Sprawdźmy, jak jeszcze możemy spróbować ją skrzywdzić, jak ją złamać. Ale ja nie zamierzam dać się złamać. Dotrwam do końca.

Kiedy przemija szok, mam ochotę zażartować sobie z Rudjeka – tak jak on żartował sobie ze mnie wiele razy, żeby odwrócić moją uwagę, kiedy po raz kolejny nie odnajdowałam magii. Nie mogę zaprzeczyć, że mimo wszystkiego, co się stało, czuję podniecenie. A jednak gryzę się w język. Mój przyjaciel jest strachopłochem. Patrzę, jak kroczy naprzód ze swoimi strażnikami u boku. Historia jego przodka zawsze

wydawała mi się niewiarygodna, ale nigdy nie podawałam jej w wątpliwość. Prawda jest znacznie ciekawsza od legendy. Tylko Rudjek mógł odnaleźć sposób, by stać się jeszcze bardziej czarodziejskim... albo antyczarodziejskim, jeśli coś takiego w ogóle istnieje.

Oboje kończymy opowiadać nasze historie i zapada cisza. Rudjek zerka na mnie, ale zostawia mnie w spokoju. W obecności Essnai i Sukara łatwiej mi go unikać. Cały dzień idziemy, ale w wolnym tempie. Już prawie zapada zmrok, kiedy docieramy do przełęczy prowadzącej do Gór Barat i jesteśmy zbyt wykończeni, by zacząć wspinaczkę.

Rozstawiamy obozowisko i dzielimy się na dwie zmiany, na wypadek, gdyby znowu dopadli nas *shotani* albo, co gorsza, armia demonów zgromadzona przez Efię. Strachopłochy trzymają straż jako pierwsi. Rudjek nie wydaje się zadowolony, że rozkładam swoje poślanie daleko od niego, między Essnai a Sukarem.

Ta dwójka pyta mnie o samopoczucie nieskończoną ilość razy i wciąż upewnia się, czy wystarczająco dużo zjadłam. Są nadopiekuńczy przez wzgląd na moją magię i dlatego, że niedługo umrę. Jestem ostatnią szamanką. No, prawie – Efiya to ktoś całkiem inny, ale są jeszcze przecież Arti i Oshhe – mój ojciec, którego zostawiłam samego w rękach potworów. Na samą myśl o tym, że go porzuciłam, zaczyna boleć mnie brzuch. Mogę tylko mieć nadzieję, że Efiya wciąż jest zajęta walką i poszukiwaniem *ka* Króla Demonów. Jeśli Arti da Oshhemu spokój, powinien pozostać bezpieczny.

Poranek nadchodzi szybko. Przewracam się z boku na bok, nie mogąc znaleźć pocieszenia. W moich snach Rudjek ściska w ramionach Efię. Gładzi ją po policzku i patrzy na jej usta, jakby były soczystym owocem, którego musi spróbować. Całują się długo i zmysłowo, z namiętnością, która sprawia mi ból. Obiecuje jej, że pójdzie za nią na skraj świata. Nie należy teraz do mnie, tylko do niej. Nigdy już nie będzie mój.

Nie chcę tego wspomnienia i wszystko bym zrobiła, by się go pozbyć, ale to się nigdy nie uda. Nienawidzę Efiyi za to, że go oszukała, ale i jemu nie umiem wybaczyć. Ja z zamkniętymi oczami potrafię rozpoznać rytm jego kroków na bruku, melodię głosu w tłumie na Wschodnim Targu. Dorastaliśmy razem. Spędziliśmy razem niezliczone godziny, wymykając się nad rzekę.

Powinien był wiedzieć, że to nie ja.

– Kto powinien wiedzieć, że to nie ty?

Wstaję, owijając się kocem. Sen zasnuwa mój umysł mgłą, a wszystkie mięśnie jeszcze mnie bolą po walce z *shotani*. Minęło wiele czasu, odkąd ostatni raz trenowałam z ojcem, ale wtedy nigdy nie byłam aż tak zmęczona.

– Co?

Sukar wpatruje się we mnie, marszcząc pokryte tatuażami czoło.

– Powiedziałaś, że powinien był widzieć, że to nie ty.

Przyjaciele nie wiedzą, co wydarzyło się między Efiyą a Rudjkiem, a ja nie mam zamiaru im o tym opowiadać. Sukar zerka na Rudjeka, siedzącego ze strachopłochami na skraju obozowiska.

– Co się z wami dzieje? – pyta szeptem.

Rudjek patrzy na mnie oczami ciemnymi jak godzina *ösana*, a jego twarz jest pełna bólu. Nie zwraca uwagi na to, co mówią Fadyi i pozostali.

Zaczynam zwijać swoje posłanie, uważając, by nie przeszkodzić Essnai i Kirze, które wciąż śpią przytulone do siebie.

– Nic ważnego.

– To oczywiste kłamstwo – prycha Sukar – ale też nie moja sprawa.

– No właśnie – mówię – a skoro to nie twoja sprawa, to nie pytaj.

– Ktoś wstał dziś lewą nogą. – Śmieje się, wykrzywiając twarz w udawanym oburzeniu, które i mnie zmusza do śmiechu

Potrzebuję śmiechu. Potrzebuję zapomnienia. Nie mam czasu na lamentowanie nad tym, co mogło wydarzyć się między mną a Rudjkiem. I tak niedługo umrę. Będę wtedy spokojna. Wciąż to sobie powtarzam, żeby przetrwać kolejny dzień.

Kiedy wspinamy się po górach, unikam Rudjeka za wszelką cenę. Może to wobec niego nie fair, ale tak jest lepiej. Zawsze, kiedy jesteśmy blisko, znajduję sobie coś do roboty albo zaczynam rozmowę z którymś z przyjaciół. Wspominamy z Essnai i Sukarem najpiękniejsze chwile ze święta Krwawego Księżyca. Majka próbuje mnie pocieszyć – wtedy, w każdym razie, kiedy nie stara się poderwać strachopłoszki z piegami i srebrnymi włosami. Kiedy Kira nie trenuje z Essnai, pozwala mi ćwiczyć się w walce z jednym ze swoich sztyletów. Za każdym razem, gdy wbijam ostrze w powietrze, wyobrażam sobie twarz siostry i robi mi się niedobrze.

Siódmego dnia zostawiamy góry za plecami i zstępujemy do doliny na obrzeżach plemiennych ziem. Nie natknęliśmy się na żaden ślad Efiyi, jej demonów ani *shotani*. Wszyscy moi tak zwani przyjaciele udają, że mają coś do zrobienia i zostawiają nas z Rudjkiem samych. Jestem na nich zła za tę głupią sztuczkę. Sama też oddalam się od obozowiska, ale on idzie za mną nad rzekę. Nie jestem gotowa na tę rozmowę. Jeszcze nie. Rany są zbyt świeże.

Zatrzymuję się plecami do niego.

– Chciałabym być sama.

– Czy zamierzasz unikać mnie w nieskończoność? – pyta zirytowany Rudjek.

– Taki właśnie jest plan – mówię – więc idź sobie.

– Wiem, że nigdy mi nie wybaczysz tego, co się stało między mną a Efiyą...

Odwracam się. Promienie słońca podkreślają zarys jego szczęki.

– Jesteś głupcem.

– Zasluguję na twoje słowa – mówi, wbijając wzrok w ziemię. – Zasluguję na coś znacznie gorszego.

– Czy twoja pewność, że chciałam ci się oddać, ma mi schlebiać?

– Ja również chciałem oddać się tobie – wzdraga się – powinienem był zauważyć...

Jestem tak wściekła, że całe moje ciało się trzęsie.

– Owszem, powinieneś być!

Stoimy teraz blisko siebie. Jego zapach mnie odurza. Nie mam pojęcia, jak to możliwe, że pachnie tak pięknie po tylu dniach w drodze. Sięga ku mnie dłoń, ale zatrzymuje ją. Wzrokiem prosi o pozwolenie. Powinnam pokręcić głową i odejść, żeby zakończyć tę naszą udrękę, ale tego nie robię. Kiwam głową, bo ja też wciąż go pragnę.

Rudjek kładzie mi dłoń na policzku, a ja zwracam twarz ku jej ciepłu, pozwalając mu przyciągnąć się do piersi. Bicie jego serca dudni mi w uszach. Jego siła kołysze mnie i uspokaja. Mogłabym tak wiecznie trwać, wsłuchana w rytm jego serca.

Zanurza nos w moich włosach i bierze głęboki, jakby życiodajny wdech.

– Arrah. – Moje imię w jego ustach jest słodką muzyką, śpiewem ptaka, szumem oceanu. Ale kolejne słowa sprawiają, że dreszcz przechodzi mi po plecach. – Muszę ci coś powiedzieć.

Zaskakują mnie szept przywódców, które zagłuszają jego głos. Jego dłoń na mojej twarzy jest gorąca. Zbyt gorąca. Mój policzek pulsuje nagłym bólem, a ja wycofuję się, omal się nie przewracając. Czuję się, jakby ktoś właśnie uderzył mnie w twarz. Magia w moim ciele porusza się, przygotowuje, by uderzyć w Rudjeka. Cofam się jeszcze bardziej. On robi to samo, jakby odpychała nas od siebie niewidzialna bariera.

Rudjek wpatruje się w swoje dłonie, jakby były groźnymi węzami.

– Oto o czym chciałem z tobą porozmawiać. O antymagii. Oto dlaczego powinienem był wiedzieć, że to nie ty, Arrah. – Krzywi się. – Re'Mec powiedział mi, że nigdy nie będziemy mogli być razem. Nawet jeśli nauczymy się kontrolować nasze dary, twoją magię i moją antymagię, nie obędzie się bez konsekwencji. Osłabiliśmy się nawzajem, a w końcu jedno zniszczyłoby drugie. To dlatego na polanie ja... pomyślałem, że może się pomylił. Że może mamy szansę.

– Ale między nami nic się nigdy nie wydarzyło...

Stają mi przed oczami wszystkie nasze niedoszte pocałunki, muśnięcia i ciepło, które we mnie pozostawiały. Wcześniej nie miałam magii, ale teraz, kiedy są we mnie *ka* przywódców, wszystko wygląda inaczej.

– Efiya... To bez sensu. Moja siostra cała jest magią, a jednak...

– Nie wiem. – Rudjek znów cofa się o krok. – Ona jest inna.

Odpowiedź staje się jasna, a mnie ogarnia przerażenie. Jeśli moja siostra jest dość silna, by zabijać orisze, jego antymagia w starciu z nią byłaby niczym. Nie umyka mi ironia całej sytuacji. Powstrzymuję gorzki śmiech. Przez całe życie pragnęłam magii, by zakopać przepaść między mną a matką, ale było to głupie życzenie głupiej dziewczyny. Teraz ją mam, ale to nie wystarczy, by powstrzymać Efię, wystarczy za to, żeby zniszczyć wszelką szansę na bycie z Rudjkiem w moich ostatnich chwilach.

Wpatrujemy się w siebie, a nasze oczy są pełne emocji na myśl o życiu pełnym straconych szans.

Chcę znów paść w jego ramiona, ale tylko tyle mi wolno.

To nie wystarczy.

TRZYDZIEŚCI OSIEM

Rudjek boi się mnie dotknąć. Myśli, że jestem jak kwiatek, który zwiędnie, gdy ktoś go tknie. Nie wie, że umierałam już tysiące razy. Umarłam, kiedy moja matka mnie przeklęła. Umarłam, kiedy skradła światło mojego ojca. Umarłam, kiedy zobaczyłam dzieci porwane, by odprawić rytuał. Umarłam, kiedy Koré powiedziała mi o *edam*. Umieram na nowo za każdym razem, gdy zamykam oczy i myślę o strasznych rzeczach, które zrobiła moja rodzina.

Nie boję się śmierci, ale nie chcę umierać, nie poczuwszy nigdy jego warg wtapiających się w moje. Choćby przez krótką chwilę. Prześladowają mnie wspomnienia pocałunków żyjących we mnie *ka*. Miękkich i słodkich, pełnych namiętności. Zmysłowych i powolnych, zapierających dech w piersi. Pospiesznych i niezdarnych, które przyprawiają o szybsze bicie serca.

Od tamtej nocy, kiedy przyłapałam go z Efią, unikałam Rudjeka. Teraz, kiedy jesteśmy sami, siedzimy nad rzeką i wsłuchujemy się w szum wody, nie chcę dłużej trzymać go na dystans. Chcę wszystkiego, co dostała od niego moja siostra. I jeszcze więcej.

– Powinniśmy wracać, zanim po nas przyjdą – mówi ponuro Rudjek. – Essnai i Sukar pomyślą, że cię porwałem.

– Znaleźliby cię. – Wrzucam do wody kamień. – Essnai nogi by ci połamała.

Rudjek uśmiecha się do mnie krzywo.

– Obawiam się, że zrobiłaby coś jeszcze gorszego.

Lider strachopłochów Fadyi, który wygląda prawie jak człowiek, wkracza na polanę. Nie podnosi wzroku, jakby przyłapał nas w jakiejś nieprzyzwoitej sytuacji.

– Przepraszam, że przeszkadzam – mówi. – Zauważyliśmy nadciągającą z południa armię Efiyi, jakieś pół dnia za nami.

– Czy możemy utrzymać się z przodu, póki nie dotrzemy do świątyni? – pyta Rudjek, przyjmując przywódczy ton. Jego głos jest tak chłodny, precyzyjny, gotowy do wydawania rozkazów, jakby robił to przez całe życie.

Zrywamy się na nogi, zeszywniali. Podejrzewam, że oboje jesteśmy tak samo wykończeni. Spodziewaliśmy się tej wiadomości od wielu dni, ale to nie czyni jej łatwiejszą do przyjęcia.

– Jeśli będziemy szli dalej, nie odpoczywając – odpowiada Fadyi. – Demony są wciąż ograniczone przez swoich gospodarzy, ale nie wiadomo, do czego będą zdolne, kiedy połkną dość dusz.

W mojej głowie rozbrzmiewa ogłuszający chór przywódców. Ich słowa są nagłące i gorączkowe, a moje napięte mięśnie wyrywają się do świątyni. Musimy natychmiast ruszać. Nie ma czasu. Biegnę przed siebie, nie z powrotem do obozowiska po rzeczy, ale tam, gdzie mnie prowadzą. Rudjek mnie woła, ale jego głos ginie w chórze wypełniających moją głowę głosów. Kiedy obaj z Fadyi mnie doganiają, ich słowa brzmią jak na wpół zapomniany sen, który czai się gdzieś na skraju mojej pamięci.

Szamani wołają mnie z powrotem do świątyni, gdzie wydali swoje ostatnie tchnienie. Gdzie ich krew splamiła trawę. Gdzie po raz ostatni muszę się zmierzyć z siostrą.

Nie zatrzymuję się, kiedy na niebie księżyc zajmuje miejsce słońca. Idziemy naprzód bez przerwy przez wiele godzin i docieramy na miejsce w środku nocy. Spodziewam się cmentarza i unoszącego się w powietrzu zapachu śmierci, ale nie ma tu ciał. Efiya je spaliła, tak by przywódcy nie mogli do nich powrócić. Trawę pozostawiła nienaruszoną i nieskalaną. Zadaję sobie pytanie, czy to nie sentymentalny gest, wspomnienie dni spędzonych w ogrodzie w Kefu.

Niewiele zostało ze Świątyni Heki, jeśli nie liczyć porozrzucanych cegieł i upadłych kolumn. We wspomnieniach przywódców widzę Efiyę niszczącą ją ze złości, kiedy się jej wymknęli. Wdrapuję się po nierównych schodach z Rudjkiem niosącym pochodnię u boku. Pozostali trzymają się z tyłu. Depczemy po kielichach, połamanych pomnikach i popękanych kamieniach. Szepty cichną dopiero, kiedy docieram do podestu wzniesionego na gładkiej platformie. Pokrywa go kurz i pył, ale nie został zniszczony. Trącam platformę stopą.

– Tutaj jest.

Rudjek klęka i próbuje podnieść gruby kawał granitu. Przerywa, a jego czoło zalewa pot.

– Chyba przydałaby mi się pomoc.

Klękam obok.

– Teraz spróbuj.

Kiedy pchamy oboje, kamień przesuwają się z jękiem, a pył i gruz spadają do dołu bez dna.

Gwizd Rudjeka odbija się echem w komnacie.

– Teraz wchodzimy do brzucha bestii.

– Nie jest to do końca brzuch bestii – sięgam po drabinę ukrytą w murze – ale coś całkiem podobnego.

Rudjek zapala kilka porzuconych pochodni i rozstawia je w świątyni. Kiedy jedną upuszcza do dziury, spada ona tak długo, że ogień gaśnie, nim dosięgnie dna. Oboje patrzymy po sobie ponuro.

– Ja pójdę pierwszy. Nie wiemy, co tam może być.

– Nic żywego – mówię. Nic, co chcielibyśmy zobaczyć.

Rudjek przywiązuje sobie do pleców niezapaloną pochodnię i znika w ciemności. Ja też się nie ociążam i schodzę za nim. Nie chcę znaleźć się zbyt daleko od niego, bo boję się, że Efiya wyłoni się z mroku, żeby jedno z nas porwać. Zatęchłe powietrze dusi mnie i pali w gardło.

Rudjek wydaje z siebie nagłe skamlenie, a ja zamieram, przyklejona do szczebli. Chłodne powietrze wije się wokół mojej szyi, a jego głos cichnie. Czyżby Efiya porwała go jak złodziejka? A może jakiś inny demon uczynił go swoją zdobyczą? Albo jakaś inna, nieznana siła zabrała go, żeby się na mnie zemścić?

– Co się dzieje? – pytam, by przerwać ciszę.

– Mówiłaś, że nic tam nie żyje. – Rudjek się krzywi. – A coś przepełzło mi po rękę.

Słyszając niedowierzanie w jego głosie, wydaję z siebie westchnienie ulgi, i dalej schodzimy do zimnej, ciemnej komnaty.

– Chciałabym zmodyfikować moją wcześniejszą wypowiedź: nie żyje tam nic istotnego.

– Ogromne insekty są bardzo istotne!

Powstrzymuję śmiech, który rodzi się w moim brzuchu. Takiego Rudjeka najbardziej mi brakowało – takiego, który nie traktuje siebie zbyt poważnie. „Tęskniłam za tobą. Pragnę cię”. Nie wypowiadam tych słów na głos, jakbym w ten sposób mogła skusić los. Czyż wszechświat – umyślnie czy nie – i tak sobie z nas nie zażartował? Zachowuję jednak te słowa dla siebie, by podsycaly płonący we mnie ogień.

Rudjek ląduje w komnacie z głuchym hukiem i głośnym trzaskiem.

– Na dwudziestu bogów!

Kiedy docieram na dno, zapala pochodnię za pomocą krzesiwa. Rozgląda się po pomieszczeniu szeroko otwartymi oczyma.

– To grobowiec.

Podłogę komnaty pokrywają kości: szczęki, czaszki, obojczyki, ramiona i żebra. Małeńkie kostki i ogromne kości kobiet i mężczyzn, którzy musieli być gigantami. Czas wokół mnie zaczyna nagle wirować, ciągnąc mój umysł w czarną dziurę tak szybko, że świat staje na głowie. Sterta kości kurczy się, aż zostaje tylko biała, marmurowa podłoga. Przez otwarte okna z widokiem na pasmo gór do środka dociera słoneczne światło. Mrugam kilka razy, żeby pozbyć się zasnuwającej moje myśli mgły.

Nie poruszyłam się – to wciąż to samo miejsce. W przeszłości stało na najwyższym szczycie, w terażniejszości zaś – zakopane jest w najgłębszym dole.

Ka w moim umyśle milczą.

Po kolei dostrzegam kolejne szczegóły. Złote wykończenie wzdłuż podstawy ściany. Wazony z tak cienkiego kryształu, że czerwone róże i woda, które w nich są, zdają się zawieszane w powietrzu. Ludzi unieruchomionych przez magię jak pomniki, wpatrujących się we mnie błagalnie i rozpaczliwie. Są ode mnie dwa razy wyżsi i mają białe, pierzaste skrzydła, które rzucają po pokoju cienie. Oczy błyszczące przepięknym odcieniem zieleni. Ich zęby są ostre, skóra przezroczysta jak u ludzi z Północy. W ich postawie jest coś z eterycznej natury oriszy.

Mają na sobie iskrzące się złotem i srebrem tuniki, a na palcach pierścienie z rubinami, diamentami i czarnymi opalami. Wstrzymuję oddech i podchodzę na tyle blisko, by dostrzec unoszenie się i opadanie ich piersi. Da się odczuć panikę, choć nie wpływa ona na nienaturalne uśmiechy na ich ustach. To miejsce jest mi znajome – poczynając od chłodnego, górskiego powietrza przez słodki zapach róż aż po makabryczną sztukę. Zerkam przez ramię, żeby spytać Rudjeka, czy też to wszystko widzi, ale jego tu nie ma. To wizja komnaty z innego czasu. On stoi w pokoju takim, jaki jest w terażniejszości, czyli w grobie.

Kiedy w wizji przechodzę przez komnatę, żywe posągi poruszają się lekko, żeby mieć mnie na oku. Jastrząb ląduje na parapecie, przechyla głowę na bok i patrzy na mnie pełnymi zaciekawienia czarnymi oczami. Wychodzę z przedpokoju przez zwieńczone łukiem wyjście dość duże, by zmieścili się w nim ludzie wysocy jak pomniki. Prowadzi do kolejnego pokoju z białego marmuru – ten jest ogromny i wygląda wspaniale.

Schody tworzą łuk ponad pokojem, nad którym tron unosi się jak chmura. Przybiera żółty odcień wpadającego przez okna światła słonecznego. Podchodzę bliżej, a moje kroki rozbrzmiewają w komnacie niczym dzwony.

– Wreszcie w domu, kochanie – nuci głos gładki jak najdelikatniejsze jedwabie przyprawione najśłodszym miodem. Czyjś oddech ogrzewa moją szyję niczym ciepły wiatr. Budzi we mnie tęsknotę jak pierwszy grzmot przed burzą. Cień jego mocy owija mi się wokół piersi.

Tak jak wcześniej, kiedy Arti przeklęła mnie swoją magią.

– Tęskniłem za tobą – mówi.

Znów się obracam, ale nikogo tu nie ma. Spoglądam na schody i, wbrew wszelkiej logice, postanawiam wspiąć się po nich i dotrzeć na tron ponad pokojem. Nie wiem, jak ani kiedy, ale już tu kiedyś byłam. Bez chwili zastanowienia, postanawiam zasiąść na tronie. Po chwili mam już na sobie czerwoną suknię, która spływa mi do stóp

niczym lawa. Moje ramiona zdobią złote szarfy, a dłonie układam na szczycie dwóch wypolerowanych ludzkich czaszek. Siedzenie zbudowane jest ze związanych złotą taśmą kości udowych. Z tyłu wzdłuż łuku ułożone są zwierzęce czaszki. Żebra nadają tronowi wyjątkowy kształt. Siedziałam na nim wiele razy. To miejsce jest wspomnieniem, które wydaje się równie rzeczywiste, co chwila, w której wchodziłam do komnaty z Rudjkiem.

– Twoja matka nazaczyła cię moją magią, żeby ochronić cię przed Efią – kolejny szept na wietrze. Jego imię mrowi mnie w język, dudni mi w uszach. Jego słowa pełne są niepokoju i tęsknoty. – Nie chcę cię znowu stracić. Nie teraz, kiedy jesteśmy już tak blisko.

– Kim jesteś? – pytam drżącym głosem, choć znam odpowiedź. Król Demonów odnalazł sposób, żeby dostać się do mojego umysłu, czego nie potrafili Efiya ani Merka. Teraz kłamie, żebym mu zaufała, ale musiałabym być głupia, żeby mu uwierzyć.

Scena zmienia się na moich oczach, kiedy siadam ze skrzyżowanymi nogami nad zamrażającym jeziorem. U mojego boku jest chłopiec – najpiękniejszy, jakiego kiedykolwiek widziałam. Jego szokująco białe, długie włosy pasują do skrzydeł zwiniętych na plecach. Jedno skrzydło jest ułożone nieco wyżej niż drugie, jakby nie zagoiło się po dawnej kontuzji. Boję się, że wspomnienie czające się na skraju mojej świadomości, może się wydostać na powierzchnię, kiedy na niego spojrzę, więc odwracam wzrok ku jezioru. Jego profil i tak pojawia mi się jednak przed oczami, a serce łopocze mi w piersi.

– Nic nie pamiętasz? – Jego głos jest pomrukiem, kołysanką, słodką melodią.

Boję się odpowiedzieć, a on przyciąga kolana do piersi.

– Jestem Daho.

Wypowiada swoje imię, jakby spodziewał się ode mnie odpowiedzi, ale nic mnie nie obchodzi, jak chce się nazywać. Pragnę tylko pozbyć się go z głowy. A jednak nie mogę przestać gapić się na zmrożone jezioro i unoszącą się ponad nim mgłę.

– Ja... znam to miejsce – dukam. Czuję się, jakbym spędziła całe eony, siedząc nieruchomo nad tym jeziorem.

– To nasze miejsce – mówi mi Daho. – Znalazłaś mnie, kiedy wszyscy moi ludzie już mnie opuścili.

– Nie – szepczę, kręcąc głową. – To tylko sztuczka.

– Fram ukradli twoje wspomnienia – wzdycha – ale te z czasem powrócą.

– Nie pozwolę ci bawić się ze mną, jak bawiłeś się z moją matką. – Zaciskam zęby. – Nie wiem, jak włamałeś się do mojego umysłu, ale nie jestem jak Arti czy Efiya. Nie będę ci służyć.

– Nie jestem w twoim umyśle, Dimma – mówi. – To ty jesteś w moim.

Kiedy słyszę imię, ostry ból przeszywa mi głowę, a przed oczami migają mi słońca i księżycy. Jest gorzej niż wtedy, kiedy patrzyłam na Rudjeka w Mrocznym Lesie. Księżyc i słońce gonią się po niebie tak szybko, że są jak niewyraźna plama niekończących się lodu i ognia. Czuję, jakby głowa miała mi się rozpaść na dwie części. Ściskam czoło w dłoniach, ale ból jest coraz ostrzejszy. Wspomnienie jest na krawędzi mojej świadomości, kiedy spokojna, oczyszczająca magia spłukuje ból. Wpatruję się znów w zmrożone jezioro, a imię mi umyka.

– Przepraszam. – Daho się krzywi. – Zapomniałem, że Fram zabrali ci też imię. Ich magia ukrywa twój umysł, żebyś nie pamiętała swojego prawdziwego ja. Kiedy zostałam naznaczona moją magią, rozpaczliwie próbowałem ci przypomnieć... – przerywa, przytulając kolana do piersi jeszcze mocniej. – Ale ty wciąż mnie odpychasz. Jestem teraz silniejszy, podobnie jak ty. Niedługo znów będziemy razem.

Fram odebrali ci imię.

Fram, orisze życia i śmierci.

Jego słowa wirują mi w głowie. Nic nie rozumiem. Uspokajająca magia tłumi wspomnienia czające się na skraju mojego umysłu – wspomnienia, które wydają się bardzo stare. Przypomina mi się Nienazwana orisza z węzami owijającymi się wokół jej ramion. Orisza bez twarzy. Ta, o której nie chciał mówić Re'Mec pod postacią Tama. Orisza, która zdradziła swoje rodzeństwo dla Króla Demonów – bo jest jego *ama*, jego ukochaną. Czy Fram odebrali jej imię? A on jakimś cudem mnie z nią pomylił. Chociaż odrzucam to ponure podejrzenie, jakaś część mnie cieszy się na tę myśl. Pamiętam, jak znajoma wydała mi się jego magia rozwijająca się w moim ciele, jak mnie chroniła, jak próbowała mnie ukoić.

Nie, to niemożliwe.

Ona nie jest mną, a ja nie jestem nią.

Chcę na niego spojrzeć, ale teraz jakaś siła zmusza mnie do wpatrywania się w zamrożone jezioro.

– Mam uwierzyć, że jestem Nienazwaną? – syczę. – Masz mnie za idiotkę?

– Chwilę potrwa, nim sobie przypomnisz – odpowiada. – Pomogę ci.

– Przestań kłamać – żądam ostro. – Wiem, kim jestem.

– Nie muszę cię przekonywać. – Jego głos jest zbyt spokojny. – Czas ujawni wszystko.

– Po co więc ta rozmowa, jeśli nie chcesz mnie przekonywać?

– Z czystego egoizmu – przyznaje. – Chciałem cię zobaczyć.

Nie mogę znieść poczucia tęsknoty, jakie budzą we mnie jego słowa. Jego magia owija się wokół mnie jak przyjaciółka sprzed lat – nie, raczej jak dawny kochanek,

który powrócił do domu. Znam go równie dobrze, jak siebie samą. Uspokaja mnie, aż chcę się w nim zatracić. Na dwudziestu bogów, nie! Nie mogę na to pozwolić.

Nie mogę dać mu się oszukać. Pamiętam, jak demony w Kefu próbowały powstrzymać mnie przed powrotem do mojego ciała, kiedy znalazłam się na granicy życia i śmierci. Jak Rudjek ze snu próbował mnie tam zatrzymać. Spoglądam na jezioro, a mgła przybiera kształt ludzi z plemienia Litho – wpatrują się we mnie tysiące pomalowanych na biało twarzy. Ale to nie ludzie z plemion, tylko demony, które znowu przybrały ich postać. To projekcja mojej przeszłości.

Daho wskazuje gestem demony.

– Byli to kiedyś rolnicy, uczeni, gospodarze, najróżniejsi ludzie. Dokonali wyboru, by nie walczyć w wojnie, ale orisze i tak ich zabili i uwięzili ich dusze w Kefu. – W jego słowach jest tyle bólu, że moje serce też zaczyna krwawić.

– Próbowali odebrać mi moje *ka* – mówię niepewnie.

– Nigdy nie pochłonęli ani jednej duszy, ale oriszy to nic nie obchodziło. – Bierze głęboki oddech. – Dostrzegli, że jesteś wyjątkowa. Próbowali uratować cię przed Efią i powstrzymać przed wstąpieniem w śmierć.

Żołądek zwija mi się w węzeł. Byłam pewna, że demony pragną mojej duszy, ale one tylko utrzymywały mnie na granicy życia i śmierci. Byłam w takim stanie, że gdyby chcieli odebrać mi duszę, mogliby to zrobić bez problemu. On ma rację. To demony inne od tych istot, które kusily mnie na pustyni po tym, jak zdjęłam klątwę matki. Różnią się od tych, które zbudziła Efiya. Nie wierzę w większość jego słów, ale orisze też nie są idealni i lubią się mścić. Koré powiedziała, że gdyby nadarzyła się taka okazja, zabiłaby mnie, by zaszkodzić mojej matce. Dla Re'Meca Rytuał Przejścia jest sposobem na ukaranie Królestwa.

Moje myśli znów pełne są niepewności. Frustruje mnie, że nie mogę zaufać oriszom. Ale demony są niebezpiecznie, niezależnie od wszystkich kłamstw. Sama widziałam demona zjadającego w alejce duszę mężczyzny. A jednak nie potrafię wyzbyć się wrażenia, że w słowach Króla Demonów o oriszach jest ziarno prawdy.

– Strasznie tu zimno. – Rudjek przerywa moje połączenie z Daho, a ja wracam do terażniejszości.

Biorę płytki wdech, bo powietrze jest stęchłe. Całe moje ciało się trzęsie. Rudjek kręci się obok mnie, kiedy omiata komnatę światłem pochodni. Ściany są czarne od sadzy, a woda uderza gdzieś o kamień. Nie mogę pozbyć się z głowy głosu Daho – jest jak łagodna bryza na moich wargach, jak czułe objęcia. Jeśli mówi prawdę, są we mnie tajemnice, których nie sposób sobie nawet wyobrazić.

Opieram ramię o ścianę i zamykam oczy. Żółć gromadzi mi się w gardle. Przełykam ją. Po chwili Rudjek staje obok mnie i kładzie mi dłoń na ramieniu. Czuję rozchodzące

się po nim ciepło, bardziej stłumione niż wtedy, kiedy dotknął mojej nagiej skóry albo przyciągnął mnie do piersi. Pociesza mnie, kiedy najbardziej go potrzebuję, ale zaraz wycofuje dłoń, obawiając się skutków magii.

– Wszystko w porządku – ledwie mówię, nie mogąc złapać oddechu.

Król Demonów chce po prostu odwrócić moją uwagę, żebym nie znalazła sztyletu. Nie pozwolę mu na to.

– Powiedz tylko słowo, a pójdziemy stąd – głęboki głos Rudjeka przypomina mi, po co tu jesteśmy.

Nasze oczy znów odnajdują się w półmroku – jego są niczym czarne księżycy na tle brązowej skóry. Urywki z przeszłości unoszą się w moim umyśle jak popiół z ogniska, a na powierzchnię wypływa kolejna smutna prawda. To wspomnienie jednego z szamanów, tym razem to przywódca Zu, najwybitniejszy ze skrybów, historyk.

– Kiedy Król Demonów odszedł, Koré i Re’Mec osunęli wielką górę, by zakopać całe jego dziedzictwo – mówię. – Zostało tylko to miejsce. Wiele lat po powstaniu doliny pierwsze plemiona, które zamieszkały na tym terenie, czuły pozostałości jego magii. Oto, co sprowadziło Hekę z gwiazd.

– Czym to miejsce jest dla ciebie?

Mówi w taki sposób, jakby też widział wspomnienia – albo może słyszy, że moje serce bije w podwójnym rytmie. Boję się, że odpowiedź go zniszczy, mnie zniszczy na pewno, pozostawiam ją więc ukrytą w czterech ścianach mojego umysłu.

– Jednym wielkim kłamstwem – odpowiadam.

Kiedy wchodzimy do sali tronowej w teraźniejszości – nie tej będącej wspomnieniem zapomnianego czasu – moją pierś wypełnia palący ból. Jest tyle niewypowiedzianych słów i tyle do powiedzenia. Jest między nami całe życie pełne sekretów, ale na razie odsuwam je od siebie. Będą mnie nękać aż do końca moich dni – bardzo bliskiego końca, jeśli uda mi się zabić siostrę.

Sala tronowa jest ciemniejszym, lustrzanym obrazem miejsca, które widziałam we wspomnieniach. Stęchłe powietrze pełne jest kurzu, który pokrywa też szarą warstwą biały marmur. Nasze cienie rozciągają się po podłodze, dwa razy wyższe od nas, jakbyśmy zmienili się w demony, które tu żyły, kochały i umierały. Światło pochodni Rudjeka pada na schody wznoszące się nad komnatą i kończące w cieniu.

– Co to jest?

– Tron – mówię głosem stłumionym w ciemności.

Rudjek rozgląda się po pokoju z jedną dłonią na rękojęści szotela.

– Coś jest nie tak z tym miejscem.

Kiedy jego wzrok znów pada na mnie, całuję go. To go zaskakuje. Cofa się o krok, jego oczy są głodne, usta – znieruchomiałe ze zdziwienia. Kiedy podchodzi o krok

bliżej, fala ciepła zalewa mi policzki. Widać, że próbuje się powstrzymać, a w jego oczach toczy się wojna.

– Arrah, nie możemy. – Jego twarz krzywi się z tęsknoty i bólu. – Widziałas, co omal się nie stało, kiedy dotknęliśmy się nad rzeką.

Moje wargi drżą, a wspomnienie jego dotyku jest jak wspomnienie burzy. Moje ciało ogarnia raz ciepło, raz chłód, a ich połączenie jest jednocześnie szokujące i rozkoszne. Podchodzę o krok bliżej. Chcę poczuć smak jego warg, poznać jego usta, połączyć jego ciepło z moim. Chcę dzięki niemu zapomnieć o Daho.

– Rudjeku, nie wiem, czy przeżyję dzisiejszą noc. – Przełykam ślinę. – Nie chcę umierać, nie znając smaku twoich ust.

Rudjek opiera pochodnię o ścianę i bierze mnie w ramiona. Wtulam się w jego ciepłą szyję i znów wypełnia mnie tęsknota.

– Nie umrzesz – mówi cichym, pewnym głosem. – Nie pozwolę na to.

Unoszę głowę, powstrzymując łzy.

– Obiecujesz?

Rudjek chwyta moją twarz w dłonie, a ja zaczynam się trząść.

– Obiecuję.

Zamykam oczy, a on po raz pierwszy naprawdę mnie całuje. Jego wargi są delikatne jak płatki róży, a język gorący jak promień słońca. Smakuje zimą, światłem i ciepłymi źródłami. Szukam podparcia, kiedy przyciąga mnie do siebie. Przemierzam powierzchnię jego szyi, ramion, pleców. On też odkrywa palcami kształt mojego obojczyka, znacząc na nim ognisty szlak, który pozostawia mnie nienasyconą. Kiedy odsuwamy się od siebie, moje usta płoną. Jego antymagia dudni mi w uszach i łaskocze w skórę. Kręci mi się w głowie i czuję się wyczerpana, ale było warto.

– To było...

– Cudowne. – Kosmyk spadł mi na oczy, a Rudjek zakłada mi go za ucho, palcami gładząc policzek. – Wszystko w porządku?

– Tak. A u ciebie?

– Trochę mi słabo.

Patrzymy na siebie w milczeniu, które ciągnie się zbyt długo – wiedząc, że więcej pocałunków miałyby swoje konsekwencje. Rozglądam się i moją uwagę zwraca poruszony kamień na schodach za jego plecami. Wyciągam go spod pękniętej listwy, a spod spodu wydaję owinięty płótnem sztylet. Tylko on zdaje się nietknięty rozkładem pałacu. Rękojeść inkrustowana jest srebrem i złotem, po obu stronach ostrza wyryte są symbole.

Rudjek nieruchomieje, nie odrywając wzroku od sztyletu.

– Nie rób tego, Arrah.

– Muszę – mówię słabym głosem. – Już się z tym pogodziłam.

– Ale ja nie. – Rudjek rozgląda się wszędzie wokół, byle nie spojrzeć mi w twarz. – Nie mogę cię stracić.

– Spójrz na te kości. – Wskazuję je ramieniem. – To stanie się znowu, jeśli moja siostra wypuści *ka* Króla Demonów. Nie mogę na to pozwolić.

– Muszą tu być całe tysiące ofiar – szepcze. – On był potworem.

– On jest potworem.

Czas przeszły wskazywałby, że zagrożenie minęło, podczas gdy Daho jest przecież wciąż żywy.

TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

– Ktoś idzie! – woła Majka.

Chowam sztylet za pas i pędzimy w górę po drabinie. W świetle księżyca Rudjek wygląda na przykurzonego, zniszczonego i zmęczonego – a i mnie pocałunek osłabił. To nie był dobry pomysł, ale nic mnie to nie obchodzi i niczego nie żałuję. Wciąż płoną we mnie uczucia do Rudjeka i nowe, niesamowite wspomnienie Daho. Pocałunek tylko pogorszył sprawę. Jeśli przetrwam tę noc i będę trzymać się z daleka od pałacu Króla Demonów, może to nowe połączenie zgaśnie? Chciałabym wierzyć w wiele rzeczy, które nie są prawdą.

Rudjek jednym szybkim ruchem wyciąga swoje szotele.

– Świątynia będzie naszą bazą.

– Jaka świątynia? – piszczy Majka głosem sięgającym całkiem nowych tonów. – Masz na myśli tę stertę gruzu, w której jesteśmy?

– To może być ciekawe. – Sukar opuszcza swoją lunetę.

Spośród cieni wyłania się chłopiec z kręconymi włosami barwy słońca. To Tam. A właściwie powinnam powiedzieć: Re'Mec. Wzbiera we mnie złość i zagryzam wewnątrz policzka. Tak wielu złych rzeczy dałoby się uniknąć, gdyby wykazał się współczuciem.

Ma na sobie białą elarę obszytą czerwoną, złotą i zieloną nitką i sandały z koralikami. Niezbyt praktyczne. Nie sposób uwierzyć, że kiedyś pokonał Króla Demonów. Skrybowie nazwali Re'Meca i Koré królewskimi bliźniakami, ale teraz to już oczywiste, że to ona była prawdziwą bohaterką, a on tylko włókł się za nią.

– Re'Mec – mówi Rudjek z przekąsem.

Orisza się uśmiecha, ale tylko ustami. Kiedy jego bladoniebieskie spojrzenie sięga moich oczu, czuję z tyłu głowy ukłucie – migoczące jak pochodnia, kiedy zaczyna padać deszcz, wspomnienie rozpaczliwie starające się uwolnić z niewidzialnych łańcuchów. Ta sama chłodna, uspokajająca magia ukrywa to wspomnienie, nim zdąży wydobyć się na powierzchnię. To nie jest magia szamanów. Jest starsza niż sam czas i smakuje łzami.

– Czy ja cię znam? – pytam, ale to niewłaściwe pytanie. – Czy... czy ty znasz mnie? Re'Mec mruga i prycha:

– Czyżby twoja dziewczyna zapomniała języka w gębie?

Rudjek zamachnął się jednym ze swoich szoteli, celując w głowę Re'Meca. Miecz przecina powietrze, ale orisza w ostatniej chwili robi unik. Ostrze wbija się w zniszczoną kamienną kolumnę i tam już zostaje. Szkoda, że nie trafił Re'Meca. Jest nie lepszy od Daho, w pewnym sensie nawet gorszy. Stał z boku, pozwalając, by Ka-Kapłan torturował moją matkę. To on żądał przeprowadzania Rytuału Przejścia, który zniszczył tyle rodzin. Orisze są tak daleko od nas wszystkich, że nie zastanawiają się nad konsekwencjami swoich działań. A jednak zaskoczenie w jego oczach wydało mi się szczere i wciąż mam nadzieję, że Daho kłamie.

– Tak się traktuje starego kumpla? – Demonstracyjnie gładzi się po podbródku.

– Ty podstępna łasico. – Rudjek zaciska zęby. – Uważaj, co mówisz.

– Przepraszam bardzo. – Re'Mec pozdrawia mnie ukłonem plemienia Aatiri. – Moja siostra bardzo cię lubi. Choć może powinienem raczej powiedzieć „lubiła”, bo nikt nie widział jej na oczy, odkąd wyjechała do Kefu.

Czuję, jak się rumienię – wciąż zszokowana, że bogini poświęciła się, żeby mnie uratować.

Sukar splota na trawę.

– Jesteś tu, żeby gadać, czy walczyć u naszego boku, oriszo?

– Ja mam uważać, co mówię – Re'Mec z oburzeniem chwyta się za pierś – a obrażanie mnie niby jest w porządku?

– Przestań się zachowywać jak przerośnięty dzieciak – warczę. – Zamierzasz nam pomóc czy nie?

Re'Mec i Rudjek marszczą brwi.

Drapieżne ptaki skrzeczą nam nad głowami. Czekają na swoją ucztę, podobnie jak chowańce. Niedługo świeża krew i ciała wypełnią ich brzuchy. Zapach demonicznej magii unosi się na wietrze. Pełza po mojej skórze jak stonoga, ale magia szamanów zaraz wychodzi jej na spotkanie. Owija moje ciało spiralą tańczącego światła. Jej barwy pulsują jak bicie serca.

Dwa sokoły lądują u podstawy świątyni. Nie tylko świadomość w czarnych oczach ptaków zdradza, że to strachopłochy, ale też sposób, w jaki ich pióra błyszczą w świetle księżyca. Ich obecność tłumi moją magię. Tańczące światło przygasa. Sokoły składają skrzydła, a ich ciała zmieniają się w bezkształtną, szarą masę.

– Na dwudziestu bogów – mówi Majka. – Rudjeku, ty też to potrafisz?

Rudjek przechyla głowę na bok, jakby odpowiedź była oczywista. Też się zastanawiam, ale on nie potwierdza ani nie zaprzecza.

– Są już blisko – mówi Fadyi, kiedy przyjmuje znów swą ludzką postać.

Jedno ze zbyt wielkich oczu stojącej obok niego Ræeke położone jest dużo wyżej niż drugie. Wszyscy tak na nią patrzymy, że mruga i poprawia błąd.

– Musimy się przygotować.

Patrząc na strachopłochy, Re'Mec aż promienieje, jakby gotów był skoczyć za nimi w ogień, tak samo one patrzą na Rudjeka. Przypomina swoją siostrę – być może jest nawet bardziej nieznośny, ale oboje na swój sposób próbowali pomóc. Re'Mec mówi do strachopłochów w urywanym, tonalnym języku.

– Mówi im, żeby trzymały się od ciebie na dystans, żeby nie osłabiać twojej magii – tłumaczy Rudjek, z uśmiechem błakającym się na wargach, które, już to wiem, smakują jak mleczone cukierki. I których znów chcę dotknąć. Musi to czytać w moim spojrzeniu, bo kiedy mnie ogarnia ciepło, on też się rumieni.

Jahla przechyla głowę i wacha powietrze.

– Dwa tysiące. Połowa to demony, połowa *shotani*.

Kira wyciąga dwa sztylety.

– Podobają mi się te proporcje.

Koré i Kira by się dogadały. Obie pragnęły krwi i kochały swoje noże. Teraz Re'Mec podarował Kirze niemal takie same ostrza, jakich używała jego siostra, żeby mogła złożyć hołd poległej Królewskiej Bliźniaczce. A ja złożę hołd tobie, babciu. Obiecuję. Złożę hołd wszystkim, którzy zginęli z winy mojej matki i siostry.

– Stoimy na świętej ziemi. – Sukar podnosi kilka grudek i pociera je palcami. – Jeśli Heka da, zwyciężymy.

Gdyby tylko Sukar wiedział, jak nieświęta tak naprawdę jest ta ziemia, gdyby widział ukrytą pod nią kryptę kości.

Fadyi i Jahla stają u boków Rudjeka, a Re'Mec przed nimi. Czekając na nocny atak, porzuca wszelki fałsz. Bliźnięta Ezaric i Tzaric zmieniają się w dwa identyczne gepardy. Jeden z nich mruga do mnie okiem, a ja odwzajemniam mrugnięcie, zanim ustawią się z tyłu razem z Ræeke. Są znacznie bardziej interesujący niż postacie ze strasznych historii opowiadanych dzieciom w Tamarze.

Kira i Essnai wymieniają tęskne spojrzenia, porozumiewając się bez słów. Tak bardzo bym chciała, żeby znów były razem w domu, bezpieczne jak kiedyś, zanim moja matka wszystko zniszczyła. Nie mogę znieść myśli, że ryzykują własną przyszłość, żeby mi pomóc. To nie fair. Nie powinno tak być. Przypomina mi się głos Arti szepczącej: „Nim nadejdzie koniec, stracisz wielu z nich”. Zaciskam mocno pięści. Nie pozwolę na to.

Staję za Rudjkiem, z Sukarem i Majką u boku. Essnai jest za mną razem z Kirą, a za nimi trzech strażników Rudjeka. Strachopłochy dały mi dużo miejsca, tak, by nic nie powstrzymało mojej magii, kiedy nadejdzie Efiya. Sztylet Daho u mojego pasa jest chłodny i choć wiem, że oznacza śmierć, uspokaja mnie. Dzięki niemu może mi się udać zakończyć rządy terroru siostry.

Majka gładzi się po podbródku, udając, że jest głęboko zamyślony.

– Jeśli dobrze liczę, jest ich milion do jednego.

– Źle liczysz – mówi Essnai, mrużąc oczy.

– Majko, odciążę cię, jeśli nie poradzisz sobie ze swoimi – żartuję sobie.

W świetle umieszczonych w świątyni pochodni pojawiają się i znikają cienie, ale w sposób zbyt skoordynowany, by mogły należeć do chowańców. Otaczają nas, a mnie puls dudni w uszach. Chociaż nasze szanse są niewielkie, i tak się niecierpliwię. Czuję mrowienie magii na mojej skórze, a wewnątrz światło tysiąca słońc.

– Patrzcie, co potrafie. – Rudjek wpatruje się w swój zaklinowany w kamieniu szotel, a przestrzeń między nim a jego mieczem marszczy się jak wir na rzece. Szotel uwalnia się i frunie z powrotem do jego wyciągniętej dłoni. – Ræke mnie tego nauczyła. – Z uśmiechem zerka na mnie przez ramię.

– Ukrywałeś to przed nami, draniu – mówi Majka.

– Ja potrafie wywołać wielki pożar. – Krzyżuję ramiona.

– Chwalipięty – stwierdzają jednocześnie Sukar i Essnai.

Uszy wypełnia mi brzęk metalu. Wszyscy mają broń w pogotowiu. Sukar zerka na mnie z nadzieją, oferując mi jeden ze swoich sierpów. Mój kij został w świątyni. Nie potrzebuję go. Dziś potrzebuję tylko magii i nie zamierzam ponieść klęski. Nie po raz kolejny.

Shotani jako pierwsi zstępują w dolinę, poruszając się cicho jak duchy. Demony dołączają z tyłu. Ich oczy świecą w ciemności jak u głodnych hien. *Shotani* w czarnych tunikach i demony w czerwonych mundurach gwardzistów są wszędzie wokół nas.

– Czemu nikt nie wpadł na pomysł, żeby zaprosić do walki więcej strachopłochów?
– pyta Majka.

Rudjek krzyżuje mu przed nosem swoje szotele.

– Ciesz się, że w ogóle przyszły.

Re'Mec wznosi ręce ku niebu, a księżyc jaśnieje, żebyśmy lepiej widzieli.

Kiedy Efiya wyłania się z pustki i staje w dolinie naprzeciwko Rudjeka, czas się zatrzymuje. Chłopak stoi całkiem nieruchomo z dłońmi na swoich szotelach. Ja też nieruchomieję – ale mój umysł nie. Wszyscy stoją jak posągi. Efiya pochyla się i szepcze coś Rudjekowi do ucha. Jej wargi się poruszają, ale wiatr tłumi słowa. Głęboko w moim brzuchu zapala się ogień. Co oni do siebie mówią? Moja magia walczy z jej magią. Uderza mnie w pierś tak mocno, że kaszlę krwią, ale jej ucisk słabnie.

Potem moja matka wyłania się z cienia, a za nią Oshhe. Łzy napływają mi do oczu. Serce jednocześnie wyrywa mi się z piersi i słabnie. Ojciec to sama skóra i kości, jego

twarz jest całkiem zapadnięta. Matka wygląda nie lepiej. Podbiega do mnie z szaleństwem w oczach.

Zerka na Efiyę, która wciąż szepcze coś Rudjekowi do ucha, a potem znów na mnie.

– Daj mi sztylet – syczy zdesperowana Arti. – Daj mi go, zanim będzie za późno, żeby ją powstrzymać.

Rozpaczliwie przenoszę wzrok z ojca na matkę i siostrę. Głos Arti dudni mi w głowie, każąc wątpić we wszystko, co o niej wiem. Bardzo bym chciała, żeby to była prawda – żeby moja matka wreszcie odzyskała rozum. Ale nie, ona nie chce powstrzymać Efiyi... chce odebrać mi sztylet, żebym nie zrujnowała jej planów. Efiya wciąż nie uwolniła *ka* Króla Demonów. Arti jej potrzebuje. Nie sądzę, by Arti nagle zmieniła zdanie po tym, jak zrobiła wszystkie te straszne rzeczy. To kolejna sztuczka.

Robię krok w tył, ale ona podchodzi bliżej. Jej oczy są pełne łez.

– Tylko ktoś obdarzony magią może użyć ostrza – mówi. – Daj mi je, a doprowadzę to wszystko do końca.

Jak mogę zaufać matce, która poświęciła dzieci, by wezwać demona? Czemu miałyby teraz żałować? To jej nienawiść rozpoczęła rozlew krwi. Nie mogę jednak zaprzeczyć, że jej nabiegłe krwią oczy pełne są rozpacz, a skrzywiona twarz – bólu. Ona też cierpi. Czy to z powodu plemion? Czy wiedziała, że Efiya je także zaatakuje? Nawet jeśli moja matka nie jest aż tak pozbawiona serca, jak sądziłam, teraz to nie ma już znaczenia. Jest za późno.

– Odejdź – syczę.

– Proszę cię, Arrah – błaga. – Nie zostało wiele czasu.

Kręcę głową. Nie będę kukielką w jej grze.

Podchodzi bliżej. Moja magia atakuje, ale spotyka się z kontratakami. Otaczają nas iskry, kiedy nieruchomiejemy w impasie.

– Przywódcy mieli rację, przywiązując do ciebie swoje *ka*. – Oddycha z ulgą. Nie potrafię uzmysłwić sobie, kim właściwie jest ta kobieta, która stoi przede mną z oczami pełnymi bólu i zbolałym głosem.

Kocham swoją matkę. Nigdy nie przestałam jej kochać mimo wszystkiego, co zrobiła, i strasznie mi przykro, że widzę ją w tym stanie. Chciałabym jej uwierzyć. Chciałabym położyć głowę na jej ramieniu i pozwolić, by ta chwila naprawiła wszystko między nami. By dało się cofnąć czas i przekreślić naszą historię, abyśmy mogły zacząć ją od nowa, od dnia, kiedy namalowała mi na ścianie tancerzy Mulani. W tej historii nie byłabym dla niej rozczarowaniem, nie obchodziłoby jej, że nie mam w sobie magii i byłaby ze mnie dumna tak czy inaczej. A jednak żadne życzenia i żadna nadzieja nie zmienią przeszłości.

– Zabiła ich – mówię, ledwie powstrzymując płacz. – Szamanów już nie ma.

Wygłodniałym wzrokiem Arti patrzy w miejsce, w którym pod moją tuniką kryje się sztylet.

– Nie chciałam, żeby tak się stało. – Znow spogląda na mnie. – To nigdy nie było częścią mojego planu. Musisz mi uwierzyć. Chciałam tylko, żeby Jerek, Suran i orisze, ich mistrzowie, mieli za swoje. Arrah, to nie Królem Demonów powinniśmy się martwić – Arti zerka przez ramię na Efiyę i Rudjeka – tylko twoją siostrą.

– Dlaczego właśnie teraz? – Patrzą na nią wściekle. Po wszystkim, co się stało, wciąż broni Króla Demonów. Nie ma dla niej nadziei. – Skąd ta zmiana?

Arti unosi podbródek. W jej rysach wciąż pozostało coś z pewnej siebie *Ka-Kapłanki*.

– Jeśli mam wybierać: uwolnić mojego mistrza czy naprawić swoje błędy, wybieram to drugie. – Wzdycha. – Być może teraz nic to dla ciebie nie znaczy, ale chcę, żebyś dalej żyła. Córkko, proszę cię, pozwól zrobić mi tę jedną rzecz, by odpokutować za choćby ułamek tego bólu, jaki ci zadałam. – Grymas rozpaczony znika z jej twarzy, jakby pogodziła się ze swoją decyzją. Bierze głęboki oddech i spokojnym głosem mówi: – Daj mi nóż, Arrah.

Łzy płyną mi po policzkach. Moja matka chce się poświęcić, żeby mnie uratować. Mnie, córkę szarlatanek, która zawsze była dla niej rozczarowaniem. Możliwe, że będę żałować tej chwili przez resztę życia, ale w tym momencie jej wierzę. Kiedy zerkam w dół, tam gdzie mam ukryty pod tuniką sztylet, schodzi ze mnie napięcie. Waham się, wciąż niepewna, czy mogę jej zaufać. Czy nie zmieni zdania. Kiedy na powrót unoszę wzrok, czubek miecza przebija pierś mojej matki.

Krew tryska mi w oczy. Nie mogę oddychać. Nie mogę się ruszyć. Jest tylko czerwień – wszędzie tylko czerwień. Oblepia mi język i pali w gardło. Efiya przekręca ostrze w plecach naszej matki.

Twarz Arti jest wykrzywiona z bólu, gdy mówi bezgłośnie:

– Przepraszam.

Zanim jeszcze jej ciało upadnie na ziemię, jej *ka* wznosi się i łączy z Efiyą.

Ta się uśmiecha.

– Zawsze będziesz przy mnie, matko.

Oshhe wydycha powietrze i z jego ust wydobywa się biała chmura. Marszczy czoło, jakby widział ją po raz pierwszy. Efiya wyciąga szotel z piersi Arti. Kiedy wzrok Oshhego pada na mnie, ojciec uśmiecha się uśmiechem zmęczonym, lecz pełnym nadziei. Czas staje i przez krótką chwilę jesteśmy tylko my dwoje. Jego twarz się zmienia i znow jest dumnym synem plemienia Aatiri. Serce omal nie wybuchnie mi z radości. To naprawdę mój ojciec. To naprawdę on.

– Mała Kapłanko – mówi ochrypłym głosem. – Musisz być silna. Jeszcze przez chwilę.

Podchodzę do niego, choć łzy i krew zalewają mi twarz. Oczy mnie nie mylą – mój ojciec powrócił. Jego zapadnięte policzki odzyskują ciepło, a ponure spojrzenie znów wypełnia się światłem. Uratuję go przed całym tym bólem i strachem. Wrócimy do jego sklepu, będziemy w nim suszyć zioła i czyścić kości. Będziemy pracować w ogrodzie i jeść tyle mlecznych cukierków, aż zaczną nas boleć brzuchy. Będę słuchać, jak opowiada historie przez wiele godzin, dni, tygodni. Do końca życia.

Nagle Efiya staje przed nim i wbija mu ostrze w serce.

– Nie, nie, nie! – krzyczę, a moja pierś eksploduje bólem.

Ziemia dygocze pod moimi nogami. Rzucam się na siostrę niczym oszalała kula ognia.

CZTERDZIEŚCI

Jesteśmy z Efiyą płataniną nóg i ramion, uwięzioną w kłębach magicznego pyłu. Drapiemy się, bijemy i kopiemy. Uderzam jej głową o ziemię, a ona kopie mnie w brzuch, odbierając oddech. Z trudem łapię powietrze.

Jest zbyt silna.

Jej magia wnika głęboko we mnie. Ostre zimno zatrzymuje moje serce, a mięśnie rozszarpuje na strzępy. Moja skóra pęka niczym szkło, ale zaraz płomienny żar przeciwdziała magii Efiyi i naprawia szkody. Wzywam błyskawicę, która podpala moją siostrę. Nasze krzyki zagłuszają się nawzajem, a ból... na dwudziestu bogów! Ból jest tak straszny, że aż mnie oślepia.

Efiya robi krok w tył, jakby to była gra i nadeszła chwila wytchnienia. Cała jest poraniona, podrapana i poparzona. Krwawi. Nie jest niepokonana. Pozwalam sobie na uśmiech.

– Jest tak, jak kiedy bawiliśmy się w ogrodach. – Efiya śmieje się radośnie. – Brakowało mi tego.

Kiedy próbuję ją zaatakować, moja siostra znika w otchłani. Budzą się natomiast pozostali. Nie ma czasu na narzekanie – jej armia rzuca się na nas jak stado sępów. Moja magia balansuje na krawędzi, kiedy ogarnia mnie wrażenie, że w duszę wwiercają mi się setki oczu. Dostrzegam stojącego pośrodku armii demona. Przyjął nową twarz, opaloną i kanciastą, i muskularne, zbite ciało, ale jego magii nie da się pomylić z żadną inną. Krew ścina mi się w żyłach. Efiya dała swojemu demonicznemu ojcu Shezmu nową postać. Moje zmysły atakują dźwięki metalu uderzającego o metal, ale myślami równie dobrze mogłabym znajdować się na zatopionym statku głęboko w Wielkim Morzu.

Wokół mnie ciała obracają się i wirują, ale ja nie mogę oderwać wzroku od ojca. Puls dudni mi w uszach tak głośno, że kiedy podchodzę do jego zwiniętego na ziemi ciała, kręci mi się w głowie. Padam na kolana, dysząc ciężko. Biorę go w ramiona. Moja magia owija go kokonem jasnych barw. Osiada na nim jak gwiazdny pył i leczy jego rany. Jego ciało jest naprawione, ale Efiya zabrała mu duszę, a tego magia nie potrafi odwrócić.

„Mała Kapłanko” – szepcze wspomnienie jego głosu. – „Musisz być silna. Jeszcze przez chwilę”.

Jątrząca się we mnie wściekłość wybuchła. Kiedy zrywam się na nogi, niebo przecina błyskawica barwy jasnego bursztynu, która celuje zarówno w demony, jak i w *shotani*. Umierają w ogniu, a płomienie wznoszą się ponad ich zwęglonymi ciałami. Po policzkach spływają mi gorące łzy. Nie zatrzymam się, póki wszyscy nie będą cierpieć. Ich śmierć sprawia mi radość.

Rudjek porusza się wokół mnie w wymyślnym tańcu, dość daleko, by pilnować swoich mieczy, ale na tyle blisko, by nie spuszczać mnie z oka. Jego szotele poruszają się po łagodnych łukach, wysyłając na tamten świat jednego nieprzyjaciela po drugim. Kiedy się obraca, jego ciało jest gibkie i elastyczne. Wbijają miecze w klatki piersiowe, brzuchy i gardła. Majka robi to samo, choć z mniejszą gracją.

Podczas gdy Rudjek chroni mnie, jego chronią Fadyi i Jahla. Rozcinają *shotani* hakowatymi nożami, które nazywają kosami. Z łatwością przecinają nimi mięso i kości. Szotele Re'Meca błyszczą, kiedy zabijają demona za demonem. W walce jest arogancki i pewny siebie.

Kira miota swoimi nożami i w ledwie kilka sekund zabija kilka demonów. Ezaric i Tzaric za naszymi plecami znów przyjęli ludzką postać. Sukar i Ræeke walczą ramie w ramię, ale kiedy dopada ich horda demonów, nie widzę śladu Essnai. Mam gulę w gardle i kieruję ogień w stronę tych, które zaatakowały moich przyjaciół. Kira rzuca się prosto w rój demonów, by odnaleźć Essnai. Ją też tracę z oczu.

Jednocześnie niebo przecina grzmot, a mój policzek muska strzała. Twarz mnie pali, a po podbródku cieknie mi krew. Rudjek próbuje odeprzeć naraz trzy demony, ale też krwawi, a jego ruchy stają się mniej płynne i pewne.

– Wszystko w porządku?! – woła przez ramię.

Niebiosy otwierają się, nim zdążę odpowiedzieć. Na dolinę spada ogromna bestia. Ziemia się trzęsie. Omal nie tracę równowagi, ale Majka chwyta mnie za ramię, żebym się nie przewróciła. Spadając, potwór zgniata tuziny demonów i *shotani*.

– Co to jest, na bogów? – Głos Majki wybija się ponad bitewny zgiełk.

Bestia jest gigantyczna. Jej czarną skórę pokrywają krótkie, kostne kolce, a paszczę wypełniają krzywe ostre zęby. Odchyła do tyłu łeb, kierując pysk do księżyca, i wyje. Dźwięk rozchodzi się po moim wnętrzu. Potwór zbliża się do nas, a przy każdym jego kroku ziemia wibruje.

– Ach, ta moja siostra – śmieje się Re'Mec – zawsze lubiła mieć wejście!

Bestia rozprasza się w czerwoną mgłę, a najbliższe jej demony padają na kolana, chwytając się za gardła. Rudjek spogląda na mnie, kiedy z mgły wyłania się postać. Koré podnosi się z klęku z dwoma szotelami w dłoniach. Jej długie warkocze są jak gniazdo wijących się węży.

Nie wierząc własnym oczom, szepczę:

– Widziałam, jak umierasz.

– Nie tak łatwo mnie zabić – odpowiada Koré z wysoko podniesioną głową i uśmiechem na twarzy.

Gdzie ona była przez cały ten czas? Jednocześnie cieszę się, że ją widzę, i jestem wściekła, że ona przeżyła, podczas gdy szamani zginęli. Patrzę tam, gdzie upadł mój ojciec, ale teraz w dolinie leży tyle ciał, że nie sposób go dostrzec.

– Gdzie jest *ka* Króla Demonów? – Język mi sztywnieje, kiedy wypowiadam te słowa. Nie zaszłam tak daleko, by teraz ponieść klęskę. Mój ojciec nie umarł na próżno.

– Wciąż jeszcze jest bezpieczne – odpowiada wreszcie, a ja wypuszczam palące mnie w płuca powietrze.

– Miałem wszystko pod kontrolą – Re'Mec zwraca się do siostry. Choć jego ton jest spokojny, ciało nie wydaje się zrelaksowane.

Zanim Koré zdąży odpowiedzieć, Efiya znów wyłania się z otchłani i wbija szotel w plecy Tzarika. Ezaric nie radzi sobie lepiej – miecz obcina mu głowę. Rudjek krzyczy, a w jego krzyku słychać wściekłość, zabija dwa kolejne demony i pędzi pomóc strachopłochom.

Serce wali mi w piersi, kiedy słucham odgłosów bitwy. Zbyt wielu dobrych ludzi już zginęło tylko dlatego, że moja matka i Efiya zapragnęły wskrzesić Króla Demonów. Mój ojciec, babcia, szamani, nawet ona sama. Kolejni giną teraz. Nie mogę pozwolić, by umierali na próżno. Jeśli nie powstrzymam mojej siostry, razem z Królem Demonów zniszczą wszystko.

Efiya wprawia w ruch swoje zakrwawione miecze, celując w głowę Sukara. Walczą tak szybko, że jeden ruch przechodzi w drugi i zaraz w następny. Powietrze marszczy się, naładowane antymagią, a czyjś miecz przebija pierś Efiyi. Sukar wykorzystuje szansę, by swoim sierpem poderznąć jej gardło. Jego miecz obraca się w proch, a obie rany zasklepiają się, nie wypływa z nich ani kropla krwi. Moja siostra znów rzuca się na Sukara ze wściekłością w oczach.

– Nie! – Wrywam swoją magią Sukara z uchwytu Efiyi, ale popycham go za mocno. Uderza w kolumnę i pada bezwładnie na ziemię. Zasłaniam usta dłonią, by powstrzymać krzyk.

– Przestało mnie to bawić. – Efiya robi dwa kroki w moją stronę. – Czas skończyć tę grę.

Rudjek chce rzucić się na Efiyę, ale Jahla i Fadyi go powstrzymują. Koré, Re'Mec i Kira rzucają w nią swoją broń, ale czas znów się zatrzymuje. A właściwie zatrzymuje go ja. Muszę oddalić Efiyę od moich przyjaciół, inaczej nie spocznie, nim ich wszystkich nie pozabija. Przywódcy mówią mi, co mam robić. Robię krok w tył

i znajduję się w ruinach świątyni. Kiedy Efiya wkracza w pustkę i znów pojawia się przede mną, oślepiające światło zamyka nas w murach budynku. Zapada cisza – wszystko, co na zewnątrz, nieruchomieje.

Stoimy w świątyni sprzed zniszczeń. W świetle pochodni lśnią nieskazitelnie czyste filary i kolumny. Ściany udekorowane są malowidłami, grawerowanymi gwiazdami i fruującymi wstęgami czystego światła Heki. To miejsce jest kolejnym podarunkiem szamanów, w którym obie z Efiyą istniejemy poza czasem.

– Niesiesz ze sobą tylko zniszczenie – mówię. – To się musi skończyć.

– Ależ droga Arrah, to dopiero początek. – Efiya się uśmiecha. – Jestem życiem i śmiercią.

Wstrząsa mną dreszcz.

– Jak mogłaś zabić naszych rodziców?

– Ależ oni są tutaj! – Uderza się pięścią w klatkę piersiową. – Nie rozumiesz? – Powstrzymuje łzy, a jej twarz przybiera wyraz, który wydaje się do niej nie pasować. – Oni i wszyscy pozostali są we mnie bezpieczni.

– Jesteś szalona – warczę, a moje słowa smakują żółcią.

Efiya marszczy czoło, jakby moje oskarżenie ją zraniło.

– Wciąż jesteś na mnie zła z powodu Rudjeka?

Nie dam jej tej satysfakcji – nie pokażę, jaki sprawiła mi ból.

– Dałam mu coś, czego ty nigdy nie będziesz mogła mu dać – mówi bez złośliwości.

– Powinnaś mi podziękować.

– Podziękować? – Wybucham śmiechem.

Efiya dźga mnie w pierś zakrwawionym szotelem.

– To twoją twarz zapamięta, nie moją.

Czyżby była zazdrosna? Odsuwam od siebie tę myśl. Jeśli jest w niej jakiegokolwiek uczucie, to tylko pogarda. Ale każda pochłonięta przez nią dusza stała się jej częścią, a to ją zmieniło. Teraz Oshhe też w niej jest. A on mnie kochał. Arti również mnie kochała.

– Nie słyszę już głosów przywódców. Czy *ka* wszystkich ludzi, których zamordowałaś, również ucichły? – Kiedy nie odpowiada, dodaję: – To wyjątkowe miejsce.

– W moich wizjach wchodziłyśmy do świątyni, ale nigdy nie widziałam jej wnętrza.

– Nie po to powstała, byśmy mogły do niej zaglądać – mówię. – Nasza magia nas tu nie ochroni.

Efiya zastanawia się przez chwilę, patrząc na swój szotel. Potem unosi na mnie wzrok. Jej twarz jest nieporuszona, a spojrzenie bezlitosne.

– A więc masz pecha.

Jej ostrze wbija się w mój brzuch, nim zdążę choćby pomyśleć o sztylcie Króla Demonów. Efiya uśmiecha się do mnie przez łzy, nie wyjmując miecza. Kaszląc, czuję na języku smak krwi. Kiedy moja siostra wyciąga miecz i rzuca go na ziemię, jej oczy przepełnione są bólem.

– Musi tak być. – Przyciąga mnie do siebie.

Opieram się o nią. W innym życiu mogłybyśmy się kochać. Mogłybyśmy zostać najlepszymi przyjaciółkami. Mogłybyśmy zaplatać sobie nawzajem warkocze i kłócić się o ostatni mleczny cukierek, słuchając opowieści taty. W innym życiu nasza matka obsypywałaby nas pocałunkami i pozwoliłaby nam wypłakiwać się na swoim ramieniu.

To życie opuszcza moje ciało i ogarnia mnie spokój. Już niedługo odpocznę. Ostatkiem sił wyciągam sztylet spod tuniki. Jego rękojeść staje się ciepła i zagina się w mojej dłoni – nóż zmienia kształt, by się do mnie dopasować. Ceną za użycie tej broni jest śmierć, ale ja jestem gotowa.

W jednej chwili, która jest jednocześnie zbyt krótka i zbyt długa, wbijam nóż między żebra Efiyi. Z łatwością wkłuwam się w jej ciało, rozcinając je i roztrzaskując na kawałki moje serce. Przychodzi mi do głowy najdroższe wspomnienie mojej siostry – pierwszy raz, kiedy weszła do mojego łóżka i przytuliła się do mnie. Próbowła ulżyć mi w bólu – uśmiechając się szeroko i patrząc na mnie z podziwem. Chciała być blisko mnie, ale ja ją odepchnęłam. Wyciągam ostrze i pozwalam, by, zakrwawione, spadło na ziemię. Uderza o posadzkę, a jego ostatni brzęk przypieczętowuje nasz los.


Efiya cofa się, potykając, i zaraz obie upadamy. Sięgam ku niej, a ona czołga się do mnie, ślizgając się we krwi rozlanej na kamiennej podłodze. Żadna z nas nie próbuje się odezwać. Za późno na słowa. Zresztą czasem słowa nie potrafią wyrazić tego, co dzieje się w sercu. Po policzkach spływają mi łzy, kiedy nieruchomieje, zanim dotrze do moich ramion. Światło tańczy w jej oczach, póki nie zgasną, a jej świetliste, złote *ka* nie wyfrunie z rozchylonych ust. Odeszła. Moja siostra nie żyje i to ja ją zabiłam.

Zakrwawiony sztylet Daho leży między nami. Jaśniej, kiedy magiczna iskra przekazuje mu duszę Efiyi. Ciemność wlewa mi się w oczy, aż wszystko staje się czernią, aż moje serce przestaje bić, aż po raz ostatni – umieram.



CZEŚĆ V

Światło i ciemność – jej przyczyna,
W śmierci jej życie się zaczyna,
Są czyny nie do wybaczenia,
Więc nie wypowiem jej imienia.
– Pieśń Nienazwanej



CZTERDZIEŚCI JEDEN

Przez całą wieczność wznoszę się ku nocnemu niebu. Czas nie istnieje, nie ma początku ani końca. W chwili śmierci pęka więź między moim starym ciałem a prawdziwym ja. Teraz, kiedy jestem już wolna, składam się ze światła i cieni, wznoszących się wysoko, wysoko, wysoko. Podo mną toczy się bitwa, która jest teraz odległym wspomnieniem. Łączę się z niebem, księżycem i gwiazdami. Tysiąc żyć pełnych wspomnień rozsypuje się jak gwiazdny pył.

Moja pozbawiona kształtu postać posiada nową wiedzę. Nie istnieje magia, która uciszyłaby moje wspomnienia, jak to się wydarzyło, kiedy byłam w pałacu z Rudjkiem – teraz rozszczępia moje serce na pół.

W moim poprzednim życiu kochałam Króla Demonów. Kochałam Daho.

Kiedy zrodził mnie Największy Kataklyzm, osiadłam nad zamrożonym jeziorem na szczycie góry, patrząc, jak świat się starzeje. Wiele czasu spędziłam w bezruchu, aż nad moje jezioro spadł śmiertelnik ze złamanym skrzydłem. Był na granicy śmierci – czym jest śmierć, zrozumiałam dopiero znacznie później. Niewiele wiedziałam o śmiertelnikach, ale kiedy wejrzałam w jego duszę, zobaczyłam całe jego życie.

Ludzie Daho budowali wysokie budynki, które sięgały chmur. Opanowali podniebne podróże na długo przed tym, jak wyrosły im skrzydła. Stworzyli leki na każdą znaną sobie chorobę i nauczyli się wydłużać sobie życie. Niezależnie jednak od stopnia zaawansowania ich medycyny, nie potrafili osiągnąć nieśmiertelności.

Pod rządami rodu chłopca, jemu podobni – demony – przez tysiąc lat cieszyli się spokojem. Był jedynym dziedzicem Królestwa, ale też chorowitym dzieckiem. Wrogowie jego ojca wiedzieli o tym i wykorzystali to, by skrzyknąć się przeciwko jego rodzinie. Kiedy zmarł jego ojciec, zaatakowali pałac i zabili jego matkę. Chłopiec uciekł i ukrył się w górach. Nowy król go nie szukał – wszyscy byli pewni, że nie przetrwa wśród zimna i dzikich zwierząt.

Stworzyłam sobie pojemnik na duszę i podeszłam do chłopaka, który błagał, żebym mu pomogła. Dotknęłam jego duszy, poczułam, jak jego życie pulsuje w jednym rytmie z moim, dostrzegłam łączące nas kosmiczne więzi. W tamtej chwili zobaczyłam jego przyszłość, w której siedzi obok mnie na tronie. Kiedy go uzdrowiłam, Daho zapytał mnie o imię, ale nie miałam żadnego. Imiona były kolejnym przejawem istnienia, którego jeszcze nie rozumiałam.

Na szczycie góry spędziliśmy razem wiele dni. Bardzo się zmartwiłam, kiedy powiedział, że pewnego dnia umrze. Nie mogłam uczynić go sobie podobnym, więc szukałam rozwiązania po całym wszechświecie. Odkryłam lud żyjący bardzo długo dzięki przekazywaniu sobie dusz w chwili śmierci.

Spodobał mi się pomysł, by Dahó przejął życie mężczyzny, który zabił jego matkę i zajął jego miejsce na tronie – fałszywego Króla Demonów. Jednak kiedy Dahó posmakował duszy mężczyzny, coś się w nim zmieniło. Zyskał siłę i magię, której jego ludzie nie mieli. Musiał wciąż pochłaniać kolejne dusze, by żyć tak długo jak ja. Zrozumiałam, że dałam początek czemuś straszному. Rozpaczliwie szukałam innego sposobu – na próżno. Nie mogłam jednak pozwolić Dahó umrzeć, za bardzo go kochałam.

Rządziliśmy królestwem demonów, póki moje rodzeństwo nie postanowiło ukarać mnie za mój błąd. Dopiero, kiedy Fram mnie zabili, Dahó zaczął obżerać się duszami, aż dorównał siłą moim braciom i siostrą. Zbudował armię, żeby ich zniszczyć.

Przeżywam na nowo niekończącą się wojnę między demonami i moim rodzeństwem. Bezsensowny rozlew krwi. Dahó siedzi na swoim tronie, załamany i samotny, z brzuchem pełnym dusz, które pochłaniał przez eony. Zrobił to z mojego powodu – dlatego, że umarłam.

Widzę jego rzeczywistą postać, świetliste, srebrne ciało ze skrzydłami, które rozciągają się na szerokość całego mórz; jego szczupłą, dumną sylwetkę. Oczy błyszczą jak szmaragdy, a brodę unosi wysoko. Moja dusza pulsuje wspomnieniem moich palców wędrujących po jego szczęce. Wspomnieniem jego ostrych zębów, drażniących się ze mną, kiedy jego *ka* wyśpiwywało moje imię. Moje prawdziwe imię. To, które przychodzi do mnie tylko w chwili śmierci.

Dimma.

Jestem jednocześnie wszędzie i nigdzie. Jestem nikim i każdym. Jestem nią – Nienazwaną oriszą. Jestem Arrah i tysiącem innych, które żyły i umierały w niekończącym się cyklu, który jest karą za miłość do Dahó.

Wstępuję poza gwiazdy, poza wszechświat. Jest tylko nieskończona ciemność Największego Kataklyzmu, stwórcy i niszczyciela, i szalejący w niej sztorm. Liczy się tylko jego wezwanie. Pochłonie mnie, tak bym mogła zostać zniszczona. Zwarta i gotowa, zbliżam się do jego ust, lecz wtedy przecinam powietrze uniesiona do innego wymiaru.

– Witaj, siostró.

Głosy są znajome, łagodne i chóralne, ani męskie, ani żeńskie. Bliźnięta pojawiają się przede mną. Stoją tak blisko siebie, że ich ciała stapiają się ze sobą. Jeden jest światłem, drugi – mrokiem. Jeden jest śmiercią, drugi – życiem. W ich gładkich rysach

są dwoistość i symetria. Ich płec jest płynna. To dwie nieprzerwanie zmienne strony tej samej monety. Ich pomnik we Wszechpotężnej Świątyni nie oddaje ich piękna. Nie sposób go uchwycić.

– Witaj, Fram. – Nie używamy słów. Wymiana zachodzi po kosmicznych strunach, które łączą wszystko we wszechświecie. – Znów tu jesteśmy.

– Po raz ostatni – mówią Fram.

– Też macie już dość tej gry? – pytam. – Pora z nią skończyć.

– Już za pierwszym razem nie powinnaś była ożywać. – W ich oczach czai się ból. – Powinniśmy pozwolić Największemu Kataklizmowi cię zniszczyć, ale za bardzo cię kochaliśmy.

– Rozmawiamy o tym za każdym razem, kiedy umieram – mówię. – Nie chcę prowadzić tej dyskusji po raz kolejny.

– Chcemy, żebyś zrozumiała – głos Fram jest pełen wspomnień, które objawiają się wokół jego ciała niczym deszcz. – Byłaś bardzo młoda. Właściwie byłaś jeszcze dzieckiem. Największy Kataklizm zrodził nas na przestrzeni eona... najpierw Koré i Re'Mec, potem pozostali... ale ty powstałaś znacznie później. Nikt nie wiedział, co z tobą zrobić, więc zostawiliśmy cię samej sobie. To okropny sposób na wychowanie dziecka, ale sami się jeszcze uczyliśmy, choć sądziliśmy, że wiemy już wszystko.

– To nasz największy błąd – mówię. – Wydaje nam się, że wszystko wiemy najlepiej.

– Widzę, że odradzanie się czegoś cię jednak nauczyło.

– Nauczyło mnie, że nigdy nie odpokutuję za to, co zrobiłam.

– To prawda. – Fram kiwają oboma głowami. – Szkody nie da się naprawić.

Cisza rozciąga się między nami w tym miejscu poza czasem. Nawet tutaj wzywa mnie Największy Kataklizm, a ja pragnę się z nim połączyć. Tak łatwo byłoby dać się zniszczyć, nie mieć przeszłości ani przyszłości, ani żadnych wspomnień. Zacząć od nowa – albo i nie. Nikt nie wie, co dzieje się z tymi, których niszczy Największy Kataklizm.

– Czy wciąż go kochasz? – pytają Fram.

Nie musi precyzować, kogo ma na myśli; od tamtego dnia nad zamarzniętym jeziorem liczy się tylko on. Tęsknię za stuleciami, które spędziliśmy, patrząc, jak świat się zmienia. Za nowym życiem, które stworzyliśmy.

Czuję, że jest silniejszy, niż kiedy umierałam wcześniej, jest bliski ucieczki ze swojego więzienia. Wzywa mnie, a ja nic innego nie pragnę, jak tylko pójść do niego.

Tak, Największy Kataklizmie, wciąż go kocham.

Echo rozbrzmiewa w moim *ka*. Rwąca rzeka, burza ognia. Nie zgadza się na odsunięcie na bok jako wspomnienie z cudzej historii. Jestem Arrah, ale jestem też Dimmą. Jesteśm tym samym i czym innym. Ona ma swoje myśli, ja mam swoje.

Istniejemy jako jedność i podwójnie. Gdybym nie stała naprzeciwko Fram, nie rozumiałabym swojej własnej dwoistości. Dwóch stron, z których żadna nie istnieje bez drugiej.

– A co ze strachopłochem? – pytają Fram, a ich głosy są jak powiew wiatru.

– Rudjek – wypowiadam szeptem jego imię, a wspomnienia o nim wracają do mojej duszy.

Jego głęboki głos, nieśmiałe uśmiechy i aroganckie grymasy. Jego dusza połączona z moją, jak ciepła woda na mojej skórze. Dzięki niemu moje *ka* śpiewa, a ja poszłabym na skraj świata, żeby usłyszeć jego śmiech. Jego też kocham: w życiu i po śmierci. Daho jest moją przeszłością, on zaś – przyszłością.

– Uważaj, sestro – ostrzegają Fram. – Miłość orisy jest niebezpieczna. Któż wie o tym lepiej od ciebie?

– Odeślecie mnie z powrotem? – pytam.

Niezdecydowana podwójna postać pogrąża się w myślach.

– Nie – odpowiada z pewnością w głosie. – Jeśli się odrodzisz, dasz Daho nadzieję. A kiedy straci nadzieję, wreszcie będziemy mogli go zniszczyć.

– Wciąż nie rozumiesz. – Moje *ka* nabrzmiewa złością. – Mój koniec nie zaspokoi jego pragnienia zemsty. Czy odkąd zabiliście mnie po raz pierwszy, niczego się nie nauczyliście? To ja muszę go powstrzymać. Muszę naprawić zło, które wyrzodziłam. Teraz, kiedy nie ma już Arti ani Efiyi, nie zdoła uciec z więzienia, a my z Koré znajdziemy sposób, by raz na zawsze zniszczyć jego duszę.

Fram kręcą głowami.

– Ty, Arrah, masz dobre intencje, ale ty, Dimmo, przy pierwszej możliwej okazji poszłabyś do Króla Demonów. Najlepsze rozwiązanie dla ciebie to powrót do łona. Nadeszła pora, by przejął cię Największy Kataklyzm.

Dusze szamanów wciąż są splecione z moją, a ich magia pulsuje w moim *ka*. Magia Dimmy – moja magia – też tam jest, skuta i związana. Przez cały ten czas sądziłam, że nie mam własnej magii, ale Fram po prostu ją schowali, tak jak uwięzili mój umysł. Przez to nieskończoną ilość wcieleń żyłam pełna frustracji i tęsknoty. Moja wściekłość wprawia w vibracje kosmiczne struny, które łączą mnie z wszechświatem.

– Oddaj mi naczynie na moje *ka*. – Choć ten jeden raz zgadzamy się z Dimmą. Kochamy kogoś innego, ale obie chcemy wrócić do świata śmiertelnych. Do świata żywych.

– Nie. – Uspokajająca magia Fram dosięga mojej duszy. – Twój czas dobiegł kresu.

Odpieram atak pożyczoną magią szamanów. Wokół mojej duszy rozbłyskują miliony iskieł kolorowego światła, odpychając napór Fram. Łańcuch wiążący moją własną magię wygina się, ale nie pęka.

Fram podchodzą bliżej.

– Nie rób tego. Spowodujesz tylko niekończącą się śmierć.

– Nie odejdę – mówię, a moje *ka* przerywa ich łańcuchy.

Moja wściekłość wstrząsa tym miejscem, w którym czas nie istnieje. Wydostaję się na zewnątrz przez szczelinę i powracam niczym spadająca gwiazda. Fram towarzyszą mi w swojej bezkształtnej postaci. Ich magia chłoszcze mnie jak rozgrzany bicz i powstrzymuje mój upadek. Ciągnie mnie z powrotem, a moją świadomość spowija mgła. Zapominam swoje prawdziwe imię.

– Nie, nie odejdę – powtarzam, tym razem już nie tak pewnie.

– Musisz – szepczą dwa głosy, których już nie rozpoznaję, choć znałam je kilka chwil wcześniej.

– Puść – szepcze ktoś jeszcze.

To nie jeden z moich przywódców, ale też kryje się we mnie. Rozumiem, czego chce. Moje *ka* przypomina mgłę, nie jest ciałem stałym, ale wystarczy, by przytrzymać mnie w pułapce. Kiedy wcześniej dwukrotnie opuszczałam swoje ciało, bałam się, że odpłynę zbyt daleko i zgubię się w świecie duchów. To coś innego, coś znacznie bardziej ryzykownego. Pozwolę mojemu *ka* się rozpuścić, zjednoczyć ze wszystkim innym. Przywódca Kes spędza większość czasu w świecie duchów i wie, jak to zrobić.

Rozpycham moją świadomość we wszystkie strony, rozciągając ją poza granice mojego *ka*. Z początku rozwija się subtelnie i powoli – to nowa świadomość, która wkrada się w moje jestestwo. Moje niedawne wspomnienia – wszystko, co się wydarzyło, odkąd zabiłam Efię – rozwiewają się w nicość. Trzymam się myśli, że znów zobaczę swoich przyjaciół. Że ostatni raz zobaczę ojca.

I tak spadam, spadam, spadam pośród gwiazd.

CZTERDZIEŚCI DWA

Nie wiem, jak się tu znalazłam. Byłam w świątyni z Efią, potem obudziłam się w niebie. Zabiłam moją siostrę. Mój czyn rozrywa mnie na kawałki. Chcę krzyknąć, ale brak mi głosu. Boję się, że ból spali mnie żywcem.

Ka Rudjeka mnie woła, wyśpiewuje moje imię, a ja odpowiadam na wezwanie. Kiedy moje *ka* scala się w jedność, skupiam się na piosence Rudjeka i pozwalam jej się prowadzić. Jego smutek przyciąga mnie z powrotem na pole bitwy. Wnikam do świątyni i osiadam w swoim złamanym ciele. Kiedy otwieram oczy, zauważam siostrę i serce przeszywa mi ból. Odeszła. Ja również umieram, moje wspomnienia i myśli wydają się niejasne i splątane.

Widzę błysk światła, a zaraz potem słyszę czyjeś pospieszne kroki.

– Nie, nie, nie! – woła Rudjek. – Arrah, nie!

Bierze mnie w ramiona, a ja spoglądam na jego zrozpaczoną twarz.

– Wszystko będzie dobrze.

– Ona żyje! – woła ktoś. To Majka.

– To niemożliwe – mówi gdzieś w oddali Koré. – Jesteście pewni?

– Pomóż jej – rozkazuje Rudjek.

Moja skóra płonie. Wyję z bólu.

– Jeśli ma wyzdrowieć, nie wolno ci jej dotykać – dobiega mnie głos strachopłoszki o imieniu Jahla.

Zwraca uwagę na zagrożenie ze strony antymagii. Już czuję jej dotyk. Rudjekowi cieknie łza, a kiedy ląduje na mojej twarzy, krzywię się, oparzona.

– Majka... – mówi tylko zrozpaczony, a jego przyjaciel bierze mnie w ramiona. Rudjek wycofuje się. Jego ból jest moim bólem.

– Co robimy z Efią? – pyta Fadyi.

– Spalcie jej ciało, zanim postanowi wrócić. – Ton Koré jest groźny. – Zróbcie to tak, żeby demony wszystko widziały, i patrzcie, jak tchórzliwie uciekają.

Zapadam w sen, a kiedy znów się budzę, leżę w namiocie. Koré siedzi u mojego boku i uciska moje rany dłońmi. To boli, ból jest tępy. Re'Mec jest po mojej drugiej stronie. Oboje patrzą na mnie jak na zagadkę, którą próbują rozwiązać. Za Re'Mekiem dostrzegam leżącego na posłaniu Sukara. Śpi, a strachopłochy trzymają się blisko niego. Fadyi, Jahla i Ræeke. Przypominam sobie, że bliźniacy Ezaric i Tzaric nie żyją.

Zabiła ich moja siostra. Zabiła też Arti i Oshhego. Po policzkach spływają mi łzy. Nigdy już nie usłyszę opowieści mojego ojca. Nie pojedziemy razem na święto Krwawego Księżyca – zresztą już więcej się ono nie odbędzie.

– Czy Fram cię tu przysłali? – syczy mi w ucho Koré. – Czuję na tobie ich magię.

Nie mam siły, żeby się odezwać: skupiam się tylko na tym, by moje oczy pozostawały półotwarte. Co orisze Fram mają ze mną wspólnego? Czemu mnie o nich pyta? U moich stóp stoją Essnai, Kira i Majka. Wyglądają na zaniepokojonych. Rudjek jest jeszcze dalej, stoi z założonymi rękami. Mam tyle pytań o demony, o orisze, o moją siostrę.

– Nie możecie jeszcze czegoś zrobić? – pyta Rudjek. – Sukarowi pomogliście.

– Zatrzymałam krwawienie i uleczyłam jej ranę – odpowiada Koré. – Teraz jej ciało zatruwa magia sztyletu, tak jak się spodziewaliśmy. Szczerze mówiąc, nie wykluczam, że tylko wydłużyłam jej cierpienie. A nie mogę zrobić nic więcej, nie odwracając uwagi od ważniejszych spraw.

– Ważniejszych spraw? – Rudjek spogląda na nią z wściekłością. – Gdzie były Królewskie Bliźnięta, kiedy Efiya zabijała ludzi z plemion? Gdzie byliście, kiedy *Ka*-Kapłanka stworzyła tego potwora?

– Obrażanie nas to nie najlepszy pomysł, chłopcze.

– Wiesz, gdzie mnie nie było? – Koré zrywa się na nogi, jej warkocze wiją się niespokojnie. – W łóżku z siostrą Arrah.

Rudjeka zalewa fala gorąca. Essnai klnie pod nosem, Kira patrzy na niego wściekle. Majka rozgląda się wokół, jakby nie chciał spojrzeć przyjacielowi w oczy. Rudjek opuszcza wzrok, a jego twarz jest wykrzywiona, jakby chciał schować się pod granitową płytą.

Re'Mec wydaje z siebie przeciągłe gwizdnięcie, które odbija się echem w dolinie.

– Nie ma potrzeby wspominać o zdradzie chłopaka, Koré. Wszyscy kiedyś byliśmy młodzi. Już zapomniałaś?

Wypowiada te słowa w sposób, który jasno sugeruje, że kryją w sobie jakąś historię, Koré nie zamierza się jednak wycofać. W jej spojrzeniu pojawia się złość.

– Czyżby pozostali nie widzieli, jak Efiya szepcze coś Rudjekowi do ucha na polu bitwy?

Rudjek nie odpowiada, ale odzywa się Jahla.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że go oszukała.

– Lubię się czasem pokłócić – Re'Mec wstaje – ale moja siostra i ja mamy do zabicia hordę demonów. Jeden z nich ukradł sztylet Króla Demonów. Chcę go odzyskać.

Moją pierś przeszywa nagły ból. Jak to możliwe, że jeden z demonów zabrał sztylet? Musiało się to stać tuż po tym, jak... zabiłam moją siostrę. Mam w umyśle wielką

dziurę. Frustruje mnie, że nic nie pamiętam. Musimy odzyskać sztylet... nie możemy pozwolić demonom go zatrzymać. Jest zbyt potężny, zbyt niebezpieczny. Próbuje ostrzec przyjaciół, ale krew zbierająca mi się w gardle nie pozwala mi dobrać głosu.

Koré klepie mnie po ramieniu i znów ogarnia mnie sen. Przez wiele dni to się budzę, to znów zasypiam. W snach siedzę z kolanami przy piersi, wpatrując się w zamrożone jezioro, ponad którym unosi się mgła. Czasem jestem sama, jeśli nie liczyć chłodnego wiatru na moich nagich ramionach – nie czuję jednak zimna. Czasem jest ze mną Rudjek. W milczeniu przytulamy się pod grubym, brązowym futrem. Czasem to jakiś inny chłopiec. Widzę tylko przeblask jego srebrnych włosów i skrzydeł.

– Pamiętasz mnie? – pyta w moich snach skrzydlaty chłopak. – Pamiętasz nas?

Moja głowa spoczywa na jego kolanach. Jest mi tak dobrze, że mogłabym tu zostać na wieczność.

– Kim jesteś? – Odwracam się, żeby na niego spojrzeć, ale oślepia mnie słońce.

– Jestem Daho – odpowiada ze smutkiem.

– Czy ja cię znam?

Po dłuższej chwili odpowiada, połykając łzy.

– Jeszcze nie, ale niedługo mnie poznasz.

– Masz nowe ciało. – W przeblaskach widzę jego ciemne rysy, które są wspomnieniem czającym się na krawędzi mojego umysłu. Pamiętam go.

– Tak. – Uśmiecha się do mnie. – Przyjdę po ciebie. Obiecuję.

W innym śnie skrzydlata bestia o ostrych zębach i głowie szakala zstępuje z nieba i porywa mnie. Budzę się nagle.

– Rudjek – mówię cichym, łamiącym się głosem. W namiocie cienie poruszają się w płomieniach ognia.

– Jestem tu, Arrah – bierze mnie za rękę. Jego dłonie ukryte są w grubych rękawiczkach.

Rudjek gładzi grzbiet mojej dłoni, próbując uwolnić mnie od niepokoju. Nie ma serca powiedzieć mi prawdy. Że wszechświat sobie z nas zadrwił. Że nasz dotyk jest trujący. Że nigdy nic więcej między nami nie będzie – z winy mojej magii i tego, kim on się stał.

– Nie pozwolisz mu mnie zabrać, prawda? – Chwytam go za rękę, która łączy mnie z życiem. Moje sny są jak otwarte rany, znaków nie da się z niczym pomylić. Po plecach spływa mi pot. Czasem sny są tylko snami, a czasem pozwalają wejrzeć w przyszłość. Mam teraz dar babci i moje sny znaczą więcej. Zwiastują okrutną prawdę.

– Komu, Arrah? – Rudjek marszczy czoło, zmartwiony.

– Królowi Demonów – jęczę ochryple.

– Wciąż jest w swoim więzieniu. – Rudjek gładzi mnie po policzku. – Uratowałaś nas.

Patrzę prosto w jego pełne czułości oczy, wiedząc, że prawda go zniszczy. I że zniszczy mnie samą.

KRÓL DEMONÓW

To nowe ciało jest niewielkie i brak mu skrzydeł. Tęsknię za dującym gdzieś pode mną wiatrem. Będę musiał się do tego przyzwyczaić. Tak, wiem, wszystko w swoim czasie. Nie musisz mi o tym przypominać. Nie podoba mi się, że jestem taki słaby. Moi ludzie – ci, którzy pozostali – mnie potrzebują. Urządzimy rzeź ukochanych przez orisze ludzi i strachopłochów. Zakuty w kajdany przez wszystkie te lata nauczyłem się cierpliwości i poznałem wiele tajemnic. Wiem, jak zniszczyć orisze, ale nie chodzi tylko o ich śmierć. Muszą cierpieć, jak i ja cierpiałem.

Będę się cieszył każdą chwilą.

A co z nią?

Nigdy więcej nie mów o mojej żonie „dziewczyna”, bo wyrwę ci serce i cię nim nakarmię.

Wciąż jest twoją królową. To nie jej wina, że o tym zapomniała.

Owszem, stanowi ryzyko, ale wysłuchaj mnie: postępuj z Arrah ostrożnie. Nie pozwolę jej skrzywdzić. Jestem pewien, że prędzej czy później odzyska przytomność. Też miej tę pewność. Wiesz, że Dimma kochała naszych ludzi równie mocno co ja. Kiedy odzyska pamięć, wróci do domu. Muszę odnaleźć Fram. Oni powiedzą mi, jak zdjąć z Dimmy zaklęcie, tak by moja ukochana sobie o mnie przypomniała.

Czy myślisz, że może mi zagrozić chłopiec, którego znała tylko chwilę?

Kiedy przyjdzie czas, Rudjkiem też się zajmę. Ukarzę go dla przykładu.

Ostrzegalem Efię, że Koré to oszustka, ale nie chciała mnie słuchać.

I zobacz, do czego ją to doprowadziło.

Nie chcę być brutalny, Shezmu. Wiem, że kochałeś ją, gdy była twoją córką.

Ty też zasługujesz na swoją zemstę. Może to i Arrah wbiła ostrze, ale kierowali nią orisze. Ona nie wiedziała, co robi. Oszukali ją Koré i Re'Mec. Nigdy o tym nie zapominaj. Arrah kochała swoją siostrę z wzajemnością.

Teraz już wiesz, jak to jest – utracić tę jedną osobę, która nadawała twemu życiu sens.

Niełatwo jest stracić dziecko. Dobrze o tym wiem. Orisze nie pozwolili, by nasze dziecko się narodziło, a teraz moja żona nawet nie pamięta naszego syna. Muszę być dla niej dobry. Jest taka sama jak wcześniej – kiedy byliśmy młodzi i niewiele wiedzieliśmy o życiu i śmierci. Wtedy ona była cierpliwa wobec mnie, więc teraz ja muszę zrobić to samo dla niej.

Nie pozwolimy, by nas to zniszczyło. Nie po tak długim czasie.

*Ja też mam już dość tej wojny. Chcę ją zakończyć raz na zawsze.
Zaprowadzę pokój, jakim cieszyliśmy się, gdy panował mój ojciec.
Jednak zanim nadejdzie pokój, krew musi zostać przelana.*

PODZIĘKOWANIA

Kiedy myślę o wszystkich ludziach, którzy wspierali mnie od chwili, kiedy napisałam pierwsze słowo, aż do publikacji *Królestwa Dusz*, przychodzi mi na myśl przysłowie „potrzeba całej wioski...”. Wszystko zaczęło się od mojej matki, która zachęcała mnie do czytania i opowiadania historii, zawsze znajdowała sposób, by zaprowadzić mnie do biblioteki, i kupowała mi książki, które pochłaniałam. Do dzisiaj uśmiecham się na myśl o radości i entuzjazmie, z jakimi przeczytałaś mój pierwszy rękopis. Moi drodzy bracia, jestem z was bardzo dumna.

Podejrzewam, że niełatwo jest żyć z pisarką. Ty jednak, Cyrilu, świetnie sobie z tym radzisz. Byłeś przy mnie w chwilach szczęścia i smutku, radości i rozczarowania. Jesteś mistrzem słuchania mojego ciągłego gadania o książkach, postaciach i wyobrażonych światach. Dziękuję ci, że wspierasz mnie nawet, kiedy mamrocę przez sen fragmenty fabuły. Dzięki tobie stoję twardo na ziemi i zachowuję równowagę. Twoja cierpliwość jest bezgraniczna, a oddanie twojej pasji inspiruje mnie do walki o moje marzenia.

Moja literacka agentka Suzie Townsend, od pierwszego dnia konsekwentnie mnie wspierałaś i byłaś wymarzoną partnerką biznesową. Dziękuję ci za wszystko, co robisz, za twoją pomoc i zyczliwość. Dziękuję Joannie Volpe, która stworzyła New Leaf Literary Agency. Pouyi Shahbazian, najlepszej agentce filmowej na całym świecie. Mii Roman i Veronice Grijalvie za ich czary. Meredith Barnes za jej wiedzę na temat reklamy. Dani, z którą łączy mnie awersja do ketchupu – mam szczęście, że jesteś w mojej drużynie. Dziękuję Hilary, Joe’emu, Madhuri, Cassandrze i Kelsey – wszyscy jesteście częścią mojej wioski.

Mam wielkie szczęście, że *Królestwo dusz* miało dwie wspaniałe, pracowite redaktorki – Stephanie Stein w HarperTeen i Vicky Leech w HarperVoyager UK. Stephanie, jesteś genialna w tworzeniu światów i fabuły. Vicky, znakomicie szlifujesz nici, z których spleciona jest historia, upewniając się, że każdy szczegół tworzy nową jakość. Wielką radością jest dla mnie zawsze rozmowa z wami o fabule i rozwoju historii. Dziękuję, że zachęcałyście mnie, bym odnalazła swój głos i styl.

Dziękuję świetnej drużynie pracującej ze Stephanie w HarperTeen: Louisie Currihan, Jonowi Howardowi i Jen Stradzie. Nie udałooby mi się bez waszych uważnych oczu i doświadczenia. Dziękuję wybitnej specjalistce od marketingu Ebony LaDelle i ekipie Epic Reads. Kimberly Stella i Vanessa Nuttry zarządzały produkcją, a Haley

George – reklamą. Dziękuję Jennie Stempel-Lobell i Alison Donalty za zorganizowanie magicznej amerykańskiej okładki.

Mam wielki szacunek dla twórcy okładki Adeyemi Adegbesana. Twoja twórczość jest nowatorska i wyjątkowa. Keisho, udało ci się uchwycić całą zaciętość Arrah.

Natasho Bardon, dziękuję, że opowiadałaś się za tą książką w HarperVoyager UK. Nie wiem, gdzie bym dzisiaj była, gdyby nie wspomniała ekipa marketingowców: Rachel Quin, Fleur Clarke i Hanno O'Brien, dziękuję za wasze oddanie. Jaime Frost, dziękuję za opowiadanie o książce. Wspomniały zespół grafików stworzył przepiękną, pełną magii okładkę wydania brytyjskiego. Barbaro Roby, twoje korektorskie uwagi były nieocenione.

Książka ta wciąż byłaby tylko w moim komputerze, gdyby nie moja najlepsza przyjaciółka i wielbicielka Myszki Mickey Ronni Davis. Gdyby nie twoja zachęta, nie wzięłabym udziału w Pitch Wars. Burze mózgów z tobą to wielka radość. Bardzo się cieszę, że pewnego dnia, w samym środku przypadkowego spotkania w pracy, zaczęłyśmy rozmawiać o książkach – od tego zaczęła się nasza przyjaźń. Dziękuję za twoją energię, wrażliwość i przyjaźń.

A skoro już mowa o Pitch Wars, dziękuję Brendzie Drake i ekipie, która pracowała bez wytchnienia, by stworzyć pisarzom możliwość poznania mentorów. Dziękuję za mentoring Jamie Pacton i M.K. England – otworzyło to przede mną wiele drzwi. Dziękuję za hojność Tomiemu Adeyemi. Zawsze będę wdzięczna za twoje wsparcie i torowanie drogi powieściom fantastycznym, które celebrują kulturę czarnej Afryki.

Moja wierna przyjaciółka i partnerko na zajęciach krytyki literackiej Alexis Henderson – nie wiem, jak bym przeżyła Pitch Wars, gdyby nie nasze rozmowy o północy, wirtualne łyży i nasz upór. Jestem totalną fanką każdej napisanej przez ciebie postaci – i zawsze będę czytać twoje książki. Dziękuję za twoje niezrównane wsparcie, niezliczone burze mózgów i naszą przyjaźń pośród pisarskiej niedoli.

Dziękuję fantastycznym pisarkom, które przeczytały pierwsze szkice powieści i życzliwie na nie zareagowały: Samirze Ahmed, Mindee Arnett, Elly Blake, Rebecce Ross i Rebecce Schaeffer.

Moja ekipa z #ChiYA: dziewczyny, jesteście moją opoką i inspiracją. Samiro, dziękuję, że zawsze opowiadasz się za sprawiedliwością. Glorio, twoja obecność jest siłą spokoju. Lizzie, dajesz mi radość. Anno, jesteś wspomniała i nigdy nie zapomnę naszego epickiego wyjazdu pisarskiego. Członkini honorowa Kat Cho, serdecznie dziękuję ci za hojność i przyjaźń.

Reese, Mia, Jeff, Lane i Rosaria – moje pisarskie plemię z Chicago. Zawsze z niecierpliwością czekam na nasze spotkania. Dziękuję Speculators, którzy przyjęli mnie do rodziny. Davidzie R. Slaytonie, twoje historie są epickie, a serce – wielkie.

Antro, żałuję, że nie mieszkamy bliżej i nigdy nie mamy dość czasu na rozmowy. Nikki, Axie, Davidzie M, Nikki, Liz, Erin, Alex, Helen, Amando, jesteście cudowni. Szacun także dla #SuperBlackGirlMagic i Write Pack. Moi pierwsi partnerzy na zajęciach krytyki literackiej – Dave and Denis, z sympatią wspominam naszą wspólną pracę.

Dziękuję za wsparcie Ericowi Francque, Kim Cavaliero-Keller, Troi Rutherford i Kathleen Misovic. Kedest, nasza wieloletnia przyjaźń wiele dla mnie znaczy. Dziękuję za to, że zawsze udzielasz mi rad bez ściemy. Alice Sigleton, tak wiele się od ciebie nauczyłam.

Jen (The Book Avid), nigdy nie zapominaj, jaka jesteś dzielna. Rachel Strolle, jesteś wspaniałą bibliotekarką, kibicującą różnorodności. Grupom, które zapewniły mi mnóstwo informacji – Kidlit Alliance i Kidlit Author of Color. Dziękuję We Need Diverse Books za walkę o głos dla różnorodnych autorów.

Dziękuję pisarkom, które mnie inspirują: N. K. Jemisin, Laini Taylor, Leigh Bardugo, Holly Black, Octavia E. Butler, Margaret Atwood i wielu innym, jesteście mistrzyniami.

Najserdeczniej dziękuję księgarzom i bibliotekarzom, dzięki którym moja książka trafia w ręce czytelników. I czytelnikom, którzy zdecydowali się przeczytać moje słowa – dzięki za wsparcie. Na koniec dziękuję pani Okeke, mojej nauczycielce angielskiego z liceum. Odeszłaś zbyt wcześnie, a ja zawsze będę pamiętać Twoją miłość do Szekspira i do opowiadania historii.